



ZBYT SILNA ŻĄDZA ŚMIERCI MOŻE SPRAWIĆ,
ŻE DUSZA STANIE W PŁOMIENIACH...



UPIORNY ZEGAR

MAXIME CHATTAM

Maxime Chattam

Upiorny zegar

Z języka francuskiego przełożyła Marta Olszewska

Ponieważ nie ma lepszej od muzyki bańki pozwalającej się odizolować od rzeczywistości i zanurzyć w rzece słów, oto utwory, które najczęściej mi towarzyszyły w czasie tej podróży. Oby i na Was podziałała ich magia, jeśli spróbujecie posłuchać:

- James Newton Howard, *The Village*
- Tom Tykwer, Johnny Klimek, Reinhold Heil, *Pachnidło*
- Hans Zimmer, *Frost/Nixon*
- Danny Elfman, *The Wolfman*.

*Ludzie gromadzą życiowe błędy,
tworząc potwora, którego zważ przeznaczeniem.*

John Hobbes

OSTRZEŻENIE

Ręce mi drżą.

Nie ze strachu, ten opuścił mnie już dawno. Porzucił pozbawione gęstości ciało, którym nie sposób zawładnąć. Życie wygładziło nierówności, w których zazwyczaj czai się lęk.

To czas.

Czas nie potrzebuje żadnego zakamarka, żadnej szczeliny, by pojąć i zniszczyć duszę oraz ciało.

Drogocenny czas, który pociągnął już za sobą tyle istnień.

Ludzie rzadko się nad nim zastanawiają. Mają o nim bardzo mgliste wyobrażenie, relatywne i subiektywne zarazem.

A przecież czas jest jak najbardziej rzeczywisty, ku niezadowoleniu badaczy atomu i przestrzeni, którzy mnożyli się w trakcie kończącego się właśnie dwudziestego wieku. Jest namacalny bardziej niż jakakolwiek istota; widziałem już, jakie przywdziewa stroje i przybiera oblicza.

Widziałem też, jak zabija.

To musi zostać powiedziane.

Promień słońca podkreśla kontury filiżanki z zimną herbatą. Moja prapraprawnuczka bawi się w ogrodzie między cyprysami a huśtawką. Jej perlisty śmiech rozbrzmiewa niezmacony niczym nowy sekundnik lśniącego zegara, którego naoliwione zębatki nie obrosły kurzem, trybiki nie przetarły się jeszcze, mechanizm nie zużył. Na razie wszystko działa z dokładnością cechującą nowość. Na tym polega, podejrzewam, niewinność - wszystko działa gładko, nie wywołując zmęczenia.

Ponad sto lat dzieli tego aniołka ode mnie.

Bardzo starego pana.

Niewyraźny ongiś odgłos moich trzewi odlicza teraz sekundy ociężale i uparcie - wielki zegar, czuję to, jest u kresu wytrzymałości; zgasnę wkrótce, wraz z tym szalonym stuleciem.

Przedtem jednak chciałbym jeszcze coś zrobić.

Uczynić ze swej świadomości wehikuł czasu.

Zabrać cię na tych stronach daleko wstecz, tam, gdzie powstawało społeczeństwo moich wspomnień. Kiedy słucham, jak mówisz o globalizacji, rasach, nacjonalizmie i poczuciu zagrożenia, mam ochotę zabrać cię do siebie, na przełom wieków, w czasy, gdy wypełniona cudownymi obietnicami otwierała się przed nami przyszłość.

Książki historyczne interesują się tylko wielkimi nazwiskami, nigdy zaś małuczkimi jak ty i ja, którzy przecież piszą ową Historię własną krwią, a bez których nie mogłaby ona nawet zaistnieć.

O to w tym wszystkim chodzi.

O to, co rozgrywa się w cieniu. W czeluściach miast, w arkanach polityki i zbrodni, z

których rodzą się cywilizacje.

Moja historia rozegrała się w roku 1900, tym samym, w którym odbywała się Wystawa Światowa w Paryżu.

Na przełomie wieków, który dla wielu miał ogromne znaczenie.

Po klęsce Drugiego Cesarstwa, upokarzającej porażce z Niemcami, wojnie domowej z zimy 1870 roku III Republika - pod której rządami znajdowaliśmy się wówczas - miała jedynie obawy o swą przyszłość. Monarchiści i anarchiści czyhali na najdrobniejszą okazję, by przechylić polityczną szalę na swoją stronę; kraje europejskie mierzyły się nieufnym wzrokiem niczym koty w wąskiej uliczce, wyczekując pierwszego ciosu. Nie wspominając o sprawie Dreyfusa, która w roku 1900 wciąż poruszała opinię publiczną; zwolennicy i przeciwnicy Dreyfusa, antysemita i inni radykałowie czekali w gotowości bojowej, temat ten bowiem nadal omawiany był burzliwie na paryskich bulwarach, choć od skazania „zdrajcy” upłynęło już sześć lat.

Na ulicach bywało niebezpiecznie, do niektórych dzielnic lepiej było się nie zapuszczać, bo grasowały tam bandy przestępców - wkrótce zaczniesz się nazywać ich członków „apaszami”. Głęboka nędza graniczyła z nieprzyzwoitym luksusem.

I gdy tak drżało owo kruche społeczeństwo, postępy nauki raz po raz budziły zachwyt całego świata, industrializacja dudniła zapowiedzią nowej ery ku chwale wygod dla wszystkich, Kościół, bezustannie spychany przez państwo o laickim zacięciu, wycofywał się w oczekiwaniu na egzekucję.

W tym oto kontekście otwarto Wystawę Światową w 1900 roku.

Miała być miejscem zjednoczenia, okazją do zademonstrowania światu wielkości Francji, zduszenia plotek o jej słabości, utwierdzenia na nowo wysokiej rangi naszej Republiki w oczach innych krajów. Wystawa była wymarzoną sposobnością do zaprezentowania najnowszych wynalazków naukowych, służąc jednocześnie za pretekst, by przyciągnąć polityków o rozmaitych poglądach i podjąć negocjacje w sprawie nowych międzynarodowych sojuszy.

U zarania roku 1900 wielu sądziło, iż od sukcesu wystawy zależy przyszłość Francji, a już z całą pewnością wynik nadchodzących wojen.

Uroczysta prezentacja ku chwale postępu zadecyduje o losie milionów dusz.

Wędruję uliczkami mieniącymi się w blasku wróżki Elektryczności. Okres ten z wielu powodów jest jednym z najbardziej znaczących w moim życiu. Usiłuję wydobyć z czeluści pamięci wszystkie wspomnienia, świadectwa, przeszukuję rozmaite notatki, próbując odtworzyć to, co się wydarzyło owego roku, a to, czego nie udało mi się osobiście przeżyć lub dowiedzieć, wyobrażam sobie w najdrobniejszych szczegółach.

Muszę się skupić, by przypomnieć sobie, jak to wszystko się zaczęło, jakie wydarzenie można określić mianem posepnego punktu wyjścia tej szalonej opowieści.

Przede wszystkim zmysły. Pamiętam.

Pierwszą znaczącą różnicą w stosunku do dzisiejszych czasów są odgłosy miasta. Nie grzmiało ono głębokim pomrukiem; Paryż wydawał inne dźwięki. Wiatr, ptaki na balkonach i na drzewach, stukot chodaków na bruku. Ludzie mówiący ciszej w eleganckich dzielnicach, z

daleka już słyhać akordeon i skrzypce muzykantów, krzyki ulicznych rzemieślników. Tak, Paryż brzmiał wtedy inaczej. Cechowała go owa zniewalająca melodyjność, którą zakłócali jedynie nieliczni automobiliści. Tak, pamiętam, odzyskuję zmysły.

Podróż już się rozpoczęła, dzięki magii kilku słów lata biegną wstecz.

Skóra mi jędrnieje, plecy się prostują.

Wygładzają się żyły na dłoniach.

Dwudziesty wiek się cofa.

Jestem młody.

Jesteśmy w roku 1900.

Chwyć mnie za rękę. Mocno.

I nie puszczaj jej przypadkiem przed końcem.

1.

Nazywam się Guy.

Jestem tchórzem.

Deszcz uderzający o dachówki poddasza brzmi niczym łkanie. Przez cztery okienka strychu będącego teraz jego kryjówką wpadają raz po raz jaskrawe promienie błyskawic, niczym błysk flesza aparatu fotograficznego oblewając białym światłem każdy zakamarek, rzucając na szarą podłogę krótkotrwałe cienie. Lecz płomień świecy królujący pośrodku strychu pozostaje niewzruszony.

Guy wykorzystuje ją jako wywoływacz.

By przelać swą świadomość na białą kartkę papieru, którą trzyma w palcach.

Obraz przeszłości pojawia się powoli, kreśląc czarne zawijasy Słowa, z początku ostrożne, tłoczą się teraz, spadają jedne za drugimi, łapiąc oddech jedynie w miejscu przecinków. Wkrótce jest ich tak wiele, że zdanie wydaje się zawieszony w powietrzu, woła o tlen - kropka staje się koniecznością.

Nagle zatrzymawszy się, Guy nie wie już co dalej.

A przecież rozumie tę sztukę, posiadał umiejętność wysławiania, to ona utrzymuje go przy życiu; tym razem jednak nie umysł kieruje piórem, lecz pióro dyktuje warunki człowiekowi. A Guy nie wie, jak je poskromić. Nie wie już, co ma pisać, widzi, co się stało. Ledwie opuściwszy mózg, słowa umykają, przestają być jego własnością. Jest zaskoczony tym, co czyta.

Świeca odegrała swoją rolę.

Guy wpatrywał się w płomień przez dłuższą chwilę. Zatracił się w nim. Aż stopniały woskowe mury, jakie wznosił pomiędzy rzeczywistością i tym, co sam sobie wmówił. Jego świadomość za pośrednictwem kilku słów przelała się na papier.

To życie, które zdradził.

On, pisarz, którego powieści tak bardzo podobały się paryskim mieszczanom.

Tym razem opowiedział baśń sobie.

Historię, która właśnie topniała mu w dłoniach.

Łza spada na kartkę, usiłując wymazać słowo „ja”, na próżno. Słowo nadal jest wyraźne, choć rozciągnięte i zalane.

Guy wie, że zapisek ten nazajutrz wyda mu się obcy, nie pojmie jego pełnego wymiaru, nie będzie go rozumiał, co więcej, wyprze się go, usiłując odebrać mu całe znaczenie.

Po raz kolejny ukryje się w tchórzostwie, wypierając się tego, kim jest i co zrobił.

On, pisarz, którego wszyscy obdarzali uśmiechem.

Odrzuci wspomnienie żony, córki, swojej ucieczki. Zaneguje ich smutek, gdy pozostały bez wieści o nim. Pod pretekstem, że wreszcie odzyskał równowagę wewnętrzną. Z dala od nacisków, z którymi sobie nie radził, z dala od oczekiwań zrodzonych z pozorów.

Ledwo będzie pamiętał ów listopadowy dzień, w którym pojął, że musi się ratować.
Się ratować.

Uciec i przeżyć zarazem.

Chociaż pierwsze tygodnie przepelnione były poczuciem winy, zdołał w końcu oddalić się od zacierających wspomnienia niebezpieczeństw absyntu i opium; nie po to zrzucił jedno jarzmo, by przyjąć na siebie inne.

W końcu oddał się rozpuszcieniu, chcąc przełamać chrześcijańską moralność zmuszającą go do skruchy. Nie chciał wrócić do swoich, nie tam widział ocalenie, a gdy wreszcie znów co rano zaczął nabierać powietrza pełną piersią, zrozumiał, że dokonał właściwego wyboru.

Był tchórzem, lecz tchórzem wolnym, odzyskującym radość życia.

Z dala od społeczeństwa, które pokładało w nim zbyt wiele nadzieje, z dala od wymagającej rodziny, żony, która narzucała swoje zdanie, zamiast je z nim dzielić. W oczach własnej córki dostrzegał oczekiwanie wykraczające poza uwielbienie, pobożne życzenie, by ojciec, którego cały świat chciał widzieć najwspanialszym, nigdy jej nie zawiodł.

Tego było już za wiele dla człowieka, który zawsze widział się wolnym jak ptak podróżnikiem, marzył o przygodach, poznawaniu świata i jego mieszkańców bez nacisków innych niż własne potrzeby naturalne.

Iluż mężczyzn podziwiał w skrytości ducha, bowiem na ich barkach spoczywał ciężar nie tyle rodziny, ile całych dynastii, rodowych przedsiębiorstw, poważanych nazwisk! Wszyscy przyjmowali ciosy mężnie, jakby obowiązek ten tkwił w nich samych, z pozoru trzymali wodze własnej przyszłości, choć w rzeczywistości byli tylko dobrowolnymi więźniami swego losu. Dla niego stało się to w końcu niemożliwe.

Dusił się.

Nie umiając słowami wyrazić tego bliskim, pewnego poranka, gdy wszyscy jeszcze spali, uciekł ze swojego mieszkania w Passy bez słowa, złożony jedynie pożegnalny pocałunek na czole ośmioletniej córki.

Wiedząc, co stanie się z tą kartką za kilka godzin, Guy unosi ją nad płomień świecy.

Patrzy, jak jego świadomość się przypala.

Trzeba wierzyć, że moralność chrześcijańska nie opuściła jeszcze całkiem jego ciała.

Rogi się podwijają, tu i ówdzie otwierają się czarne dziury, wreszcie płomień zaczyna się szybko wspinać, rzuca się na ofiarę, by połknąć ją łakomie.

Po raz kolejny Guy stwierdza, że przeszedł próbę.

Ponownie udało mu się wyzwolić od demonów.

Jutro nadejdzie lepszy dzień.

Burza wkrótce minie.

To, co nie jest w pełni szczelne, zostanie zmyte.

Grzmotem i strugami zimnego deszczu.

Zapomniane wspomnienia spłyną rynsztokiem do kanałów.

Definitywnie znikną w mroku.

Guy de Timée otworzył niewielkie pudełeczko z drzewa cedrowego i wyciągnął kubańskie cygaro, które zapalał powoli i metodycznie, by wreszcie spowić się obłokiem błękitnego dymu.

Uzbrojony w ów jedenasty palec przemierzył cały strych, zapalając lampy naftowe - gazu nie doprowadzono na samą górę budynku - aż wreszcie otoczyła go pożądana jasność.

Pomieszczenie służyło za składzik mieszczącego się poniżej burdelu - leżały tu stosy zużytych sienników, fotele o popękanej skórze, naprawiane wielokrotnie stoły oraz mnóstwo staroci wysypujących się z niedomkniętych walizek. Guy korzystał z tego bałaganu. Nie zważając na stan mebli, zdołał zagospodarować sobie przytulną przestrzeń wokół olbrzymiego poplamionego dywanu tureckiego, po którym z przyjemnością stapał bosy.

Biurko, którego pokrywy nie dało się opuścić, służyło młodemu człowiekowi za miejsce pracy. Porzuciwszy bowiem swoje dawne życie poczytnego autora nie zaniechał pisarstwa. Zmieniła się tylko tematyka jego książek.

Mając kilkanaście lat, Guy włóczył się po podejrzanych dzielnicach w poszukiwaniu wrażeń, pochłaniał każdy numer pisma *Journal des*

Voyages, powieści Juliusza Verne'a i Eugeniusza Sue, bardzo szybko zdecydował też, co chce robić w życiu: opowiadać baśnie. W wieku dwudziestu lat pisywał już teksty dla *Le Petit Parisien*, przyczynił się do powstania *Aurore*; jego pierwsze nowele publikowano w *Le Bon Journal*, aż wreszcie czytelnicy zaczęli wysyłać listy do redakcji, żądając więcej tekstów młodego nieznanego autora. Guy de Timée został wypromowany. Jego powieści w odcinkach podobały się tak bardzo, że pewien wydawca zamówił u niego nowe dzieło, nim Guy skończył dwadzieścia trzy lata. Jego pisarstwo cechował realizm portretów paryskich drobnomieszczan i charakterystyczny sposób rozbierania na części duszy, odmierzania kroplomierzem informacji o bohaterach, budowania napięcia, za którym czytelnicy wprost przepadali.

Jego powieści zaczęły się cieszyć wielkim powodzeniem i wkrótce, choć twarz pozostawała nieznana, nazwisko padało coraz częściej w stołecznych salonach.

Przez pierwsze lata Guy dobrze się bawił, pisząc opowiadania, każdą wolną godzinę poświęcał na sporządzanie notatek do kolejnej powieści lub na obserwacje klientów kawiarni w VIII okręgu - pilnie do nich uczęszczał w poszukiwaniu inspiracji. Ale gdy tak krążył wciąż wokół jednego tematu, tych samych zajęć, książka po książce, Guy zaczął się nudzić.

Wybawienie nadeszło z chwilą, gdy odkrył Conana Doyle'a.

Kryminalne opowiadania Brytyjczyka zadziałały na niego niczym skok do lodowatych wód jeziora. Najpierw przeszył go prąd, a następnie Guy zamarł.

Jak mógł tak długo błędzić? Na taką literaturę czekał! Właśnie taką literaturę chciał tworzyć! Przenikać człowieka, by zgłębić jego najciemniejsze sekrety, fascynować czytelnika tajemnicą zbrodni, by wreszcie dotrzeć tam, gdzie przyzwoitość nie pozwala się zapuszczać.

Taka literatura pozwoliłaby mu zejść w mroczne zakamarki duszy ludzkiej, dotrzeć do korzeni świata, zachowując jednocześnie ludyczność twórczości.

Zaczął od dwóch opowiadań, ale zostały przyjęte wyjątkowo chłodno. Niezrażony podjął się napisania powieści, wydawcy wszakże przejawiali słaby entuzjizm dla jego ponurej wizji, zmuszony więc był wydać pod pseudonimem dzieło, które uważał za najlepsze w swoim dorobku.

Rozpoczął kolejną powieść na kanwie politycznego śledztwa, pióro jednak wypadło mu z dłoni, zanim dotarł do setnej strony. Im głębiej wczytywał się w swoje słowa, tym bardziej prawda rzucała mu się w oczy: brakowało mu natchnienia. Wygody XVI okręgu sprawiły, że stał się ociężały, silna ręka żony zdusiła go, nie był już tym samym żywotnym, gotowym na wszystko młodym człowiekiem klepiącym biedę, włóczącym się nocą za gryzektami, nie wahającym się użyć przebrania, by zagłębić się w uliczki Montmartre'u w poszukiwaniu innego świata. Rok po roku pławiał się w luksusach i chroniąc się przed rzeczywistością, powoli tracił umiejętność analizowania jej.

Pewnego wieczora stwierdziwszy, że nie potrafi wstać od biurka mimo braku słów, które mógłby przelać na papier, zdał sobie sprawę, że praca stała się dla niego formą ucieczki od rodziny Stracił oddech. Pierś wydała mu się nagle zbyt ciasna.

Po upływie miesiąca, zebrawszy do tobołka nieco ubrań i pieniędzy wystarczających, by żyć dłuższy czas, opuścił swoje mieszkanie.

Od tamtego dnia minęło już pięć miesięcy.

Zamieszkał na strychu Buduaru, domu publicznego w IX okręgu, gdzie do tego stopnia zaprzyjaźnił się z personelem, że spędzał tam całe dni i noce. Przez pierwsze tygodnie szalonej ucieczki nocował w hotelu, póki nie zaczął się obawiać, że go odnajdą. Jego żona pochodziła z dobrej rodziny, teść, bogaty adwokat, zdolny był wysłać swoich ludzi do każdego konsjerżera, by przejrzeć rejestry podróźnych, miał też znajomości wśród patrolujących policjantów - inspektorów nadzorujących oberże i hotele w mieście - Guy wolał więc nie ryzykować, nawet pod fałszywym nazwiskiem, że stanie nos w nos z mundurowym zaopatrzoną w jego zdjęcie. Pewnego wieczora, gdy przemierzał ulicę w poszukiwaniu celu lub choćby miejsca, gdzie mógłby zatrzymać się na jakiś czas bez obaw, minął ów lupanar, nad którego drzwiami wisiły dwie czerwone latarnie zgodnie z manierą panującą w prowincjonalnych domach publicznych. Nie wyszedł stamtąd przed upływem tygodnia.

Uciekając od swoich, zapewnił sobie jednak środki na wygodne życie, toteż bez wahania zafundował sobie wszelkie usługi oferowane przez lokal: od prania i posiłków aż po swawolne i zawsze zgodne towarzystwo.

Z czasem polubił to miejsce, lecz widząc, w jakim tempie topnieją jego fundusze, uzgodnił po kilku miesiącach, że przeniesie się na poddasze, a w zamian zapewni dziewczętom nieco ogłady. Właścicielka burdelu była pod tym względem bardzo rygorystyczna: nie uznawała chamskiego języka i unikała paryskiego żargonu. Skoro dziewczyny nie wzbraniają się przed rozchyleniem nóg przed gośćmi, mają robić to z elegancją, aby lokal zyskał renomę i wysokie ceny. Guy poprawiał zatem sposób wyrażania się owych dam, redagował ich listy i sporadycznie oddawał im drobne przysługi.

Jako pensjonariusz utracił jednak prawo bycia klientem. Właścicielka nie chciała mieszać tych dwóch spraw i choć płacił za posiłki i pranie, miał zakaz odwiedzania dziewcząt.

Schody zaskrzypiały i Guy odłożył cygaro na wyszczerbioną kryształową popielniczkę. Było już bardzo późno, nawet jak na takie miejsce, a on nie miał w zwyczaju przyjmować gości po północy. Ktoś wspinał się na górę, pośpiesznie i ostrożnie zarazem, nie dotykając obcasami stopni.

Spiesz się, a zarazem coś ją powstrzymuje.

Guy czuł, że chodzi o nagły wypadek. O coś, co dotyczy go bezpośrednio. O coś, czego jednak nie powinno się rozpowiadać po całym domu.

Wstał, żeby wsunąć koszulę do spodni i dopiąć kołnierzyk - ledwie zdążył to zrobić, ktoś otworzył drzwi bez pukania.

Właścicielka domu, pani de Saily, pojawiła się zadyszana, w narzuconym na ramiona wełnianym okryciu, spod którego wystawała nocna koszula. Koło czterdziestki, chuda, lecz na swój sposób imponująca, pocierała nerwowo dłonie o długich, zdeformowanych przez artretyzm palcach. Szpakowate kosmyki wymknęły jej się z koka, policzki oblewał rumieniec.

- Julie! Co się stało?

- Chodzi o Milaine, utknęła u jednego z klientów, a ja nie mogę się tym zająć, pan Courtois przyszedł dziś na noc!

Courtois był stałym klientem szefowej.

Guy chwycił palto.

- Zajmę się tym, proszę nie siedzieć tu w chłodzie.

- Odwdzięczę się panu.

- Już dość dla mnie pani zrobiła.

Zbiegł wąskimi schodami, a pani de Saily rzuciła jeszcze przez ramię:

- Proszę pamiętać o naszej polityce: żadnego skandalu!

Mimo późnej godziny nie było zimno, tylko wilgotno. Odziany w łachmany zaledwie dwunastoletni chłopiec czekał przy dorożce.

- To ty przekazałeś wiadomość? - spytał Guy Chłopiec kiwnął energicznie głową i otworzył dłoń, na której pisarz położył dwadzieścia pięć centymów, po czym ponaglił go i wsiadł za nim do powozu.

- Opowiadaj.

Chłopiec przeliczył najpierw monety z nosem przy dłoni, po czym otarł usta rękawem, próbując dobrać słowa.

- Czekałem na ulicy na panią Milaine, jak...

- To Milaine cię zatrudnia? - zdziwił się Guy.

Chłopiec przytaknął z dumą, po czym uświadomiwszy sobie, że nie zdjął poplamionego kaszkietu, czym prędzej zerwał go z głowy na dowód szacunku i by pokazać, że nieobce mu są dobre maniery

- Kombinuję dla niej od czasu do czasu! Prosi, cobym czekał, jakby miała jaką sprawę.

Chłopak pełnił funkcję taniego posłańca i stał na czatach w sytuacjach, których Guy wolał sobie nawet nie wyobrażać.

- Zbierałem pety - ciągnął chłopiec - kiedy ta dziewczka przemknęła się za moimi plecami! Nie kapnałem się wcześniej. Wszedłem na górę, a tam w chacie takie wrzaski!

Fiakier trząsł nimi, gdy nabierając prędkości wjeżdżali w ulicę Châteaudun. Teatry były już zamknięte i na tej zazwyczaj ruchliwej ulicy, gromadzącej liczną nocną klientelę, nie było widać żywej duszy Guy chciał spojrzeć na swój stary zegarek kieszonkowy z dewizką, gdy

nagle uświadomił sobie, że zapomniał włożyć kamizelki.

Musi być już po trzeciej, stwierdził. Za późno dla bogaczy, a jeszcze za wcześnie dla maluczkich. Chwila, która do nikogo nie należy, cywilizacyjna luka.

- Kiedy wyruszyłeś, żeby nas powiadomić? - dociekał Guy.

- Piętnaście, może dwadzieścia minut temu!

Dojechali do ulicy Vinaigriers w dziesiątej dzielnicy, gdzie dorożkarz zatrzymał się na prośbę chłopca. Ten zeskoczył na ziemię i nie czekając, aż Guy także wysiądzie, ruszył biegiem w stronę drzwi, które pozbawione latarni tonęły w mroku.

- Na pierwsze! Tam, gdzie się świeci światło!

Guy zapalił lampę gazową na klatce schodowej i wspiał się prędko po schodach. Stał na wprost drzwi, które wskazywał młody posłaniec. Przyłożył do nich ucho i usłyszał kobiecy głos rzucający przekleństwa i robiący wyrzuty przerywane głośnym łkaniem.

Guy dał dzieciakowi jeszcze jedną monetę.

- Nie masz tu już nic do roboty, dziękuję.

Ponieważ chłopak nie kwapił się do odejścia, Guy musiał pchnąć go lekko w stronę schodów, po czym zapukał energicznie do drzwi. Nie uzyskawszy odpowiedzi, ponowił próbę z większą siłą.

Bez rezultatu. Położył dłoń na klamce i nacisnął ją. Ku jego zaskoczeniu drzwi ustąpiły.

Sień tonęła w półmroku, lecz u wylotu korytarza lampy naftowe rzucały drżącą poświatę. Kobieta w wieczorowym stroju z tafty i koronek stała w progu jednego z pokoi, nie zdjawszy nawet skórzanych rękawiczek, choć u jej stóp leżał kapelusze i szpilki służące do mocowania go na włosach.

Patrzyła na Guya, którego postać pozostawała niemal niewidoczna, jej twarz była czerwona od gniewu i płaczu. Nagłe pojawienie się nieznanego chyba nie poruszyło jej bardziej niż to, co już czuła, wbijała w niego po prostu wzrok, nie mrugając nawet.

- Nazywam się Guy. Przyszedłem po przyjaciółkę.

Kobieta zmieszana odwróciła się w stronę pokoju.

Guy zbliżył się powoli, by zajrzeć do środka. Mężczyzna, starszy o jakieś piętnaście lat od żony, leżał w łóżku zakryty po szyję prześcieradłem. Drżał tak, że jego siwa broda aż falowała.

Milaine siedziała w kącie łoża, przyciskając do piersi suknię, która i tak nie zakrywała jej nagości. Bujne rude włosy opadały jej luźno na ramiona; nie było wątpliwości co do tego, jaki przebieg miały wydarzenia w pokoju przed pojawieniem się zdradzanej żony.

- Proszę pani - powiedział Guy - jestem pewien, że skandal narazi na szwank reputację państwa rodziny w tym domu, dlatego odprowadzę tę panienkę i pozwolę państwu rozwiązać spór między sobą.

Znalazł się już niemal przy kobiecie, miał właśnie wejść do pokoju, gdy nagle w obfitych fałdach jej sukni dostrzegł ukryty czarny pistolet, który trzymała wycelowany w stronę męża.

- Nikt stąd nie wyjdzie, nikt - szepnęła przez zęby.

Guy uniósł dłonie, chcąc ją uspokoić.

- Proszę niczego nie robić - powiedział głosem, któremu chciał nadać ton zdecydowany mimo łomoczącego serca. - Trzeba zachować rozsądek, broń nie rozwiąże tego problemu.

- Mój mąż to świnia!

Ukrywający się pod wygniecionym prześcieradłem rzeczony mąż, po którego czole spływały duże krople potu, prezentował niemal całkowity brak godności, toteż Guy nie wystąpił w jego obronie, lecz przeciwnie, stanął po stronie znieważonej:

- Z pewnością, proszę pani, i to najlepszy powód, by nie zmarnowała pani sobie życia, popełniając zbrodnię! Wyobraża sobie pani siebie w więzieniu z jego winy? Albo co gorsza, na szubienicy? On nie jest tego wart!

- Jest żaloszny! On i jego wielkie dyskursy o dobrym wychowaniu i przyzwoitości!

Odgadując pewną lukę w przekonaniach urągającej kobiety, Guy poszedł tym tropem, usiłując zachwiać jej pewnością siebie, zwieść moralność, sprawić, by poczuła się niezdolna do podjęcia decyzji, bezsilna.

- Mężczyzna już taki jest, wie pani? Ma swoje potrzeby, dlatego nasze szlachetne społeczeństwo toleruje, a nawet popiera istnienie lupanarów, i na to ani pani, ani ja nic nie możemy poradzić. Pani mąż nie jest gorszy od innych, uległ tylko odwiecznemu popędowi, a nie chciał, by musiała pani znosić osobiście jego kaprysy!

- Świnia! A ta dziwka nie jest lepsza!

- Proszę dostrzec w nim tylko istotę z krwi, kości i instynktu. A jeśli chodzi o to dziewczę, jej codziennością jest zadowalanie mężów, którzy uzewnętrznić muszą od czasu do czasu swą zwierzęcość, by powrócić następnie na łono rozsądnych cywilizowanych rodzin. Proszę jej nie karać!

- W naszym własnym łóżku... - ciągnęła kobieta ledwie słyszalnie.

- A więc tego nie może pani zaakceptować! W pełni się z panią zgadzam. Mąż zapłaci za to. Podaruje pani toalety, o jakich pani marzy, będzie musiał pani towarzyszyć, gdzie tylko pani sobie będzie życzyć, niczego nie będzie mógł odmówić. To chyba nie najgorszy początek, prawda, proszę pana?

Mężczyzna kiwał dłuższą chwilę głową ze wzrokiem wbitym w kobietę.

Guy wyciągnął rękę po pistolet. Kobieta płakała. Z powodu zaskoczenia czy też przykrego potwierdzenia swoich podejrzeń, które gnębiły ją od dawna? Potok łez uniemożliwiał jej precyzyjne celowanie. Nadeszła odpowiednia chwila.

- Proszę opuścić broń. Za sprawą tego szalonego czynu straciłaby pani w oczach wszystkich, gdy tymczasem jemu usuwa się właśnie grunt pod nogami.

Guy poczuł zimną luźną dotykającą czubków jego palców i zdołał zabrać broń bez oporu z drugiej strony. Dał Milaine znak, że może już wyjść, i poprowadził upokorzoną żonę do salonu, gdzie zapalił lampę gazową i znalazł karafkę, by nalać jej kieliszek alkoholu.

- Proszę, to panią uspokoi. I proszę zacząć rozmyślać o zemście, o tym wszystkim, czego teraz pani od niego zażąda. Nastraszyła go pani jak nigdy, teraz będzie musiał być na każde pani skinienie.

Upewniwszy się, że Milaine jest już na klatce schodowej, poklepał przyjacielsko odzianą w rękawiczkę dłoń pani domu i wycofał się.

Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, głęboko odetchnął. Nogi miał jak z waty.

Milaine kończyła wkładać suknię, halkę przerzuciła przez ramię, jej trzewiki wciąż leżały na wycieracze.

- Chodźmy stąd - powiedział, ocierając pot z czoła.

- Jestem ci ogromnie zobowiązana! Już myślałam, że tym razem poleje się krew.

Guy wepchnął ją do dorożki, która ruszyła galopem wzdłuż bulwaru Valmy.

- Zatrzymałeś pistolet - zauważyła Milaine, wskazując na broń, którą Guy wciąż miał w dłoni.

Zrobił minę, jakby właśnie sobie to uświadomił, i wzruszył ramionami.

- To ją powstrzyma przed zabiciem męża, kiedy oprzytomnieje.

- Miałeś tupet, żeby tak to rozegrać! Znam kobiety, które przystawiłyby ci lufę do skroni za coś takiego! Żeby sprzedać dumę za prezenty!

- Nie jestem zwolennikiem mizoginizmu! Pocziwina tak się przestraszył, że będzie spełniał wszystkie kaprysy żony. Ona się odegra, przez jakiś czas przynajmniej to on będzie o nią dbał i spełniał jej życzenia. A ponieważ nadal będzie chodził do burdelu, formą publicznych przeprosin będzie służba żonie. Powinna mi właściwie podziękować!

Milaine parsknęła śmiechem. Emocje już ją opuściły. Widziała wielokrotnie inne, gorsze nieraz tragedie, a biorąc pod uwagę, na co narażała swoje ciało, serce jej musiało łatwo przystosowywać się do okoliczności.

Guy wychylił się i rzucił pistolet w stronę czarnych wód kanału Saint-Martin.

Po powrocie do Buduaru przywitał ich Gikaibo, japoński kolos, wysoki na metr dziewięćdziesiąt, o wadze stu pięćdziesięciu kilo, który dbał o bezpieczeństwo lokalu.

Główną salę burdelu oświetlała świeczka w lichtarzyku. Faustine, powiernica Milaine, czekała przy barze nad pustym kieliszkiem. Gdy weszli, rzuciła się w stronę przyjaciółki i padły sobie w ramiona.

- Tak się martwiłam! Nie możesz więcej przyjmować zleceń na zewnątrz! Mówiłam ci to już wielokrotnie! Dziewczęta popadają w tarapaty tylko na mieście! Tutaj nic takiego nie może się zdarzyć!

- Dobrze za to płaci i... cóż, ma taką zachciankę: sypiać w małżeńskim łóżu! Przecież mu nie powiem, żeby następnym razem je tu przyniósł! Jak długo płacą, tak długo nie będziemy się skarżyć!

Faustine uszczypnęła ją w policzek.

- Ty uparciuchu!

Guy patrzył, jak się przekomarzają, uśmiechając się do siebie czule. Rozgrzewająca serce zażyłość łączyła dwie kobiety. Podobała mu się ta dziewczęca przyjaźń w siedlisku rozpusty. Przez pierwsze miesiące uczęszczania do Buduaru sypiał z wieloma dziewczętami zatrudnionymi tutaj, nie umiając zdecydować jednak, którą z nich lubi najbardziej. W miarę upływu czasu zrodziło się między nimi pewne zaufanie, jak gdyby oddawanie swych ciał bez angażowania w to miłości pozwoliło im mówić sobie wszystko bez obawy, że obróci się to kiedykolwiek przeciwko nim. Byli sobie winni tylko odrobinę przyjemności. Słowa były

dodatkiem, a zwierzenia miały w sobie wzruszającą autentyczność ocierającą się o świętość. Ciało i prawda.

Większość dziewcząt wiedziała, kim jest i od czego uciekł. On znał ich historie, koleje życia. Buduar nie miał w sobie nic z burdeli przypominających salony polityczne, w których właścicielka lub zarządca służy za pośredników i informatorów wyższym sferom. Julie zawsze bardzo się tego wystrzeżała. Jej lokal nie był może najbardziej oblegany, ale z pewnością miał stabilną pozycję.

O ile Milaine zawsze wydawała mu się nieco zbyt szalona i bezczelna, by miał ochotę z nią sypiać, o tyle z Faustine rzecz miała się inaczej.

Faustine była perełką lokalu. By ją mieć, nie wystarczyło sypnąć złotem, należało jeszcze zdobyć jej zaufanie. Musiała poznać klienta, przyzwyczaić się do niego. I gdy ten był już gotów zapłacić wygórowaną cenę za jedną noc z Faustine, ona musiała jeszcze wyrazić na to zgodę. Gdyż Faustine pozwalała sobie na luksus odmowy.

Prócz urzekającej urody ta właśnie cecha budowała jej sławę w lokalu.

Po wielu miesiącach uczęszczania do Buduaru Guy wyraził chęć dzielenia łoża z piękną dziewczyną i zgodził się zapłacić kwotę, za którą gdzie indziej przez miesiąc pławiłby się w rozkoszach. Tymczasem odmówiono mu dostępu do czerwonego pokoju na końcu korytarza. Faustine go nie chciała.

Nigdy się z tego nie wytłumaczyła. „Lędźwie nie muszą uzasadniać swoich decyzji”, wyjaśniała Julie oburzonym klientom, do których licznego grona dołączył Guy.

Przyglądał jej się w blasku świecy: czerń włosów była tak głęboka, że chwilami wpadała w granat; jej usta przypominały dojrzałą wiśnię, miało się ochotę je schrupać. Wełniany szal zsunął się z ramion, odsłaniając gładkie ramiona usiane drobnymi pieprzykami. Błękitne oczy pochwyciły spojrzenie pisarza. Przez sekundę miał wrażenie, że runęła na niego fala, krystaliczne ostrze przesłoniło widok, czyste jak szafir, z autentyczną siłą potężnego morza gotowego zniszczyć i pochłonąć wszystko, co mu stanie na drodze.

Guy zamrugał, by wymazać ten obraz, i cofnął się, chcąc przepuścić wychodzące dziewczęta. Pozdrowił Gikaiba i ruszył w stronę swojego strychu.

Czuł się nieswojo. Obecność Faustine rozpraszała go.

Zrobiło się już późno, był zmęczony.

Ostatnie przeżycia boleśnie go doświadczyły. Tej nocy mogła zostać przelana krew.

Pośpiesznie wspiął się na ostatnie piętro. Na sam szczyt. Z dala od ulicy.

Z dala od ludzi, których rozkładał na części pierwsze w swoich powieściach, a teraz musiał unikać, chcąc przeżyć.

Jak gdyby była to cena, którą musiał za to zapłacić.

Niczym nienasycony ogr cywilizacja pożerała te ze swoich dzieci, które śmiały podważać jej władzę.

2.

Ostrze brzytwy sunęło po skórze, wydając chropowaty odgłos skrobania. Wkrótce pojawił się purpurowy ślad, mikroskopijne strużki krwi skaląły biel mydlanej piany, spłynęło kilka intensywnie czerwonych kropli.

Guy zignorował skaleczenie i dokończył golenia, zawahawszy się na poziomie bokobrodów, które sięgały mu dolnej części ucha. Cofnął się o krok, by ocenić swoje oblicze w lustrze.

Bujne kasztanowe kosmyki układały się falami po obydwu stronach czoła, kontrastując z kątami łuków brwiowych, szczęk i brody. Niewielka bruzda na czole świadczyła o przygnębieniu. Zamieszkawszy w burdelu, Guy zgolił wasy Uświadomił sobie, że do tej pory nosił je tylko po to, by sprostać wymaganiom żony dotyczącym męskiej elegancji.

Ślad krwi na policzku powiększał się.

Guy się zawahał, po czym zanurzył brzytwę w ciepłej wodzie; zachowa jeszcze przez jakiś czas to przedłużenie gęstej czupryny Dobrze uwydatnia rysy, pomyślał, czyniąc gładkie oblicze bardziej męskim.

Miał dwadzieścia osiem lat i dziwny blask w oczach, który sprawiał, że uważano go za o wiele starszego. Źrenice patrzyły na niego z lustra; rzeczywistość i odbita iluzja. Orzechowa otoczka wokół czarnego niczym morska głębina jądra. Nie opuszczał wzroku, który pozostawał bezpośredni, głęboki, emanując rzadko spotykaną siłą. Guy często zauważał, że gdy w rozmowie nalega, kładzie nacisk na słowa, wbijając wzrok w rozmówcę, niewielu potrafi wytrzymać jego spojrzenie. Zastanawiał się już nieraz nad przyczyną owego magnetyzmu, nie był przecież typem autorytarnym ani porywczym, czemu zawdzięczał więc tę siłę?

Jako młodzieniec godzinami przemierzał brudne ulice, był świadkiem wielu dramatów, kilku tragedii, przewycięzał przeszkody - życie wzmocniło jego osobowość. Gdy jeszcze dołączyła do tego chęć poznania społeczeństwa, powoli udało mu się zderzyć z człowiekiem maskę i ujrzeć go takim, jakim jest, bez złudnych konwenansów, bez publicznego makijażu „cywilizacji”. Nauczył się schodzić do jego wnętrza, docierać do instynktów stanowiących pożywkę dla przemyśleń, aż do utraty naiwności. Gdy teraz kogoś obserwował, bez trudu przenikał jego pozę i dostrzegał dewiacje, obsesje, oceniał wady, a otwarcie się na najgorsze pozwalało mu czasami na słuszną ocenę.

Kiedy zaś sam się odsłaniał, jego spojrzenie traciło człowieczeństwo i wnikało w jestestwo rozmówców, budząc ich niepokój.

Wilgotnym ręcznikiem zamazał swoje odbicie w lustrze i przetarł delikatnie skaleczenie, po czym włożył czystą koszulę, do której przymocował wysoki kołnierzyk. Odkąd porzucił rodzinę i dawne życie, nabrał zwyczaju, by ubierać się prosto, ograniczyć do tego, co niezbędne, pozbyć się nadmiernego wyrafinowania. Mimo to od kilku tygodni znów znajdował przyjemność w eleganckim stroju; pozwalało mu to łatwiej wtopić się w otoczenie, chętniej też otwierano teraz przed nim drzwi.

Zawiązał szeroki jedwabny krawat, zapiął kamizelkę, wsunął zegarek do kieszonki i włożył sięgającą kolan marynarkę. Chwycił laskę, której żelazna gałka przedstawiała ziemski glob, wziął melonik, po czym wyszedł z mieszkania.

Guy de Timée miał ambitny zamiar napisać swoją najlepszą powieść. Historię pełną niegodziwych intryg, perfidnych zbrodni, błyskotliwych rozwiązań. Godną najlepszych dzieł Conana Doyle'a - taką miał nadzieję...

Chociaż powrócił do odpowiedniego rytmu pracy, wciąż jeszcze był na etapie wstępnych założeń. Musiał szukać natchnienia.

Zaczynał już odzyskiwać kontakt z rzeczywistością - nie tą mężczyzny sterowanego przez żonę, karmionego przez służących, lecz kogoś, kto widzi świat takim, jaki on jest, a nie korzysta z raportów na jego temat.

I tak Guy, rozglądając się czujnie, przemierzał piękne ulice Montmartre'u; starannie, acz prosto odziany, błąkał się po fortyfikacjach otaczających jeszcze Paryż, zapuszczał coraz głębiej w cuchnące okolice zamieszkałe przez biedotę, między wały z ziemi osłaniające lepianki. Z każdym dniem silniej odczuwał prawdziwe życie - ale nie to pozbawione ikry, którym rządziły pozory, nakazy i zakazy.

Czuł tę rzeczywistość, która prędzej czy później pomoże mu tworzyć.

Spędził dzień w XIX okręgu, wędrując pomiędzy ogromnymi cysternami z gazem podobnymi do tych, które mnożyły się na peryferiach miasta, potem ruszył w stronę rzeźni w La Villette. Trzy długie składy wagonów stacjonowały przed wielkimi budynkami z kamienia i metalu. Królestwo rzeźników stanowiło wielką atrakcję - czyż może istnieć większe źródło inspiracji niż owa świątynia śmierci?

Wślizgnął się pomiędzy tory i zbliżył do pograżonych w osobliwej ciszy stajni.

To dlatego - Guy wkrótce się o tym dowiedział - że zwierzęta zabijano nocą, a następnie ćwiartowano i sprawiano w ciągu dnia. Z oddali, z oparzalni, dobiegał koncert, na który składały się piskliwe odgłosy skrobania. Tam armia potężnie zbudowanych ludzi kończyła kroić tusze mięsne, którymi żywić się będzie Paryż przez cały następny dzień. Mężczyźni ci wykonywali swoją pracę, żartując, w dobrym humorze, co i raz wybuchając głośnym śmiechem. Guy nie zabawił tu długo. Nie tyle poczuł się nieswojo na widok stert krwawych tusz, ile rozczarowała go radość bijąca od pracujących. Spodziewał się czegoś bardziej ponurego. Do tego przenikliwy zapach mięsa i krwi, mdławy i ciężki, był na dłuższą metę nie do zniesienia.

Ruszył wzdłuż budynku spopielnarni, z której kominów unosił się gęsty pióropusz dymu. Bez trudu wyobraził sobie płonące wewnątrz resztki szkieletów. Wiatr, jak często bywało, wiał z zachodu i dym niósł się w stronę dzielnic robotniczych i podmiejskich fabryk. Naraz Guy doznał olśnienia, choć innym mogło się to wydać oczywiste: dzielnice stołecznej burżuazji i bogate podmiejskie rezydencje powstawały w zachodniej części Paryża, fabryki zaś i dzielnice plebsu - na wschodzie, by przykre zapachy nie uprzykrzały życia wyższym sferom!

Zapisał pośpiesznie ową uwagę w swoim karneciku i ruszył dalej, zagłębiając się w La Villette.

Guy kochał Paryż, szalone miasto, okrutną bestię gotową zarówno dać, jak i zabrać wszystko. Od eleganckich dzielnic kryjących olbrzymie, przechodzące ludzkie pojęcie fortuny

po rudery ukryte w podwórzach, Paryż był w ciągłym ruchu; fortuny powstawały tu równie szybko, jak umierali nędzarze. Miasto-szachownica - tu rozgrywała się światowa polityka, spotykali szpiedzy z Niemiec, Anglii i innych krajów, a dziś, na kilka dni przed inauguracją Wystawy Światowej, oczy całego świata zwrócone były na owo kłębowisko szerokich prostych arterii, wijących się uliczek, ślepych zaułków i podwórców.

Dzień był dla Guya męczący; odmawiał sobie dorożek, by w pełni odczuwać każdy szczegół, zrezygnował z obiadu, zajęty zbieraniem informacji. Gdy wrócił pod wieczór, długo masował stopy, rozmyślając o tym, co przeżył.

Położył notatki na biurku, zbyt skromne, by mógł uznać je za zadowalające, i nie umiając nic już dodać, porzucił pióro i szedł na dół, chcąc uciszyć wołanie wygłodniałego żołądka.

Sześć spośród dziesięciu dziewcząt Julie zebrało się w salonie w towarzystwie dwóch dobrze odzianych mężczyzn w średnim wieku. Usługiwały im, dbając, by gościom niczego nie zabrakło, ani alkoholu, ani cygar, ani przyjemnej rozmowy. Same, jak co wieczór, piły absynt znany ze swych właściwości poronnych.

Faustine przeszła przez pokój odprowadzana lubieżnym spojrzeniem obydwu mężczyzn, choć - wiedzieli o tym dobrze - była dla nich niedostępna. Znikła za parawanem, by uruchomić gramofon. Po kilku trzaskach rozległa się słodka melodia na skrzypce i fortepian.

Rozmowa toczyła się wokół jedyne go tematu, którym żył teraz cały Paryż.

- Wystarczy spojrzeć na wysokość ogrodzenia! To już świadczy o niezwykłościach czekających po drugiej stronie!

- Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę wystawę! Kupiłem już trzy karnety po dwadzieścia biletów!

- A ja pięć! Mam zamiar przychodzić tam przez całe lato z rodziną!

Julie kursowała dyskretnie pomiędzy salonem, holem wejściowym i biblioteką, stąd Guy domyślił się obecności innych klientów. By nie przeszkadzać, nie rozsunął grubej kotary i wycofał się do drzwi dla służby, którymi przeszedł do kuchni. Gikaibo siedział przy stole nad talerzem potrawy z kurczaka. Guy pozdrowił go; nałożył sobie jedzenie do miski i usadowił się naprzeciw niego.

- Nigdy nie zdejmujesz piżamy? - spytał przyjaźnie, wskazując na tradycyjny strój japoński.

- Mój strój wygodniejszy niż twoje łóżko!

Sztuśce wydawały się śmiesznie małe w olbrzymich dłoniach Japończyka.

Gikaibo emanował jednak wzruszającą wrażliwością mimo kolosalnych gabarytów.

To z powodu historii jego życia, odgadł Guy. Sumotori trenowanego od najmłodszych lat, zmuszanego do zwyciężania, zniesławianego, pozbawionego swojej pozycji, upokarzanego i ponizanego. Gikaibo opuścił ojczyznę, rodzinę i hańbę, wskakując na pokład liniowca. Guy nie miał pojęcia, w jaki sposób mężczyzna znalazł się aż tutaj, w Paryżu, w burdelu, ale zapaśnik sumo był małomówny i Guy podejrzewał, że nawet Julie nie zna szczegółów jego życia.

Diane i Violette, dwie siostry pracujące w lokalu, weszły szybkim krokiem, niosąc tacę i puste butelki.

- Szybko! Łakocie! - zawołała pierwsza, o jaśniejszych włosach.

- Pan Espérandieu uwielbia słodkości!

Nie mogąc precyzyjnie się pomiędzy zapaśnikiem sumo i kredensem, siostry odchrząknęły, by skłonić grubego Japończyka do przesunięcia się. Ten chwycił stół z dwóch stron i podniósł go, chcąc go przestawić. Guy musiał zaprzeć się nogami i cofnąć krzesło, żeby blat nie wbił mu się w brzuch. Wreszcie mebel opadł na parkiet.

- Przepraszam - powiedział Gikaibo, cedząc powoli sylaby, jak gdyby słowa kosztowały go dużo wysiłku.

Siostry wzięły tacę przykrytą szklanym kloszem. Piętrzyły się na niej rozmaite pączki i inne lukrowane wyroby cukiernicze.

- Smacznego, panowie! - powiedziały chórem, wychodząc.

- Nawzajem - odparł Guy z odpowiednią nutką ironii w głosie.

Gikaibo spojrział na pisarza, wargi miał wciąż wilgotne od potrawki.

- Spałeś z one? - spytał, nie modulując tonu zdania.

- Z siostrzyczkami? Ja? Nie! To... niezdrowe!

- Hipokamp!

- Gikaibo, jeśli twoim zamiarem nie było odniesienie się do mojej anatomii przy użyciu celowo poniżających określeń, sądzę, że „hipokryta” byłoby tu właściwszym słowem. I nie, nie jestem hipokrytą, jeśli o to chodzi. Sypianie z dwiema siostrami wydaje mi się kazirodztwem, nawet jeśli nie są to moje siostry; jest coś odpychającego w patrzeniu, jak pieszczą i zabawiają tego samego kochanka.

- Spałeś wszystkie tutaj!

Guy uśmiechnął się krzywo, lekko zażenowany.

- Daleko mi do tego - odparł. - Spałem z Marguerite, Eugenie, Rose i Marthe, to wszystko! Ach, i z Jeanne, jeden raz.

- Nie masz szacunku!

- Proszę? One same mówią o tym bez ogródek! Marguerite i Marthe omawiały moje zalety jako kochanka! I to ja nie mam szacunku?

Gikaibo chwycił pusty talerz i wysiorbał głośno sos spod potrawki.

- I kto tu jest źle wychowany! - mruknął Guy przez zęby.

Przełknął kolację, słuchając śmiechów dziewcząt dobiegających z salonu, i wypił pół butelki wina, czekając, aż usłyszy skrzypienie schodów pod nogami owych panów zmierzających do swoich sypialni.

Gikaibo z kolei czekał cierpliwie, jak co wieczór, z kieliszkiem alkoholu ryżowego przed sobą, dolewając sobie z każdym wybiciem godziny przez zegar stojący w korytarzu. Rzadko musiał interweniować, większość klientów umiała się zachować.

Guy wstał, pozdrowił go gestem dłoni i wspinał się na strych, zamierzając położyć się spać. Ściana po prawej stronie drżała rytmicznie, w powolnym tempie, niewzruszenie mimo zachęcających jęków jednej z dziewcząt.

- Spokojnie, Marguerite - wymamrotał Guy odurzony z lekka alkoholem. - Złamiesz nam

naszego dziekana...

Tego wieczora czuł, że żadna mara nie stanie na drodze Morfeusza.

Bożek snu przybędzie punktualnie i osobiście.

Gdy tylko Guy przyłoży głowę do poduszki, zagłębi się w otchłań odpoczynku kołysany uderzeniami zmęczonych łądźwi pijanego starca.

Krzyczała.

Z twarzą wykrzywioną w grymasie cierpienia.

Zimne wilgotne dłonie wczepiły się w nadgarstki Guya, wrywając go ze snu.

W drżącym pomarańczowym blasku świecy zobaczył Faustine. Jej czarne niczym noc włosy przypominały zasłony, spomiędzy których wychylała się twarz i wielkie błyszczące oczy.

Guy zamrugał powiekami, by wyswobodzić się z objęć snu. Faustine mówiła coś prędko, nie krzyczała właściwie, lecz ból głowy sprawiał, że Guy odnosił takie wrażenie.

- ...musimy zejść! Proszę się pośpieszyć!

- Co? Co? - bełkotał Guy, trąc kąćki oczu. - Co się stało? Która godzina?

Zmysły wyostrzyły mu się po chwili. Faustine była w panice. Jej nozdrza rozchylały się nerwowo, usta drżały, oddychała ciężko. Guy podciągnął prześcieradło i usiadł naprzeciw młodej kobiety.

- Co się stało, Faustine? Taka pani blada!

Chciał poprawić swoją koszulę nocną, gdy dostrzegł na jej rękawach ciemne plamy. Krwawił.

Z bijącym sercem przyjrzał się swojemu ciału, po czym uświadomił sobie, że to nie on. Faustine złapała go za ramię.

Chwycił jej ręce i przyciągnął do siebie, unosząc ku światłu świeczki. Wnętrza jej dłoni pokryte były krwią.

- Wydarzyła się tragedia, Guy, prawdziwy koszmar, dramat - powiedziała, a w jej spojrzeniu dostrzegł niepokojący blask.

- Co takiego? Jest pani ranna?

Faustine zignorowała pytanie i nie opuszczając dłoni, na których w świetle małego płomienia świecy lśniła złowroźnie krew, wyszeptwała:

- To... dzieło diabła!

3.

Guy pędził schodami za Faustine.

Podobnie jak ona miał na sobie tylko szlafrok narzucony na nocną koszulę, na prośbę młodej kobiety wsunął też pośpiesznie buty. Cały dom pogrążony był we śnie. Cokolwiek się wydarzyło, nie stało się wśród tych ścian.

Guya bolała głowa, miał wrażenie, że ołowiana cegła umiejscowiła się pod jego czaszką, skąd z każdym krokiem usiłowała się wydostać. Wino musiało być poślednie albo też wypił go za dużo...

Faustine zaciągnęła go aż do holu, nie odzywając się ani słowem, kierując się możliwie szybko i dyskretnie w stronę wyjścia z budynku. Drzwi były otwarte.

Czerwone lampy osadzone po dwóch stronach schodów wejściowych były zgaszone, a brak gazowych latarni sprawił, że ulica tonęła w głębokim mroku.

Guy usłyszał, jak Faustine pociąga nosem, jej ramiona drżały w nieopanowanym łkaniu, gdy ukłękła u stóp schodów na chodniku, stawiając obok siebie świeczkę.

Guy już miał zbiec po kamiennych stopniach, gdy zobaczył ją.

Postać skuloną w groteskowej nieprawdopodobnej pozycji.

Z początku sądził, że to Metyska, ostatecznie stwierdził, że chodzi o jedną z ciemnoskórych Indianek amerykańskich, które widział w jakimś teatrze kilka tygodni wcześniej. Ubrana była w letnią suknię, obszerną i wydekoltowaną, przyozdobioną wstążkami i koronkowymi frędzlami.

Coś, co przypominało delikatny zwiewny tren, niemal niewidoczny, rozciągało się za nią niczym welon panny młodej.

Leżała na boku nienaturalnie wygięta, z głową odrzuconą do tyłu, z włosami zasłaniającymi część twarzy. Przypominała tancerkę zastygłą w jakiejś trudnej figurze, chcącą jakby przyjąć kształt koła. Ramiona miała skrzyżowane na piersiach, a palce zaciśnięte na jakimś przedmiocie.

Guy rzucił się w jej stronę, nagle jednak zastygł w bezruchu.

Dreszcz przerażenia przebiegł mu po plecach i opanował umysł.

Jak bardzo się pomylił.

To nie była Indianka. Nie miała też na sobie ślubnej sukni.

Rozpoznał ją mimo wilgotnych włosów zasłaniających jej rysy, pamiętał tę suknię.

Milaine.

- Mój Boże... - szepnął, zakrywając usta dłonią.

Przykląkł na ziemi, by dotknąć palcem wskazującym jej szyi.

- Ona... nie... żyje - powiedziała cicho Faustine.

Guy obmacał ciepłą jeszcze szyję w poszukiwaniu tętna, którego jednak nie wyczuł. Ciało było mokre.

Wtedy pojął. Chwycił świeczkę i przysunął ją do nieszczęsnej dziewczyny.

Pokryta była krwawym potem. Wszystkimi porami skóry wydzielala cenny płyn ustrojowy, jak gdyby zanurzono ją w kąpieli z oparów kwasu. To nie tren sukni ciągnął się za nią, lecz krew, którą straciła, usiłując wspiać się na schody prowadzące do domu.

Faustine zdusiła łkanie w fałdach rękawa.

Guy zauważył wówczas obcasy butów z cholewką wystające spod szerokiej sukni rozpostartej na ziemi. Milaine nogi również miała odciągnięte w stronę pleców.

Ułożenie dziewczyny było trudne do pojęcia. Leżała wykręcona w tył, jak gdyby chciała piętami dotknąć tyłu głowy

- Nie powiadomiła pani szefowej? - spytał Guy.

- Nie - odparła Faustine między dwoma pociągnięciami nosem. - Jak tylko ją taką ujrzałam, wpadłam w panikę. Ona... nie żyje!

- Trzeba wezwać strażnika miejskiego.

- Od razu pomyślałam o panu...

- O m...mnie? Dlaczego akurat o mnie? - wybełkotał.

- Bo... jest pan wykształcony... zna się pan na wielu rzeczach.

- Faustine, obawiam się, że tu chodzi o... zbrodnię. Obowiązkiem policji jest się tym zająć.

Faustine pokręciła powoli głową.

- To dzieło diabła, Guy. Proszę spojrzeć.

Odgarnęła kosmyki zasłaniające oblicze Milaine.

Guy drgnął i aż usiadł, czując, jak serce łomocze mu w piersiach.

Wargi Milaine były cofnięte, odsłaniając zaciśnięte zęby splamione purpurą i zakrwawione dziąsła. Ta parodia okropnego uśmiechu budziła lęk, to jednak jeszcze było nic w porównaniu z oczami.

Były niczym dwie czarne kule.

Białko całkiem zniknęło.

Tak zdeformowana Milaine przypominała demona, który zstąpił z witrażu przepowiadającego Apokalipsę.

Faustine przycisnęła pięści do ust i wbiła zęby w kciuk, po policzkach spływały jej łzy.

Guy westchnął ciężko.

Kręciło mu się lekko w głowie, choć nie był pewien, czy przyczyną są silne emocje związane z tym odkryciem, czy też pozostałości alkoholu w jego organizmie.

Jakichże męczarni doświadczyła Milaine?

Jej pozycja, krwawy pot i ów przerażający uśmiech, wszystko to wprawiało Guya w zdumienie. Czuł się bezsilny, otepiały.

- Nie wiem... co robić - wydusiła z siebie Faustine między dwoma szybkimi oddechami.

- Policja, trzeba powiadomić policję...

- Guy, policja nic tu nie pomoże - szepnęła Faustine mimo dławiącego ją przejęcia. -

Mamy do czynienia z dziełem diabła. To dzieło diabła.

Pięciu strażników pokoju otaczało ciało Milaine.

Liczni policjanci w cywilu nadzorowali miejsce zdarzenia, w tym dwaj, którzy przesłuchiwali Faustine i Guya na kamiennych schodach prowadzących do domu pod czujnym okiem Julie, pozostałe zaś mieszkanki lokalu zebrane w holu tonęły we łzach.

Chłód nocy zmroził wreszcie członki wszystkich oczekujących, aż inspektorzy w cywilu dotrą na miejsce, nijak jednak nie zmniejszył emocji.

Zamieszanie zwabiło w końcu pół tuzina ciekawskich, od przechodzącego w pobliżu dżentelmena po szmacciarza robiącego obchód śmietników, wszyscy stali teraz na przeciwległym chodniku z błyskiem ciekawości i obrzydzenia w oczach.

- W jakich okolicznościach odkryła pani ciało przyjaciółki? - zwrócił się do Faustine jeden z policjantów.

Dziewczyna przyciskała chusteczkę do brody z oczami zaczerwienionymi od łez.

- Obudziłam się około trzeciej nad ranem. Zostawiłam drzwi dzielące mój pokój od sypialni Milaine na wpół otwarte, żebym usłyszała, kiedy wróci. Nie były zamknięte, przestraszyłam się, bo było już bardzo późno. Zeszłam więc sprawdzić, czy nie ma jej w salonie albo w kuchni. Wtedy rzuciłam okiem przez okno i dostrzegłam jakiś kształt.

- Zobaczyła ją pani z wewnątrz? W tych ciemnościach? - zdziwił się mężczyzna o przenikliwym spojrzeniu.

- Jak już mówiłam: ujrzałam jakiś kształt. Ogarnął mnie niepokój i wyszłam... i...

Ukryła dolną część twarzy w chusteczce na kilka sekund.

- Czy często wracała późno?

Faustine przełknęła ślinę i opanowała emocje, po czym odparła:

- Milaine miała jakieś kłopoty ostatnimi czasy I... wychodziła zbyt często, dlatego zostawiałam otwarte drzwi. Czułam się pewniej, wiedząc, że wróciła bezpiecznie.

- Jakiego rodzaju to były kłopoty?

Julie nachyliła się w ich stronę i wtrąciła:

- Z włóczęgami, w zaułkach.

Faustine rzuciła jej zaskoczone spojrzenie, w którym niemal natychmiast pojawiła się złość.

Policjant skinął głową, po czym schował ołówek i notes.

- Dobrze, to by było wszystko na dzisiaj. Aha, potrzebowałbym dwóch świadków, którzy potwierdzą podaną przez was tożsamość - rzekł, zwracając się do Faustine i Guya.

Guy zadrżał. Właśnie przedstawił się pod fałszywym nazwiskiem.

Podeszła do nich Julie w towarzystwie Marguerite.

- My za nich ręczymy - powiedziała właścicielka domu publicznego.

- Proszę tu podpisać, podać nazwisko, imię i datę urodzenia.

Uspokojony Guy zbliżył się do ciała Milaine. Strażnicy pokoju ułożyli na chodniku jutowy worek. W czterech podnieśli zwłoki i położyli na worku.

Guy zauważył, że pomiędzy zaciśniętych zębów Milaine sączy się jakaś ciecz.

Kucnął i stwierdził, że jest ona gęsta i biała.

- Ona ma coś w ustach - powiedział głośno.

Strażnicy pokoju spojrzeli na niego, jak gdyby wyrzucił z siebie stek przekleństw, lecz jeden z policjantów zszedł ze schodów, by rzucić okiem.

- Proszę jej otworzyć usta - rozkazał swoim ludziom ogarniętym nagłym obrzydzeniem. - No dalej, do licha! Czy mam to zrobić sam?

Jeden z mężczyzn wykonał więc polecenie i z delikatnością, która zaskoczyła Guya, złapał Milaine za brodę, po czym pociągnął z całej siły.

- Ach! - rzucił po chwili. - Zaciśnięte, nie dam rady.

- Martwi miewają niezwykłą siłę - wtrącił któryś policjant. - To dowód na istnienie duszy. Walczy jeszcze o władzę nad ciałem!

Cywil machnął ręką, jakby to nie było nic ważnego.

- Trudno, zobaczymy w kostnicy.

On i jego towarzysz pożegnali zebranych i wsiedli wraz ze swoimi ludźmi na wóz, na którym złożono również ciało Milaine. Na bruku rozbrzmiewał odgłos kopyt, gdy pojazd jechał coraz prędzej w dół ulicy. Nieliczni gapie wyrwani z błogiej kontemplacji zaczęli się rozchodzić.

- To wszystko? - poskarżyła się Marguerite. - Nie zajrzeli nawet do jej pokoju!

- Wrócą jutro - stwierdziła Julie.

- Nie byłabym tego taka pewna.

Odezwała się Rose, wtrącając swoje trzy grosze:

- Widziałyście nieszczęsną Milaine? Mój Boże, co też ją spotkało?

- To potworne! - zakrzyknęła jedna z dziewcząt z holu.

Większość spojrzeń skierowana była na długi ciemny welon krwi na chodniku. Odprowadzano też wzrokiem kołyszający się w oddali wóz.

- No nic - usiłowała się opanować Julie. - Wracajcie, to nie pora, żeby się włóczyć po ulicy Jeanne, zagrzej nam wody na herbatkę ziołową, wszyscy do salonu.

Guy odczekał, aż powóz się oddali, Julie - ująwszy Faustine za ramiona - poprowadzi ją do wnętrza, a wszyscy pozostali się odwrócą. Wówczas przyklęknął na chodniku.

Rozłożył starannie czystą chusteczkę wyjętą z kieszeni i wytarł nią pozostałości białej cieczy, która spłynęła z ust Milaine. Podniósł ją do nosa - zapach nie był zbyt wyraźny. Mimo to, choć nie miał wyczulonego węchu, zdołał go zidentyfikować.

Gikaibo wyszedł z domu z wiadrem w ręce. Na widok olbrzymiego Japończyka ostatni gapie, dwaj młodzi bezzębni szmaciarze stojący niczym słupy soli na chodniku, uciekli ze swymi łachmanami przerażeni ową postacią równie masywną co niespodziewaną o tej porze w Paryżu. Gikaibo odsunął Guya potężnym ramieniem i wylał wodę na ziemię, chcąc zmyć krew ich przyjaciółki.

Potrzeba było trzech wiader wody, by zniknął wreszcie ponury tren. Trzy wiadra, by to, co

z niego pozostało, rozpuścić pomiędzy spoinami chodnika i w rynsztoku.

Wszystko potoczyło się tak szybko.

Guy obudził się po zbyt krótkiej nocy wśród oparów alkoholu, a Milaine już nie było.

Jej przerażające zwłoki zostały zabrane.

Koniec, już nigdy więcej jej nie zobaczą.

Milaine przeżyła swój krótki żywot w biegu, nigdy nie odmawiając, jeśli tylko klient płacił, chciała zebrać jak najwięcej pieniędzy w jak najkrótszym czasie.

Wypruwała sobie żyły. A Paryż, który nigdy nie odmawiał takiej ofiary, wyssał z niej krew na swych szarych ulicach.

4.

Kwietniowe słońce wprasało się do środka, wpadając ukosem przez wysokie okna dużego salonu, i rozpromieniało swoimi złocistymi szpadami unoszące się w powietrzu woluty kurzu.

W domu panował spokój. Ani muzyki, ani śpiewów, żadnych odgłosów sprzątanania, skrzypienia parkietów, tylko ciche powolne stąpanie konia ciągnącego bryczkę dobiegające z ulicy docierało do uszu Guya.

Odsunął filiżankę z herbatą, której nawet nie tknął, i wstał.

Zapach świeżego ciasta unosił się na parterze, Julie krzątała się po kuchni.

Dziewczynom przykazano, by zostały w swoich pokojach. Miały wypocząć, domyślał się Guy, ale także Julie chciała mieć je na oku, by nie rozpowiadały o ostatnich wydarzeniach, i kontrolować ewentualne ataki nerwowe. Nikt nie spał już więcej tej nocy po odkryciu ciała Milaine.

Jej groteskowa pozycja, ilość krwi, jaką straciła, a przede wszystkim monstrualny wyraz twarzy - wszystkich, którzy to widzieli, dotąd jeszcze przechodziły ciarki.

Drzwi wejściowe trzasnęły, toteż Guy skierował się do holu. Gikaibo, wciąż wystrojony w granatowe kimono, wracał z zakupami zleconymi przez Julie, niosąc koszyk pełen jarzyn.

Guy pozdrowił go i wrócił do salonu, skąd obserwował ulicę.

Policja najwyraźniej nie spieszyła się z powrotem na miejsce zdarzenia.

Guy nie umiał patrzeć na chodnik, by zniekształcone kształty Milaine nie stawały mu przed oczami.

Przerażająco podwinięte wargi niczym u psa szczerzącego kły Zęby we krwi. Ciało pokryte tiulem krwawego potu. I te oczy!

Diabelskie spojrzenie! Jak to możliwe? Co takiego ujrzała w ostatnich chwilach życia, że aż spłonęła cała twardówka?

Guy potrząsnął głową, by odegnać ów okropny obraz.

Ulica Notre-Dame-de-Lorette nie była zbyt uczęszczana, przemierzało ją zaledwie kilka dam, służących i wozy wypełnione płóciennymi workami. Nikt nie domyślał się dramatu, jaki rozegrał się tutaj zaledwie kilka godzin wcześniej. Guy miał wrażenie, że umysł płata mu figle, gdyż wciąż widział ciemną plamę na chodniku w miejscu, do którego doczołgała się Milaine, by pozostawić tam swój pośmiertny ślad.

Nie był w stanie myśleć o niczym innym.

Jakżebym mógł? To żywe wspomnienie jest tak ohydne, tak traumatyczne, że nikt nie zdołałby wymazać go na zawołanie ze swej pamięci!

Wręcz przeciwnie. Nie chciał tego. Nie mógł doczekać się powrotu policji, żadnej prawdy o śmierci Milaine.

Zadawał sobie jedno dręczące pytanie, choć nie śmiał w pełni go wyrazić. Krążył wokół, nie mogąc ubrać myśli w słowa, broniąc się przed narzucającym się wnioskiem:

Czy Milaine została zamordowana?

Wydusił to z siebie. Powiedział. Nawet na głos.

Morderstwo. Ktoś stoi za tym wszystkim. Winny.

Guy odetchnął głęboko i wrócił, by usiąść nad swoją filiżanką zimnej herbaty. Na krótko, bo już po chwili zapukano trzykrotnie do drzwi.

Guy rzucił się, by otworzyć. Natychmiast rozpoznał dwóch inspektorów z ubiegłej nocy.

- Pan Thoudrac-Matto - usłyszał. - Dzień dobry.

Chwilę trwało, zanim Guy przypomniał sobie, że takim właśnie nazwiskiem posłużył się, by nie zdradzić swojej kryjówki. Nazwiskiem złożonym i osobliwym, pierwszym, jakie przyszło mu do głowy. Ostatnią rzeczą, jakiej chciał, było, aby jego teściowie dotarli tutaj za pośrednictwem policji. Ojciec jego żony miał wystarczającą władzę, by wsadzić sobie całą służbę wymiaru sprawiedliwości i prefekturę Paryża do kieszeni.

- Zapraszam panów dalej.

Guy posadził ich w salonie na welurowych fotelikach, pod wielkim obrazem przedstawiającym Wenus leżącą na polanie, otoczoną młodymi dziewczętami i chłopcami obdarzającymi się wzajemnie pieśczętami. Nim usiedli, policjanci rzucili ukradkowe spojrzenie na wystrój pokoju. Jeden z nich był wysoki i korpulentny, z dużym czarnym nastroszonym wąsem, drugi, prawie łysy, oczy miał w kolorze wyjątkowo jasnej zieleni. Właśnie ten drugi robił największe wrażenie na Guyu, zdawało się, że czyta mu w myślach, do tego stopnia jego spojrzenie było przenikliwe.

- Jestem inspektor Pernetty - przypomniał - a to mój kolega, Legranitier. Pani... - przebiegł wzrokiem rozłożone przed sobą notatki. - Pani de Saily jest może?

- Do usług - rzekła Julie, wchodząc do pokoju z wielką oprawną księgą pod pachą. - Czy zechcą się panowie czegoś napić? Herbaty albo kieliszeczek dla rozluźnienia?

- Nie jesteśmy pani klientami - przerwał jej Legranitier, gładząc machinalnie wąsy.

Julie usadowiła się na dużym wyściełanym fotelu naprzeciw nich, książkę położyła na kolanach.

- Nie przedstawiliśmy się jak należy w nocy przy całym tym zamieszaniu - ciągnął Pernetty. - Zostaliśmy wysłani bezpośrednio przez prefekturę, a mój towarzysz, pan Legranitier, to były pracownik policji obyczajowej, tak więc obeznany jest z domami publicznymi.

- Pozwoliłam sobie przynieść nasz rejestr - wyjaśniła Julie de Saily, rozkładając księgę na niskim stoliku. - Wszystkie dziewczęta są legalnie zarejestrowane, a dzielnicowy regularnie przegląda spis, jak sam pan może się przekonać.

Pernetty przeniósł wnikliwe spojrzenie na Guya, który nadal stał.

- Nie jestem pewien, czy zrozumiałem, na czym polega pańska funkcja w tym domu.

- Jestem pomocnikiem. Naprawiam, pomagam w obowiązkach, wzywam dorożki dla naszych klientów, gdy jest już późno i trzeba wyjść na bulwar, żeby je złapać. Tym się zajmuję.

- On i Gikaibo to moi jedyni dodatkowi pracownicy. Nie zatrudniam ani gosposi, ani służby - wyjaśniła Julie. - Sama byłam w młodości gosposią kurtyzany, zbyt dobrze wiem, jak

bardzo takie osoby lubią podwajać cenę każdego sprawunku. Moje dziewczęta muszą wszystko robić same, to moja polityka. Są zaradne, odważne, żadna nie zgrywa rozpieszczonej księżniczki, znają prawdziwą wartość pracy.

- A ta... - Pernetty znów zajrzał w notatek. - Ta Milaine Rigobert... Od jak dawna zatrudniona była w lokalu?

- Od dwóch i pół roku.

- Jak się tutaj znalazła? Przez stręczycielkę?

- Tak, przez jedną z tych, co włóczą się po kościołach, szpitalach, dworcach... Jak wiele moich dziewcząt Milaine przyszła tu z teatru. Dziewczyna z prowincji, która marzyła o karierze na scenie i z braku środków przeszła od słów duszy do czynów ciała.

Podczas gdy Pernetty słuchał uważnie odpowiedzi, Legranitier zdawał się wyraźnie nudzić, przyglądał się wystrojowi pomieszczeń, wychylając się na rozłożystym siedzeniu, by zajrzeć w korytarz, odsłaniając przed Guyem szeroki kark, na którym przy każdym ruchu głowy lśniły bielą bruzdy między wałkami tłuszczu.

Guy zapamiętywał wszystkie detale, stwierdziwszy z zaskoczeniem, że jest bardziej podekscytowany niż przerażony obecnością policjantów. Zauważył, że Legranitier oddycha ciężko przez nos, każdy wdech wybrzmiewał długim świstem. Jego czarne oczka poruszały się szybko pod powiekami opuchniętymi z powodu braku snu. Czego szukał?

Od strony korytarza dało się słyszeć skrzypienie parkietu na schodach. Odezwała się stara żyjąca budowla, świadek wielu wydarzeń, które Legranitier najwyraźniej usiłował zrozumieć.

Rozchylił grube wargi, odsłaniając język, który zatrzymał się na chwilę na brzegu wykrzywionych ust, wąsy uniosły się pod wpływem groteskowego grymasu.

- A jest może drugi świadek, ta dziewczyna, która znalazła ciało? - spytał Pernetty.

- Odpoczywa - odparła Julie, wpadając mu w słowo, jak gdyby spodziewała się tego pytania od samego początku. - Proszę zrozumieć, moje dziewczęta są pod wpływem szoku, muszą szybko się pozbierać, nie mogę przecież zamknąć lokalu na dziś wieczór. Nie będę panu tłumaczyć, że mężczyźni mają swoje przyzwyczajenia, nie lubią zmian, ale jeśli choć raz zmusi się ich do spróbowania czegoś nowego, wkrótce w tym zasmakują. Groziłoby mi to utratą klienteli najwierniejszej, jeśli wolno mi użyć tego słowa.

- Czy owa Milaine przed rozpoczęciem pracy u pani - nalegał Pernetty - nie przewinęła się przez ulicę Monjol?

- Monjol? Za kogo nas pan ma, inspektorze? To poważany lokal, moje dziewczęta są eleganckie, wykształcone i zdrowe. Kurtyzany pierwszej klasy!

Guy zmarszczył brwi. Znał ulicę Monjol. Piekło na ziemi. Zaulek nieszczęśników, grób tych, którzy upadli najniżej, miejsce, gdzie prostytutki miały tylko imię, strefa bezprawia, hańby i brudu. Cały Paryż bał się, by pewnego dnia nie skończyć na ulicy Monjol, gdyż ten, kto trafił tam nie z własnej woli, mógł być pewien, że nie wydostanie się stamtąd żywy. Handlujący swym ciałem wiedzieli, że z Monjol nie można się wycofać. Tylko napuszony inspektor nie mający pojęcia o tym zawodzie, człowiek, który nigdy nie postawił nogi w owej kloace dzielnicy Belleville, mógł coś takiego zasugerować.

- Skąd to pytanie? - zainteresował się Guy.

Zielona wiązka przesunęła się na niego, ostre źrenice przecięły przestrzeń i barierę ochronną umysłu Guya, by zatopić się w jego mózgu.

- Moja praca polega na tym, by niczego nie pomijać.

Guy poczuł się obnażony, ogarnęło go nieprzyjemne uczucie, że Pernetty szybko się domyśli, iż kłamał w sprawie swojego nazwiska. Jego wzrok był przerażający.

Ocaliła go Rose, której rude loki odwróciły uwagę policjanta. Weszła do salonu, dźwigając tacę z czterema filiżankami, parującym czajniczką i porcelanowym półmiskiem pełnym ciepłych magdalenek. Ustawiła wszystko na stoliku, ukloniła się, po czym znikła równie szybko, jak się pojawiła, odprowadzona czujnym spojrzeniem Legranitiera.

- Chciałbym poznać nazwisko stręczycielki, z której usług pani korzysta - zażądał Pernetty.

Julie zeszywniała.

- Ale... źródło zaopatrzenia to sekret, którego żaden lokal nie może zdradzić...

Nie użyła ostrego tonu, do jakiego, jak wiedział Guy, była zdolna. Zapewne już się poddała, wiedząc, że w obliczu autorytetu inspektora nic nie może pozostać tabu. Po prostu chciała w ten sposób podkreślić, jak duże znaczenie ma dla niej zachowanie tej informacji w tajemnicy.

- Proszę pani, nalegam! - rzekł Pernetty, przeszywając ją wzrokiem.

Julie odpowiedziała natychmiast:

- Yvonne Confiance, tak ją nazywamy. Długo pracowała w tym zawodzie, a teraz przeczesuje ulice. Ma oko do zdesperowanych łagodnych dziewcząt z prowincji wchłoniętych przez stolicę.

- To jej prawdziwe nazwisko?

- Nie sądzę, nazywa się ją tak, gdyż umie zdobyć zaufanie dziewcząt, przygotować je do pracy w domu. Można ją spotkać na ulicy Lepic, jej mąż zajmuje się reperacją, ma tam kramik, nie przegapi go pan, jest malutki i zastawiony krzesłami, porcelanowymi wazami, koronkami, futrami wiszącymi u sklepienia, prawdziwa graciara...

- To mi wystarczy - uciął Pernetty, zanotowawszy adres.

Wymienił krótkie spojrzenie ze swoim towarzyszem i widać obaj się zgadzali, że nie ma co ciągnąć tego tematu. Legranitier włączył się do rozmowy, głaszcząc wąsy:

- Czy ma pani wśród swoich klientów mężczyzn... osobliwych?

Julie wzruszyła ramionami.

- Co pan rozumie przez „osobliwość”? Ubiór? Egzotyczne pochodzenie?

- Chodzi mi raczej o ich zwyczaje, wie pani... życzenia, nietypowe prośby.

Guy zauważył zakłopotanie na twarzy Julie. Znał ją dość dobrze, by domyślić się, że nie czuje się swobodnie, rozmawiając na ten temat.

- To, co się dzieje w zaciszu pokojów, jest wyłącznie sprawą tych panów, dopóki oczywiście nie wyrządzają krzywdy dziewczętom...

- Ależ proszę pani! - nalegał Legranitier, podnosząc głos. - Wiemy doskonale, że

dziewczyny rozmawiają między sobą. A pani jako właścicielka musi o tym wiedzieć!

- W każdym razie nie słyszałam o niczym niepokojącym, jeśli o to panu chodzi. Mężczyźni przychodzą tutaj i proszą o rzeczy, których nie śmia zapropionować swoim żonom, więc tak, część praktyk wykonywanych w tym domu jest... osobiwa! Ale nic brutalnego, jeśli do tego czyni pan aluzję.

Legranitier burknął coś i przeniósł uwagę na ciepłe jeszcze magdalenki.

- Pani klienci to mieszczanie? - dociekał Pernetty - Nie zdarzają się plebejusze, którzy przychodzą tu wydać owoc długotrwałych oszczędności w jedną noc?

- Nie, wymagamy nienagannego stroju przy wejściu.

Pernetty pochwalił takie podejście, po czym spojrzął wyczekująco na reakcję swojego towarzysza, który kończył jeść ciastko. Legranitier oblizał czubek kciuka, strzepnął okruchy z kamizelki, po czym złożył ręce przed sobą, dając do zrozumienia, że już skończył.

Wstali.

- Ostatnia rzecz - powiedział Pernetty - Skąd ta Milaine pochodziła?

- Z regionu Tours.

- Miała rodzinę?

- Nie mam pojęcia, nigdy o niej nie mówiła.

- Nie otrzymała żadnej korespondencji?

- Nie, nigdy z Tours, tylko listy z Paryża. I liściki od gości. Pan, który pracował w obyczajówce, powinien wiedzieć, jakiego typu: niektóre dowodzą większego uczucia do kurtyzany niż do własnej żony.

Pernetty i Legranitier spojrzeli po sobie; nie udało im się ukryć satysfakcji.

- Dziękujemy pani, to by było wszystko.

- Czy mają panowie już jakieś podejrzenia co do przebiegu wydarzeń?

- Śledztwo jest w toku, nie możemy nic na razie powiedzieć.

- To jakiś szaleniec, prawda? Zrobić coś takiego!

- Wszystko jest możliwe. W naszych czasach trzeba brać pod uwagę każdą ewentualność. To mógł być szaleniec, cała banda albo nawet dziecko.

Julie zadrzała.

- Proszę mi wierzyć, przestępczość młodocianych wzrosła siedmiokrotnie w ciągu ostatnich dziesięciu lat!

Jest coraz gorzej! Powtarzam: wszystko jest możliwe.

- To mógł być wręcz wypadek - wtrącił Pernetty.

Guy się pochylił.

- Jej... stan, przerażający wygląd... to nie mógł być wypadek. Czy pan wie, co mogło ją spotkać? Co spowodowało tak okrutną śmierć?

Legranitier twardym palcem dziabnął pisarza w pierś. - To sprawa policji, niech pan się trzyma od tego z daleka.

- Ale... będą panowie nas informować o przebiegu śledztwa?

Napięcie wzrosło, stając się niemal bolesne. Guy musiał zrobić krok w tył, by osłabił nacisk palca policjanta.

- Odtąd ta sprawa już pana nie dotyczy - podsumował Pernetty, machając mu przed nosem melonikiem.

Julie odprowadziła ich do holu.

- Proszę zrozumieć, że ze względu na dobrą opinię mojego lokalu wolałabym, aby ta sprawa nie nabrała rozgłosu, nie chcę uchodzić za bezdusznego potwora, ta tragedia głęboko mnie dotknęła, ale muszę także myśleć o swoim inter...

- Proszę się nie obawiać, pani de Saily - przerwał jej Pernetty. - Śledztwo prowadzone jest z zachowaniem największej dyskrecji. Ani pani, ani my nie będziemy o tym rozpowiadać, proszę zadbać, by i dziewczęta milczały, a my zrobimy swoje.

- Dziękuję.

Pożegnali się i wyszli szybkim krokiem. Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, wtopili się w tłum, nie oglądając się za siebie. Guy patrzył za nimi przez szybkę w górnej części drzwi wejściowych. Dyskutowali, przyglądając się fasadom domów, lecz ku jego wielkiemu zaskoczeniu nie zatrzymali się, nie weszli do żadnego - wskoczyli do dorożki czekającej na nich nieco dalej na ulicy

- Nie przesłuchują sąsiadów - zdziwił się Guy - Nie szukają nawet ewentualnych świadków!

- To się wydarzyło w samym środku nocy, wszyscy spali!

- Nigdy nie wiadomo! Ja nie zawsze przesypiam całe noce i kto wie, czy jestem jedynym nocnym markiem w tej dzielnicy!

Julie stała naprzeciw niego. Była niską brunetką, liczne siwe pasma we włosach okalały jej twarz niczym srebrny diadem i znikały w koku na karku. Silną ręką trzymała cały dom, będąc jednocześnie ludzka. Jej główną zaletą była umiejętność rozumienia innych i czytania w ich duszy

- Wiem, do czego pan zmierza, pisarzu. Puszczaj wodze fantazji i wybiegaj poza rzeczywistość. Proszę natychmiast przestać. Milaine odeszła, ścigając jej ducha, wyrządzi pan sobie więcej złego niż dobrego.

- Rozmyślam, to wszystko!

- Ciekawość i wyobraźnia to dorożki zmierzające w niebezpieczną stronę! Proszę wierzyć doświadczeniu kobiety, która niejedno już w życiu przeszła.

- Julie, no jakże to! Milaine... nie żyje! Zamordowano ją! Widziała pani jej twarz? Jej ciało? To było coś strasznego!

Ujęła go za nadgarstek z zaskakującą jak na tak niewielką kobietę stanowczością i zmusiła do ściszenia głosu, kładąc mu palec na ustach.

- Wystraszy pan dziewczęta. Niech się pan miarkuje! Ten widok wszystkim nam zmroził krew w żyłach, Guy! Proszę pozwolić policji robić, co do niej należy, rozwiązywanie takich spraw to ich obowiązek, nie nasz! A ja muszę być pewna, że klienci nie zastaną naszych drzwi

zamkniętych dziś wieczorem, że będzie tu panował dobry nastrój. Nie będzie nam łatwo, jeśli któryś z klientów zapyta o Milaine, ale na tym polega nasza praca: na tworzeniu iluzji. Proszę nam nie utrudniać, gdyż i tak nie jest to łatwe zadanie.

Guy patrzył na nią z uwagą. Wyrażała się zawsze obrazowo, bywało, że niezwykle trafnie. Nigdy nie udało mu się dowiedzieć, czy sama była kiedykolwiek kurtyzaną, przed przejściem na służbę w pewnym paryskim domu publicznym lub później, ani w jaki sposób udało jej się zebrać fundusze na założenie własnego lokalu. Wciąż jednak była ładna, zmarszczki w niczym nie ujmowały gracji jej rysom. Powieki opadały nieco, podobnie jak policzki, skóra nie miała już tej elastyczności ani kolorytu, a szyja naznaczona była długą podróżą przez czas. Mimo to charyzma zajęła miejsce zwolnione przez urodę, czyniąc z niej kobietę, której niełatwo patrzyło się w oczy, jedną z tych, o których - łapiemy się na tym zaskoczeni - myśli się, zastanawiając, jakie było ich życie, jedną z tych, których prezencję podziwiamy.

- Proszę mi zaufać, Guy, niech pan zostawi w spokoju ducha Milaine. Nic pan nie może zrobić, by go zatrzymać. Proszę mi raczej pomóc w przygotowaniach do wieczoru, będzie to dla pana jakąś odmianą. Trzeba by przynieść z piwnicy skrzynkę absyntu, dziewczęta będą go dziś potrzebować.

* * *

Guy postawił sześć butelek zielonej czarodziejki na stole w kuchni i ruszył w stronę korytarza, by otworzyć okna i nieco przewietrzyć. Potrzebował świeżego powietrza, chciał poczuć chłodny powiew na swojej skórze.

- Ciiiiii!

Guy zamarł w pobliżu schodów. Z półmroku wyłaniała się skulona sylwetka z jedną ręką na poręczy Długie włosy. Zwiewny strój.

- Guy, proszę podejść! - powiedziała postać, machając ręką na znak, by wyszedł za nią na górę.

Pisarz ostrożnie wspiął się na piętro za poruszającą się bezgłośnie postacią. Wepchnęła go do pachnącej mydłem i lawendą garderoby, w której na haczykach wbitych w belki wisały dziesiątki sukien i bielizny. Niewielkie okienko w dachu oświetliło twarz nieznajomej.

Niebieski błysk zwrócił uwagę Guya.

Słowiański wygląd, jaki zawdzięczała zaokrąglonym kościom policzkowym, jasna cera i czarny jedwab włosów: *Faustine*.

Miała na sobie białą koszulę nocną i narzuconą na nią czarną podomkę. Rozpuszczone włosy falowały, jakby przedłużając materiał czepka.

- Wszystko słyszałam - powiedziała, zbliżając się do niego, by nie podnosić głosu.

- Miała pani wypoczywać...

- Nic sobie nie robią ze śmierci Milaine!

Guy wyczytał na twarzy dziewczyny wściekłość z nutą sprzeciwu.

- Obawiam się, że morderstwo kurtyzany nie jest warte w ich oczach większego wysiłku.

- Nie zależało im nawet na obejrzeniu jej pokoju, jej rzeczy! Nie zadali żadnych pytań na temat rzekomych włóczęgów, którzy podobno wpędzili ją w tarapaty! Nie dbają o to!

- Julie wymyśliła tę historię, żeby kryć klienta, Faustine, całe szczęście, że nie drażyli tego tematu.

Przylgnęła do niego, czuł teraz jej oddech pachnący - jak odgadł - herbatą jaśminową.

- Te kilka pytań o jej rodzinę, listy miało na celu upewnienie się, że nikt nie zrobi im awantury, nie będzie nalegał, by doprowadzić do rozwiązania tej sprawy. Byli w siódmym niebie, kiedy Julie poprosiła ich o dyskrecję, niemal widziałam, jak się uśmiechają w duchu!

Faustine mówiła coraz głośniejszymi gestykulując szeroko - o mały włos nie uderzyła niechcący Guya w twarz. Położył jej rękę na ramieniu, chcąc ją uspokoić.

- Zgadzasz się z panią, Faustine, i jestem tak samo oburzony, ale cóż możemy zrobić? Julie musi dbać o dobre imię lokalu, a publiczne wyjawienie informacji o okrutnym morderstwie na jednej z jej dziewcząt spłoszyłoby klientów. No i prefektura policji bez wątplenia nie będzie marnować środków na rozwiązanie zagadki śmierci prostytutki. Za to naszym zadaniem będzie uczczenie pamięci Milaine. Musimy powiadomić jej rodzinę, zebrać jej rzeczy i...

- I zapomnieć, jaką widzieliśmy ją tamtej nocy? - spytała Faustine gorzko. - Ktoś uczynił z jej ciała świątynię okrucieństwa! Nie chcę, by prawda została pochowana wraz z nią! - Uwolniła się spod ciężaru jego ramienia i cofnęła o krok. - I jeśli istnieje morderca, musi za to zapłacić! Znam Milaine, to moja przyjaciółka. Winna jej jestem prawdę.

Obróciła się na pięcie i wśród szelestu jedwabiu zniknęła w ciemnym korytarzu, pozostawiając Guya z otwartymi ustami, z jedną ręką w powietrzu.

- To była twoja przyjaciółka - powiedział cicho. - Milaine należy już do przeszłości.

* * *

Skromne śniadanie, jakie Guy zjadł w towarzystwie Gikaiba, nie rozgrzało go. Jego ciałem wstrząsały dreszcze, których przyczyną nie był chłód. Podwinięte wargi Milaine wylańczały się z każdego kąta, zęby lśniące krwią, całkowicie czarne spojrzenie, otchłań, w którą Guy powoli się ześlizgiwał, jakby w nią wsysany.

Czy było to poczucie winy wzbudzone przez Faustine, chociaż starał się być posłuszny Julie i zepchnąć wspomnienie o zmarłej w najdalsze zakątki pamięci?

Te dziewczęta, które były w stanie wziąć cokolwiek do ust, zjadły w swoich pokojach. Julie obsłużyła każdą, odgrywając rolę powierniczki, matki i lekarza dla tych, które potrzebowały nasennej herbatki ziołowej, by przespać choć kilka godzin. Do kuchni nie dobiegały żadne łkania ani krzyki rozpacz; żal i strach ukrywały się wstydliwie na piętrach.

Z początkiem popołudnia Guy usadowił się w salonie muzycznym na wygodnej sofie, na której lubił czytać. Ułożył wełniany pled na nogach i wypoczywał, gdy tymczasem po całym domu rozchodził się zapach szarlotki przygotowywanej przez Julie.

Ciepło i wygodna pozycja ukołysały go. Drzemiąc, Guy zaczął marzyć. Rozmyślał o ciszy panującej w domu, o przeszywającym spojrzeniu inspektora Pernettyego, o krwi pulsującej w skroniach Faustine...

O demonicznym grymasie, który zabrał Milaine.

O porozumiewawczych spojrzeniach policjantów.

Ulica Monjol... Stręczycielka... Ekscentryczni klienci...

Nagle Guy otworzył oczy w pełni rozbudzony.

Jego wargi rozchyliły się, by gwałtownie nabrać w płuca powietrza jak po długotrwałym bezdechu.

Usiadł na sofie.

Nie zadawali przypadkowych pytań, nie zarzucali wędki w miarę pojawiających się pomysłów i nie szukali po omacku, licząc na zdobycz! Od samego początku sterowali rozmową! Szukali punktu przecięcia! Związku z ulicą Monjol, z pewną stręczycielką. Kiedy tylko Julie podała jakieś nazwisko, zmienili temat, nie o tę im chodziło!

Wiedzieli, czego szukają.

Już nazajutrz po tragedii zarzucili ich salwą osobliwych pytań! I po zastanowieniu Guy dziwił się, że inspektorzy nie byli bardziej zszokowani odkryciem tak okrutnie zdeformowanych zwłok!

Guy widział tylko jedno wyjaśnienie tego: Milaine nie była pierwsza.

5.

Czując, że dłonie robią mu się wilgotne, Guy zapukał delikatnie do drzwi pokoju Faustine, upewniwszy się, że Julie nie ma w pobliżu.

- Czego pan chce? - spytała cicho.

- Muszę z panią porozmawiać, chodzi o Milaine. Jeśli pani chce, moglibyśmy usiąść w biblio...

Faustine otworzyła, sprawdziła, czy nikogo nie ma na korytarzu, po czym złapała go za ramię i wciągnęła do środka, zamykając drzwi za sobą.

- Ja... jeśli Julie mnie tu znajdzie, wie pani... żadnych mężczyzn poza klientami w pokoju dziewcząt! Ona mnie...

- Marudzi pan, Guy Proszę siadać. Słucham.

Jej szafirowe oczy były zaczerwienione. Sądząc po stanie łóżka, Guy domyślił się, że musiała długo płakać, tłumiąc smutek w pościeli i poduszkach. Postanowił porozmawiać z nią na stojąco.

- Sądzę, że Milaine nie jest pierwszą osobą, która zginęła w ten sposób.

- Z czego pan to wnioskuje?

- Z zachowania inspektorów. Zarówno pani, jak i ja widzieliśmy stan tej nieszczęśnicy, to było... straszne. Mogę zrozumieć, że ci panowie przyzwyczajeni są do oglądania ofiar zbrodni, okrutnych ran, a jednak sprawa jest wyjątkowa, nikt nie może pozostać nieczuły na widok zwłok takich jak Milaine! A przecież oni nawet nie drgnęli! I te ich pytania, Faustine, były ukierunkowane tak, jakby szukali konkretnych potwierdzeń!

Mieli coś do stręczycielki, szukali związku z ulicą Monjol! Dlaczego nie z Asselin, która w niczym jej nie ustępuje, albo z dzielnicami nędzarzy pod fortyfikacjami? Prawda? Interesowała ich ulica Monjol! Oni o czymś wiedzą!

Faustine skrzyżowała ręce na piersiach.

- Inna dziewczyna uliczna, powiada pan? Czemu od razu podejrzewa pan najgorsze? Może po prostu mają już podejrzanego? Kogoś zatrzymanego tuż po morderstwie lub świadka, który stawiał się bezpośrednio na komisariacie?

Guy pokręcił głową.

- Nie, to by nie wyjaśniało, dlaczego byli tak przygotowani, zupełnie niezdziwieni ogromem okrucieństwa! I proszę sobie przypomnieć, że tamtej nocy, kiedy strażnik miejski przybył na miejsce, od razu powiadomił swój komisariat, określając naturę zbrodni, a my musieliśmy bardzo, ale to bardzo długo czekać na pojawienie się inspektorów! To nie są policjanci z naszej dzielnicy, zostali tu skierowani bezpośrednio z prefektury, sami to przyznali! Czemu ich powiadomiono? Musiało zostać wydane postanowienie dotyczące każdej ohydnej zbrodni tego rodzaju.

- Być może należą do specjalnej sekcji zajmującej się tego typu sprawami?

Guy skrzywił się, chodził tam i z powrotem, nie mogąc ustać w miejscu, zbyt

zdenerwowany konkluzjami pojawiającymi mu się w głowie jedna po drugiej.

- Nie byli szczerzy, coś ukrywają, czuję to!

Zainteresowanie Faustine nagle opadło, gdy tak patrzyła na wysokiego wzburzonego mężczyznę, pisarza ukrywającego się pod dachem jej domu.

- No nie wiem - westchnęła. - Chciałabym panu wierzyć, Guy, ale obawiam się, że pisarska wyobraźnia pchnęła pana na śliski grunt.

- Ale to pani sama przyszła do mnie, domagając się, by sprawiedliwości stało się zadość!

- I nadal tego chcę! Ale to nie powód, żeby tworzyć hipotezy najbardziej... Wyjaśnijmy to sobie: chcę, żeby ten, kto to zrobił Milaine, trafił na szafot. Chcę, żeby policja zrobiła, co do niej należy i to dokładnie! A jednak teraz nie pora na wyobraźnię, lecz na skupienie, Guy.

Wskazała na drzwi, dając mu znak, by wyszedł.

- Proszę poczekać, czy mógłbym rzucić okiem na jej rzeczy?

- Jeśli nalega pan, bo chce mi zrobić przyjemność, proszę przyjąć moje przeprosiny za to, co powiedziałam wcześniej, nie powinnam była mówić do pana w ten sposób, byłam pod wpływem emocji.

Guy zamachał rękami w geście protestu.

- Nie o to chodzi, jestem głęboko przekonany, że trafiłem na jakiś dziwny ślad. Najwyraźniej inspektorzy nie będą kontynuować śledztwa, a już w żadnym razie nie podzielą się z nami swoimi spostrzeżeniami. Proszę mi zaufać, kryje się za tym jakaś tajemnica, którą chciałbym wyjaśnić. Pragnąłbym przeszukać jej pokój, jeśli nic nie znajdę, nie będę już pani więcej niepokoić.

Faustine mierzyła go wzrokiem przez chwilę, wreszcie skinęła głową.

- Pan... nie robi tego, żeby mi zrobić przyjemność, Guy, pan naprawdę w to wierzy, tak?

Po raz pierwszy, odkąd ją poznał, Guy dostrzegł w niej pewną lukę, odgadł potrzebę wsparcia. Była u kresu wytrzymałości.

- Odkąd tu jestem, nigdy nie byłem równie szczerzy.

- Dobrze. Dzięki temu może uda nam się podać policji nazwisko ostatniej znajomości Milaine. Proszę pójść za mną.

Faustine pchnęła niewielkie drzwi w głębi pokoju i minęła łazienkę pachnącą płatkami róży, po czym weszła do pomieszczenia pełnego żywych kolorów: karminowe, purpurowe i płomiennożółte tkaniny pokrywały ściany, w tej samej tonacji był baldachim, a nawet gruby dywan przy łóżku.

- Z tego co mi wiadomo, Milaine nie miała zbyt wielu rzeczy osobistych. Jest toaletka, tu trzymała trochę listów, zajmę się tym. Proszę nie dotykać komody, Guy! Tam są jej najintymniejsze stroje, ja powinnam tam zajrzeć. Proszę się raczej zająć książkami na półkach i sprawdzić pod meblami: jeśli Milaine prowadziła pamiętnik, z pewnością nie chciała, by któraś z dziewcząt na niego trafiła, musiała go ukryć.

- Zwierzyła się pani, że takowy prowadzi?

- Nie, ale wiem, że większość z nich to robi. Powinien pan wiedzieć, to pan uczy je przecież francuskiego, prawda?

- Poprawiam tylko sposób wysławiania się i na ich prośbę pomagam w redagowaniu listów, chociaż większość panien nie potrzebuje tak naprawdę mojej pomocy, chcą tylko poczuć się pewniej.

- Wszystkie umieją czytać i pisać, Julie uczyniła z tego obowiązkowe kryterium rekrutacji, większość z nas otrzymała prawdziwe wykształcenie. Pisanie pamiętnika to zwyczaj, którego nabiera się w młodości i niełatwo się go pozbyć, szczególnie gdy życie nie jest usłane różami. Milaine na pewno prowadziła dziennik.

Guy skinął głową, przyglądając się energicznej ciemnowłosej dziewczynie.

Zaskoczyło go, że wspomniała o niełatwym życiu. Nie sądził co prawda, że jest zachwycona swoją profesją, ale dziwnie było usłyszeć to z ust tak zazwyczaj powściągliwej i otoczonej nimbem szczęścia dziewczyny.

- No dalej, niech pan tak nie stoi beczynnio!

Guy zabrał się do przeglądania tytułów na półkach. Były to wyłącznie sztuki teatralne, przewodnik po Paryżu i kilka powieści romantycznych. Następnie podnosił każdy tom za grzbiet, by przetrząsnąć kartki, na wypadek gdyby wsunięto coś do środka. Nic nie znalazłszy, ukląkł, by zajrzeć pod łóżko, gdzie dostrzegł tylko kłębki kurzu. Zaglądnął również pod szafę, komodę i toaletkę - bez rezultatu.

Tymczasem Faustine odłożyła na bok plik listów, po czym zamknęła szuflady komody

- Nic tu nie ma - powiedziała.

- A te listy?

- Od znajomych ze świątka estradowego, adoratorów i jeden list polecający z poprzedniego lokalu, w którym praktykowała.

- A pamiętnik?

- Ani śladu. A miała z pewnością mały notesik, w którym zapisywała spotkania poza domem.

- Może miała go ze sobą w momencie... wie pani.

Faustine milcząco przytaknęła.

- Przynajmniej policja go odzyskała - powiedziała wreszcie zamyślona.

- A ci adoratorzy... czy był wśród nich jakiś natręt?

Po chwili wahania Faustine podała mu plik listów. Było ich kilkanaście.

- A jednak! - zdziwił się Guy. - Wezmę je, żeby przeczytać w spokoju, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu. Milaine często „praktykowała” poza domem, prawda?

- Większość dziewcząt jest temu przeciwna, ale ona nie. Chodziło jej o pieniądze i... znał pan Milaine, ona nigdy nie odmawiała.

- Jestem zakłopotany, wchodząc w detale, nie mam o niczym pojęcia... proszę powiedzieć, jak to wygląda w praktyce? Czy klient musi złożyć specjalną prośbę u Julie?

- Zdarza się. Choć zazwyczaj klient umawia się bezpośrednio z dziewczyną podczas wizyty tutaj, na miejscu. Proponuje jej spotkanie na mieście, często u siebie w domu. Czasami chce ją zabrać najpierw do teatru, szczególnie jeśli jest ładna, by ją pokazać albo udowodnić, że stać go na piękną metresę. Chociaż oszuści mają czasami środki najwyżej na jedną noc z

dziewczyną.

Guy znał tych mieszczan uwielbiających pozory. Posiadanie utrzymanki było oznaką bogactwa, wydatki na jej mieszkanie, stroje i służbę dowodziły doskonałej sytuacji finansowej tych panów. Kochanka, z którą należało się pokazywać, była najlepszym sposobem na zademonstrowanie własnej fortuny bez potrzeby ubierania tego w słowa.

- Julie przyzwala na takie zwyczaje?

- To dochodowa praktyka. A każda dziewczyna zawsze ma nadzieję, że wytwornisł naprawdę uczyni ją swoją wyłączną metresą. To życie, o jakim wszystkie marzą! Lepiej być kobietą jednego bogatego mężczyzny niż wielu średnio zamożnych.

Widząc zaskoczone spojrzenie Guya, Faustine uznała za stosowne dodać:

- Nie mówię jako zainteresowana, lecz jako ta, która wie, iż czasami trudno jest przyjąć do łóża pierwszego lepszego nawet nadzianego mężczyznę. Proszę nie sądzić, że skoro dysponuję luksusem wyboru, to nie wiem, co pozostałe dziewczęta przeżywają na co dzień.

- Daleko mi do takiego myślenia. Co się zaś tyczy rzekomego karierowiczostwa kobiet, nie powinno się na nie narzekać w społeczeństwie jak nasze, w którym uczyniono wszystko, by uzależnić je od mężczy...

Rozległo się stanowcze pukanie do drzwi pokoju Faustine.

- Faustine! Proszę otworzyć, mam dla ciebie ciasto. Trzeba coś jeść, nie możesz siedzieć o pustym żołądku przez cały dzień!

- Julie! - zawołała młoda kobieta.

Guy zamarł.

- Szybko, do szafy! - rozkazała Faustine, popychając go.

Nie zdążył zaprotestować, a już znalazł się wśród eleganckich kolorowych sukien Milaine. Drzwi szafy zamknęły się natychmiast, pogrążając go w ciemnościach.

Kwiatowy zapach perfum prostytutki wypełniał wnętrze. Guy dotykał czubkiem nosa dekoltu satynowej sukni szeleszczącej przy najlżejszym jego ruchu. Woń była upajająca, przywodziła na myśl pole pełne białego kwiecia, drzewo wiśni o dojrzewających w słońcu owocach, delikatne zapachy unoszące się w powietrzu za sprawą lekkiego letniego powiewu.

Nagle światło dzienne zaala ciasną klitkę i Faustine wyciągnęła go na zewnątrz.

- Kończy obchód pokojów, za kilka minut będzie pan mógł wyjść.

- Niczego się nie domyśliła?

Faustine rzuciła mu rozbawione spojrzenie.

- Za kogo ją pan ma? Nie jest przecież czarownicą!

Ku jego zaskoczeniu Faustine wzięła go za rękę, pociągnęła do swojego pokoju i posadziła siłą na wyściełanej kanapce.

- Proszę, skoro już pan tu jest, niech się pan na coś przyda i zje to ciasto, dobrze? - powiedziała, wciskając mu talerz z szarlotką do ręki.

- Ciszej, jeszcze usłyszysz, że nie jest pani sama.

- Ależ z pana strachajło! Nigdy bym pana o to nie podejrzewała, wiedząc, że większość

czasu spędza pan samotnie na tym ponurym strychu!

- Lubię to poddasze - odparł, po czym odgryzł kęs ciepłej tarty

- Dlaczego? Bo jest posępne jak pan czasami?

Guy zmarszczył brwi.

- Ja nie... jestem posępny - powiedział, przełknąwszy. - Jestem melancholijny

- To równie przygnębiające. - Faustine usiadła na brzegu łóżka i patrzyła przez chwilę, jak Guy je. W końcu dodała: - Nie tęskni pan za żoną?

Guy przestał żuć, by przyjrzeć się Faustine. Nie dostrzegł na jej twarzy żadnej prowokacji. Przełknął i wziął głęboki wdech, nim odparł:

- Nie.

- Nigdy? Nawet nocą?

Wbił w nią wzrok, usiłując pojąć, do czego zmierza. Dojrzał w jej oczach tylko szczerą ciekawość.

- Nigdy Zresztą dlatego zamieszkałem w burdelu.

Smutny uśmiech wykrzywił usta Faustine.

- Ale wie pan, że tu kupuje pan tylko złudzenie, kupuje ludzkie ciepło. Ono nie jest takie, jak ciepło osoby, która jest z panem z wyboru.

- To mój wybór.

- Cóż takiego zrobiła pańska małżonka, że żywi pan do niej tak mało uczucia?

Guy odstawił na poły opróżniony talerz na leżącą koło niego poduszkę.

- Julie chyba już sobie poszła. Czas na mnie. Dziękuję, że mnie pani wysłuchała.

Faustine również wstała.

- Dziękuję panu za zainteresowanie sprawą Milaine.

- Niczego nie znaleźliśmy.

- Nie liczy się to, na co natrafiliśmy, lecz sam fakt poszukiwania. To wyraz szacunku. Dziękuję w jej imieniu.

Guy udał się czym prędzej na ostatnie piętro budynku, bacząc, by na nikogo się nie natknąć i nie musieć z nikim rozmawiać. Stracił humor.

Skoro Faustine uważała działanie za istotniejsze od wyniku, nie byli tego samego zdania. Aktywność pozwalała jej odgonić bolesne myśli.

Moja żona.

Uzyskanie rezultatów było sposobem na usprawiedliwienie ucieczki.

Żeby nie zwariować.

Przynajmniej tak sądził.

I dlatego, że zdeformowana twarz Milaine pozwalała mu nie myśleć o sobie, miał zamiar iść tym tropem do samego końca.

Kolejny etap będzie traumatycznym doświadczeniem.

Niebezpiecznym.

Ulica Monjol.

Piekło na ziemi.

6.

Dorożka jechała zygzakiem pomiędzy piętrowymi omnibusami z rysującymi się sylwetkami pasażerów - parasolki na górze, panowie stojący na dole - eleganckimi mieszczańskimi kabrioletami, karocami o zasłoniętych firankach, za którymi ukrywali się jadący, poprzez tłum wozów wypełnionych workami, skrzyniami, beczkami lub sianem, ciągniętych przez stąpające ociężale konie pociągowe.

W całym tym ruchu ulicznym, w którym nie zabrakło również skrzypiących tramwajów - konnych, parowych lub elektrycznych - Guy przyglądał się przechodniom usiłującym pokonać bulwary bez uszczerbku na ciele. Kilka automobili wyprzedzało wszystkich przy dźwiękach klaksonów, choć gromko strzelające silniki wystarczały zazwyczaj, by zaznaczyć ich obecność. Guy mierzył wzrokiem owych dżentelmenów w wydętych wiatrem strojach, w skórzanych czapkach na głowach i okularach zasłaniających połowę twarzy, szaleńców za kierownicą, poszukiwaczy prędkości, i tych ostrożniejszych, prowadzących swoje głośnie maszyny w miejskich strojach, z cygarem w zębach.

Można było tyle powiedzieć o ich zachowaniu, tyle przyjemności mogło sprawić jego analizowanie, a mimo to Guy nie odczuwał żadnej radości. Za długo się tym zajmował. Sto razy przetwarzał w głowie te obrazy, nim rozpoczął kolejny rozdział, pokpiwając sobie z tych i owych, starając się wywołać uśmiech na twarzach czytelników. Teraz jednak jego myśli były gdzie indziej.

Krażył wśród wysokich fasad budynków przy bulwarach, w głębi podwórek, w wąskich ślepych uliczkach i zagrzybionych piwnicach.

Teraz, gdy już drobiazgowo przeanalizował powierzchowność i zwyczaje ludzkie, ciekawiło go to, co kryje się poza nimi, w intymnej świadomości, u źródła zachowań.

Po sześciu miesiącach życia na marginesie społeczeństwa był już pewien: to, co go fascynuje, ukrywa się poza zasięgiem wzroku, czai się w cieniu.

Nachylił się i krzyknął:

- Woźnico, dorzucę franka, jeśli pan jeszcze przyspieszy!

Mężczyzna trzasnął lejcami o boki koni, by je popędzić.

Siadając z powrotem, Guy uświadomił sobie, że nie może już wytrzymać.

Jadę w stronę tego, co w Paryżu najgorsze, i nie mogę się doczekać! Cóż ze mnie za człowiek?

Uspokajał się, powtarzając sobie, że chodzi tu o Faustine, o to, żeby zrobić jej przyjemność, po chwili jednak stwierdził, że to nic niewarta wymówka.

Przyczyna leżała w wydarzeniach tamtej nocy.

W tym, co pojawiło się pośród mrocznych oparów. W dramacie. Horrorze.

Powodem była także niemożność zatarcia owego przerażającego wspomnienia.

A jeśli w głębi duszy nie mam na to wcale ochoty?

Guy zadrżał. A jeśli to on jest potworem? Człowiekiem odkrywającym szkaradne zwłoki

bliskiej osoby, mającym obsesję na punkcie jej śmierci?

Wskoczył do tej dorożki szybciej niż marynarz biegnący do burdelu.

Ta historia była nie tylko intrygująca.

Porywała go.

Po raz pierwszy w życiu nadarzyła mu się okazja zobaczyć ofiarę zbrodni.

Morderstwo! Ciało Milaine było ludzkim świadectwem zetknięcia się kryminalnego popędu i okoliczności sprzyjających przejściu od myśli do czynu. Było konkretnym skutkiem krytycznego stanu umysłu! Namacalną pozostałością po osobliwym sposobie uzewnętrznienia czyichś uczuć!

Nagle Guy zdał sobie sprawę z emocji, które nim targały, i zacisnął z całych sił dłonie na drzwiach dorożki.

Morderstwo to wdarcie się nienamacalnego popędu w rzeczywistość: zwłoki! Zabijanie to alchemiczne doświadczenie polegające na urzeczywistnieniu tego, co swego czasu było tylko myślą.

Milaine zmarła najwyraźniej w okrutnych cierpieniach, jakże mógł więc unosić się, entuzjasmować tymi niegodziwymi rozmyślaniami?

Zaczął powtarzać sobie szeptem słowa, które wypowiedział w ciszy umysłu kilka sekund wcześniej:

- Zmarła w okrutnych cierpieniach...

Jak to się stało, że nikt jej nie usłyszał? Czy męka przyniosła natychmiastową śmierć?

Pociła się krwią! Czołgała się wiele metrów w stronę domu, nie, śmierć nie mogła być natychmiastowa!

Więc jak to możliwe, że nie krzyczała?

Morderca był przy niej? Uniemożliwił jej to?

Guy zadał sobie wreszcie najważniejsze pytanie: w jaki sposób umarła?

Żadna broń nie mogła tego uczynić! Białko oczu było tak czarne, jak gdyby zostało spalone! Jakaż koszmarna wizja mogła tak zwęglić spojrzenie?

Ściśle rzecz biorąc, nie powierzchnia oka spłonęła, a raczej jego wnętrze. Jak gdyby wizja okazała się zbyt mocna, nie do zniesienia dla duszy... Guy na próżno rozmyślał, nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. No, chyba żeby miał sięgnąć do zasobów mitów i legend...

Bazyliżek z mitologii greckiej...

Potrząsnął głową, to absurd.

Grymas na jej twarzy nie był zwyczajny. Jak można umrzeć, zastygłszy w przerażeniu? Nagłe zatrzymanie akcji serca? A ten krwawy pot?

Im więcej o tym myślał, tym bardziej prawdopodobna wydawała mu się przyczyna chemiczna. Nic innego nie było możliwe.

Nie znam żadnej trucizny, która skutkowałaby taką śmiercią!

Nie był jednak ekspertem w tej dziedzinie.

Muszę przeanalizować każdą wskazówkę, każdy gest, to wszystko tworzy sensowną całość, to rzecz pewna, trzeba tylko rozszyfrować język ciała, by zrozumieć, co chce ono powiedzieć.

Odkąd miał w planach napisanie powieści kryminalnej, Guy nie mało myślał na temat gwałtownej śmierci i postaci przestępcy Jego doświadczenia reporterskie z młodości rozwinęły w nim pole percepcji, z którego mógł obecnie swobodnie korzystać. Pozwoliło mu to na stwierdzenie z całkowitą pewnością, że zwłoki można porównać do choroby, a każdy szczegół, od ułożenia ciała po zadane rany, stanowi istotny symptom. Zidentyfikować chorobę, to zrozumieć zło, które opanowało przestępcę w chwili zbrodni. To poszlaka pozwalająca dotrzeć do niego albo przynajmniej dowiedzieć się, co popchnęło go do owego ekstremalnego czynu.

Jakie symptomy przejawiała Milaine?

Nie zdążył sobie odpowiedzieć na to pytanie, gdyż dorożka zatrzymała się na bulwarze de La Villette.

- Proszę - powiedział woźnica, pociągając za dźwignię hamulca, by unieruchomić pojazd na pochyłym bruku. - Ulica Asselin to tu naprzeciwko, nią dojdzie pan do ulicy Monjol, nieco dalej po prawej, ale ja już tam nie jadę.

Guy zapłacił i oparłszy łaskę na ramieniu, przystanął na chodniku, by przyjrzeć się temu miejscu o piekielnej reputacji.

Wąska uliczka pięła się prosto w stronę stromych schodów. Dwupiętrowe budynki o zniszczonych okiennicach po lewej stronie, ogrodzenie otaczające niezabudowany teren po prawej. Dalej ulica wznosiła się w stronę szczytu wzgórza długimi nieregularnymi schodami, gdzie widać było wyższe budowle dominujące nad otoczeniem wielobarwnymi fasadami z wykruszonych cegieł, zmurszałych kamieni i ciemnych zbutwiałych desek. Okna o stoczonych przez robaki ramach odbijały promienie popołudniowego słońca, jak gdyby światło nie miało prawa zapuścić się w to potępione miejsce.

Guy zauważył liczne grupki młodych ludzi siedzących beczynnym na trawie, kilku mężczyzn o obliczach naznaczonych nędzą i kobietę wylewającą wodę z miednicy na środek ulicy. Żadnego dziecka.

Wiedział, że wszystkie są zapewne u odnajmującego. Każde dziecko trzeba nakarmić i przypilnować, a umieszczając je u jednego z miejskich najemców dzieci, zapewniało się sobie niewielki dochód i pozbywało kłopotów, szczególnie jeśli trzeba było pracować cały dzień bez możliwości doglądania progenitury.

Żebracy wszelkiego autoramentu zbiegali się do wynajmujących dzieci i wypożyczali te co bardziej wątłe, co ładniejsze lub kalekie, by budziły większą litość przechodniów. Wytworzył się tym sposobem istny rynek z konkretną ceną za każdego malca. Zdarzało się, że te, które przynosiły największe dochody, nie były nawet zwracane do domu wieczorem.

Guy przeszedł przez jezdnię, idąc w kierunku kawiarni znajdującej się przy rogu ulicy Asselin: Pod Owerniackim Cienkuszem. Już sama nazwa pozwalała spodziewać się najgorszego. W Paryżu Owerniacy stanowili osobny klan, którego członkowie niechętnym okiem patrzyli na obcych. Powoli opanowali rynek węgla i wszyscy w stolicy już wiedzieli: nie ma węglarza, który nie pochodziłby z tego regionu - silny, uparty i pracowity, żyjący w zamkniętej społeczności w swoich dzielnicach, lubiący wychylić kilka kielichów w towarzystwie innych Owerniaków.

Jeśli tak się miały sprawy i tutaj, Guy ryzykował, że jego plan może się nie powieść.

Owerniacy słynęli z tego, że nie mieszają się w cudze sprawy, a swoje problemy rozwiązują we własnym gronie.

Guy zbliżył się do okna obramowanego popękany drewnem. Wewnątrz kafejki, służącej równocześnie za hotel, panował spokój, było jeszcze dość wcześnie.

Tylko czterech mężczyzn siedziało opartych łokciami o barowy kontuar, piąty obsługiwał ich, opowiadając coś, aż czarne wąsy unosiły się w rytmie jego słów.

Wszyscy zamilkli, gdy Guy wszedł do środka.

- Panowie - powiedział, zdejmując melonik.

Spojrzenia nie były niezyczliwe, nie witały go jednak miło.

Właściciel odstawił butelkę wódki, wytarł ręce o biały fartuch i podszedł do pisarza, tupiąc ciężkimi chodakami o podłogę.

- Mamy komplet.

Ręce oparł na biodrach, wypiął pierś. Jego owłosione przedramiona były pękate niczym butelki szampana.

- Nie szukam pokoju, raczej towarzystwa do kieliszka i kilku informacji.

- Na jaki temat?

Guy nie spodziewał się, że tak szybko przejdą do rzeczy. Sądził, że trzeba będzie postawić jedną czy dwie kolejki, by lepiej się zapoznać i rozwiązać języki.

- Wypiłbym... szklaneczkę wódki.

Szef zmierzył go wzrokiem od stóp do głów, po czym napełnił kieliszek, stawiając go na drugim końcu kontuaru. Guy wziął go i już zamierzał podejść do grupy mężczyzn, gdy żelazny uścisk ręki właściciela

przygwoździł go do miejsca, w którym stał.

- Moi klienci lubią spokój.

- Ja... nikomu nie przeszkadzam, chciałbym postawić wszystkim kolejkę.

Właściciel zmarszczył brwi i nachylił się, miażdżąc Guyowi nadgarstek.

- Czego tak naprawdę chcesz? Przejdź do rzeczy.

Nieco zbity z tropu Guy szukał odpowiednich słów. Czuł się osaczony, postanowił zatem powiedzieć o wszystkim prosto z mostu:

- Inspektorzy z prefektury paryskiej rozpytują na temat pewnej zbrodni.

- Co ci do tego? To nasze miejsce!

- Moja przyjaciółka została bestialsko zamordowana, sądzę, że nie ona jedna. Może to samo spotkało jeszcze jakąś dziewczynę z ulicy Monjol?

- Więc idź i zadaj te swoje pytania na ulicy Monjol!

Guy przytaknął, spuszczać wzrok. Spodziewał się miłszego przyjęcia w dzielnicy, marzyło mu się nawet, że będzie zbierał coraz precyzyjniejsze informacje w miarę zbliżania się do serca tego piekła.

Uścisk zelżał i Guy mógł opróżnić kieliszek, po czym skierował się do wyjścia.

Szef krzyknął za nim jeszcze od progu: - Widziałem już takich jak pan mieszających się z hołotą z ulicy Monjol, igrających z ogniem. Niewielu jednak stamtąd wracało. Więc niech się pan lepiej zastanowi, zanim pójdzie w górę tą ulicą. Niech się pan dobrze zastanowi - powtórzył, spoglądając na niego złowrogo.

Deski ogrodzenia ciągnącego się wzdłuż bulwaru de La Villette pokryte były afiszami; co ciekawe, od miejsca, gdzie przechodził on w ulicę

Asselin, drewniana ściana świeciła pustkami, jak gdyby rozlepiacze plakatów nie śmieli zapuścić się na ten pochyły brudny bruk. Guy piał się ulicą spokojnym krokiem, usiłując dojrzeć przez nierówne sztachety niezabudowany teren, który rozciągał się za nimi. Ziemne pagórki i wysokie trawy, stosy śmieci. To miejsce musi być niebezpieczne po zapadnięciu nocy. Ile dramatów rozegrało się tutaj w najgłębszej tajemnicy?

Pisarz czuł na karku spojrzenia młodych ludzi, słyszał ich szepty. Był dobrze ubrany, miał czysty kapelusz, wypastowane skórzane buty, długi płaszcz, laskę i przypinany kołnierzyk, cały mieszczański zestaw, który zupełnie nie pasował do tego posepnego miejsca. A mimo to nie czuł się zagrożony. O ile z zewnątrz różnił się znacznie od mieszkańców tej dzielnicy, o tyle jego wnętrze odczuwało względem nich swego rodzaju empatię; znał tę nędzę, ongiś ocierał się o nią wielokrotnie i nawet jeśli były to tylko wizyty - sam zaś zawsze miał luksus możliwości powrotu na noc do ciepłego domu, zasiadania przy zastawionym stole - to jego serce garnęło się do nich. Nie należał do osób, które mogą spać spokojnie po podobnej wyprawie, każdy dzień spędzony w takim miejscu odbierał mu część jestestwa. Ta straszliwa i cudowna zarazem empatia pozwalała mu poczuć się dogłębnie ludzkim.

To ona uczyniła go pisarzem.

I teraz go chroniła - taką przynajmniej miał nadzieję.

Cztery psy przeciągały się w promieniach zachodzącego słońca na trawniku przed popękany budynek. Wpatrywały się w niego z takim samym zdziwieniem jak młodzi ludzie kilka chwil wcześniej.

Guy nieomal potknął się na jednej z wyrwanych kostek brukowych, wywołując tym rozbawienie wyrostków, którzy nie spuszczaali go z oczu.

Ulica Monjol rysowała się po prawej stronie, między nieużytkiem a starymi nieregularnie wzniesionymi trzy- i czteropiętrowymi budynkami

i pograżonymi w mroku podwórkami. Z naprzeciwka biegł dostawca butelek ciągnący swój wózek; popatrzył na Guya jak na szaleńca i zniknął w ulicy Asselin.

Hotel Fort Monjol górował nad okolicą, patrząc rozpadającymi się oknami. Guy podszedł do wejścia, gdzie jakiś mężczyzna, chudy i nieogolony, w poplamionym ubraniu, czekał na krześle, strugając kawałek drewna. Na jego widok człowiek schował nóż do kieszeni i wstał.

- Ile chcesz? I w jakim wieku?

Guy potrząsnął mu przed nosem laską na znak, że nie o to mu chodzi.

- Nie chcę dziewczyn, lecz informacji.

Mężczyzna skrzywił się i odchrząknął, splunął następnie na chodnik; najwyraźniej wolał handlować ludzkim ciałem niż informacjami.

- Inspektorzy z prefektury paryskiej przyszli wypytywać o pewną dziewczynę, prawda?

Jego czarne źrenice poruszyły się, sondując ulicę i ciekawskiego gościa. Nazbyt ciekawskiego.

- To ważne - nalegał Guy.

Człowiek wycofał się do hotelowej sionki: niebiesko-biała zakurzona krzywa posadzka, maleńki kontuar noszący ślady licznych nacięć i wąskie schody prowadzące do pokoi, których Guy wolał sobie nie wyobrażać. W budynku - nieprzyjemnie mrocznym - unosił się ciężki zapach wilgoci i stęchlizny.

- Jak ważne? - spytał jego przewodnik.

- Chodzi o przyjaciółkę, chcia...

- Nie opowiadaj mi swojego życia - przerwał mu mężczyzna, pocierając kciukiem o palec wskazujący - Jak ważne?

Pojąwszy, o co chodzi, Guy włożył do chropowatej dłoni dwa franki.

Mężczyzna wyciągnął rękę w stronę otchłani ulicy Monjol:

- Idź i zapytaj u Victora, pod siedemnastką, ale nie mów, że to ja cię przysłałem, bo ci utnę język!

Guy wyszedł spiesznie, oślepiiony światłem dnia ruszył dalej osmoloną ulicą - sadza czerniła tu fasady i osiadała na ziemi. Większość okien na parterze była otwarta, a w nich mieszkańcy, oparci o parapety, dyskutowali z sąsiadami. Ich ubrania były połatane, poplamione błotem, ręce brudne, twarze pobrużdżone przez nędzę, usta często bezzębne, a niedostatek i wieczna podejrzliwość uczyniły ich spojrzenia przenikliwymi. Guy natychmiast stał się tematem rozmów całej Monjol, obserwowano go, szacowano chód, komentowano ubiór i natrzęsano się zeń.

Guy uświadomił sobie, że nie słysząc już stukotu kopyt o bruk ani krzyków małych gazeciarzy Paryż oddalił się, odgradzając się od tego miejsca, pozostawiając go samego pośród tej strefy bezprawia. Żaden strażnik miejski nie egzekwował tu porządku, a już na pewno nigdy po zapadnięciu zmroku, gdyż nie było tu ani latarni, ani światła elektrycznego; Guy wątpił nawet, czy do dzielnicy doprowadzono gaz.

Dwaj robotnicy idący szybkim krokiem minęli go i skręcili w wąski zaułek między budynkami. Odsunęli płócienną zasłonkę maskującą wejście i Guy dostrzegł kobietę klęczącą przed mężczyzną. Robotnicy stanęli w oczekiwaniu na swoją kolej, korzystając przy okazji z widowiska.

Jeden dom na trzy nie miał już ani okien, ani drzwi, zastąpionych kawałkami materiału lub deskami, i Guy widział tłoczące się w nich narażone na przeciagi całe rodziny

Numer 17 okazał się budynkiem o murowanych odrzwiach stojącym w głębi długiego podwórka zagraconego fragmentami zbutwiałych

beczek, zniszczonych skrzynek i potłuczonych butelek. Guy utorował sobie drogę aż do obskurnego wejścia, z którego wychynął brodaty osobnik o masywnych barkach.

- Ma pan z czego zapłacić? - spytał, artykułując powoli.

Guy wiedział, że mówi się tu językiem Monjol, paryską gwarą niezrozumiałą dla innych,

lecz w obecności mieszczanina, potencjalnego klienta, podejmuje się wysiłek poprawnego wyrażania się.

- Mam, ile trzeba, ale odradzałbym zdzieranie ze mnie, bo moja laska pójdzie w ruch! - odparł, grożąc mu przed nosem gałką.

Brodacz nie zareagował, niewzruszony faktem, że ktoś mógł pomyśleć sobie o nim coś takiego, i dał znak, by iść za nim. Chwycił lampę naftową, po czym zeszli do cuchnącej sutereny. Mieszczanina potu, kiepskiego wina, gotujących się flaków, a nawet kwaśny zapach uryny. Guy wyczuł też lekką anyżkową nutę w stęchłej atmosferze rozpusty Absynt.

- Prawdę mówiąc, szukam Victora.

Brodacz zignorował go i szedł dalej po klepisku źle oświetlonym korytarzem, który nagle się rozszerzył.

To, co dawniej było ciągiem piwnic, przekształciło się teraz w amfiladę otwartych boksów zajętych przez kobiety leżące na brudnych materacach, rozchylające uda w podkaszanych spódnicach, o ile nie były całkiem nagie, ze świeczką przy boku.

Między pomieszczeniami krążył mężczyzna - zerkał lubieżnie na wszystkie, wreszcie wybrał jedną i bez słowa rozpiął spodnie. Dziewczyna dojrzała go przez opary alkoholu, sięgnęła po butelkę absyntu i pociągnawszy większy łyk, rozłożyła przed nim nogi bez dalszych formalności.

Guy odwrócił się, by nie patrzeć na ponurą scenę, której nie zasłaniała żadna kotara. Nie musiał dalej szukać, gdyż najwyżej dwudziestoletni

chłopiec z lekkim brązowym meszkiem nad górną wargą podszedł do niego z wyciągniętą dłonią.

- Trzy franki, potem bierzesz, którą chcesz. Za jednego franka dodatkowo możesz z nią robić, na co tylko masz ochotę.

Guy sięgnął po pieniądze, lecz nie dał mu ich.

- Za tę kwotę nie chcę numerku, tylko informacji. Na temat zamordowanej ulicznicy. Straszego morderstwa.

Chłopak nadał się, składając na piersi chude nieowłosione ramiona.

- Nie, no, patrzcie na tego nadzianego gogusia! Mam łyknąć ten głodny kawałek? - rzucił, zapominając się na chwilę.

- Wiem, że pewna kobieta została zmasakrowana, chcę tylko wiedzieć, jak się nazywała i...

- Stawiasz się tu i węszysz? Oszalałeś czy co? - szczerknął chłopak. - Tu jesteśmy u siebie, a nasze dziwki, to, co im się przytrafia, to już nasza sprawa!

Guy nie dał się onieśmielić agresywnemu młodzieńcowi. Sięgnął po dwie kolejne monety jednofrankowe, które pokazał mu na wyciągniętej dłoni.

- Jestem ciekawy, to prawda, ale płacę za to!

Chłopak zrobił się nagle podejrzliwy.

- Czego chcesz od kobiety?

- Chcę się dowiedzieć, kim była i co się dokładnie wydarzyło.

Chłopak wyciągnął rękę i Guy położył na niej połowę kwoty, którą trzymał w dłoni.

- Wykończyli ją, nie mam nic do dodania, lepiej będzie, jak się stąd zmyjesz!

- Nalegam jednak, przyszedłem tu, gdyż moja przyjaciółka również została zamordowana, mam wszelkie powody sądzić, że jej śmierć powiązana jest z...

W tym momencie brodac zchwycił Guya za oszewkę, podniósł do góry i przygwoździł do ściany.

- Miałeś stąd spadać! - warknął przez zęby, zgniatając mu ramieniem szyję.

Guy, zaskoczony nagłym atakiem, zareagował dopiero po chwili. Dusił się pod ciężarem brodacza.

Uniósł łaskę, chcąc uderzyć tamtego w skroń. Brodac jednak zablokował ów ruch wolną ręką, po czym w ramach odwetu zwiększył nacisk.

Chłopak rzucił rozkaz, którego Guy nie zrozumiał, po czym otrzymał dwa ciosy w głowę. Zamroczonego wypchnięto go brutalnie na ohydne podwórko przed domem. Tam brodac rzucił go na zdezelowane beczki i zaczął kopać w brzuch, gdy tymczasem chłopak przetrząsał mu kieszenie.

Guy już nie starał się bronić, przyjmował ciosy, usiłując się jak najskuteczniej osłaniać, lecz zapal brodacza zdawał się nie słabnąć; lubił to, biała piana pojawiła mu się w kącikach ust, miał pusty wzrok, jakby pozbawiony świadomości. Bił bez wytchnienia niczym dobrze naoliwiony mechanizm.

Nagle na zaulek padł cień.

Guyowi wydawało się, że widzi, jak chłopiec wlatuje w powietrze i roztrzaskuje się o ścianę; zamrugał oczyma - oślepienemu przez ciosy, chyba mu się przywidziało.

Tymczasem brodac również oderwał się od ziemi. Życie nagle powróciło na jego oblicze pod postacią zaskoczenia, próbował bezskutecznie się bronić, wierzgając nogami w powietrze; wreszcie runął na ścianę z zamurowanymi oknami. Przerazający odgłos złowrogich trzasków towarzyszył zderzeniu ciała z cementem, po czym brodac osunął się na ziemię.

Guy poczuł, jak jakaś ręka ujmuje go za ramię i pomaga mu wstać.

- Gik... Gikaibo... to... to ty? - wybełkotał.

- No dalej, ty iść, nie włóczyć się tu.

Guy trzymał się z trudem na nogach. Miał ciężką głowę, mózg zdawał się pulsować, jakby chciał wydostać się z czaszki, bolały go żebra. Gikaibo chciał go podtrzymać i poprowadzić w stronę ulicy, lecz Guy oswobodził się i podszedł do leżącego chłopaka.

Podniósł z ziemi swoją łaskę i postukał nią lekko w policzek młodego człowieka.

- No więc? Kim była ta dziewczyna? - nalegał.

Sutener jęknął i usiłował ślamazarnie odepchnąć łaskę.

Guy przycisnął gałkę, tym razem mocniej, do kolana złodzieja, który krzyknął z bólu.

- Nazwisko!

- Viviane! - krzyknął z jękiem. - Viviane Longjumeau. To była ladacznica...

- Mów dalej - rozkazał Guy, grożąc mu kolejnym ciosem.

- Zniknęła pewnego dnia bez śladu, to wszystko! Komisarze z prefektury przesłuchiwali całą ulicę, zadawali wszystkim pytania, podobno załatwiono ją w nieprzyjemny sposób! My już nigdy jej nie widzieliśmy! Nic nie wiemy!

- Kiedy to się stało?

- Dwa tygodnie temu.

- A ci gliniarze z prefektury... czy był to taki gruby z wąsem i drugi prawie łysy o bardzo jasnych oczach?

- Tak, to oni!

Guy zabrał to, co mu zostało skradzione, i oddał się czym prędzej, tymczasem z budynku do budynku podawano sobie gwizdami wieść o bijatyce.

Olbrzymia sylwetka Japończyka zepchnęła w mrok przedsonka dwóch mężczyzn, którzy biegli sprawdzić, co się stało.

Na ulicy Asselin przyspieszyli jeszcze bardziej kroku, by wreszcie znaleźć się przy dorożce, która czekała na Gikaiba na bulwarze de La Villette.

Gdy tylko Guy usiadł, wydał z siebie głębokie westchnienie, przy czym poczuł ostre ukłucie bólu w lewym boku. Otarł chusteczką krew z wargi i wreszcie zwrócił się do Japończyka:

- Dziękuję. Masz u mnie ogromny dług.

Gikaibo nie odpowiedział uśmiechem.

- Nie dziękuj. To było miłe dla ciebie. Teraz musisz stawić czoło Julie. To ona wysłała mnie. I nie jest zadowolona. - Strzelił kostkami palców i dodał: - Wcale niezadowolona.

Guy poskładał poplamioną chusteczkę i włożył ją z powrotem do kieszeni marynarki. Paznokciem dużego palca stuknął o twarde przedmiot, którego wcale nie powinno tam być. Wyciągnął go: był to czarny klucz.

- To nie moje - powiedział cicho.

Ogromny Japończyk rzucił mu zdeglustowane spojrzenie, jak gdyby miał Francuza za kompletnego idiotę.

- Naprawdę to nie mój klucz. A przecież ci dwaj łotrzy opróżnili mi chwilę temu kieszenie. Tylko jedno było wyjaśnienie tej zagadki. Osobliwe wyjaśnienie.

Grożąc Guyowi, młody stręczyciel wsunął mu potajemnie klucz do kieszeni.

7.

Rose spięła długie rude loki klamrą, by nie opadały na twarz, i zaczęła się krzątać wokół Guya.

Uzbrojona w kawałek materiału nasączony alkoholem oczyszczała niewielką ranę na jego wardze.

- Aj, to boli! - jęknął.

- Co z pana za mężczyzna! - nabijała się z niego, siedząc okrakiem na jego kolanach.

Była między nimi bliskość typowa dla kochanków. Znali się dobrze. Przez pierwsze miesiące rozpusty, które tutaj spędził, Rose była jego ulubienicą. Uwielbiał jej zapach, ciepły i kwiatowy. Odkąd przestał być klientem, a stał się pensjonariuszem, nie mógł odżalować Rose - dzielenie z nią łoża zawsze działało na niego kojąco.

Julie wpadła do kuchni. Rose drgnęła, lecz nie zdążyła wstać.

- Rose, wyjdź - rozkazała Julie oschle.

Niezadowolona niczym dziecko przyłapano na podkradaniu łakoci, Rose oddaliła się, unikając starannie wzroku matrony

Guy patrzył, jak bezszelestnie wychodzi, unosząc obfitą suknię z tafty.

- Dureń z pana! - wybuchnęła Julie, gdy tylko zostali sami.

- Bo chcę poznać prawdę? Bo troszczę się o Milaine?

- Ulica Monjol! Ależ Guy! To mordownia! Znam pana, byłam pewna, że coś pan wywinie, dlatego poprosiłam Gikaiba, żeby miał na pana oko. Jest pan taki przewidywalny!

Czując ponownie smak krwi w ustach, Guy przyłożył rąbek materiału do rany. Ukłucie alkoholu sprawiło, że aż podskoczył.

- Jestem wzruszony pani atencją - zdołał wyartykułować - ale dam sobie radę sam.

- Już to widzę!

Przyciągnęła sobie krzesło i usiadła naprzeciw niego. Jej twarz przybrała teraz inny wyraz, zamiast złości wyrażała niepokój. Guy złagodniał od razu i zwierzył jej się:

- Julie, nie umiem wymazać z pamięci widoku zwłok Milaine. Było w tym coś... oburzającego, sama idea zabójstwa, cierpienia... i ta cała sceneria! Nie jestem w stanie zapomnieć i przejść nad tym do porządku dziennego!

Julie wyjęła mu chusteczkę z rąk i zdecydowanym, lecz precyzyjnym gestem osuszyła mu krawędź wargi, a następnie skórę na głowie w miejscu niewielkiego rozcięcia.

- Oczywiście ma pan obsesję na tym punkcie. Każdy by ją miał, a już na pewno pisarz poszukujący silnych wrażeń do swojej kolejnej książki, czegoż innego by się spodziewać? Moje dziewczęta znały Milaine, dwa i pół roku przyjaźni, wspólnego życia, a jednak osobą, o którą martwię się najbardziej, jest pan! One pogodzą się z jej odejściem, wiedzą, że nasza profesja nie należy do najłatwiejszych, mają twardą skórę, muszą mieć, wiem, że dziś wieczorem przywdzieją na twarz maski. Potrafią to, w tym celują... Ale pan...

- Nie zamierzam odgrywać komedii...

- Właśnie, Guy Ale będzie trzeba! Jeśli chce pan zostać pod moim dachem, będzie pan musiał! Jeśli zamierza pan uczynić ze śmierci Milaine swoją osobistą krucjatę, nic na to nie poradzę, mam tego niestety świadomość. Jednak nigdy nie pozwolę panu zaburzyć spokoju mojego domu. Niech mnie pan nie zmusza, żebym wymówiła panu mieszkanie!

Rzuciła chusteczkę na kolana pisarza i wstała.

- A Rose za bardzo się do pana zbliżyła - dorzuciła jeszcze z progu kuchni. - Proszę nie zapominać o obowiązujących zasadach, Guy, niech pan trzyma dystans. Mieszkając pod moim dachem, nie może pan dotykać moich dziewcząt. Żadnej bez wyjątku.

Wróciwszy na strych, Guy zaczął się przyglądać czarnemu kluczykowi.

W długim pomieszczeniu o spadzistym suficie paliły się liczne lampy naftowe. Guy leżał na swoim zdobyczym łóżku, podłożywszy ramię pod głowę.

Dlaczego sutener Victor wsunął mu ten klucz do kieszeni, skoro nie chciał nic powiedzieć i wolał przyjąć cios laską?

Chciał mi pomóc, ale w taki sposób, żeby nikt się o tym nie dowiedział. Obawia się swojego towarzysza. Albo być może niedyskretnych uszu ulicy Monjol...

Co właściwie ten Victor wie? Kim jest morderca? A może po prostu nie chciał uchodzić za donosiciela?

Pomijając motyw, istniała jeszcze jedna delikatna kwestia: trzeba się dowiedzieć, do czego pasuje ów klucz.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

Guy podniósł się zaskoczony Nie słyszał, żeby schody zaskrzypiały.

- Proszę - powiedział podejrzliwie.

Faustine wślizgnęła się bezszelestnie na strych i zamknęła za sobą drzwi.

- Nie mam pewności, czy to dobry pomysł - rzekł Guy na powitanie. - Julie jest na mnie zła, jeśli tu panią zastanie, będę...

- Nie usłyszała mnie, jest zbyt zajęta swoimi panami na dole, mamy dzisiaj ruch, ta cholerna Wystawa Światowa nie zabrała nam jednak wszystkich klientów Gikaibo opowiedział mi o tym, co się dzisiaj

wydarzyło. Nie ma pan nic złamanego?

- Trochę bolą mnie zębra, ale to chyba tylko siniaki. Faustine, miałem rację. Milaine z całą pewnością nie była pierwszą ofiarą. Inspektorzy z prefektury odwiedzili ulicę Monjol dwa tygodnie temu, badając okoliczności śmierci prostytutki, najwyraźniej było to również ohydne morderstwo.

- Niech pan zdejmie koszulę.

- Proszę?

- No dalej! Niech pan zdejmie koszulę! Pomagałam matce w opiece nad braćmi rozrabiakami, umiem odróżnić siniak od złamanego zębra.

Ponieważ czekała z właściwym jej uporem, Guy postanowił nie protestować i rozwiązał

jedwabny krawat, po czym zabrał się do rozpinania guzików koszuli, którą zdjął z niejakim trudem.

W głębi duszy czuł swego rodzaju satysfakcję, że będzie badany przez Faustine.

Dziewczyna pociągnęła go w stronę światła, by obejrzeć dwie brunatne plamy na bokach, po czym obmacała go wokół sińców.

- Proszę głęboko oddychać - zażądała.

Guy wypełnił polecenie, krzywiąc się z bólu.

- Ta historia z drugą zbrodnią... - ciągnęła. - O co właściwie chodzi? Czy to dzieło szaleńca? Milaine została... zamordowana przez wariata?

- Nic jeszcze nie wiem. Ale nie była pierwsza.

- Jeszcze nic? Czy to znaczy, że zamierza pan kontynuować?

Guy wyciągnął czarny kluczyk.

- Człowiek, który udzielił mi tych informacji, dał mi również to. Nie wiem, do czego służy, ale z pewnością tamten wie więcej, niż chce powiedzieć. Podejrzewam, że obawia się ludzi z ulicy Monjol.

- Wygląda mi to na klucz od szafy. Za mały na klucz od mieszkania.

- Też tak sobie pomyślałem. Au!

- Tu boli?

Guy z wysiłkiem zdławił krzyk i przytaknął żywo.

- A tu?

- Nie. Ale ma pani zimne ręce.

- Chyba nie ma złamania, może pęknięcie. Musi pan być ostrożny, unikać ciosów i odpoczywać.

Guy potrząsnął kluczem.

- Nie zamknę drzwi, które otwiera ten klucz!

- Nigdy nie uda się panu znaleźć zamka, Guy, niech pan przejrzy wreszcie na oczy!

- Bez pomocy Victora, tego, który mi go dał, na pewno nie.

- Z tego co zrozumiałam, nie jest pan już tam mile widziany. To samobójstwo!

- Umiem się przebrać.

Faustine parsknęła śmiechem.

- Naczytał się pan Conana Doyle'a, mój drogi!

Urażony Guy ubrał się i schował klucz do kieszeni spodni.

- Nie rozumiem pani, Faustine. Oplakuje pani Milaine, ale nie ma ochoty wyjaśnić przyczyn jej śmierci.

- To należy do obowiązków policji, nie do naszych. Naszym zadaniem jest upewnić się, że to zrobią, musimy zmusić ich do odkrycia prawdy

- Słyszeliśmy ich oboje: ci inspektorzy zrobią najmniej, jak tylko się da, uważają, że prostytutki nie zasługują na wysiłek z ich strony. Jeśli da się bez większego trudu zatrzymać

winnego, zrobią to, jeśli sprawa okaże się skomplikowana, obawiam się, że zostanie szybko zapomniana.

Faustine nic nie odpowiedziała. Skinęła tylko głową. To ona zwróciła uwagę pisarza na brak wnikliwości inspektorów, to ona od samego

początku obawiała się, że prawda nie wyjdzie na jaw.

- Jeśli oddam im ten klucz - ciągnął Guy - położą go na jakiejś półce i zapomną, nie zadadzą sobie nawet trudu, żeby wrócić na ulicę Monjol, wiedząc, jakie to ryzyko. Zrobili to już raz, nie sądzę, żeby zapuszczali się tam ponownie.

- Pan też nie może tak ryzykować.

- Będzie jednak trzeba.

- Nie, jeśli ja tam pójde.

- Nie, to zbyt niebezpieczne dla kobiety!

- Umiem się bronić. Poza tym możecie z Gikaibem czekać na mnie w pobliżu, na wypadek gdyby..

- Nie, ja nie...

Faustine wyciągnęła dłoń, wbijając z determinacją szafirowe oczy w Guya.

- Jeśli ten Victor wsunął panu klucz do kieszeni, to dlatego, że chce pomóc, ale po prostu woli, żeby nikt o tym nie wiedział. Mogę posłużyć za pośredniczkę. Niech mi pan da ten klucz, Guy.

Blask płomienia lampy naftowej tańczył na jej twarzy, rysując łagodne kształty, kontrastujące z czernią jej gęstych włosów.

Guy czuł się jak zahipnotyzowany.

Zamrugał powiekami, czując, że lada chwila skapituluje.

Była w Faustine groźba wielkiego gniewu, ale też obietnica nie mniej spektakularnych rozkoszy i Guy nie potrafił przestać o tym myśleć. Bez przerwy onieśmiałony przez jej oszalamiające gierki, w obecności dziewczyny nie umiał być sobą, tracił rezon. Przenikliwość, która cechowała go w stosunku do człowieka i do społeczeństwa, przy niej zanikała całkowicie.

Gęsta zasłona wznosiła się pomiędzy nimi, pozbawiając go zmysłów, nie umiał spoza niej nic wyczytać.

Zastanawiał się tylko, czy w wypadku Faustine rzecz ma się tak samo.

Guy szedł ulicą Châteaudun z cygarem w dłoni.

Mijał widzów opuszczających teatry, damy w pięknych toaletach, eleganckich mężczyzn, kilku sprzedawców pomarańczy, pączków i pieczonych gruszek - często były to dzieci - usiłujących upłynnić towar, obniżając cenę wraz ze zbliżającym się końcem dnia.

Latarnie gazowe rzucały na tłum światło, które Guy wołał od tego, jakim emanowały elektryczne lampy wokół Opery - białego, niemal upiornego. Zastanawiał się często, czy ten cały postęp, który w nieskończoność rewolucjonizuje świat, nie pozbawi ludzkości jej oryginalności i specyfiki. Nauka umacniała z każdym rokiem wyższość człowieka, czy jednak nie zacznie w końcu zmieniać jego natury, przekształcać go? Czynić coraz bardziej

syntetycznym, by wreszcie sformatować istoty ludzkie tak samo jak maszyny w fabrykach potrafiące powtarzać w nieskończoność ten sam gest, bezbłędnie produkować identyczne części, bez żadnej usterki?

Guy nie dokończył cygara; wysuszało mu wargi i rana pękała, wywołując przykry ból. Rozgniółł je na chodniku i ruszył w stronę ulicy Notre-Dame-de-Lorette.

Dotarł już niemal do Buduaru - widać było czerwone latarnie zarezerwowane zazwyczaj dla komisariatów paryskich, przez Julie zapożyczone z prowincjonalnych burdeli - gdy nagle zauważył postać stojącą nieruchomo na chodniku po drugiej stronie ulicy i obserwującą budynek. Mężczyzna krył się w cieniu ulicy, a z powodu braku oświetlenia nie dało się określić, co to za jeden.

Guy rozważał dotrzymanie osobnikowi towarzystwa, zachęcenie go do wejścia, przyprowadzenie Julie nowego klienta, lecz ostatecznie, nie czując się w nastroju, by rozmawiać z nieznajomym, postanowił od razu wejść do środka.

Mężczyzna zdecydował się jakby w ostatniej chwili - gdy Guy wchodził po stopniach, ktoś ruszył w jego stronę i zawołał:

- Proszę pana! Przepraszam, ale wydaje mi się pan znajomy...

W świetle sącącym się przez zasłony w wysokich oknach i rzucanym przez dwie czerwone latarnie Guy mógł teraz dojrzeć jego oblicze.

Był to mniej więcej dwudziestoletni mężczyzna z delikatnym wąsem, w ciemnym garniturze i skórzanych rękawiczkach. Guy widział go już kiedyś, lecz nie umiał przypomnieć sobie jego nazwiska.

- Nazywam się Martial Perotti, jestem policjantem.

Wskrzeszone tą wskazówką wspomnienie wyłoniło się w umyśle Guya: ten człowiek był obecny tamtej nocy, gdy zabierano zwłoki Milaine.

- Guy Thoudrac-Matto - odparł, pamiętając o użyciu fałszywego nazwiska.

- Wahałem się, czy wejść do środka - przyznał Perotti z pewną nieśmiałością w głosie.

- Ależ proszę, przedstawię pana...

- Nie! To nie będzie konieczne, spotkanie z panem ułatwi mi zadanie.

- Pańskie... zadanie?

- Tak... Znałem Milaine - przyznał z zażenowaniem.

Guy nadstawił uszu. To imię nabrało w ciągu kilku godzin swoistej magii.

- Znał ją pan?

- Tak. W sensie biblijnym, jeśli pan woli.

- Ach. I w czym ja mogę panu pomóc?

- Skoro pan tu mieszka, musiał pan ją dobrze znać, prawda?

- Nie w tym samym sensie co pan, ale owszem, była moją przyjaciółką. Dlaczego pan pyta?

- Moje nazwisko nic panu nie mówi? Nigdy o mnie nie wspominała?

Guy upewnił się, że słowa Martial ani Perotti nie dryfują gdzieś w jego przepelnionej

pamięci, i pokręcił przecząco głową.

- Nie, przykro mi. Dlaczego pan pyta?

Perotti otwierał i zamykał kilkakrotnie usta, nie mogąc wydusić z siebie tłoczących się w nich słów, wreszcie westchnął i rzucił jednym tchem:

- Była w ciąży i jeśli jej wierzyć, sądziła, że to ja mogę być ojcem.

Serce Guya drgnęło. Oparł się o kamienną balustradę i zmierzył wzrokiem tego osobliwego młodzieńca, który złożył mu podobne wyznanie u progu nocy

- Myślę, że powinien pan wejść do środka - ponowił propozycję Guy - i wypić ze mną kieliszek koniaku, żebyśmy mogli porozmawiać o tym wszystkim.

- Nie, naprawdę, wolę nie przeszkadzać klienteli, chciałem... tylko się dowiedzieć, czy mówiła coś na mój temat.

- Chyba nie jestem osobą, której zwierzyłaby się w tej kwestii. Musiałbym kogoś zapytać. Czy zechce pan wrócić o jakiejś dogodniejszej porze?

Perotti skinął głową i zszedł po stopniach.

- Jutro rano o dziesiątej, jeśli to panu odpowiada.

- Proszę poczekać - zatrzymał go Guy. - Widział pan, co się przytrafiło Milaine. A mimo to pańscy koledzy, Legranitier i Pernetty, nie sprawiają wrażenia specjalnie przejętych, nieprawdaż?

- Po tych dwóch niech się pan niczego nie spodziewa. Przeciwnie, zrobią wszystko, żeby zatuszować całą sprawę.

- Dlaczegoż to?

Perotti rozejrzał się wokoło, jak gdyby był w posiadaniu wyjątkowej tajemnicy.

- Bo jest kłopotliwa. Uciążliwa. Prawdę mówiąc, przeraża.

- A więc wie pan, kto się za tym wszystkim kryje? Zna pan tożsamość mordercy Milaine?

Perotti przełknął ślinę tak głośno, że Guy to usłyszał.

- Mogę tylko powiedzieć, że jest ich kilku. Gdyż żaden mężczyzna nie zdołałby w pojedynkę dokonać tego, co zrobiono pozostałym dziewczętom. Żaden mężczyzna. - Perotti znów się rozejrzał, próbując przeniknąć otaczający ich półmrok. - Muszę już iść, do jutra. Żegnam pana.

Odwrócił się i po chwili wtopił w ciemność.

8.

Brzuch mężczyzny był otwarty, skóra na bezkształtnych ramionach zdawała się topnieć niczym wosk, na głowie zaś niósł tacę z czymś, co przypominało jego własne serce; ponurej sceny dopełniały uszy nacięte wzdłuż ostrzem noża.

Rycina Hieronima Boscha królowała na biurku Guya.

Budzące niepokój kształty, ni to ludzkie, ni to zwierzęce, przechadzające się to tu, to tam, sceny bitew między ludźmi i demonami wypełniały całą górną część dzieła.

- Kiedy odkryłem zwłoki nieszczęsnej Anny Zebowitz, od razu sobie o tym pomyślałem - stwierdził Martial Perotti. - O tej części tryptyku *Ogród rozkoszy* Boscha. Od tamtej chwili nie umiem o tym zapomnieć.

Perotti stawiał się punktualnie w domu publicznym i zanim zdążył zadzwonić, Guy wprowadził go po cichu, nie chciał bowiem niepokoić Julie.

Stał teraz na poddaszu w towarzystwie Guya i Faustine, rozłożywszy przed nimi rysunek.

- Ja również, w przyptywie emocji i zmęczenia, pomyślałam o dziele diabła na widok Milaine - wtrąciła szeptem Faustine. - Teraz jednak, mając wypoczęty umysł, jestem bardziej pragmatyczna. Pokazuje nam pan alegorię Piekła, nie ma w tym nic prawdziwego, nic ludzkiego, nic wiarygodnego.

- Właśnie - rzekł Perotti uroczyście. - Anna Zebowitz nie miała w sobie już nic ludzkiego, to, co z niej zostało owego dnia, nie było wiarygodne! Ona... leżała tak jak na tym obrazie, z otwartymi wnętrzościami,

jej organy były rozrzucone... to było przerażające! Zapewniam państwa!

- A co sprawiło, że łączy pan to morderstwo ze śmiercią Milaine? - spytał Guy.

- Wyrafinowanie, proszę pana. W przeciwieństwie do tego, co głoszą ludowe przypowieści, paryskie zbrodnie są często banalne i choć dramatyczne, prawdę mówiąc, niezbyt odrażające. Cios nożem, od czasu do czasu postrzał z broni palnej, poderżnięte gardło, czasami także znęcający się nad ofiarą szaleniec, który jednak bardzo szybko zostaje zatrzymany. W wypadku Anny, Viviane Longjumeau i Milaine mamy do czynienia z morderstwami niepoahamowanymi, na swój sposób... teatralnymi. To najrzadszy rodzaj zbrodni. Trzy ofiary w ciągu miesiąca, wszystkie to prostytutki...

- Kurtyzany, bardzo proszę - poprawiła go Faustine. - Milaine była kurtyzaną, proszę zachować ową szlachetność semantyczną, wspominając ją.

Guy przeniósł uwagę na kobietę, zaskoczony sprostowaniem dotyczącym słownictwa, rzadkim u osób bez dobrego wykształcenia, które nie należało do przymiotów kurtyzan, nawet w takim lokalu jak ten. Czy Faustine chciała sprawić wrażenie kobiety z wyższej warstwy społeczeństwa, czy też naprawdę dorastała w dobrym domu? Tu ponownie Guy musiał przyznać, że nic o niej nie wie.

Perotti z kolei zaczerwienił się gwałtownie i poprawił natychmiast:

- Tak, przepraszam, a więc kurtyzany. Mamy tu podobne elementy, które należy ze sobą

powiązać. Musi chodzić o tego samego sprawcę, tych samych sprawców, powinienem raczej rzec.

- Skąd pewność, że jest ich kilku? - dopytywał się Guy.

Perotti przełknął ślinę i rzucił nerwowo okiem na Faustine, co uczynił już kilkakrotnie od początku tej rozmowy.

- Spokojnie, proszę mówić - zachęciła go Faustine. - Mam mocne nerwy!

- Dobrze... Chodzi o to, że ciało Anny zostało znalezione na szczycie wieży, wysokiej wieży. A krew na schodach nie pozostawiała wątpliwości: zabito ją gdzie indziej i następnie przeniesiono na górę. Było tam tyle... szczątków, proszę mi wybaczyć dosadność, że wydaje mi się niemożliwe, by było to dziełem jednego tylko człowieka!

- Wspomniał pan o teatralności - podjął Guy - a kto mówi „reżyseria”, myśli również „publiczność”, nieprawdaż? Czy uważa pan, że chodzi tu o widowisko, które chce nam zafundować morderca, a raczej mordercy? W jakim celu? Skąd to okrucieństwo?

- Nie mam pojęcia.

- Annie... rozpruto brzuch, tak?

- Między innymi. Została okaleczona, odcięto jej członki. Czyn barbarzyńców!

- Ma pan jakiś trop?

- Ciało znalezione na szczycie jednego z budynków Wystawy Światowej tuż przed inauguracją. To by nasuwało wniosek, że sprawcy mieli dostęp do tego miejsca jeszcze przed zwiedzającymi, więc mogli to być albo organizatorzy, albo wystawcy. Tymczasem tuż obok znajduje się strefa kolonii. Setki kobiet i mężczyzn przybyłych specjalnie ze wszystkich kolonii francuskich i obcych, mających zaprezentować się w swoich domostwach. Większość z nich jest średnio ucywilizowana, trzeba przyznać. Całkiem możliwe, że za zbrodnię odpowiedzialna jest banda tych dzikusów.

- Aresztowano kogoś?

- Nikogo, wiele osób przesłuchano, ale nic poza tym.

Guy potarł w zadumie podbródek.

- O czym pan myśli? - spytała go Faustine.

- Nie umiem sobie wyobrazić grupy rdzennej ludności innych kontynentów wpadającej niezauważenie do Paryża i mordującej kolejne

kobiety. To się nie trzyma kupy.

- Dlatego też nikogo nie zatrzymaliśmy - potwierdził Perotti.

- A hipoteza... sekty? Grupki fanatyków działających w imię szatana? To właściwie wpisuje się w klimat naszych czasów.

Pomysł nie był bezpodstawny w przeddzień rozdziału państwa od Kościoła. Ruchy ezoteryczne mnożyły się w ramach sprzeciwu wobec gwałtownego rozwoju nauki i przemysłu widocznego od kilku dziesięcioleci. Wielu fanatyków religijnych także zacieśniało szeregi, by tworzyć zorganizowane frakcje mające na celu walkę z niebezpiecznym antyklerykalizmem. Idea ekstremistycznej grupy na przestępczej ścieżce, choć śmiała, nie szokowała Guya.

- Rozważaliśmy to również, bez powodzenia. Powiem od razu: to zabójstwo było

kłopotliwe, mogło nawet zaszkodzić wizerunkowi wystawy, przyćmić jej inaugurację, dlatego też śledztwo prowadzone jest w wielkiej dyskrecji, nie wie o nim nikt prócz garstki osób obecnych na miejscu zdarzenia.

- Legranitier i Pernetty?

- Tak, oni pojawili się tam pierwsi. Wyglądali na takich, którzy wiedzą, co robią.

- Do jakich doszli wniosków?

- Nie mam pojęcia, nie jesteśmy w zażyłych stosunkach.

- Jaki jest pana z nimi związek?

- Jestem młodszym inspektorem, w ich oczach jednym z wielu nowicjuszy, ignorują mnie, co zauważyłem, mogę się nawet założyć, że nie kojarzą mojego nazwiska. Więc żeby mieli mi się zwierzać, to raczej mało prawdopodobne... Rozmawiają tylko między sobą. Są podejrzliwi.

- Co pan wie na temat zabójstwa Viviane Longjumeau? - dociekał Guy

- Niewiele, nie było mnie przy oględzinach zwłok, wiem tylko, że znaleziono je na bulwarach nad Sekwaną, niedaleko Jardin des Plantes.

- To kawał drogi od jej domu w dziewiętnastym okręgu!

- Istotnie. Została zasztyletowana, następnie wleczono ją kilkadziesiąt metrów, a jej oczy były czarne jak... jak oczy Milaine. Nic więcej nie wiem.

- Żadnych świadków? Przy bulwarach w tym miejscu znajduje się strefa załadunku barek, jeśli się nie mylę, jest tam również targ winny, to miejsce uczęszczane przez magazynierów nawet nocą.

- Nic mi na ten temat nie wiadomo.

Trio zgromadzone wokół biurka i przerażającego obrazu zamilkło.

- A więc po ulicach Paryża włóczy się szalencie - podsumowała Faustine.

- Najprawdopodobniej cała grupa szaleńców! - poprawił ją Perotti, kręcąc palcami koniuszki wąsów - Powiedziałem wam wszystko, co wiem. Teraz proszę pozwolić mi zapytać, czy nie mogliby państwo przekazać mi pamiątnika Milaine. Wiem, że to niestosowna prośba, lecz nalegam: tylko ja tak naprawdę troszczyłem się o nią, sama mi to powiedziała! Wyznała też, że nie posiada bliskiej rodziny, i wiem, że pisała pamiątnik, mówiła o nim. Chciałbym się tylko dowiedzieć, czy pisała w nim o mnie. Czy w ogóle wymieniła kiedykolwiek moje imię?

Faustine ujęła jego dłoń i poklepała serdecznie.

- Przykro mi - powiedziała. - Milaine rzadko mówiła o poważnych sprawach, w rozmowach z nami zawsze wszystko obracała w żart. Nie wydaje mi się, by wspominała o pańskim istnieniu. Ale jestem pewna, iż nie podważa to faktu, że żywiła do pana ciepłe uczucia.

- Twierdzi pan, że prowadziła dziennik, jest pan tego pewien? - dociekał Guy

- Całkowicie, mówiła mi o tym.

Guy i Faustine wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Przecież przeczesali dokładnie cały pokój.

- No cóż, mamy tu do czynienia z inną tajemnicą - przyznał pisarz - gdyż nie znaleźliśmy

go. Może trzymała go w innej paryskiej kryjówce, w każdym razie pamiętnik rozpułnął się w powietrzu.

Perotti uniósł dłoń na znak, że ma pewien pomysł:

- Chyba że miała go przy sobie w momencie... zbrodni.

Z przejścia grdyka mu skoczyła, zamruął gwałtownie powiekami.

- Panie Perotti - powiedziała Faustine, patrząc na Guya - będziemy zmuszeni pana opuścić. Niestety pilne sprawy wzywają nas na drugi koniec miasta.

- Ależ nie - wtrącił się Guy - sędzę, że obecność policjanta będzie całkiem stosowna. Widzi pan, jesteśmy z Faustine nieprzyzwoicie ciekawscy, a śmierć naszej przyjaciółki zostawiła osobliwe ślady, które chcielibyśmy wyjaśnić dla uczczenia jej pamięci. Może zechciałby pan do nas dołączyć?

- Problem w tym, że... dziś po południu jestem na służbie.

- Mamy wystarczająco dużo czasu! Chodźmy, a jeśli wpadniemy na kogoś przed wyjściem, niech pan powie, że asystuje mi w pisaniu powieści.

- Ach, więc pan pisze?

Guy zdradził się. Zdusił w sobie złość na samego siebie, zaciskając pięści, i uśmiechnął się sztucznie.

- Usiłuję, bez większych sukcesów, trzeba przyznać.

Pośpiesznie wyprowadził inspektora na schody i zawrócił w progu, by rzucić do Faustine:

- Pan Perotti będzie mógł spotkać się z Victorem, nie ma więc potrzeby, by pani...

- Nic z tego! Idę i odegram swoją rolę. Nie zmieniamy planu! Nie znam tego Perottiego, nie ufam mu.

Guy złapał ją za rękę, przyciągnął do siebie i szepnął: - To bardzo zły pomysł! Przypominam, że gdzieś włóczy się osobnik lub nawet kilku, którzy lubują się w masakrowaniu młodych ładnych kobiet, takich jak pani, a wystawianie się na ich widok jest najgłupszą rzeczą, jaką można zrobić!

- Nie wiemy, czy są akurat na ulicy Monjol. I nic nie wskazuje na to, by morderstwa te miały się powtarzać. Może chodzi o byłe kochanki i teraz wszystko się już skończyło? Morderca lub mordercy wyrównali rachunki.

- Zabójstwa będą się powtarzać. Na pewno - stwierdził Guy z ponurą miną.

- Jak pan może być tego taki pewien?

- Jeśli zadbano o wyreżyserowanie tych zbrodni, to znaczy, że ktoś chce nam coś przekazać. I jak długo odbiorca lub odbiorcy tej wiadomości nie pojmą, o co w tym chodzi, tak długo makabryczny spektakl będzie się ciągnął, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Chyba że uda nam się zrozumieć ów przekaz i odpowiedzieć na niego, zanim będzie za późno.

9.

Poranek był pochmurny

Wiatr zaciągnął szarą zasłonę na słońce, uwydatniając paryskie cienie, drążąc ślepe uliczki i podwórka, nawet szczyt wieży Eiffla zdawał się - zagubiony gdzieś wysoko - ocierać swoim metalowym masztem o ciemne brzuchy chmur.

Guy zaciskał dłoń na gałce od okna tak mocno, że zbieleły mu kłykcie. Obserwował strome schody ulicy Asselin z pokoju hotelu Bel-Air dominującego nad okolicą ze szczytu niewielkiego wzgórza.

Już ponad pół godziny temu Faustine zniknęła na ulicy Monjol.

Martial Perotti zgodził się im towarzyszyć, odkrywszy jednak plan dwojga wspólników, zaprotestował żywo i uznał za szaleństwo, by Faustine sama zapuszczała się w ulicę Monjol. Tak piękna kobieta naraża się na najgorszą karę cielesną w podobnym miejscu!

Mimo to Faustine się uparła i wyruszyła z czarnym kluczykiem w kieszeni.

Teraz, czekając na nią, Guy uświadomił sobie, jak bardzo był niemądry. Głupotą było pozwolić jej tam pójść, wiedział to od samego początku, lecz teraz, gdy stał tak, zamartwiając się, gdy wszystko to stało się faktem, nabrał przekonania, że postąpił niczym zbrodniarz.

Faustine podjęła ogromne ryzyko.

Jak on mógł na to przystać?

Nie powiadomili Gikaiba zajętego sprawami Julie, więc jeśli coś potoczy się nie tak jak trzeba, Guy będzie mógł liczyć tylko na Perottiego,

o którym nie wiedział prawie nic. Czy w razie czego policjant stanie na wysokości zadania? Czy można mu zaufać?

- Panie Perotti, jeśli wolno zapytać, czy jest pan uzbrojony?

- Proszę mi mówić Martial. Nie, nie jestem. Nie dzisiaj. Prawdę mówiąc, nie sądziłem, że znajdę się tutaj.

Guy westchnął.

- Jeśli nie wróci za pięć minut, idę po nią.

- Nie czekałbym już dłużej! Mówiłem panu: to nie jest dobry pomysł, by wypuszczać ją samą, bez ochrony na ulicę Monjol. Nawet w dzień ktoś mógłby się na nią rzucić w wąskiej uliczce i w jakiejś ruderze poddać najstraszniejszym...

- Faustine jest nadzwyczajna, jeśli chodzi o sprzeciwianie się mężczyźnie - przerwał mu Guy - W tej sprawie jestem o nią całkowicie spokojny.

- A jeśli będzie ich kilku? Jeśli będą uzbrojeni w noże albo kawałki szkła? Chodźmy już. Szczerze sędzę, że tak będzie lepiej.

Guy uniósł dłoń, dając mu znak, by umilkł.

Na schodach prowadzących z ulicy Monjol pojawiła się właśnie postać odziana w suknię i zmierzała szybkim krokiem w stronę hotelu.

- To ona! - zawołał Guy
- Jest sama?
- Na to wygląda.

Przywitali ją z ulgą. Guy przyglądał jej się uważnie, chcąc się upewnić, że nic złego jej się nie przytrafiło. Miała zarumienione policzki, rozbiegane spojrzenie, piersi unosiły jej się i opadały gwałtownie. Czyżby się bała?

- Jak się pani czuje?

- Wolałabym umrzeć, niż żyć tam, muszę powiedzieć! Widziałam się z Victorem. Dołączycie do nas. Miał pan rację, Guy, chce nam pomóc,

ale ogarnia go paniczne przerażenie na myśl, że ktoś mógłby się o tym dowiedzieć. Nie mam pojęcia, kogo aż tak się obawia, ale to oczywiste.

- Nikt pani nie zaczepiał? - zdziwił się Perotti, jak gdyby właśnie wróciła mu wiara w człowieka.

- Ja... dałam sobie radę - zrezygnowano uchyliła się od odpowiedzi kurtyzana.

Kilka minut później Victor zapukał do drzwi i Perotti pośpieszył mu otworzyć.

Chłopak z puszką na górnej wardze zeszytywniał na widok większego towarzystwa, niż się spodziewał, lecz rzuciwszy ostatni raz okiem na korytarz, wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

- Więc naprawdę was interesuje moja Viviane?

Guy zauważył jego wysiłek, by wypowiadać się zrozumiałą francuszczyzną. Skinął głową.

- Do czego służy ten klucz? - spytał bez dalszych wstępów.

- To była jej chata. Jej miejsce. Znałem ją dobrze, czasami się mną zajmowała. W zamian miałem na nią oko. To znaczy starałem się...

Spuścił wzrok, wyraźnie zawstydzony.

- Proszę o niej opowiedzieć - poprosiła Faustine. Jak się znalazła na ulicy Monjol?

- Nic nie wiem. Nie gadała o tym. Zjawiła się może ze dwa miesiące temu, robiła, co do niej należało, i tyle. Ale to była... fajna dziewczyna. Piękna jak tulipan na wiosnę w tej swojej ulubionej czerwonej sukni, nie była zwiędła jak te inne dziewczyny! W głowie się nie mieści, taka uroda w takim brzydkim miejscu. Miła, chętna do pomocy, ciekawska, wszędzie jej było pełno, wtrącała się do każdej rozmowy, bezzębni ulicznicy odzyskiwali przy niej uśmiech. To nienormalne, co się jej przytrafiło. Nienormalne. Jakby dzielnica chciała nam przypomnieć, że ktoś miły nie może tu przeżyć.

- Biła od niej radość życia? - dociekała Faustine.

- Każdego dnia. W głębi duszy była zapewne najsmutniejsza z nas wszystkich, najbardziej melancholijna, ale najmniej to okazywała. Tylko ja to widziałem, tego nie można mi odmówić, widzę przez ludzi.

Perotti wtrącił się do rozmowy:

- Czy ktoś wie, kiedy dokładnie zniknęła? Czy są jacyś świadkowie?

- To było w sobotę dwa tygodnie temu, siódmego kwietnia. Tego wieczora widziano, jak

włoczyła się po ulicy z różnymi klientami. I nagle koniec, w niedzielę już jej nie było. Więcej nigdyśmy jej nie zobaczyli. Wiele razy zachodziłem do jej pokoju, dała mi klucz, ale nie było jej tam. Czy to prawda, to, co mi pan kiedyś mówił, że pańska przyjaciółka też zginęła? Myśli pan, że te sprawy mają jakiś związek?

Guy przytaknął.

- Nasza przyjaciółka również była kurtyzaną - wyznała Faustine. - Ona... zginęła w niezrozumiałych okolicznościach. Ten, kto to zrobił, musi być... szalony

- A jeśli odkryjecie, kim jest, co zrobicie?

Zakłopotana Faustine popatrzyła na Guya.

- Nie jesteśmy śledczymi - odpowiedział za nią pisarz. - To ciekawość pchnęła nas aż tutaj. Pragnienie, by uhonorować pamięć zmarłej przyjaciółki.

Krwawe zwłoki wygiętej w tył Milaine, przejmujący niezglębiony grymas twarzy znów ożyły w umyśle Guya.

- Robicie to, czego władze ani myślą zrobić: chcecie dotrzeć do prawdy. Trzeba było ich zobaczyć, jak tu przyszli: przewrócili wszystko do góry nogami i zaraz się zabrali. I nic więcej nie zrobili.

- Dlaczego wczoraj wsunął mi pan do kieszeni ten klucz?

- Bo wygląda mi pan na uczciwego człowieka. Pan rzeczywiście chce poznać prawdę. Coś znaleźć. To rzadkość u nas. Viviane była

moją przyjaciółką... powinienem ją chronić. Ja... zawiodłem.

Guy ujrzał ogarniający młodego człowieka smutek, który chłopak natychmiast odpędził, jakby w tej dzielnicy zabronione było odczuwanie emocji, okazywanie ludzkich odruchów, jakby coś takiego uznawano tutaj za wadę.

- A co ten pokój ma w sobie szczególnego? - spytał, by pomóc Victorowi dojść do siebie.

- Po kilku dniach nieobecności, tuż przed tym, jak pojawili się ludzie z prefektury, naprawdę zacząłem się obawiać, że Viviane przytrafiło się nieszczęście. Poszedłem więc do niej i trochę poszperałem. Powinniście to zobaczyć. Zajrzyjcie do szafy.

- Czy może nas pan zaprowadzić do pokoju Viviane?

- Nie. Ale mogę wam powiedzieć, jak tam trafić. Od tamtego czasu został już zapewne opróżniony przez sąsiadów, ale przy odrobinie szczęścia znajdziecie to, co tam jest naprawdę ciekawe.

- Victorze, chciałbym pana przeprosić za to, co się wczoraj stało - powiedział Guy

- Jesteśmy kwita. Trzeba było oddać.

- Dlaczego tak bardzo boi się pan, że ktoś zobaczy, jak pan z nami rozmawia?

Victor wytrzeszczył oczy, przypominał teraz istnego szaleńca.

- Wie pan, do czego są zdolni tutejsi. Trzeba szanować pewne zasady: nigdy nic nie mówić obcym, nasze problemy załatwiamy między sobą. A ten, kto się wyłamie... ryzykuje życiem. Ale Viviane... ona naprawdę była inna niż my wszyscy, zasłużyła sobie, żeby o niej mówić. Jeśli chce się pan dowiedzieć, co spotkało ją i pańską przyjaciółkę, to ja jestem za. Viviane nie była taka jak my.

- Może pan przecież robić, na co ma pan ochotę, pański lokal... musi przynosić zyski, prawda? - wtrącił się Perotti.

Victor stłumił ironiczny śmiech.

- Co pan myśli? Na ulicy Monjol najtaniej w całym Paryżu można znaleźć się w siódmym niebie, tu znajdzie coś dla siebie każdy zboczeniec. To przyciąga klientów, a tam, gdzie są pieniądze, tam szybko powstaje interes.

- Chce pan powiedzieć, że ktoś stoi za tym całym nieszczęściem i pociąga za sznurki? - próbował zrozumieć Guy.

Victor rzucił nieufnym okiem w stronę okna i odparł cicho:

- Jasne! Ja zarządzam, ale wszystkie pieniądze idą do kieszeni pewnego typu. Jak wszystko z ulicy Monjol.

- Co to za człowiek?

Victor oblizał wargi, po czym rzekł sentencjonalnie:

- Nazywamy go Królem Wszarzy.

Pierwsze krople deszczu spadły, gdy Faustine, Guy i Perotti przemierzali niezabudowany teren u zbiegu ulic Asselin i Monjol. Faustine unosiła przód sukni, by łatwiej pokonać wysokie trawy i ciernie tworzące gęste zarośla. Idąc za wskazówkami Victora, dotarli do dziury w parkanie z desek, za którym otworzyło się przejście na cuchnące moczem podwórko.

W bramie pięć kobiet odzianych w brudne lachmany zatrzymywało przechodniów, którym spieszno było ulżyć sobie za kilka groszy. Najstarsza z nich miała najwyżej dwadzieścia lat, a strzępy ubrania nie osłaniały już nic z jej intymności.

Guy miał wrażenie, że każdy budynek tutaj skrywa obrzydliwą kloakę, jak gdyby ulica ta stanowiła sama w sobie rynsztok cywilizacji.

Przemykając się za plecami młodych ladacznic, wspięli się tylnymi schodami aż na ostatnie piętro kończące się mrocznym korytarzem. Przez dwa okienka w dachu, o które uderzały coraz gwałtowniej krople

deszczu, sączyło się światło poszarzałe od zbliżającej się burzy.

- Powiedział, że to przedostatnie drzwi - rzekł cicho Guy

Nie musiał wkładać klucza do zamka, drzwi były zniszczone. Wszedł do służbówki, w której pozostał tylko siennik, pusty regał i olbrzymia szafa.

- Victor miał rację, miała tu gości, wszystko opróżniono.

- Oprócz mebli - dodała Faustine.

- Na razie...

Dla świętego spokoju Guy sprawdził mimo wszystko, czy nic nie zostawiono, wystarczyło jednak, że obrócił się wokół własnej osi, by się o tym przekonać. Świst wiatru wdzierał się przez szparę w niedomykającym się okienku.

Perotti stanął naprzeciw podwójnych drzwi z masywnego drewna.

- Szafa - powiedział.

Otworzywszy ją, Perotti nie znalazł nic prócz pustych półek i opróżnionej części na

wiszące ubrania. Wszedł do środka i zaczął napierać na plecy szafy

- Victor mówił, żeby ją odsunąć - przypomniała Faustine.

Perotti chwycił z dwóch stron tylną ścianę i pociągnął najpierw w jedną, potem w drugą stronę.

Płyta przesunęła się, odsłaniając kolejne pomieszczenie.

- Na Boga... - wyszeptał.

- Viviane musiała mieć spore dochody - zauważył Guy, przechodząc do drugiego pokoju podobnej wielkości.

- Żeby pan wiedział - odparł Perotti, wskazując na drążek, na którym wisiało kilka bardzo eleganckich sukien uszytych z luksusowych ozdobnych tkanin.

- Musiały sporo kosztować - stwierdziła Faustine - o wiele więcej, niż tutejsza dziewczyna mogłaby zarobić w rok!

- Czyżby hojny kochanek?

- Bogaty regularny klient, który miałby przychodzić na ulicę Monjol? - spytała Faustine z niedowierzaniem. - Z całą pewnością nie! Choćby dziewczyna była najpiękniejsza.

- Więc skąd te stroje? - zastanawiał się Perotti, otwierając szuflady toaletki skrywające kilka sztuk biżuterii, jedwabne wstążki, broszki z kosztownych piór, szpilki do kapeluszy z perłami i wiele par skórzanych rękawiczek.

Guy przykląkł nad egzemplarzem *Księżnej de Clèves* i fotografią przedstawiającą młodą dziewczynę w wieku czternastu lub piętnastu lat, pozującą w ślicznej białej sukni.

- Za młoda, by mogła to być ona. Czy Viviane miała córkę?

- W każdym razie nie brakowało jej pieniędzy.

Faustine znalazła skórzany portfel, z którego wystawały stufrankowe banknoty

- Na ulicy Monjol niemożliwe jest zebranie takiej fortuny! - dodała. - Od kiedy tutaj mieszkała?

- Od dwóch miesięcy, jeśli wierzyć Victorowi - przypomniał Guy

- Może to wszystko, co jej pozostało ze straconej fortuny? - zasugerował Perotti.

- Żadna kobieta nie ukrywałaby się na ulicy Monjol z własnej woli! - oburzyła się Faustine. - A już na pewno mając tyle pieniędzy! Większość woli nawet bytowanie w obozach nędzarzy pod murami Paryża.

- A zatem Viviane Longjumeau z własnej woli postanowiła zamieszkać w piekle! - stwierdził Guy.

Perotti wzruszył ramionami.

- Trzeba być szalonym!

- Lub szczególnie zmotywowanym - wtrącił Guy, potrząsając fotografią.

- Robiła to dla dziecka? Niemożliwe! Istnieją setki bezpieczniejszych i bardziej opłacalnych miejsc, gdzie można sprzedawać swoje ciało.

- Zgadzam się, a to nam pozostawia tylko jedno rozwiązanie. Która kobieta oddawałaby się za grosze w nędznej ruderze, mając środki, by uniknąć takiego losu?

Faustine zrozumiała.

- Kobieta, która szuka swojego dziecka.

- To jedyna odpowiedź - przytaknął Guy. - Nie widzę innej.

- Trafne rozumowanie - przyznał Perotti. - Ma pani zmysł analityczny.

Guy wskazał szerokim gestem niewielkie pomieszczenie.

- Viviane ukrywała część siebie, musiała się tu znaleźć z powodów osobistych, którymi nie chciała się dzielić. Zapewne sądziła, że jej córka...

Faustine i Perotti zaniepokoiili się, gdy na twarzy Guya pojawiło się nagle zaaferowanie.

- O co chodzi? - spytała kurtyzana.

Guy rzucił okiem w stronę tajnego przejścia, krew odpłynęła mu z twarzy.

- To nie jest normalne - powiedział.

- Co takiego? Guy, niechże pan mówi!

Guy rzucił się do okna.

- Za wysoko! Dachówki są zbyt śliskie podczas deszczu.

- Ale dlaczego? O czym pan myśli? - zawołał Perotti.

- Nawet jeśli Victor cenił Viviane, nie wyobrażam sobie, by po odkryciu takiego majątku nawet go nie tknął. A już na pewno nie dawałby klucza pierwszej lepszej osobie, która zainteresuje się jego zmarłą przyjaciółką.

Faustine natychmiast pojęła i uniosła dłonie do ust.

- Zasadzka!

- Tego się obawiam! Chodźmy, trzeba stąd jak najszybciej wyjść.

Guy już miał się rzucić w stronę szafy, ale nagle znieruchomiał przerażony.

Faustine i Perotti patrzyli, jak powoli się cofa.

Dźwięk deszczu łomoczącego w okno stawał się ogłuszający.

Wybijał rytm,

Odliczał czas.

10.

Guy zmrożony widokiem, który miał przed oczyma, unióśł ręce, jakby chciał uspokoić dzikie zwierzę szykujące się do skoku.

- Nie chcemy kłopotów - rzekł mniej pewnym tonem, niż zamierzał.

W otworze prowadzącym do pustej szafy pojawiła się sylwetka przysadzistego mężczyzny. Trzymał długie lśniące ostrze, a w jego oczach skrzyła się chciwość.

- Pora, żeby przetrzepać forsiarzy! I nie próbujcie wiać, jeśli nie chcecie, żebym was dziabnął. A wy, dwa eleganciki, do tyłu, żeby ta strojnisia mogła zrzucić łach!

Ze swych licznych młodzieńczych wypraw do dzielnic nędzarzy Guy zapamiętał wiele słów i wyrażeń ich osobliwej gwary. Pojął, że mężczyzna chce, żeby Faustine się rozebrała, i krew się w nim wzburzyła.

- Nawet o tym nie myśl! - odparł natychmiast, stawiając czoło oprychowi o twarzy czarnej od brudu.

Kończąc z groźbami, człowiek ów spróbował zatopić ostrze w brzuchu Guya, który uskoczył na czas, ocalenie zawdzięczając refleksowi. Do pomieszczenia wkroczyły trzy inne osoby, co uspokoiło mistrza noża.

- Zadżgam cię na miejscu, jeśli jeszcze raz to zrobisz! - warknął.

Victor pojawił się ostatni.

- Victorze - rzekł Guy ze zrozpaczoną miną - zaszło nieporozumienie, my...

- Wykończ ich - rozkazał młody człowiek, nie zwracając uwagi na pisarza. - I ruszać mi się, nie zamierzam dzielić się takim łupem.

Czterej złodzieje podeszli bliżej, przyglądając się ubraniom swoich ofiar z tak niewielką dozą człowieczeństwa w oczach, iż Guy zrozumiał, że życie ludzkie ma dla nich mniejszą wartość niż najdrobniejsza część garderoby i lepiej będzie nie stawiać oporu, chcąc zachować jakąkolwiek szansę na ocalenie.

Victor zbliżył się do Faustine z obleśnym uśmiechem na ustach.

Nie było żadnych wątpliwości co do jego intencji i Guy nie mógł tego znieść.

Nie mógłby patrzeć na gwałconą Faustine i nie interweniować. Nawet gdyby był pewien ceny, jaką trzeba będzie za to zapłacić.

Rzucił okiem na Perottiego, chcąc sprawdzić, czy może na niego liczyć. Na twarzy policjanta nie malowały się żadne emocje, jego brązowe oczka poruszały się szybko, jakby oceniał sytuację i szukał wyjścia z niej.

Guy pomyślał, że gdyby się poruszył, Perotti uczyniłby to samo. Ten człowiek miał więcej rozumu w głowie, niż się z początku wydawało.

Pięć lat trenowania boksu francuskiego pozwala zapomnieć o braku wprawy - powtarzał sobie, widząc podchodzących złodziei. Znał gesty, całe układy, technika była jego mocną stroną, utrzymanie równowagi, znalezienie oparcia - ruchy, które powtarzał tyle razy, że miał

wrażenie, iż umiałby wykonać je równie płynnie jak niegdyś.

Teraz jednak serce waliło mu w piersi jak oszalałe, ledwie trzymał się na nogach, bał się, że będzie zbyt wolny, bez odpowiedniej mocy

Oprych złapał go ręką za kołnierz, zdzierając z niego surdut.

Przeciwna ręka. Złapać nadgarstek, palce wokół dłoni, obrót w kierunku przeciwnym niż zgięcie przegubu, druga ręka naciska na łokieć przeciwnika. Kopniak w zgięcie kolana, by rzucić ofiarę na ziemię.

W okamgnieniu kieszonkowiec znalazł się na podłodze ze zwichniętym ramieniem.

Guy ruszył dalej bez namysłu.

Zapał się i wymierzył wściekłego kopniaka drugiemu rzezimieszkowi, odpowiednio wysuwając biodro, by ruch był czysty i silny.

Skórzany but trafił w żebra, Guy miał nawet wrażenie, że korpus zupełnie sflaczał mężczyźnie, który zgiął się wpół, straciwszy dech. Guy już był przy nim, pełnymi gracji ruchami wykorzystując umiejętności nabyte podczas tysięcy godzin treningów.

Prawy prosty, a po nim lewy sierpowy. Szybkie. Suche.

Pięści uderzały o skórę, o kość.

Guy rozpoznał ból kłykci, starego przyjaciela, synonim męskiej dumy - niemal za nim tęsknił.

Posłał mężczyznę na deski, zanim ten pojął, co się dzieje.

Tymczasem nadbiegły posiłki, trzech kolejnych rzezimieszków dołączyło do bandy.

Perotti starał się unikać ciosów noża, który świstał mu przed nosem. Faustine krzyczała. Victor usiłował przyprzeć ją do ściany, choć walczyła niczym tygrysyca.

Kątem oka Guy dostrzegł błysk metalu, zrozumiał, że oto otwiera się złożone ostrze, i skoczył w stronę okna, szykując się do kolejnego ciosu.

Trzech łotrów otoczyło go półkolem. Jeden trzymał nóż, drugi brzytwę, trzeci miał do dyspozycji tylko pięści. Sytuacja była niekorzystna. Bardzo niekorzystna. Tym razem nie miał złudzeń: kiedy tylko dotknie któregoś, żelazo potnie go na kawałki.

Faustine wydała z siebie wściekły okrzyk, który przyciągnął uwagę Guya.

Złamała właśnie Victorowi nos łokciem. Ten odwdzieczył się straszliwym policzkiem, który rzucił kobietę w kąt.

Ta chwila nieuwagi okazała się zgubna.

Napastnicy wykorzystali ją, by ruszyć do ataku.

Pierwszemu łotrowi Guy wymierzył kopniaka w przyrodzenie, po czym odepchnął uzbrojone ramię drugiego.

Chłód rozszedł mu się po przedramieniu.

Następnie poczuł uderzenie w policzek i zatoczył się aż na okno, którego się chwycił, by ustać na nogach.

Całe pomieszczenie falowało, obraz był niewyraźny, Guy nie był w stanie myśleć, a co dopiero się bronić. Już nie panował nad własnym ciałem, był oszołomiony, jak gdyby

zamknięto go w dzwonie bijącym na Anioł Pański.

Dostrzegł mimo wszystko dwóch mężczyzn rzucających się w jego stronę z zamiarem wykończenia go. Perotti był w nie lepszym stanie, oparty o toaletkę, z nożem na gardle. Victor trzymał Faustine za włosy, chcąc zmusić ją do posłuszeństwa.

Guy pojął, że już po nich.

Zachowali się nieostrożnie. Myśleli, że są silniejsi niż ulica Monjol.

A ta zniszczyła ich w niecałe pół minuty.

Wkrótce spadnie ostateczny cios.

Do pomieszczenia weszła jeszcze jedna osoba.

Wydała polecenie, ale nie przedostało się przez wacianą otulinę spowijającą Guya.

- Powiedziałem: puścić ich! - zakomenderował ponownie osobnik, tym razem krzycząc.

Sklepienie przestało wirować i Guy zdołał zamrugać powiekami, odzyskując powoli zmysły.

Ten, który przemówił, nie był znaczącego wzrostu, lecz zużyty cylinder dodawał mu powagi. Miał dobrze po trzydziestce, gęste czarne wąsy, krzaczaste brwi, nieogolone policzki i kilka nieprzyjemnych różowych blizn na brodzie i czole. Najbardziej jednak uderzające były niewielkie ciemne szparki jego oczu, którymi wodził po pokoju. Nie mrużył ich, a mimo to nie były szersze, niż gdyby usiłował dojrzeć statek daleko na morzu.

Dopełnieniem jego wyglądu była kamizelka od szarego garnituru, którą włożył na wytarty sweter z niebieskiej wełny.

Stał pewnie na nogach, ręce trzymając na opartej poziomo na ramionach lasce.

Stwierdziwszy, że panują nad sytuacją, złodzieje pomogli towarzyszom poturbowanym przez Guya wstać, a jeden z nich ich opatrzył.

- Ona jest moja, szefie! - rzekł pośpiesznie Victor, wskazując na Faustine. - To ja wszystko ustawiłem! Nadziani to wasz łup, ale ta dziewczka jest moja!

Mężczyzna w cylindrze ruszył powoli w stronę Victora, mierząc równocześnie wzrokiem trzech jeńców. Nie spojrzawszy nawet na młodzieńca z puchem nad wargą, zdzielił go gałką laski w mostek, aż chłopakowi zaparło dech.

Victor wydał z siebie żalosny świst, usiłując złapać nieco powietrza do płuc i trzymając się za klatkę piersiową. Pokuśtykał jak najdalej od swojego kata, zostawiając Faustine u jego stóp. Mężczyzna podał jej podrapaną dłoń.

- Mam nadzieję, że moi słudzy nie obeszlą się z panią zbyt brutalnie? - spytał tonem zbyt uprzejmym, by mógł być naturalny.

Faustine wzgardziła jego ręką i podniosła się sama. Patrzyła na niego z zaciśniętymi szczękami, przesywając go spojrzeniem szafirowych oczu.

Guy nigdy nie widział jej tak zdenerwowanej i domyślił się, że dziewczyna się boi.

Faustine była przerażona.

Victor natomiast trzymał się kurczowo ściany, próbując złapać oddech.

- Przykro mi z powodu tego nieporozumienia - rzekł ten, który musiał być, zdaniem Guya,

Królem Wszarzy. - Proszę przyjąć moje przeprosiny

- Słusznie! - oburzył się Perotti, obciągając marynarkę, wygładzając na niej fałdy i otrzepując się z kurzu.

Zarośnięta twarz zwróciła się w stronę inspektora, źrenice błysnęły wściekłością. Guy już myślał, że królewska łaskawość się ulotni, lecz zamiast tego mężczyzna odprężył się i uśmiechnął rozbawiony.

- To wy wtargnęliście bez pozwolenia na moje terytorium - stwierdził. - Jesteśmy w waszych burżujskich oczach tylko świniami, ale my także mamy swoje zasady. Kto je złamie, ryzykuje, że zostanie obrabowany

Guy zauważył, jak starannie dobiera słowa, mówi powoli, by nie dopuścić do głosu właściwego mu języka.

- Że przychodzicie ulżyć sobie z naszymi dziewczętami, to jedno, ale że zadajecie pytania i zawracacie nam głowę, to co innego - dodał.

- Nie chcemy się nikomu naprzykrzać, a tylko uczcić pamięć jednej z naszych przyjaciółek.

- Tak mi doniesiono. Zamordowanej. A mógłbym wiedzieć, w jaki sposób ulica Monjol wiąże się z tą sprawą?

- Nie wiemy tego, lecz prefektura trafiła na trop. Pan i ja dobrze wiemy, że nie ma co liczyć na nich, by uzyskać jakiegokolwiek informacje, więc robimy swoje, to, co naszym zdaniem jesteśmy jej winni.

- Wasza przyjaciółka była ladacznicą?

Tym razem Faustine nie zareagowała, zapewne sparaliżowana strachem.

- Tak.

Coś w wyrazie twarzy Króla zdziwiło Guya, wyraźny niepokój lub zakłopotanie, którego nie udało mu się w pełni zamaskować.

- Chciałbym zrozumieć: jesteście uczciwymi obywatelami, po kie licho narażacie się, przychodząc tutaj ze swoimi pytaniami? Ona zginęła, nic jej nie zwróci życia! Wyruszenie z krucjatą przeciwko temu, kto ją zamordował?

- Okoliczności jej śmierci są wyjątkowo ohydne - odparł natychmiast Guy. - A niemal całkowity brak zainteresowania ze strony policji w tej kwestii pchnął mnie do zasięgnięcia języka, tym bardziej że... - zawahał się bardziej nad określeniem niż nad chęcią zwierzenia się. - Tym bardziej że wszystko wskazuje na to, iż nasza przyjaciółka nie była pierwszą ofiarą tego potwora.

Król stanął tuż na wprost pisarza. Czarne szczeliny oczu przyglądały mu się z namacalną niemal uwagą.

- Przeszukać go - rzucił rozkaz swoim zbirom. - Nie, Emile, tylko panów!

Choć oburzeni tym traktowaniem, obaj mężczyźni nie zaprotestowali. Jeden z chłopaków zatrzymał się na dłużej przy portfelu Guya i wnętrzu jego marynarki.

- Nie dotykaj jego rzeczy! - rozkazał oschle Król Wszarzy. - Chcę tylko wiedzieć, czy są uzbrojeni.

- Nie, szefie, nic z tych rzeczy.

Król zdawał się usatysfakcjonowany.

- Przez chwilę sądziłem, że możecie być z wymiaru sprawiedliwości, choć nie przypominacie mi chamowatych podłych inspektorów, ale teraz już mam pewność, ci tchórze nigdy by tutaj nie przyszli bez broni! - Wsparł się na lasce, drugą rękę trzymając na biodrze. - A teraz powiedzmy, że znajdujecie tego, który zamordował waszą przyjaciółkę. Co robicie?

- Nie... nie wyobrażam sobie, byśmy mogli zająć aż tak daleko... - wybełkotał Guy, uświadomiwszy sobie nagle, że tak naprawdę nigdy nie zadał sobie pytania na temat finalizacji swojego przedsięwzięcia.

Do tej pory pchała go ciekawość i chęć zwalczania obsesyjnego wspomnienia zwłok Milaine. Z Faustine brali pod uwagę wsparcie działań policji, powiadomienie o tym, czego uda im się dowiedzieć, by śledztwo miało jakiegokolwiek szanse powodzenia, w gruncie rzeczy jednak nie był pewien, czy istotnie chce się dzielić zdobytymi informacjami. Co zrobi z nimi policja? Będzie nadal działać z takim samym widocznym brakiem zainteresowania czy istotnie kogoś aresztuje?

Musi stawić czoło prawdzie. Nie może już zaprzeczać, oszukiwać samego siebie. To, co go tutaj doprowadziło, było czymś więcej niż tylko żądzą wiedzy. To była żądza krwi. Możliwość zetknięcia się z gwałtowną śmiercią, zgłębienia jej meandrów. Poznania tego, co kryje się w zakamarkach duszy ludzkiej, w chwili gdy odbierane jest życie.

Guy marzył o tym od dawna. Chciał o tym pisać.

I przyzywając zbrodnię całym sobą, wreszcie został wysłuchany

- Przypomina mi pan rybę krążącą wokół przynęty na haczyku - wyznał Król Wszarzy, jak gdyby czytał w jego myślach. - Wie pan, że nie powinien się zbliżać, a jednak pletwy same kierują pana w tę stronę. Ma pan pełną świadomość, iż szaleństwem jest połknięcie przynęty, a mimo to zamierza pan to uczynić, czyż nie?

Guy przełknął ślinę i nic nie odpowiedział.

- A wie pan dlaczego? Bo to leży w pańskiej naturze. Jest pan myśliwym. Widzę to. W pańskiej postawie, w oczach! Prawdziwy myśliwy, wspaniały i zdeterminowany! Który się jednak ukrywa! - Król stłumił śmiech. - Sprawię panu cudowny prezent - ciągnął. - Podaruję panu trop, który doprowadzi pana do zdobyczy.

Guy poczuł wtedy ciepłą ciecz zalewającą mu ramię.

Krwawił.

11.

Zapach wina wypełniał całe piętro.

Woń wydzielana przez lampy naftowe, chociaż silna, nie była w stanie go stłumić.

Faustine, Perotti i Guy siedzieli na czerwonej ławeczce w salonie Króla Wszarzy. Wielkie ozdobne mosiężne lustra zakrywały większość ścian, przez co pomieszczenie zdawało się nienaturalnie duże. Ledwo wystarczało to jednak, by ukryć zniszczenia w pokoju. Plamy wilgoci widniały na gipsowym gzymsie, kariatydy podtrzymujące dwa kominki były pozbawione nosa, ramion lub piersi.

Na zewnątrz padał gęsty uporczywy deszcz, uderzał w szyby niczym armia ciekawskich wron.

Jedna z dziewczek ulicznych opatrzyła pobieżnie Guya przy użyciu odrobiny alkoholu i zabandażowała mu rękę kawałkiem materiału, który pisarz uprzednio zbadał pod kątem czystości. Rana była na szczęście powierzchowna. Ta pamiątka po starciu z nożownikiem będzie mu przypominać, jak niewiele brakowało, by skończył z podciętymi żyłami.

Król Wszarzy przysunął sobie fotel w spłowiałym kolorze i odłożył cylinder na stoliczek obok siebie.

- Jestem Gilles, choć ludzie zwą mnie zazwyczaj Królem Wszarzy. Są tacy, którzy obruszyliby się na taki mało chwalebny tytuł, ale tutaj trzeba radzić sobie z tym, co się ma: nędza naszą panią, uczyniliśmy więc z niej wzór wszelkich cnót!

- Jest pan wykształcony jak na...

Perotti, uświadomiwszy sobie, co ryzykuje taką bezczelnością, przerwał zmieszany w połowie zdania.

- Jak na nędzarza? - dokończył Król. - Proszę nie zapominać, że niebył istnieje tylko dzięki istnieniu materii. Zanim stałem się wszystkim tutaj, byłem nikim gdzie indziej.

Odkąd z nimi przebywał już bez swych owieczek, Król nie szukał właściwych słów, nie wahał się, po chwili stracił również twardy akcent i wysławiał się naturalnie.

Guy miał nade wszystko nadzieję, że Perotti nie zdradzi swej profesji, która w tym miejscu mogłaby postawić ich w nie lada przykryj sytuacji.

Skierował rozmowę na co innego:

- W jakim celu przyprowadził nas pan aż tutaj?

- Żeby wam pomóc. Jeśli troje uczciwych mieszkańców tego plugawego miasta zaczyna tropić potwora dręczącego jego niziny, można wzbudzić w sobie nadzieję na lepsze dni! Moim obowiązkiem jest wam asystować.

- Znał pan Viviane Longjumeau? - spytał czym prędzej Guy, jakby obawiał się zmiany nastroju.

- Tak. Ladacznica świeżo przybyła z Paryża.

- Ladacznica jedynie z pozoru, sądząc po tym, co zobaczyliśmy przed chwilą.

- Istotnie. Zadrwiła sobie z nas. Sądzę, że miała zamiar odnaleźć swoją córkę, Louise. Dziewczyna zjawiała się tu zeszłego lata bez grosza przy duszy. Miała ledwie piętnaście lat. Victor wystawił ją na ulicę w zamian za miejsce do spania i ciepłe posiłki. Podejrzewaliśmy, że uciekła z domu.

- Nikt nie chciał się niczego więcej o niej dowiedzieć? - zdziwił się Perotti.

Król rzucił mu pobłażliwe spojrzenie i Guy się wystraszył, że policjant został zdemaskowany.

- Na ulicy Monjol, mości panie, nikt dobrowolnie nie urzęduje, tu traci się godność. Ci, którzy tu kończą, rzadko mają ochotę opowiadać o sobie, a ci, którzy ich przyjmują, jeszcze mniejszą, by tego słuchać.

- I co się stało z tą Louise? - dopytywał się Guy

- Zniknęła. W połowie lutego, tuż przed pojawieniem się Viviane. Domyślaliśmy się, że coś dziwnego stało się z dziewczuszką, gdyż w tydzień po jej zaginięciu pojawił się mężczyzna zadający mnóstwo pytań na jej temat. Nie wyglądał na inspektora, raczej na jednego z tych gości z prywatnej agencji. Patrząc wstecz, wnioskuję, że zatrudniła go Viviane Longjumeau. Sądzę, że sporo czasu zajęło jej trafienie na ślad córki i gdy była już blisko, dziewczyna się ulotniła. Z tym że nie miała dokąd pójść. Musiała więc zostać porwana.

Faustine wyrzuciła z siebie agresywnym tonem:

- Ucieczka z tego miejsca nie byłaby rzeczą niepojętą, jeśli chce pan znać moje zdanie!

- Istotnie - przyznał Król. - Ale były już inne przypadki... Między wrześniem zeszłego roku a lutym zniknęło pięć osób. Nie licząc Louise i Viviane. Za każdy razem była to dziewczyna włócząca się wieczorem po ulicy. Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał.

- Mogły po prostu opuścić to piekło - obstawała Faustine.

- Ale nie porzuciłyby wszystkich swoich rzeczy. Gdy nie posiada się niemal nic, to owo „niewiele” stanowi całą naszą egzystencję. Jedna miała należność do ściągnięcia, nigdy nie odeszłyby bez tych pieniędzy, druga dwie bardzo bliskie przyjaciółki, nigdy nie zniknęłyby bez powiadomienia ich. Powtarzam: nie odeszły same, zostały porwane.

- Przez kogo? Czyżby miał pan... „konkurenta” w okolicy? - dociekał Perotti.

- Nie, nikt nie chce dziewczyn z Monjol, proszę pana. Dla wielu są ryszotkiem, nawet nie kobietami, stanowią zwykły upust dla nasienia.

- Czyli mała Louise znika w połowie lutego - podjął Guy wciągnięty w grę dedukcji. - Wkrótce potem prywatny detektyw przewraca dzielnicę do góry nogami, po czym pojawia się matka, Viviane.

- Tak. Mogę zagwarantować, że to jej matka, były do siebie podobne, ale wszystkiego domyśliłem się, dopiero gdy Victor znalazł jej sekretną kryjówkę. Choć było to przecież oczywiste. Rozpoznaliśmy Louise na fotografii. Podejrzewam, iż zrozpaczona matka, nie mogąc odnaleźć córki, stwierdziła, że jedynym rozwiązaniem będzie wtopienie się w środowisko, w jakim żyła, miejsce, z którego zniknęła.

- Ale mimo wszystko! - oburzył się Perotti. - Sprzedawać swoje ciało w takich warunkach!...

- Sądzi pan, że matka nie byłaby do tego zdolna, gdy w grę wchodzi odnalezienie ukochanego dziecka?

Król Wszarzy parsknął, zasłaniając usta dłonią, by po raz kolejny zakpić z naiwności Perottiego, który najwyraźniej nie wzbudził jego sympatii. Zwrócił się do Guya, na nim skupiając całą uwagę:

- Viviane wytrzymała tu dwa miesiące. Przez ten czas powoli zdobywała nasze zaufanie, zadawała pytania, między innymi na temat Louise. Aż któregoś dnia po prostu się ulotniła.

- Czy policja odwiedziła was w następstwie tego zniknięcia?

- Tak, dwa dni później. Narobili zamieszania, przesłuchiwali wszystkich, bez rezultatu. Viviane została zamordowana. To jedyna różnica w porównaniu z pozostałymi.

- Czyli policja nie interesowała się pozostałymi zbrodniami? - spytał Perotti.

- Nie było zbrodni, tylko zniknięcia. Żadnych zwłok, Viviane była pierwsza.

- Może nie zostały zidentyfikowane - zasugerował Perotti.

- Też o tym myślałem. Co trzy dni przez dwa miesiące wysyłaliśmy jedną z naszych dziewczyn do kostnicy na oględziny anonimowych ciał. Nic.

Guy odkrył, że w tej kloace istnieje mimo wszystko swego rodzaju solidarność. Żyjący tu ludzie troszczą się o siebie nawzajem i nawet Gilles, którego wziął z początku za krwiożerczego tyrana, interesuje się losem swoich dziewcząt.

- Czy domyśla się pan, co mogło pchnąć piętnastolatkę do ucieczki od matki, która najwyraźniej nie żyła w biedzie?

- Mała była uzależniona od opium. Palila cały czas. Nie ma co dalej szukać. Wciągnął ją „przyjaciół” pełen dobrych intencji i bardzo szybko popadła w uzależnienie. Nie ona pierwsza uciekła od rodziny, by dołączyć do bardziej eterycznego towarzystwa.

- A czy wśród rzeczy Viviane nie znalazły się żadne notatki, pamiętnik, korespondencja, coś, co pozwoliłoby trafić na jej ślad?

- Zupełnie nic. Wnioskuje z tego, że Longjumeau wcale nie było jej prawdziwym nazwiskiem. - Król Wszarzy wstał i rozpiął kamizelkę. - Powiedziałem wam wszystko, co powinniście wiedzieć. Wykorzystajcie to jak trzeba i usuńcie z naszych ulic tego, który porywa moje dziewczyny. A jeśli nie znajdziecie w sobie siły, by pozbawić tego śmiecia życia, dajcie mi znać, z przyjemnością uwolnię świat od jego obecności.

Odgadując, że spotkanie dobiega końca, Guy chciał się podnieść, lecz Król szybko go powstrzymał.

- Proszę się nie ruszać. Jesteście moimi gośćmi i nie odejdziecie stąd, póki nie skosztujecie mojego najlepszego wina.

Echa rozmów zagłuszały dźwięki pianina wygrywającego mazurka Szopena.

W dużej sali Café Anglais na bulwarze des Italiens było bardzo głośno, a w powietrzu królował apetyczny zapach pieczeni. Siedząc na obitej skórą ławce przy mahoniowo-orzechowej boazerii, pod wielkimi złożonymi lustrami, Guy wyrzucał z siebie przemyślenia:

- Podsumowując: dziewczyny z ulicy Monjol znikają sukcesywnie średnio jedna na miesiąc. W lutym przychodzi kolej na nowo przybyłą Louise. Jej matka, której udało się trafić

na ślad córki tuż przed porwaniem, postanawia zacząć żyć jak córka z nadzieją, że ją odnajdzie. Dwa miesiące później pojawia się na ulicy Monjol. To jedyna spośród... - przerwał, by policzyć w myślach. - Spośród siedmiu zaginionych, która została odnaleziona: martwa na nadbrzeżu w Jardin des Plantes. Do tego możemy dodać Annę Zebowitz i naszą Milaine. Dziewięć kobiet, które z całą pewnością nie żyją.

- Obawiam się, że istotnie tak jest - wtrącił Perotti, odsuwając talerz z niedojedzonymi szparagami. - Nikt nie porzywa kobiet, by więzić je przez tyle czasu, to nie ma sensu.

- Handel ludźmi? Sprzedaż na Wschód?

Perotti przyglądał wąsy, które zmierzwiły się po wytarciu serwetką.

- Po co jednak mordować połowę z nich? I to w tak odrażający sposób?

- Ma pan rację. Scenariusz, zapomniałem! A mimo to jestem przekonany, że ma on swoje znaczenie. Nikt nie zadawałby sobie tyle trudu, by przetrzymać taki spektakl, by go wręcz przygotować, gdyby nie miał ku temu porządnego powodu.

- Wygląda pan na takiego, co się na tym zna, czyżby przesiadywał pan w azyłach dla obłąkanych, znajdując tam pożywkę dla swych wizji?

- Nie, ale tworzę powieści. Jestem pisarzem - powiedział Guy, rzucając porozumiewawcze spojrzenie Faustine. - To sztuka wymagająca zmysłu obserwacji i empatii dla rodzaju ludzkiego. Przed stworzeniem

każdej postaci badam ją dogłębnie, docieram do najintymniejszych źródeł wyjaśniających jej prawdopodobne zachowanie. W przypadku naszej... sprawy stosuję te same filtry, których używam podczas kreowania własnych postaci. Nic w zachowaniu człowieka nie jest niespójne, wyłączając szaleńców oczywiście, ale nie sądzę, byśmy mieli do czynienia z kimś takim.

- A jednak natura tych zbrodni pozwala to podejrzewać!

- Wręcz przeciwnie. Morderstwa są złożone i dopracowane. Gdyby były dziełem wariata, panowałyby kompletny bałagan, a przede wszystkim widziano by go wielokrotnie. Sądzę, że powinniśmy oddzielić zbrodnię od tego, co ją otacza: od przygotowań do niej. W początkowym etapie człowiek może być skrupulatny, sumienny, podczas gdy morderstwa dokonuje się pod wpływem emocji, szybko. To chwila, gdy na masce zbrodniarza pojawia się rysa, ponieważ w takiej chwili może być tylko sobą. A nasz człowiek jest metodyczny i zorganizowany. Nikomu nie udaje się niepostrzeżenie popełnić tylu występków, jeśli nie podejmuje wyjątkowych środków ostrożności.

- Panowie - wtrąciła Faustine - te dedukcje budzą, widzę, wasz wielki... entuzjazm, co muszę przyznać, wprawia mnie w zakłopotanie.

Guy spuścił wzrok na resztki kaczki faszerowanej wątróbką z cebulą duszoną w czerwonym winie, którą przed chwilą skończył jeść.

- Proszę mi wybaczyć, Faustine, lecz istotnie czuję podniecenie na myśl, że może nam się uda osaczyć potwora, który zamordował Milaine.

- Widzę to i niepokoję się! Nie oburzajcie się: cieszę się, że pamięć Milaine jest uczczona waszym zapalem do ścigania jej mordercy, ale zarazem nie wiem, czy to bezpieczne...

- Czy nie pani przysłała się poskarżyć na obojętność inspektorów? Skąd ta nagła zmiana zdania?

- Ogarnęły mnie wątpliwości, to wszystko! Wczoraj zwierzyłam się wam, jakbym rozmyślała na głos, dzisiaj, patrząc wstecz, jestem pełna niepokoju. Przecież to nie wasza rola. Do licha, czyżbym tylko ja jeszcze drżała na wspomnienie tego, co nam się dzisiaj przydarzyło?

- Ależ nie! - przyznał Perotti, wyciągając drżącą dłoń ponad kieliszkami, by uspokoić Faustine.

Faustine nie tknęła swojego dania, soli po wenecku. Guy zauważył, że oddycha z trudem.

- Życie jest jak wielki kłęb włóczki - wyjaśnił. - Idziemy przez nie, każdy trzymając własną nić, a od czasu do czasu trafiamy na włókno innego koloru. Większość ludzi decyduje się je zignorować, nie wiedząc, czy nie wywlecze się ono z motka. To nasz wybór. Po raz pierwszy w życiu mamy szansę dostrzec czerwoną nić wplecioną w złożoną osnowę. Pytanie brzmi: czy zdecydujemy się ją porzucić, czy też uchwycimy się jej i niech się dzieje, co chce?

Faustine wypuściła łyk wody i podniosła swoje olbrzymie niebieskie oczy na pisarza.

- To właśnie pytanie, które sobie zadaję - przyznała.

- Milaine była pani przyjaciółką, to pani wybór. Ja osobiście już podjąłem decyzję. Król Wszarzy otworzył mi oczy i dojrzałem własną drogę. Nie mogę się dłużej okłamywać. Prócz żądzy zemsty, która mnie napędza, muszę przyznać się do realnej fascynacji tymi zbrodniami.

- Guy spuścił wzrok, wbijając go w ciepły jeszcze kawałek chleba. - Targają mną skrajne emocje, których zwykli ludzie rzadko doświadczają, i nie zamierzam się od nich uchylać. Wręcz przeciwnie, chcę wiedzieć. Chcę zbliżyć się do prawdy. To właśnie moja czerwona nić: przewodnik ku prawdzie. Nie zmuszam nikogo, by za mną poszedł, choć przyznam, panie Perotti, że ze względu na swą profesję byłby mi pan wielką pomocą!

Zagadnięty drgnął zaskoczony.

- Ja... Moja interwencja ogranicza się do tego, co zostało wykonane - powiedział. - Nie mogę posunąć się dalej...

Faustine nachyliła się w stronę Guya, ciemny pukiel wysunął się z upiętej niewidocznymi szpilkami i lśniącymi spinkami fryzury.

- Czy to... nie jest trochę niezdrowe?

Guy podniósł ramiona w geście wyrażającym wątpliwość i trzymał je tak dłużej chwilę, namyślając się.

- Czy nie jest niezdrowa raczej bezczynność w przypadku, gdy możemy pójść dalej? Czy nie byłoby to podwaliną naszej starości? Mamy możliwość zbliżyć się do przestępczej natury w najczystszej postaci! Gdyż taką właśnie posiada ten człowiek, powtarzalność jego szkaradnych występów jest na to dowodem. Osaczać go, to niczym analizować Kaina we własnej osobie. Dotykać źródła zbrodni!

- Nie człowiek przez pana przemawia - zmartwiła się Faustine - lecz powieściopisarz.

- To jedna i ta sama osoba! Jeden pobudza drugiego. Proszę mi wierzyć, moja droga, sens tych poszukiwań przekracza naszą wyobraźnię.

- To niebezpieczne! Dziś rano mogliśmy tam stracić życie!

- Dlatego też mogę się tylko upierać podobnie jak pani - wtrącił Perotti. - Panie Thoudrac-

Matto, opisuje nam pan pewną profesję, która nie jest pańską. Nie powinien pan podążać tą drogą, proszę mi wierzyć. Kryje się tu ryzyko, którego nawet pan nie podejrzewa.

- Jeśli fizyczne, gotów jestem stawić mu czoło. Jeśli moralne, z niecierpliwością na nie czekam.

- Co zamierza pan teraz uczynić? - spytała Faustine.

- Czy słusznie wnioskuję, że dołącza pani do gry?

- Ja nie patrzę na to jak na rozgrywkę, Guy lecz z pewnością nie

zostawię pana samego, obawiam się bowiem, iż to ja byłam lontem, od którego zapłonął pan zainteresowaniem tą szaloną sprawą.

- Nie, Faustine, jest pani płomieniem, który zapalił ów lont. Ponieważ lont istnieje we mnie, odkąd zamieszkałem pod waszym dachem, odkąd usiłuję pisać o złej stronie natury ludzkiej. Co do dalszych planów, chciałbym udać się do kostnicy.

Perotti nie krył zakłopotania.

- Drogi panie... niech pan pozostawi ten obowiązek zawodowcom, proszę mi wierzyć, że to nie...

- Dlatego właśnie potrzebujemy pańskiej pomocy! Proszę o nią w imię tego, co łączyło pana i Milaine.

Perotti wytrzeszczył oczy jakby na miejscu Guya ujrzał diabła we własnej osobie.

- Musimy dotrzeć do archiwum prefektury policji - ciągnął Guy. - Bez pana pomocy nie będzie to możliwe.

- Niech pan nawet o tym nie myśli!

Guy złapał go za rękę.

- Jestem zdeterminowany - oświadczył. - I pójdę do samego końca. Żadne prawo nie zabrania entuzjazmu.

Perotti przesunął kilkakrotnie językiem po wargach, dopił kieliszek białego wina, wreszcie odłożył serwetkę na stół.

- Podejrzewam, że jest pan jedną z tych upartych osób, którym nie ma sensu prawić kazań - odrzekł. - Lepiej więc będzie, jeśli będziemy trzymać się razem, niż żeby pan działał sam bez ładu i składu. Niemniej żądam przyrzeczenia, że udostępni mi pan pamiętnik Milaine.

- Jeśli go znajdziemy, obiecuję - odparł Guy

- Chciałbym też zobaczyć jej mieszkanie.

Guy czekał na reakcję Faustine, która przytaknęła.

- To oczywiste. Trzeba będzie jednak znaleźć panu pretekst do częstych odwiedzin u nas, w przeciwnym wypadku Julie zacznie nas podejrzewać.

- Julie?

- Pani de Saily, właścicielka lokalu. Milaine nigdy o niej nie wspominała?

Na obliczu Perottiego malowało się zaskoczenie.

- Nie - przyznał. - Chyba nie powinno mnie to właściwie oburzać, Milaine jest... była - przerwał na chwilę, by opanować wzruszenie - zwolenniczką sekretów. Nie chciała mi o sobie

opowiadać, wołała czuć się niezależna.

- Nie dziwi mnie to - oświadczyła Faustine. - Jak ją pan poznał?

- Na wernisażu pewnego artysty malarza. Była tam sama, ja również. Ja... nie jestem naiwny, szybko odgadłem jej... to, kim była. Ale urzekła mnie.

- Nigdy nie przyprowadziła pana na ulicę Notre-Dame-de-Lorette?

- Nie. Wiedziałem, gdzie mieszka, dała mi adres. Prawdę mówiąc, przechodziłem tamtędy wiele razy. Kiedyś zrozumiałem, że to nie pensja, lecz dom publiczny. Oczywiście nie miałem jej tego za złe. Milaine umiała tworzyć złudzenia, prawda?

Czując, że rozmowa schodzi na temat budzący emocje, Guy podsumował:

- A więc zostaje pan z nami, cieszę się bardzo, panie Perotti.

Uśmiech przywrócił blask obliczu Martiala Perottiego.

- Przynajmniej będę miał na pana oko - powiedział. - Co do archiwów jednak, niczego nie mogę zagwarantować.

- Jest pan z policji, czyż nie? Ma pan okazję to udowodnić!

Po czym Guy poklepał go przyjacielsko po ramieniu i wstał.

W powozie wiozącym go z Faustine w stronę Île de la Cité zdjął marynarkę i podwinął rozdarty rękaw koszuli, by sprawdzić stan bandaża z czerwoną plamą pośrodku.

- Cierpi pan? - spytała Faustine.

- Nie bardzo, prawdę mówiąc. To powierzchowna rana. Przede wszystkim obawiam się komplikacji, biorąc pod uwagę higienę panującą na ulicy Monjol. Boję się, że noże tych ludzi są siedliskiem najgorszych w świecie infekcji.

- Możemy zatrzymać się w szpitalu po drodze...

- To zbędne. - Guy odrzucił propozycję gestem. - Jedziemy tam, gdzie i tak jest mnóstwo lekarzy.

Stropiona tą odpowiedzią Faustine odsunęła się od niego, by lepiej mu się przyjrzeć. Rozmiary wnętrza powozu zmusiły ich do usadowienia się na tej samej ławeczce; halki zwiększały objętość jej sukni, toteż Faustine zabierała większość miejsca, do czego przyczyniało się również jej wełniane palto. Guy robił, co mógł, by nie naruszać jej terytorium, umieścił więc melonik i laskę między kolanami. Mimo to na każdym zakręcie zanurzał się w liczne miękkie i kolorowe warstwy tkanin.

Dach powozu był podniesiony, by chronić ich od deszczu. Wytworzyła się przez to pomiędzy nimi bliskość, która nieco onieśmielała Guya.

Uczucie to nasiliło się jeszcze, gdy przed Théâtre-Français na ostrzejszym zakręcie Guyem rzuciło na Faustine.

Pisarz przeprosił i czym prędzej wrócił na swoje miejsce świadom rumieńców na swoich policzkach.

- Przepraszam - powtórzył kilkakrotnie.

- Proszę nie przeproszać - powiedziała Faustine. - To nie pańska wina i...

Wyglądało na to, iż chciała coś jeszcze dodać, więc Guy powtórzył za nią:

- I?... Co chciała pani powiedzieć?

- Cóż... Po porannej przygodzie przyznam, iż pańska obecność sprawia, że czuję się bezpieczniej.

W tym momencie uczyniła coś, co Guyowi wydawało się całkowicie nieprawdopodobne: ujęła go za rękę i ścisnęła mocno.

- Bardzo się bałam - przyznała cicho, odwracając wzrok.

Guy pojął wówczas, jak dalece ta kobieta o urodzie rzucającej na kolana wszystkich mężczyzn stolicy emanuje niemal namacalną rozpaczą. Właściwie nic nie wiedział o niej, o jej życiu, o tym, co sprawiło, że została kurtyzaną, domyślał się tylko, że jest nieco od niego starsza - dawał jej jakieś trzydzieści lat. Czy jest zadowolona, że wykonuje profesję luksusowej prostytutki żyjącej z dnia na dzień? Czy zbiera pieniądze z zamiarem rzucenia pracy przy pierwszej nadarzającej się okazji? W gruncie rzeczy Guy miał wątpliwości, czy owa piękność o oszałamiającym spojrzeniu jest szczęśliwa.

Mogła co prawda wybierać swoich klientów, ale nie zmieniało to faktu, że większość nocy spędzała sama w wielkim pustym łóżu.

Faustine musiała czuć się straszliwie samotna.

Odwzajemnił zatem jej uścisk.

12.

Notre-Dame pojawiła się nagle w niewielkim okienku w zadaszeniu dorożki akurat w chwili, gdy ostatnie chmury się rozproszyły, by przepuścić złociste promienie na wilgotne dachy miasta.

Kamienny kolos królował na placu osadzony na masywnej kruchcie, a jego dwie dzwonnice z kloszami niczym opuszczone powieki górowały nad Paryżem. Łuki przyporowe na bocznych ścianach znaczyły zarys żeber, a iglica transeptu ubezpieczała jego tyły na podobieństwo najeżonego ostrymi kolcami ogona, dopełniając - zdaniem Guya - obrazu fantastycznego stworzenia.

Przemierzając wyspę, Guy nie mógł się powstrzymać od refleksji na temat plemienia Paryżjów walczących swego czasu przeciwko Rzymianom w obronie miejsca, które w przyszłości miało stać się wielkim Paryżem. Tylu współcześnie żyjących zawdzięczało być może swe istnienie owej garstce ludzi, w mniemaniu wielu barbarzyńców, którzy założyli osadę w cieniu drzew pośrodku tej niewielkiej wyspy. Upłynęło odtąd wiele czasu i tylko katedra była świadkiem zmian, które wstrząsały tym skrawkiem ziemi pośrodku rzeki, i krwi przelewanej na ołtarzu Historii.

Dorożkarz skręcił w ulicę Cloître-Notre-Dame, ominął skwer rozciągający się za pomnikiem, jak gdyby jechać mógł tylko śladem pięknych obiektów przypominających utracony Eden, po czym ich oczom ukazała się kostnica.

Oślonięta od słońca, stojąca w cieniu miejsca kultu, przypominała zapomnianą tu, na krańcu wyspy, rzymską świątynię. Dwa proste skrzydła

podtrzymywały główny budynek otwierający się trzema wysokimi łukami. Gdyby nie ponure kominy przebijające dachy po stronie oddalonej od ulicy, kostnica mogłaby uchodzić za relikwiarz prastarej cywilizacji przeobrażony w muzeum lub gmach urzędowy.

Dorożkarz wysadził Faustine i Guya na ulicy. Zbliżyli się do wejścia, gdzie tłoczyło się już i dyskutowało około dziesięciu osób. Kwaciarki wyciągały bukiety w stronę wychodzących z budynku ludzi - w większości bladych - wykrzykując atrakcyjne ceny

Do kostnicy już od kilku lat wejść mógł każdy i choć zwyczajowo przybywano tu w celu rozpoznania anonimowych ciał wystawionych w holu wejściowym, w rzeczywistości większość odwiedzających zjawiała się tu wyłącznie w celu zaspokojenia chorobliwej ciekawości. Doszło już do tego, że trzeba było „zobaczyć nieboszczyka choć raz w roku”, by uchodzić za odważnego świątelnego paryżanina.

Guya zdziwił mimo wszystko widok kobiet przyprowadzających dzieci na oglądanie zwłok, jak gdyby chodziło o wycieczkę do muzeum.

Minąwszy przedsionek, Guy z Faustine przedostali się przez tłum ludzi zgromadzonych przed tablicami, na których wisały dziesiątki zdjęć martwych ciał przyjętych do kostnicy. Weszli następnie do wielkiej sali wypełnionej echem stukotu obcasów uderzających o kamienną posadzkę i oświetlonej przygnębiającym bladym światłem, wpadającym wyłącznie przez okna w głębi i gubiącym się w wysokim pomieszczeniu, które rozmiarami przypominało

poczekalnię dworcową. Gapie defilowali wzdłuż długich szyb i gdyby nie ich zakłopotane miny, sądzić by można, że chodzi tu o witryny sklepowe w Bon Marché lub w Galeries Lafayette.

Lodowaty przeciąg wypełniał to miejsce - zimna pieszczota - przez co zdawało się, że kostnica jest w bezpośrednim kontakcie z królestwem

zmarłych i jakieś drzwi gdzieś w jej wnętrzu stoją otwarte, wionąc chłodem od zmarłych.

Dotarłszy na sam koniec sali, Guy usłyszał głuchy pomruk i w długiej wnęce za szybami rozpoznał chłodnię, niesłychany wynalazek zdolny utrzymywać temperaturę zera stopni Celsjusza przez cały rok, dzięki czemu rozkład ciał był powstrzymywany.

Guy zasugerował Faustine, by trzymała się na uboczu, dopóki sam się nie przekona, że Milaine nie została wystawiona na widok publiczny, i wyciągnął szyję, usiłując dojrzeć coś ponad tłumem ludzi, z których nikt nie zadał sobie trudu, by zdjąć nakrycie głowy.

Za szybami widać było mężczyzn i kobiety na blaszanych łóżkach, w ubraniach okrywających nagość ich sinych ciał, z głowami uniesionymi lekko, by lepiej wyeksponować rysy nieprzeniknionych twarzy. Numer wypisany kredą na niewielkiej tabliczce umożliwiał zgłoszenie ewentualnej identyfikacji zwłok strażnikowi drzemiącemu na taborecie. Ciała eksponowano przez czterdzieści dni, następnie niezidentyfikowane wysyłano do kolumbarium lub zbiorowego grobu. W niezmiennie jednakowym rytmie odbywała się tutaj żałobna parada ku czci osób zarówno bezimiennych, jak i rozpoznanych, lecz nie mających w Paryżu domu, w którym można by złożyć ich zwłoki: przez siedem dni w tygodniu, od dziewiątej do siedemnastej każdy, bez względu na wiek lub klasę społeczną, mógł zafundować sobie darmową dawkę grozy.

Milaine mieszkała w domu publicznym, który nie mógł przyjąć jej ciała, Guy obawiał się więc, że zostanie wystawiona bezwstydnie na spojrzenia gapiów. On zaś mógł poświadczyć jej tożsamość i składając pisemne podanie, zażądać złożenia jej w jednym z pomieszczeń na tyłach kostnicy. W gruncie rzeczy był przekonany, że Milaine musi tu gdzieś

być, wśród dziesiątek sinobladych postaci, i cieszył się, że zostawił Faustine z dala od tej wystawy

Tymczasem nie dostrzegał nigdzie rudych loków.

Czy to możliwe, że śmierć osłabia ognisty kolor włosów? Guy wątpił w to szczerze, mimo to wślizgnął się, przepaszając uprzejmie, pomiędzy dwie osoby, by mieć całkowitą pewność. Sześciu mężczyzn i cztery kobiety, ani śladu Milaine, nie miał już co do tego wątpliwości.

Zdumiał się, że jej tu nie ma. Wiedział, że wystawia się tu nawet topielców pomimo przerażającego wyglądu, podobnie jak wisielców z fioletowymi śladami od sznura na szyi. Milaine o karminowej skórze, zastygła w niepokojącym tańcu, nie powinna była stanowić wyjątku od reguły

Została zamordowana, to dlatego. Jeśli rozejdzie się wieść, że leży tu ofiara mordercy, cały Paryż przybiegnie ją oglądać, i zrobi się ścisk.

Guy pamiętał „poćwiartowaną kobietę”, jak ją nazywała prasa, którą znaleziono w Paryżu rok wcześniej. Sprawa stała się głośna i gdy tylko gazety poinformowały o złożeniu jej w kostnicy, całe miasto rzuciło się tam pchane groteskową żądzą silnych wrażeń, a rozczarowanie na wieść, iż ciało przechowywane jest w specjalnym boksie, z dala od spojrzeń ciekawskich,

wywołało liczne protesty.

Korzystając z tłoku, Guy podwinął rękaw i szybko zdjął bandaże, by przyjrzeć się ranie. Nacisnął na jej brzegi, aż pociekła krew.

Dał znak Faustine, by dołączyła do niego w głębi sali, w pobliżu miejsca, gdzie przesiadywał strażnik, którego zapytał:

- Czy są tu może lekarze?

- Oczywiście! Do licha, ci tutaj choć martwi, są jednak istotami ludzkimi, więc na lekarzy spada obowiązek zbadania ich, zanim zgniją w grobie.

- Dobrze się składa, wchodząc, zraniłem się o framugę drzwi...

- Tylko że... to nie szpital, nasi lekarze zajmują się martwymi, a nie...

Faustine dostrzegła wahanie strażnika i dodała:

- Widzi pan, że on krwawi! A jeśli wda się zakażenie? Chyba znajdzie się tu lekarz chętny opatrzeć wreszcie kogoś żywego?

Strażnik westchnął i spojrzał na Guya z politowaniem, jak gdyby ten był na tyle niemądry, żeby się zranić.

- Dobrze. Poczekać tutaj, sprawdzę, co da się zrobić.

Po chwili wrócił i poprowadził ich w stronę niewielkich żelaznych drzwi otwierających się na wąski korytarz oświetlony żarówkami elektrycznymi.

- Drzwi w głębi po prawej, doktor Ephraim zajmie się panem.

Niski mężczyzna o ciemnej brodzie i potarganych siwych włosach skrobał coś w zeszyt przy niewielkim blacie. Podniósł wzrok nad okrągłymi okularami i wstał. Zmarszczki mimiczne tworzyły bruzdy na jego czole i otaczały oczy.

- Dzień dobry, a więc zahaczył się pan? Proszę mi to pokazać - powiedział piskliwym głosem nie pasującym do włochatej fizjonomii. - Niech pan usiądzie naprzeciw mnie.

Faustine i Guy przywitani się, po czym Guy odsłonił nacięcie.

- Nie zrobił pan sobie tego teraz - burknął lekarz. - Widać tu zakrzepłą krew.

- Specjaliście od ran nie da się wcisnąć byle czego, prawda?

Niski człowieczek zdjął okulary i zagłębił się w fotelu.

- Czego państwo chcą?

- Najpierw przeprosić za to nieprzyzwoite zachowanie, ponieważ obawiam się, iż nigdy nie udałoby się nam dostać do pana bez tego

podstępu. Niegroźnego, proszę zauważyć. Nasza zmarła przyjaciółka została tutaj przyjęta. Byliśmy sobie bliscy i... Nie traćmy czasu: była to kobieta lekkich obyczajów, przyznaję, ale nadzwyczajnej szlachetności i o pięknej duszy. I... chodzi o ojcostwo. Była w ciąży i nie wiemy, kto jest ojcem. To kwestia wielkiej wagi dla dwóch zainteresowanych.

Lekarz westchnął znudzony tymi szczegółami.

- Nie wiem, co mógłbym zrobić, nie da się stwierdzić ojcostwa na podstawie martwego płodu. Medycyna to nauka, nie jasnowidztwo! Potrzebujecie wróżbity, a nie lekarza.

- Chodzi o to, że ona zawsze nosiła przy sobie pamiętnik i jej obecna tutaj przyrodnia

siostra chciałaby krótko rzucić na niego okiem, by rozwiać wątpliwości dwóch mężczyzn dręczonych przez żal i niepewność.

Faustine kiwnęła energicznie głową, robiąc jedną ze swych najsmutniejszych min.

- Nie będę wchodził do chłodni, by spełnić państwa prośbę, chyba że potraficie wskazać denatkę.

- Nie ma jej za szybą.

- No to się mylicie, nie ma jej tutaj.

- Mam wszelkie powody, by uważać inaczej. Piękna ruda kobieta, która nie mogła pozostać niezauważona, sądząc po jej stanie.

Po tych słowach lekarz wyraźnie się zmienił: zmrużył oczy i nachylił ku nim głowę.

- Ach, ta... Istotnie, nie dało się jej nie zauważyć. Wypełniałem formularz jej przyjęcia i mogę was zapewnić, że nie miała przy sobie pamiętnika, przykro mi.

- Jest pan pewien?

- Całkowicie, przeglądałem wszystkie jej rzeczy. Policja zawsze daje mi spis tego, co znajdzie przy ciele. Nic takiego tam nie było.

- Jestem... zawiedziony i skonfundowany. I zaskoczony, muszę przyznać.

- Przykro mi z powodu tych panów. - Ephraim wskazał na szramę. - Nawet jeśli skłamał pan co do chronologii, trzeba to opatrzyć. Proszę położyć tu rękę.

- Bardzo pan uprzejmy.

- Robię, co do mnie należy. Poza tym gdybym odesłał pana do szpitala, miałbym wyrzuty sumienia i Edna by mi to wypominała. Edna to moja żona. Ci rzeźnicy zadają sobie mniej trudu, badając żywych niż my zmarłych. To szczyt szczytów! Ach! Mam dla pana dobrą wiadomość: nie będzie potrzebne szycie.

Kiedy lekarz starannie bandażował ranę, Guy usiłował nawiązać ponownie dialog:

- Została zamordowana, wie pan? Nasza przyjaciółka jest ofiarą zbrodni.

- Współpracują państwo z policją?

- Niezupełnie. Ci dwaj inspektorzy prowadzący śledztwo są małowówni i trzeba to przyznać, opryskliwi.

Na twarzy Ephraima pojawił się uśmiech rozbawienia.

- Wie pan, o czym mówimy, nieprawdaż? - odgadła Faustine.

- O tak! Przychodzą tu często i ma pan całkowitą rację: opryskliwi to właściwe słowo.

Roześmiał się sucho, odkładając pincetę na metalową tackę i sięgając do leżącego przed nim otwartego pudełka po kompres.

- Ale to było morderstwo, mogę przysiąc - ciągnął Guy

- Jeśli czyni pan aluzję do ułożenia jej ciała, pragnę zauważyć, że mógł je również wywołać tężec lub silny atak epilepsji.

- Ale widział pan jej twarz? Ten grymas przerażenia?

- Mogłyby go tłumaczyć konwulsje.

- A ta cała wypocona krew? I czarne spojrzenie? Oczy zatopione w atramencie otchłani, którą musiała oglądać przed śmiercią?

- Nie wiem, co takiego oglądała przed zgonem, niemniej ma pan rację, te szczegóły przemawiają za nienaturalną śmiercią. Mimo to w moim zawodzie nigdy nie należy się zarzekać. Musiałbym ją dokładnie zbadać przed wypowiedzeniem się na ten temat, a rozumie pan chyba, że sprawozdanie składałbym naszym dwóm... przyjaciołom.

- Milaine nie jest pierwszą ofiarą, nieprawdaż?

Doktor Ephraim przerwał opatrywanie rany, by spojrzeć na Guya.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Widywał pan już kobiety zmarłe... w ten sposób... zastygłe w potwornych pozycjach, czyż nie?

- Na szczęście nieczęsto.

- A więc były i inne?

- Oczywiście! To kostnica, wszystkie zwłoki przechodzą przez nasze ręce!

- Naturalnie, ale chodzi mi o przypadki podobne do tego, jakim jest nasza przyjaciółka. Ten, kto jej to zrobił, ma już na koncie inne brutalne zachowania. Czy widział pan jego ofiary?

Ephraim potrząsnął głową.

- Nie wiem, skąd panu to przyszło do głowy, ale myli się pan.

- Mimo to... czy mogę zadać jeszcze jedno pytanie? - Nie czekając na zgodę lekarza, Guy mówił dalej przepełniony entuzjazmem i ciekawością: - Czy można niepostrzeżenie ukrywać ciała w Paryżu przez wiele miesięcy?

- Cóż za dziwne pytanie! Zaczynam się niepokoić!

- Jestem powieściopisarzem. Wie pan, jak Conan Doyle.

Ephraim skrzywił się, dając tym samym do zrozumienia, że nie należy do grona amatorów tego gatunku.

- W każdym razie niech pan nie pisze takich nedorzeczości w swoich książkach - powiedział.

- Gdyż coś takiego nie jest możliwe?

- Zapach, mój drogi! Czy nigdy nie popsuł się panu kawałek mięsa? Smród truchła!

- Nawet... zimą?

- Chłód spowalnia znacznie proces rozkładu, lecz gdy tylko powrócą cieplejsze dni, smród staje się niewyobrażalny

- A ciało obciążone balastem i wrzucone do kanału lub Sekwany?

- W końcu wypłynie. Zawsze. Pod wpływem gazów gnilnych lub jeśli jest dobrze obciążone, dopiero gdy rozkładające się członki oderwą się od korpusu i uwolnią zwłoki z pęt. Ejże, nie zamierza pan chyba umieścić tych chorobliwych szczegółów w książce? Kto ośmieliłby się czytać coś takiego?

- Zależy mi na dokładności, doktorze, to podoba się ludziom, a gdy chodzi o śmierć, któż nie jest nią zafascynowany?

Ephraim zrobił sceptyczną minę.

- W jakiej my epoce żyjemy - westchnął. - Wystawiamy zmarłych na widok publiczny, niedługo fotografie zwłok pojawią się w gazetach, a kinematograf będzie utrwał efekty rozkładu! Zobacz pan! Sądząc po tempie, w jakim wszystko się toczy A jeśli publiczności spodoba się taka śmiertelna dokładność, nie będzie końca tej eskalacji!

Chcąc wrócić do interesującego go tematu, Guy nalegał:

- A więc nie jest niemożliwe przechowywanie ciała zimą w piwnicy, by następnie pozbyć się go wiosną?

- Teoretycznie nie. W praktyce jednak to skomplikowana sprawa. Weźmy na przykład tę zimą: mieliśmy okresy odwilży, ciepłe wręcz tygodnie, a rozkład przecież wznawia się, gdy tylko ciało przestaje być zamrożone.

- Czy możemy to stwierdzić, oglądając zwłoki?

- Owszem. Pomocne mogą się okazać insekty.

- Insekty? - powtórzyła Faustine z obrzydzeniem.

- Tak, głównie muchy Jeden z moich kolegów, profesor Mégin, entomolog w Muzeum Narodowym Historii Naturalnej, prowadzi badania na ten temat. Potrafi w niektórych przypadkach określić moment śmierci z dokładnością do kilku tygodni, nawet gdy mamy do czynienia ze zmarłym przed wieloma miesiącami.

- Czy w ciągu ostatnich miesięcy wystawiano w chłodni wszystkie ciała kobiet bez wyjątku?

- Ograniczając się do tych, które nie zostały zidentyfikowane, tak, wszystkie bez wyjątku. Oczywiście były też takie, których stan nie pozwalał wystawiać ich na widok publiczny...

- Czyli?

- Topielice, które zbyt długo leżały w wodzie, osoby, których głowy zmiażdżone zostały pod kołami pociągu, ten rodzaj okropieństw, na którego oglądaniu ludzie nic nie zyskują.

- Czy są to liczne przypadki?

- Na szczęście nie. Większość z nich to wypadki ze świadkami, tożsamość zmarłych jest znana. No i proszę! Może pan wrócić do swojego manuskryptu. Niech pan jednak lepiej za kilka dni pokaże tę ranę lekarzowi.

Guy i Faustine opuścili uprzejmego lekarza i postanowili przejść się trochę, by zaczerpnąć powietrza i pozbyć się uczucia, że ich ubrania przesiąknięte są zapachem śmierci.

- Choć doktor Ephraim jest uroczą postacią, ta wizyta zmroziła nam tylko krew - żaliła się Faustine. - Czy nadal ma pan zamiar kontynuować poszukiwania?

- Bardziej niż poprzednio. Zdobyliśmy przynajmniej potwierdzenie,

że morderca Milaine ukradł jej pamiętnik i że nieszczęsne dziewczyny z Monjol nie trafiły do kostnicy. Posłańcy Króla Wszarzy nigdy ich nie zobaczyli w chłodni, wiemy też, że nie leżały na zapleczu. To dla nas bardzo cenne informacje, Faustine!

Szli wzdłuż katedry Notre-Dame po bulwarze de l'Archevêché, podziwiając przeciwległy brzeg dzielnicy Saint-Victor z jej wysokimi fasadami o wąskich oknach.

- Proszę mnie oświecić - zawołała Faustine - i wyjaśnić, jak udało się panu dojść do tych

wniosków!

- Analiza, moja droga! To samo bym zrobił, gdybym pisał powieść: układam fakty logicznie i spójnie. Wiemy już, że uprowadzono kilka kobiet, które nigdy nie zostały odnalezione, to mówi nam wiele o winnym: jest sprytny, zdolny do przemykania się niezauważonym. Tego nie można już nazwać szczęściem, to umiejętność. Ma opracowaną metodę! Ponadto jeśli poluje tak dyskretnie na danym terytorium, to znaczy, że doskonale je zna. To człowiek z tej dzielnicy, a przynajmniej z Paryża. Nie wyobrażam sobie, by przybywał z obrzeży miasta lub z jeszcze dalsza, wtapiał się w pełen ludzi, a zarazem potencjalnych świadków Paryż, jeśli żyje wśród nędzarzy stanowiących równie łatwą zdobycz. Nie, to paryżanin. Może nawet rdzenny paryżanin, jeden z tych, dla których mury obronne miasta stanowią granicę cywilizowanego świata, w przeciwnym razie nie wahałby się przed przekroczeniem ich i znalezieniem sobie innego terenu łowieckiego, co byłoby przecież o wiele mniej ryzykowane niż polowanie na ulicy Monjol. Rozumie pani?

- Tak, a zatem człowiek urodzony w Paryżu.

- Skoro wiemy, że nie zabija na miejscu, oznacza to, że zabiera gdzieś swoje ofiary. Nie wyobrażam sobie, by miał więzić kobietę w dorożce, a ponieważ chodzi o okres zimowy, byłoby w niej za zimno,

na dodatek mogliby ją usłyszeć przechodnie. Jeśli zgodzimy się co do jego pochodzenia, możemy sądzić, iż nie zabija i nie pozbywa się ciał poza Paryżem. Gdyby tak było, wolałby szukać ofiar na drogach, a nie w zaułku dziewiętnastego okręgu. Tak więc pozostaje nam stolica. Musi zatem dysponować miejscem do zabijania. Wystarczająco odizolowanym, by krzyki i uderzenia w ścianę nie zaalarmowały sąsiadów.

- Chyba że zabija je wcześniej.

- Na ulicy Monjol żadne ze zniknięć nie pozostawiło śladów: człowiek ten nie mógł niepostrzeżenie zabijać w żadnym pojeździe, jeśli nawet należy do niego. Nie sześć razy z rzędu! Jestem pewien, że dysponuje lokalem. Spokojnym, prawdopodobnie wystarczająco przestronnym, by więzić kobiety. Nie wiem, gdzie została znaleziona i gdzie mieszkała pierwsza z nich, Anna Zebowitz, ale pozostałe pochodzą z prawego brzegu Sekwany, kilka z ulicy Monjol. Czy polowałyby właśnie tam, gdyby tak mu nie było najłatwiej?

- Bo mieszka niedaleko?

- To bardzo prawdopodobne! A najbardziej przestronną dzielnicą Paryża jest właśnie Ménilmontant w pobliżu ulicy Monjol. Jest tam jeszcze wiele gospodarstw, rozległych ogrodów, lasów i rzadko rozmieszczonych domów.

- Jestem pod wrażeniem pańskiego talentu. Powinien pan wstąpić w szeregi policji!

Szczerocść komplementu wzruszyła Guya. Odczuł prawdziwą radość na myśl, że udało mu się zaimponować Faustine. Jego dość już podekscytowany umysł zawrzał, więc mówił dalej:

- To jeszcze nie wszystko. Trzeba przeanalizować scenariusz. Zawsze ten sam: nasz człowiek działa pod koniec dnia lub wieczorem, jeśli wierzyć Królowi Wszarzy, i zazwyczaj nie porzuca zwłok. Z wyjątkiem

trzech przypadków. Siódmego kwietnia ubiegłego roku zostawił Viviane, która jako jedyna z owych trzech pochodziła z ulicy Monjol. Dlaczego nie zabrał jej ciała? Skoro wiemy, że zabił jeszcze dwa razy gdzie indziej, wnioskuję, że z Viviane coś poszło nie tak. Wydarzyło się coś,

co zmusiło go do zmiany scenariusza. Mężczyźni, jak pani zapewne wie, są wierni swoim zwyczajom, dopóki ich zadowolają. Następnym razem zbrodniarz uderza na terenie Wystawy Światowej. Tu przyznam, że potrzebowałbym dodatkowych informacji. Wkrótce potem na ofiarę wybiera sobie naszą Milaine. Wszystkie to ład... kurtyzany. Obserwujemy też zwiększoną częstotliwość: wszystko dzieje się w ciągu dwóch tygodni. Jest tu jeszcze wiele ukrytych wątków, do których przeanalizowania potrzeba czasu. Ale wiemy już sporo: mamy do czynienia z człowiekiem sprytnym, pomysłowym, dysponującym wystarczającymi środkami, zapewne również zamkniętym środkiem transportu. Jest dobrze zbudowany, zdolny do przejścia kontroli nad kobietą, zanim ta zdąży podnieść alarm. Mamy podstawy, by sądzić, że jest paryżaninem mieszkającym prawdopodobnie w Ménilmontant.

- Trafne spostrzeżenia. A co pan sądzi o opinii Perottiego, jakoby sprawców było kilku?

- Wiem, że w Paryżu i jego okolicach czyhają bandy złoczyńców, modnie jest oskarżać ich o wszystkie zbrodnie świata, tym razem jednak wydaje mi się to lekką przesadą. Morderstwa są zbyt złożone, przypisałbym je wypaczonej osobowości, którą ciężko mi sobie wyobrazić w otoczeniu współników. Sądzę, że ci mogliby się po prostu bać.

- Kryminalista, który budzi lęk innych przestępców! - parsknęła Faustine.

- Tak, mniej więcej. Ci ludzie kradną, a czasami mordują przez oportunizm, z potrzeby, z braku kultury i z wielu innych powodów,

jakie uda nam się wymyślić, lecz nie są zafascynowani śmiercią, a tak właśnie rzecz ma się z naszym mordercą. Sądzę, że przyspiesza, gdyż jego fascynacja się nasila. Widzę tu raczej bardzo silnego mężczyznę niż kilku osobników.

- Przeraza mnie pan, mówiąc tak, odnoszę niemal wrażenie, że go pan zna.

- Pozostaje do odgadnięcia rzecz najważniejsza: konkretny powód.

- Szaleństwo. Tylko to mi przychodzi do głowy, Guy! To człowiek opętany, zbrodniarz niezdolny zapanować nad sobą. Nikt zdrowy na umyśle nie mógłby tak zabijać, i to nie raz!

- No właśnie mówiłem: on nie jest szalony. Nie w sensie utraty wszelkich punktów odniesienia, wręcz przeciwnie, ma dobrze zakorzenione zasady, choć inne niż nasze. I to nas różni. On zabija najwyraźniej dla... przyjemności. Podejrzewam jednak, że istnieje konkretna przyczyna tych zabójstw. Gdyż jest to człowiek inteligentny, nie mam co do tego wątpliwości, jego metody są na to dowodem. Działa rozmyślnie, przygotowuje się i zapewne za każdym razem wprowadza ulepszenia.

- Ale wyciąganie stąd wniosku, że przyświeca mu jakiś cel, wydaje mi się nieuzasadnione.

- Och, ten cel istnieje! Za każdą obsesją, za każdym osobliwym działaniem kryje się jakaś pobudka. Ludzie, którzy robią rzeczy tak absorbujące, czy to przez ambicję, czy też popychani niepohamowaną żądzą, mają swoją ukrytą intencję, swój cel. Czy chodzi o zdobycie fortuny, przypodobanie się krewnym, zapisanie w historii czy nawet... szalone morderstwo, wszystkie te niezwykle działania są owocem specyficznego zamysłu. W ten sposób buduję moje postaci i nigdy jak dotąd się nie pomyliłem, zawsze są wiarygodne, niemal prawdziwe.

- Tyle że nie mówimy o literaturze, Milaine naprawdę nie żyje...

- Proszę mi zaufać, moje refleksje na temat społeczeństwa są jak najbardziej słuszne. Tylko znajdując cel ukryty w cieniu jego zbrodni, uda nam się go powstrzymać.

Dotarli na dziedziniec przed Notre-Dame, lecz nie znalazłszy dorożki ani samochodu, który zawiózłby ich do Buduaru, skierowali się w stronę ratusza, gdzie na ulicy de Rivoli wsiedli do omnibusu. Nie skorzystali ze zmoczonych deszczem ławeczek na dachu, tylko usiedli na przedzie, za woźnicą, który puścił konie wolnym kłusem.

Faustine rozglądała się wokół zatopiona w myślach. Na krótko przed dotarciem do celu nachyliła się w stronę Guya i z lekko kpiącym spojrzeniem szepnęła:

- Czerpie pan z tego niezdrową przyjemność.

- Ależ skąd - obruszył się. - Jestem... zainteresowany, momentami podekscytowany, przyznaję, gdyż dotykamy delikatnej materii naszej cywilizacji, najwyższego tabu: morderstwa. Co gorsza, morderstwa powtarzającego się, jak gdyby nasz człowiek usiłował osiągnąć swoistą formę pierwotnej perfekcji, jak gdyby jego działania pozwalały mu zbliżyć się do rdzenia, do naszych ojców, do Kaina. Zastanawiam się, czy jego nawracająca potrzeba zabijania nie jest nieustanną odnową, która ma na celu uwolnienie go z jarzma narzuconego przez umysł i społeczeństwo, przez cywilizację. Sposobem na powrót do kwintesencji naszych instynktów...

- Odbieranie życia to uważanie się za Boga.

- I za... - Wyprostował się nagle. - Tak, także to. Uważanie się za Boga. Prawo do decydowania o życiu i śmierci. Ale zabraniam pani myśleć, że za moimi motywacjami kryje się coś chorobliwego. Stoimy w obliczu pasjonującego wyzwania intelektualnego, do głębi ludzkiego,

społecznego i przerażającego, biorąc pod uwagę stawkę, o jaką toczy się gra.

- Więc po co odwiedzać kostnicę, jeśli wszystkie te błyskotliwe dedukcje mógł pan przeprowadzić wcześniej?

- By mieć pewność. Poza tym doszedł nam pewien ważny element.

- Jaki?

- Dziewczyny porwane zimą mogą jeszcze żyć. Gdzieś za murami, skrywane za piwnicznym okienkiem lub drzwiami. To bardzo prawdopodobne, Faustine, nie wiem, z jakiego powodu, ale być może zabójca utrzymuje je przy życiu, w przeciwnym razie jak wytłumaczyć brak zwłok?

Faustine zanurzyła dłonie w fałdach sukni, skuliła się i przycisnęła łokcie do boków ogarnięta naraz niepokojem.

Nagle wystawne fasady paryskich budynków przyjęły formę gigantycznego labiryntu. Faustine poczuła się jak Ariadna więziona przez potwora i zdana na jego łaskę. W przeciwieństwie do niej nie miała nici, którą mogłaby podarować siedzącemu obok Tezeuszowi.

Miasto było niebezpiecznym labiryntem.

Minotaur jego strażnikiem.

Wyglodniałym strażnikiem.

13.

Z początku, gdy jeszcze była w stanie to robić, Louise jadła swoje włosy.

Jeden po drugim wrywała je i wkładała do ust, wysysała, wreszcie połykała.

Na skórze głowy pojawiły się łyse plamy.

Gest ten uspokajał ją, a także dawał nadzieję, iż oszpecona w ten sposób przestanie go pociągać.

Nikczemnego Lucyfera.

Diabła wcielonego o uprzejmej i życzliwej twarzy.

Skąd mogła wiedzieć, że za tymi pocieszającymi ją gładkimi szczupłymi palcami kryją się ostre szpony, że z tych budzących zaufanie ust wyłonią się kły?

Czy to diabelska moc pozwalała mu z taką łatwością oszukiwać ofiary, czy też Louise powinna gdzie indziej szukać przyczyn swego nieszczęścia?

W opium.

W tym ekstatycznym okręcie.

W okręcie, który wiozł ją na wielobarwne wody, na wzburzone morza lub w gęste, zdające się nie mieć końca mgły. Każda podróż była snem, zapomnieniem, wyzbyciem się swoich korzeni, opuszczeniem portu; za każdym też razem statek odwoził ją na brzeg, a ona żyła tylko po to, by móc zafundować sobie kolejną przejażdżkę na jego zniewalającym pokładzie.

Mimo to w miarę upływu czasu wycieczki stawały się coraz krótsze, mniej spektakularne, musiała wybierać się na nie częściej, by skompensować niedosyt.

Pył wodny osiadał na niej, nawet gdy znajdowała się na stałym lądzie. Przez ostatnie dni, zanim Lucyfer nie uwziął się na nią, nie było chwili, by nie słyszała szumu pełnego morza, jego wołania, bezustannie odczuwała fizyczną potrzebę rzucenia się do wody, ucieczki bez powrotu.

Zamiast portowego pomostu przyjął ją Diabeł.

Zaufała mu, jeszcze zanim się dowiedziała, kim naprawdę jest. Czynił wszystko, by uciszyć jej obsesję na punkcie pięknego statku marzeń, którym podróżowała tak często, jak tylko mogła. Starał się odwieść ją od odurzania się, przynajmniej na początku, chodził nawet za nią do palarni, by przyłapać ją na gorącym uczynku.

Nie umiała go odepchnąć, czuła do niego przywiązanie, był jej ostatnim łączem z tym, co pięknego miał w sobie rodzaj ludzki. Był jej nadzieją.

Matka nigdy jej nie rozumiała i gdy Louise zaczęła flirtować z opium, zdarzało się, że ją biła.

Stopniowo psuły się jej stosunki z ludźmi. Z bliskimi, z własną matką. Aż życie stało się piekłem.

W każdym razie tak wówczas sądziła.

Zanim poznała to miejsce.

Teraz Louise miała wyrzuty sumienia. Jakże okazała się głupia. Choć w przeddzień porwania miała przebłysk świadomości. Obudziła się jeszcze nieco odurzona z tym kompletnie nieznanym mężczyzną między nogami. Obolałe ciało zhańbione nocą. Przez godzinę brakowało jej powietrza, dusiła się w małej komórce na końcu korytarza, gdzie ukrywała się, by zaznać nieco spokoju, uciec przed klientami, których codziennie przyprowadzał jej Victor.

Wyszedłszy, chwyciła kartkę papieru i rozejrzała się za czymś do pisania. Nie było tego wiele, tylko kilka zdań do matki, prośba o przebaczenie.

I druga - żeby przyjechała po nią.

Po wysłaniu listu Louise natychmiast zaczęła żałować swojego odruchu.

Brakowało jej opium.

Tego łagodnego uprzejmego kochanka.

Nie miała czasu zastanawiać się dłużej nad tym, co powinna teraz uczynić, gdyż jeszcze tego samego wieczora przyszedł po nią Lucyfer.

Łatwy podstęp i sama otworzyła sobie drzwi do Piekła.

Do miejsca rozpacz, które niszczyło ją powoli.

Zimno, wilgoć, głód, to wszystko było niczym w porównaniu z głodem opiumowym.

Brakowało jej słów, by opisać tę lodowatą pustkę, która rozrastała się w jej wnętrzu. Jeszcze bardziej intensywną niż zimno; pustkę, która mroziła organy, mózg, ciało aż po koniuszki palców nie dających się rozgrzać.

Lucyfer zamknął ją tutaj, w jej własnym grobie, który będzie odtąd nawiedzać przez wieczność.

Skradł jej duszę.

Zaczął od zaufania, a następnie krok po kroku sięgnął głębi jej jestestwa.

Odbierając jej morskiego kochanka, odsłaniając jego prawdziwe oblicze, roztrzaskał na kawałki to, co pozostało w niej jeszcze ludzkiego. Jej dusza rozplynęła się w eterze świata.

Lucyfer bez wątpienia ją wchłonał.

Widziała obsceniczny błysk w jego spojrzeniu.

Mimo to ów inny człowiek przetrwał w nim. Ten, którego ciało przyjął. Czują od czasu do czasu jego obecność, gdy Diabeł przychodził, by ją torturować lub by z nią rozmawiać. W rzadkich chwilach słabości demona dostrzegała, jak na powierzchnię powraca strapiiony człowiek, którego wkrótce znów pożera Bestia.

Czują, że jest zropanzony, gotowy na wszystko, niemal jak ona.

Próbowała nawet z nim o tym rozmawiać, wyciągnąć go na powierzchnię; z początku prosiła o pomoc, zrozumiawszy jednak, że to nie działa, zrobiła coś strasznego.

Nakłoniła go, by odebrał sobie życie. By zniszczył diabelską powłokę, uwalniając ich spod władzy Lucyfera.

Wydawało się, że przyniosło to pewien skutek. Dwa razy wracał, aby jej wysłuchać.

Gdy za trzecim razem drzwi się otworzyły, Louise żywiła szaloną nadzieję, że oto przyszedł ją ocalić.

Nie miał jednak już w sobie nic ludzkiego.

Był Lucyferem. Tylko nim.

Długo ją bił.

Nigdy więcej nie ujrzała już człowieka, była tylko Bestia.

Ostatnio rzadko ją odwiedzał. A ona słabła.

Niezdolna się poruszyć, leżała na skrawku siennika w ciemnościach. Samotna, przerażająco samotna.

W wieku piętnastu lat Louise czuła, że jej życie trwało już zbyt długo, miała go dość.

Nagle z oddali dobiegły ją dźwięki śpiewów z Otchłani. Głucha rozdierająca monotonna melodia. Piekielny rytuał.

Louise poczuła ulgę.

Wiedziała, że Lucyfer będzie zajęty dłuższy czas.

Louise dobrze go już знаła: Lucyfer był tutaj u siebie i gdy podejmował inne demony, orgia zawsze trwała długo.

14.

Zapach karmelizowanego rabarbaru dotarł aż do salonu muzycznego.

Guy zajmował sofę, siedząc z wyciągniętą przed siebie jedną nogą, w rękę trzymając plik listów związanych niedbale sznurkiem.

Marguerite grała na pianinie, z początku kilka gam, po których przeszła do utworu Debussyego, by wreszcie zaimprovizować wesołą melodię. Cały dom zachowywał się tak, jakby Milaine nigdy nie istniała. Żeby zaprzeczyć jej śmierci. Ułatwić uśmiechy i dobry humor.

Nawet muzyka musiała być radosna.

Lecz pisarz nie słuchał pianina.

Był całkowicie pochłonięty głosem Milaine, a zwłaszcza jej amantów.

Listy znalezione w jej pokoju były przede wszystkim płomiennymi wyznaniem. Guy zidentyfikował sześciu adoratorów. Każdy z nich prowadził ożywioną korespondencję z kurtyzaną i choć Guy dysponował tylko odpowiedziami owych mężczyzn, ich treść nie pozostawiała wątpliwości: Milaine odpisywała na listy i podsycala owe epistolarne konwersacje.

Aż do pewnego momentu.

Wyglądało na to, że przechowywała całą korespondencję, a co ciekawe, ostatnie listy charakteryzował ton niezrozumienia, oburzenia i narzekania.

Mężczyźni żalili się, że nie otrzymują już od niej wiadomości.

Czytając między wierszami, Guy zrozumiał, że wszyscy żywili dla niej wielki podziw, niektórzy, bardziej dosadni, wychwalali jej zalety jako wyjątkowej kochanki, choć zdawali się niezdecydowani co do powtarzających się próśb Milaine, odnosząc się do nich zdawkowo w swoich listach, jednakże bez konkretów.

Po przeczytaniu tych stron nie można już było mieć wątpliwości, że Milaine uwodziła ich z zamiarem znalezienia sobie lepszych warunków życia. Chciała opuścić burdel, prowadzić życie utrzymanki z mieszkaniem, pięknymi strojami i bogatym kochankiem, który zabierałby ją do teatru i pokazywał innym mężczyznom jako dowód swojego wysokiego statusu społecznego.

Żaden z nich wszakże nie odpowiedział pozytywnie na jej prośby. Wszyscy ukrywali się za mało wiarygodnymi pretekstami bądź ograniczali się po prostu do zepchnięcia tego tematu „na później”.

Najwyraźniej gdy Milaine uznawała, że dany amant nie spełni jej oczekiwań, zrywała z nim kontakt z dnia na dzień ku wielkiej rozpaczce „nieszczęsnych mężów”.

Do saloniku weszła Marthe, niosąc talerz, a melodia pianina nabrała tempa, zmieniając się w utwór na trzy czwarte.

Marguerite krystalicznym głosem zaintonowała piosenkę o zaimprovizowanych naprędce słowach:

*Przyjaciel mój drogi
O imieniu Guy
Nie wychyla nosa
Z papierów swych stosu
Pisze mądre księgi
Jest łagodny i męski
Lecz najgłębszym z uczuć
Darzy swoją...*

Przerwała i zastygła z otwartymi ustami, z palcami na klawiszach, pozostawiając ostatni akord w zawieszeniu.

- Do licha! Brak mi rymu do „uczuć” - zawołała.

- Inspiruj się bardziej bohaterem - wtrąciła Marthe. - Mnie wystarczy na niego spojrzeć, a już mam brakujące słowo!

- Rzeczywiście! „Chuć”!

Obydwie wybuchnęły śmiechem i Marguerite podjęła przerwana improwizację:

*Lecz najgłębszym z uczuć
Darzy swoją chuć
Że to nie przelewki
Wiedzą wszystkie dziewczki
Bo ten młodzian słodki
Przeznacza swe środki
By nas przekabacić
I do łóżka...*

Ostatnie słowo Marguerite zastąpiła niskim akordem i znów obie z Marthe się roześmiały.

- Chciałbym, żeby Gikaibo usłyszał nas teraz - oświadczył Guy wyrwany z rozmyślań na dźwięk swojego imienia. - Niech przestanie uważać, że jedynym niestosownym umysłem w tym domu jestem ja.

- Proszę, Guy - powiedziała Marthe, podając mu talerz. - Karmelizowany rabarbar z truskawkami, pierwszymi z targu na placu Saint-Georges. Ocaliłam dla pana kawałek, gdyż ci panowie zapewne wszystko pożrą dziś wieczorem.

- Dziękuję, zgłodniałem już chwilę temu, czując ten zapach. Proszę mi powiedzieć, czy te nazwiska obły się już paniom o uszy, może to klienci? - spytał, odkładając talerz na sofę i sięgając po listy. - Philippe Daubant? Raymond de Castillac? Charles P? Jules Lamont? Auguste

Claudeweiss? I jeszcze jeden, chociaż nie wiem, czy chodzi tu o jego nazwisko, czy o imiona: Pierre Marie.

- Nic mi nie mówią - odparła Marthe.

Marguerite również pokręciła przecząco głową.

- Dlaczego? - spytała. - Chce pan użyć tych nazwisk w swojej książce?

- Być może - skłamał Guy. - Czyli żaden z tych panów nie jest tutejszym bywalcem, są panie pewne?

- Nie mam pamięci do rozkoszy, jaką mi dają, ale mam do twarzy i tożsamości - odparła Marthe jak zwykle szczerze. - Pan oczywiście stanowi wyjątek!

Oznaczało to, że Milaine wyszukiwała klientów poza lokalem. Czy Julie o tym wiedziała? Regularne nieobecności Milaine, nie mogące ujść niezauważone, były tolerowane przez Julie tylko dlatego, że przynosiły zyski. Czy miała jednak świadomość, że liczne kontakty Milaine wiążą się z jej zamiarem odejścia?

Guy budował sobie opinię na temat stosunków, jakie utrzymywała Julie ze swymi dziewczętami, tylko na podstawie tego, co zdołał usłyszeć, czasami również tego, co mu powtórzono. Właścicielka lokalu była kobietą autorytarną, lecz sprawiedliwą. Przydzielała dziewczętom zadania, nie zatrudniała służby, za to płaciła im lepiej. Tutaj wszyscy uczestniczyli w obowiązkach domowych, bogatym życiu społecznym; Julie czyniła wszystko, by z jej lokalu biła radość. Nie tylko w godzinach otwarcia, ale przez cały czas, i miało to być odczuwalne. Wprowadziła wiele zasad, jakie panują w domach publicznych na prowincji, poczynając od tej, która mówi, iż nie należy się spieszyć, rzadko spotykanej w Paryżu, gdzie często stawiano na „raz-dwa”. Tutaj panował nastrój świąteczny, przed pójściem do pokoiw na górze dyskutowano przy akompaniamencie muzyki, podjadano sobie, pito z dziewczętami. Żadna z mieszkanek Buduaru nie zaliczała kilku numerków jednego

po drugim, Julie dbała o to ze względu na klientów i na dziewczyny, „żeby było łatwiej”, jak mawiała. Czerwone latarnie przed wejściem - znak prowincjonalnych burdeli - świadczyły o tym, podobnie jak wspólne wejście: tutaj klienci mijali się, czasami wręcz znali i witali, a Julie nigdy nie była tak zadowolona jak wtedy, gdy jej dom zaczynał przypominać klub, miejsce spotkań, dyskusji, wspólnych posiłków i rozrywki.

Nie ulegało wątpliwości, że w Paryżu było to miejsce wyjątkowe pośród wszystkich innych domów publicznych.

Ale Milaine chciała pozycji. Pieniądzy.

Czy trafiła na niewłaściwego człowieka? Na takiego, którego nie należało brutalnie odtrącić? Czy doprowadziła go do ostateczności?

Mężczyzna, który nie znosi sprzeciwu. Choleryk. Jak rozpieszczone dziecko? Czy jak ktoś, kto nigdy niczego nie dostał i sam musiał wszystko zdobywać? Wychodzi na to samo, to ktoś, kto nie ma szacunku dla innych, kto przyzwyczajony jest wszystko dostawać, nie posiada natomiast umiejętności osiągania kompromisu, jaka powinna być nam wpajana w procesie edukacji. Uważa, że istnieją tylko środki, by zdobyć to, czego pożąda. Nieważne, że to istoty ludzkie, w razie potrzeby potrafi nimi manipulować - doskonały kłamca - nie odczuwając żadnych wyrzutów sumienia.

Guy uświadomił sobie, że stworzył właśnie wiarygodny, a zarazem szczegółowy portret człowieka, którego wcale nie znał.

Opisuję go takim, jakim malują go jego czyny. Jak w moich powieściach, gdy dysponuję faktami i muszę tylko otoczyć je postaciami. Bazując wyłącznie na faktach. Nasze czyny są bowiem przedłużeniem naszych osobowości. Akt to urzeczywistnienie myśli. Nasze działania to

podpis złożony przez umysł.

Miał ochotę bezzwłocznie zanotować swoje konkluzje, powstrzymywało go jednak drażniące uczucie, że zapuszcza się zbyt daleko.

Może Milaine nie była zwykłą ofiarą, lecz ich drogi skrzyżowały się po prostu w niewłaściwym momencie? Może wcale go nie odtrąciła? Nie znam wszystkich okoliczności... Może to nieśmiała osobowość, introwertyk wyrażający siebie wyłącznie poprzez akt zabójstwa...

Obrał niewłaściwą drogę na skróty. Jeśli chciał określić osobowość potwora, który zamordował Milaine i pozostałe dziewczyny, nie mógł niczego pominąć, każdy szczegół miał znaczenie, ten dotyczący metody działania, jak i wyboru zdobyczy.

Uświadomił sobie, że musi zrozumieć, kim były ofiary; morderca nie wybierał ich przypadkowo, musiały pasować do jakiegoś schematu postawą lub wyglądem, nie mogły tu decydować wyłącznie okoliczności - był o tym przekonany. W przeciwnym razie dlaczego porywałyby się systematycznie na prostytutki? Dlaczego nie na dzieci ulicy, łatwe zdobycze? Albo na żebraków, których zniknięcia nikt by nie zauważył? Nie - fakt, że jego wybór padł na prostytutki, nie był bez znaczenia.

Symbolizują rozkosz. Ale i poniżenie, szczególnie na ulicy Monjol. prostytutki to kobiety, których niewielu szanuje. Podkobiety w oczach wielu! Czy porywa się na nie, bo tak mu łatwiej? Czy tym sposobem odczuwa mniejsze wyrzuty sumienia, niszcząc istotę ludzką?

Guy poczuł, że trafił na ciekawą refleksję. Należało podążyć tym tropem.

- Wszystko w porządku, Guy? Ma pan dziwną minę - zaniepokoiła się Marthe.

- Tak, zamyśliłem się tylko.

- Nie wątpię. - Podeszła bliżej i ściszyła głos, by mieć pewność, że nikt inny jej nie usłyszy: - To z powodu Milaine, prawda?

Nie odpowiedział.

- Widzę, że dręczy pana ta sprawa. Prawdę mówiąc, wszystkie jesteśmy nią przygnębione.

- Ale Julie nie pozwala nam poruszać tego tematu - dodała Marguerite.

- Wie pan, kto mógł zrobić z nią coś takiego? - ciągnęła Marthe.

- Nie, a wy nie powinniście za dużo o tym myśleć. Julie ma rację, to przygnębiające wydarzenie, lepiej będzie pochować Milaine wraz ze wspomnieniami o niej.

- Ale to... to było morderstwo? - drażyła Marguerite.

- Nie mam pojęcia, to zadanie dla policji.

Guy zebrał swoje rzeczy i szykował się do wyjścia.

- Nawet nie tknął pan deseru, który panu przyniosłam - oburzyła się Marthe.

- Och, istotnie, bardzo przepraszam! Zabiorę go do siebie, jeśli pani pozwoli, mam kilka notatek do spisania - rzekł, składając im ukłon.

Wrócił, by zamknąć się na poddaszu i przelać na papier myśli.

Do kolacji zdążył wypełnić dziesięć stron analizami, dedukcjami i hipotezami.

I przekonał sam siebie, że wszystkie te kobiety nie zmarły przypadkowo.

Martial Perotti stanął u drzwi Buduaru późnym wieczorem, odczekał najpierw pięć długich minut, nie śmiąc zapukać, aż wreszcie w nagłym przypiływie odwagi ujął w dłoń kołatkę.

Otworzyła mu Julie we własnej osobie, po czym z zaskoczeniem na twarzy wskazała drogę na poddasze.

- Przedstawiłem się jej jako pański nowy wydawca, mam nadzieję, że słusznie postąpiłem - zeznał Guyowi nieco zakłopotany. - No bo czyja wizyta byłaby bardziej uzasadniona, jak nie wydawcy u pisarza?

- Bardzo sprytne z pana strony Proszę usiąść na tym fotelu. Przepraszam za stan tego miejsca, bałagan, nie przystoi przyjmować tu gości, a jednak cenię je sobie bardzo. Do tego jest niedrogie, a jako mój obecny wydawca wie pan, jak duże znaczenie ma to dla zapomnianego autora!

Żarcik zmniejszył skrępowanie obydwu mężczyzn.

- Mam dobrą nowinę - ciągnął Perotti. - Zdarzył się cud! Dałem łapówkę strażnikowi i archiwa prefektury stoją dla nas otworem pod warunkiem, że nie będziemy nikomu przeszkadzać i niczego stamtąd nie wyniesiemy.

- Wspaniale! Kiedy możemy się tam udać?

Perotti spojrział na zegarek, który wyjął z kieszonki kamizelki.

- Możemy wyruszyć już teraz, spodziewają się nas!

Guy uniósł ręce do góry w geście podziwu.

- Włożę tylko marynarkę i jestem do pana dyspozycji.

- Czy panna Faustine wybierze się z nami?

- Jest wieczór, drogi przyjacielu, a wieczorem ona pracuje. A co z pańską służbą, wszystko w porządku?

- Właśnie skończyłem dyżur. Popołudnie i wieczór za biurkiem, wśród papierów. Nic ciekawego, szczególnie w porównaniu z dzisiejszym porankiem.

Zeszli po schodach i Guy zatrzymał się na podeście pierwszego piętra, nadstawiając ucha.

- Wolałbym, żeby nikt nie zauważył, jak wychodzimy, nie chciałbym przeszkadzać klientom. Dobrze, możemy iść, słyszę, jak panowie śmieją się w dużym salonie.

Proszę za mną.

Musieli dojść aż do ulicy La Fayette, gdzie udało im się znaleźć dorożkę automobilową, która zwolniła przy nich, wydając z siebie głośne trzaski; pod pretekstem postępu technicznego i dostarczania atrakcji

kierowcy mieli tendencję do windowania cen, chyba że uzgodniło się je przed wyruszeniem w trasę.

Silnik warczał, pchając niewielki pojazd naprzód. Guy odczuwał moc, jakiej nigdy nie miał okazji doznać, jadąc zaprzęgiem konnym. Natychmiast uderzył ich silny pęd powietrza. Rozumiał już teraz lepiej, dlaczego kierowcy automobilów przywdziewają grube płaszcze, czapki i przylegające okulary.

Automobil raz w lewo, raz w prawo lawirował między otwartymi powozami, furgonami i bicyklami rowerami; pojazdów nie obowiązywały żadne konkretne reguły, które dotyczyły

wyłącznie pieszych: uważać, przechodząc przez ulicę! Wypadki z udziałem koni były w Paryżu chlebem powszednim, spowodowane natomiast przez automobile stawały się jeszcze częstsze. Mimo hałasu, jaki z siebie wydawały auta, prędkość czyniła je niebezpiecznymi.

Guy zauważył, że koła ślizgają się na ostrych zakrętach, i przez chwilę obawiał się, że pojazd przekoziółkuje. Jechali znacznie szybciej niż dwanaście kilometrów na godzinę dozwolone przez paryską prefekturę policji.

Ilekoć nimi rzucało, Guy krzywił się i chwycił za lewy bok - ból po ostatniej bójce dawał mu się jeszcze we znaki.

Latarnie gazowe, a następnie elektryczne defilowały obok nich coraz szybciej. Guy wczepił się kurczowo w uchwyt na drzwiach pojazdu.

Wreszcie zbliżyli się do Ile de la Cité i wież Conciergerie, których ciemne szczyty odcinały się na tle nocnego nieba. Światła w niemal wszystkich oknach długiego budynku były wygaszone, co było pocieszające. Guy nie miał bowiem ochoty zostać przyłapanym na szperaniu w archiwach, do których dostęp był zabroniony dla osoby postronnej, nawet jeśli znajdowała się w towarzystwie inspektora.

Na Pont au Change podziwiał wieżę zegarową, jej niepokojący średniowieczny wygląd, i zastanawiał się, czy wewnątrz znajdują się

jeszcze dawne cele. Epoka, w której królowie Francji obradowali tutaj, a głowy często spadały pod ostrzami toporów, nie była aż tak odległa. Na szczęście człowiek wynalazł gilotynę, nowocześniejszą i czystsza, ironizował Guy w głębi duszy.

W momencie gdy skręcali przy wieży, Guy zdołał odczytać godzinę na pierwszym publicznym zegarze Paryża odmierzającym czas od ponad sześciuset lat: była prawie dwudziesta trzecia.

Dobra pora. Guy czuł się swobodnie. Paryż jeszcze nie osunął się w otchłań snu, lecz drzemał spokojnie, o tej porze wszystko stawało się możliwe, wszelkie wahania przełamywało się znacznie łatwiej...

Perotti wyrwał go z zamyślenia:

- Oto i jesteśmy!

Wysiedli u wylotu Quai de l'Horloge, naprzeciwko pomnika Henryka IV

- O ironio - rzekł Guy sam do siebie.

- Proszę?

- Uważam, że to ironia losu: posąg zamordowanego króla naprzeciwko siedziby policji.

- Paryż kryje w sobie wiele paradoksów, jak sądzę. Chodźmy tędy. Wejście nie powinno być zamknięte.

Przeszli wzdłuż długiej fasady budynku i Perotti pchnął niewielkie drzwi, które zmuszały wchodzących do schylenia głowy, by nie uderzyć czołem o kamienne nadproże. Przemierzywszy długi korytarz i schody do piwnicy, znaleźli się w wielkim holu o łukowatym sklepieniu, wypełnionym regałami. Żarówki elektryczne zwisające z sufitu oświetlały przejścia, w ich blasku Guy zauważył ladę - siedzący za nią mężczyzna uniósł głowę znad gazety.

Perotti przywitał go, mężczyzna zaś, rzuciwszy okiem na boki, odpowiedział mu skinieniem głowy.

- To, co nas interesuje, znajduje się w głębi, wśród akt pierwszego wydziału prefektury policji.

Guy ruszył za nim bez słowa zafascynowany widowiskiem. Miał okazję znaleźć się w samym sercu paryskiego systemu sądowniczego, on, który marzył o napisaniu powieści kryminalnej. Tablice ustawione przy wysokich półkach odsyłały do poszczególnych sekcji: „Oddział ds. poszukiwań”, „Oddział ds. obyczajów”, „Oddział ds. prostytutki”...

Perotti uniósł palec wskazujący do góry, jakby szukał właściwej drogi, wreszcie ruszył w stronę rzędu drewnianych skrzynek, pomiędzy którymi piętrzyły się sterty papierów przewiązanych sznurkami.

- No to się udało. Wszystko powinno tu być ułożone według dat, a następnie alfabetycznie...

- Często tu pan schodzi?

- Jestem tu pierwszy raz! Strażnik mi wszystko wytłumaczył.

- Przyznam, że jestem podekscytowany! Znaleźć się w takim miejscu! Mieć dostęp do akt śledztwa! Cóż za okazja!

Perotti zrobił niezadowoloną minę.

- Nigdy nie twierdziłem, że będziemy mieć dostęp do akt, lecz do archiwów! Sprawa jest w toku, więc nie przeczytamy nic na jej temat, wszystkie dokumenty są w biurze inspektorów.

Guy był wyraźnie zawiedziony.

- W takim razie... na co możemy tutaj liczyć?

- Na to, że inspektorzy Legranitier i Pernetty nadal prowadzą śledztwo jak do tej pory: lekceważąco. Że nie przyszło im do głowy, żeby zejść do archiwum i sprawdzić, czy nie ma tu przypadkiem jakichś informacji na temat ofiar.

Po tych słowach Perotti ruszył wzdłuż rzędu akt z wyciągniętym palcem, nachylając się regularnie, by sprawdzić niektóre napisy.

- Czy naprawdę pan sądzi, że Pernetty i Legranitier nie interesują się tymi morderstwami? Przecież to wspaniały przypadek, jeśli mogę tak powiedzieć, dla specjalistów od spraw kryminalnych.

- Oni tylko wypełniają polecenia, decyzje podejmuje ktoś na górze, wysoko na górze!

- Skąd pan wie? Sądziłem, że nie utrzymuje pan z nimi bliskich stosunków.

- Mam zmysł obserwacji. Tego wieczora, gdy znalazł pan ciało Milaine, pojawiło się kilku inspektorów w cywilu, policjanci w mundurach, lecz nie było śladu po prokuratorze z waszej dzielnicy A przecież w wypadku czynów podlegających karze wyższej niż pięć lat więzienia prokurator powinien się obowiązkowo pojawić na miejscu zdarzenia, by spisać protokół. Takie jest prawo. Widział go pan? Nie. Jeśli Pernetty i Legranitier go nie powiadomili, to dlatego, że otrzymali specjalne wytyczne. Od prokuratora generalnego albo od kogoś uplasowanego jeszcze wyżej, nie mam pojęcia, ale jestem przekonany, że wypełniali tylko czyjeś polecenia.

Guy był oszołomiony Kto - i w jakim celu - wydał rozkaz, by nie otwierać śledztwa w

sprawie morderstw prostytutek?

- Mam nieprzyjemne wrażenie - rzekł w zamyśleniu - że ponownie przeżywam, tym razem we Francji, ohydną historię bestialskich czynów, jakie miały miejsce w Londynie, gdzie sprawcą był Kuba Rozpruwacz.

Perotti zamarł nagle w bezruchu.

- A to ci dopiero... - rzekł zdziwiony.

- Tak? Co się stało?

- Akta Anny Zebowitz są po prostu ogromne - powiedział Perotti, sięgając po plik dokumentów. - Wygląda na to, że dama ta była dobrze znana służbom prefektury!

Guy cofnął się i zaczął również przeglądać regały, wreszcie znalazł to, czego szukał:

- Nie uwierzy pan! - wykrzyknął. - Dokumentacja na temat Viviane Longjumeau również jest całkiem obfita!

Perotti zawrócił w stronę Guya.

- Jest pan pewien, że dotyczą właśnie jej?

- Tak, mam je tutaj!

Perotti zmarszczył brwi, na jego twarzy malowało się niedowierzanie.

- Ależ one nie powinny istnieć! - dziwił się. - Akta powstawały, zanim popełniono morderstwa, dotyczą wykroczeń popełnionych przez te kobiety. Tymczasem Viviane Longjumeau to pseudonim, nazwisko, które wymyśliła sobie, by funkcjonować incognito na ulicy Monjol, gdy przybyła tam w poszukiwaniu córki. Nie powie mi pan, że policji udało się stworzyć tę opasłą dokumentację na jej temat w ciągu zaledwie dwóch miesięcy. Weźmy to, trzeba przyrzec się temu bliżej.

Na dźwięk słowa „pseudonim” Guy poczuł się nieswojo. A jeśli i jemu założono podobne akta? Kusilo go, by rzucić okiem, lecz obecność Perottiego odwiodła go od tego zamiaru.

Usiedli przy stole znajdującym się pośrodku piwnicy, w kręgu światła elektrycznego padającego z sufitu wprost na dwie teczki. Śnieżnobiała aureola otaczała ręcznie wykaligrafowane etykiety z nazwiskami dwóch zmarłych kobiet. Perotti otworzył teczkę Anny Zebowitz jedną ręką, drugą zaś gładził nerwowo wąsy.

- Protokół z miejsca zbrodni - przeczytał na głos. - Do licha! Ależ to akta sprawy karnej!

- Sądziłem, że nie ma ich tutaj...

- Nie powinno ich tu być... Chyba że...

- Sprawa została umorzona, tak?

Perotti skinął powściągliwie głową w zamyśleniu.

- Tym razem mamy tu podpis prokuratora Republiki z szesnastego okręgu - przeczytał. - Annę znaleziono dwunastego kwietnia na szczycie

północnej wieży pałacu Trocadéro na Wystawie Światowej. Na dwa dni przed oficjalną inauguracją. Proszę! Oto raport zredagowany przez inspektora Pernettyego, któremu przydzielono tę sprawę wraz z kolegą Legranitierem. Przesłuchiwali osobę, która odkryła zwłoki, malarza. Mężczyzna był tak zszokowany makabrycznym widokiem, że Pernetty

szybko skreślił go z listy podejrzanych, twierdząc, co następuje: „Pan Pacrel był tak zbulwersowany, że plątał mu się język, oczy zachodziły mgłą, miał rozpalone policzki, a grdyka drgała w niepokojący sposób. Nie ulega wątpliwości, że pan Pacrel ma zszargane nerwy, a zatem nie mógł popełnić przestępstwa, gdyż takiego zdenerwowania nie sposób symulować”.

- Piękna proza - zauważył Guy

- Następnie przesłuchali posterunkowych pełniących dyżur na miejscu podczas trwania prac na terenach Wystawy Światowej. Żaden z nich nic nie widział ani nie słyszał. Ale jeden przyznał, że tej strefy wystawy niezbyt dokładnie się strzeże, tam bowiem mieszkają dzicy sprowadzeni z czterech stron świata, mający dostarczyć żywego spektaklu w pawilonach kolonialnych. „Ich głośnie biesiadne i cuchnące zwyczaje”, cytuję za policjantem, „przeszkadzają naszym kolegom, którzy owe ludy zostawiają samym sobie i nie zbliżają się do nich zanadto”.

- Ja chyba śnię! - oburzył się Guy - Cóż za profesjonalizm!

- Legranitier udał się na miejsce, by spotkać się z dzikusami. Oto, do jakich wniosków doszedł: „Ich liczba jest imponująca. Warunki życia zaś dalekie od tak niedogodnych, jak można by sądzić, jednakże większość z nich nie zna francuskiego, nie wie, jak się zachowywać ani jak się ubrać, toteż mężczyźni i kobiety chodzą nieobyczajnie odziani, a raczej powinienem napisać - rozebrani. Ich moralność jest niepoprawna, a zwyczaje tak dalece różnią się od naszych, iż nie sposób ich zrozumieć;

wydaje się więc prawdopodobne, że ohydna zbrodnia popełniona na Annie Zebowitz była ich dziełem, tak bardzo bowiem ich maniery oderwane są od obowiązujących w naszej cywilizacji”. A te plamy na papierze, najpewniej z tłuszczu, skłaniają mnie do podejrzeń, że pan Legranitier skosztował przy okazji potraw dzikusów! Ale proszę słuchać, oto, co pisze na koniec: „Rozmawiając z tubylcami z Konga Francuskiego, odniosłem wrażenie, że nie mówią mi wszystkiego. Sądzę, że się boją. Mieszkają niedaleko wejścia do pałacu Trocadéro, być może więc widzieli coś owego wieczora, lecz nie chcą podzielić się swą wiedzą. Nie ma sensu naciskać na tych dzikusów, gdyż nie zwierzą się oni nikomu”.

- Nie ma nic na temat samej ofiary? Jak ją zidentyfikowano?

- Proszę poczekać... Ten gruby plik to raporty wszystkich strażników miejskich, robotników, rzemieślników i architektów przesłuchiwanym pod pretekstem, że pracowali na miejscu zdarzenia i mogli usłyszeć lub zobaczyć coś w przeddzień odkrycia zwłok... Inspektorzy nie podali im prawdziwego powodu tych przesłuchań, by ukryć wiadomość o zabójstwie.

- Gdy się mówi zbyt oględnie, rzadko zdobywa się przydatne informacje.

- O! Mam to, o co pan pytał: Anna Zebowitz. Identyfikacja dokonana na podstawie listu uwierzytelniającego znalezionej w jej kieszeni. prostytutka, 24 lata. Inspektor Pernetty uznał, iż prostytutka znaleziona martwa na terenie Wystawy Światowej w przeddzień oficjalnego otwarcia musiała zostać wpuszczona przez osobę prowadzącą tam prace wykończeniowe i zapewne przyszła z niedaleka. Działał więc etapami: chodził z fotografią ofiary od najbliższego sektora znanego jako dzielnicą prostytutek po najdalej położony i wypytywał chodnikowe pracownice, czy aby jej nie rozpoznają. Wkrótce panie z placu Concorde

zidentyfikowały ją. Tożsamość Anny Zebowitz została potwierdzona. Mieszkała w osiemnastym okręgu Paryża. Brak znanych dzieci oraz męża. Brak sutenera. „Pochodzenie prowincjonalne” zdaniem znających ją dziewcząt. Nie wybierała klientów, szukała jak największego zysku, czasami nieostrożna, nie wahała się wychodzić poza obręb Concorde: transakcje dokonywały się zazwyczaj w zaroślach w dolnej części Pól Elizejskich z klientami najczęściej niezamożnymi, o ile tylko podsunęli jej pod nos kilka monet. Prostyucja na placu Concorde rozkwita zazwyczaj dopiero późnym wieczorem i trwa tylko nocą, lecz Anna należała do grupy tych, które pracowały również za dnia i były regularnie zatrzymywane przez policję obyczajową.

- Pan również był na miejscu, prawda? Czy widział pan coś szczególnego?

- Niestety niewiele, jestem początkującym inspektorem, jak pan zapewne wie, i nie powierza mi się zbyt odpowiedzialnych zadań. Widziałem nieszczęsną Annę, nigdy nie zapomnę tego widoku! Następnie poproszono mnie o przeczesanie całego pałacu Trocadéro, by upewnić się, że nie ma tam nigdzie śladów krwi, porzuconych ubrań lub narzędzia zbrodni. Niczego takiego nie znalazłem.

- To, co panu teraz powiem, być może pana zaskoczy, ale proszę dać się wciągnąć w tę grę. Niech pan sobie wyobrazi, że człowiek, który popełnił te zbrodnie, jest zwierzęciem. O jakim by pan pomyślał?

- O lwie, tygrysie, może o wilku. Dlaczego?

- Drapieżniki. Które polują.

- Szukają pożywienia. To nie ten przypadek! Na szczęście zresztą.

- Tym się różnią, ale mimo wszystko mamy do czynienia z drapieżnikiem. A jeśli zwierzęta polują, by się najeść, nie wydaje mi się bezsensowne stwierdzenie, że nasz człowiek również ma swój powód. Czy pan

kiedykolwiek polował?

- Ja? Jak to? - spytał Perotti wyraźnie nieswój.

- Ze strzelbą, łukiem albo jakąkolwiek inną bronią.

- Na Boga, nie!

- Więc powiem panu, panie Perotti, że myśliwi mają swoje zwyczaje. Ulubioną broń, którą czasami dostosowują do upatrzonej zwierzyny, do terenu łowieckiego. Kaliber, model i tak dalej. Mają swoje przyzwyczajenia, wybierają miejsce, typ zwierzyny, sposób działania, tropienia, zabijania...

- Chce mi pan powiedzieć, że zabójca Milaine jest myśliwym?

- Na swój sposób tak. To mi przychodzi na myśl, kiedy zbieram razem wszystkie dane. Jego działania się powtarzają. Dzięki temu czuje się pewniej, polując, jest gotów zabijać.

Perotti dotknął palcem teczki z aktami Anny Zebowitz. - I sądzi pan, że zabija prostytutki, bo taki ma zwyczaj, bo dzięki temu czuje się bezpieczniej?

- To jedno, ale myślę też, że nie wybiera ich przypadkowo. Zrozumiałem to, słuchając pana, jeśli można tak powiedzieć. Anna i Milaine były do siebie podobne. Były gotowe na wszystko, byleby...

Nagle Guy przerwał i spojrzał na Martiala Perottiego, uświadomiwszy sobie, co łączyło go z Milaine. Entuzjazm, który właśnie go ogarnął, opadł i Guy usiłował teraz dobrać słowa, by wyrazić się jak najdelikatniej.

- Panie Perotti... - zaczął.

- Martial. Proszę mówić mi Martial.

- Dobrze. Martial, muszę powiedzieć to panu wprost. Bardzo przepraszam, ale jestem panu winien kilka informacji na temat Milaine.

- Zaczynam się bać.

- Ona... miała wielu mężczyzn, to już pan wie. A wie pan również dlaczego? Milaine zależało na pozycji. Zgadzała się na wszystkie możliwe spotkania, mając nadzieję, że w końcu trafi na właściwą osobę. Nie zadowalało jej bycie miłym towarzyszem na wieczór lub dwa, celowała wyżej.

Perotti przełknął z trudem ślinę i skinął głową.

- Wiedziałem o tym - powiedział cicho. - Milaine nie zawsze była najlepszą aktorką. Ale jestem panu wdzięczny za szczerość.

- Biorąc pod uwagę to, co teraz robimy, była konieczna. Widzę pańskie przywiązanie do niej i nie umiem kłamać na jej temat.

- To uprzejmy sposób, by mi powiedzieć, że nie powinienem mieć złudzeń: przywiązanie Milaine do mnie miało wyłącznie podłoże finansowe. Wiem o tym. I być może zaskoczę pana, lecz moim celem było umożliwienie jej porzucenia życia lad... kurtyzany - poprawił się.

Guy poklepał go przyjaźnie po wierzchu dłoni.

- Jestem pewien, że przy panu czułaby się spełniona. Proszę mi wybaczyć, że poruszyłem ten delikatny temat.

- Zależało mi na niej mimo tego, kim była. Dlatego dzisiaj przyszedłem tu z panem. Dlatego udałem się rano na ulicę Monjol. Gdyż żywiłem do niej szczere uczucie.

Miał zaczerwienione oczy. Odwrócił wzrok i zaczął przeglądać akta, chcąc ukryć żal.

Guy wykorzystał chwilę i kontynuował swoją myśl:

- Milaine i Annę łączyła gotowość uczynienia wszystkiego dla pieniędzy i brak ostrożności. Jeśli dodamy do tego fakt, iż Viviane Longjumeau była równie zawzięta i zdecydowana, by odnaleźć swoją córkę, otrzymujemy trzy odważne ofiary będące jednocześnie łatwymi zdobyczami, które bez trudu można było zwabić gdzieś na ubocze. A więc wszystkie ofiary łączy kilka cech! Powtarzam panu: morderca nie zabijał

przypadkowych osób. Wybrał właśnie je, podejrzewam też, że są jeszcze inne kryteria, z których nie zdajemy sobie jeszcze sprawy.

- A ta teczka? - spytał Perotti, wskazując na akta w rękach Guya. - Dotyczy morderstwa Viviane Longjumeau?

Guy rozwiązał sznurek i odwinął tekturowe skrzydełko, po czym pochylił głowę.

- Tak, ta sprawa również została umorzona.

Przejrzał różne dokumenty w teczce, protokoły sprawozdania, szkice, raporty z sekcji, wreszcie trafił na fotografie z miejsca zdarzenia.

Zdjęcia o zbyt dużym kontraście, czerń pochłaniała wszystkie szczegóły, a biel raziła w oczy, a jednak to nie wystarczyło, by zamaskować grozę sceny. Bruk uliczny pochłonięty przez kałużę otchłani, życie rozlane na kamieniu. Viviane Longjumeau leżała na boku ze spódnicą podwiniętą aż po uda. Nie sposób było zliczyć rozdarcia na materiale sukni, tyle razy nóż zadawał jej ciosy. Miała opuszczone powieki, ale usta otwarte, jakby spała w komicznej pozycji z opadniętą szczęką.

Zmarłą otaczały dziesiątki nóg i koła wozów.

Więcej zdjęć, pod innymi kątami. Guy patrzył jak zahipnotyzowany na twarz Viviane. Do tej pory traktował śmierć jako nowy stan, jaki przyjmowało ciało po ukończonym życiu. Skonfrontowany wszakże z widokiem tej kobiety nie miał już wątpliwości: śmierć nie istnieje jako taka, jest wyłącznie całkowitą nieobecnością życia, konsekwencją, tym, co pozostaje po rozplynieciu się ostatnich okrucichów egzystencji. Opadająca dolna warga, bezwładne niedomknięte powieki, niemożność utrzymania napięcia mięśni, które nawet we śnie nadają ciału pewną spoistość w obliczu siły ciężenia - oto czym jest śmierć. Życie polega na walce z przyciąganiem ziemskim. Na zdjęciach Viviane była już tylko gnijącym rozpadającym się owocem oczekującym na rozkład.

- Chce pan, żebyśmy wyszli się przewietrzyć? - spytał Perotti.

- Nie, wszystko w porządku.

- Tu są takie same zdjęcia w sprawie Zebowitz, ale wołałem nic panu nie mówić, gdyż są równie... bezwstydne.

- Viviane zginęła w nocy z soboty siódmego na niedzielę ósmego kwietnia, na nadbrzeżu w pobliżu Jardin des Plantes. Żadnych świadków. A mimo to walczyła, inspektorzy odkryli ślady krwi na odcinku ponad dwudziestu metrów, plamy, rozbryzgi, odciski stóp, wszystko świadczące o tym, że żyła dłuższą chwilę i usiłowała uciec.

- Czy są tam szkice śladów stóp?

- Nie zauważyłem. Viviane wystawiono w kostnicy wśród anonimowych ciał okrytą kocami, tam rozpoznała ją jedna z ulicznic z Monjol. I jeszcze... została zgwałcona.

- Tak się nie stało w przypadku Anny ani Milaine, jeśli wierzyć temu, co widziałem na ulicy. Nie miała rozdartej ani podwiniętej sukni.

- To nie świadczy jeszcze, że nie została zgwałcona. Muszę się tu panu z czegoś zwierzyć: zauważyłem białawą substancję w jej ustach, niestety zęby miała zaciśnięte, nie sposób było przyjrzeć się temu dokładniej.

- Myśli pan o...

- O nasieniu? Nie mam pewności.

- Rozumiem.

Perotti przyjął cios.

- A, jeszcze panu nie powiedziałem, że Viviane nie została zgwałcona przez mężczyznę, lecz przez przedmiot. W intymnym miejscu znaleziono figurkę.

- Mój Boże! - zawołał Perotti, zasłaniając usta dłonią. - Jaką figurkę?

- Nie zostało to sprecyzowane. Mówię panu, że śledztwo prowadzi strasznie niechlujnie.

Seria zdjęć zamordowanej Viviane tak bardzo zbulwersowała Guya, że czuł się niemal intruzem we własnym ciele.

- Dlaczego część ofiar miałyby zostać zgwałcona, a część nie? - zastanawiał się na głos.

- Może znał je osobiście i nie odważył się? - zasugerował Perotti. - A może nie zdążył?

Gdzieś trzasnęły drzwi, odgłos rozniósł się po całej piwnicy, podrywając obu mężczyzn z miejsca. Czekali czujni, szykując się do ucieczki, aż wreszcie upewnili się, że nikt nie zszedł na dół. W głębi długiego przejścia między regałami Guy dostrzegł strażnika za ladą pograżonego w lekturze. Nie mrugnął nawet.

Perotti przewracał kartki w swojej teczce, aż zatrzymał się na ręcznie spisany dokument z dołączonym do niego szkicem anatomicznym.

- Raport z sekcji zwłok Anny Zebowitz - przeczytał. - Lekarz stwierdził otwartą ranę klatki piersiowej. Ciosy zadawano ostrym narzędziem, najprawdopodobniej nożem. Były tak liczne, że spowodowały rozerwanie powłok brzusznych, co wyjaśniałoby, dlaczego jelita ofiary rozrzucone były po ziemi. Brutalnie poderżnięto jej gardło, choć zdaniem patologa jej serce nie biło już wówczas, nie było bowiem śladów rozprysniętej krwi na ścianie w pobliżu głowy O mój Boże, proszę posłuchać: odcięto jej język, tym razem mamy do czynienia z raną powstałą wiele godzin przed śmiercią. Co ciekawe, lekarz sądzi, że zabito ją na miejscu!

- I co w związku z tym?

- Biorąc pod uwagę całą tę krew na schodach, sądziłem raczej, że została przeniesiona i że podczas transportu... rozsypała się. Przepraszam za tę dosadność...

Guy machnął ręką, jak gdyby ponure szczegóły nie robiły na nim wrażenia.

- Jeśli lekarz ma rację, to morderca musiał być cały we krwi. Jak udało mu się przemknąć niepostrzeżenie ulicą?

Perotti wzruszył ramionami i wrócił do swojej sterty papierów.

- Plamy po niezidentyfikowanej substancji oleistej - relacjonował - znaleziono na sukni i skórze nieszczęsnej kobiety.

- Niewiele to wnosi do naszych poszukiwań.

Młody policjant odchylił się na krześle i wrócił do wspomnień.

- Jest jeszcze coś... Mówiłem już panu, że patrząc na to, co zostało z tej nieszczęsnicy, nasunął mi się obraz piekieł. Ona naprawdę została porzrucana... I chyba nie myłę się, mówiąc, że była... niekompletna.

- Niekompletna? Może pan to sprecyzować?

- Brakowało niektórych narządów, a przynajmniej ich fragmentów. Wnętrznosci leżały na zewnątrz. Nie były kompletne. Nawet ktoś, kto nie studiował medycyny, mógłby to stwierdzić! Dlatego uważam, że zabito ją, a następnie przeniesiono. Nie wyobrażam sobie nikogo, kto by uciekał z ludzkimi organami w kieszeni!

- Co na to lekarz?

Perotti zagłębił się ponownie w raporcie. Po chwili skinął głową i przeczytał na głos:

- „Brak płuc, serca oraz żyły głównej górnej, łuku aorty oraz lu...”

- Brak? To znaczy?

- Nie znaleziono ich.

Guy gwizdnął cicho.

- Prawdziwa rzeźnia - mruknął. - I sporo tajemnic. Nie dość, że ją... zgwałcił, to jeszcze znechał się, podcinając jej gardło po śmierci? Dziwne.

- Podejrzewam niekontrolowane działanie w napadzie wściekłości - stwierdził Perotti. - Gniew narasta, w miarę jak napastnik zadaje ciosy biednej Annie Zebowitz, w końcu jest tak oszołomiony, że go ponosi.

- Oszołomiony nie wydaje mi się tu właściwym określeniem, oślepiiony raczej, nie sądzi pan?

- Być może, nie jestem specjalistą w tej dziedzinie. Prawdę mówiąc, któż nim jest?

Guy wycelował palec wskazujący w Perottiego oskarżycielskim gestem.

- Oto kogo nam trzeba. Specjalisty.

- Ma pan na myśli tych ludzi, którzy pracują nad psyche? Leczących zaburzenia psychiczne i innych eksploratorów mózgu?

- Nie myślałem o uczniach Charcota, raczej o zręcznym analityku ludzkiego charakteru i drapieżniku zarazem.

- Tu przyznam, że nie wiem, o kogo panu chodzi, zabił mi pan ćwieka - przyznał Perotti.

- No jakże to, Martial: samotny człowiek obeznany ze swoim rodzajem, człowiek, który rozkłada bliźnich na czynniki pierwsze, a każdego dnia bierze na warsztat ludzką duszę!

- No cóż... to pan!

- Owszem, powieściopisarz! Ale nie byle jaki! Musi być pisarzem, ale także jednym z tych nielicznych ludzi, którzy znają instynkty drapieżnika, gotowi są wszystko poświęcić dla obławy, nieobce im są jej sekrety, bo spędzili całe życie, polując, wiele godzin z rzędu, wiele dni bez wytchnienia.

- Ależ ktoś taki nie istnieje!

- A właśnie, że tak! Osobnik, który tak doskonale opanował akt zabijania, że uczynił z niego sztukę! Mówię panu: myśliwy na safari! I tak się składa, że znajdziemy w Paryżu człowieka, który łączy te dwie profesje: pisarza i myśliwego.

- Może nas pan do niego zaprowadzić?

Guy wziął głęboki oddech, jak gdyby szukał w sobie odwagi.

- Tak, moje dawne życie otworzy nam do niego drzwi.

15.

Zamożni mieszczaństwo ukryli się za kratami.

W dzielnicy Auteuil, na zachodzie szesnastego okręgu, Villa Montmorency została wzniesiona w miejscu, gdzie trzydzieści lat wcześniej rozciągały się hektary pól i winorośli uprawianych przez chłopów, którzy nigdy nie postawili nogi na bruku Paryża, choć miasto leżało przecież u ich stóp.

W miejscu, gdzie niegdyś dojrzewały winogrona i zboża, powstał park z eleganckimi rezydencjami, ogrodami pełnymi kwieciami, otoczony kratami z kutego żelaza.

Strażnik wyszedł naprzeciw Guya i Martiala Perottiego, gdy tylko wysiedli z dorożki.

Słońce późnego poranka padało na ogrodzenie, rzucając cień na klomby kwiatowe i przycięte krzewy, jak gdyby natura sama dobrowolnie uwięziła się w tym miejscu.

- Panowie, spacerowicze mają prawo wstępu pod warunkiem, że będą przestrzegać regulaminu Villi Montmo...

- Chcieliśmy odwiedzić przyjaciela, pana Maximiliena Hencksa.

- Czy pan Hencks wie o wizycie panów?

- Nie.

Strażnik przyglądał im się przez chwilę. Guy miał na sobie dobrze skrojone eleganckie ubranie, strój Perottiego zaś był znacznie skromniejszy i prosty: nieco wytarta na mankietach marynarka, niewyszukane guziki u kamizelki oraz lekko znoszone spodnie. Strażnik zniknął na chwilę w budce wartowniczej, gdzie sięgnął po słuchawkę, tymczasem Guy odciągnął Perottiego na bok.

Do tej pory nie przyznał się nowemu przyjacielowi do kłamstwa.

Na temat swojej prawdziwej tożsamości.

Nie zrobił tego podczas jazdy dorożką - zbyt szczęśliwy, że udało mu się uniknąć rano Faustine, której wolał oszczędzić emocji, jakie niewątpliwie wzbudziłoby spotkanie z Hencksem - i wolał zdać się na łaskę losu, którego istnienie negował w swoich powieściach. Jeśli Maximilien zdradzi niechcący jego nazwisko, będzie miał jeszcze czas wyznać wszystko Perottiemu.

Strażnik wrócił do nich, oddając dokument tożsamości Guyowi, który czym prędzej schował go do wewnętrznej kieszeni marynarki, po czym ruszyli we wskazanym kierunku do mieszkania pana Hencksa.

Długie kiście fioletowej glicynii opadały na kamienne mury i ogrodzenie z kutego żelaza otaczające ogrody

Dwaj mężczyźni rozstąpili się, przepuszczając pięknie ubraną kobietę, w wielkim kapeluszu zwieńczonym jedwabnymi kwiatami o różowo-białych płatkach, niosącą koszyk z wikliny. Dama skinęła im na powitanie i podziękowała za uprzejmość.

- Lubię miejsca, gdzie dziękuję się za naturalne skądinąd gesty - przyznał Perotti.

- Do tej pory nie rozmawialiśmy o polityce, ale muszę pana o to spytać: Martial, czy żywi pan sympatię do anarchistów?

- Pan żartuje? Miałem dwadzieścia dwa lata, kiedy Ravachol podkładał w Paryżu bomby, przez wiele miesięcy śniły mi się z tego powodu koszmary!

- A zatem spodoba się panu Maximilien Hencks. Nienawidzi anarchistów, przepędziłby ich osobiście, gdyby tylko mógł! To żarliwy monarchista, ultranacjonalista, mówi się, że utrzymuje bliskie stosunki z ekstremistami, takimi jak Déroulède, choć osobiście nigdy nie musiałem narzekać na jego postawę. Niemniej lepiej unikać przy nim tego tematu.

- Jak go pan poznał?

- Bardzo spodobała mu się jedna z moich powieści - przyznał Guy, zastanawiając się, czy się aby nie zdradza. - Porównywałem w niej zamożną burżuazję do pasożytów, które żerują na wielkich ssakach, czyszcząc je w zamian. Zaprosił mnie na kolację, by o tym porozmawiać.

- A więc publikowano pańskie dzieła, panie skromnisiu! Dlaczego twierdził pan co innego? Czyżby chodziło o książkę nieobyčajną?

- Nie, nie - zaprzeczył niepewnie Guy. - Jeszcze będziemy mieli okazję porozmawiać na ten temat. Ale teraz jesteśmy na miejscu.

Maximilien Hencks zamieszkiwał posesję z cegieł pokrytych bluszczem pośrodku długiego prostokątnego ogrodu o zbyt wysokiej trawie, w której tonął porośnięty mchem basen z kamiennymi posągami syren i nieco dalej studnia.

Guy pociągnął za łańcuszek dzwonka i po chwili otworzył im służący.

- Pan Hencks czeka na panów w gabinecie, panowie pozwolą za mną.

Zaprowadzono ich do wielkiego pomieszczenia wyłożonego ciemną boazerią, z rzędami książek w skórzanych oprawach na regałach zwieńczonych głowami lwów, tygrysów i gnu o ostrych rogach. Mosiężny teleskop wartował przy jednym z okien, drugie zaś było częściowo zasłonięte przez imponujący fotel, w którym zatopiony w lekturze siedział starszy mężczyzna o szpakowatych włosach.

Odłożył książkę na stoliczek i wstał, by ich powitać.

Maximilien Hencks był ponadprzeciętnego wzrostu, przewyższał Guya i Perottiego o głowę. Przetykane srebrem ciemne włosy zaczesane miał do tyłu, tak że dominowały nad pociągłą kanciastą twarzą, wyraźnie zarysowane kości nad zapadniętymi policzkami, wypukłe łuki o

atramentowoczarnych brwiach nad niewielkimi, głęboko osadzonymi oczami, wąski nos i szerokie usta: oblicze złożone z przeciwieństw, kontrastów, wypukłości i zagłębień - niespokojna, sroga, trudna do określenia twarz.

Głowa chyba jeszcze bardziej przerażająca niż wypchane łby zdobiące ściany pomieszczenia.

Nagle oblicze mężczyzny się rozjaśniło, ukryte pod skórą mięśnie rozciągnęły niepokojącą maskę, usta rozszerzyły się jeszcze bardziej, czoło rozluźniło, a policzki wypełniły w szerokim uśmiechu.

- Guy, przyjacielu! Tyle czasu bez wieści od ciebie!

Mówił niskim głosem.

Przywitali się serdecznie. Hencks dłuższą chwilę przytrzymał dłoń pisarza w swoich olbrzymich rękach.

- Maximilien, przedstawiam panu Martiala Perottiego, towarzysza przygód.

Nie pytając ich o zdanie, Hencks nalał trzy obfite porcje koniaku do ciężkich kryształowych kieliszków, które następnie im wręczył.

- Czemu zawdzięczam waszą wizytę, Guy?

- Prawdę mówiąc, przychodzimy w poważnej i smutnej sprawie.

- Czytam to na pańskiej twarzy, nagle zmienionej. Co się dzieje? Nie chodzi, mam nadzieję, o Josephine?

Imię żony sprawiło, że Guy zadrżał, czym prędzej się jednak opanował.

- Nie, chodzi o... przyjaciółkę. Została zamordowana. Wszystko wskazuje na to, że nie była pierwszą ofiarą zabójcy. Policja nie wypełnia swoich obowiązków i z jakiegoś niewiadomego powodu umorzyła sprawę, zamiast zaprowadzić to monstrum na gilotynę.

- Usiądźmy - przerwał mu Hencks, wiodąc ich w stronę dwóch ustawionych naprzeciw siebie wyściełanych sof przy kominku. - Kto

prowadzi śledztwo? Służba bezpieczeństwa czy policja?

- Policja.

- Mam niestety bardzo nikłe kontakty w wyższych sferach prefektury Obawiam się, że nie będę mógł wam wiele pomóc...

- Nie o taką pomoc nam chodzi, prawdę mówiąc, liczymy na pańskie kompetencje... myśliwego.

Hencks cofnął się na oparcie kanapy.

- Prosiłbym o większą precyzję, Guy - rzekł.

- Martial i ja wbiliśmy sobie do głowy, że dokonamy tego, czego policja nie robi: pójdziemy tropem owego zbrodniarza i wydamy go władzom.

- Ale po co? By pomścić przyjaciółkę?

Guy i Martial spojrzeli po sobie.

- Chodzi o coś więcej niż o zemstę - wyjaśnił Guy - Ja... ciekawi mnie ta sprawa, to znaczy pod względem zawodowym. Sądzę, że to dobry materiał na powieść.

- Prawdziwa zbrodnia? Guy, jest pan pewien, że nie posuwa się pan za daleko?

- Wręcz przeciwnie, to wymarzona okazja dla pisarza: zbliżyć się do tego, czego jeszcze nie zbadał żaden intelektualista, do najciemniejszych zakątków duszy Osaczyć absolutne Zło, stanąć z nim twarzą w twarz i rozpracować je szczegółowo niczym ciało poddane sekcji zwłok.

Hencks nadal był sceptyczny, patrzył na swoich gości z miną wyrażającą poważne wątpliwości.

- Ja zaś... byłem blisko z tą damą - przyznał Perotti. - Nie mogę zostawić Guya samego, Milaine wiele dla mnie znaczyła.

Hencks wypił łyk koniaku i założył nogę na nogę.

- Jestem tylko skromnym myśliwym amatorem, tropię dzikie zwierzęta, nie morderców. Nie mogę wam pomóc.

- Chodzi nam o dokładniejsze określenie portretu psychologicznego zabójcy, albowiem ten człowiek jest myśliwym - sprecyzował Guy.

- Z czego pan to wnioskuje? Nie należy mylić myśliwego z mordercą.

- Zabija tylko kobiety, wszystkie wykonujące tę samą profesję. Z początku robił to na jednym terenie, później przerzucił się w inne miejsca. Jego zbrodnie są barbarzyńskie. Musi mieć jakiś zwyczaj, rytuał, gdyż nigdy nie udało się go zobaczyć, nie ma żadnych świadków: porywa i zabija. Człowiek sprytny, zręczny i chytry.

- Ten sam teren łowiecki, powiada pan?

- Tak, choć ostatnio go zmienił. Od września do początku kwietnia wybierał ofiary z ulicy Monjol, siedem uprowadzeń, znaleziono tylko jedno ciało... zmasakrowane. Następnie dwa razy polował w innym miejscu. Dwie zbrodnie w ciągu tygodnia. Ciała ofiar znaleziono.

- Dziewięć ofiar! - zdziwił się Hencks, wyraźnie ożywiony. - Jest pan pewien?

- Sześciu kobiet nie odnaleziono, może to oznaczać, że ich nie zabił, lecz gdzieś przetrzymuje.

Perotti pokręcił głową na znak sprzeciwu.

- Nie podzielam tego zdania, to by pociągało zbyt duże koszty, kobiety trzeba żywić, gdzieś ukrywać, nie, nie wierzę w to. Ten, kto popełnia te zbrodnie, jest z pewnością sprytny i skrupulatny, ale to nie jest zamożny człowiek, raczej biedak niedouczony, niekochany, wychowany w poczuciu braku równowagi, wśród ulicznej przemocy, człowiek bez środków na wystarczająco duże lokum w Paryżu, gdzie żaden sąsiad nie miałby możliwości usłyszeć, co się u niego dzieje.

- Wystarczyłaby zwykła piwnica! - Guy przystąpił do kontrataku.

Hencks zakończył dysputę:

- Te trzy znalezione kobiety zostały zabite przy użyciu tej samej broni? W taki sam sposób?

- Nie - odparł Guy. - Viviane i Annę zadźgano nożem, w każdym razie jakimś ostrym narzędziem. Ranna Viviane uciekała, ale ją złapał. Anna... trudno powiedzieć, została znaleziona na szczycie wieży z rozciętym brzuchem i podciętym pośmiertnie gardłem. Martial uważa, że potrzeba było kilku mężczyzn, by wywlec ją tak wysoko. Ostatnia, Milaine, zmarła... w osobliwy sposób. Pociła się krwią, jej oczy były całkiem czarne, a twarz zastygła w przerażeniu. Dantejski widok, którego nigdy nie wymażę z pamięci.

Hencks ponownie sięgnął po koniak i skinął lekko głową.

- Myśliwemu - zaczął - w przeciwieństwie do tego, co się zazwyczaj sądzi, nie chodzi tylko o samą śmierć ofiary, bo równowaga sił jest zbyt zaburzona w przypadku broni palnej. Zabicie jest oczywiście celem polowania, lecz wstępna akcja również się liczy. Oblawa. Wyruszyć w kierunku zwierzyny i wypłoszyć ją z lasu, znaleźć ślady, wybrać jakiś i skoncentrować się na tej ofierze, której szukamy, nie byle jakiej. Myśliwy, który wyrusza na poszukiwanie dużego zwierza, nie będzie tracił czasu na tropienie zająca! Zbyt duże rozczarowanie. Afront dla jego kompetencji! Gwarantowana frustracja! Nie, myśliwy wybiera

sobie zwierzynę i tylko jej musi stawić czoło. Ona zaś wtopi się w otoczenie, będzie wymykać się zmysłom łowcy, chcąc ratować życie. Ciche starcie dwóch bijących serc, gdzie celem jednego jest zatrzymanie drugiego. Proszę zwrócić uwagę na tę różnicę, gdyż jest fundamentalna! Polowanie to związek dwóch istot. Pierwsza chce wyeliminować drugą, której z kolei zależy na ocaleniu swojego istnienia.

- Poluje się z wielu powodów, prawda? - spytał Perotti. - Z konieczności, by zdobyć pożywienie, i dla przyjemności.

- Istotnie. Trzeba to rozróżnić. Wasz człowiek to nie lwica, która wyrusza, by zabić i zjeść gazelę, to raczej kot bawiący się zastraszoną myszką tak długo, aż ta w końcu umrze. Im bardziej ofiara się szamocze, tym bardziej kot jest podekscytowany. Przystaje się nią interesować w chwili, gdy ofiara nieruchomieje i milczy mimo licznych uderzeń łapą.

Guy zrozumiał.

- Viviane i Milaine nie uciekały...

- Z całą pewnością nie - przyznał Hencks. - Jeśli dobrze pamiętam, człowiek ten zabił uprzednio sześć razy, miał więc wystarczające doświadczenie, by nie popełnić błędu. Chyba że poczuł się zbyt pewny siebie, lecz pierwsze fiasko wymusiłoby na nim większą ostrożność. Jeśli zaatakował ponownie, musiało to być działanie umyślne. Po prostu ceni sobie ten rodzaj polowania.

- Bawił się z Milaine? - oburzył się Perotti.

Hencks uniósł brwi.

- Obawiam się, że tak. Jeśli działa z czystej przyjemności, oznacza to, że uderzy po raz kolejny. Dziewięć razy mówi nam, że nie umie przestać. Za to jego zaciekłość budzi moje wątpliwości. Rozerwany brzuch i podcięte gardło? Krwawy pot wskazywałby na użycie trucizny. Dziwne. Wypróbowuje nowe narzędzia zbrodni niczym myśliwy porzucający strzelbę dla łuku. Zazwyczaj to przejaw ciekawości, gdyż myśliwy ma swoje narzędzia fetysze, rzadko je zmienia, stanowią one element wzbudzającego zaufanie rytuału, są niczym strój plemienny.

- Nastąpiło pewne przyspieszenie - dodał Guy - Z początku pięć ofiar w ciągu pięciu miesięcy, następnie jedna w lutym i trzy w kwietniu.

Ten szczegół dotyczący chronologii wydarzeń sprawił, iż trzech mężczyzn zamilkli. Uporczywe mechaniczne tykanie zegara dobiegające z holu odliczało sekundy.

- Upojenie krwią - rzekł ponuro Hencks.

- Zasmakował w podnieceniu, jakie niesie ze sobą polowanie? - odgwał Guy.

- Nie. Obawiam się, że zasmakował w podnieceniu związanym z zadawaniem śmierci. Nie ogranicza się już do trzeźwego mordowania, zaczyna zmieniać metody. Zaczynał od białej broni, teraz użył trucizny. Nie sądzę, by miał przestać. Wręcz przeciwnie, jeśli nikt mu nie przeszkodzi, będzie kontynuował w tym rytmie. Mnożąc metody zadawania śmierci, by odczuć jak największą rozkosz.

- Rozkosz? - powtórzył Guy.

- Tak. Odbieranie życia może być formą przyjemności. Nazywam to boskim orgazmem. Władza nad życiem i śmiercią, kiedy kończy się obława, zwierzyna jest tuż przed panem, a pan trzyma palec na spuście, gotów pociągnąć. Od pana zależy, czy odbierze to życie, czy nie. To

pańska władza nad życiem i śmiercią istoty, którą pan tropił, niemal boskie prawo. Emocjonalne wyładowanie w chwili oddania strzału, kiedy już pan wie, że odebrał światu jedno życie, w cudowny sposób oszalał. Istnieją ludzie, którzy uzależniają się od tego stanu upojenia. To najgorsze, co może się stać. Gdyż nikt jeszcze nie zdołał się od tego uwolnić. Znałem kiedyś myśliwego, który zrezygnował z polowań z powodu upojenia krwią, sam się siebie przestraszył. Wciąż chciał więcej. A w koloniach afrykańskich życie lwa jest cenniejsze od życia niektórych ludzi.

- Co się stanie, kiedy przetestuje już wszystkie metody? Przestanie? - spytał Perotti.

Hencks miał tak nieprzenikniony i zasepiony wyraz twarzy, jak gdyby zamierzał im obwieścić straszną nowinę.

- Prawda jest taka, że nie ma czegoś takiego jak metoda doskonała. On tylko dąży do osiągnięcia boskiego orgazmu, a czeka go to, co każdego, kto wykorzystuje jakąkolwiek formę uzależniającej rozkoszy. Co

robi alkoholik albo narkoman, kiedy absynt albo opium nie dają już spodziewanego efektu?

- Zwiększa dawkę - odparł Guy ponuro.

- Właśnie. Konsumuje więcej i więcej, aż do etapu orgii.

Perotti schylił głowę i przesunął ręką po włosach. Siedział nieruchomo przez dłuższą chwilę.

- Czy nie możemy niczego zrobić, by go powstrzymać? - spytał w końcu. - Zmusić do odwyku?

- Nie jest łatwo oderwać człowieka od alkoholu albo narkotyku, a co dopiero zmusić go do zrezygnowania z upojenia boskim orgazmem. Nie, nie sądzę. Trzeba umieć zatrzymać się wcześniej, jak zrobił mój przyjaciel, gdyż kiedy minie się pewną granicę, jest już za późno. Pamiętajmy, że nie chodzi tu o morderstwo powodowane chciwością albo zazdrością, lecz czystą przyjemnością! Na tym polega cała różnica. Kto poprzez swoje czyny wyklucza się z królestwa ludzi, staje się duchem cywilizacji. A jeszcze żaden duch nie przyjął z powrotem ludzkiej powłoki.

- Musimy położyć kres temu szaleństwu - stwierdził Perotti z determinacją w głosie. - Ma pan rację, Guy, nawet jeśli brakuje nam wskazówek co do jego miejsca pobytu, musimy radzić sobie z tym, co mamy. Proszę nam powiedzieć, panie Hencks, co czyni z człowieka dobrego myśliwego, żebyśmy wiedzieli, z kim mamy do czynienia.

- Być dobrym myśliwym, to znaczy mieć dobre rozeznanie. Na początek rozeznanie otoczenia.

- Poluje w pobliżu swojego miejsca zamieszkania?

- Niekoniecznie, a nawet przeciwnie. Poluje natomiast w środowisku, które nie jest mu całkiem obce albo w którym czuje się swobodnie. Ulica Monjol, powiadacie? A więc to człowiek z miasta, obeznany z tym odrażającym miejscem, inaczej nie wybrałby podobnej mordowni.

To coś, co lubi. Dodatkowy element ryzyka być może. Tak czy owak zna niebezpieczne dzielnice, nie boi się ich do tego stopnia, by ich unikać.

- Mówi pan o podejmowaniu ryzyka - zauważył Guy. - Czy ryzyko jest ważne dla myśliwego?

- To zależy od człowieka. Niektórych cieszy tylko ryzyko. - Wskazał na wypchane trofea drapieżników wiszące nad ich głowami. - Im większe ryzyko, tym lepiej smakuje zwycięstwo. To wiele mówi o człowieku! Kto lubi ryzyko, kto je podejmuje, jest człowiekiem pewnym siebie, być może nawet aroganckim. Zaradny, samotny, gdyż apogeum ryzyka osiąga się, polując w pojedynkę, bez ubezpieczenia. Z kolei ktoś, kto ryzyka unika, wybiera ofiary, które w żaden sposób mu nie zagrażają. Kto wytycza sobie uprzednio drogę, zastawia pułapki, by tam ubić zwierzynę, to osoba, której brakuje pewności siebie, która nie lubi narzucać się innym, rzadko odmawia. To ktoś znacznie mniej rzucający się w oczy.

- Jest pan w stanie stwierdzić to wszystko na podstawie samego tylko typu polowania? - zapytał Perotti z powątpiewaniem.

- Ależ nie, to osobowość określa, jaki typ polowania jest nam bliższy. Działania ludzkie nie są przypadkowe, jeśli powtarzają się wielokrotnie, a już na pewno jeśli mają na celu osiągnięcie przyjemności. Przyjemności mówią o nas wiele. Pamiętajcie, że jemu zależy na przeżywaniu boskiego orgazmu.

- A zatem gdybyśmy przeanalizowali stopień ryzyka podejmowanego przez mordercę, moglibyśmy określić jego osobowość? - upewnił się Guy.

- Tak jest.

- Jakie inne fundamentalne cechy posiada dobry myśliwy?

- Musi znać swoją ofiarę. Umieć przewidzieć jej reakcje.

- Sądzi pan, że nasz zabójca wybiera ofiary wcześniej? - zasugerował Guy.

- To wielce prawdopodobne. Zapewne obserwuje je, chcąc poznać ich zwyczaje, dowiedzieć się, kim są, jak zareagują na jego widok z bronią w ręku. Robi to, żeby nie dać się zaskoczyć i żeby mu nie uciekły. To byłaby katastrofa: długo wyczekiwana rozkosz zepsuta. Jego wściewość mogłaby być wówczas porównywalna z niedoszłym boskim orgazmem.

- Dziękujemy panu za wszystkie cenne informacje - powiedział Guy, uświadomiwszy sobie nagle niestosowność zadawania owych pytań człowiekowi, którego nie widział od dłuższego czasu i który bez oporu dał się wciągnąć w ich grę.

Hencks wpatrywał się w nich tak intensywnie, że Guy poczuł się nieswojo. Wyraz jego twarzy nie miał w sobie już nic przyjacielskiego.

- Jesteście niczym dwa jagnięta usiłujące ratować stado - powiedział wreszcie lodowatym tonem, który sprawił, że Perotti wbił się głębiej w siedzenie fotela. - Dwie owieczki, które myślą, że stawiając czoło lisowi, przepłoszą go. Nie wiecie jednak, że to nie lis dziesiątkuje inwentarz. Robi to wilk. Ogromny wilk. Gdy poczuje, że się zbliżacie, zajdzie was od tyłu i schwyta w pułapkę. A wy zorientujecie się, gdy już będzie za późno. Proszę mi wierzyć, Guy, powinien pan zapomnieć o tej całej sprawie, nie sprostaj pan temu zadaniu. Ktoś, kto potrafi zabić dziewięć kobiet, nie dając się złapać, jest wyjątkowym drapieżnikiem. Kwintesencją myśliwego. Wywęszy was z daleka i jeśli przyjdzie mu ochota porwać się na was, nie zauważycie nawet, kiedy to się stanie!

- To dla mnie ważne - odparł pisarz cicho, niemal błagalnym tonem. - Moje życie się

zmieniło, Maximilien. Bardzo. Myślę, że poprzez tego wilka, jak go pan nazywa, zdołam się uwolnić od własnych demonów.

Hencks odstawił pusty kieliszek i nachylił się w stronę Guya.

- Wiem - powiedział. - Josephine odwiedziła mnie nieco przed Bożym Narodzeniem.

Guy odniósł nagle wrażenie, że gigantyczna jaszczurka liże go po kręgosłupie. Nieprzyjemne mrowienie przeszło go od stóp do głów.

- Nie powiem jej, że pana widziałem - zapewnił go Hencks. - Ale jeśli chce pan znać moje zdanie, niech jej pan nie zostawia tak bez słowa. Ma prawo wiedzieć, że pan żyje. Jest jej pan winien chociaż tyle.

Guy zatopił wzrok w nietkniętym jeszcze kieliszku i wypił jego zawartość jednym haustem. Piekący alkohol dobrze mu zrobił, rozgrzał go.

- Nic jej nie powiem - powtórzył Hencks, klepiąc go pokrzepiająco po dłoni. - Musi pan jednak wiedzieć, że jej ojciec również pana szuka. Nie poddał się, w grę wchodzi honor jego córki, gotów jest na wszystko, by pana znaleźć i zamknąć w szpitalu dla obłąkanych, jeśli okaże się to konieczne! Widzi pan, ma pan wiele innych problemów na głowie. Niech pan nie zatracą się w tej ohydnej sprawie. Ona nie jest na pana miarę, Guy Znam pana, a z tego co mi pan opowiedział o mordercy, widzę, że on pana przerasta. Niech go pan zostawi zawodowcom.

- Policja umarza te morderstwa! Nie chcą się nimi zajmować!

- I mają rację. To całkiem inny świat, w który nie ma pan wcale ochoty się zagłębiać, proszę mi wierzyć.

- Muszę.

- Nie powstrzyma go pan przed kolejną zbrodnią. Zwiększył tempo. Trzy razy w kwietniu, mówił pan.

- Siódmego, dwunastego i osiemnastego kwietnia - sprecyzował Perotti.

Hencks potrząsnął głową zmartwiony.

- Przedziały czasu skracają się coraz bardziej. Dzisiaj mamy dwudziesty pierwszy. Jeśli chce pan znać moje zdanie, wkrótce ponownie uderzy, może nawet jeszcze dziś wieczorem.

Guy i Perotti spojrzeli po sobie z niepokojem.

- I uderzy z mocą - dodał Maximilien Hencks. - By jeszcze bardziej się upoić.

16.

Błękitna kopuła zwieńczała Paryż, jakby chciała podkreślić biel jego architektury przeplatanej tu i ówdzie wielkimi połączeniami zieleni.

Guy i Martial Perotti szli ulicą Mozarta. Po wizycie u Maximiliena Hencksa obaj mieli to samo wrażenie przenikającego ich chłodu, i to mimo wypitego koniaku. Zdecydowali się na spacer, by rozgrzać się i jednocześnie podsumować odbyte spotkanie.

- Nie wiem, czy o dreszcze przyprawił mnie ten człowiek czy jego słowa - wyznał Perotti.
- Ten Hencks jest przerażający!

- Jeden z największych myśliwych naszego cywilizowanego świata - sprecyzował Guy nie bez nutki ironii w głosie ze względu na dobór określenia. - Przemierza glob ziemski w poszukiwaniu kolejnych wyczynów, nowych przygód.

- Proszę mi wybaczyć ciekawość, ale... wspomniał o niejkiej Josephine...

Guy poczuł, jak jego brzuch wypełnia pustka. Wykorzystał warkot samochodu sprzedającego powozy, by dobrać odpowiednie słowa.

Hałas zanikał, a on nadal nie wiedział, co powiedzieć.

- Byłem żonaty - zaimprovizował. - To znaczy... wciąż jestem. Opuściłem swój dom.

- Ach.

Perotti zdawał się jeszcze bardziej stropiony niż Guy.

- Nie jestem z tego dumny Tym bardziej że... uczyniłem to w sposób podły, odszedłem bez słowa.

- Pańska żona nie wie, gdzie pan przebywa?

- Nic nie wie. Uciekłem pewnego ranka i odtąd nie miała ode mnie wieści.

Stukot końskich kopyt na ulicy wydał mu się nagle hipnotyczny. Guy odniósł wrażenie, że mógłby się wsłuchiwać w ten dźwięk i nie robić nic poza tym, zanurzyć się w owym nieustającym rytmie, rozpuścić troski w morzu zapomnienia.

Perotti przywołał go do rzeczywistości:

- Nie oceniam pana, Guy. Sam jestem kawalerem w wieku trzydziestu lat, dla wielu to swego rodzaju ułomność. Choć uważam, że po prostu nie spotkałem jeszcze tej, która poruszyłaby moje serce. To znaczy... chyba ją spotkałem.

Perotti odchrząknął głośno, by przepędzić ogarniające go wzruszenie.

Ów niewielki człowieczek o banalnej powierzchowności, wąsaty, w nieco zużytych ubraniach i z całym przepelniającym go smutkiem, wzbudzał litość Guya. Od czasów młodości Guy zawsze skory był do empatii; wspominał spacer z rodzicami, podczas których nie mógł oderwać myśli od sprzedawców pomarańczy lub praczek spotykanych wczesnym rankiem, zastanawiając się, jakie jest ich życie, gdy patrzył na ich pomarszczone dłonie o powykręcanych z wysiłku palcach. Wyobrażał sobie ich domy, w których hulał wiatr, ich brzuchy, których nie wypełniał do końca żaden posiłek, ich troski i poczucie

niesprawiedliwości. Czasami robił za dużo, czasami nie dość, lecz nigdy nie czuł się swobodnie, zwykłe spojrzenie, jakie napotykał, sprawiało, że czuł wstyd z powodu swojego dobrego urodzenia. Mieszkał w pięknym mieszkaniu i jemu oraz jego rodzicom niczego nie brakowało. Był niczym gąbka wchłaniająca emocje, nawet podczas krótkiego spotkania z drugą osobą przyjmował na siebie jej smutki i radości. Choć pozwoliło mu to dość

szybko poznać całą paletę uczuć, to jednak owa zdolność nie chroniła go przed chłostą, jaką zadawała mu cała nędza świata, co zwiększało tylko jego złe samopoczucie związane z własną egzystencją.

Z wiekiem zdał sobie sprawę, iż tylko dwa wyjścia pozwoliłyby mu czuć się mniej winnym: albo stłumienie emocji, nabranie dystansu, albo posłużenie się nimi jako motorem życia codziennego.

Wybrał to drugie.

Zdolność do emocjonalnego utożsamiania się z innymi, która otworzyła przed nim drogę do pisarstwa, pozwalała mu wcielić się w każdego: w nauczycielkę, węglarza, na zmianę w arystokratę rojalistę i intelektualistę o anarchistycznych poglądach; zapuszczał się daleko i niczego sobie nie odmawiał. Zamiast zaszyć się gdzieś i uciszyć nieopanowaną empatię, wykorzystywał ją w pełni, mnożył doświadczenia i wypełniał umysł kontrastami. Po wielu wszakże latach pisania uświadomił sobie jedno: pisanie było tylko kolejnym sposobem ukrycia się. Za zasłoną słów czuł się spokojny, mniej bezbronny; dzięki nim potrafił usprawiedliwić swoją wrażliwość, odcinając się od niej równocześnie, by mniej cierpieć. Ostatecznie współodczuwanie stało się dla niego swego rodzaju narzędziem pracy, instrumentem, który przestał stopniowo wywierać na niego wpływ i którym posługiwał się wyłącznie po to, by karmić własne pisarstwo.

Doszedł do tego niepostrzeżenie. Była to pewna całość, niekończąca się seria powtórzeń jego codzienności pisarza: siadanie za biurkiem, branie do ręki pióra, chłodne analizowanie tego, co zamieszkiwało jego umysł, by uczynić z tego jak najlepszą opowieść, ale także codzienności mężczyzny: życie rodzinne, żona, do której się przyzwyczał, odruchy wyrobione z czasem, by odciąć się od uciążliwych rozdzwięków, córka, której miłość dawała tyle, ile zabierała.

Ucieczka przed własnym życiem stała się sposobem na to, by ponownie pozwolić sobie na odczuwanie emocji. Dać im wolność, gdyż sam również był wolny. Wolny od wszystkiego, od wszelkich decyzji i czynów.

Uczucie rozpaczy Perottiego nie sprawiło mu w gruncie rzeczy przykrości, uspokoiło go raczej co do siebie.

Zapewne nie zdoła ocalić świata, może jednak zawsze próbować go zrozumieć.

- Niewiele mi pan o sobie opowiadał, Martial - rzekł nagle. - Chciałbym pana lepiej poznać.

- Mnie? No cóż... mnie poznać? Dlaczego?

- Ot tak, dla przyjemności, żeby wiedzieć, jaki pan jest.

Na obliczu niskiego inspektora pojawiła się ulga.

- Ach, uspokoił mnie pan! Przez chwilę sądziłem, że mnie pan podejrzewa.

- Profesja wpędza pana w paranoję, Martial! Moja zaś rozbudza ciekawość, chodźmy dalej, a opowie mi pan o sobie.

Martial poczuł się niepewnie, słysząc te słowa, a jeszcze bardziej na myśl, że ma o sobie opowiadać. Najmłodszy z sześciorga rodzeństwa, pochodził z rodziny zamieszkującej budynki w Levallois-Perret położone na obrzeżach rozległych nieużytków zaludnionych przez nędzarzy koczujących w chatkach z desek. Odczuwał bezgraniczny szacunek dla swojej matki oddanej dzieciom i mężowi - którego Guy zaczął podejrzewać o gwałtowność, sądząc po pełnych zakłopotania przerwach w opowieści Martiala. Jego ojciec, zatrudniony w przedsiębiorstwie gazowym, zmarł, gdy Martial miał dwanaście lat, i wydarzenie to najwyraźniej nieszczególnie się na synu odbiło. Część z jego braci i sióstr opuściła już dom, Martial wziął więc sprawy w swoje ręce i zajął się bliskimi. Pasjonat mechaniki, pracował z początku w warsztatach Kolei Zachodnich, na obrzeżach siedemnastego okręgu, zanim matka nie zmusiła go

do powrotu do szkolnej ławki. Jej zawdzięczał, że wstąpił do policji i pokonywał kolejne szczeble w hierarchii, by ostatecznie zostać mianowanym inspektorem w wieku zaledwie trzydziestu lat.

Słyszając w głosie Martiala dumę, Guy zastanawiał się, czy właśnie przez gwałtowność ojca nie obrał tej właśnie ścieżki kariery, nie zapragnął zapewnić ludziom pewnej równowagi poprzez chronienie ich tak, jak niegdyś chciał chronić matkę i rodzeństwo przed maltretującym ich ojcem.

Zanim uświadomili sobie, że idą już bardzo długo, dotarli na wzniesienia dominujące nad Sekwaną, w cień wysokich wież pałacu Trocadéro. Kolosalna czarna budowla przypominała zarazem nowoczesną katedrę z olbrzymimi ciemnymi oknami, licznymi wieżyczkami i łukami oraz była jakby hołdem złożonym architekturze mauretańskiej, a to za sprawą dwóch prostokątnych dzwonnicy z belwederami zwieńczonymi kopułami.

- Chodźmy! - ponaglił go nagle Perotti, co nieco zdziwiło Guya.

Inspektor zaciągnął pisarza w stronę rzędu kas u stóp pałacu, zapłacił dwa franki za dwa bilety wstępu i obaj zagłębili się w dudniące echem korytarze. Perotti zdawał się poruszać tutaj, jak gdyby to było jego miejsce pracy, torował sobie sprawnie drogę przez tłum posuwający się powoli między rzeźbami i obrazami. Wskazał palcem na miedziane drzwi windy i pchnął Guya w stronę wąskich schodów.

- Windy są nieczynne nocą - wyjaśnił - a gdyby się uruchomiły, narobiłyby tyle hałasu, że strażnicy od razu by to zauważyli.

- Ale czy w końcu mi pan powie, co pana naszło?

Perotti zatrzymał się u stóp schodów.

- Miejsce zbrodni, Guy! To tutaj znaleziono Annę Zebowitz. Tam na górze!

Do Guya nagle przestał docierać szmer tłumu, splendor i ogrom miejsca stracił blask niczym wyłączone nagle światło. Nie czuł już podziwu. Tu zginęła kobieta. A każda mijana osoba mogła być mordercą.

- Wejdzmy na górę - zarządził Perotti.

W połowie drogi Guy musiał się zatrzymać, poobijane żebra utrudniały mu oddychanie. Miał dość.

- Nogi... odmawiają mi posłuszeństwa! - wydyszał.

- Niech pan sobie wyobrazi, że ktoś pokonuje tę trasę z... ranną kobietą na rękach! Rozumie pan teraz lepiej... moją teorię o kilku mordercach?

Guy przytaknął, krzywiąc się i usiłując złapać oddech.

- Chyba że... zabito... ją... na górze!

- A ta cała krew na schodach?

- Pozostawiona przez zabójcę... mógł być nią cały... przesiąknięty. Na szczycie było... dużo krwi?

- Rozpruto jej brzuch i podcięto gardło... może pan sobie wyobrazić...

- Ślady na ścianach?

- Niewiele.

Guy skrzywił się. Podjęli wspinaczkę i w końcu złani potem znaleźli się na szczycie północnej wieży. Kilka dam w pięknych toaletach, trzymających zamknięte parasolki, w towarzystwie tyluż panów z laskami w dłoniach, wyszło właśnie z windy, by podziwiać widoki.

Między dwiema kolumnami podtrzymującymi kamienną dzwonicę czuło się lekki zbawienny powiew.

- To tutaj - rzekł Perotti, wskazując zakątek przy murowanej konstrukcji w pobliżu windy

- Nie oglądałem zdjęć wtedy w archiwum, mógłby mi pan opisać położenie ciała?

- Tak, leżała tutaj... z rozłożonymi ramionami i... - ściszył głos. - Nie miała już brzucha. Zamiast niego olbrzymią dziurę, a jelita

rozciągnięte na ziemi, zwinięte tak, jakby ktoś testował ich elastyczność! I wszędzie krew! Istny koszmar!

- Czyli żadnych rozprysków krwi, powiada pan?

- Nie rzuciło mi się to w oczy No, może trochę, skoro pan o tym wspomina, chyba były jakieś ślady tutaj, na ścianie. Ale bardzo mało. Mogły powstać w wyniku gwałtownych ruchów noża wbijanego w ciało i wyciąganego.

- A jeśli morderca leżał prawie na ofierze, żeby ją unieruchomić, i zatykał jej usta dłonią? Tym sposobem jego ubranie mogło nasiąknąć krwią.

Perotti wzruszył ramionami.

- Musiał ją tu jeszcze jakoś doprowadzić. Jak pan zapewne zdążył się przekonać, wnieść tu ciało w pojedynkę jest nie do pomyślenia!

Guy przytaknął i wbił w milczeniu wzrok w kwadratową płytę piaskowca. Wreszcie westchnął sfrustrowany i podszedł do parapetu, by podziwiać cudowną panoramę Wystawy Światowej.

Znajdowali się tak wysoko, że górowali nad całym Paryżem i tylko żelazna dama z naprzeciwka przewyższała ich znacznie wzrostem.

Wszystkie te okazałe budowle ponadprzeciętnych rozmiarów odzwierciedlały kulturę całego świata, a ich ukoronowaniem była wieża Eiffla - pomalowana na tę okazję na złoty

kolor. Zazwyczaj tak masywna, że przytłaczała wszystkie inne konstrukcje, tym razem wydawała się niemal mała w obliczu ogromu pawilonu nauk rozciągającego się u jej stóp. Wielka kula ziemiska o wysokości blisko pięćdziesięciu metrów przesłaniała dworzec Champ-de-Mars, a w oddali olbrzymi diabelski młyn kręcił się powoli nad stolicą. Gdzie tylko Guy spojrział, czuł rosnący zachwyt, jak gdyby wystawa rozciągała się niemal w nieskończoność. Po obu stronach Sekwany, idąc w kierunku Concorde, dziesiątki wykończonych starannie budowli reprezentowały przeróżne narody

świata, a stary Paryż - wiarygodna replika średniowiecznej stolicy - rozciągał się na prawym brzegu. Było to olśniewające widowisko.

- Cóż za cudowne świadectwo ludzkiego geniuszu - rzucił jeden z mężczyzn z błyskiem w oczach.

- A jaki koszt! - odparł drugi. - I pomyśleć, że wszystko zostanie rozebrane przed końcem roku!

- Może nie wszystko. Spójrzcie na tę przeklętą wieżę Eiffla, stoi tu od poprzedniej Wystawy Światowej.

- Gdyby wojsko nie zainstalowało na jej szczycie tych komunikacyjnych nowinek, trzeba przyznać, że nie przetrwałyby afery panamskiej. Inwestował pan w kanał?

- Nie, na szczęście nie. Nie jestem w położeniu wielu paryżan, którym wieża przypomina, jak to dali się nabrać, słuchając rad poczciwego Eiffela, i zainwestowali oszczędności w katastrofalną pożyczkę na budowę Kanału Panamskiego.

Żona pierwszego mężczyzny wzruszyła ramionami jakby na znak, że podobny sukces techniki wart był kilku nieudanych operacji.

- Słyszałam, że Wielki i Mały Pałac, a także most Aleksandra III ocaleją - powiedziała w zamyśleniu.

- I nic poza tym?

- Nic.

- Co za marnotrawstwo.

Stojący obok nich Guy i Perotti podziwiali urzekającą panoramę, zapomniawszy na chwilę o przyczynie swojej tutaj obecności. Tyle budowli, tyle inspiracji pochodzących ze wszystkich krajów, wszystkich epok, tyle pałaców o lśniących kopułach, nowoczesnych metalowych konstrukcji przypominających najbardziej szalone wynalazki Juliusza Verne'a i niekończący się tłum wypełniający ulice, wlewający i wylewający się z budynków niczym fala niewyczerpanego przyływu. Guy

rozdzielił sylwetki, pęki balonów przyczepione tu i ówdzie do wózków sprzedawców przekąsek, czuł też wszechobecny dobry nastrój i entuzjazm odwiedzających.

Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. Wskazał na olbrzymią kopułę położoną u ich stóp, oddzielającą dwie wieże pałacu Trocadéro.

- Co to za miejsce, nad którym stoimy?

- Sala balowa pałacu, monumentalna, musi pan ją zobaczyć, pięć tysięcy osób może tam wygodnie siedzieć. Była największa na świecie, dopóki nie zbudowano sali w Pałacu Rolnictwa i Zaopatrzenia za wieżą Eiffla, ale ona po wystawie zostanie rozebrana.

Guy zmarszczył brwi.

- Skąd to pytanie? - dociekał Perotti.

Pograżony w myślach Guy odpowiedział ledwie słyszalnie:

- Porozmawiamy o tym wieczorem... Muszę się zastanowić.

Stali tak jeszcze dłuższą chwilę zahipnotyzowani spektaklem, aż wreszcie pisarz wykrzyknął:

- Perotti, musimy w końcu zwiedzić wystawę!

- Ale dziś po południu mam dyżur aż do wieczora...

- Faustine będzie mi towarzyszyć, to ją rozerwie.

- Lubi ją pan, prawda? Widać to w pańskim nastawieniu do niej.

Guy czuł się nieswojo, nadeszła pora, by na dziś położyć kres tej zażyłości; Perotti zaczął wkraczać w jego prywatność, a na to nie miał ochoty.

- Wzrusza mnie - zgodził się i pośpiesznie dodał: - Chodźmy, już czas, spóźni się pan. Proszę wpaść do mnie wieczorem, podsumujemy nasze przemyślenia. Mam do załatwienia kilka sprawunków, by zmienić moje mieszkanie na poddaszu w prawdziwe biuro badań kryminalistycznych. Musimy sprawdzić wiele rzeczy Proszę nie robić takiej miny, Martial, zapewniam pana, że do jutra rana zrobimy wielkie postępy!

- Chciałbym w to wierzyć. Nie podzielam pańskiego entuzjazmu za sprawą słów pana Hencksa. Kiedy my wieczorem będziemy próbowali zrozumieć mentalność zbrodniarza, on być może znów przejdzie do czynów i zabije. Przerazenie ogarnia mnie na samą myśl o nieszczęsnej dziewczynie, która nie wie, że przeżywa właśnie swoje ostatnie chwile.

Guy pchnął drzwi Buduaru, niosąc bukiet żonkili, które kupił po drodze. Zajrzał do salonu, następnie do biblioteki i wreszcie do salonu muzycznego, po czym wspiał się na piętro w poszukiwaniu Faustine. Nie otrzymawszy odpowiedzi na pukanie do drzwi jej pokoju, już miał zejść do kuchni, gdy wpadł na Rose.

- Dla mnie te kwiaty? - spytała z figlarnym uśmieszkiem.

- Widziałas Faustine?

- Wyszła godzinę temu, została zaproszona na obiad.

- Z kim?

- Z eleganckim mężczyzną. Przedstawił się Julie, wyjaśniając, że potrzebuje najpiękniejszej z jej dziewcząt jako towarzystwa podczas ważnego obiadu.

- I Faustine poszła z nim? Z nieznanym jej mężczyzną?

- Trzeba przyznać, że położył na stole zając sumkę! Diane była przy tym i wszystko widziała!

Guy się zeźlił.

- Czy powiedział, dokąd ją zabiera?

- Nie, on jest z tych, którzy ukrywają swoją tożsamość, wchodząc, nie zdjął nawet kapelusza...

Guy wręczył jej bukiet kwiatów.

- Ależ jesteś uprzejmy! Gdyby nie ten zakaz, zaproponowałabym ci nieco ciepła tej nocy...
Lecz Guy zdążył się już obrócić na pięcie, kierując się do siebie.

Przez całe popołudnie Guy usiłował stłumić niepokój, przemeblowując swoje lokum; wepchnął łóżko za wielki parawan, któremu naprawił nogę, ustawił biurko nieco z boku, pod jednym z okien mansardowych, a dwie małe sofy i fotel wokół wielkiego przetartego dywanu. Wyszperał w piwnicy szeroką deskę ze stoczonego przez robaki drewna i oparł ją o belkę pośrodku pomieszczenia. Miał już karteczki, atrament, brakowało mu jeszcze tylko pudełka gwoździków.

Faustine wróciła po siedemnastej i zapukała do drzwi poddasza.

- Co panią napadło? - spytał Guy na powitanie.

- Proszę?

- Wyjść z pierwszym lepszym nieznajomym!

- Guy, zabraniam panu odzywać się do mnie w ten sposób.

- Martwiłem się!

Faustine skrzyżowała ręce na piersiach. Jej oczy koloru opali nakazały mu zamilknąć.

- Jestem dużą dziewczynką - powiedziała powoli, kładąc nacisk na każde słowo.

- To samo zapewne mówiły Viviane i Anna, a nawet Mi...

Faustine ostrzegawczo wycelowwała w niego palec.

- Niech pan nie mówi za Milaine! - rozkazała. - Spotykamy się, z kim chcemy, robimy, co chcemy z naszym czasem, ciałem i życiem! Purytanom może się to nie podobać, ale my, dziwki, jak nas nazywają, jesteśmy prawdziwie wolnymi kobietami tego społeczeństwa.

Napięcie i obawa opuściły nagle Guya. Widział w Faustine prawdziwą złość, a ostatecznie zdanie, które nie mogło go dotyczyć - nie uważał się za purytanina, wręcz przeciwnie - nie wyszło z jej ust przez przypadek.

- Spotkanie źle się potoczyło? - odgadł. - Proszę, niech pani wejdzie.

Posadził ją na sofie i podał jej szklankę wody, której nie przyjęła.

- Polityk, który potrzebował pokazać się z piękną damą u boku, by nie zdradzić się, że jest stanu wolnego, i zachować twarz wśród międzynarodowej arystokracji. Fakt, że ignorował mnie przez cały posiłek, by dyskutować o swoich sprawach, to jedno, ale że kobiety tych mężczyzn zachowują się równie obelżywie, tego nie mogę znieść! Szybko zrozumiwały, że nie jesteśmy małżeństwem, i wzięły mnie za jego metresę. Patrzyły na mnie wrogo! Te hipokrytki, których mężowie uczęszczają do największych paryskich burdeli.

Guy usiadł koło niej.

- Trzeba je ignorować, to będzie największa kara dla tych kobiet, których już nigdy więcej pani nie zobaczy.

- Nienawidzę ich! - wściekała się Faustine, tłumiąc krzyk i uderzając pięścią w poręcz fotela.

- Niech się pani uspokoi. Faustine, nie mogę pojąć, dlaczego czuje się pani aż tak dotknięta...

Podniosła na niego swoje wielkie niebieskie oczy.

- Bo mi przypominają moją matkę. Jej mieszczańskie uprzedzenia, jej zarozumiałe przyjaciółki pełne przesądów!...

Odpowiedź trafiła Guya niczym cios w środek szczęki. Zawsze się zastanawiał nad życiem Faustine przed wstąpieniem do lupanaru, nad jej pochodzeniem. Nigdy nie podejrzewał jednak, że wywodzi się z zamożnego środowiska.

- Tak, Guy, urodziłam się w dobrej rodzinie. W świecie, gdzie nic nie wskazywało na to, że będę żyła tutaj, w burdelu. Los jest zmienny, jak widać.

Po czym wstała i wyszła bez słowa.

17.

Bezkresna szara czapa rozciągnęła się nad Paryżem, spijając światła zmierzchu, by wreszcie tuż po zachodzie słońca opaść drobnym deszczem na stolicę.

Krople stukały w okienka strychu, gdzie urzędował Guy, owego długiego pomieszczenia, które wypełnił lampami gazowymi, jakby się obawiał ciemności tego akurat wieczora.

Gdyż tej nocy, postanowił, przeniknie tajniki umysłu mordercy.

Odczuwał nawet podniecenie, jakie go ogarniało, kiedy rozpoczynał nową powieść, przymierzał się do spenetrowania umysłów nowych bohaterów, zaludnienia przestrzeni nowymi istnieniami, które będą mu odtąd towarzyszyły przez długie godziny.

Motyw przewodni każdej książki dyktował mu naturę wymyślanych postaci, racja bytu opowieści podpowiadała życiorysy i charaktery ról, które miał rozwinąć. Podobnie będzie i tej nocy, choć temat i beletrystyczne zdarzenia zastąpić miał faktami kryminalnymi. Nie chodziło wszakże o strukturę narracyjną opartą na jednym lub kilku wątkach, które należało rozpracować, lecz o szczegóły krwawych zbrodni. Tylko cel będzie identyczny: wykorzystając owe elementy do wyodrębnienia konkretnej postaci.

Guy był bowiem dogłębnie przekonany, że podobnie jak dobra powieść powstaje na bazie wiarygodności związków między postacią bohatera a wydarzeniami i jego wpływem na opowiadaną historię, tak

powtarzających się morderstw nie można oddzielić od ich sprawcy. Powtarzalność ta miała w sobie coś z obsesji, zdradzała niepowstrzymaną potrzebę wyrażenia siebie przez silną osobowość. Trzeba było jeszcze tylko ją określić poprzez zbadanie jej czynów.

Drżące światło lamp tworzyło w pomieszczeniu na poddaszu niemal gotycki nastrój, nasilony jeszcze przez stuk kropel deszczu o szyby. Guy czuł się niemal jak w powieści Mary Shelley, Poego lub Charlesa Maturina.

Zapukano do drzwi i weszła Faustine.

Otuliła się w peniuar z różowego jedwabiu, rozchylone poły odsłaniały długą satynową koszulę nocną z narzuconą na nią przezroczystą tuniką z białego muślinu. Faustine chciała czuć się swobodnie, jak gdyby przeczuwała, że będzie potrzebowała ochrony, by wejść do głowy potwora.

Trzymała tacę z parującym czajniczkiem z herbatą i trzema porcelanowymi filiżankami. Postawiła ją na biurku pisarza, a następnie stanęła na środku pomieszczenia z założonymi z przodu rękami.

Guy nie wiedział, co powiedzieć po epizodzie sprzed kilku godzin, bał się urazić piękną brunetkę o zdecydowanym charakterze.

Ograniczył się do podziwiania jej kątem oka, udając, że czyta swoje notatki. Rozpuściła długie czarne włosy, których sploty opadały jej na ramiona, widział też, jak wielokrotnie zwilża wargi, jakby chciała się odezwać.

Postanowił ułatwić jej zadanie.

- Jest sobotni wieczór, nie pracuje pani?

Potrząsnęła głową.

- Julie jest pewnie zadowolona - kontynuował Guy. - Słyszałem, że przyszło dużo ludzi...

Wreszcie Faustine się zdecydowała:

- Przepraszam za tamto, byłam dla pana trochę za ostra.

- Proszę się nie przejmować, to już wybaczone.

Odwróciła się, by spojrzeć mu w twarz, w jej wielkich niebieskich oczach odbijały się światła lamp.

- Miałam siedemnaście lat - powiedziała niskim głosem i Guy domyślił się, że zamierza podzielić się z nim ważnymi wydarzeniami ze swojego życia - kiedy matka postanowiła wydać mnie za męża. Urodziłam się w bardzo dobrej rodzinie, gdzie małżeństwa zawiera się często ze względu na interesy, a nie z miłości. Miałam siedemnaście lat i charakter, sam pan wie jaki. I marzenia. Kiedy przedstawiono mi przyszłego męża, brzydkiego grubiańskiego młodego człowieka, przestraszyłam się. Nazywał się Nathan i był niewiele starszy ode mnie. Chciałam się sprzeciwić temu związkowi, usiłowałam odmówić, ale nie umiałam, nie odmawia się przecież matce. Więc wpadłam w panikę. W tygodniu poprzedzającym zaślubiny uciekłam. Bez grosza włóczyłam się ulicami, aż wreszcie jakaś kobieta zlitowała się nade mną i przygarnęła mnie. Gdy dowiedziałam się o samobójstwie mojego przyszłego męża, który nie zniósł odrzucenia i upokorzenia, moje życie legło w gruzach. Moja dobrodziejka nie tylko mnie przyjęła, ale też zdołała utrzymać przy życiu po tej tragedii. Przez wiele tygodni zajmowała się mną, nie żądając niczego w zamian. Do czasu, aż dojdę do siebie. Aż będę zdolna znów spojrzeć sobie w oczy. Dzięki niej otrzymałam drugą szansę, udało mi się odbudować własne życie. Przez dziewięć miesięcy dbała o mnie, sama zaś pracowała jako służąca w dużym paryskim domu publicznym. Ta kobieta to Julie.

Guy nie ukrywał zdziwienia. Skrzyżował ręce na piersiach w oczekiwaniu na dalszy ciąg opowieści.

- Po upływie dziewięciu miesięcy spędzonych w ciemnym pokoju podjęłam decyzję. Julie umożliwiła mi zatrudnienie się w lokalu w charakterze gosposi. Płacono mi za wykonywanie drobnych sprawunków.

Zza kulis poznałam pracę kurtyzany, nauczyłam się również bronić, opierać mężczyznom, którzy widząc mnie, chcieli spędzać ze mną noc. Odkryłam swoją moc uwodzenia, a Julie nauczyła mnie, jak zręcznie z niej korzystać. Zostałam metresą kilku mężczyzn; mogę chyba powiedzieć, że była to głównie nauczka dla mojej rodziny, ale też sposób na odkupienie winy: dawałam stu mężczyznom rozkosz, jakiej odmówiłam jednemu z nich.

- Ale pani nie była odpo...

- Aż do dnia, gdy Julie wykorzystała swoje oszczędności, by otworzyć własny lokal - ciągnęła, jakby nie słyszała Guya. - Od tamtej pory minęło już sześć lat i choć zgodziłam się zacząć nowe życie, czasami ciężko mi znieść to, co przypomina mi o poprzednim. Od... śmierci Milaine jestem cała w nerwach. Dlatego też dzisiejsze zdarzenie wywołało mój atak gniewu na pana, choć przecież nie miał pan z tym nic wspólnego, przepraszam.

Guy podszedł do niej, ujął ją za ręce - lodowate w dotyku - i wyszeptał:

- Nie znalazłem pani historii, Faustine, jestem...

- I jeszcze coś: Faustine nie jest moim prawdziwym imieniem. Wybrałam je sobie, zawierając z Julie pakt na drugie życie.

- Jak brzmi prawdziwie?

- Obiecałam sobie, że nie zdradzę go żadnemu mężczyźnie. Podoba mi się Faustine.

Guy przytaknął lekko:

- Mnie również.

- Teraz wie już pan, dlaczego zachowywałam tak długo dystans wobec pana. Pan nie czynił tajemnicy ze swej... osobliwej historii. Muszę przyznać, że nasze podobieństwa przeraziły mnie.

- Co się teraz zmieniło?

- W ciągu ostatnich dni... odkryłam pana prawdziwe „ja”. Sprawia pan, że czuję się mniej samotna.

Wtuliła się w niego, kładąc głowę w zagłębieniu jego ramienia. Oddychała ciężko i Guy wkrótce poczuł ciepłą wilgoć na skórze szyi, wśród gęstwin włosów młodej kobiety. Pogłaskał ją więc po plecach, jak czyni ojciec pocieszający córkę.

Albo jak kochający mąż.

Zaskrzypiały schody, zwiastując nadejście Martiala Perottiego, toteż obie sylwetki natychmiast się rozdzieliły niczym dwa duchy spłoszone przez świt.

Faustine odwróciła się plecami do drzwi, by osuszyć łzy, a Guy przywitał młodego inspektora.

- Martial, czekaliśmy już tylko na pana, zapraszam, proszę siadać. Napije się pan herbaty? Jak minął panu dzień?

- Nudno! W kółko robota papierkowa. Może się to wydać szalone, ale nasza działalność detektywów amatorów sprawia mi więcej satysfakcji niż praca policjanta. Przeklęte niech będą pierwsze lata pracy inspektora! Przełożeni wykorzystują nas, obarczając sprawami bez znaczenia, sami zaś biegają tam, gdzie dzieją się pasjonujące rzeczy.

Podeszła Faustine i podała mu filiżankę herbaty.

- Dobry wieczór, Faustine! Dziękuję.

Guy wykorzystał chwilę, by wskazać na deskę opartą o belkę naprzeciw nich. Była długa, sięgała niemal sufitu.

- No cóż, nie zwlekajmy dłużej. Przedstawiam wam głowę Hybrisa.

- Proszę? - zdziwił się Perotti. - Czyją głowę?

- Hybris to pojęcie oznaczające brak umiaru. Starożytni Grecy używali go na określenie przesadnych gwałtownych zachowań, przekraczających znacznie granice tolerancji i przyjętych kodów. Przed

pojawieniem się grzechów głównych z naszej Biblii, hybris pełnił rolę duchowej bariery ochronnej, że tak powiem. Tak nazwałem naszego mordercę. Hybris.

- A w jaki sposób ta... deska miałaby być jego głową?

- Na razie widzimy tylko gładką czaszkę, a naszą misją będzie otworzyć ją i sprawdzić, co w niej siedzi. Pomogą nam w tym fakty. Gdyż nasze czyny stanowią język, każdy czyn to sposób wyrażania się, jestem o tym przekonany. Szczególnie te działania, które często powtarzamy, świadomie lub nie. Zabijanie i potrzeba wyreżyserowania zbrodni jest oczywiście formą wypowiedzi. Zastanawiam się jednak nad naturą odbiorcy: czy morderca przemawia sam do siebie, czy zwraca się do społeczeństwa? Co mówią te zbrodnie? To właśnie wspólnie rozszyfrujemy!

- Jak zamierza się pan do tego zabrać?

- Analizując fakty. Zaczniemy od najważniejszego: od ofiar.

Guy wziął przygotowane wieczne pióro i plik papieru i zaczął wypisywać nazwiska wszystkich ofiar na osobnych kartkach, które następnie przyczepiał do deski. Drewno był tak spróchniałe, że był w stanie wciskać gwoźdźki gołą ręką.

Odwrócił się, by im wyjaśnić:

- Zapisałem tu imię każdej z nich, datę zniknięcia i miejsce, gdzie znaleziono ciało. Dodaję też metodę... zabójstwa.

Odsunął się, by Faustine i Martial mogli przyjrzeć się zestawieniu:

Pięć zniknięć pomiędzy wrześniem a lutym, ulica Monjol. Wszystkie zaginione kobiety to prostytutki. Tożsamości nam nieznane (spytać Króla Wszarzy w celu uzyskania dodatkowych informacji). Nie odnalezione.

Louise Longjumeau - połowa lutego. Ulica Monjol. Nie odnaleziona.

Viviane Longjumeau - 7 kwietnia. Ulica Monjol. Nadbrzeże portu Saint-Bernard w pobliżu Jardin des Plantes. - Zadżgana nożem na śmierć. Zgwałcona przedmiotem, figurką. Czarne oczy.

Anna Zebowitz - 12 kwietnia. Plac Concorde. Szczyt pałacu Trocadéro - Rozpruty brzuch. Okaleczona/kradzież narzędzi. Podcięte po śmierci gardło.

Milaine Rigobert - 18 kwietnia. Ulica Notre-Dame-de-Lorette. - Krwawy pot. Ogólny skurcz mięśniowy. Czarne oczy. Biała substancja w ustach.

- W sumie dziewięć zaginionych lub martwych - podsumował.

Faustine wskazała na ostatnią kartkę.

- Biała substancja w ustach Milaine? Skąd pan o tym wie?

- Zauważyłem na miejscu.

- Czy to mogła być sperma?

Mężczyźni zakłopotani odwrócili wzrok.

- Nie róbcie takich min! - oburzyła się Faustine. - Przypominam, że robię biznes na orgazmach, więc darujcie sobie tę pruderie, która jest tu zupełnie nie na miejscu. Rozmawiamy o morderstwie, o wypatroszonych zwłokach, seks w tym wszystkim nie powinien nikogo szokować!

- Nie, to nie było to - odparł Guy defensywnie. - To znaczy nie mam pewności. Ale nie sądzę.

- Pańskie wahanie na niewiele nam się zda! - zakpiła młoda kobieta. - Następnym razem

proszę mnie zawołać! Wydam swoją opinię na ten temat. Nie miała żadnego zapachu? Panowie, gdybyście lepiej się na tym znali, wiedzielibyście, że sperma pachnie czasami jak jadalne kasztany.

- Nie przypominam sobie żadnego specyficznego zapachu - przyznał Guy

- Szkoda. Przedstawię panom mój punkt widzenia: dziwi mnie fakt, że Viviane została zgwałcona, a pozostałe kobiety nie. Przede wszystkim ten człowiek, Hybris, jak go pan nazywa, nie zgwałcił Viviane bezpośrednio, lecz za pomocą przedmiotu. Wie pan, kogo mi to przypomina? Kogoś niedojrzałego. Nieśmiałego, który działa etapami. Najpierw zastępuje własne ciało przedmiotem, wreszcie decyduje się dokonać aktu samodzielnie, ale nie bezpośrednio w intymności Milaine, tylko w jej ustach, jak gdyby to był ostatni etap przed rzeczywistym gwałtem. Ma więc problem natury seksualnej.

Guy i Perotti spojrzeli po sobie ostrożnie.

- Mam pewne wątpliwości - wtrącił Martial Perotti. - Wszystko wskazuje na to, że motywem Hybrisa jest raczej władza, boska żądza. Poluje, by zabić, przyznaje sobie prawo do decydowania o życiu i śmierci, uważa się za Boga.

- A jak między innymi można osiągnąć dominację? - spytała Faustine i nie czekając na odpowiedź, dodała: - Przez zachowania seksualne!

Guy przerwał debatę, unosząc rękę do góry:

- Zanim zaczniemy wysuwać hipotezy na temat pobudek jego działań, skoncentrujmy się na tym, co już wiemy, na faktach. Przede wszystkim porywa się tylko na kobiety. Wszystkie to prostytutki. Atakuje dziewczyny nieco dzikie, nie wybiera najbardziej ostrożnych, przeciwnie, wiemy, że wszystkie bywały nieroztropne. Anna i Milaine nie wahały się pójść z byle nieznanym w ciemną uliczkę, jeśli tylko w grę wchodziły pieniądze. Viviane robiła zapewne to samo, byle tylko zbliżyć się jakoś do zaginionej córki.

- A więc mamy do czynienia z myśliwym, który nie lubi podejmować ryzyka - stwierdził Perotti, czyniąc aluzję do słów Maximiliena Henksa.

Guy uniósł palec wskazujący:

- Właśnie! Tak moglibyśmy sądzić, gdyby nie scenerie zbrodni. Te zaś są dla odmiany ryzykownymi miejscami. Nadbrzeże portu Saint-Bernard, nawet w środku nocy, jest odsłonięte, widoczne z przeciwległego brzegu. Ulica Notre-Dame-de-Lorette jest uczęszczana nawet późnym wieczorem; gdybym był ostrożny i podejrzliwy, wybierałbym raczej puste przestrzenie na cmentarzach lub w parkach, ale z pewnością z dala od ludzkich siedzib.

- Skąd więc ta rozbieżność między wyborem łatwej ofiary i niebezpiecznego miejsca zbrodni? - zdziwił się Perotti.

- Chce mieć pewność, że ofiara będzie jego - zasugerowała Faustine. - Niczym mężczyzna, który przepelniony pożądaniem zgodzi się na jakąkolwiek dziewczynę, byle tylko mieć pewność, że dozna rozkoszy cielesnej, zamiast zostać z niczym, jeśli okaże się zbyt wybredny. Następnie obsesja bierze górę, każe mu się narażać, jego podniecenie jest proporcjonalne do stopnia zagrożenia.

- I znów seks! - zakrzyknął Perotti. - Czemu sprowadza pani wszystko do seksualności?

- Cywilizacja oparta jest na seksualności! To jej zawdzięczamy przetrwanie gatunku! Jest

w nas ukryta pod płaszczykiem zachowań, wpleciona w nasze osobiste losy, to motor naszego życia!

- Ależ nie jesteśmy zwierzętami! Potrafimy kontrolować... popędy!

- Darwin dowiódł, że jesteśmy zwierzętami! W zaawansowanym stadium ewolucji, ale mimo wszystko zwierzętami. Podnosi pan właśnie problem Hybrisa: opanowały go popędy, nad którymi nie potrafi

zapanować. Istota ludzka cywilizowana z pozoru, kryjąca w sobie najbardziej prymitywne bestialstwo, ale niezdolna go tłumić, musi od czasu do czasu pozwolić mu eksplodować.

- Wydaje się pani bardzo pewna siebie, moja droga. Skąd to przeświadczenie o tak doskonałej znajomości ogółu ludzkości? - spytał Perotti z nutką sarkazmu w głosie.

- Posiadam doświadczenie, jakiego pan nigdy nie zdobędzie, w obserwowaniu w mężczyźnie tego, co w nim najbardziej instynktowne i prymitywne: jego seksualności i sposobu czerpania rozkoszy. To często wasza obsesja, jakże dobrze to wiem! W takich chwilach mężczyzna ma w sobie coś wyjątkowo dzikiego, bardziej typowego dla zwierzęcia niż dla istoty o wyższym stopniu rozwoju. Wiem, jak się zachowujecie w intymnych sytuacjach!

Guy wtrącił się ponownie, chcąc zakończyć temat:

- Hybris to człowiek ostrożny, na co wskazuje wybór ofiar. Jeśli ryzykuje bardziej, decydując się na określone miejsce zbrodni, oznacza to, że ma ona największe znaczenie. Zauważcie, że wybiera zawsze miejsca uczęszczane, dające pewność, że zwłoki zostaną szybko odnalezione. Chce zaszokować ludzi, chce, by dowiedziano się o jego istnieniu, o jego czynach. Ma więc coś do przekazania społeczeństwu.

- Chce, żeby o nim mówiono? - powtórzyła Faustine. - W prasie?

- To sposób na zaistnienie, na nabranie znaczenia, może na odwet?

- Ale jak do tej pory żadna z tych spraw nie została nagłośniona - przypomniał Perotti. - Moi przełożeni pilnują tego rygorystycznie!

- To musi być niezwykle frustrujące dla Hybrisa. A gdyby zwiększył częstotliwość zbrodni w celu przyciągnięcia uwagi dziennikarzy?

Perotti pogładził machinalnie wąsy i ciągnął:

- Prokurator nie przychodzi na miejsce zbrodni, inspektorzy go nie wzywają, to by dowodziło, że otrzymali rozkazy pochodzące z bardzo wysoka. Państwo nie życzy sobie, by sprawa przeniknęła do prasy. Cokolwiek uczyni Hybris, nie będzie to miało odzewu. Jego wściekłość może rosnąć!

- Państwo chce wyciszyć sprawę morderstw ze względu na Wystawę Światową - zasugerowała Faustine. - Jedną z dziewczyn znaleziono właśnie tam, byłaby to bardzo niekorzystna reklama dla Paryża! Wszyscy wiedzą, że ekonomia i polityka mają tu największe znaczenie, koszty wystawy były ogromne, trzeba więc za wszelką cenę uniknąć niepokojenia odwiedzających. Jestem pewna, że dyplomaci ze wszystkich krajów przybywają tu potajemnie i zawierają rozliczne transakcje i umowy, mój dzisiejszy obiad utwierdził mnie w tej opinii.

Guy wycelował palec w stronę młodej kobiety:

- To bardzo prawdopodobne! Wiadomość o dokonaniu ohydnej zbrodni na dwa dni przed

inauguracją nie byłaby dobrze przyjęta. A wizja monstrum krążącego po Paryżu w poszukiwaniu ofiar nie jest lepsza. Ponieważ morduje tylko prostytutki, sprawa wydaje się mniej groźna, nie przeszkadza ludziom, władze więc zamiatają sprawę pod dywan i nikt o niej nie mówi.

- Fiasko śledztwa w sprawie Kuby Rozpruwacza w Anglii istnieje wciąż w świadomości policjantów - wyjaśnił Perotti. - Zapewniam was!

Guy mówił dalej:

- Powróćmy do naszego sprawcy: wiemy, że zna Paryż, nie boi się niebezpiecznych dzielnic, gdyż długi czas polował na ulicy Monjol, jest zorganizowany i przewidujący. Jest dobrym myśliwym, lubi poznać swoją zdobycz przed porwaniem jej, być może korzysta z usług prostytutek, obserwuje je.

- Z pewnością posiada środek transportu - wtrąciła Faustine. - Żeby niepostrzeżenie wprowadzać dziewczyny.

- Automobil byłby zbyt hałaśliwy - dodał Guy. - To z pewnością berlinka, pojazd zamknięty po bokach i zadaszony. Wątpię, by miał wystarczająco perwersyjnego współnika, który zgodziłby się towarzyszyć mu w tych ponurych wyprawach, wnioskuje z tego, że sam powozi. Musi więc kneblować i pętać ofiarę lub ogłuszać na czas przejazdu na miejsce zbrodni.

- A co z brakującymi dziewczętami? - spytała Faustine.

Guy podszedł do swojego schowka na cygara.

- Martial? - zaproponował partagasa inspektorowi, który odmówił uprzejmie. - Zaginione dziewczyny, to istotnie dziwne. Dlaczego porwanych na początku nie odnaleziono? Dlaczego znaleziono zwłoki tylko trzech ostatnich? Co zrobił z pozostałymi sześcioma? - Wobec wahania towarzyszy Guy uniósł ręce, by skłonić ich do zabrania głosu. - No dalej, proponujcie, co tylko przyjdzie wam do głowy, w ten sposób zbliżymy się do najbardziej prawdopodobnego wariantu.

- Z początku się wstydził - zasugerował Perotti. - Ukrył je gdzieś.

- Czemu nie? - zgodził się Guy - Faustine, ma pani jakiś pomysł?

Młoda kobieta popatrzyła nieufnie na inspektora, wreszcie rzekła:

- Stworzył sobie harem. Ten człowiek nie ma za grosz szacunku dla kobiet, biorąc pod uwagę to, co zdolny jest z nimi zrobić, nie traktuje ich jak istoty ludzkie, są tylko przedmiotami zaspokajającymi jego popędy. Z początku seksualne, a gdy to już nie wystarczało, także kolejne: zabija je.

- Tak, to interesujące. Jest jeszcze inny aspekt, którego nie omawialiśmy: jeśli biała substancja w ustach Milaine nie była... no wiecie

czym, moglibyśmy inaczej rozpatrywać gwałt na Viviane: dlaczego dokonano go przedmiotem, a nie członkiem?

Faustine zrozumiała natychmiast, co Guy miał na myśli.

- Bo go nie ma! To kobieta!

- Chyba nie mówi pani poważnie? - oburzył się Perotti. - Kobieta nie byłaby do tego

zdolna! Nawet gdyby znalazła się jakaś wystarczająco makiaweliczna, by dokonywać podobnych okropności, nie miałyby siły unieść swoich ofiar, a już na pewno przenieść Anny Zebowitz na szczyt pałacu Trocadéro.

- Zgadzam się co do siły. Niemniej kobiety cechuje wyjątkowy spryt: prostytutki nie obawiałyby się kobiety, bez oporu poszłyby za nią.

- A ja się nie zgadzam - sprzeciwiła się Faustine. - Nie ma pan pojęcia, jakie bywamy podejrzliwe w stosunku do siebie. W każdym razie dziewczyny uliczne często gotowe są na wszystko, by wyeliminować konkurencję!

- No dobrze. Odrzućmy więc hipotezę zabójcy kobiety. Mamy zatem mężczyznę dobrze zbudowanego, nieczułego na widok krwi...

- Który ma pojęcie, choćby elementarne... o anatomii. Gdyż narządy Anny zostały wydobyte bardzo starannie.

- Tak się nie stało w przypadku Viviane - przypomniał Guy - wręcz przeciwnie, pastwiono się nad nią w sposób bestialski, można by powiedzieć.

- Viviane została zabita przed Anną. Być może... trenował na niej?

- A więc silny mężczyzna przyzwyczajony do widoku krwi, być może do rozcinania ciała, dysponujący pojazdem, nie boi się podejrzanych dzielnic, posiada z całą pewnością jakieś lokum na uboczu, przynajmniej jeśli skłaniamy się ku hipotezie, że więził pierwsze ofiary.

Kolejny szczegół: większość porwań miała miejsce popołudniami, czasami wieczorem, czyli późno. To więc ktoś, kto ma dużo wolnego czasu, może się przygotowywać i odpoczywać przed przejściem do czynu lub potem.

Faustine wbiła w pisarza oczy niebieskie teraz jak lód.

- Odnoszę wrażenie, że ma pan na jego temat konkretne zdanie, prawda, Guy? - spytała.

- Działam zgodnie z zasadami logiki, drogą eliminacji, tak jak uczyniłbym, chcąc znaleźć właściwego bohatera do powieści. Od razu myślę o lekarzu, chirurgu, a może rzeźniku. Ci pierwsi jednak bardzo dużo pracują, wątpię, by mogli tak często się zwalniać, a trzeba przecież przyznać: ich zawód wymaga opanowania, a przede wszystkim stabilności psychicznej, którą ciężko byłoby przypisać naszemu przestępcy. Za to rzeźnicy... To o wiele bardziej radosna profesja, niż można by podejrzewać. Przechadzałem się swego czasu w okolicach rzeźni na bulwarze La Villette i zaskoczył mnie ogólnie tam panujący dobry nastrój. A dzielą mięso całymi dniami... Istnieje jeszcze jeden zawód, który mógłby pasować do naszego sprawcy: rzeźnicy z Hal. Mają reputację małomównych samotników, pracują wcześniej rano, mogą odpoczywać popołudniami, by być w pełni sił na wieczór. Byłbym za tym, żeby rzucić na nich okiem, z ciekawości, choćby po to, by poszukać nowych tropów i świeżych pomysłów.

- Czemu nie? - zgodził się Perotti. - Skoro nie mamy nic lepszego...

- Nasz człowiek jest bardzo skryty, niewiele mówi, łatwo wyczuć, że ukrywa emocje, za to pilnie obserwuje...

- Zaraz, zaraz, skąd to panu przyszło do głowy? - spytał Perotti.

- Wywnioskowałem z jego czynów. Jest bardzo ostrożny, spostrzegawczy, czuje się mało pewnie, przynajmniej na pozór. Gdyby był pewny siebie, w jego zbrodniach zauważylibyśmy pewną formę arogancji,

przynajmniej w wyborze ofiar, ale nie, on robi wszystko, by wybrać te, które uda się najłatwiej odciągnąć na ubocze i zawładnąć nimi. Jeśli chce zostawić po sobie ślad w społeczeństwie, to mimo wszystko nie ośmiela się zaatakować postaci symbolicznych. Zabicie policjanta lub polityka byłoby o wiele bardziej znaczące, są to jednak trudne ofiary. To człowiek, który niewiele mówi i woli słuchać innych, prawdę mówiąc, nie przepada za ludźmi, to mizantrop samotnik. Wystawia swoje ofiary na widok publiczny, by zaistnieć w oczach świata, inaczej bowiem czuje, że nie ma tu dla niego miejsca. Musi nie być poważany w swoim zawodzie. Zadaje sobie wiele trudu, sytuacja ta musi więc trwać od dawna, jest wpisana w jego osobistą ewolucję. Pochodzi z rodziny, w której traktowano go źle, jak kogoś zupełnie nieważnego, być może bito. Nie czuje się z nikim związany Jest wściekły na wszystkich. Jest kawalerem.

- A to dlaczego? - spytała Faustine.

- Żaden ojciec nie eksponowałby zwłok ofiar w miejscach uczęszczanych przez rodziny, jak na ulicy Notre-Dame-de-Lorette.

- Chyba że odczuwa nienawiść do własnej żony, a dzieci traktują go jak śmiecia.

- Tak, to prawda. Mimo to powtarzalność zbrodni pozwala sądzić, iż dysponuje on dużą ilością wolnego czasu. Rodzina nie pozwoliłaby mu na to. Dodam, że ma minimum dwadzieścia lat, choć najprawdopodobniej koło trzydziestki. Po prostu dlatego, że ma pieniądze na własny środek transportu, zdążył więc jakiś czas popracować, poza tym musi być fizycznie zdolny do zapanowania nad energicznymi kobietami, na żadnej z nich bowiem nie znaleziono śladów więzów, jak zauważyłem. Nie jest więc w podeszłym wieku. Poza tym nienawiść do społeczeństwa zdążyła się w nim utwierdzić, stać się prawdziwą obsesją, zachęcić go do przejścia do czynów. Jednocześnie nie upłynęło aż tyle czasu. Gdyby umiał powstrzymywać się przez ponad dwadzieścia lat, nie

widzę powodu, dla którego miałby eksplodować na starość. Sądzę, że możemy ograniczyć rozpiętość wiekową do dwudziestu pięciu-trzydziestu pięciu lat.

Guy przyciął koniec cygara i zapalił je wreszcie, otaczając się gęstą błękitną mgłą.

Perotti odchrząknął.

- Przeszkadza panu dym? - spytał Guy

- Ależ wcale. Chodzi o to, że... uważam, że naszkicowany przez pana portret bardzo przypomina mnie. I... czuję się nieswojo z tego powodu.

- Martial, portret ten odpowiada wielu kawalerom! A samotni trzydziestolatkowie są do siebie podobni. Są kawalerami, bo wielu z nich jest nieśmiałych, wolą obserwować, niż przemawiać. I czują się niepewnie, stając przed dużą publicznością. Wymuszone zamknięcie się w sobie wpływa na rozwój bogatego życia wewnętrznego, świata osobistych fantazji, które mnożą się pod wpływem samotności. To marzyciele, których czas pchnął na tę ścieżkę. Nie ma w tym nic wstydliwego! Istnieje jednak między wami zasadnicza różnica: jakość fantazji wykarmionych na samotnym życiu. Nasze są normalne, zaś nasz człowiek... ukształtowany został przez wszystkie zachwiania równowagi psychicznej, które tworzyły jego osobowość, być może przez pozostałości po nieszczęśliwym dzieciństwie, które skrzywiły jego punkty odniesienia, modele, potrzeby. W tej samotnej konstrukcji rozpatrywał wyłącznie to, co było w nim zachwianego, mełł to na okrągło aż do obsesji, aż uczynił z tego swój model, swoje

dorośle potrzeby. Wszystko skupia się na jakości naszej natury, na cudownym humusie naszych fantazji. A ta natura, jestem o tym głęboko przekonany, kształtuje się podczas wszystkich etapów rozwojowych naszego życia: dzieciństwa i wieku młodzieńczego.

Perotti uniósł brwi, upijając łyk letniej herbaty.

- Dziękuję, że mnie pan pocieszył co do jakości moich fantazji! - parsknął.

Na osobnej kartce Guy zapisał:

Hybris.

25-35 lat. Kawaler. Zamknięty w sobie, nieśmiały, obserwator, małomówny. Niepewny siebie na forum publicznym.

Dysponuje pojazdem. Lokum na uboczu (w Ménilmontant - w pobliżu miejsc zbrodni?).

Dobrze zbudowany.

Odwiedza niebezpieczne dzielnice. prostytutki?

Nie boi się krwi. Przyzwyczajony?

Umie dzielić mięso?

Nieszczęśliwe dzieciństwo.

Chce zaszokować społeczeństwo.

Cofnął się, by przeczytać to, co napisał, i odwrócił się do towarzyszy:

- I jeszcze jedno: metoda zabijania. Zmienia się. Nasz zabójca próbuje się odnaleźć.

- Dziewięć porwań: trzeba przyznać, że trochę to trwa - stwierdził Perotti.

- To właśnie mnie zastanawia. Wciąż nie znalazł dobrej metody. Do głowy przychodzą mi dwa wyjaśnienia.

Pierwsze: nadal szuka, gdyż sześć pierwszych, których nie odnaleziono, nie zamordował. Zabił więc „tylko” trzy kobiety. Stara się doskonalić. Drugie wyjaśnienie: ma ogromne doświadczenie, ale wciąż nie jest zadowolony z metody.

Oznaczałoby to, że nie fantazjuje na temat śmierci jako takiej[^] lecz ma obsesję na punkcie czegoś innego. Śmierć jest tylko tego konsekwencją.

- Chyba nie do końca rozumiem, co pan chce powiedzieć - rzekła Faustine.

- Ten człowiek nie jest wariatem, wiemy to, widząc drobiazgową organizację jego zbrodni. Aby przejść do czynu, aby zabić istotę ludzką, choć miał pełną świadomość tego skutków, musiał jedną po drugiej pokonać wszystkie bariery społeczne. To trwało. Nie była to kwestia przejściowej osobistej implozji, bo przecież zrobił to jeszcze raz. Skłania mnie to do wysunięcia hipotezy, że fantazja o śmierci dojrzewała w nim bardzo długo. Aż stała się taką obsesją, że wszelkie opory ustąpiły. Ta dręcząca fantazja żyła w nim od wielu lat. Hybris zabija, bo potrzeba ta pozwala mu na znalezienie równowagi. Musiał coś kompensować, tak samo jak mięśnie naszego ciała kompensują na przykład przemieszczony kręgosłup, wykonując jego pracę, choć ostatecznie odbija się to na całym organizmie. Ten brak równowagi staje się naszą nową równowagą, chociaż jest zła i destrukcyjna.

- Czyli fantazje zamieszkujące go od tak dawna nie dotyczą samego zabijania, to pan chce powiedzieć?

- Właśnie. I jeszcze coś. Chodzi o dominację albo o rolę, którą każe ofiarom odgrywać, a może o coś jeszcze. To trop, nad którym powinniśmy popracować. Niestety brakuje nam informacji na ten temat.

Guy dodał kolejne zdania do portretu:

Jego fantazja nie dotyczy bezpośrednio śmierci. DLACZEGO WIĘC ZABIJA?

Pierwsze pięć kobiet JESZCZE ŻYJE?

Po czym kontynuował:

- Nie licząc prowokacji w stosunku do społeczeństwa, co jest drugorzędym aspektem jego zbrodni, powinniśmy zidentyfikować, na czym polega jego przyjemność. Dlaczego zabija. Jaka tajemnica kryje się za tymi zbrodniami.

Deszcz uderzający w szyby okien poddasza nasilił się, nalegał jak ktoś, kto za wszelką cenę chce dostać się do środka, zmuszając troje naszych bohaterów do mówienia głośniej, by mogli się słyszeć nawzajem.

- W jaki sposób zdobędziemy dodatkowe informacje? - burknął Perotti. - Mieliliśmy już dostęp do akt śledztwa i na niewiele nam się to zdało.

- Wy - poprawiła go Faustine. - Wy mieliście dostęp do akt, nie my

Perotti spojrział na Guya, zrozumiał, że ten nie zrelacjonował jeszcze ich małej nocnej eskapady do podziemi na bulwarze l'Horloge.

- Eksplorowaliśmy nowe tropy - odparł Guy. - Zaletą umorzonego śledztwa jest to, że można je prowadzić dalej bez obawy, że jakiś ślad został znaleziony przez kogoś innego lub zniszczony

- Niech mi pan to wyjaśni, bo ja, jako inspektor, nie widzę, co jeszcze moglibyśmy zrobić.

- W tej kwestii, jeśli chodzi o metody tradycyjne, czy możemy liczyć na jakąkolwiek pomoc ze strony mundurowych? Może na wsparcie ze strony kilku policjantów?

- Z całą pewnością nie! - zawołał Perotti, wychylając się. - Jeśli moi przełożeni dowiedzą się, że knuję coś z pisarzem i... młodą kobietą w sprawie śledztwa umorzonego przez wysokich urzędników państwowych, moja kariera legnie w gruzach! To musi pozostać między nami! W przeciwnym razie będziecie musieli radzić sobie beze mnie.

- Nie wątpię, że taka będzie pana odpowiedź. Pozostają nam zatem metody nietypowe. Metody powieściopisarza. Analiza faktów mająca określić osobowość, przy której fakty te stają się spójne. Weźmy przypadek Anny Zebowitz. Dzisiaj na szczycie jednej z wież Trocadéro pewna oczywistość uderzyła mnie w oczy. Nawet jeśli Hybris chciał zaszokować publiczność, dlaczego wchodził na wystawę, wiedząc,

jak duże to pociąga za sobą ryzyko? Przyznacie, że to dość skomplikowane przedsięwzięcie i kompletnie niepotrzebne. Równie dobrze mógł porzucić zwłoki w środku nocy przed głównym wejściem. Efekt gwarantowany! Zamiast tego wspina się na szczyt wieży, co swoją drogą nie dawało mu możliwości ucieczki w razie problemów, następnie okalecza Annę Zebowitz i pastwi się nad jej zwłokami, podcinając jej gardło. Po co?

- Żądza krwi - zasugerował Perotti - upaja się przemocą...

Guy przytaknął lekko, nie do końca przekonany.

- Podcięcie gardła to akt barbarzyństwa - zauważyła Faustine. - Jest w tym coś okrutnego, gniewnego.

- Tak, też odnoszę takie wrażenie - przyznał Guy

- Atak furii w stosunku do Anny Zebowitz jest niemal... osobisty. Wściekłość. Czyżby ją znał?

- Nie braliśmy nawet pod uwagę możliwości związków łączących ofiary! - zawołał Perotti.

- To prawda - przyznał Guy - Wydaje mi się, że podobieństwo morderstw do tych przypisanych Kubie Rozpruwaczowi podświadomie skierowało nas na ten tor. Trzeba będzie to sprawdzić. Wróć na wystawę, chciałbym bowiem zrozumieć, dlaczego morderca umieścił ciało Anny Zebowitz właśnie tam. Musi być ku temu jakiś powód. Choćby symboliczny! Nad salą bankietową... Żeby popsuć jej świetność?

- Na szczycie wieży, budowli o falicznym kształcie, nasuwającej skojarzenia z seksem, jeśli chcemy pozostać w sferze symbolicznej... - obstawała przy swoim Faustine. - Ze swej strony mogę pójść na plac Concorde i spróbować się dowiedzieć czegoś więcej o Annie Zebowitz.

- Większość dziewcząt wychodzi na Concorde nocą - przypomniał Perotti. - A o tej porze nie jest to przyjazne miejsce...

- Nie jestem z cukru, nie martwcie się o mnie.

Mężczyźni spojrzeli znów po sobie, dzieląc tę samą troskę. Świadomość, że Faustine, tak piękna kobieta, będzie przemierzać chodniki Concorde późnym wieczorem, nie napawała ich otuchą. Mimo to Guy powstrzymał się od prawienia kazań, znał ją zbyt dobrze, by wiedzieć, że nie miałyby to żadnego sensu.

- Słucham was od dłuższej chwili - ciągnęła dziewczyna - i dziwię się, że nie poświęcacie więcej miejsca Milaine w analizie. A przecież była jedyną z ofiar, którą znaleźliśmy, mieszkaliśmy w sąsiednich pokojach! Znaleźliśmy ją lepiej niż ktokolwiek inny.

- Już wyczerpaliśmy ten trop w kostnicy - przypomniał Guy - Czytałem jej listy. Oczywiście jest kilka nazwisk mężczyzn, z którymi warto by się spotkać w swoim czasie, ale ślad Milaine prowadzi nas na razie donikąd.

- Milaine prowadziła dziennik, już o tym rozmawialiśmy. Jeśli istnieje jakiś związek między wszystkimi dziewczynami, Milaine z pewnością wspomniałaby coś na ich temat, może wymieniła nawet nazwisko tego, który stał się jej katem!

- Z pewnością, ale dziennik zabrał morderca! Nie miała go przy sobie, lekarz z kostnicy nie miał co do tego wątpliwości.

Faustine pokiwała głową.

- Myślałam o tym, to do niej niepodobne, nie wiem, po co miałyby go ze sobą zabierać. Pamiętnik trzyma się w bezpiecznym miejscu. To na swój sposób było jej serce, do którego nie dopuszczała klientów.

Faustine zerknęła zakłopotana na Perottiego. Szybko jednak przeniosła wzrok na Guya.

- Przeszukaliśmy jej pokój - przypomniał pisarz. - Jeśli tam go nie ma i nie zabrała go ze sobą, gdzie mogła go ukryć? Wynajmowała pokój w innym domu?

- Nie, wiedziałabym o tym.

- W bibliotece?

- Nie, też nie, wolałaby nie ryzykować, że ktoś na niego trafi.

Guy zmarszczył brwi.

- Widziała pani, jak w nim pisze?

- Nie, ale często pisała w swoim pokoju. Podejrzewam więc, że właśnie w tym pamiętniku.

- Czyli nie ukrywała przed panią jego istnienia. Ale czy tylko przed panią?

- Tak sądzę.

Guy oparł brodę na dłoni, aby się zastanowić, wbijając wzrok w wytarty dywan.

- O czym pan myśli? - chciała wiedzieć Faustine.

- Same sprzątaacie swoje pokoje, takie panują tu reguły. A Milaine należała do ostrożnych. Gdyby miała schować pamiętnik, nie umieściłaby go w swoim pokoju ze strachu, że odkryje go jej rywalka. Natomiast do pani miała zaufanie.

- Nie ma go w moim pokoju, może pan być pewien. Musiała mieć do niego dostęp, nie wchodząc do mnie.

- Ale między waszymi pokojami jest małe wspólne pomieszczenie. Łazienka! I tam nie szukaliśmy!

Guy poderwał się, odłożył cygaro na wyszczerbioną popielniczkę i ruszył w stronę schodów, za nim zaś Faustine i Martial Perotti.

Zapalił lampę gazową w małej łazience i otworzył szafkę pod umywalką, podczas gdy Faustine zajęła się szafą. Perotti stał w progu, jak gdyby nie miał śmiałości wejść do środka. Z przerażeniem malującym się na twarzy wpatrywał się w irygator nad bidetem.

Guy cofnął się z westchnieniem, niczego nie wskórawszy. Siedział teraz na podłodze, przyglądając się pomieszczeniu. Faustine kończyła

inspekcję - również zakończoną bez sukcesu. Nagle pewna nieregularność w wystroju zwróciła uwagę pisarza. W trosce o oryginalność wanna nie była całkiem odsłonięta, lecz obita drewnianymi listewkami. Pierwsze trzy deseczki nie były proste. Chwyciwszy je, Guy stwierdził, że są ruchome. Bez trudu oderwał je od ściany, odsłaniając niewielką ciemną przestrzeń pod wanną.

Faustine wsunęła tam rękę i wyciągnęła notesik w skórzanej oprawie zawiązany na tasemki.

- To jej pamiętnik - rzekła nieomal z nabożeństwem.

18.

Na rogu Grands Boulevards i ulicy Drouot, w samym centrum skrzyżowania ustawiono wysoką latarnię, pośrodku której królował wielki zegar o białej tarczy.

Żarzące się gazowe światło padało również na ciemne wskazówki.

Chodniki były jeszcze wilgotne od deszczu sprzed kilku godzin.

Guy podniósł kołnierz płaszcza, by osłonić szyję przed chłodnym wiatrem wiejącym od strony Opery, monotonnym i złowieszczym, nocnym requiem dla cierpiących na bezsenność.

Nie kładł się spać. Po odkryciu pamiętnika Milaine podniecenie całej trójki nie miało granic i gdyby Faustine nie nalegała, że chce przeczytać go w samotności ze względu na szacunek dla pamięci przyjaciółki, Guy i Martial Perotti rzuciliby się na niego od razu.

Mając zbyt wzburzony umysł, by kłaść się spać, Guy zdecydował się na wizytę w Halach o najlepszej porze: w samym środku nocy Czekał jakiś czas na strychu z cygarem w ręce.

Teraz, gdy szedł szybkim krokiem, pewna sprawa nie dawała mu spokoju.

Był początkowo oszołomiony nagłym dążeniem do prawdy, a teraz zaczynało go dręczyć swego rodzaju poczucie winy. Milaine zajmowała poślednie miejsce w jego motywacjach, nie mógł się dłużej okłamywać, prawdziwy napęd można było określić jednym słowem: inspiracja. Czuł

bowiem owo cudowne bulgotanie, gulasz pomysłów w kociołku swojej czaszki gotowy do podania, gdy tylko poczuje, że nadeszła już pora. Guy de Timée szykował przepis na arcydzieło.

Rzeczywistość i fikcja zlały się w jedno w ciągu ostatnich godzin, połączył swoje metody pracy z postępowaniem jak w przypadku prawdziwego śledztwa, a postać, którą tropił, wkładając w to całą duszę, istniała naprawdę. Trzeba więc jeszcze przygotować się na konfrontację. Od samego początku nie brał tak naprawdę tego pomysłu na poważnie, nie sądził, że uda mu się zbliżyć do Hybrisa, tylko marzył o tym, choć przypominało to bardziej projekcję literacką: fantazjował na temat spotkania na piśmie. Spotkania ze swoim mordercą, gdy inspiracja i rzeczywistość zejdą się, pozwalając mu napisać właściwą opowieść.

Ale jeszcze nie był na to gotów.

A jeśli odkryję tożsamość Hybrisa? Co z tym zrobię Pójdę mu się przyjrzeć, zbadać go tak, jak się przygląda fasadzie, by poznać wszystkie jej zakamarki, by ponadto poczuć, czym jest, poczuć to, czym emanuje, chcąc nadać znaczenia zwykłemu opisowi?

Wiedział w głębi duszy, że na nic mu tożsamość zabójcy. To, co liczyło się naprawdę, znajdowało się w sferze odczuć. We wrażeniu. Twarz, ciało, to było bez znaczenia, kusiło zaś to, co wyczytać można ze sposobu poruszania się, wyrażania, z milczenia, a nade wszystko ze spojrzenia.

Guy chciał podglądnać umysł potwora.

Chciał zanurzyć się w duszę Zła.

Gwałtowny podmuch wiatru pchnął go naprzód, przyspieszył więc kroku, wyrównując do

tempa narzuconego przez naturę.

W paryskich Halach roił się już imponujący tłum. Guy, który swego czasu pisał na temat Hal, przypominał sobie teraz robiące wrażenie

liczby: 14 000 wozów ciągniętych przez konie przybywało każdej nocy z obrzeży miasta, by zaopatrzyć ludność stolicy w warzywa, rocznie sprzedawano tam 166 milionów kilogramów świeżego mięsa, 27 milionów kilogramów ryb i pół miliarda jaj.

Od ośmiuset lat miejsce to służyło za koło napędowe handlu, nic nie było w stanie nim zachwiać, ani epidemie, ani wojny, nawet śmierć przegrała z zyskiem, kiedy to Cmentarz Niewiniątek leżący pośrodku targowiska został przeniesiony do katakumb miasta, aby powiększyć magazyny i zbudować skwer Niewiniątek, którego gleba była jeszcze przesiąknięta płynami ustrojowymi pogrzebanych tam ludzi, co nie zniechęcało jednak w żaden sposób komisjonerów z hal targowych do wypoczywania na nim późnym przedpołudniem.

Pod błękitną aureolą latarni gazowych, których światło sączyło się przez gęstwiny młodych topoli, stały rzędem setki już rozładowanych wozów i furgonów ciągniętych przez łagodne konie. Stosy marchwi, porów, kapusty, sałaty i ziemniaków wytyczały wąskie przejścia na szerokich przecież chodnikach. Guy wiedział, że jeszcze przed południem ulice usiane będą zepsutymi warzywami, papierami i strzępami wiklinowych koszy, które sprzątną nędzarze, przywracając ulicę światłu słonecznemu.

Nieco dalej dostrzegł sprzedawców kwiatów i góry pachnących bukietów o kolorach jeszcze bladych w widmowym blasku zbyt rzadko ustawionych lamp ulicznych.

Słyszał też gdakanie skrzydlatej armii, z której wkrótce żadna sztuka nie ocaleje, wszystkie padną bowiem ofiarą z góry przegranej niekończącej się bitwy: z milionów drewnianych skrzynek wystawały przez szpary pióra i grzebienie drobiu wzięnego do ubojni.

A były to tylko przedpola Hal. Ich serce biło głębiej, prawdziwy handel odbywał się w formie licytacji, przetargu, w wielkich budynkach

zaprojektowanych przez Baltarda, w rzędach nowoczesnych hangarów z żelaza na ceglanych podmurówkach. Wysokie szkielety były całkowicie zamknięte ścianami i sklepieniami ze szkła, co nadawało im wygląd nowoczesnych świątyń wzniesionych ku chwale bogów Handlu. Gigantyczne wypolerowane witryny lśniły od wewnątrz setkami małych białych lampek, tworząc niekończący się balet chińskich cieni.

Guy utorował sobie przejście między pojazdami kupców napływających o tej wczesnej jeszcze porze z całego miasta, by poruszać się w miarę sprawnie, zanim pojawią się klienci detaliczni, których zaczepiać będą sprzedawcy z kosztami wypełniający każdy skrawek bruku.

Ruch nasilał się w pobliżu pawilonów z masłem i serem, a przede wszystkim z drobiem i dziczyzną, tu przestrzeń wypełniały coraz silniejsze zapachy, liczne i odurzające. Wkrótce Guy nie mógł już iść dalej naprzód, zatrzymała go ściana pojazdów i stłoczonych przechodniów

Dostrzegli grupę muskularnych mężczyzn w skórzanych szarobiałych kapeluszach pracujących przy transporcie towaru, Guy wślizgnął się między nich. Z jedną skrzynką na głowie i dwiema pod każdą pachą szli żwawym krokiem, roztrącając tłum imponującymi barkami. Guy miał nadzieję, że tym sposobem zbliży się do celu, lecz mężczyźni zniknęli w innym pawilonie.

Nie chcąc tarasować drogi idącym za nim, Guy postanowił pójść w tym samym kierunku. Widząc to, jeden z osiłków odezwał się do niego z przeciągłym akcentem z południa Francji:

- Hej! Dokąd pan tak idzie? Bo my tu pracujemy!

- Przepraszam - powiedział Guy - Chciałem dotrzeć do tamtego budynku, tego z drobiem.

- Niech pan przejdzie dołem! - odparł mężczyzna śpiwnym głosem mimo dźwiganego na barkach ciężaru. - Tam są przejścia podziemne do Hal.

Guy odszedł na bok, gdy tylko stało się to możliwe, i znalazł schody do podziemi. Zapach serów rozwiął się niemal natychmiast zastąpiony wonią stęchlizny z nutką potu wzmocnioną ciężką duchotą.

Piwnica była tak przestronna, jak można się było spodziewać - bez okien, nic tylko klapy, wszystkie zamknięte.

Około stu mężczyzn, głównie kilkunastoletków i w większości ułomnych, pochylało się nad stołami, na których leżały tysiące jaj. Guy rozpoznał w nich sortowaczy pracujących dla handlarzy drobiu przy blasku świec - ich rola polegała na usuwaniu jaj z plamami będącymi znakiem początku rozkładu. By podjąć tej pracy, trzeba było wytrwałości, zdolności koncentracji i doskonałego wzroku.

Guy minął rzędy drżących płomyków i dotarł do słabo oświetlonego korytarza, który - jak się domyślał - biegł pod ulicą.

Był już prawie na miejscu.

Za jednymi z drzwi znalazł wreszcie pawilon, którego szukał.

Zapach i hałas dobiegający z jego wnętrza wielce różniły się od pozostałych.

Tuczący drób karmili setki gołębi zamkniętych w maleńkich klatkach za pomocą pipet, nabierając płynną substancję z długiego cebrzyka i wlewając ją w dzioby ptaków precyzyjnymi szybkimi ruchami.

Guy przeszedł do kolejnego pomieszczenia, do głównej piwnicy, gdzie osaczył go ciepły metaliczny zapach i widok rodem z koszmaru.

Z wozów wysypywał się drób kończący tu swoją podróż. Złani krwią mężczyźni wieszali ptaki pod sufitem za nogi, podrzynali im gardła, a następnie jeszcze trzepocące obdzierali z piór.

Guy pomyślał wówczas gorzko o świecie, w jakim przyszło mu żyć. W konformistycznej cywilizacji zmuszonej ukrywać ów odrażający

rytuał pod osłoną nocy i ziemi, we wnętrznościach miasta, jak gdyby wstydziła się swego czynu.

Było tu znacznie więcej ludzi, niż się spodziewał, i nagle uświadomił sobie, że jego przedsięwzięcie ma w sobie coś czczego, wręcz szalonego. Przyjść obserwować nocnych rzeźników z nadzieją na zbliżenie się do krwiożerczego mordercy. Naiwność w czystej postaci.

Guy postanowił nie zastanawiać się nad tym i działać. Wpadł między fontanny krwi i piór, starając się nie zbliżać za bardzo, by uniknąć opryskania, licząc, że znajdzie tu jakiś pomysł lub rzuci mu się w oczy osobliwy szczegół.

Dziwnym uczuciem napawało go spostrzeżenie, że człowiek od zawsze umiał zapewniać

przetrawanie najważniejszym dla swojej cywilizacji miejscom. Przez ponad osiem wieków Hale stanowiły schronienie dla handlu i najbardziej okrutnej przemocy. Były szubienicą i pręgierzem królów, tutaj rozrywano końmi, tutaj rodziły się bunty za czasów rewolucji. Handel i śmierć zawsze żyły w zgodzie, w każdej epoce i pod każdymi rządami. Stanowiły nieodłączny element społeczeństwa, które Guy widział teraz w nowym świetle jako chore, niezrównoważone.

Tuż przed nim jakiś mężczyzna uniósł głowę i błysnął bielą oczu pośrodku ociekającej krwią twarzy, sprawiając, że Guy drgnął.

- Nie stać tutaj! Poplamimy ten piękny strój! - zawołał.
- Przepraszam, ja... ja nie chciałem przeszkadzać.
- Mówię to dla pana dobra. Płacą mi od sztuki, więc nie mam czasu uważać na pana!
- Co tu się dzieje? - spytał ktoś inny.

Ten wyglądał już nieco bardziej zachęcająco. Był w szerokim, czerwonym od krwi fartuchu zakrywającym spodnie i koszulę, czapka z daszkiem chroniła mu twarz przed spadającymi z góry kroplami.

- Nie można tu schodzić, proszę pana! - powiedział, dostrzegłszy Guya. - Dalej, proszę wyjść!

Guy postanowił zaryzykować:

- Jestem ze służby bezpieczeństwa. Mam kilka pytań.

Służba ta często robiła wrażenie na ludziach, znacznie większe niż policja, gdyż w umysłach paryżan była kojarzona z policją polityczną.

- Do diabła! Dlaczego do mnie? - zdziwił się człowiek.

Był dość wysoki, o szerokich dłoniach poczerniałych od zaschłej krwi i ze zbyt długimi wąsami opadającymi na usta.

- Pan jest odpowiedzialny za tę rzeźnię?
- Tak, Jean Sylvain. Co się dzieje? Chodzi o te pogłoski, tak?

Guy zadrżał; rozmowa zaczynała się obiecująco.

- Pogłoski... Co pan właściwie wie? - spytał.

- Że nasza piwnica to kryjówka anarchistów! Ale to nieprawda! Przysięgam! Nie ma ich tu więcej niż gdzie indziej! Tak samo jak rojalistów, nacjonalistów i innych.

Guy zauważył, że około pół tuzina rzeźników przerwało pracę, by przysłuchać się ich rozmowie.

- Nieprawda! - zawołał jeden z nich, typ o olbrzymich barkach i rękach, z wyraźną zajęczą wargą zniekształcającą mu twarz aż po nos. - Tutaj wszyscy jesteście czerwoni!

Zawtórował mu wybuch gromkiego śmiechu tych, którzy dosłyszeli żart.

- Ilu ludzi pracuje tu na co dzień? - ciągnął Guy, nie czekając, aż umilkną.
- Około czterdziestu - odparł Jean Sylvain.
- Zna ich pan wszystkich?
- Tak. Od czasu do czasu pojawiają się nowi albo na zastępstwo, ale ogólnie ich znam.

- Ilu spośród nich jest w wieku między dwadzieścia pięć a trzydzieści pięć lat?

Szef gwizdnął i wzruszył ramionami.

- Nie umiałbym powiedzieć. Chyba z połowa.

- A czy wśród tej połowy są jacyś wyjątkowo nieśmiali, odludki?

- Czy ja wiem? Nie znam ich prywatnie. Jestem ich szefem, nie ojcem.

Stwierdziwszy, że większość rzeźników przerwała pracę, usiłując dosłyszeć, o czym rozmawiają, Guy zebrał się na odwagę i uniosł obie ręce do góry, chcąc skupić na sobie ich uwagę i uciszyć szepty.

Słysząc już było tylko wilgotny odgłos krwi ściekającej ze świeżo zabitego drobiu i pojedyncze agonalne gładnięcia.

- Posłuchajcie mnie wszyscy! - zawołał. - Płaci się wam od sztuki, więc każda mijająca minuta to stracone pieniądze dla każdego. Bądźcie uważni i współpracujcie, a za pięć minut będzie po wszystkim. Chcę, żeby wszyscy spośród was, którzy mają między dwadzieścia pięć a trzydzieści pięć lat, stanęli po mojej prawej ręce. Dalej! Do licha! Pośpieszcie się, jeśli chcecie wrócić szybko do pracy!

Po krótkim wahaniu kilku mężczyzn przeszło z jednej strony na drugą, lecz pozostali ociągali się, obserwując całą scenę spode łba. Guy zwrócił się do jednego z lepiej zbudowanych rzeźników, czując, że jeśli uda mu się go złamać, pozostali pójdą jego śladem.

- Chcecie zmarnować tygodniową wypłatę i spać za kratkami? Robić, co mówię!

Rzadko mógł się poszczycić takim autorytatywnym tonem. Był przyzwyczajony do przemawiania przed publicznością doceniającą jego dzieła, ale to było zupełnie co innego niż podnoszenie głosu, by wymusić posłuszeństwo. Trzeba przyznać, że rola ta sprawiała mu pewną przyjemność. Nie był w pełni sobą, raczej jednym z bohaterów książkowych, co napępniało go nową energią.

Ostatni oporni ruszyli się z miejsca i ustawili na właściwych miejscach. Wpatrywały się w niego krwawe maski, kontrast z bielą oczu i zębów czynił twarze złowrogimi.

Guy odwrócił się w stronę dwudziestopięcio- i trzydziestopięciolatków.

- A teraz niech zostaną tu tylko kawalerowie - rozkazał oschle.

Nagle na miejscu zostało raptem sześciu mężczyzn. Guy wskazał na jednego, niskiego i chudego, i nakazał mu wystąpić z szeregu.

- Który z was ma własny powóz, automobil, cokolwiek, czym mógłby przewozić coś ciężkiego? Jeśli teraz skłamacie, macie zagwarantowaną odsiadkę.

Trzech rzeźników wystąpiło naprzód.

Był wśród nich ten z zajęczą wargą, najsilniejszy, poza tym rudy - lub blondyn, z powodu krwi Guy nie miał pewności - i łysawy trzydziestolatek, który wyraźnie unikał wzroku Guya.

- Panowie, zbiorę wasze nazwiska i adresy, to rutynowa kontrola - rzekł Guy, wyjmując notes i pióro wieczne.

Spisawszy dane, Guy odwrócił się w stronę ich szefa:

- Potwierdza pan te informacje? Ostrzegam, na panu ciążyć będzie odpowiedzialność w

przypadku kłamstwa.

- Potwierdzam. To znaczy ten - wskazał na ostatniego, który wyglądał na najbardziej zakłopotanego z całej trójki - jest nowy, nie znam go zbyt dobrze, ale takie nazwisko podał mi, gdy go zatrudniałem miesiąc temu.

Guy schował notes i pióro do kieszeni płaszcza i pożegnał tłum złanych krwią rzeźników, którzy wpatrywali się w niego z równą dozą ciekawości i podejrzliwości.

- Dziękuję, panowie, to wszystko. Możecie wrócić do swoich zajęć.

Skinął głową szefowi i czym prędzej ruszył w stronę wyjścia z podziemi.

Znalazłszy się na świeżym powietrzu, pośród napierającego zewsząd tłumu, któremu spieszo było nabyć najlepszy towar za najniższą cenę, Guy uświadomił sobie, że cała sytuacja wywarła na nim o wiele silniejsze wrażenie, niż był skłonny przyznać przed sobą przejęty odgrywaniem swojej roli. Teraz, gdy napięcie opadło, poczuł, że drżą mu nogi.

Dorożkarz wysadził go przed Buduarem wczesnym rankiem, gdy miasto jeszcze się budziło. Guy potrzebował dobrej kąpieli. Czuł się brudny. A potem prześpi się kilka godzin, nim przystąpi do podsumowań.

Pokonywał właśnie stopnie prowadzące do drzwi, gdy nagle zauważył inną dorożkę, która zatrzymała się w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów. Guy odczekał chwilę, lecz nikt z niej nie wysiadł.

Woźnica wychylił się, by wymienić kilka zdań z pasażerem, ale ponieważ był to zamknięty pojazd, Guyowi nie udało się go dostrzec. Wreszcie dorożkarz wzruszył ramionami i dalej czekał.

Guy wahał się. Czy ktoś go śledził?

Przeszył go lodowaty dreszcz na myśl o teściu.

To niemożliwe, nie mógł go tutaj wytropić.

Więc kto?

Może nikt, może to tylko moja wyobraźnia...

Najwyraźniej jednak w dorożce siedział ktoś, kto nie chciał mu się pokazać.

Guy postanowił wejść do środka, by nie wzbudzać podejrzeń.

Kiedy tylko znalazł się w budynku, podszedł do okna w salonie, aby rzucić okiem przez szparę między zaciągniętymi zasłonami.

Dorożka ruszyła w górę ulicy. Guyowi zdało się, że zwolniła na chwilę przed domem, choć nie udało mu się dojrzeć ukrywającego się w niej pasażera.

Następnie pojazd przyspieszył i zniknął.

Sprawy najwidoczniej zaczynały się komplikować.

19.

Umysł opuścił ciało.

Następnie rozbił się na dwie części: świadomość weszła w stan zastoju, pozwalając wyrażać się podświadomości językiem obrazu - następującymi po sobie czasem dość osobliwymi krótkimi scenami.

Guy pogrążony był w lekkim śnie, gdy czyjaś dłoń dotknęła zdecydowanie jego ramienia, budząc go.

- Dalej, Guy, niech pan się obudzi!

Powieki miał ciężkie, twarz, która nachylała się nad nim, zdawała się odległa, podobnie jak dobiegający go głos... Wreszcie doszedł do siebie, odkrywając błękitne oczy Faustine i jej długie czarne kosmyki, które muskały jego twarz.

Guya bolała głowa, przespał tylko pół godziny.

- Czekałam na pana rano, żeby nie skracać pańskiej nocy - zwierzyła mu się podekscytowana Faustine - ale minęło już kilka godzin i nie mogę się doczekać. Przeczytałam pamiętnik Milaine!

Guy uniósł się na łóżku, a Faustine przysiadła na skraju z pamiętnikiem na kolanach.

- Nie kładła się pani spać? - spytał Guy jeszcze lekko otępiały.

- Nie byłam w stanie. Milaine pisze bardzo dużo o swoich pretendencjach, miała zamiar opuścić dom, chciała zdobyć pozycję, bogatego kochanka i od roku spotykała się, z kim popadło.

- Podawała ich nazwiska?

- Tak, wynotowałam je.

Guy wstał, aby odszukać plik listów, i porównali nazwiska. Wszystkie się zgadzały

- Trafiłam na dwa - wyznała Faustine - których pan nie wymienił. Pierwszy mężczyzna to marszand, drugi jest muzykiem i ku jej rozczerowaniu, nie byli skłonni zapłacić za więcej niż kilka godzin spędzonych z nią, a mimo to wspomina o nich nader często. Nie, prawdę mówiąc, miejsce, gdzie ich spotkała, powraca w jej wspomnieniach dość regularnie. Prywatny krąg w pobliżu Giełdy, proszę poczekać... skomplikowana nazwa... ach tak: Koło Serafinów!

- Osobliwa nazwa, istotnie. Cóż to za koło?

- Klub ezoteryczny Milaine została wprowadzona do niego przez założyciela i prezesa, Louisa Steirna. Najwyraźniej mężczyźnie temu zależało na obecności pięknych kobiet, słono za to płacił. Chciał, aby panowie mieli się z kim rozerwać.

- Bardziej to przypomina klub erotyczny niż ezoteryczny!

- Nie, nie miały z nimi sypiać, to znaczy niezupełnie. Steirnowi zależało na obecności pięknych kurtyzan, by sprawić przyjemność przyjacielom. Milaine miała prawo do bezpośrednich negocjacji, a on płacił jej już za samo przyjście! Co ciekawsze, Milaine twierdzi, że nie była jedyna. Podczas tych wieczorów spotkała kilka innych dziewcząt.

- Nie wyobrażam sobie dziewczyn z ulicy Monjol wśród arystokratów spragnionych doznań okultystycznych - parsknął Guy.

- Może nie tych z Monjol, ale dlaczego by nie mogła się tam pojawić Anna Zebowitz?

Guy wyduł wargi w zamyśleniu, nieprzekonany argumentami Faustine.

- W każdym razie poprzez to Koło Serafinów Milaine polowała na swojego szczęśliwego kochanka! Najlepszą wiadomość zachowałam na

koniec: to tam spędziła - ton jej głosu raptownie się zmienił na poważny - swój ostatni wieczór.

- Pisała w pamiętniku w dniu, w którym została zamordowana? - spytał Guy z niezdrowym podnieceniem.

- Oto jej ostatnie słowa: „Nie mogę się już doczekać. Dziś wieczorem wracam do Koła. Julie znowu będzie się na mnie złościć, ale nic na to nie poradzę, w końcu dostaje swoją dółkę za numerki poza domem! Tym razem mam dobre przecucie. Jules i Raymond nie przychodzą już od dłuższego czasu, a Charles zasmakował w kim innym, ale wiem, że będzie dziś sporo ludzi, jak zwykle. Nie umiem tego wyjaśnić, ale czuję, że to będzie dobry wieczór. Trzymam kciuki”.

Sądząc po tym, co się przydarzyło nieszczęsnej dziewczynie, ostatnie zdania brzmiały wyjątkowo okrutnie.

Dostrzegając wzruszenie w głosie Faustine, Guy poklepał ją przyjacielsko po dłoni.

- Pójdę do Koła Serafinów wieczorem - powiedział. - Spotkam się z tym Louistem Steirnem i wypytam go na temat Milaine i tych panów. Nigdy nic nie wiadomo...

Faustine utkwiała swoje hipnotyzujące źrenice w oczach Guya. Zdawał się w nich dostrzegać nutkę wściekłości.

- Ależ Guy, trzeba zrobić coś więcej, niż tylko wypytac Steirna! Musimy zbadać wszystkich gości zaproszonych na ów środowy wieczór! To ostatnie miejsce, gdzie Milaine była przed śmiercią!

- Zdziwiłbym się, gdyby Hybris tam polował, to nie w jego stylu, skoro porywa się na dziewczyny uliczne w podejrzanych zakątkach, skąd każdy jak najszybciej ucieka, wbijając wzrok w ziemię, gdzie nikt nie miesza się do cudzych spraw. Dlaczego miałby nagle to zmienić? Oznaczałoby to podjęcie ryzyka, a to do niego niepodobne! Sądzę

raczej, że spotkała go w drodze powrotnej do domu. Gdy była sama. Być może szukając jakiejś...

Guy wyprostował się gwałtownie.

Faustine spytała zaniepokojona:

- O co chodzi?

- Fiaker! To by wiele wyjaśniało! A jeżeli Hybris powozi dorożką? Milaine szukała dorożki, by wrócić do domu, nie była nieufna, to samo mogło mieć miejsce w przypadku pozostałych kobiet! Obserwuje je, śledzi, a one wzywając go, podpisują wyrok śmierci na siebie!

- To interesująca hipoteza, lecz chciałabym przedstawić panu moją: Hybris jest jednym z

członków Koła Serafinów. Ma tam okazję spotykać się z kurtyzanami, tłumaczył pan, że to człowiek lubiący długo tropić zwierzynę, poznawać jej zwyczaje. Tam nadarza mu się doskonała okazja. Dziewczyny są zapraszane przez Steirna, Hybris może je do woli obserwować, słuchać, jak opowiadają o sobie. W dniu, w którym postanawia przejść do ataku, musi tylko zbliżyć się do wybranej w odosobnionym miejscu. Dziewczyna go zna, więc uważa, że nie może stanowić zagrożenia, a wtedy on uderza.

Gdy to mówiła, Guy wstał, by przemyć twarz chłodną wodą.

- Czemu nie? - powiedział, prychając. - Sprawdzę to dziś na miejscu.

- Razem sprawdzimy Idę z panem.

Guy odwrócił się, by spojrzeć na tę niewielką kobietkę, która zdawała się gotowa przetrząsnąć całe miasto, byle tylko pomścić przyjaciółkę. Ustąpił.

- Zgoda. Pójdziemy razem.

Nie odczuwał wstydu w obecności dziewcząt zamieszkujących ten dom, zdjął więc koszulę nocną i stanął w samych spodniach z cienkiego płótna.

Faustine odwróciła wzrok.

- Wychodzi pan? - zdziwiła się.

- Skoro już się obudziłem, wykorzystam poranek i przejdę się na wystawę, w miejsce, gdzie znaleziono ciało Anny Zebowitz. - Uzmysłowił sobie nagle, że Faustine stoi odwrócona do niego plecami. - Och, proszę mi wybaczyć, nie miałem zamiaru wprawić pani w zakłopotanie.

- Najwyraźniej nie jestem taka jak pozostałe dziewczęta z tego domu.

Zaskoczony Guy dosłyszał w jej głosie chłód, coś pomiędzy wściekłością a zazdrością.

- Ja... nie spałem z Milaine, jeśli to może panią pocieszyć.

Faustine wstała.

- Idiotyczna uwaga - rzuciła. - Robi pan, na co ma ochotę, nic mi do tego.

- Nie chcę uchodzić za złego chłopca w pani oczach.

- Czyż nie to właśnie tutejsze dziewczęta lubią w panu? - odparowała tym samym lodowatym tonem.

- Czy pamiętnik Milaine dostarczył pani takich informacji?

- Dziewczyny rozmawiają między sobą, Guy, proszę o tym nie zapominać. Nie ma ani jednej w tym domu, która by nie wiedziała wszystkiego o pana intymności. Ani jednej.

Ruszyła w stronę drzwi odprowadzana podejrzliwym wzrokiem pisarza.

- Niech się pan przygotuje - dodała - i dołączy do mnie w salonie, pójdę z panem. Milaine wspomniała także w pamiętniku o wystawie, pewien mężczyzna zabrał ją tam. Nie podaje jego nazwiska, ale zwiedzili razem Pawilon Przemysłu, w którym tamten pracuje. Członek Koła Serafinów. Mówię panu, to tam czai się Hybris. Wywołując duchy, udało im się zaprosić do stołu potwora, tyle tylko że jeszcze sami o tym nie wiedzą. Naszym zadaniem jest zidentyfikować go.

- W jakim celu? Czego się pani po tym wszystkim spodziewa, Faustine?

- Jeśli otworzyli drzwi do Piekieł, by go stamtąd wydobyć, musimy otworzyć je ponownie i wepchnąć go tam z powrotem.

- Pani nie tylko chce się dowiedzieć, kim on jest, prawda? Chce pani doprowadzić do starcia.

- Możliwe - powiedziała z budzącą strach determinacją.

- Grecy mieli nazwę dla tej, która karze Hybrisa. Nazywali ją Nemezis. Myślę, że nasz Hybris znalazł już swoją Nemezis - odparł Guy z troską.

Po raz pierwszy bowiem, odkąd znał Faustine, czyli od pięciu miesięcy, dostrzegł w tej kobiecie siłę, a przede wszystkim dzikość, jakiej nigdy u nikogo nie widział. Przeszył go dreszcz.

Bał się Faustine.

20.

Człowiek skurczył świat.

Dzięki swej pomysłowości zdołał zmniejszyć rozmiary całej Ziemi i zgromadzić wszystkie współczesne, a także niektóre stare kultury na kilku hektarach w samym sercu Paryża.

Guy prowadził Faustine, trzymając w dłoni przewodnik z dziennika *Le Matin*; nie mieli czasu się włóczyć, przemknęli przez główne wejście na placu Concorde, zmierzając bezpośrednio na Trocadéro, w cień kolosalnego pałacu przypominającego czarną katedrę.

Krążąc pośród gęstego nawet o tej porze tłumu - była niedziela, dzień najliczniejszych odwiedzin - minęli sektor poświęcony koloniom i protektoratom francuskim, dostrzegając tu i ówdzie cudzoziemców o różnorodnych rysach; swoją skórą prezentowali wachlarz rozmaitych odcieni czerni, brązu, miedzi, a nawet ochry mniej lub bardziej żółtej bądź pomarańczowej. Ich stroje również były wyraziste: choć zachodnia moda narzucała panom kolory ciemne, wielu cudzoziemców - szczególnie Azjatów - obnosiło dumnie rażące w oczy jaskrawe ubiory.

Pawilony egzotyczne ukazywały się oczom zwiedzających wśród obfitej roślinności porastającej łagodnie wzniesienie opadające w stronę Sekwany. Nasza para minęła minarety, algierskie oraz tunezyjskie kopuły, wielką werandę kreolską pośród tropikalnych roślin, a także chińskie pagody, by obejść lewe skrzydło pałacu Trocadéro i znaleźć się w jeszcze dzikszej części.

Teren stawał się tu bardziej stromy, droga się zwężała i zwiedzający wspinali się ociężale, pokonując ostrożnie każdy stopień z cementu imitującego drewno. Było tu więcej drzew niż w jakimkolwiek innym miejscu wystawy, tak że Guy i Faustine bardzo szybko poczuli się odcięci od świata. Organizatorzy wystawy odnieśli tu pełny sukces: spacerowicz zmieniał się w podróżnika, za sprawą niewielkiego wysiłku przenosił się z Paryża w głąb Afryki. Korytem niedużego wąwozu płynął strumyk, przelewając się serią maleńkich kaskad do porośniętych mchem basenów. Przeszli wzdłuż niego około stu metrów, gdy nagle usłyszeli dysharmoniczne - dla francuskich uszu - akordy nieznanymi im instrumentów strunowych. Ścieżka skręcała pod ostrym kątem, by wyprowadzić ich wreszcie przed chatę z czerwonej gliny nakrytą szpiczastym dachem ze słomy. Listowie oferowało przyjemny cień kilku osobom - najwyraźniej Kongijczykom - w lekkich strojach: białych przepaskach na biodrach i ramionach. Tubylcy witali przechodniów szerokim uśmiechem. Dwaj mężczyźni grali tradycyjne melodie na długich gitarach o czterech strunach.

Wysoki czarnoskóry zbliżył się do Faustine i Guya, chcąc ich powitać.

- Dobry dzień dobry! - powiedział, wymawiając twardo każdą sylabę. - Oto chata Langoussis z regionu Szari w Kongu Francuskim. Kontynuujcie zwiedzanie tych ziem, pawilon kongijski czeka na was!

Faustine złożyła parasolkę. Przeszli przez uroczy drewniany mostek nad strumykiem, do którego brzegu przycumowana była osobliwa piroga, po czym dotarli do głównego budynku z białego drewna i gipsowych płytek pokrytego blachą falistą. Pierwszy poziom otaczała weranda, skąd zobaczyć można było licznych Kongijczyków w tradycyjnych strojach krążących wśród zwiedzających, co wzmocnić miało wrażenie przeniesienia się na kontynent

afrykański.

- Skoro już tutaj jesteśmy - zaczęła Faustine - czy powie mi pan, dlaczego wybrał akurat to miejsce?

- Perotti pozwolił mi przeczytać raport Legranitiera i Pernettyego na temat kilku morderstw, między innymi Anny Zebowitz. Najwyraźniej niektórzy z Kongijczyków widzieli coś owej nocy, Legranitier dostrzegł lęk u osób, które przesłuchiwał. Chciałbym z nimi porozmawiać na ten temat, choć Legranitier niczego się od nich nie dowiedział.

- Dlaczego sądzi pan, że będzie miał więcej szczęścia?

- Mogę sobie wyobrazić, jak Legranitier próbuje wyciągnąć z nich odpowiedzi, narzucić im swoją... silną osobowość. Z przestraszonymi ludźmi o odmiennych od naszych zwyczajach to się nie mogło powieść. Komuś, kto się boi, trzeba zaoferować pomoc! Przede wszystkim jednak chciałbym rozejrzeć się tutaj nieco, aby zrozumieć warunki, w jakich ci ludzie żyją. Chodźmy tędy

Spacerowali pomiędzy kolekcją olbrzymich kul z egzotycznego drewna, obozowiskiem i sprzętem badawczym - był nawet automobil używany w tamtych okolicach - aż wreszcie ujrzeli przykładową chatę zbudowaną z myślą o Europejczykach.

Na piętrze Guy krążył między gablotami ze słomianymi wazonami, lokalną bronią, rzeźbami z kości słoniowej, maniokiem i kauczukiem, wreszcie dotarł do balkonu, z którego mógł podziwiać okolicę.

Dwie wieże pałacu Trocadéro górowały nad kopułą sali balowej, reszta pejzażu zasłonięta była wysokimi drzewami oddzielającymi kolonię kongijską od reszty wystawy.

To, czego Guy szukał, zauważyła Faustine.

- Dziwne, za tym jeziorkiem widzę domostwa, lecz żadnej ścieżki do nich prowadzącej. Muszą się znajdować poza strefą dla zwiedzających.

- Ich chaty! O to chodziło!

Guy pociągnął Faustine w stronę wyjścia i zaczęli szukać dojścia do osady. Wreszcie stanęli przed niewielką furtką w ogrodzeniu opatrzoną tablicą: zwiedzającym wstęp wzbroniony.

- Dużo tu ludzi, nikt nie będzie na nas zwracał uwagi, chodźmy - powiedział Guy, popychając bramkę.

Raźnym krokiem ruszyli w stronę niedawno wzniesionych budynków z drewna. Otaczały niewielkie jeziorko, źródło strumyka, wkrótce też dotarł do nich zapach silnie doprawionej przyprawami potrawy. Na rozciągniętych między domami sznurach suszyła się bielizna.

Jedna z Kongijek wyszła im na powitanie nieco zdziwiona, czekając, aż przemówią pierwsi.

- Dzień dobry, nazywam się Guy, chciałbym rozmawiać z... Czy jest tu może przedstawiciel albo...

- Szef, potrzeba wam szefa! - zakrzyknęła kobieta, wycofując się, i po chwili powróciła w towarzystwie mężczyzny w poplamionym ubraniu i źle zapiętej koszuli.

- Dzień dobry! Nazywam się Lukengo. Co mogę uczynić, by uświetnić wasz dzień? -

spytał z tym samym śpiewnym akcentem co jego rodacy.

Zaskoczony, że nie zwrócono im uwagi na fakt, iż wstęp tutaj jest zabroniony, Guy zebrał się w sobie, położył dłoń na plecach mężczyzny, chcąc sprawić, by kobieta się oddaliła, i rzekł:

- Szukam kogoś. Moja bardzo dobra przyjaciółki zginęła tutaj niedawno. Wydaje mi się, że potrzebujemy wzajemnie swojej pomocy, pan i ja.

Lukengo zmarszczył brwi i założył ręce na piersiach. Guy mówił dalej:

- Jestem tu, aby panu pomóc. Naszym zamiarem jest odnalezienie tego, który to zrobił, i usunięcie go stąd. Jeśli zgodzi się pan podzielić z nami tym, co pan wie, będziemy mogli was chronić. Wie pan, o czym mówię, prawda?

Lukengo potarł kilkakrotnie kciukiem kącik warg, wyraźnie zdenerwowany.

- Możemy wyzwolić was od lęku - dodała Faustine - ale w tym celu musimy się dowiedzieć, co was tak przeraziło.

- Wie pan, o kim mówimy - nalegał Guy - Owego wieczora, gdy zabito tę dziewczynę, coś zobaczyliście. Wie pan, kto to był?

Lukengo nabrał głęboko powietrza do płuc.

- Jakie to ma znaczenie, czy wiemy, skoro i tak nie możecie nic z tym zrobić?

- Proszę nam zaufać - odparł Guy - Możemy wyzwolić was od strachu, trzeba nas tylko naprowadzić na właściwy trop.

- Mówić, to wywoływać jego gniew!

- Nie, jeśli się go aresztuje - wtrąciła Faustine.

- Pomagając nam, pomagacie sobie! - dodał Guy Lukengo przyglądał im się, zagryzając wargi.

- Mam wrażenie, że nie macie pojęcia, o czym rozmawiamy - rzekł ponuro.

- Proszę nas oświecić - poprosił pisarz.

Lukengo rozejrzał się wokoło, po czym najwyraźniej uległ. Dał im znak, by poszli za nim. Weszli do niewielkiego pomieszczenia o oknach zasłoniętych czerwoną tkaniną. Dziesiątki bukietów ziół i kwiatów zwisały z sufitu zawieszzone na gwoździach wbitych w belkę. Lukengo zamknął drzwi i zapalił świeczkę. Pokazał na drewniane taborety, na których usiedli w kręgu.

Gdy znów się odezwał, mówił ściszym głosem:

- Tamtego wieczora widział go chłopiec z plemienia Lingala, ale to nie był pierwszy raz. Już od kilku tygodni widywały go kobiety i dwóch Kongijczyków

- Kogóż to? - niecierpliwiła się Faustine.

- U nas nazywa się go Ngungulu. Potworem, jeśli pani woli. Tam, skąd pochodzę, mówi się: Bestia o Księżycowej Skórze.

Faustine i Guy wymienili powątpiewające spojrzenia, nie tego się spodziewali.

- Mógłby nam pan powiedzieć dokładnie, co takiego widzieliście? - spytała Faustine.

- Wszyscy świadkowie mówią to samo: Ngungulu wychodzi po zmroku, wyłania się spod ziemi, porywa dzieci lub kobiety i powraca do podziemi, by je pożreć.

Guy nie mógł zrozumieć, do czego zmierza Lukengo, więc przerwał mu:

- To wasze wierzenia, ale co tutaj widzieliście?

- Mówię, że Ngungulu! Ponieważ nie mamy tu ze sobą dzieci, poluje tylko na kobiety. Zabrał nam jedną! Chodzą słuchy, że poprzednio polował u Senegalczyków. Mają swój obóz w obrębie wystawy, nad Sekwaną, koło ogrodzenia.

- Chce pan powiedzieć, że jakiś „potwór” wychodzi z ziemi i porywa kobiety? - powtórzyła Faustine z niedowierzaniem.

- Wiedziałem! Nie wierzycie mi! Z wami zawsze to samo! Zaufałem wam! A...

- Wierzymy - przerwał mu Guy, podnosząc głos. - Chodzi o to, że... potrzebujemy namacalnych dowodów. Jeśli chcemy go wytropić, musi pan mówić konkretnie, panie Lukengo.

Szef plemienia kongijskiego skinął powoli głową.

- Poczekać tu na mnie - powiedział, po czym wyszedł.

Światło dzienne wpadające przez drzwi oślepiło domorosłych detektywów, którzy musieli się odwrócić plecami.

- Proszę mi nie mówić, że przekonał pana tym swoim folklorem! - szepnęła Faustine.

- Najwyraźniej Hybris bardzo ich przestraszył. Musi być w nim coś, czego nie pojmują, patrzą więc na jego czyny przez pryzmat swoich legend. Tak czy owak, jeśli jego ofiarą padły tu jeszcze inne osoby, bardzo chciałbym coś więcej na ten temat wiedzieć.

Lukengo powrócił z niewielkim drewnianym pudełkiem, które otworzył w blasku rzucanym przez świeczkę.

Znajdował się w nim skrawek skóry długości około trzydziestu centymetrów, czerwono-pomarańczowy, bardzo zniszczony, o wystrzępionych brzegach. Lukengo odwrócił go delikatnie, odsłaniając ciemnoczerwoną powierzchnię z odchodzącymi od niej kawałeczkami suchego mięsa.

Faustine cofnęła się instynktownie, lecz po chwili fetor zgnilizny tak mocno uderzył ją w nozdrza, że aż odskoczyła do tyłu.

- Mój Boże! Cóż to jest?

Guy zakrył usta dłonią.

- Dziewczyna, która u nas zaginęła, była żoną chłopca Lingala, o którym wam mówiłem. Gdy pewnej nocy dostrzegł on Ngungulu, śledził go, dopóki ten nie zszedł pod ziemię. Oto co Ngungulu zostawił za sobą.

- Kawałek skóry - szepnął Guy

- Zrzuconej skóry. On rośnie! - ostrzegł Lukengo.

- Twierdzi pan, że zabiera ze sobą ofiary? - Guy odwrócił się do Faustine. - Anna została porzucona na szczycie wieży.

- Niech mi pan powie - podjął Lukengo - wasza przyjaciółka, która została tutaj zabita tamtej nocy, miała otwarty brzuch, prawda?

- Tak, skąd pan wie?

- I brakowało jej części wnętrza?

Guy skinął ponownie głową.

- Więc to Ngungulu! Pożarł je! Pożera narządy! By jeszcze bardziej urosnąć!

- Czy ten chłopiec Lingala umiałby pokazać nam, gdzie potwór zaszywa się pod ziemię?

- Tak, na razie pracuje w pawilonie, nie może przyjść, ale powinien wrócić na obiad, wtedy wam pokaże.

W oczach Lukenga odbijało się blade światło świecy, nie wystarczało jednak do zamaskowania czającego się w nich lęku.

- Czy jesteście wielkimi myśliwymi? - spytał.

- Dlaczego?

- Tylko wielcy myśliwi mogą się zmierzyć z Ngungulu. Najlepsi. Pozostali stają z nim do walki powodowani próżnością. Nie sądźcie, że uda się wam go zabić. Może najwyżej zranicie go i sprawicie, że ucieknie. Trzeba go zmusić do wycofania się, zanim urośnie zbyt wielki, zanim się rozrośnie pod całym miastem. Potem będzie za późno. Jeśli będziecie za długo zwlekać, pozwalając gnąć temu, co powinno zostać posprzątane, ziemię stoczy gangrena. A wówczas przemoc spadnie na was i na wasze dzieci. Miasto będzie zgubione!

Bomengo pojawił się koło południa i po dłuższej rozmowie z Lukengiem przywitał się z Faustine i Guyem, po czym odszedł.

- Wrócę - powiedział tylko.

Co też uczynił po upływie pięciu minut, niosąc pod pachą długi pakunek owinięty w kozłą skórę.

- Chodźcie, pokażę wam.

Ruszyli za bosym mężczyzną przepasanym kawałkiem białej tkaniny. Wyszli poza teren obozu kongijskiego i skręcili w przepelnione ludźmi alejki prowadzące w stronę Sekwany.

- To pańska żona zaginęła? - spytała Faustine ze współczuciem.

- Tak, trzy tygodnie temu.

- Jak miała na imię?

- Elikya.

- Widział pan mordercę w ubiegłą środę. Czy pamięta pan, z której strony nadszedł?

- Od rzeki. Zszedł z tamtego mostu. I dziewczyna również. Biegła szybko.

- W stronę pałacu?

- Tak, widziałem, jak wchodzi do środka! A Ngungulu ją śledził. Przestraszyłem się, więc czekałem. Kiedy wreszcie zdecydowałem się tam podejść, mając w pamięci to, co stało się z moją żoną, już ich nie znalazłem. To taka wielka budowla. A nocą wiele drzwi jest zamkniętych na klucz. Po jakimś czasie jednak usłyszałem hałas i wtedy go zobaczyłem, jak wychodzi i zmierza w stronę swojej nory. Więc poszedłem za nim.

- Mógłby pan opisać jego wygląd, widział pan jego twarz?

- On nie ma twarzy! To wielki cień stapiający się z nocą, niemal niewidoczny, trzeba być bardzo spostrzegawczym, aby go zauważyć. Na tym polega jego siła, dzięki temu właśnie zdobywa swoje ofiary. Jest niewidzialny i dziki!

Guy wolał nie zwracać uwagi na tę wizję rodem z baśni opisującą po prostu człowieka ostrożnego i dyskretnego.

- Dokąd idziemy? - spytał.

- Tam, gdzie Ngungulu chowa się pod ziemię. Pokażę wam wejście do jego nory.

- Do nory? Doprawdy?

- Tak! To przekłete królestwo ciemności, fetor padliny, labirynt potworów!

Guy nie mógł w to uwierzyć. Znaleźli się pośród legend kongijskich, mieszała baśnie i zbrodnie i gdyby nie porwanie tej kobiety, zapewne nie zaprzętałyby sobie tym więcej głowy. Ale musiał to sprawdzić. Upewnić się, że nie chodziło o ofiarę Hybrisa.

Czuł, że nie robi żadnych postępów.

Wyobrażał sobie, jak kobieta biegnie nocą pośród mrocznych kształtów pawilonów ścigana przez krwiożerczą kreaturę... To nie miało żadnego sensu! Nieprawdopodobne jak...

Nagle Guy zwolnił kroku.

Od samego początku rozpatrywał morderstwo Anny Zebowitz jako zaplanowane, mające rozegrać się w konkretnym miejscu, starannie wybranym, tak jak w przypadku pozostałych kobiet. Ale jej śmierć była inna. Zastosowana metoda i sposób znęcania się nad ofiarą były odmienne. To było inne morderstwo. Miejsce oddalone od tradycyjnych lokalizacji wybieranych przez zabójcę, skoncentrowanych we wschodniej części Paryża...

A jeśli mieli tu do czynienia z innym mordercą? Jeśli to zabójstwo nie miało nic wspólnego z serią Hybrisa?

Guy nie umiał przekonać się do tej teorii. Anna prostytuowała się jak pozostałe, pasowała do typu ofiary jak pozostałe, nie, to nie mógł być zbieg okoliczności.

Ale wizja biegnącej Anny Zebowitz tropionej przez mordercę obudziła w nim wątpliwości, intuicja podpowiadała mu, że powinien wyobrazić sobie tę scenę raz jeszcze...

Jego podekscytowany umysł natychmiast skojarzył fakty:

Wyjście! Ona biegła w stronę najbliższego wyjścia!

Wszystkie elementy, które udało mu się do tej pory zgromadzić, znalazły się na właściwych miejscach, i Guy zrozumiał.

Faustine i Bomengo zdążyli wyprzedzić go nieco i teraz zaczęli się za nim rozglądać.

- Źle się pan poczuł? - zaniepokoiła się Faustine na widok spiętej twarzy pisarza.

- Anna Zebowitz nie została porzucona na wieży celowo. Nie takiej scenarii chciał Hybris.

Faustine rozejrzała się szybko wokoło, jakby się upewniała, że nikt ich nie słyszy, i podeszła bliżej, prosząc Guya, by mówił ciszej.

- To nie jest miejsce na takie rozmowy - stwierdziła, wskazując na mijającą ich rodzinę z czwórka dzieci.

Guy zignorował ją i ciągnął:

- Znęcał się nad nią, poderżnął jej gardło w napadzie szału. A ona uciekała! Chciała dotrzeć do wyjścia, ale był zbyt blisko, więc nie zdążyła, próbowała schować się w pałacu, lecz zamiast go tam zgubić, znalazła się w potrzasku na jednej z wież.

Faustine przysunęła się do niego, nakazując mu przez zaciśnięte z oburzenia zęby:

- Niech pan mówi ciszej! Są wokół nas niewinne uszy!

Guy zaczął szeptać coraz szybciej:

- Czy rozumie pani, jak wielką to czyni różnicę? Ta zbrodnia jest inna od pozostałych, bo Hybris był w tym przypadku sobą, bez maski i całej scenerii, jaką przygotowuje zazwyczaj. Różnica w lokalizacji może mieć kapitalne znaczenie! Być może znaleźliśmy się bardzo blisko niego!

- Dlaczego więc nie próbował zataić swojej zbrodni?

- Prawdopodobnie nie zdążył i nie miał takiej możliwości. Gdy udaje mu się dopaść Annę Zebowitz na wieży, zabija ją, a raczej masakruje, wie jednak, że pościg mógł zwrócić uwagę strażnika, on zaś także znajduje się w potrzasku i nie może ryzykować, znosząc zwłoki na dół. Winda są przecież nocą nieczynne. Sądzę, że nie miał wyboru. Musiał jak najszybciej uciekać!

Nagle we wzburzonym umyśle powstało nowe skojarzenie.

- Bomengo ma rację! - zakrzyknął. - To jego nora! Coś czuję, że odnajdziemy brakujące dziewczyny, moja droga.

- Proszę mi to wyjaśnić.

- Gdy Bomengo mówił o norze cuchnącej padliną, nie chodziło mu o zrobienie na nas wrażenia, nie było to też nadużycie słownictwa. Podejrzewam, że naprawdę czuć ten odór, prawda, Bomengo?

Zapytany skinął energicznie głową.

- To gnicie mięsa! - uznał za stosowne sprecyzować Kongijczyk.

- One tam są, stamtąd też uciekła Anna Zebowitz. Zanim ją zaatakował w pałacu Trocadéro, miała już odcięty język! Okalecza je w ten sposób, żeby nie krzyczały! Żeby nie mogły mówić. To by znaczyło, że nadal żyją! Bomengo, prowadź nas.

Tym razem ruszył żwawo za Kongijczykiem.

Przeszli przez most Iéna i dotarli pod wysokie ogrodzenie Pawilonów Żegluga Handlowej, ruszyli w stronę kamiennych schodów prowadzących pod mostem na bulwar, gdzie - co ciekawe - nie widać było ani jednego gapia.

Przyczyna tego bardzo szybko się ujawniła. Mimo lekkiego wiatru od Sekwany panował tu smród nie do zniesienia. Bomengo wskazał na żelazną kratę zamykającą wejście do podziemnego tunelu wysokiego na półtora metra.

Guy przykląkł przed tym, co jego zdaniem było odpływem nieczystości zbudowanym zapewne na potrzeby wystawy, otwór był bowiem za wysoki na miejski ściek, a ponadto wypływająca z niego woda wylewała się bezpośrednio na nadbrzeże, tworząc strumyk wpadający prosto do rzeki.

Odór zgniętego mięsa i gazów gnilnych nie łagodniał, Guy nie mógł już dłużej wytrzymać. Zasłonił sobie usta i nos chusteczką.

Żołądek odmawiał mu posłuszeństwa nie tylko z powodu samego smrodu, ale także jego przypuszczalnej przyczyny.

Guy obawiał się, że wie, co się znajduje na końcu ponurego korytarza.

Musiał się dobrze zastanowić, jakich słów użyje, by przekonać władze do wejścia tutaj. Jakie niezbite argumenty sprawia, że uda się zorganizować podziemną ekspedycję.

Bomengo położył swój pakunek na brzegu i rozwiązał sznurek. Wyjął stamtąd dwa zaostrzone kawałki drewna, nóż myśliwski i lampę naftową.

- Co pan zamierza z tym zrobić? - zaniepokoił się Guy, widząc, że chłopak zmierza w jego stronę z bronią w ręku.

- Wypożyczyłem to z pawilonu. Proszę, niech pan weźmie tę włócznię.

- Ale... po co?

- Żeby polować! Pańskie przybycie to znak, że nadszedł czas, by przepędzić potwora. Nie sposób uniknąć swojego przeznaczenia. W drogę, musimy tam wejść.

Bomengo pociągnął za kratę, która otworzyła się z trudem.

Po czym zapuścił się w głąb nory Bestii.

21.

Louise była zadowolona.

Znalazła mały włoszek, który wcześniej ocalał przed jej apetytem. Tuż nad uchem. Ujęła go delikatnie między palec wskazujący i kciuk, pociągnęła i włożyła do ust.

Dłuższą chwilę trzymała go pod językiem, napawając się satysfakcją.

Louise była teraz całkiem łysa.

To jednak najwyraźniej nie przeszkadzało Lucyferowi.

Diabeł nic sobie nie robił w gruncie rzeczy z jej wyglądu, zależało mu tylko na jej duszy

Po Piekło rozchodziło się echo śpiewów. Pieśni ku chwale Zła.

Louise była już do nich przyzwyczajona, brzmiały teraz dla jej uszu niczym kołysanka, podczas której mogła spać spokojnie.

Do szatańskiego chóru dołączyły również kobiece głosy

To najbardziej zaskoczyło Louise. Kobiety modlące się o chwałę Diabła.

Co je napadło?

Czyżby Lucyfer omamił je swoją aparycją życzliwego człowieka? Louise go nienawdziła. Wszystkie te kłamstwa...

Diabeł budował swoje królestwo na ziemi za pomocą kłamstw.

A ona? Gdzie ona się teraz znajduje?

Czy to naprawdę jest Piekło?

Co najmniej jego nora. Być może ziemską kryjówka...

Jeśli jeszcze przebywa na ziemi, może któregoś dnia uda jej się stąd wydostać. Dlatego musi być mu posłuszna, musi być grzeczna.

Chciało jej się krzyczeć. *Co właściwie mam robić? Nie wiem nawet, czego ode mnie oczekuje! Coraz rzadziej przychodzi na mnie patrzeć i mówić do mnie!*

Nagle Louise uświadomiła sobie, że niemal chce, by znów zaczął ją bić. W tych straszliwych chwilach czuła przynajmniej, że istnieje.

Ile to już dni, ile tygodni? Z pewnością kilka miesięcy spędziła już w tej dziurze. Umierała z głodu, przynosił jej tylko tyle, by utrzymać ją przy życiu, a i to coraz bardziej nieregularnie.

Była tak osłabiona, że ucieczka wydawała się nie do pomyślenia, nawet gdyby drzwi były otwarte.

Drzwi dokąd? Do świątyni pogan czczących Diabła?

Zwróciła też uwagę na wrażenie, jakie wywierały na nim owe ceremonie. Był ledwo żywy gdy pojawiał się u niej między dwoma zgromadzeniami, niewiele mówił, jakby miał trudności z kontrolowaniem swojej ludzkiej powłoki. Za to po ceremonii był zawsze pełen energii. Kiedy przynosił jej coś do jedzenia po śpiewach, zostawał u niej co najmniej godzinę, patrząc na nią z zadowoleniem. Zamieniali kilka słów. Nic ważnego, zwykle banały. Prawdę mówiąc, Louise

nie bardzo pamiętała te rozmowy, była zbyt szczęśliwa, że ma co jeść, by skoncentrować się na czymkolwiek innym.

Ale śledziła jego swobodne ruchy, radosne uniesienie...

Lucyfer czerpał żywotność z celebracji ku swojej chwale.

Louise usłyszała właśnie rozchodzący się pogłos pieśni. Tych kończących uroczystość. Oznaczało to, że Lucyfer będzie po nich silny. Może zajmie się nią i przyniesie jej coś do jedzenia.

Tak, byłby do tego zdolny.

Te pieśni były pożyteczne, stwierdzała teraz.

Cofnęła się pod kamienną ścianę swojego lochu, a ponieważ pieśni te słyszała już od miesięcy, zaczęła nucić je wraz z innymi.

Był to niemal niesłyszalny pomruk, nigdy nie udało jej się rozszyfrować słów, lecz umiała dołączyć swój słabiutki głos, oddech niemal, do dochodzących z oddali litanii.

- Chwała ci, Szatanie - powiedziała między dwoma wdechami. - Chwała ci, mój Lucyferze!

22.

Guy rozmyślał o swoim tchórzostwie.

O tym, które kazało mu uciec od żony i córki bez słowa pożegnania.

O tchórzostwie, które sprawiało, iż przedkładał nieobecność nad wyjaśnienie, a słowo pisane nad spojrzenie prosto w oczy.

Które jednak nie objawiło się tym razem w odpowiedniej chwili, by zapewnić mu bezpieczeństwo.

Widząc, jak Bomengo znika w ciemnym tunelu, nie umiał zdecydować się na pozostawienie go samego.

Na dowód tego zdjął marynarkę i odłożył na słupek, podciągnął rękawy koszuli i chwycił drewnianą metrowej długości włócznię.

Zdziwił się jeszcze bardziej, widząc, że Faustine zamierza iść za nim.

Usiłował ją przekonać, aby poczekała na nich na nadbrzeżu, lecz nie chciała nawet o tym słyszeć.

- Oboje wiemy, że nikt tam się nie ukrywa - odparła. - Nie jest tam bardziej niebezpiecznie niż tu, pod mostem, poza tym chcę być z wami, jeśli coś znajdziecie.

Jej słowa odbiły się echem od kamiennego sklepienia niczym cały chór nalegających głosów.

Zgięci w pół zagłębili się więc we trójkę pod wieżę Eiffla, Bomengo na przedzie, niosąc latarnię, Faustine zamykająca pochód.

Smród przenikał przez chusteczki, odrażający, jeszcze bardziej intensywny teraz, gdy nie łagodził go żaden powiew, i Guy zastanawiał

się, czy zniosą widok, który niechybnie ich czekał. Wyobrażał sobie najgorsze, porównywalne z tym, co teraz czuli: Faustine zasłabnie, pod nim ugną się nogi, a Bomengo pograży się w rozpacz na widok szczątków żony... Cóż za szalony pomysł wchodzić tutaj, pomyślał. Cóż za dręcząca obsesja... Ale stało się. Musi działać. Skoncentrować się na działaniu, to było teraz najważniejsze.

Uświadomił sobie, że sam zmienił się w myśliwego.

Powrócił myślą do Maximiliena Hencksa.

Największego spośród francuskich myśliwych... Spełnionego tropiciela licznej zwierzyny... Dumnie eksponującego swoje trofea.

Nagle Guy stwierdził, że to ciekawe spostrzeżenie.

Myśliwy jest z definicji dumny ze swych dokonań... Pomieszczenie z trofeami Hencksa stanowi serce jego rezydencji, jego kryjówkę. Podobnie rzecz musi się mieć z Hybrisem! To spełniony łowca, na pewno lubi przeżywać swoje czyny w otoczeniu trofeów, podziwiać je...

Guya ogarnęły obawy.

- Powinien pan zwolnić - powiedział do Bomengo. - Nigdy nic nie wiadomo.

Teraz, gdy o tym myślał, nie wyobrażał sobie, by Hybris mógł porzucać swoje zdobycze, przeciwnie, musiał odczuwać jakąś formę upojenia, otaczając się swoją powiększającą się kolekcją; tak bowiem funkcjonuje umysł myśliwego. Czy często tu przychodzi? W to ponure i mało praktyczne miejsce? Guy miał co do tego wątpliwości. Czyżby więc się pomylił?

A jeśli poszedł niewłaściwym tropem? Jeśli smród pochodzi tylko od rozkładającego się szczura?

W takim razie musi to być cała rodzina szczurów! Ten fetor jest nie do zniesienia...

Korytarz zdawał się nie mieć końca. Kiedy Guy odwrócił się i spojrzał w stronę wyjścia, wpadła na niego Faustine unosząca wysoko

fałdy sukni, by jak najmniej ją pobrudzić.

- Cóż za przygoda! - zakrzyknęła z uśmiechem ledwie widocznym w półmroku.

- Może się pani oprzeć na mnie, jeśli pani sobie życzy, żeby nie upaść.

Faustine położyła dłoń na biodrze Guya, drugą nadal trzymała przytkniętą do nosa chusteczkę.

Guy uprzedzał ją o każdym napotkanym śmieciu, aby jej oszczędzić nieprzyjemnych niespodzianek.

Perotti będzie wstrząśnięty, kiedy mu to wszystko zrelacjonuje wieczorem przy dobrym koniaku...

Nagle Bomengo znieruchomiał i przykucnął. Kilka wąskich rur odpływowych wystawało u góry, do żadnej człowiek by się nie zmieścił, lecz za nimi, zszedłszy po stopniu, Kongijczyk wskazał ręką coś, co przypominało nieocembrowaną studnię.

- Trzeba tędy zejść, to jedyna droga! Ale ostrzegam, widzę w dole wodę, to pewnie kanał.

Guy rzucił okiem na Faustine, która ze zrezygnowaną miną uniosła podbródek.

- Patrząc na pani toaletę, sędzę, że lepiej będzie, jeśli pani zawróć...

- Do diabła z moją toaletą! Robiłam gorsze rzeczy w życiu, żeby się miała przejmować tym, że patrzę na mnie krzywo z powodu pobrudzonej sukni.

Światło powoli zanikało, w miarę jak Bomengo schodził w głąb studni po drabinie z włócznią pod pachą.

- Proszę, Faustine - zachęcił ją Guy - niech pani nie zostaje tu sama w ciemnościach.

Z zaskakującą pewnością i zręcznością młoda kobieta podążyła za przewodnikiem. Kiedy Guy dołączył do nich, stali na niewielkiej platformie wystającej z długiego tunelu pełnego czarnej wody. Smród był nie do zniesienia.

- Nie ma wątpliwości, że jesteśmy na dobrej drodze - stwierdził Guy.

Bomengo zaczął węszyć.

- Wydaje mi się, że odór idzie z tamtej strony, czuję lekki powiew.

- Nie da się tędy iść - narzekał Guy.

- Owszem! Da się.

Bomengo kucnął i postawił stopę przy samej ścianie tunelu, gdzie woda sięgała mu do kostek.

- Chodnik jest wąski - ostrzegł. - Uważajcie, gdzie stawiacie nogi, jeśli nie chcecie zanurkować w tym paskudnym bajorze.

Guy ruszył za nim, na końcu Faustine. Pisarz posługiwał się włącznią do sondowania głębokości wody przed sobą i obok.

Nagle Bomengo zastygł w bezruchu.

- Co się stało? - zaniepokoił się Guy.

- Słyszeliście?

- Nie, cóż takiego?

- Oddech, chrapliwy... A to tam, przed nami? Jakby się woda poruszyła.

Guy zauważył, że Faustine przysunęła się do niego.

- Niczego nie zauważyłem, ale jestem za panem i nic nie widzę. Może to szczury uciekające przed nami. Obawiam się, że to, do czego zmierzamy, przyciąga je masowo...

Bomengo przezornie wznosił włącznię i ruszył dalej.

Skroplona wilgoć opadała ze ścian, z pluskiem uderzając o powierzchnię wody w niekończącym się korytarzu.

Guy w swojej naiwności wierzył, że przyzwyczają się do ohydnygo odoru, jednak stawał się on coraz bardziej nieznośny. Zaczynało mu się w głowie zawracać. Byli coraz bliżej.

A nawet całkiem blisko, uznał.

Wtedy wszystko potoczyło się tak szybko, że Guy nie zdążył zareagować.

Bomengo poleciał naprzód tak nagle, że nie zdążył nawet krzyknąć, upadł i w jednej chwili pochłonęły go czarne wody kanału. Upuścił włącznię i lampę, które przez chwilę unosiły się na powierzchni niesione z prądem.

Guy pochylił się, wypatrując przewodnika, aby mu pomóc, lecz kołysząca się na wodzie lampa co rusz pograżała wszystko w ciemnościach, rzucając światło stroboskopowe. Faustine prześlizgnęła się między Guyem i ścianą, próbując dosięgnąć do lampy, nim zatonie.

Bomengo wynurzył się spanikowany, plując i płynąc pośpiesznie.

Faustine zdołała pochwycić lampę i uniosła ją do góry

Ich tunel krzyżował się w tym miejscu z innym, którego Afrykanin nie zauważył i postawił nogę w samym środku, gdzie woda była najgłębsza.

- Niech mi pan poda rękę - powiedział Guy - pomogę panu się wydostać.

Ale Bomengo się cofnął.

- Co pan robi?

- Szukam włączni. Będzie nam potrzebna.

- Niech pan ją zostawi, proszę tu lepiej podpłynąć, wyjść z wody, nie wiadomo, co za choroby w niej siedzą! Faustine, co pani robi? Nic nie widzimy, proszę wracać!

Kobieta zrobiła kilka kroków w głąb nowego tunelu.

- Coś usłyszałam - powiedziała.

Nagle rzuciła się w stronę Guya i przyłgnęła do niego.

- Nie jesteśmy tu sami! - szepnęła. - Widziałam, jak coś się poruszyło!

- Człowiek?

- Nie, coś innego. W wodzie. Było ogromne!

- Proszę tu poświecić. - Przykucnął na krawędzi służącej im za chodnik i wyciągnął dłoń do Bomengo. - Niech pan podpłyń, trzeba wyjść.

Ponieważ Kongijczyk się nie ruszał, Guy ponaglił go głośniejszym głosem:

- No już!

- Czu... czuję ruch w wodzie - odparł Bomengo.

Guy potrząsnął ręką nad falującą powierzchnią ścieków.

- Niechże pan wychodzi, do licha! - zawołał wreszcie, jakby przeczuwał, że należy się spieszyć.

Bomengo dał sobie spokój z włócznią i niezdarnie pracując rękami, popłynął prędko w stronę Guya. Dotarł do niego, ich palce się zetknęły.

I wtedy Bomengo zmienił się na twarzy

Rysy ściągnęły mu się i zastygły, oczy otwarły szeroko.

Po czym usta się rozchyliły, by wydać krzyk, który nie zdążył opuścić gardła - Kongijczyk zniknął pod wodą.

Zniknął tak nagle, jakby porwał go pędzący pociąg.

Faustine pisnęła oszołomiona.

Lampa się zakołysała w jej drżącej dłoni.

Bomengo wyłonił się z wody, krzyk przerażenia i bólu przeszył powietrze, wypełniając mroczne korytarze. Kongijczyk wymachiwał ramionami na wszystkie strony, jakby usiłował wzbic się w powietrze.

Jego twarz wykrzywiało najbardziej pierwotne przerażenie.

Jakby śmierć we własnej osobie ciągnęła go za nogi.

Guy zebrał się w sobie i usiłował złapać go za rękę, by wyciągnąć na powierzchnię. Bomengo rozorał mu skórę paznokciami, kiedy znowu coś wciągnęło go pod wodę z identyczną jak wcześniej gwałtownością, tak że nie zdążył nawet nabrać powietrza do płuc.

Cisza, która potem zapadła, była straszna.

Słychać było tylko echo pełnych przerażenia krzyków nieszczęśnika i chlupot fal.

Guy uświadomił sobie, że tkwią przecież w wodzie. Nie miał pojęcia, co złapało Bomengo, lecz to mogło zaatakować także jego i Faustine.

- Nie stójmy tutaj - powiedział.

Zanim zdążyli się odwrócić, Kongijczyk znów się pojawił wypchnięty z wody aż po pas. Z ust ciekła mu woda, miał błędne spojrzenie, którego Guy nigdy nie zapomni, spojrzenie człowieka pogodzonego z losem, a jednocześnie nim przerażonego.

Torsem nieszczęsnego młodzieńca kołysała niewidzialna siła, kołysała nim w przód i w tył, uderzając jego głową o ściany, a kiedy znów zniknął w otchłani paryskich kanałów, był już

tylko bezwładną marionetką, której odcięto sznurki.

Rozległo się osobliwe bulgotanie, woda zgęstniała od szczątków, po czym wszystko ustało.

Ale na to Guy nie czekał - złapał Faustine za rękę i pociągnął w przeciwnym kierunku, do nowego tunelu, jak szybko się dało.

Nie dbał o to, że nie ma pojęcia, dokąd zmierzają, może nawet się zgubią.

Chciał przede wszystkim oddalić się od tego czegoś, co zaatakowało Bomengo.

Kiedy biegli otoczeni blaskiem drżącego światła, Guy przypomniał sobie słowa Afrykanina: „Przeklęte królestwo ciemności, fetor padliny, labirynt potworów!”.

23.

Śmierć gościła w Paryżu.

Dokładnie między czterema podporami wieży Eiffla, jak gdyby żelazna dama była jej pororcem.

Za siedzibę obrała sobie kanały ściekowe z pokrytymi mułem ścianami i grząskim dnem.

Pozwoliła Guyowi i Faustine wejść do swej kryjówki i objawiła się im, gdy tylko przekroczyli próg ponurego grobowca.

Dysząc ciężko, wpadli do półkolistego pomieszczenia zakończonego odpływem. Lekkie wzniesienie terenu sprawiało, że woda zajmowała zaledwie jedną trzecią jego powierzchni.

Panujący tu smród wywoływał mdłości.

Fetor zgnilizny utrudniał oddychanie, był tak ciężki, że osiadał na włóknach ubrań, przenikając je do głębi.

Gdyby nie strach, który dominował nad wszystkimi innymi odczuciami, Guy byłby zwrócił całe śniadanie.

Idąca przodem Faustine - podczas gdy pisarz ubezpieczał tyły, mając nadzieję, że udało im się zmylić to „coś” - nagle się zachwiała. Guy dostrzegł to, gdy światło lampy zaczęło migotać.

Rzucił się, by ją podtrzymać, i wtedy zobaczył to, co oświetlała.

W głębi pomieszczenia leżał falujący stos halek, podartych koronek, kolorowych tkanin i skóry zmieszany z dużymi fragmentami ciał toczonych przez robaki. Tu i ówdzie dało się rozróżnić palce dłoni, gołe

stopy, a nawet pierś. Splecione członki, kości, niektóre ciała w całości, inne znacząco okaleczone, poćwiartowane, nie do rozpoznania.

Wreszcie włosy przykuły uwagę Guya.

Oblicza zjaw.

Obwisłe policzki, otwarte usta odsłaniające otchłanie nicości, opadłe powieki, puste oczodoły, to już nie były istoty ludzkie, lecz zdeformowane od środka fantomy z zaświatów.

Ile ich tam mogło być?

Nie tylko kobiet, ale i wielu mężczyzn.

Co najmniej dziesięć, jeśli nie dwa razy więcej, rojąca się od robaków piramida była zbyt duża, a ciała zlewały się ze sobą pod wpływem rozkładu tak, że nie sposób było stwierdzić, ile ich naprawdę jest.

Ciężar ciała Faustine w ramionach zmusił Guya do przyklęknienia.

Nie była nieprzytomna, lecz jej spojrzenie zdawało się zagubione, a pierś unosiła się i opadała bardzo szybko.

Nagle wychyliła się na bok i spomiędzy jej warg spłynęła strużka żółci.

Guyowi kręciło się w głowie.

A mimo to nie pozwalał sobie na słabość, nie teraz, gdy w pobliżu było to, co zmasakrowało Bomengo.

- Faustine - powiedział cicho z obawy, że zwabi potwora - musi się pani wziąć w garść.

Poklepał ją po policzku, aż zamrugła powiekami. Otarła usta chusteczką, którą ścisnęła teraz w dłoni, i ciężko westchnęła.

- Da pani radę siedzieć?

Kiwnęła głową i wyprostowała się.

Guy wykorzystał okazję i obszedł pomieszczenie. Serce mocniej mu zabiło, gdy zauważył kratę. Zamykała dostęp do kolejnego korytarza.

Pociągnął za nią - niestety nie udało się jej otworzyć. Po chwili zobaczył zamkniętą na klucz kłódkę spinającą dwa pręty.

Uderzył w nie pięścią zły i zrozpaczony.

- Zamknięta? - spytała Faustine niepewnym głosem.

- Obawiam się, że tak.

- Nie chcę wracać tą drogą, którą tu przyszliśmy, nie wejść znowu do tamtego tunelu.

- Niestety nie mamy innego wyjścia.

Faustine pokręciła głową.

Siedziała, nadal głęboko wstrząśnięta. Z jej sukni kapąła woda.

Nagle z głębi kanału dobiegł ich dudniący echem pomruk, który sprawił, że kobieta aż podskoczyła.

Teraz, gdy jego wzrok przyzwyczaił się do półmroku, Guy zauważył liczne ludzkie szczątki rozrzucone na ziemi w pobliżu wody. Podszedł bliżej i ruszył w kierunku nieznośnie cuchnącego stosu zwłok.

Dobywał się stamtąd wilgotny odgłos ssania, mrowienie tysięcy żerujących robaków.

Guy stwierdził, że koło miejsca, w którym stoi, stos się zapada. Wyrwano stąd wielkie ochłapy mięsa. Nachylił się i uniósł lampę na odpowiednią wysokość.

Oświetlił nogę, na której widniał ślad gigantycznej szczęki. Dziesięć razy większej od ludzkiej. Olbrzymich kłów.

Guy pokręcił głową z niedowierzaniem.

Tunel wypełnił gardłowy pomruk i jeśli do tej pory można było mieć wątpliwości, tym razem zostały one całkowicie rozwiane: nie mogło tu chodzić o istotę ludzką.

Guy rzucił się w stronę Faustine i pomógł jej wstać.

- Nie możemy tu dłużej zostać - powiedział przerażony

- Ależ możemy! Ktoś na powierzchni może usłyszał krzyki Bomengo, a nasza nieobecność zostanie w końcu zauważona!

- Kto miałby nas szukać?

- Lukengo.

- Wątpię, by zapuścił się aż tutaj, tak czy owak nie możemy czekać.

- Wręcz przeciwnie, tu jest sucho!
- Ale... to coś tu przyjdzie.
- Skąd pan wie? Z pewnością zgubiło nasz ślad.

Guy wyciągnął ręką w stronę dziury w stercie mięsa i wskazał na rozrzucone szczątki prowadzące aż do wody.

- Znajdujemy się w jego spiżarni - powiedział ponuro.
- Tym razem miał wrażenie, że Faustine zemdleje.

Już miał ją podtrzymać, ona jednak podniosła drewnianą włócznię i stanęła przodem do wyjścia.

- W takim razie natychmiast stąd wychodzimy - rozkazała.

Woda przed nimi była idealnie gładka. Żadnej fali na powierzchni, żadnych dźwięków w oddali, tylko odgłos kropli spływających ze sklepienia i ich kroków w wodzie zalewającej chodnik.

Guy niósł lampę, której pomarańczowe oko widziało zaledwie na odległość trzech metrów, tak więc nigdy nie byli pewni, dokąd tak naprawdę zmierzają.

Faustine zerknęła na boki, z początku rzucała też okiem za siebie, lecz nieprzeniknione ciemności budziły w niej lęk, więc zrezygnowała.

Kiedy minęli zakręt, na którym został zaatakowany Bomengo, Faustine złapała Guya za pasek i zacisnęła rękę z całych sił.

Bała się, że zobaczy odciętą głowę lub oderwaną kończynę.

Nie zobaczyła. Podziemna rzeka była spokojna niczym wiejski strumyk w bezksiężycową noc.

Przeszli jeszcze z dziesięć metrów i Faustine uznała, że muszą być już blisko studni, przez którą wydostaną się na powierzchnię.

Wtedy dostrzegła unoszącą się na powierzchni włócznię Kongijczyka.

- Guy! - zawołała. - Niech pan poczeka, wezmę ją.
- Już ma pani jedną.
- Niech każdy ma swoją, na wypadek gdyby...

Przysunęła się jak najbliżej broni i wyciągnęła rękę.

Brakowało jej około dwudziestu centymetrów.

Macając stopą brzeg chodnika, stanęła na jego krawędzi, by znaleźć się jak najbliżej.

Znów nachyliła się nad wodą.

Zyskała dziesięć centymetrów, ale to wciąż było za mało.

Wtedy wpadła na pomysł, by swoją włócznią przyciągnąć tamtą do brzegu.

Zaczęła ją zagarniać, by podpłynęła w jej stronę.

Włócznia zaczęła się powoli zbliżać.

Faustine przykucnęła po kolana w wodzie, w przemoczonej sukni, by jeszcze raz sięgnąć po nią ręką.

Jej dłoń zanurzyła się w czarnej cieczy.

W tym momencie Guy złapał ją za ramię i odciągnął gwałtownie.

Woda wzburzyła się pod wpływem masywnego kształtu wynurzającego się na powierzchnię; pisarz pchnął Faustine na ścianę, gdy to coś przepływało pędem przez środek tunelu.

Guy zatkał Faustine usta dłonią, by stłumić jej krzyk. Oddychała głęboko przez nos, źrenice miała rozszerzone ze strachu.

Kiedy postać się oddaliła, Guy zwolnił uścisk.

- Poszło sobie - szepnął.

Faustine przełknęła kilkakrotnie ślinę, tak miała ściśnięte gardło. Wciąż oddychała z trudem.

- Już prawie jesteśmy na miejscu - uspokoił ją Guy. - Da pani radę iść?

Skinęła powoli głową, niezdolna wydusić z siebie choćby słowo.

Dotarli do studni, gdzie Faustine pierwsza wspięła się na górę.

Na chwilę Guy został sam w kanale.

Rozglądnął się po spokojnej powierzchni wokół, po ciemnym lustrze, w którym odbijały się fundamenty miasta.

- Żegnaj, Bomengo - szepnął. - Żegnaj, przyjacielu.

Po czym sam wczołgał się w suchą kiszkę Ziemi łączącą go z cywilizacją.

24.

- Potwory nie istnieją! - powtórzył Perotti z irytacją.

- A jednak coś tam było! - odparła Faustine. - Bomengo nie zginął sam z siebie!

- Może został wciągnięty przez wir albo przez bańkę powietrza zebraną pod zatopionymi śmieciami?

- Nie. Nie było tam pana, w przeciwnym razie wiedziałby pan, że to niemożliwe.

- A zatem zwierzę. Nie wiem jakie, ale tylko w ten sposób da się to wytłumaczyć. Guy, co pan o tym myśli? Nic pan nie mówi od godziny

Guy założył nogę na nogę, w palcach trzymał wygasłe cygaro, wzrok miał zagubiony w przestrzeni; siedział na skórzanym fotelu nieco na uboczu, pod jednym z okien w dachu.

Promienie słońca sączyły się przez białe szkło, sprawiając, że jego oblicze wydawało się jeszcze bledsze, wręcz trupio blade.

- Hybris nie zbiera trofeów - powiedział ponuro.

Zapadła dłuższa cisza, którą wreszcie przerwał Perotti:

- A czego pan się spodziewał? Komnaty o ścianach obwieszonych wypchanymi głowami?

- W pewnym sensie tak. Myślałem, że je kolekcjonuje. Jak przystało na myśliwego. Być może jednak pomyliłem się na całej linii już na samym początku.

- Pomylił się pan? - zdziwił się Perotti. - Przecież właśnie odkrył pan jego trupiarnię!

- Ale jego nie znalazłem!

- Niech pan zawiadomi policję. Niech się zaczają, w końcu tam wróci.

- Tak czy owak trzeba powiadomić władze.

Perotti przyglądał się Guyowi dłuższą chwilę.

- Mam wrażenie, że jest pan przybity - powiedział.

- Rozczarowany.

- Czy powie mi pan wreszcie, z jakiego powodu?

Guy odchrząknął.

- Spędziłem każdą chwilę w ciągu ostatnich kilku dni na analizowaniu faktów, usiłując określić osobowość człowieka zdolnego popełnić te czyny, bym w odpowiedniej chwili umiał go rozpoznać. I oto jeden element, ten właśnie, podważa całą słuszność moich przemyśleń.

- Nie rozumiem, w jaki sposób brak trofeów miałyby zaprzeczać pańskim dedukcjom.

- Ustaliliśmy, że samo pozbawianie życia nie jest źródłem, z którego zabójca czerpie rozkosz, że chodzi mu o coś innego. Myślałem o podnieceniu związanym z polowaniem, lecz on zadaje sobie tyle trudu, że powinien zachować jakąś pamiątkę, w końcu chodzi tu o porównywanie swoich możliwości z inną istotą, udowadnianie własnej siły poprzez odebranie komuś życia; nie wyobrażam sobie podobnego działania bez potrzeby zachowania dowodu swojego triumfu.

- Może coś zachowuje. Z czego pan wnioskuje, że tak nie jest?

- Nie okazuje ofiarom żadnych względów po śmierci. Wszystkie leżą na jednym stosie, rzucone byle jak, na wpół nagie, niczym zwykłe śmieci. Myśliwy odczuwa pewnego rodzaju szacunek w stosunku do swojej ofiary, lubi zachować coś, co jest dla niej najbardziej charakterystyczne, głowę albo całe ciało, które wypycha i...

Guy zmarszczył brwi. Hybris nie miał ani odrobiny szacunku dla swoich ofiar. Ani krzty. Po śmierci nie były dla niego niczym więcej

niż za życia. Tropienie i polowanie podniecało go, przyjemność sprawiało mu też przygotowywanie swego czynu, ale znaczenie ofiary sprowadzało się do przysługi, jaką miała mu ona wyświadczyć...

- Hybris jest gorszy, niż sobie wyobrażałem - powiedział wolno Guy. - Nie odczuwa absolutnie żadnej empatii, ofiary nie są dla niego nawet istotami ludzkimi, lecz instrumentami, którymi się posługuje.

- W jakim celu? - spytała Faustine, która powoli dochodziła do siebie.

- Dobrze pytanie. Nie zabija dla zabijania, nie mierzy się również ze swoimi ofiarami, chce czegoś innego.

- Wczoraj mówił pan o... nieźrównoważeniu - przypomniała Faustine. - Może po prostu o to chodzi, o poważne nieźrównoważenie psychiczne, które zmusza go do zabijania, dzięki czemu odczuwa przyjemność.

- Nie wątpię w to ani przez chwilę. Musiało wydarzyć się coś na etapie dojrzewania, gdy powstaje nasza hierarchia wartości, gdy rozstrzyga się nasz stosunek do innych, gdy uczymy się odczuwania przyjemności. To coś zaburzyło mu wszystkie te elementy. Dziś potrafi odczuwać rozkosz, która w naszych oczach uchodzi za perwersyjną, stanowi jednak swego rodzaju kompensację psychiczną przeżytego urazu, może nawet całej serii urazów. Ale jest jeszcze coś, jakaś siła, która przewyższa zwykły stosunek do przyjemności, jakieś szaleństwo... Ile tam było ciał? Dziesięć? Piętnaście? Może nawet dwadzieścia! Byli też mężczyźni, jak sądzę. Mam wrażenie, że Hybris czegoś szuka. Przeprowadza coś na kształt eksperymentu.

- A to, co nas zaatakowało w wodzie? - nalegała Faustine.

- Pies myśliwski? Cerber, którego tam umieścił, by pilnował trupiarni. A może po to, żeby ją zlikwidował.

- Cerber? - spytała z powątpiewaniem Faustine.

Guy spojrzał na swoje zgaszone cygaro i sięgnął po paczkę zapalek, by ponownie je zapalić.

- Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę - wtrącił Perotti - ale odnoszę wrażenie, że nie jest pan już aż tak... poruszony dzisiejszym atakiem.

- Nigdy nie zapomnę śmierci Bomengo - stwierdził Guy, otaczając się obłokiem gęstego dymu. - Ale już się nie boję. Lękamy się tego, co jest nam obce, kiedy jednak zaczynamy rozumieć, wraca pewność siebie.

- Wie pan już, co żyje w tym kanale?

Guy skinął głową.

- Jest dość silne, by pochwycić człowieka i potrząsać nim jak szmacianą lalką, umie bardzo dobrze pływać, jest ciche, zdaje się żywić wyraźne upodobanie do nadpsutego mięsa i zdarza mu się wychodzić z wody... Widzę tylko jednego podejrzanego!

Perotti rozłożył ręce w pytającym geście.

- No to proszę nam powiedzieć!

Faustine już wiedziała.

- Krokodyl - powiedziała cicho.

- Właśnie - zgodził się Guy - Jestem pewien, że jeśli to sprawdzimy, okaże się, że gdzieś z terenu wystawy w ciągu ostatnich kilku tygodni skradziono krokodyla. Hybris wypuścił go do kanałów i karmi potwora swoimi ofiarami.

- Powiadomię kolegów, trzeba interweniować, zanim bestia zajmie się pływającymi po Sekwanie.

- Niech pan jeszcze chwilę z nami zostanie, ma pan dużo czasu, zapewniam. Hybris umieścił go w zamkniętej strefie z dużym zapasem mięsa, zwierzę nie ma więc powodu, by się stamtąd oddalać, na razie z pewnością jest syte...

Słyszając te słowa, Faustine zasłoniła twarz rękami, by powstrzymać napływ przerażających wspomnień.

- Dziś rano - ciągnął Guy - udałem się w okolice Hal, aby zweryfikować moją teorię małowórnego rzeźnika pracującego od wczesnych godzin nocnych. Zdobyłem trzy nazwiska. Trzech kawalerów w wieku od dwudziestu pięciu do trzydziestu pięciu lat, silnych i dysponujących pojazdem.

- Mógłby pan uczynić to samo z każdą inną profesją - zaproponował Perotti zmęczonym tonem. - Piekarze też mają dużo wolnego czasu wieczorami. Albo dostawcy, sprzedawcy warzyw czy...

- Hybris czuje żądzę krwi. Dysponuje podstawową wiedzą na temat anatomii, jak pan wczoraj raczył zauważyć. Miałem więc podstawy, by skierować się w stronę rzeźników z Hal. Wykluczyłem lekarzy, zbyt zajętych, i rzeźników z La Villette, zbyt jowialnych, zbyt wesołych i o bardziej skomplikowanym planie dnia. Zostali mi tylko oni. Rozważmy teraz to, czego się dzisiaj dowiedzieliśmy. Trupiarnia w sercu Wystawy Światowej. Nie wygląda mi to na wyreżyserowane przedstawienie, nie mieliśmy tego zobaczyć, Hybris zrobił wszystko, by to ukryć. Postąpił zatem praktycznie.

- Mieszka tam? Czy jacyś ludzie mieszkają w obrębie wystawy? - zdziwiła się Faustine, która już zdążyła nad sobą zapanować.

- Oprócz strażników, kilku techników i grupy tubylców nie sądzę, aby ktoś tam jeszcze mieszkał - odparł Perotti.

- W każdym razie Hybris ma łatwy wstęp na teren wystawy. To ważna informacja. Sprawdź pod tym kątem moich trzech rzeźników z Hal.

Faustine zaśmiała się nerwowo.

- Czy naprawdę myśli pan, że to może być któryś z nich? - spytała.

- Nie wykluczam tego. Służą mi także za... punkt odniesienia. Dzięki nim mogę

konfrontować swoje teorie z rzeczywistością.

- A pamiętnik Milaine? - spytał Perotti. - Dobrze by było przeczytać go jak najszybciej, aby..

- Już to zrobiłam - odparła Faustine. - Często wspomina w nim o pewnym miejscu w Paryżu, o Kole Serafinów, najwyraźniej tam właśnie... rekrutowała swoich kandydatów na bogatego sponsora.

Perotti zagryzł wargę i spuścił głowę.

- Nic nie pisze na mój temat? - spytał ciszej.

Faustine położyła dłoń na jego kolanie.

- Przykro mi.

- Niepotrzebnie, wiedziałem, jakiego typu kobietą była Milaine, gdy zdecydowałem się ją stamtąd wyciągnąć. Gdybym dysponował większymi środkami, wpisałaby mnie na szczyt listy pretendentów, niestety rzeczywistość wyglądała inaczej...

Przełknął głośno ślinę i westchnął głęboko.

- To była dziewczyna z klasą - dodała Faustine. - Zachowywała się tak, bo nie mogła już dłużej znieść swojej sytuacji, pan to wie.

- Wiem. Wieczorem, kiedy nie mogę zasnąć, myślę o niej. Powtarzam sobie, że zapewne wciąż jeszcze by żyła, gdybym miał pieniądze i mógł umieścić ją w pięknym mieszkaniu, obdarować sukniami i służbą. Ocaliłoby jej to życie.

Guy wstał i nalał sobie jeszcze jeden kieliszek koniaku.

- Moc pieniądza... - rzekł chłodno.

Faustine przeszła go wzrokiem.

- Mógłby pan okazać współczucie - stwierdziła. - Co z pana za człowiek? Ledwo wyszliśmy cało z przerażającej eskapady, Bomengo zginął na naszych oczach, odkryliśmy najokropniejsze z miejsc, a gdy chcemy ogrzać serce wspomnieniami o Milaine, pan niszczy wszystko swoimi cynicznymi uwagami!

- Milaine była cyniczna. I wyrachowana. Żałuję, że nie żyje, lecz jej gehenna nie czyni z niej świętej.

Faustine poderwała się na równe nogi.

- Opuszczam panów, dość miałam dzisiaj wrażeń, nie będę słuchała, jak bezcześci pan pamięć zmarłej.

Guy wypuścił ustami dym z cygara.

- O dwudziestej udaję się do Koła Serafinów - uprzedził ją. - Jeśli zamierza pani wybrać się tam ze mną, proszę przyjść punktualnie.

Lecz Faustine zatrzasnęła już za sobą drzwi. Perotti odczekał, aż ustało skrzypienie schodów, i spytał:

- Sprowokował ją pan, żeby sobie poszła, prawda?

- Brawo, zostałem zdemaskowany. Chciałem poradzić się pana w pewnej sprawie. Faustine miała ciężki dzień, wolałem jej tego oszczędzić.

- To silna dziewczyna, nie powinien jej pan tak odsuwać na bok.

- Chronię ją i tyle. Dzisiaj rano zauważyłem w tej ponurej mogile coś, co mnie bardzo zdziwiło: pośród szczątków i odciętych kończyn znajdowały się również nienaruszone ciała. Wszystkie miały rozprute brzuchy.

- Krokodyli festyn?

- Nie, nie dobierał się jeszcze do nich, leżały wyżej.

- Dlaczego to ważne?

Guy zaciągnął się cygarem, aż rozżarzył się jego koniec.

- Myślałem jeszcze o Annie Zebowitz. O pobranych narządach. Myślę, że to samo Hybris zrobił tamtym ludziom. Nie mam pojęcia, co szykuje, ale otwiera brzuchy niektórym ofiarom i wyciąga fragmenty ich organów.

- Może taką ma fantazję?

Guy otoczył się zasłoną dymu.

- Nie, gdyby tak było, ten sam los spotykałby wszystkie ofiary. Nie ma to związku z przyjemnością zabijania, a jednak Hybris to robi. Nawet dość często. To coś więcej niż osobista fantazja, to potrzeba innej

natury. Podejrzewam, że jest związana z jego poszukiwaniami, z czymś, co czyni go tak nerwowym. Przez to z ostrożnego cierpliwego mordercy stał się istną machiną wojenną. Dzikim, pastwiącym się nad ofiarami drapieżcą.

- Ale jakiego typu poszukiwania mogą wymagać ludzkich organów?

- Badania medyczne? Handel zwłokami? Wątpię. To do niego niepodobne, jest samotnikiem i nie widzę go dogadującego się z klientami, którzy mieliby od niego odkupywać kawałki ofiar. Nie, tu chodzi o coś innego.

Guy przyjrzał się swojemu cygaru o aromacie orzecha. Do wypalenia została mu jeszcze tylko jedna trzecia. Najmocniejsza.

Każde cygaro składa się bowiem z trzech części: z początku, który pozwala odkryć aromat, środkowego odcinka, z którego wydobyć można całą moc, i wreszcie z ostatniego, o najbardziej złożonym i najsilniejszym smaku, będącego istotą cygara.

Guy czuł, że podobnie rzecz ma się z portretem Hybrisa. Znajdował się u progu ostatniego etapu poszukiwań, gotów był ujrzeć to, co jest w tym człowieku najbardziej pierwotne, jego prawdziwą naturę. Jego rację istnienia i działania.

Gotów był uczynić ostatni krok w stronę jego tożsamości.

W tym celu musiał zrozumieć, dlaczego Hybris pobierał narządy od swoich ofiar.

25.

Świątynia ku czci boga Pieniędzy wznosiła się na placu de la Bourse, jej długa kolumnada przywodziła na myśl greckie budowle. Przychodzono tam codziennie modlić się, by złożona ofiara została pomnożona dziesięć lub jeszcze więcej razy

Jak daleko sięgała pamięć paryżan, miejsce to zawsze związane było z religią; niegdyś znajdował się tutaj klasztor, a dzisiejsza nowa forma wiary nikogo nie szokowała.

Lecz w niedzielny wieczór miejsce to było tak puste, jak gdyby urzędował w nim Diabeł we własnej osobie. Przez blisko pięćdziesiąt lat cały Paryż miał w zwyczaju przychodzić tutaj o każdej porze dnia i nocy, aby wyregulować zegarki względem zegara giełdowego uznawanego za najbardziej wiarygodny. Dziś tradycja ta była już nieco zapomniana.

Faustine i Guy byli jedynymi osobami na całym placu.

Przebyli ulicę Vivienne, weszli do nowoczesnego budynku z czasów prefekta Haussmanna i zapukali do podwójnych drzwi na ostatnim piętrze.

Faustine niewiele mówiła przez całą drogę. Najwyraźniej wciąż jeszcze była zła na pisarza, ale gdy otworzył im majordomus, zaprezentowała mu swój najpiękniejszy uśmiech. Guy przygotował wizytówkę, nie miał jednak okazji jej okazać, gdyż mężczyzna cofnął się i wpuścił ich do środka.

- Uszanowanie państwu - powiedział.

Zostali wprowadzeni do wielkiego salonu wyłożonego starą boazerią,

ze skrzypiącym parkietem pod kolorowymi dywanami. Oświetlały go trzy kryształowe żyrandole zalewające mocnym elektrycznym blaskiem aksamitne kanapy i wielki czerwony stół bilardowy w głębi pomieszczenia. Około dwudziestu gości dyskutowało o czymś, trzymając w dłoniach kieliszki.

Niewysoki brodaty mężczyzna około czterdziestki, dość przystojny, zbliżył się do nich.

- Dobry wieczór - powiedział, skinąwszy głową i marszcząc brwi, co dowodziło, że nie potrafi przypisać nazwisk do ich twarzy.

- Guy Thoudrac-Matto, a oto panna Faustine. Szukamy Louisa Steirna.

- Stoi oto przed wami.

- Bardzo nam miło. Chciałbym zapoznać się z Kołem w bardziej radosnych okolicznościach, niestety musimy powiadomić pana o śmierci jednej z członkiń, Milaine Rigobert.

Rysy Steirna stężały

- Milaine? Nie żyje? Jak to się stało?

Guy rozejrzał się po nielicznych gościach, którzy jeszcze nie zwracali na niego uwagi. Nachylił się w stronę prezesa i powiedział ciszej:

- Została zamordowana. W zeszłą środę wieczorem.

- W środę wieczorem? - powtórzył Louis. - Ależ... była wtedy tutaj!

- Stało się to w drodze powrotnej. Jesteśmy jej przyjaciółmi, jej rodziną. Czy zechciałby pan poświęcić nam chwilę?

Louis odciągnął ich na bok, z przeszklonego kredensu wyjął trzy kieliszki i nalał do nich wódki gruszkowej.

- Jestem... oszołomiony - przyznał, opróżniwszy swój kieliszek jednym haustem. - Milaine... jest... była taka... troskliwa. Czy zatrzymano mordercę?

- Niestety nie. Znał pan sytuację Milaine, nie zachęca ona policji do poświęcenia się tej sprawie. Dlatego też jesteśmy tutaj, zależy nam na odkryciu prawdy o śmierci naszej przyjaciółki. Czy byłby pan tak uprzejmy wyjaśnić nam, na czym polega działalność pańskiego... klubu?

Louis Steirn wskazał na mężczyzn w garniturach i kilka kobiet w pięknych sukniach gawędzących sobie w świetle elektrycznych lamp.

- Jak pan widzi, to miejsce wymiany opinii. Prywatny krąg, do którego wstąpić można jedynie za zaproszeniem.

- Na jakie tematy dyskutujecie?

- Najczęściej o życiu po śmierci. O świecie duchów i ogólnie mówiąc, o tym, czego nie dostrzegamy.

Faustine, która nie tknęła swojego kieliszka, nachyliła się ku niemu i spytała:

- Czy wie pan, w jaki sposób Milaine dowiedziała się o istnieniu Koła Serafinów?

- Zazwyczaj trzeba znać kogoś z członków, ona zaś, o ile dobrze pamiętam, została tu wprowadzona przez Félixą Bertranda, jednego z najstarszych stażem. Przez pewien czas była jego kochanką. Milaine należała do naszych... świątecznych gości. Proszę zrozumieć, klub jest często jedynym miejscem uczęszczanym przez pewnych panów, których przez większą część czasu pochłaniają interesy. Cenią sobie możliwość rozmowy na bliskie im tematy, korzystając równocześnie z uroków atrakcyjnego towarzystwa.

- Tutejsi członkowie to ważne osobistości - odgadła Faustine.

Lekki uśmiech zarysował się w kącikach ust Steirna.

- Wpływowe, powiedziałbym. Należą do różnych środowisk: politycy, bankierzy, poeci, lekarze... Proszę, tamten Anglik jest zegarmistrzem, renomowanym inżynierem! Mężczyzna stojący za nim, ten z szarą brodą, to architekt, zawdzięczamy mu wiele konstrukcji naszej wystawy, a ten, który z nim rozmawia, to eksplorator, wynalazca i

dyplomata. Powiem tak: Koło gromadzi wspaniałych kosmopolitów. Wszystkich łączy chęć zgłębienia zaświatów.

Wzrok Guya zatrzymał się na architekcie, członku Koła mającym dostęp do terenów Wystawy Światowej. Stanowiłby idealnego podejrzanego, gdyby nie jego zaawansowany wiek. Widząc jego szpotawą nogę, Guy natychmiast wyeliminował go z listy.

- Wydaje mi się, że Milaine spotykała się z marszandem, a później z muzykiem, czy to prawda? - ciągnęła Faustine.

- Istotnie, i choć to jej prywatna sprawa, nie umknęło to mojej uwadze.

- Czy ci panowie są tu dzisiaj?

- Jules i Raymond nie pojawiają się już, odkąd opuścili Paryż i wrócili na prowincję.
- Wspominała mi również o pewnym Charles'u, czy to imię coś panu mówi?
- Charles Rabois, stoi tam, przy pianinie.

Był to starzec kiwający głową na znak, że słyszy, co się do niego mówi, choć wyraz jego twarzy nakazywał myśleć coś wręcz przeciwnego. W żadnym wypadku nie może być Hybrisem, pomyślał Guy.

- Na jakiej zasadzie funkcjonuje Koło? - spytała Faustine.
- Każdy wnosi tu swoje lektury, osobiste analizy starych manuskryptów. Mamy też seanse z medium, które otwierają nam drzwi do zrozumienia.

Bardziej pragmatyczny Guy pozostał skupiony na temacie zabójcy:

- Czy mogę spytać, ilu członków liczy zgromadzenie?
- Siedemnastu.
- A ilu spośród nich było tu obecnych w ostatnią środę?

Steirn zeszywniał.

- Dlaczego pan pyta? Chyba nie podejrzewa pan...

- Prędzej czy później policja przyjdzie pana przesłuchać - uciął Guy - a zna pan ich zwyczaje. Z nami wszystko odbywa się w miłym nastroju, a przede wszystkim zachowujemy się dyskretnie wobec pańskich gości. Nie omieszkam przekazać tego wszystkiego inspektorom, by mógł pan uniknąć ich wizyty

Steirn wpatrywał się w Guya z napięciem.

- Dobrze, zaiste tak będzie lepiej - przyznał.
- A więc? Ilu?
- Chyba jedenastu.
- Dużo kobiet?
- Milaine, nasze medium hrabina Bolosky, a także żony dwóch moich gości.
- Ilu spośród siedmiu mężczyzn nie ma jeszcze czterdziestu lat?

Steirn zdawał się zdezorientowany tym pytaniem. Myślał przez chwilę, wreszcie odpowiedział:

- Czterech.
- Czy to kawalerowie?
- Ależ jaki to może mieć...
- Niech mi pan odpowie, panie Steirn, to nam zaoszczędzi sporo czasu.
- Nie, nie sądzę... A tak, może Rodolphe Leblanc.
- Jest nieśmiały?

Steirn się skrzywił.

- Tak, nieco... Stoi tam, z kieliszkiem szampana, to ten z długimi bokobrodami dochodzącymi aż do połowy policzków.

- Ten stojący samotnie?

- Tak, to on.

Guy przełknął łyk i poczuł pieczenie w gardle.

- Jaki wykonuje zawód? - spytał głosem stłumionym przez alkohol.

- To rentier. Jego rodzice zginęli w pożarze, zostawili mu fortunę pozwalającą wygodnie żyć. Wielokrotnie usiłowaliśmy się z nimi skontaktować.

- Skontaktować? Ze zmarłymi rodzicami?

- Tak, a dokładniej z jego ojcem, z którym był blisko. Dlatego tu wciąż przychodzi. Otrzymujemy bowiem czasami sprzeczne informacje.

Faustine odwróciła uwagę Steirna od malującego się na twarzy Guya powątpiewania.

- Chciałabym wziąć udział w takim seansie.

- Proszę mi wybaczyć, lecz są zarezerwowane wyłącznie dla członków Koła.

Na obliczu pięknej kurtyzany zagościło rozczarowanie.

Louis Steirn pogłaskał się po brodzie, patrząc na nią.

- Mógłbym uczynić wyjątek dla pani - powiedział.

Radość rozjaśniła twarz Faustine.

- To wspaniale!

- A gdybyśmy tak spróbowali skontaktować się z Milaine? I pomogli wam w śledztwie?

- Mógłby pan to zrobić?

- Wszystko jest możliwe, warto spróbować! Mamy na to cały wieczór.

Guy zwrócił się do Faustine:

- Za niecałe dwie godziny mamy spotkanie z panem Perottim, chodzi o podsumowanie dzisiejszych wydarzeń - zaczął konspiracyjnym głosem. - Nie zdążymy...

- Niech pan idzie, ja zostanę.

- Sama?

Usta Steirna rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

- Będzie w dobrym towarzystwie, proszę pana, jesteśmy tu przecież!

Guyowi się to nie podobało. Nie lubił tego człowieka ani tego miejsca.

Steirn zrozumiał najwyraźniej, że on i Faustine nie stanowią pary, i zajął miejsce adoratora ze swymi przymilnymi uśmiechami i prowokacyjnymi spojrzeniami, jakie rzucał pisarzowi.

- Wątpię, czy to dobry pomysł - zaprotestował Guy - po tym, co spotkało Milaine.

- Niech się pan nie obawia, będę osobiście czuwał, by wsiadła do dorożki przed moimi drzwiami - nalegał Steirn. - Proszę, panienska ma okazję doświadczyć czegoś, co może zmienić całe jej życie, to, w co wierzy Niech jej pan tego nie zabrania!

- Postanowiłam zostać - ucięła Faustine wyzywająco.

Guy westchnął i odstawił kieliszek.

- W takim razie ustalone. Opuszczę państwa, chciałbym jednak przed wyjściem

porozmawiać z panem Leblanc. - Zmierzył Faustine spojrzeniem pełnym irytacji. - Miłego wieczoru i niech pani będzie ostrożna, wracając, Faustine.

Zezłościła Guya. Była taka beztraska i prowokująca.

Chyba że zachowuje się w ten sposób, chcąc odpłacić mi za moje dzisiejsze zachowanie...

Nie mógł uwierzyć, że gotowa jest bawić się z nim w te gierki, przecież to czcze i infantylne. Chociaż... czyż nie on sam zaczął?

Guy przywitał się z Rodolphe'em Leblankiem. Mężczyzna był smukły, raczej wysoki, miał krótkie włosy i olbrzymie bokobrody zasłaniające połowę twarzy Guy uznał, że nie może mieć więcej niż trzydzieści lat. Dostrzegł też długą świeżą ranę na jego szyi. Wyglądała na powstałą podczas golenia.

- Guy Thoudrac-Matto - przedstawił się. - Widzę, że stoi pan sam, czy mogę się do pana przyłączyć?

Leblanc uniósł dłoń na znak powitania.

- Rodolphe Leblanc, zapraszam, niech mi pan potowarzyszy.

- Stwierdzam, że jest pan podobny do mnie, bardziej obserwator niż mówca.

- Jestem powściągliwy, to wszystko. Ci ludzie dyskutują o sprawie Dreyfusa i o antysemityzmie. Wolę unikać tego tematu, moje poglądy polityczne pozostawiam dla siebie.

- Polityka to mimo wszystko temat salonowy.

- Wiele osób tu obecnych sympatyzuje z orleanistami, legitymistami bądź bonapartystami. Lepiej jest nie afiszować się z lewicowymi poglądami wśród tych ludzi.

- Tak jest w pańskim przypadku?

- Jestem republikaninem, trochę ze względu na tradycję rodzinną, ale też z przekonania. Jednak mało mi zależy na bronieniu swoich racji, nie chcę też uchodzić za rewolucyjnego ekstremistę, czym w oczach tych konserwatystów są wszyscy o lewicowych poglądach.

- Często pan tu przychodzi?

- Tak. Bardziej ze względu na okultystyczne doświadczenia niż dla towarzystwa, zapewne pan to rozumie.

- Jest pan szczery, lubię takich ludzi. Ja politycznie jestem otwarty na każdą dyskusję. Natomiast mój sceptycyzm dotyczący ezoteryzmu może być uciążliwy.

- Sceptycyzm? Więc po co pan tu przyszedł?

- By zmienić zdanie. Straciłem ostatnio bliską mi osobę.

- Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

- Z pewnością ją pan znał: Milaine Rigobert.

Guy czekał na reakcję Leblanca, ten jednak nawet nie mrugnął, a na jego obliczu nie zagościła najdrobniejsza oznaka zaskoczenia lub smutku.

- Istotnie, spotkałem ją. To smutne, była taka młoda...

- Opuściła nas w zeszłą środę, wracając stąd do domu.

Tym razem Leblanc okazał głębokie poruszenie.

- W środę?

- Tak, w drodze powrotnej.

Oczy Leblanca poruszały się szybko, jak gdyby usiłował posortować defilujące przed nimi wspomnienia. Jego powieki unosiły się i opadały, odrzucając nie pasujące elementy.

- Dobrze się pan czuje? - spytał Guy

- Chodzi o to, że... Pan jako sceptyk nie potraktuje poważnie tego, co powiem.

- Wręcz przeciwnie, chcę zostać przekonany. Co ma pan na myśli?

- Chciałbym przedtem o coś spytać: w jaki sposób umarła? Czy to był wypadek?

- Niestety, nie. Zbrodnia.

Zdawało się, że Leblanc niemal odczuł ulgę.

- Ach. Ręka człowieka - rzekł.

- Mam wrażenie, że... niemal cieszy pana fakt, że było to morderstwo.

- Wolę to, niż usłyszeć od pana, że miała krew w oczach i zmarła z przerażenia.

Tym razem Guy poczuł się nieswojo.

- Dlaczego pan to mówi?

- Gdyż w ubiegłą środę miał miejsce seans, który źle się potoczył.

- To znaczy?

- Wezwaliśmy duszę zmarłego, lecz objawiło się nam coś innego. Zła istota.

- Gdyby zechciał pan wyjaśnić takiemu laikowi jak ja...

- Podczas seansów staramy się stworzyć swego rodzaju pomost między zaświatami i naszą rzeczywistością. Chcemy znaleźć szczelinę w oddzielającym je eterze i poprzez nią wzywamy naszymi głosami i naszą energią konkretną osobę. Zdarza się, że osoba ta nas wyczuje i

zamanifestuje swoją obecność, czasami tak, a czasami nie. Istnieje także możliwość, choć to sytuacja wyjątkowa, że ten, kto przenika przez szczelinę, nie jest czystym ludzkim duchem o neutralnej życzliwości, lecz złą kreaturą. Dzieje się to wówczas, gdy szczelina otwiera się nieprawidłowo i zamiast sięgnąć czystych dusz, docieramy do błędnych. Działamy właściwie po omacku i możemy się pomylić.

- Bo istnieją różne poziomy zaświatów? - zdziwił się Guy z wyraźnym niedowierzaniem.

- Powiem może w ten sposób: zamiast otworzyć przejście do Raju, dotarliśmy do Czyśćca, a może w jeszcze gorsze miejsce.

- A na czym to konkretnie polegało?

- Na groźbach. Na opętaniu jednego spośród nas. Wywracał oczami, targały nim konwulsje. Zanim duch opuścił ciało, powiedział, że wypije duszę kogoś spośród nas. Fakt, że Milaine zginęła kilka godzin później, mogłoby zaniepokoić niejedną osobę.

- Rozmawiałem właśnie z Louistem Steirnem, nic mi nie wspominał na temat tego incydentu.

- Steirn, jak pan się przekona, uczęszczając do naszego Koła, to człowiek skryty. Słucha, lecz niewiele mówi.

Guy przyglądał się eleganckiemu brodaczkowi pochłoniętemu rozmową z Faustine. Nie ulegało wątpliwości, że się do niej zaleca oczarowany jej zadziwiającą urodą. Faustine uśmiechała się promiennie.

Guy poczuł ukłucie w żołądku. Ogarniało go złe przeczucie na myśl o zostawieniu jej tutaj samej.

- Ale jeśli mi pan nie wierzy - ciągnął Leblanc - powinien pan porozmawiać z Lucienem Camille'em.

- Innym członkiem Koła?

- Duchownym. Przychodzi rzadko, ale był tutaj w ubiegłą środę. To on został opętany.

- Duchowny, tutaj?

- Wszyscy go lubili.

- Mówi pan w czasie przeszłym. Co się z nim stało?

- Stał się... nie po raz pierwszy opętały go złe moce. Pojawia się tu coraz rzadziej. Przedtem wszyscy bardzo go lubili, szczególnie dziewczyny, które przyprowadzał Steirn. Camille słuchał ich, wspierał je podczas spowiedzi. Teraz budzi w każdym lęk.

- Mówiąc dziewczyny, ma pan na myśli ładacznicę?

Leblanc potwierdził.

- Zna je dobrze?

- Lepiej niż ktokolwiek inny

- Gdzie mógłbym się z nim spotkać?

- Za dnia w jego kościele.

- A wieczorem?

- W palarni w osiemnastym okręgu. Opium sprawia, że zapomina, kim jest. Topi w nim swoje demony

Rozległy się głośnie śmiechy, stukano się kieliszkami z szampanem, spojrzenia lśniły wzajemnym porozumieniem. Piękne suknie, idealnie skrojone garnitury, elegancko podkreślone złotym lub srebrnym łańcuszkiem od zegarka wystającym spod kamizelki, uwydatniały niestosowność tych spotkań, na których miejscy decydenci wzywali jedyne siły o większej od ich własnej potędze: moce zaświatów. Jak gdyby, niezależnie od swojej pozycji społecznej, człowiek odczuwał systematyczną potrzebę poznania bytu górującego nad nim.

Guy przypomniał sobie wówczas Bomengo i jego plemienne wierzenia.

Zadrżał na wspomnienie jego śmieci. Znów ujrzał wirującą wodę w kanale.

Poczuł, jak żółć podchodzi mu do gardła, z trudem pohamował wymioty.

Za dużo wrażeń jak na jeden dzień.

I wtedy ujrzał, jak Louis Steirn wstaje, wyciąga dłoń w stronę Faustine i odchodzi z nią na bok, za ciężkie lakierowane drzwi, by oprowadzić ją po siedzibie Koła Serafinów Najważniejszych aniołów.

Mimo to gdy drzwi się zamknęły, Guy odniósł wrażenie, że zamiast anielskich skrzydeł Steirna zdobi para czarnych rogów i rozwidlony ogon.

26.

Perotti przypominał zawiedzionego Atlasa.

Dźwigał na sobie ciężar świata, nie mając ku temu odpowiednich predyspozycji.

Miał opuszczone ramiona, opadające kąciaki ust, nie był nawet w stanie podnieść wzroku.

Gdy Guy wszedł do piwiarni naprzeciwko kościoła Świętej Trójcy, inspektor dostrzegł go dopiero po dłuższej chwili.

- Katastrofa - rzekł na wstępie.

- Niech pan mówi.

- Nie chciałem powiadamiać Pernettyego i Legranitiera, zresztą i tak dowiedzą się o tym prędzej czy później, zwróciłem się więc do człowieka, który kształcił mnie przez kilka miesięcy. Powiedziałem mu, że pewien świadek poinformował mnie o obecności licznych zwłok pod wieżą Eiffla. Ten najpierw mnie wyśmiał, nalegałem jednak, więc udał się ze mną na nadbrzeże w towarzystwie kilku kolegów. Zzielenieli, czując tamten smród.

Perotti zamoczył usta w piwie.

- Pominę tu szczegóły, ale wyobraża pan sobie, co się potem działo. Natomiast nie było nawet śladu krokodyla lub innej agresywnej bestii. Mój przełożony wpadł w panikę, mężczyźni wymiotowali po kątach, patetyczna przerażająca scena. Zasugerowałem, żeby przygotować zasadzkę na winnego, niestety mój pomysł nie został przyjęty. Twierdzą, że to dzieło dzikiego zwierzęcia albo szaleńca, który nigdy nie

wróci na miejsce zbrodni. A wie pan, kogo wezwali, by zapanować nad sytuacją?

- Pernettyego i Legranitiera?

- Właśnie! Z rozkazu prefekta! Należy donosić im w jak najszybszym trybie o wszystkich brutalnych i rytualnych zbrodniach dokonanych na terenie Paryża, a przede wszystkim w obrębie wystawy. Może pan być pewien, że w jutrzejszej prasie nie znajdzie się choćby wzmianka na ten temat, zwłoki zostaną wyniesione w środku nocy i przetransportowane Sekwaną na wyspę Cité do kostnicy Sądząc jednak po rozmiarach rzezi, wątpię, czy sprawa zostanie tak szybko umorzona. Poszedłem sobie, zanim jeszcze ci figuranci pojawili się na miejscu, wolałem uniknąć konfrontacji.

- I nikt nie będzie pilnował okolicy?

- Nie przewidziano tego.

Guy uniósł pięści i potrząsnął nimi ze złością.

- Hybris prędzej czy później zda sobie sprawę, że jego kryjówka została zdemaskowana. Boję się jego reakcji!

- A co z Kołem Serafinów?

- Louis Steirn to osobliwa postać, nieco arogancki manipulator. Poznałem także podejrzanego młodzieńca obecnego na seansie spirytystycznym, w którym Milaine brała udział w dniu swojej śmierci. Rodolphe Leblanc. Jest może mniej nieśmiały, niż sądziłem, lecz

ostrożny, mógłby pasować. Niech pan dokończy piwo, jesteśmy umówieni na spotkanie.

- Gdzie nas oczekują?

- Nasz gospodarz nie wie, że przyjdziemy, ale ta wizyta może się okazać pouczająca, więc chodźmy. Nic panu nie powiem, będzie pan zaskoczony...

Wzgórze Montmartre przypomina wieś zagubioną przez przypadek pośrodku Paryża, jakby spadła z nieba.

Wąskie kręte uliczki o zniszczonym bruku, czasami nawet gruntowe, połączone między sobą nieregularnymi schodami podtrzymującymi wzniesienie niczym żebra. Montmartre ma dwa oblicza. Jedno biesiadne, na które składają się kabarety o najbardziej malowniczych nazwach: Piekło, Kabaret Nicości, Koniec Świata, Tawerna Włóczęgów znana również jako Kabaret Pajaka; goście przychodzą się tam „truć” w towarzystwie dyżurnych Zjaw i Zmarłych. Drugie oblicze jest bardziej dyskretne: zrujnowane w większości domy z prywatnymi ogrodami, stare farmy, klasztory zamienione na mieszkania dla nieszczęśników wychodzących z więzienia i zamykanych ponownie w kolejnych celach. To dzielnica ludu, hałaśliwa za dnia, krzykliwa wieczorem. Niektóre ulice otoczone są złą sławą z powodu włóczęgów się tam szajek okradających przechodniów z innych dzielnic.

Pomiędzy tymi dwoma obliczami wzgórze, ukryta za lśniąca nowością bazyliką Sacré-Coeur, jak gdyby nawet Bóg nie chciał tam zaglądać, znajduje się Makia.

Nieuzitytki opalone przez roślinność, pośród której wzniesiono na zboczu chałupy z krzywych desek przyklepione jedne do drugich, tak jak narzucało ukształtowanie terenu. Poruszać się tam można po śliskich ścieżkach biegnących między drzewami i przez gęstwinę krzewów, po schodkach o nierównych stopniach ułożonych z desek, po prowizorycznych chyboliwych kładkach łączących dwa baraki, zawieszonych wysoko na ustawionych byle jak palach.

Guy i Perotti szli wzdłuż Makii ulicą Saint-Vincent, rzucając niespokojne spojrzenia w stronę tej zakazanej okolicy, gdzie mimo późnej godziny lśniły płomyki niezliczonych świec i słychać było krzyki i śmiech dzieci.

Za gałęziami zwisającymi nad ulicą poruszały się cienie, dziesiątki dzikich kotów biegały, miaucząc.

Na szczycie wzgórze rozłożone skrzydła Moulin de la Galette przecinały księżyc na pół, jak gdyby chroniły go przed widokiem tego przygnębiającego pejzażu.

- Daleko jeszcze? - spytał Perotti. - Wie pan, że nie lubię niespodzianek, dlatego nic mi pan nie mówi?

Inspektor gadał jak najęty, zadawał pytania, nie czekając na odpowiedź - bał się.

- Jesteśmy prawie na miejscu.

- Czy mógłbym wiedzieć, dlaczego wciąż zerka pan za siebie? Zgubiliśmy się?

- Nie. Jestem ostrożny. Dziś rano, wracając z Hal, odniosłem wrażenie, że jestem śledzony.

- Śledzony? Widział pan, przez kogo?

- Niestety, nie.

- Kiedy to się zaczęło? Przed czy po wizycie w Halach?

- Nie mam pojęcia, wątpię, czy w tłumie ktoś chciałby na mnie zapolować, ale nigdy nie wiadomo...

Perotti również upewnił się, że wokół nich jest pusto.

- Nie podoba mi się to - przyznał. - A jeśli trafiliśmy na właściwą osobę?

- To może nie mieć nic wspólnego z naszą sprawą. Może to moi... teściowie. To do nich pasuje. A może Legranitier albo Pernetty chcą mieć mnie na oku. Nic jeszcze nie wiem, wolę jednak zachować ostrożność.

Kawałek dalej Guy zatrzymał się przed oknem tak brudnym, że prawie wcale nie przepuszczało światła ze środka.

Perotti wskazał na szyld z łuszczącą się farbą, na którym można było odcyfrować nazwę lokalu.

- Kabaret Morderców? Cóż za osobliwe miejsce rozrywki!

Niewielkie pomieszczenie o niskim sklepieniu wypełniał dym

zawierający aromaty kamforowe, mentolowe i inne, ostrzejsze, choć jak najbardziej rozpoznawalne. Lampy gazowe rzucające chwiejne światło przypominały zagubione we mgle latarnie pośród niespokojnej nocy

Siedzący przy okrągłych stolikach twarze mieli nieogolone, ubrania źle skrojone, na nogach saboty albo buty z grubej skóry. Nie było ani jednej kobiety.

Właściciel, gruby jegomość, którego brzuch wypływał zza paska, jakby miał zamiar opuścić ciało, oderwał się od zniszczonego kontuaru służącego za bar, by powitać nowo przybyłych.

- Chcielibyśmy zapalić - oznajmił Guy.

- Na sali czy w alkwie?

- Właściwie tam, gdzie znajduje się nasz znajomy, pan Camille.

- A, ojciec Camille! Jest tam, proszę.

Właściciel poprowadził ich kręconymi schodami do wyjątkowo ciemnej piwnicy, w której każda wnęka zasłonięta była kotarą. Fajki i nargile z opium wypuszczały odurzający zapach, któremu akompaniowały ssania raz łakome i żarłoczne, a raz, wręcz przeciwnie, dyskretne i umiarkowane.

Właściciel wskazał na parę znoszonych chodaków wystających spod jednej z zasłonek.

- Oto i on. Co panom przynieść? Opium z Turcji czy z Egiptu? Tureckie jest łagodniejsze.

- Najpierw porozmawiamy z przyjacielem, później złożę u pana zamówienie - podziękował mu Guy, odsuwając kotarę.

Mężczyzna w sutannie, leżący bezwładnie na poplamionym materacu, trzymał w ręce długą fajkę. Na widok gości wypuścił z ust mlecznobiały obłok, który rozwiął się na wysokości jego oślepionych światłem oczu.

- Gustave? - spytał oszołomiony.

- Nazywam się Guy

- Ach. Czy to Wszechmogący cię zsyła?

Zdezorientowany Guy rzucił ostrożne spojrzenie Perottiemu, który wyglądał na jeszcze bardziej zbitego z tropu.

- Przyszedłem porozmawiać o naszej wspólnej znajomej. O Milaine Rigobert.

Ksiądz zamrugał powiekami. Miał około trzydziestu lat, lecz oczy starca podkrążone sino, pomarszczoną skórę poprzecinaną czerwonymi żyłkami. Jego usta przypominały różową nitkę, cienką niczym płatek kwiatu.

Uniósł się z trudem, jego gesty były nieskończenie powolne.

- Milaine - powiedział łagodnie. - Milaine, tak, wiem, kim jest. Dzieckiem Boga.

- Została zamordowana - rzekł od razu Guy z nadzieją, że szok pomoże księdzu wyjść z letargu.

Ramię duchownego, na którym się opierał, ugięło się i mężczyzna opadł na materac, uderzając po drodze głową o mur. Wąska strużka krwi pojawiła się na jego łysej czaszce. Mrugał, jak gdyby dopiero co się obudził, nie mając pojęcia, gdzie się znajduje. Tym razem Guy pomógł mu usiąść i odebrał fajkę.

- Jak się ksiądz czuje? - spytał.

- Zamordowana?... Jak zamordowana? Ręką człowieka czy diabła?

- To się wydarzyło w zeszłą środę wieczorem, widział ją ksiądz w Kole Serafinów, pamięta ksiądz?

Duchowny przytaknął.

- Wieczór opętania - powiedział ponuro, z mętym spojrzeniem. - Tamtego wieczora otworzyliśmy przejście dla demona. A więc po nią przyszedł? Nie dziwi mnie to, zawsze porywa się na najmiłsze osoby..

- Cenił ją ksiądz?

- Takie dziewczyny jak ona zwierzają mi się, wiesz. Są szczęśliwe, że mogą porozmawiać z księdzem, który ich nie ocenia. Maria

Magdalena kupczyła swoim ciałem, nie można o tym zapominać.

- Milaine zwierzała się księdzu?

- Czasami. Była wrażliwa. Jak Maria chciała zmienić swoje życie, wyzwolić się.

- Czy opowiadała księdzu o jakimś osobliwym wydarzeniu związanym z mężczyzną? Bała się kogoś? Ktoś chciał się za bardzo do niej zbliżyć?

- Louis był blisko. Kręcił się wokół niej, nie mając odwagi zagadnąć wprost. Louis już taki jest, nie chce płacić. A przecież jest bogaty. Chce brać kobiety w posiadanie, nie rewanżując się im.

Narkotyk pozbawił ojca Camille'a wszelkich hamulców, zwierzał się, nie zwracając uwagi na gości, jak gdyby rozmawiał sam ze swoim sumieniem.

- Louis Steirn?

- We własnej osobie. Niemniej to porządny człowiek, nie waha się pomóc tym, którzy są w potrzebie.

- A Rodolphe Leblanc? Czy był adoratorem Milaine?

- Nie bezpośrednio. - Grymas wykrzywił mu usta. - Ale lubił ją, wiem to. Ludzie Kościoła mają zmysł obserwacji w stosunkach międzyludzkich. I mogę ci to powiedzieć: zdradzały go spojrzenia. Chętnie by ją uwiódł, gdyby miał na to środki. Ale Milaine chciała zacząć nowe życie i potrzebowała bogatego mężczyzny

- Leblanc jest rentierem, ma środki.

- Nie, to pozory. Widziałem go z matką. Jest na jej garnuszku. Matka wydziela mu niewiele, a dawałaby jeszcze mniej, gdyby się okazało, że chodzi o utrzymanie kochanki. Pani Leblanc to niewygodna osoba.

Guy zacisnął pięść. Ciekawe. Leblanc mieszka z matką. Zaborczą na dodatek.

- Wie ksiądz może, czy Leblanc często korzysta z usług prostytutek?

- Nie jestem jego spowiednikiem. Ale zaraz, gdzie moja fajka...

Ojciec Camille zaczął szukać jej z taką rozpaczą, że Guy zdecydował się mu ją oddać. Duchowny wziął głęboki wdech, po czym wypuścił dym w ekstatycznym rozprężeniu.

Zapadł się w sobie jeszcze bardziej.

- Czy Louis Steirn często przyprawdza prostytutki? - indagował Guy

Umysł ojca Camillea dryfował w otchłani rozkoszy przepelnionej opium.

- Ojcie?...

Perotti pociągnął Guya za rękaw.

- Nic już z niego nie wyciągniemy, niech pan na niego spojrzy.

Duchowny zaczął się śmiać, sztucznie, jak człowiek, który czuje się nieswojo.

- Słyszałeś, jak śpiewają? - spytał.

- Któż taki?

- Serafini, do licha!

- Śpiewacie podczas spotkań?

Lucien Camille potrząsnął głową.

- Nie, ja nie, ja jestem tylko aniołem. Ale w pierwszym kręgu, najbliżsi znajomi Louisa...

- Rodolphe Leblanc?

- Między innymi... Chcieli przeprowadzić inicjację Milaine, słyszałem, jak o tym szepczą. Myślą, że nie mam uszu!

- Inicjację do czego?

- Do pierwszego kręgu! Wprowadzić ją do Koła Serafinów, a nie na te dziecinne spotkania, jakie znamy Chodziło im o prawdziwe seanse! Chcieli ją wtajemniczyć i bawić się. Bawić się z nią, tak mówili!

Ojciec Camille poruszał się niespokojnie, wytrzeszczał przekrwione

oczy o rozszerzonych źrenicach. Purpurowa kropla spłynęła z rany na głowie, pozostawiając jaskrawy ślad od skroni aż po szczękę, gdzie zastygła.

- Miała uczestniczyć w jednym z waszych seansów spirytystycznych? Jak w zesłą środę?

Camille poderwał się na równe nogi tak szybko, że Guy nie zdążył zareagować, i złapał

pisarza za kołnierz koszuli.

- Niczego nie rozumiecie! - warknął nagle. - To rozrywka dla tego towarzystwa, okno, przez które przyciągają ludzi, rekrutują ciekawe okazy. Ale to nie jest prawdziwe Koło! Wszyscy ci goście to tylko aniołki, gdy tymczasem prym wiodą serafini!

- Niech się ojciec uspokoi.

Lucien Camille nie słuchał, mówił ze złością, słowa tryskały z niego, jak gdyby to miało mu pomóc odzyskać spokój:

- Louis Steirn i jego banda spotykają się, by czcić jego! Żeby jemu służyć! Błagać go, by obdarzył ich straszliwą mocą!

- O kim ksiądz mówi?

- O diable! O szatanie! Prawdziwe Koło Serafinów to sataniści! Wiem to! Słyszałem ich śpiewy! Mają mnie za głupca, ale ja wiem wszystko!

Perotti wpatrywał się w odległy kąt piwnicy oszołomiony krzykami księdza.

- To ich wina, jeśli śliczna Milaine nie żyje! - ciągnął sługa Boży. - Nie moja! To przez nich demon posiadł ją tamtego wieczora! To ich złe modlitwy go przyciągnęły! Ja nie mam z tym nic wspólnego!

Jego oczy wypełniły się łzami, które spłynęły po policzkach.

- Wiem - usiłował pocieszyć go Guy - To tylko podejrzany seans. Czy miał ksiądz już ataki konwulsji lub inne przypadłości, które mogłyby wyjaśnić...

Duchowny przyciągnął go do siebie za kołnierz, którego wciąż nie puszczał. Znaleźli się twarzą w twarz.

- To nie choroba, ja naprawdę zostałem opętany przez demona! - wykrztusił przez zęby. - Ale nie jestem za to odpowiedzialny. To serafini zabili Milaine. Oni i ich potworny kult! Nie zbliżajcie się do nich! Albo przyjdzie kolej na was!

27.

Okrągły stół oświetlały świece.

Płomyki rozjaśniały nachylone nad nim twarze, rzucając bezkształtne cienie na sufit i sprawiając, że każda z zasiadających tam osób przypominała potwora.

Hrabina Bolosky przewodniczyła seansowi spirytystycznemu w asyście Louisa Steirna. Starsza pani mówiła z silnym wschodnioeuropejskim akcentem, siwe włosy miała ułożone w skomplikowany kok, na szyi naszyjnik z dużych pereł, a ubrana była w satynową suknię koloru szampana wyszywaną nieco skromniejszymi perłami.

Faustine usadowiła się po prawej stronie Steirna, obok niej zasiadła para małomównych czterdziestolatków, małżeństwo Pommartów, dalej pułkownik Olibert, starszy łysy mężczyzna w wojskowym mundurze galowym - czarnej marynarce z wyszywanymi złotą nicią epoletami. Rodolphe Leblanc i jego długie bokobrody znajdowały się naprzeciw Faustine, krąg zaś zamykał wielki rudzielec o angielskim akcencie, Marcus Leicester.

Każdy z obecnych trzymał sąsiadów za dłonie, prawą rękę ułożywszy pod lewą partnera. Z zamkniętymi oczyma słuchali poleceń hrabiny, która przemawiała z powagą, nakazując im skupić się na oddechu, wczuć się w ciepło powstające między złączonymi dłońmi, aż uda im się wsłuchać w bijące powoli serca.

Medytacja trwała dłuższą chwilę, hrabina bowiem chciała mieć pewność, że energia krąży wokół stołu - wymagała pełnej koncentracji.

- Tworzymy obecnie kłębek energii - powiedziała - która nas otacza, a ja jestem jej katalizatorem, to dzięki mnie otworzy się szczelina łącząca nasze dwa światy

Faustine nie wyczuwała w sobie żadnej elektryczności, tylko głębokie rozluźnienie i ciepło rąk Steirna i pani Pommart. Po chwili poczuła również mrowienie w stopach.

Lekki podmuch wsunął się przez szparę pod drzwiami i owiał jej łydki.

To tylko przeciąg, uspokoiła się w duchu.

- Czujcie wasze energie - ciągnęła hrabina Bolosky - Wasze serca biją teraz unisono.

Czy to możliwe, żeby serca zaczęły bić w jednym rytmie? - zastanawiała się Faustine. Tajemnice ciała ludzkiego są niezbadane: pamiętała, że gdy jako nastolatka uczęszczała do żeńskiej szkoły z internatem, gdzie wiele dziewcząt żyło razem, dostawały okres w tym samym czasie, jak gdyby należało się dopasować do wspólnej partytury, której natura pozostawała im nieznana.

- Skupcie się na swoim wnętrzu - poleciła hrabina. - Na oddechu, wolnym i głębokim, poczujcie, jak krew roznosi życie aż po końce rąk i nóg, niech wasz umysł przeniknie do czubków palców, wyczujcie przepływ krwi w tych miejscach, lekkie mrowienie bezruchu. Trzymaj was klatka z kości, którą możecie teraz zauważyć, siedzicie wygodnie, stopy płasko, podziemne siły przenikają właśnie tamtędy do kończyn dolnych i rozpraszają się w was, w nas. Pomogą nam w otwarciu szczeliny Kosmos bowiem składa się z warstw, z naszych świadomych myśli i z nieświadomości, z dwóch warstw o delikatnej granicy, dwóch płaszczyzn różniących się od siebie, a zarazem tak bliskich. Śmierć to tylko rozpad fizycznej

otoczki utrzymującej nas w jednej z warstw. Po śmierci świadomość nie jest już niczym ograniczana, wylewa się na świat niczym

woda z rozbitej szklanki. Nasz umysł, tak mały pośród olbrzymiego wszechświata, nie jest w stanie utrzymać się jako całość, lecz rozprasza się w absolicie, przestajemy być istotą, za to możemy być wszędzie, rozproszeni, rozłożeni na części.

Mówiła dobitnym głosem, powoli, artykułując precyzyjnie każde słowo mimo obcego akcentu, a niskie ich brzmienie uspokajało.

- Świadomość i nieświadomość są niczym dwa magnesy oddzielone kartką papieru - ciągnęła. - Gdy zgubimy magnes świadomości, nieświadomość staje się mobilna, przenika na plan niematerialny i uwolniona z okowów ciała krąży swobodnie po owej nienamacalnej warstwie, po innym wymiarze, tak bliskim, a jednocześnie bez konkretnej natury, będącym tylko krzywą wplecioną w życie, powierzchnią, po której podróżuje zbiorowa nieświadomość. To tam błądzą dusze zmarłych, a my jesteśmy o krok od stworzenia okna pomiędzy tymi dwoma światami. Będziemy rozmawiać z podświadomością zmarłego, nie zapominajcie o tym, nie będzie to ta sama osoba, którą znaliście. Istoty, które sprowadzamy, różnią się od tych, które spotykaliśmy za ich życia, są zdecydowanie bardziej złożone, bardziej skomplikowane, wyzbyte świadomości, są także bardziej... mroczne. Jestem medium, dzięki koncentracji mogę odgadnąć granice tych płaszczyzn. Kanalizuję waszą energię, by stworzyć niewielki otwór, przez niego możemy przywołać spośród zmarłych dusz tę, którą chcemy zbadać. Lecz wśród zbioru błąkających się wspomnień znajdują się także nasze własne podświadomości. Dlatego musimy być ostrożni. Nie możemy im pozwalać zbliżyć się do szczeliny, nie możemy wpuszczać ich do nas. Chodzi o to, aby uniknąć ataków hysterii i aby nasza osobowość i jej ukryte sekrety nie zakłóciły tego seansu. Dlatego proszę was, byście cały czas pozostali

skupieni na naszym zadaniu. Nie poddawajcie się zmęczeniu, bądźcie naprawdę skoncentrowani, cały czas z nami. Teraz możemy puścić dłonie i położyć je na płasko na stole.

Zetknięcie rozgrzanej wilgotnej dłoni z zimnym drewnem sprawiło, że Faustine zadrzała. Dreszcz przebiegł jej wzdłuż kręgosłupa, rozchodząc się na boki, na piersi, aż po ramiona.

Czy był to znak, że coś wydarzyło się między otaczającymi ich warstwami? Faustine odrzuciła tę myśl, by skoncentrować się ponownie na swoim rytmie serca, na swoim ciele, na odczuwaniu powietrza na skórze, jak im przykazała hrabina na samym początku seansu.

- Możecie teraz otworzyć oczy - oznajmiła Bolosky.

Faustine dopiero po kilku sekundach odzyskała ostrość widzenia i zdołała rozpoznać twarze otoczone tańczącymi aureolami płomieni. Światło było tak słabe, iż Faustine była przez chwilę przekonana, że znalazła się na płaszczyźnie nieświadomości, że dryfuje w nicości otoczona twarzami, których krawędzie toną w mroku niczym płachty skóry unoszące się na powierzchni czarnej wody. Hrabina Bolosky, która jako jedyna wciąż miała zamknięte oczy, zaczęła znów mówić, tym razem głośniejszym, sentencjonalnym głosem:

- Szczelina jest otwarta! Nasze energie lśnią wśród zmarłych tak jasno jak księżyc na tle nocnego nieba. Wzywamy cię, Milaine Rigobert! Daj nam znak! Chodź do nas, zagubiona duszo! Zbliż się do przemawiającego do ciebie światła, skieruj ku nam swe słowa, wzywamy cię całym swoim jestestwem. Chodź do nas, Milaine! Chodź! Niech twoje myśli, jeśli nas słyszą, drgną, niech przekażą nasz głos, nasze oczekiwanie, niech Milaine skieruje się w naszą

stronę, w stronę światła! W stronę dźwięku! Ku nam!

Duży stół zaskrzypiał, suchy dźwięk sprawił, że wszyscy aż podskoczyli.

Teraz hrabina Bolosky także otworzyła oczy, wytrzeszczyła je, jak gdyby ktoś właśnie wbił jej nóż w plecy.

- Jest tutaj! - rzekła chrapliwie. - Milaine jest wśród nas.

Faustine poczuła zimny przeciąg, który przemknął jej między nogami, po ramionach, pieszcząc kark lodowatym oddechem.

Płomyki kilku świec zaczęły migotać, lecz po chwili się uspokoiły.

Faustine zamarła.

- Nie zrywajcie kręgu! - zarządziła hrabina Bolosky. - Trzymajcie ręce na stole!

Faustine przycisnęła dłonie do drewna. Jak to możliwe? Zawsze uważała się za osobę twardo stającą po ziemi, pragmatyczną. Choć lubiła dreszczyk, który towarzyszył opowieściom o zmarłych powracających z zaświatów, i udawała, że w nie wierzy, nigdy nie brała pod uwagę możliwości, iż coś takiego może się zdarzyć naprawdę. Siadając przy tym stole, myślała, że najwyżej uda im się przesunąć po blacie szklanek, że będą próbowali się skontaktować z duszą Milaine, ale oczywiście nic z tego nie wyjdzie. To jednak, co właśnie przeżyła, nie pozostawiało wiele miejsca na wątpliwości: skrzypienie stołu, lodowaty przeciąg i gasnące świece, to wszystko działo się naprawdę.

W pomieszczeniu oprócz zebranych znajdował się ktoś jeszcze.

Czuła to.

Zjeżyły się jej włoski na karku i rękach.

- Milaine Rigobert - rzekła hrabina Bolosky - jeśli to naprawdę ty, uderz dwa razy w ten stół.

Faustine spodziewała się kolejnego skrzypnięcia drewnianego stołu, serce waliło jej tak mocno w piersiach, że wołała się przygotować.

Siła uderzeń była tak ogromna, że świece aż podskoczyły, wrywając krzyk przerażenia z ust Faustine i pani Pommart.

- To naprawdę ona - powiedział Louis Steirn do Faustine, nie wyzbywając się ani na chwilę swojego szarmanckiego uśmiechu.

- Milaine - ciągnęła hrabina Bolosky - chcemy ci pomóc, wiem, że cierpisz, twoje cierpienie wynika z tego, że zostałaś tak szybko pozbawiona życia. Możemy pomóc ci w osiągnięciu spokoju. Możemy pomścić twój honor, zdemaskować mordercę. Chcesz, żeby zapłacił za to, co zrobił?

Rozległy się dwa gwałtowne uderzenia, jedna świeczka się przewróciła, druga zgasła. Wszyscy uczestnicy seansu poruszyli się niespokojnie na krzesłach, zaniepokojeni albo szczerze przestraszeni.

- Milaine, czy znasz tożsamość swojego mordercy?

Kolejne dwa dzikie uderzenia, od których stół zatrzeszczał. W końcu się złamie, pomyślała Faustine rozdarta między szalonym podnieceniem i strachem zżerającym jej wnętrzności.

- Czy my go znamy?

Dwa uderzenia. Za każdym razem wibracje przenikały przez dłonie Faustine, powodując drżenie rąk od nadgarstków aż po ramiona.

Zebrani spojrzeli po sobie oszołomieni.

Leicester i Leblanc patrzyli na siebie zaskoczeni.

Pani Pommart wpatrywała się w męża z niedowierzaniem.

Tylko pułkownik Olibert zdawał się błędzić gdzieś myślami, zerkając na krąg świec ze zblazowaną miną.

- Czy to ktoś, kto zasiada przy tym stole? - spytała hrabina Bolosky

Nastąpiła długa cisza. Hrabina już otwierała usta, aby zadać inne pytanie, gdy nagle silny podmuch zimnego powietrza wpadł do pomieszczenia

i zatrzęsł płomykami świec. Część z nich zgasła, zanim przeciąg ustąpił.

Faustine cała się trzęsła, nie wiedząc, czy to z powodu chłodu czy lęku.

Steirn nachylił się w jej stronę i szepnął:

- Niech się pani nie obawia, Koło ma wielu członków, mamy szerokie powiązania, znamy niemal cały Paryż. Proszę nie sądzić, że pani przyjaciółka oskarża kogoś z nas bezpośrednio!

- Czy mogę z nią porozmawiać? - spytała Faustine drżącym głosem.

- Hrabino, panna Faustine chciałaby się zwrócić do zmarłej.

Skinieniem głowy medium zachęciła Faustine do zabrania głosu.

- Milaine? To ja, Faustine. Chciałabym ci pomóc... Ulżyć. Jak to zrobić?

- Trzeba zadawać pytania, na które można odpowiedzieć „tak” albo „nie” - wyjaśnił Steirn.

- Prowadzimy z Guyem śledztwo - poprawiła się Faustine. - Czy stamtąd, gdzie jesteś... widzisz nas?

Dwa mocne szybkie uderzenia.

- Nie widzi w dosłownym znaczeniu - wtrąciła hrabina Bolosky - ale odczuwa za pośrednictwem żyjących podświadomości to, co się dzieje.

- Mamy kilka tropów - podjęła Faustine. - Czy jeden z nich zaprowadzi nas do... do twojego mordercy?

Znów dwa uderzenia, wyraźne „tak”. Faustine wahała się, czy przeanalizować wszystkie tropy po kolei, czy też zacząć od sprawdzenia teorii Guya.

- Zbadaliśmy tę zbrodnię i Guy myś...

Dwa potężne uderzenia rozeszły się echem aż po kredens stojący za Faustine. Urwała w połowie zdania, słowa uwięzły jej w gardle.

- Guy? - powtórzyła Faustine.

„Tak” rozległo się natychmiast.

Steirn spojrział na młodą kurtyzanę, unosząc brwi.

- Obawiam się, że nie rozumiem - przyznała Faustine. - Czy ta teoria Guya jest dobra czy..

Nagle stół pękł w połowie, wystrzeliwując w górę tuman kurzu, który zaczął skwierczeć w płomieniu świec. Pani Pommart zaskoczona cofnęła się tak gwałtownie, że aż przewróciła się z

krzesłem, zrywając tym samym krąg.

Hrabina Bolosky wydała z siebie świszczący jęk i zeszywniała niczym rażona gromem.

Zanim pozostali odzyskali dech, rzuciła się na stół i złapała Faustine za nadgarstki. Przyciągnęła ją do siebie, jak najbliższej swojej pomarszczonej twarzy.

- Ty!... - wrzasnęła grobowym głosem jakby wydobywającym się z głębi trzewi. - Ty będziesz następna!

Louis Steirn odepchnął energicznie hrabinę, która opadła na krzesło z głową odrzuconą do tyłu, kosmykami włosów sterczącymi z koka. Jej pierś unosiła się bardzo szybko, a każdemu oddechowi towarzyszył świst.

Faustine siedziała przerażona.

Czuła jeszcze imadło szponów medium na swojej skórze. Lodowaty dotyk, przeszywające spojrzenie.

I przede wszystkim dzikość, z jaką Bolosky rzuciła jej to zdanie w twarz.

Faustine czuła w głębi siebie wściekłość, jaka towarzyszyła słowom. Słowom, które nie należały do hrabiny, Faustine była tego pewna. Słowom, które zostały skierowane do niej z zaświatów.

Słowom Milaine.

Oprócz znaczenia poruszyła ją zawarta w nich nienawiść.

Nienawiść zmarłych do żyjących.

* * *

Louis Steirn przelał absynt przez cukier trzymany nad szklanką na łyżeczce z otworkami.

- Proszę - powiedział, przesuując szklankę w stronę Faustine. - Niech pani wypije, dobrze to pani zrobi.

Faustine schrupała pachnący ziołami cukier, oprócz anyżku wyczuwając nutę kopru.

Rytm serca znów miała normalny. Powoli dochodziła do siebie. Wszyscy goście przeszli do dużego salonu, by podzielić się wrażeniami z doświadczenia. Faustine słyszała ich przejęte rozmowy, w których pobrzmiwał zarówno entuzjazm, jak i strach.

- Czy każdy seans tak wygląda? Każdy jest równie spektakularny?

Steirn wyszczerzył się w uśmiechu, który zmienił kształt jego czarnej brody.

- Nie, na szczęście dla naszych nerwów, muszę przyznać! Ten wieczór był... wyjątkowy. To być może zasługa pani obecności. Rzadko zdarzają się równie wyraźne manifestacje.

- Tak było również podczas seansu z Milaine?

Steirn zwilżył wargi językiem, spuszczać wzrok.

- Tak.

Postukał nerwowo palcami o powierzchnię stołu.

- Ale niech się pani nie obawia - dodał - groźby to częsty element tego typu manifestacji, zazwyczaj pozostają bez konsekwencji.

- Nie boję się, w każdym razie nie słów. Tylko ten ton... Była w nim taka wściekłość.

Steirn wyciągnął rękę w stronę sufitu.

- Czasami lubią sobie zażartować, bywają agresywni, podejrzewam, że była w tym jakaś doza zazdrości względem pani.

- Przez „nich” rozumie pan... zmarłych?

- Tak, nieżyjących. Proszę pić, potrzebuje pani tego.

Faustine łyknęła absyntu i w tejże chwili fala ciepła zaczęła pisać się w górę jej przetyku, rozprzestrzeniając kwiatowy aromat aż do mózgu.

- Sądzę - ciągnął Steirn - że jest pani fantastycznym katalizatorem.

- Ja? - zdziwiła się Faustine rozbawiona.

- Tak, dzisiejszy seans to udowodnił. Niektórzy ludzie mają to w sobie. Proszę spojrzeć na hrabinę Bolosky, mogłaby pani stać się dla niej konkurencją!

Faustine nie przestawała się śmiać, dzięki temu lepiej się czuła. Uświadomiła sobie, że ostatnie wydarzenia wstrząsnęły nią bardziej, niż sama skłonna była przed sobą przyznać. Przyszła tu sceptyczna, lecz zaciekawiona, wychodziła spanikowana.

- Nie jestem przekonana, że posiadam ów dar - powiedziała.

- Nie docenia się pani! Co by pani powiedziała na powtórkę?

Faustine zacisnęła dłoń na szklance.

- Nie jestem pewna, czy..

- Seans będzie spokojniejszy, pozwoli sprawdzić moją opinię. Przetestujemy pani dar.

Faustine westchnęła zakłopotana. Sparzyła się na pierwszym doświadczeniu, a jednocześnie dręczyła ją ciekawość. Pochlebstwo sprawiło jej przyjemność.

- Może... - rzekła cicho.

- Zrobimy tak - odparł Steirn, nachylając się ku niej. - W środę wieczorem przyjdzie pani tutaj, ja zaproszę grupkę zaufanych osób. I przetestujemy panią. Jestem pewien, że wynik będzie pozytywny, proszę mi wierzyć.

- Dobrze - odparła Faustine, dopijając rozgrzewający absynt.

Steirn uniósł do góry palec wskazujący

- Ale muszę panią poprosić o pełną dyskrecję. Niech to pozostanie między panią a mną. Nikt inny nie może się o tym dowiedzieć. Nawet pani towarzysz, ten Guy Wyczułem w nim powątpiewanie, a musi pani coś wiedzieć: sceptycy niszczą wszelką energię podczas seansów.

Faustine skinęła głową i odstawiła szklankę.

- Doskonale - ucieszył się Louis Steirn z błyskiem w oku. - To będzie taka nasza mała tajemnica.

28.

Czerwone latarnie, symbol rozpusty, świeciły pośród nocy, konsumowane od wewnątrz.

Faustine, wysiadając z dorożki odwożącej ją z wizyty w Kole Serafinów, zdziwiła się, widząc je zapalone o tak późnej porze. Minęło już wpół do drugiej nad ranem, a jako że był niedzielny wieczór, wydało jej się to co najmniej zaskakujące.

Kiedy pchnęła drzwi, nie usłyszała ani muzyki, ani śmiechów, ani też rozmów, wyczuła jedynie zapach zimnych cygar.

Paliło się kilka lamp gazowych.

Julie wyłoniła się z kuchni, w progu dało się zauważyć cień Gikaiba.

- Gdzie byłaś? - spytała oschle.

- Wyszłam.

- To zauważyłam! Bierzesz teraz klientów z zewnątrz? Masz się za Milaine?

Ta uwaga zraniła Faustine, która skrzyżowała ręce na piersiach.

- Wyszłam się rozerwać.

- W roboczy wieczór? Co cię napadło? Nie uprzedzając mnie? Już miałam wysłać ci Gikaiba na ratunek!

- Powinłam była ci powiedzieć, to prawda - przyznała Faustine. - Wybacz mi. Nie zastałam cię wcześniej, a ostatnio jestem nieco roztargniona.

- To też zauważyłam. Był dzisiaj pan Lambert, przyszedł specjalnie dla ciebie.

- Julie, nie mam teraz serca do tych spraw.

- Ale lubisz pana Lamberta. Jest łagodny, romantyczny, zabawny i do tego przystojny! Wszystkie nas rozbawił dziś wieczorem.

- Przykro mi.

Julie straciła cierpliwość.

- To twój zawód, moja panno. Przyznaję ci i tak ogromne przywileje! Zazwyczaj nie wybiera się klientów, pamiętaj o tym!

- To przejściowe. Wkrótce wrócę do siebie.

- Czasami trzeba się zmusić!

Mówiła coraz głośniej.

- Jestem tak droga dlatego, że jestem również bardzo hojna! - wybuchła Faustine. - Każdy, który znalazł się między moimi udami, będzie to wspominał z melancholią i pałał chęcią powrotu. Dlatego muszę w pełni poświęcać się pracy! A obecnie jest to po prostu niemożliwe!

Zaskoczona jej złością Julie cofnęła się o krok. Zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów, zdejmując biały fartuch, który zwinęła w kłębek i rzuciła na poręcz schodów.

- Przypominam, że nikt cię nie zmuszał do wybrania tego zawodu - rzuciła, odwracając się do niej plecami.

Zniknęła w kuchni i Faustine zauważyła, jak szybkim gestem ociera policzek. Japoński olbrzym poklepał ją przyjacielsko po ramieniu w geście pocieszenia.

Czy naprawdę płakała? Faustine wiedziała, że Julie od śmierci Milaine jest na granicy załamania nerwowego. Musiała wszystkim zarządzać, przyjmować każdy cios, byleby firma działała, byleby klienci byli zadowoleni.

Po prostu bała się o nią, zrozumiała Faustine. Obawiała się stracić kolejną ze swych dziewczyn, bała się, że w dzielnicy grasuje szaleniec poszukujący nowych ofiar.

Nie myliła się znów tak bardzo.

Julie zareagowała bardziej jak matka niż jak szefowa.

Nagle Gikaibo wziął Julie w ramiona i nogą zamknął drzwi.

Faustine nie mogła uwierzyć. To nie był zwykły gest pocieszenia, nie, było coś więcej w tym, jak Julie schroniła się w jego ramionach... Uczucie! Gikaibo i Julie? Przecież szefowa miała swojego stałego, wiernego i troskliwego klienta. Czy był zasłoną dla plotek o burdelmamie związanej z Żółtkiem?

Natrętne tykanie zegara w holu wyrwało ją z zamyślenia.

Faustine wróciła do swojego pokoju i zaczęła rozwiązywać suknię i gorset, gdy nagle czyjaś postać wyłoniła się z ciemności tuż za nią.

Mężczyzna wyszedł z łazienki łączącej jej pokój z pokojem Milaine. Faustine niczego nie zauważyła, wciąż zatopiona w myślach.

- Nie powinna pani była tego robić - powiedział.

Faustine odskoczyła od toaletki, dusząc okrzyk. Natychmiast rozpoznała Guya.

- Jakim prawem...

- Och, przepraszam, jakże mi przykro! - przeprosił, widząc jej nagie ramiona. Odwrócił się tyłem, lecz pozostał na miejscu. - Przysnąłem, czekając na pani powrót...

- Niech pan opuści ten pokój, Guy!

- Zamartwiałem się! Nie powinna pani była zostawać sama u tego Steirna!

- Jestem dużą dziewczynką. A teraz niech pan wyjdzie.

- Koło Serafinów to nie to, co pani myśli. To niebezpieczne miejsce.

Faustine przytrzymała rozpiętą suknię rękoma na wysokości piersi. Stała na wprost pisarza:

- Doskonale, chce pan rozmawiać, dobrze się składa, bo nie jestem zmęczona, ale niech pan poczeka na korytarzu, aż się przebiorę w koszulę nocną, do licha! Czy muszę panu przypominać, że nie należy pan

do tych, którzy mogą ode mnie wymagać czegoś więcej?

Na te słowa oblicze Guya przygasło, szczęki się zacisnęły, a brwi zmarszczyły.

Wyprosiła go na zewnątrz i po chwili zawołała, gdy już była gotowa, w koszuli nocnej pod jedwabnym szlafrokiem.

Jego obecność przestraszyła ją szczególnie ze względu na niedawne doświadczenie podczas seansu spirytystycznego. Przez całą drogę do domu nie przestawała myśleć o tym, że

Milaine z takim uporem podkreślała imię Guya. Jego znaczenie. Faustine walczyła ze sobą przez dłuższą chwilę, zakazując sobie sformułowania najgorszych podejrzeń, wreszcie jej opór zelżał: czyżby Milaine wskazała Guya jako winnego swojej śmierci? To niemożliwe. Więc co chciała przekazać? Że jego hipotezy są słuszne? Chyba że to wszystko było tylko posępną manipulacją...

- Późno pani wróciła - rzekł Guy, siadając na brzegu łóżka.

- Pan też chce mi prawić kazania?

- To przez Louisa Steirna, czuję, że to oszust.

- Uwodziciel, to wszystko.

- Nie, Faustine, to coś więcej. Jego spojrzenie nie tylko rozbiera, ale przeszywa i przeszukuje wnętrze człowieka.

- Zawsze wiedziałam, że przeglądanie się w lustrze zakłóca spokój duszy.

- Co chce pani przez to powiedzieć?

Usiadła po drugiej stronie łóżka.

- Nie lubi go pan, bo jesteście do siebie podobni.

- Niech pani nie gada głupstw!

- Ależ tak! Jest charyzmatyczny, to typ człowieka, którego natychmiast się zauważa, gdy wchodzi do pomieszczenia. Macie takie samo spojrzenie, które wprawia w zakłopotanie, kiedy chce się je

wytrzymać. Nie zdaje sobie pan z tego sprawy, Guy, ale pańskie źrenice drążą ludzi tak, jak gdyby analizował pan ich myśli. Wywołuje pan ten sam efekt co Steirn, to dlatego tak się panu nie spodobał!

Guy siedział z otwartymi ze zdziwienia ustami.

- Nie miałem pojęcia... że tak mnie pani widzi - wybełkotał.

- Nie ma pan pojęcia o wielu rzeczach - ucięła Faustine oschle.

Natychmiast zrobiło jej się przykro, że tak nieuprzejmie się z nim obeszła. Nie mogła jednak spuścić z tonu, nie teraz, więc ciągnęła:

- Przeżyłam tej nocy niezwykle doświadczenie. Seans spirytystyczny przekroczył znacznie moje oczekiwania. Milaine przyszła do nas!

Guy pokręcił głową z kpiącą miną.

- Bzdury! Steirn i jego znajomi zabawili się pani kosztem.

- Niech pan nie wydaje sądów na temat, na którym się pan nie zna! Nie było tam pana! Stół trząsł się tak mocno, że nie do pomyslenia było, by ktoś spośród nas mógł w niego uderzać!

- Wspólnik ukryty za zasłoną w pokoju obok albo nawet w mieszkaniu poniżej mógł załatwić sprawę.

Faustine nachyliła się w jego stronę.

- Widziałam, jak stół pękł na pół!

- Widać było odłamki drewna czy trociny?

- Dlaczego pan pyta?

- Pierwsze mogłyby świadczyć o tym, że stół pękł, trociny dowodziłyby raczej, że został przepiłowany i że to wszystko trik.

Faustine pokręciła głową, jednak z mniejszą pewnością siebie niż poprzednio.

- Nie - powiedziała zakłopotana - to się działo naprawdę. Milaine naprawdę tam była.

Zniecierpliwiony Guy ujął ją za rękę i rzekł łagodniejszym tonem:

- Faustine, nie powinna się pani zbliżać do Steirna i jego towarzystwa. Oni są... niebezpieczni.

- Niech pan nie przesadza, nic nie wiemy o...

- Przeciwnie! Perotti i ja wiemy teraz, w co tamci się bawią. To sekta satanistyczna!

Faustine zmieniła się na twarzy

- Skąd pan wie?

- Od jednego z członków Koła, nie takiego z najbliższego kręgu, niemniej bywalca. Od księdza.

- Od duchownego? I on wie, że to sataniści, a i tak uczęszcza na ich spotkania? Skąd pan wytrzasnął takiego księdza?

Guy się skrzywił.

- No właśnie, to dość... oryginalny duchowny. Pojawia się w ich towarzystwie, bo to najlepszy sposób, by mieć ich na oku. Prawdę mówiąc, martwi się o dziewczyny, które sprowadza Steirn. Uważa, że są...

- Ofiarami krwawych rytuałów? Doprawdy, Guy, Steirn nikogo nie morduje! Wszyscy wiedzą, że sprowadza tam kurtyzany. Gdyby je zabijał, owi bywalcy, jak ich pan nazywa, donieśli o tym na policję.

- Ksiądz uważa, że dziewczyny służą do orgii satanistycznych. Nie są zabijane, lecz gwałcone.

W pomieszczeniu zapadła ciężka cisza.

- Proszę mi obiecać, że będzie pani unikać Louisa Steirna i jego przyjaciół - poprosił Guy

Faustine westchnęła i spuściła głowę.

Guy był opętany kwestią jej bezpieczeństwa, nie mogła mu powiedzieć o tym, co zaplanowała. Była dumna ze swojego planu. Dumna, że przyczyni się do pomszczenia Milaine, przenikając do Koła Serafinów.

Wydawało jej się teraz rzeczą pewną, że morderca jej przyjaciółki należał do ich grona.

To mężczyzna, który ją znał i tamtego wieczora wzbudził jej zaufanie.

Okazja, jaka nadarzała się dzięki zaproszeniu Louisa Steirna na spotkanie z małymównymi członkami towarzystwa, była istnym cudem.

Ale Guy by tego nie zrozumiał. Chciałby za wszelką cenę ją chronić, jak gdyby nie umiała sama o siebie zadbać. Zniszczyłyby to, co było ich jedyną szansą na zaangażowanie się w Koło, na poznanie każdego serafina.

Faustine nie była naiwna: Louis Steirn istotnie był złym człowiekiem, miał owo przenikliwe spojrzenie, które - w przeciwieństwie do wzroku Guya chcącego tylko poznać prawdę - przytłaczało osobę stojącą naprzeciwko z zamiarem przejęcia nad nią kontroli, manipulowania. Jego próba odizolowania Faustine pod pretekstem, że Guy jest sceptykiem, była niezwykle zręczna.

Tymczasem Steirn, ogarnięty wyraźną żądzą posiadania jej, wpuści wilka do owczarni, myślała Faustine.

Oślepiiony swą chęcią uwiedzenia jej, ofiaruje jej wszystko, czego tylko zażąda. Wystarczy, że będzie grała swoją rolę. A zadowolić mężczyznę Faustine umiała lepiej niż większość kobiet.

Była ekspertką.

A teraz nadszedł czas, by utwierdzić się w tym przekonaniu.

Czerwone latarnie zgasły po drugiej nad ranem.

Dorożka stała jeszcze bez ruchu przez pięć minut.

Czekała w niej śmierć, obserwując fasadę domu publicznego spod swojego czarnego kaptura.

Następnie drzwi się otworzyły i śmierć wysiadła.

Otulona w łopoczącą na wietrze pelerynę podeszła do schodów Buduaru.

Skórzana rękawica wyłoniła się spod płaszcza i pogłaskała srebrne kółko służące za klamkę.

Śmierć niemal nigdy nie anonsuje swojej wizyty.

Woli uderzyć niezauważona.

Tym razem jednak miała zamiar zmienić metodę.

Uprzedzi ich.

Nie ma bowiem nic lepszego nad uprzedzoną zwierzynę.

Której pot pachnie strachem.

Śmierć stała przed domem rozkoszy w obszernej opończy poruszanej nocnym wiatrem.

Wielki ziejący otwór na miejscu twarzy, mrok zamiast oblicza.

I dwa noże zamiast palców.

Potnie je na kawałki, przyciskając do siebie. Jedną po drugiej.

- Nie za szybko - wyszeptała. - Żeby dogłębniej rozkoszować się każdą chwilą!

Najpierw wszakże musi wejść.

Skóra rękawicy zaskrzypiała, gdy śmierć przekreślała klamkę.

Zamknięte.

Nie szkodzi. Śmierć może otworzyć drzwi. Wystarczy odrobina zręczności.

Śmierci się nie spieszyło.

Miała czas.

29.

Guy zagryzał właśnie kawałek brioszki ćwiartką jabłka, gdy Rose weszła do kuchni. Z trudem łykał niewielkie kęsy, gdyż odkąd się przebudził, dręczyło go wspomnienie Bomengo i jego straszliwej śmierci.

- Wielki dzień, mój drogi! - zawołała, kładąc przed nim kopertę. - Poczta do pana.

Guy odłożył ciasto i odsunął filiżankę z herbatą.

Wpatrywał się z niedowierzaniem w kremowy prostokąt.

Był to piękny żeberkowany papier o wysokiej gramaturze.

Bez wątpienia należał do osoby zamożnej.

Serce Guya zaczęło bić szybciej.

Wiedział, kto ów list wysłał.

Nagle wszystkie jego wątpliwości się rozwiały: rzeczywiście co najmniej od wczoraj był śledzony.

Znaleźli go.

Teść i jego ludzie. Czy powiedział o tym swojej córce? Czy Josephine wie już o lubieżnej kryjówce, jaką sobie znalazł? A jego córka? Clara...

W głębi ducha czuł, że to za nią tęskni. Tylko za nią. Jaki człowiek porzuca bez słowa własne dziecko? Jakież potwór czyni coś podobnego?

Człowiek, który sam się zagubił. Wystarczająco egoistyczny, by uciec, gdy jeszcze jest to możliwe, i ocalić swoje życie. Człowiek, który stawia własne życie ponad szczęście córki, oto jakim jestem potworem. A ty, moja kruszynko, cierpisz za mnie. Ale widzisz, moja piękna Claro,

byłem słaby dałem się uwięzić przez życie, którego nie chciałem, przez społeczeństwo, do którego nie jestem podobny i dzisiaj ty jesteś pięknym błędem, który popełniłem, punktem kulminacyjnym, okrutnym, lecz cudownym błędem. Musisz wziąć go na siebie, nie sądz, że kiedyś uda ci się to pojąć, ale być może tak się stanie. Książka, którą napiszę, będzie dla ciebie, żebyś wiedziała.

Guy wpatrywał się w kopertę, jakby oczekiwał odpowiedzi.

Pewne rzeczy będzie mógł któregoś dnia wytłumaczyć córce poprzez literaturę - ów brak odwagi i wszystko to, czego nie mógłby jej powiedzieć. To, że patrząc na nią, czuł się tak, jakby patrzył na jej matkę, kobietę, której nie kochał. Że jego sposób bycia oddalał go od rodziny żony i własnych rodziców, wyniosłych, ograniczonych przez sztywną moralność, oślepionych przez rodowe fortuny, stłamszonych przez uprzedzenia, odmawiających sobie drobnych przyjemności życiowych, by zamiast tego dążyć do osiągnięcia śmiesznej perfekcji. Że za każdym razem, gdy słyszał, jak Clara wypowiada się na temat swoich przyjaciół, miał ochotę wymierzyć jej policzek i sprowadzić ją na ziemię. A przecież ją kochał, tyle że kochał raczej owoc swojego ciała, jej dziecinną niewinność zepsutą przez cuchnącą burżuazję.

Czy stał się anarchistą? Nie odnosił takiego wrażenia. Guy pragnął stabilności politycznej III Republiki, nie znosił zaś powszedniego kłamstwa, ono bowiem uczyniło z niego osobę,

którą gardził, sługusa swojego wydawcy, krytyków i czytelników, z którymi się nie identyfikował.

Uciec bez słowa w ich oczach znaczyło tyle co samobójstwo.

A on tylko pragnął znów nabrać chęci do życia, odrodzić w sobie młodego mężczyznę pełnego marzeń, którym niegdyś był.

Czy Clara zdoła to kiedykolwiek zrozumieć?

Prostokąt papieru czekał na niego.

Czy było to ultimatum, by wrócił do swoich bez wywoływania skandalu?

Guy sięgnął po filiżankę z herbatą i wziął głęboki oddech. Nie miał odwagi otworzyć listu. Delikatnie odwrócił kopertę. Żadnego adresu, tylko jego imię.

Sposób, by zaznaczyć zażyłość, jaka musiała łączyć go z autorem. Tyle że charakter pisma nie wydawał mu się znajomy.

Musi to zrobić. Musi wykazać się odrobiną odwagi choć ten jeden raz.

Dlaczego, do diabła, zawsze okazuje się takim tchórzem, gdy chodzi o jego rodzinę?

Nagle jego dłoń przejęła inicjatywę i otworzyła list. Kartonik w tym samym kremowym kolorze co koperta.

Tym razem nabrał pewności, że pismo nie jest mu znane.

Zaskoczony i wciąż nieco zdenerwowany zaczął przebiegać wzrokiem kilka skreślonych wierszy

Nagle upuścił filiżankę, która z trzaskiem rozbiła się na kamiennej podłodze kuchni, tworząc dużą kałużę gorącej herbaty.

Kartonik przytwierdzony był do drewnianej deski opartej o belkę.

Światło słoneczne wpadało przez okienka w dachu, które Faustine otworzyła, by wpuścić niego świeżego powietrza na zakurzone poddasze.

Guy poszedł po nią, przeczytawszy liścik co najmniej dziesięć razy.

- Jest pan pewien, że to nie jakiś figiel? - spytała.

- Kto miałby mi go spłatać? Bądźmy poważni, nikt nie wie o prowadzonym przez nas śledztwie!

- Od trzech dni rozpowiada pan o tym po całym Paryżu! Na ulicy Monjol, w Halach, w kostnicy, na Wystawie Światowej, a wczoraj w Kole Serafinów.

- To nie jest nieprzyjemny żart, Faustine. Niech pani czyta!

- Mimo wszystko nie mogę uwierzyć, że Hybris przyszedł aż tutaj, żeby to panu powiedzieć...

Stała przed deską, do której przyczepione były wszystkie notatki pisarza, imiona ofiar i szczegóły ich tragicznych śmierci.

Tik-tak, tik-tak, wskazówka się kręci,

Padają padają dziewczki,

Oraz ich kochasie!

*Ci z kanału dobrze odsączeni,
Tak jak zbawca dusz
i anioł stróż!
Teraz was wpisuję
Na sam szczyt listy,
Nie zapomnę o was, dopilnuję,
Dobrze was ocedzę
Gdy najdzie mnie ochota, ot tak,
Dla zabawy,
Ha, ha, ha!*

Faustine cofnęła się, przełykając ślinę.

- Cóż za ohydna postać - powiedziała, nie mogąc oderwać wzroku od karteczki.
- Poczul się urażony - zauważył Guy - Musieliśmy trafić w jego czuły punkt.
- Jak ten list się tutaj znalazł? Przyniósł go posłaniec?

Guy zawahał się, nim odpowiedział:

- Ktoś podłożył kopertę nocą.
- Do skrzynki na listy?

Teraz pisarz przełknął ślinę zakłopotany

- Nie. Rose znalazła go na stoliczku, gdy przyszła rano otworzyć okiennice. Przepytalem wszystkich, nikt go wcześniej nie zauważył.

Faustine zaśmiała się nerwowo.

- Chce pan powiedzieć, że morderca... był w domu? Kiedy spaliśmy?
- Choćby dlatego nie wierzę w psotę. Ktoś dostał się do środka, chciał, żebyśmy wiedzieli, że może w każdej chwili zaatakować.

- Mógł nas...

Słowa zamarły jej na ustach.

- Tak, zrobił to specjalnie, aby podkreślić, że jest zdolny to uczynić. Mówiłem: uraziliśmy go! Ale zauważmy też dobrą tego stronę: okazję, jaką nam daje, by się z nim spotkać...

- Co pan ma na myśli?
- Za pośrednictwem tych kilku linijek odsłania się nieco.

Faustine przeczytała ponownie tekst. Nagle zeszywniała.

- Zaraz, zaraz! Jak się dowiedział, że odkryliśmy ludzi w kanale?
- Wie, że jego kryjówka została zdemaskowana, nie wie, że przez nas. Nie oskarża nas. Mówi o tym, nie zważając na to, czy będziemy wiedzieli, do czego czyni aluzję, w każdym razie tak ja to rozumiem. Podobnie rzecz ma się z całym tekstem: po co na przykład wspominać o jakimś zbawcy dusz?

- Majaczy, niczego nie da się z tego wywnioskować.

- Wręcz przeciwnie, moja droga! Wszystko można z tego wywnioskować! Napisał do nas! Otworzył się przed nami! A ja, jak pani wie, umiem nadać słowom znaczenie...

- Ale to istny mętnik!

- Nie byłbym taki pewien! Przyłożył się do tego listu, zdania są wyszukane, a mimo to zrobił dwa błędy ortograficzne: w czasowniku „wpisywać” i „odcedzić”, w którym brakuje „d”. Nie wspominając już o interpunkcji! Nie jest to literat, chociaż się starał.

- Skoro pan tak twierdzi...

- Poza tym chodzi o dobór słownictwa. „Dziewki” zamiast „kobiety”, to żargon paryski. Modny w wąskich uliczkach i na podwórkach, nie na Wielkich Bulwarach! Pejoratywne określenie, którego często używa się z myślą o prostytutkach.

- Sporo pan wie na ten temat - stwierdziła Faustine z nutką ironii w głosie.

- Bywałem wśród tych ludzi i nauczyłem się ich języka jako młodzieniec. Odpowiednikiem dziewczki w rodzaju męskim będzie gach. A tymczasem on używa słowa „kochasie”.

- No i co z tego? Sam pan mówił, że się przykładał.

- Właśnie! Celowo wybrał pejoratywne określenie na kobietę, a nie na mężczyznę. Może to oznaczać, że odczuwa względem nich wściekłość i pogardę. Przypominam pani, że do czasu naszej wyprawy pod wieżę Eiffla porywał się wyłącznie na prostytutki, na kobiety! Mam wrażenie, że ich nie cierpi.

Guy sięgnął po pióro i zapisał na jednej z kartek przytwierdzonych do tablicy służącej za portret Hybrisa: „Nienawiść do kobiet”.

- Eksponuje się wyraźnie - zauważyła Faustine. – „Nie zapomnę o was, dopilnuję. Dobrze was odcedzę... Gdy najdzie mnie ochota”.

- Istotnie, lubi mówić o sobie. Niepewny siebie, gdy ma przemawiać publicznie, o czym wspominałem w sobotę wieczorem, za to w głębi duszy uważa się za najsilniejszego. Za najlepszego. Jeśli nie ma dla niego miejsca w społeczeństwie, jest to wina innych. Jest typem człowieka, który przypisuje swoje porażki innym ludziom.

Faustine wciągnęła ta gra. Czytała uważnie tekst.

- Pojęcie kontroli. Chce kierować innymi - podkreśliła. - Wydaje polecenia, nie chodzi mu o przekazanie informacji, chce, żebyśmy poczuli, kto tu jest szefem.

- Podejrzewam, że z całą tą złością, jaką w sobie gromadzi, musi wpadać we wściekłość, gdy ludzie nie robią tego, co chce.

- Uderza również w mistyczną nutę: „zbawca dusz” i „anioł stróż”. Odniesienie do Boga?

- Kto jest zbawcą dusz w religii katolickiej? A aniołem stróżem?

- My?... Ja miałabym być zbawcą dusz - zastanawiała się Faustine - a pan aniołem stróżem?

Guy był co do tego sceptyczny.

- Trzeba czasu, żeby to wszystko przetrwać, porozmawiamy o tym z Perottim, co trzy głowy to nie jedna. Tymczasem chciałbym zaproponować pani przechadzkę.

- Teraz?

- Tak. Noc podarowała doktorowi Ephraimowi nowe zwłoki, o tej porze zapewne siedzi w nich po uszy... za przeproszeniem pani. Proponuję, żebyśmy mu się przypomnieli. Chciałbym mu zadać kilka pytań.

- O tej porze? - zdziwiła się, wskazując na kieszonkowy zegarek leżący na biurku. - Jest dość wcześnie.

- Faustine, nie mamy czasu do stracenia. Proszę przeczytać ostrzeżenie, jakie zostawił nam Hybris. „Tik-tak, tik-tak, wskazówka się kręci”. Nie napisał tego bez powodu. Szykuje nam jakiś brzydki numer.

Guy sięgnął po swój melonik i laskę, zegarek przyczepił do marynarki.

- Naprawdę pan wierzy, że mógłby porwać się na nas? - zapytała Faustine.

- Obawiam się tego. List nie bez powodu został tu podrzucony. Jeśli Hybris wie, kim jesteśmy, a przecież na kopercie napisał moje imię, to oznacza, że w ostatnich dniach zapukaliśmy do właściwych drzwi. Zbliżyliśmy się do niego, może spotkaliśmy go nawet, nie wiedząc o tym. Mieliśmy go przed samym nosem i niczego nie zauważyliśmy!

30.

Na stołach leżało ich dwanaście.

Mężczyźni i kobiety Od nastolatka po trzydziestolatka.

Co najmniej dwanaście.

Trzeba było bowiem się upewnić, że nogi, ramiona, głowy i to, co pozostało z tułowi, pasuje do siebie.

Ku wielkiemu zdziwieniu Faustine doktor Ephraim, w okrągłych okularach i o piskliwym głosie, przyjął ich natychmiast. Słuchając, jak opowiada wpatrzony w świeżo dostarczone zwłoki, odnosiło się wrażenie, że jest niemal zadowolony z ich wizyty. Jeden samotny człowiek pośród zmarłych nie mógł mieć nic przeciwko odrobinie życia.

- Są państwo pewni, że ci zmarli mają jakiś związek z waszą przyjaciółką? - spytał niski doktor Ephraim o czarnej brodzie i srebrnych włosach.

- Oczywiście - potwierdził Guy. - Pernetty i Legranitier o niczym panu nie powiedzieli?

- A jak państwo myślą, dlaczego was wpuściłem? Pojawiacie się tutaj, twierdząc, że możecie mi pomóc w sprawie stosu martwych ciał, które właśnie otrzymałem. Z drugiej strony dwaj małomówni inspektorzy żądają szybkiego raportu, nie udzielając mi żadnych informacji.

- Nie powiadają pana o postępach w śledztwach? - zdziwiła się Faustine.

- Skąd! Chcą tylko moich wniosków, to wszystko. Gdy chcę się czegoś więcej dowiedzieć, sam muszę o to zadbać! A na tych dwóch nie

ma co liczyć... Tymczasem lekarz sądowy to lekarz obsesyjnie ciekawy.

Odwrócił się w stronę stołów sekcyjnych. Wszystkie były zajęte.

Odór szedł od nich odrażający

W elektrycznym świetle ciała wydawały się niemal brązowe, skóra żółta, czasami fioletowa. Nieliczne ubrania na ciałach były podarte, wilgotne łachmany kłębiły się na ziemi.

Faustine i Guy, którzy wchodząc, nie zauważyli ciał, teraz zaczęli im się przyglądać.

Odcięte kończyny.

Rozwarte uda, zwiotczała skóra bez ciała wewnątrz niczym poduszka opróżniona z pierza.

Rozpłatanе torsy, klatki piersiowe odsłaniające sztywne żebra nad pustymi brzuchami. Guy dostrzegł nawet samotną żuchwę, zęby, język i ścięgna przypominające czerwone podarte gumki.

Od czasu do czasu wijący się oślizgły podłużny kształt, utuczony na niekończącej się uczcie, wyłaniał się z rany lub z głębi oczodołu.

Faustine uczepiła się lekarza, który nie spodziewając się tego gestu, nieomal upadł. Pomógł jej usiąść na krześle i zaproponował szklankę wody.

- Chcieli ich państwo zobaczyć - przypomniał, jakby niezręcznie przeproszał.

Guy oddychał ustami, żeby mniej czuć smród i ponieważ brakowało mu powietrza.

Odwrócił się w stronę lekarza.

- A więc jest dwanaście zwłok?

- Na razie. Jak pan zresztą widzi, trzeba się jeszcze upewnić, że ręce i nogi pasują do reszty. Brakuje też niektórych fragmentów.

- Jakich?

- Wszystkiego po trochu, kilku głów albo kawałków czaszek, licznych mięśni pobranych z kończyn, wszystkie korpusy zostały opróżnione

z organów i najwyraźniej w żadnej głowie nie pozostawiono mózgu.

Guy stłumił westchnienie pełne obrzydzenia.

- Ma pan jakieś przypuszczenia co do tego, w jaki sposób zostali zamordowani?

- Jeszcze zbyt wcześnie, bym mógł się na ten temat wypowiedzieć, widzi pan, w jak zaawansowanym stanie rozkładu się znajdują. Na razie wszystko umyłem, żeby wyeliminować robaki, ale wciąż jeszcze aż mrozi się od nich wewnątrz.

- Umył je pan? Ależ na ciałach mogły być wskazówki! Ślady broni lub fragmenty materiału należącego do mordercy

Ephraim wzruszył ramionami.

- I tak nie dałoby się stwierdzić, co należy do ofiary, a co do zabójcy - stwierdził obojętnym tonem.

- Widziałem ślady po... ugryzieniach. Olbrzymie!

- Istotnie, muszą być pochodzenia zwierzęcego. Zadały je długie ostre kły. Nic więcej nie jestem w stanie powiedzieć.

- Jaki gatunek zwierzęcia mógłby spowodować takie szkody?

- Szczerze? Żaden.

- Nawet krokodyl?

Doktor wzruszył ramionami.

- Może. Musiałbym przyjrzeć się bliżej ranom.

Faustine, która doszła już nieco do siebie, wstała, by zbliżyć się do ciał z chusteczką przy nosie.

Wyciągnęła dłoń w stronę kręconych włosów na wzgórku łonowym jednej z kobiet.

- Czy są ślady przemocy seksualnej?

Ephraim aż podskoczył na dźwięk tego pytania.

- Proszę? - spytał.

- Czy są ślady gwałtu?

Doktor zdawał się zaszokowany.

- Wszystkie ciała przywieziono nocą, nie zdążyłem jeszcze tego sprawdzić! Obawiam się jednak, sądząc po stanie zwłok, że niełatwo będzie dopatrzeć się tego typu przemocy

- Może znajdzie pan jakieś przedmioty - sprecyzował Guy, myśląc o Viviane Longjumeau.
- Mógłby pan to sprawdzić?

- Ejże, bardzo panu na tym zależy, jak widzę! Nie chodzi, mam nadzieję, o jakiś perwersyjny pociąg, by opisać to następnie w książce?

Guy postanowił grać z lekarzem w otwarte karty:

- Milaine była naszą przyjaciółką, wie pan również doskonale, że Pernetty i Legranitier nie prowadzą rzetelnego śledztwa w jej sprawie. Tymczasem my chcemy poznać prawdę. Zabójca powinien zostać ukarany, tak jak każdy inny. Szukaliśmy trochę na własną rękę i dlatego wiemy o tych zwłokach. Tych ludzi zamordowała ta sama osoba. Policja nie chce reagować, ale my, mając w pamięci naszą zamordowaną przyjaciółkę, nie zamierzamy się poddać. Proszę nam pomóc.

- Nie możecie stawiać się na równi z władzami!

- Robimy tylko to, co do nas należy Dla prawdy. Widział pan tę rzeź - powiedział Guy, wskazując na stosy ludzkich kończyn. - Sprawca będzie działał nadal, a żeby chronić Wystawę Światową i odwiedzających ją gości oraz dyplomatów, władze, jak ich pan nazywa, siedzą z założonymi rękoma. Wolą wyciszyć sprawę na kilka miesięcy, niż ryzykować śledztwo i wszystkie związane z nim pytania, które przyciągną dziennikarzy.

- To haniebne - odparł lekarz, poprawiając okrągłe okulary na nosie.

- Proszę, niech się pan zgodzi dzielić się z nami informacjami - dodała Faustine.

Ephraim zaśmiał się gorzko.

- Wreszcie kogoś interesuje to, co robię - stwierdził. - Powinienem stać naprzeciw dwóch dociekliwych inspektorów pełnych szacunku dla mojej sztuki, żadnych dowiedzieć się więcej, zrozumieć tych... nieszczęsnych ludzi, nieżywych, poćwiartowanych niczym zwierzęta.

Dłuższą chwilę przyglądał się dziwnej parze, niemal zabawnej, która złożyła mu wizytę.

- No dobrze - westchnął. - Co chcecie wiedzieć?

- Czy dokonano gwałtu na tych osobach.

Ephraim westchnął głośno, opróżniając płuca, jakby jednocześnie wypychał z nich całe zakłopotanie. Następnie chwycił długie szczypce oraz skalpel i zbliżył się do zwłok.

Faustine odwróciła wzrok, Guy podszedł do niej.

Odgłos odklejających się od siebie ciał wystarczył, by kobieta znów poczuła się słabo i usiadła.

Po dłuższej chwili doktor Ephraim wrzucił narzędzia do metalowej miski, zdjął poplamiony skórzany fartuch i podsumował:

- Co do gwałtu nie mogę się wypowiadać, ciała są w zbyt zaawansowanym stadium rozkładu, za to stwierdzam, że nie ma w nich żadnych przedmiotów. Przypomina mi się natomiast wasza przyjaciółka. Chcieliście wówczas poznać ojca jej dziecka.

- Milaine - uzupełniła Faustine.

- Mam coś, co pozwoli zakończyć wojnę kogutów domagających się uznania ich ojcostwa.

- To znaczy?

- Wcale nie była w ciąży! Okłamała was.

- Wiedziała - stwierdziła Faustine. - Powiedziałyby mi, gdyby to była prawda.

- Perotti będzie załamany - dodał Guy - kiedy się dowie, że zabawiła się jego kosztem tak samo jak z innymi, że manipulowała nim,

żeby szybciej uzyskać dobrą pozycję. Nie spodoba mu się to.

- Chyba że nic mu nie powiemy.

Guy spojrział na Faustine. Jej niebieskie oczy zdawały się chłonać całe światło pomieszczenia.

- Ma prawo wiedzieć.

- To tajemnica, która powinna pozostać wewnętrzną sprawą Milaine.

Ephraim przerwał im:

- Jeśli chodzi o przyczynę jej śmierci, napiszę w raporcie, że jest nieznaną. Myślę jednak o silnym koktajlu trucizn: atropiny wyjaśniającej czarne twardówki, strychniny ze względu na skurcze mięśni podwijające wargi w parodii uśmiechu, i arszeniku wywołującego krwawe poty. Chyba że...

- Że co? - podchwycił Guy

- Chyba że zmarła ze strachu.

- Czy to możliwe?

- Wszystko jest możliwe.

- Ale to by nie wyjaśniało... symptomów!

- Reakcja ciała. Oczy szerniały z powodu tego, co ujrzała, twarz wykrzywiona przerażeniem, krwawy pot: to wszystko ma wymiar... diaboliczny

Guy nie mógł uwierzyć, lekarz zdawał się mówić całkiem poważnie.

- Byłby pan skłonny przedstawić tę tezę policji? - zdziwiła się Faustine.

- Nie! Z całą pewnością nie! To tylko dywagacje starego lekarza, który napatrzył się dziwnych rzeczy w kostnicy! Najbardziej prawdopodobna będzie mieszanka trucizn... Szczególnie że strychnina odbiera głos, to by wyjaśniało, dlaczego wasza przyjaciółka nie krzyczała na ulicy.

- A więc trucizna. Czy właśnie tę substancję miała w ustach?

- Nie mam pojęcia. Nie udało mi się stwierdzić, co to było.

- Sperma? - spytała Faustine.

Lekarz wyglądał na poruszonego, słysząc tak bezpośrednie określenie z ust kobiety, i dopiero po chwili pokręcił głową.

- Nie, pod mikroskopem nie zauważyłem plemników, przypominało to bardziej odrzut gastryczny, choć kolor i kwasowość nie były odpowiednie. - Ujął Guya za ramię i zmienił ton z poważnego na władczy: - Niech mi pan powie, czy dał pan sobie zbadać ranę na ręce, jak panu radziłem? Nie? Tak podejrzewałem, no dalej, niech ja to zobaczę.

Pisarzowi nie w smak było, że ma odkrywać ranę pośród tych rozkładających się zwłok pełnych robaków, niemniej zdjął marynarkę i podciągnął rękaw koszuli.

- Ma pan szczęście, poprawnie się zabliznia.

- Czy jest pan w stanie określić, kiedy nastąpiły te zgony? - spytał Guy

- Z pewnością kilka tygodni temu, zapewne jeszcze dawniej w przypadku niektórych, nie umiem powiedzieć z większą dokładnością.

- Podczas naszej pierwszej wizyty wspomniał pan o pewnym profesorze badającym robaki, który mógłby wypowiedzieć się precyzyjniej na ten temat. Może by go spytać?

- To strata czasu. Jak pan to dobrze ujął, Pernetty i Legranitier tak czy owak nic sobie nie robią z mojego raportu, czy będzie on szczegółowy czy też nie.

- Robaki, które pan wypłukał, są już w ściekach?

Doktor Ephraim wyprostował się i zerknął na Guya znad okularów.

- Może pan opuścić rękaw, zmieniłem opatrunek, wkrótce będzie pan miał piękną bliznę.

Po tych słowach wyszedł i po chwili wrócił z najwyraźniej bardzo ciężkim wiadrzem, z którego dochodził bulgot wilgotnych wijących się larw przypominający mlaskanie.

- Proszę się częstować, skoro to panu chodzi po głowie. Profesor Mégnin z Narodowego Muzeum Historii Naturalnej może powie państwu coś więcej na ten temat.

Zazwyczaj aby zwiedzić muzeum, trzeba wystosować pismo do dyrektora, ale jeśli porozmawia pan z dozorcą w moim imieniu, wpuści was. Powodzenia!

Tysiące żółtych robaków wiły się w wiadrze na wyciągnięcie ręki.

Parkiet w Muzeum Historii Naturalnej skrzypiał przy każdym kroku Guya i Faustine. Szli pomiędzy rzędami olbrzymich regałów wypełnionych okazami insektów z całego świata zbieranych tutaj od ponad wieku.

Guy z wyrazem niejakiego obrzydzenia na twarzy dźwigał przed sobą niewielką żelazną skrzynkę.

Znaleźli profesora Mégnina w miejscu, które wskazał im dozorca, siedzącego za wielkim biurkiem zastawionym kolekcją chrząszczy przytwierdzonych do kawałków filcu.

Był to starszy mężczyzna o okrągłej twarzy, w wełnianej czapce na głowie. Gości zauważył dopiero po dłuższej chwili.

- Dzień dobry, profesorze - rzekł Guy, stawiając skrzynkę na biurku. - Potrzebna nam pańska wiedza.

- Na jaki temat?

- Oto kilka okazów larw znalezionych na martwych zwierzętach. Chcielibyśmy poznać czas ich śmierci. Podobno jest pan w stanie to określić.

Profesor Mégnin sięgnął po pudełko i otworzył je. Wiło się w nim około dwudziestu larw, które Guy zaczerpnął z wiadra, starając się złapać jak najwięcej za jednym zamachem. Mégnin wysypał zawartość

bezpośrednio na skórzaną podkładkę na biurku i zaczął im się przyglądać, sortując czubkiem palca martwe muchy rozmaitych rozmiarów, larwy i kawałki zasuszonych insektów.

- Widzę, że większość to klasyczne muchy, *Musca domestica*... Chyba że to *Stomoxys calcitrans*, a może nawet *Fannia canicularis*, trzeba by to sprawdzić... Gdzie lupa?... Widzę, że jest też dużo poczwarek.

- Poczwarek? - powtórzyła Faustine.

- Tak, te przezroczyste powłoczki to chitynowe muszelki, w których muchówki rozwijają się do momentu, aż przepoczwarzają się w piękne muchy, które krążą czasami wokół waszych talerzy

- Czy to istotne, że są poczwarki?

- Mają kardynalne znaczenie! Proszę, spójrzcie na te martwe muchy, to muchy niebieskie, potocznie „muchy mięsne”. Na początku jest jajeczko. Następnie wykluwa się larwa o trzech określonych stadiach rozwoju następujących po sobie, w miarę jak larwy jedzą i rosną. W końcu przychodzi pora na postać nimfy, nieruchome stadium, następnie na poczwarkę i na koniec otrzymujemy postać imago: owada dorosłego. By dotrzeć do ostatniego etapu, mucha potrzebuje ciepła, które możemy przeliczyć na kalorie. To jednostka, która pozwala nam określić jego ilość.

- Czyli badając poszczególne stadia rozwoju much, będzie pan mógł powiedzieć, kiedy zginęły te zwierzęta?

- Spróbuję. Przeprowadzacie doświadczenie naukowe? Pracujecie w muzeum?

- Nie, nie jesteśmy stąd - przyznała Faustine.

Profesor Mégnin wzruszył ramionami:

- Wszystko jedno! Między nami naukowcami możemy sobie w końcu pomagać, prawda?

- Proszę spojrzeć - przerwał mu Guy dumny, że osobiście udało mu się pobrać zróżnicowane okazy z kostnicy - są tu nawet małe martwe muszki i większe, młode i stare.

- Wielkość nie ma nic wspólnego z wiekiem. Muchy są wszystkie tej samej wielkości, mogą różnić się tylko samce od samic. Jeśli na przykład dwa samce nie są tej samej wielkości, oznacza to, że nie należą do tego samego gatunku. Musiałbym wiedzieć, gdzie zginęły te wasze zwierzęta, a przynajmniej gdzie zaczął się rozkład.

- W kanałach - odpowiedziała Faustine.

- W cieniu i wilgoci?

Osobliwość miejsca zdawała się nie robić na nim wrażenia.

- Tak.

- W jakiej okolicy dokładnie?

Faustine zawahała się z odpowiedzią. Wyręczył ją Guy

- Pod wieżą Eiffla.

- Skontaktuję się z CBM, by uzyskać dokładne dane dotyczące temperatury w tym miejscu Paryża w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy.

- Z CBM? - spytał Guy

- Centralne Biuro Meteorologiczne. Archiwizują w nim wszystko od dwudziestu lat. To istna kopalnia wiedzy dla ludzi takich jak ja. Następnie porównam poszczególne poczwarki i gatunki, które tu mamy, trzeba bowiem wiedzieć, że na każdym etapie rozkładu pojawiają się inne gatunki. Nie macie przypadkiem innych próbek?

- Będziemy mogli je chyba dostarczyć.

- Byłoby łatwiej, gdybym mógł udać się na miejsce.

- Obawiam się, że to niemożliwe - pośpiesznie zareagował Guy
 - Trudno. Muszę mieć jak najwięcej preparatów, więc właściwie przyda mi się wszystko, co znajdziecie, każdy gatunek ma znaczenie.
 - Mogę przynieść... całe wiadro.
 - Doskonale! Dane dotyczące temperatury dadzą mi pojęcie o liczbie kalorii pochłanianych codziennie przez naszych małych przyjaciół odpowiednio zmodyfikowanej przez chłód i zacienienie. Znają państwo średnią temperaturę tego miejsca?
- Faustine i Guy spojrzeli po sobie zakłopotani pytaniem.
- Rzekłbym między dwanaście a dwadzieścia stopni, nie więcej - ocenił pisarz.
 - Dobrze. Temperatura w podziemiach Paryża jest mniej więcej stała.
 - Ile czasu zajmie panu ta analiza? - spytała Faustine.
 - Jeśli zrezygnuję z hodowli porównawczej? Zaledwie kilka godzin.
 - A... jaki będzie koszt tego badania?
- Profesor machnął ręką, jakby się oganiał.
- Och, to w ramach przysługi. To trochę jak gra! Oderwę się na chwilę od dzisiejszej nudnej klasyfikacji. Dokąd mam dostarczyć wyniki?

31.

Sprzedawca lemoniady ustawił swój wózek w cieniu libańskiego cedru w Jardin des Plantes.

Guy zaproponował Faustine napój, po czym włączyli się razem pośród krzewów Małego Labiryntu wraz z innymi spacerowiczami.

Nieco dalej, na głównej alei, niańki obserwowały bawiące się dzieci, siedząc na wynajętych krzesłach. Zbieracz psich odchodów szedł w dyskretnej odległości za mężczyzną i jego dwoma psami, gotów wypełnić swój obowiązek, by następnie wieczorem odsprzedać owe psie dary garbarzowi z Gobelins, który wykorzystywał je do zmiękczenia i wybielania skór. Dopóki nie odkryto, że psie odchody nadają się do tego, paryskie ulice nigdy nie były tak czyste mimo miłości paryżan do czworonogów.

Uliczny kramarz włączył się bez celu z ciężką torbą pełną sprzączek, sznurówek, obrazków dla dzieci i bułki tartej, którą zamierzał sprzedać kobietom przygotowującym południowy posiłek...

Guya zawsze fascynowała owa niezwykła uliczna karuzela. Wydawało mu się, że człowiek zdolny jest codziennie wymyślać nową profesję, byleby tylko przeżyć. Nawet jeśli pewnego dnia ludność planety osiągnie liczbę dwóch miliardów, tworzone będą nowe rzeczy, powstawać będą nowe zawody. Czyż nie to właśnie miało miejsce w szalonym wieku industrializacji? Ilu psich fryzjerów, zgrzeblarzy materaców, garbarzy, wypychaczy krzeseł wyłoniło się nagle znikąd, by obsłużyć

wszystkich kreatywnych inżynierów, naukowców, inwestujących mieszczan? Na tym także polega postęp: należy pozwolić, by każdy znalazł miejsce dla siebie i aby wszyscy razem funkcjonowali w społeczeństwie.

Widząc jednak poplamione spódnice kobiet wynajmujących krzesła i dziurawe spodnie kramarza, Guy przypomniał sobie, w jakich warunkach żyją. W czasach gdy jako młodzieniec włączył się wśród podparyskiej biedoty, zaznał ich niełatwej codzienności. Gdzież zatem jest równowaga?

Jak wielką niesprawiedliwością jest przypadek sprawiający, że człowiek rodzi się w takiej, a nie innej dzielnicy! Czasami Guy zastanawiał się, jak system ten może wciąż jeszcze funkcjonować, jakim sposobem nie wybuchała kolejna rewolucja.

Niestabilność polityczna świadczyła o poważnym problemie.

Arystokracja i jej rojalistyczna nostalgia, burżuazja i jej republikańska duma, proletariat o anarchistycznych poglądach, gdzieniegdzie garstka zacieklej nacjonalistów. Ogólnie rzecz biorąc, oto czym stało się społeczeństwo u progu nowego wieku. Przede wszystkim piramidą idealistów różniących się stanem posiadania.

Spółceństwem materialistów pod panowaniem króla Pracy i królowej Forsy.

- Smutną ma pan minę - zauważyła Faustine.

- Istotnie jestem nieco smutny.

- Dlaczego? Myśli pan o Bomendze, prawda? Staram się wyrzucić z pamięci te straszliwe obrazy Powtarzam sobie, że teraz odnalazł już swoją żonę.

- Prawdę mówiąc, nie o nim myślałem.

- Och, przepraszam.

- Zasmuca mnie niesprawiedliwość tego świata. Nędza jednych i zuchwałe szczęście innych.

- Korzystają z tego, co mają. Uważa pan, że biedni nie zachowywaliby się identycznie, gdyby byli na miejscu bogatych? Czyżby nabierał pan sympatii dla komunistycznych idei Marksa?

Guy się zatrzymał.

- Hybris robi to samo ze swoimi ofiarami - powiedział. - Niesprawiedliwość niewłaściwego pochodzenia i niesprawiedliwość, jaką jest poniesienie śmierci bez powodu z rąk mordercy.

- Co pan może wiedzieć na ten temat? Z pewnością za tym wszystkim kryje się jakiś plan, nawet on nie może zabijać aż tylu ludzi w taki sposób bez żadnego powodu.

- A gdyby nie miał żadnego? Gdyby zabijał dla zabijania, dla samej przyjemności bycia emisariuszem Ślepego Losu?

- To by było bez sensu. Nikt tak nie robi, może oprócz szaleńców, ale sam pan powiedział, że on nim nie jest.

- Nie, to prawda, jego list, choć dziecinnie arogancki, to poświadcza. To nie jest szaleniec.

Guy zmarszczył brwi. W jego głowie zaczęły mu się dokonywać gwałtowne zestawienia.

- Nigdy nie wiem, czy powinnam się śmiać czy martwić, kiedy robi pan tę minę - wyznała Faustine.

- Drobne zawody... - szepnął, obserwując główną aleję i tłumy spacerowiczów. - Tak, to musi być to! Dlaczego od razu na to nie wpadłem? To przecież oczywiste! Hybris musi mieć jeszcze inną trupiarnię!

- Proszę?

- Gdy napisał „padają padają dziewczki, oraz ich kochasie, ci z kanału dobrze odsączeni, tak jak zbawca dusz i anioł stróż!”, miał na myśli inne ofiary. Chodzi o zawody, a nie o metafory! Zbawca dusz w języku nędzarzy to ten, kto odzyskuje wyściółki ze zużytych trzewików, myje je i wkłada do nowych butów! A aniołów stróżów spotyka się we

wszystkich tanich tawernach, to mężczyźni, którzy odprowadzają wstawionych klientów do domów, podtrzymują ich i chronią przed napadem! Hybris zabił też innych ludzi oprócz tych, których znaleźliśmy. Co najmniej dwóch, jak twierdzi.

- Ale po co nam to mówi? To idiotyczne, skoro nie mieliśmy o tym pojęcia!

- Chwali się. Po raz kolejny chce nam pokazać, że to on rządzi, on decyduje o tym, co możemy wiedzieć, a czego nie. To jego chorobliwa potrzeba. Bawi się tym. Chce, żebyśmy z nim rywalizowali, choćby intelektualnie. Myślę, że to lubi. Właściwie chyba nie rozzłościł się go aż tak bardzo, jak z początku sądziłem. Teraz bowiem zaistniał dzięki nam.

- A więc ten list nie jest pogrózką?

- Obawiam się, że jednak tak. Mógłby równie dobrze porwać się na któreś z nas, żeby nam udowodnić, jak bardzo jest potężny. Od teraz nie będziemy nigdzie chodzili osobno.

- Swoją drogą gdzie jest Perotti? Czy nie miał przyjść dzisiaj rano?

- Owszem. Ale się nie odezwał.

Guy zagryzł nerwowo wargę.

- Niech pan tego nie robi, porani pan sobie usta.

- Myślę, że powinniśmy się spodziewać kolejnych listów. Hybris będzie chciał się z nami bawić. Prowokować. Tymczasem możemy spróbować odnaleźć pozostałe zwłoki. Spytałem Martiala, poproszę, żeby się dowiedział, nigdy nic nie wiadomo. Chodźmy, wolę poczekać na niego w domu.

- W domu?

- Tak, a co w tym złego?

- Chodzi o to, że tak zabawnie pan to powiedział. Jakbyśmy byli parą małżonków.

Guy zaoferował Faustine ramię.

- Więc niech pani przynajmniej udaje - poprosił, uśmiechając się nieco na siłę.

Perotti nie pojawił się rano w Buduarze.

Guy zaczynał się niepokoić.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że nie zna ani domowego adresu młodego inspektora, ani komisariatu, gdzie pracuje. Nie miał żadnego sposobu, by się z nim skontaktować. Powtarzał sobie, że wszystko jest w porządku, że zatrzymała go jakaś sprawa kryminalna, a jednak wciąż czuł ucisk w żołądku.

Gdy późnym popołudniem zadzwoniono do drzwi i Jeanne oznajmiła mu, że ma gościa, Guy poderwał się z krzesła, na którym usiłował czytać, i z rozczarowaniem stwierdził, że nie chodzi o Perottiego, lecz o profesora Mégnina.

- Mam dla pana wyniki! - zakrzyknął naukowiec, potrząsając kartką papieru. - W każdym razie zrobiłem, co mogłem! Te zwierzęta padły najpóźniej jakieś trzy tygodnie temu, najstarsze szczątki zaś pochodzą z zeszłej jesieni.

- Są z tak dawna?

- Początek kwietnia to niedawno - stwierdziła Faustine z niedowierzaniem.

- Znalazłem liczne grupy owadów, sporo dwuskrzydłych, ale też nieco stonóg. Bardzo stare poczwarki, częściowo rozłożone, a także martwe owady pochodzące moim zdaniem sprzed zimy. Jednak nie było ich znowu aż tak dużo, podejrzewam więc, że był to chłodny okres, a więc jesień. Zdaniem CBM w październiku ubiegłego roku temperatura spadła do minus pięciu stopni.

- Nie ma nic starszego? - nalegał Guy

- Nie, moim zdaniem nie. Zwierzęta ginęły jedno po drugim, nie wszystkie naraz. Każda z grup reprezentowana była przez wszystkie

stadia w danym okresie. Proszę mi powiedzieć... te zwierzęta w kanałach pod wieżą Eiffla... czyżby pan prowadził badania nad szczurami?

- Tak, mniej więcej.

- Byłem pewien! - zatriumfował Mégnin. - Na temat pasożytów?

- Właśnie - skłamał Guy

- Wie pan, że muchy przenoszą średnio około stu zarazków chorobotwórczych? Cholera, salmonella, czerwonka, gruźlica i tyfus są częstymi towarzyszami podróży dwuskrzydłych. Między innymi!

- To istotnie wspaniale - rzekł Guy, odprowadzając profesora w stronę holu.

Gdy wrócił, Faustine uśmiechnęła się do niego porozumiewawczo.

- Osobliwy człowiek - zauważył Guy - Hybris zaczął jesienią. To dawno. Jeśli udało mu się dotrzeć w to odosobnione miejsce podczas prac nad wystawą, oznacza to, że musiał dysponować specjalną wejściówką.

- Może gdzie indziej wchodził do kanałów i ich siecią przedostawał się pod wieżę Eiffla?

- Wątpię w to szczerze! Po co utrudniać sobie zadanie długą wędrówką z ofiarą? Miejsc takich jak to, które wybrał na trupiarnię, nie brakuje. Zainstalował się tam, bo było to dla niego praktyczne. A więc krążył w pobliżu. Zastanawiam się, na jakim etapie były prace przy wystawie w październiku.

- Poznałam właśnie pewnego wystawcę, mogłabym go zapytać, powinien być poinformowany.

- Klient? - spytał Guy podejrzliwie.

- Nie. Angielski inżynier. Marcus Leicester.

- Ach tak. Przypominam go sobie ze spotkania u Steirna. Czemu nie? A gdybyśmy tak zaczęli od odwiedzenia wystawy? Czy pozwoli pani, że ją zaproszę na wieczór?

Guyowi wydało się, że wielkie niebieskie oczy Faustine zabłysły.

- Z przyjemnością - odparła z uśmiechem.

Poszła na górę, by się przygotować, po czym pojawiła się na dole w swojej najpiękniejszej toalecie z białego jedwabiu, wyszywanej perłami i zdobionej koronkowymi falbanami. Na głowie miała szeroki kapelusz przystrojony kwiatami.

Kończyła właśnie wciąganie długich rękawiczek, gdy minęła ją rozgniewana Julie.

Wsiedli oboje do dorożki wezwanej przez Guya i pojechali w stronę placu Concorde, wtapiając się w gęsty ruch uliczny.

Nie zauważyli, że w tej samej chwili inny pojazd potoczył się ich śladem.

32.

Człowiek pokonał kolejny etap ewolucji.

Nie ulegało już wątpliwości, że stanowił teraz nie tylko kwintesencję inteligentnego życia na ziemi, ale także znajdował się na dobrej drodze do poznania wszystkich sekretów świata.

Wystarczyło udać się wieczorem na plac Concorde, by utwierdzić się w tym przekonaniu.

Monumentalne wejście na Wystawę Światową rozświetlało Paryż od kościoła Świętej Magdaleny przez kompleks Inwalidów po Luwr.

Składała się na nie seria łuków zbiegających się w olbrzymią kopułę wysoką na niemal czterdzieści metrów, po obu jej stronach stały dwa jeszcze wyższe imponujące pylony przypominające nowoczesne obeliski. Na szczycie każdego lśnił intensywnie globus.

Całość zdawała się pokryta błyszczącymi kamieniami szlachetnymi - setkami białych, zielonych, niebieskich i złotych żarówek rzucających na niebo wielką poświatę. Blask był tak silny, że zmieniał kolory flag na masztach otaczających wejście. Po zmroku wydawało się, że zaproszeni goście pochodzą z zupełnie innych, nieznanymi krajów.

Za monumentalną bramą Mały i Wielki Pałac wyłaniały się znad rzędów drzew, skrząc się od wewnątrz niczym ogromne świecące owady o brzuchach ze szkła, stali i kamienia.

Po drugiej stronie Sekwany widać było budynki na esplanadzie Inwalidów promieniujące tysiącami światła, dalej pawilony zagranicznych

wystawców upiększone zmyślnie ustawionymi projektorami i na koniec, naprzeciwko pałacu Trocadéro, wielką grę cieni i światła pod rozjarzoną wieżą Eiffla: Pałac Elektryczności niewidoczny ze względu na odległość, o którego słynnej nocnej łunie plotkowała już niemal cała Europa. Jego światło przypominało pulsar, oślepiało, pałac czarodziejki Światłości słał jasność w kosmos niczym latarnia ludzkości dająca znaki bogom.

Świetlista wieża Babel.

Faustine stała z otwartymi ustami niczym dziecko pod wrażeniem przedstawienia. Wyciągnęła dłoń w stronę odległego kształtu wielkiego koła, na którym tańczyły latarnie, następnie w stronę setek rozmaitej wielkości statków - od łodzi po barki transportowe, wszystkie udekorowane zgodnie z modą panującą na wystawie: girlandami niebieskich i zielonych żarówek rozwieszonych między masztami.

Guy zrozumiał wreszcie nowe przezwisko, jakie nadano Paryżowi: Miasto Światła.

Bez znaczenia był fakt, że za siedem miesięcy wszystko to zniknie, skoro był stąd taki przepych, że pamięć ludzka zostanie nim naznaczona na wieki. Wiele przedsięwzięć powstałych przy okazji wystawy przetrwa: nowe wynalazki, nazwy, a także opowieści.

Guy miał tylko nadzieję, że historia Hybrisa zakończy się, nim zdoła zniszczyć ową wspaniałą obfitość sukcesów.

Trzymając laskę pod pachą, zakupił dwa bilety, po czym weszli na teren wystawy. Natychmiast otoczył ich zapach cydrów, aromatyzowanych cynamonem win i owoców w karmelu sprzedawanych na każdym rogu.

Nie wiedząc, od którego miejsca zacząć, oszołomieni przerastającą ich liczbą atrakcji i pałaców do zwiedzenia, włóczyli się niemal przez godzinę bez celu, okrążając olbrzymią szklarnię, chodząc wzdłuż

cudzoziemskich pawilonów o architekturze typowej dla każdej z kultur, podziwiając na przeciwległym brzegu wielką reprodukcję średniowiecznego Paryża, obiecując sobie, że wrócą tu choćby po to, by znów się zgubić.

- Teraz to rzecz pewna - powiedział Guy. - Król Gaz został zdetronizowany przez czarodziejkę Elektryczność. Nasza przyszłość należy do niej. A gdybyśmy tak zdecydowali się wreszcie gdzieś wejść? Proszę... Mareorama! Co pani o tym sądzi?

Faustine przeczytała na głos afisz z rysunkiem parowca płynącego wzdłuż wybrzeża Wenecji i Konstantynopola.

- „Niezapomniana podróż z Marsylii przez całe Morze Śródziemne”. Czemu nie?

Dołączyli do tłoczących się gapiów niecierpliwie oczekujących na wejście do wielkiego budynku bez okien, później wspięli się po niekończących się schodach i znaleźli się w olbrzymiej sali stanowiącej górny pokład parowca.

Złudzenie było idealne, odwzorowano tu każdy szczegół, od lśniącego pokładu po omasztowanie i wyposażenie statku. Parowiec był gotów do wypłynięcia w morze. Guy i Faustine obeszlili jeden z kominów i zorientowali się, że można usiąść wewnątrz, gdzie kobiety tłoczyły się przy bulajach, obserwując widowisko i parszając śmiechem.

- Wolę zostać na zewnątrz - oznajmiła Faustine.

Gigantyczny hangar był cały przystrojony malowanym płótnem przedstawiającym - patrząc z bakburty, od strony trupu - port w Marsylii i jego zatoki otoczone skałami. Z prawej burty widać było rozciągające się po horyzont morze.

- Proszę spojrzeć! - zawołała Faustine, nachylając się nad barierką. - Jest nawet woda wokół kadłuba!

Zręczna gra światła oświetlała parowiec od strony rufy, naśladując wschodzące słońce.

Nagle z kominów wydobył się pomruk, buchnęła z nich gęsta chmura białej pary, po czym rozległ się dźwięk syreny, który poderwał większość zwiedzających na równe nogi. Przez niewielkie drzwi wybiegli na pokład członkowie załogi wraz z kapitanem i rozpoczęli manewr odcumowywania. Woda wokół liniowca wzburzyła się i zabulgotała, kotwicę tymczasem wyciągano na rozkaz kapitana.

Faustine złączyła dłonie pod brodą, nie mogąc stłumić śmiechu uradowanego dziecka.

- Wspaniale! - zawołała.

Nagle pokład się zakołysał i wysokie na piętnaście metrów płótna zaczęły się przesuwając od dziobu w stronę rufy wzdłuż statku. Marsylia oddalała się wraz z łodem, ustępując morzu z jednej i drugiej strony. Silny podmuch przesiąknięty morską wonią uderzył z góry od strony dziobu.

- Niewiarygodne! - powtarzała Faustine urzeczona.

Włosy falowały jej wokół twarzy, suknia tańczyła na wietrze.

Niewielka orkiestra zagrała pierwsze akordy przyjemnej serenady wykonywanej przez

niewidzialnych muzyków.

Jednocześnie zmieniało się oświetlenie, skupiona wiązka światła przesuwiała się nad statkiem niczym sztuczne słońce po nieboskłonie.

W miarę jak gasły żarówki, pogrążając pokład w półmroku, płótna po obu jego stronach stawały się również coraz ciemniejsze, zarysowywały się na nich kształty gwiazd. W pewnej chwili oprócz kołysania pasażerowie poczuli silniejsze rzucanie.

Wiatr wzmógł się, a wraz z nim nasilił się chlupot wody w dole, nagły błysk rozjaśnił hangar światłem tak ostrym, jak gdyby jeden z reflektorów właśnie eksplodował, towarzyszył mu trwający kilka sekund grzmot. Muzyka dostosowała się do nastroju: rozbrzmiały przenikliwe dźwięki instrumentów smyczkowych strun i groźne dętych.

Wiele osób wydało z siebie okrzyk zaskoczenia.

Pasażerowie, którzy nie schronili się pod pokładem, musieli się ucześcić balustrad, żeby utrzymać równowagę, spadł na nich drobny kapuśniaczek, zmuszając damy do ukrycia się za swymi towarzyszami.

Faustine przyłgnęła do Guya.

Wreszcie gwiazdy na gigantycznych malowidłach znikły, zostawiając miejsce niebieskiemu niebu, reflektory ożywały jeden po drugim.

Na bakburcie pojawił się Algier, białe miasto o fioletowych cieniach, po chwili jego miejsce znów zajęło morze.

Zmieniło się natężenie światel reflektorów, pojawiły się odcienie raczej pomarańczowe niż żółte, przeplatane brązem i czerwienią. Muzyka stała się naraz bardziej radosna, żywsza, towarzyszył jej odgłos bębena wybijającego piekielny rytm. Pojawił się ład, tym razem po prawej burcie, na płótnie zarysował się Neapol. Pejzaż w kolorze ochry i podpalanej sjeny z miejscowymi *pifferari* tańczącymi tarantelę.

- Włochy! - zawołała Faustine, podbiegając do barierki. - Zawsze marzyłam, żeby tam pojechać!

Jej dziecięce uszcześliwienie oczarowało Guya. Nie mógł się napatrzeć na nią, na jej tryskającą radością twarzyczkę rozgrzewającą serce w tym pełnym niepewności czasie.

Podobał mu się jej wdzięk, chochliki w jej spojrzeniu, kontrast białej skóry w zestawieniu z czarnymi włosami...

Guy zaczął się nagle zastanawiać, czy oprócz pociągu fizycznego, który zawsze odczuwał względem niej, jak i wielu innych dziewcząt z Buduaru, nie czuje przypadkiem do niej czegoś więcej.

Czegoś silniejszego niż pożądanie.

Energię zdolną przewyższyć wszystko inne.

Przełknął ślinę zakłopotany.

Nie, nie jestem zakochany. To nie ma tu nic do rzeczy! Wzrusza mnie to, kim jest i co przeszła... gdyż nasze drogi życiowe są do siebie podobne! Nic innego...

Brzmiało to mało przekonująco.

Cenię ją. Lubię...

Jakie miał u niej szanse? Ilu mężczyzn dostało od niej kosza? Ile razy męska duma została zraniona przez jedno jej „nie”?

Guy nie miał ochoty na takie poniżenie, nie potrzebował tego, odbudowywanie własnego życia po ucieczce było już wystarczająco trudne, brakowało mu pewności siebie, nie mógł podejmować ryzyka...

Jakiego? Starania się o nią?...

Właśnie sam się przed sobą przyznawał. Nie mógł pozwolić, by umknęła ta chwila jasności umysłu.

A więc tak, pożądam jej. Nie, to coś więcej: czuję mrowienie w nogach, kiedy jest przy mnie, nie śmiem zachowywać się naturalnie ze strachu, że się jej nie spodobam... I nie chcę wszystkiego stracić, płosząc ją.

Zresztą wydawało mu się, że Faustine również go lubi, jej zachowanie bardzo się zmieniło w ciągu ostatnich dni. Nie ignorowała go już, wręcz przeciwnie, wypatrywała go, obserwowała jego reakcje, gdy zabierała głos w jakiejś sprawie.

Czyżby odwzajemniała jego uczucia?

Stłumił westchnienie.

Nawet gdyby żywiła dla niego coś więcej niż sympatię, jakaż wspólna

przyszłość ich czeka? Są do siebie za bardzo podobni! Dwie zranione istoty, dwoje uciekinierów będących przykładem wszystkich problemów świata, zmuszonych znieść to, kim są. Podobnie jak on Faustine nie żałowała ucieczki, kazała jednak płacić sobie za to wysoką cenę, ilekroć wpuszczała klienta do swojego pokoju...

A jaki rytuał odkupienia ja sobie narzuciłem?

Wiedział już. Pragnienie zejścia w głąb swoich koszmarów, w osobistą otchłań, zanalizowania tego, co w nim najgorsze. Każdy w miarę upływu lat, dzień po dniu, spycha w głąb siebie część cienia, z jakim styka się na świecie, czy to własnego, czy zewnętrznego. To humus lęków, matryca potworów wewnątrz nas. Niektórzy grzebią ich w sobie tyle, że stos ów przybiera kolosalne rozmiary, powstaje ukryty świat i w nim zanurzone są korzenie osobowości, to ruchomy zbiornik, pochłaniający wszystko wokół, dusząca kreatura: Lewiatan Cieni.

Guy nie zdołał opanować bestii, pozwolił jej rosnąć przez lata i zamiast podporządkować ją sobie, utopił głęboko, karmił ją. Zamykając się w zniechęconym życiu, skazywał się na wieczne skrywanie swojego cierpienia, przyjmowanie ciosów, pisanie o tym, kim sam nie był. Pozwolił mgławicy rosnąć w siłę. Czym tak naprawdę była?

Golemem przemocy

Frustracją, wściekłością, nienawiścią, a także pewną dozą perwersji, okrucieństwa i cynizmu. Złowróżbną neutralnością, która za cel stawiała sobie tylko własne przeżycie. Rozchwianą konstrukcją.

Jak w przypadku Hybrisa.

Skąd się w nim wzięło tyle mroku?

Z przesadnej wrażliwości i zbyt wczesnej konfrontacji z ciemną stroną tego świata, która

wniknęła w niego tak łatwo, jak igła wchodzi w skórę dziecka. Nie miał siły, by się jej oprzeć. Znęcała się nad nim. Lęki pojawiły się zbyt wcześnie.

A może jest coś jeszcze?

Czy brak równowagi wiąże się z kłopotami w sferze uczuć? Czy utrzymujący dystans, nieokazujący emocji rodzice na swój sposób nie uczynili z niego idealnego zbiornika na wszelkie smutki tego świata?

Na tym polegał jego rytuał mający odkupić winę, jaką było porzucenie swoich. Musiał zejść i stawić czoło Lewiatanowi Cieni, swojemu golemowi przemocy

Obsesyjna potrzeba napisania powieści kryminalnej była na to kolejnym dowodem. A żeby opisać najdokładniej zbrodnię, musiał dla swoich czytelników zmienić się w badacza. Jego zadaniem było znalezienie odpowiednich materiałów właściwych dla tej podróży, by czytelnik odczuł prawdziwość jego słów.

Jego zadaniem jest wydobyć na wierzch wszelkiego upodlenia, przekroczenie linii podziału społeczeństwa, zejście w głąb Ciemności. Posłuży się tym, by poznać Zło.

Gdyż tym właśnie jest Zło: czarną energią w czeluściach każdego z nas. Będzie musiał ocierać się o nie, dopóki nie pozna całej tajemnicy, a następnie ubierze w nie swoją historię. Czytelnicy będą mu tym bardziej zobowiązani, że wezmą udział w tej mglistej podróży z perspektywy kogoś, kto tylko przewraca stronicę.

Podczas owej wirtualnej podróży czytelnik będzie miał wrażenie, że sam ją odbywa, niczym nie ryzykując.

A Guy postanowił zostać jego przewodnikiem.

Wiedział już teraz dlaczego.

Podeszła do niego Faustine.

- Pan płacze? - zaniepokoiła się.

Guy otarł łzę gwałtownym gestem.

- Nie, to wiatr, szczypie mnie sól, której dodają do rozpryskiwanej wody

Nie zauważył nawet, że dotarli już przed Konstantynopol i jego

błyszczące kopuły, minarety otaczające Bosfor, grupę tancerek orientalnych poruszających się w rytm muzyki.

Pomarańczowe światła zbladły, muzyka ucichła. Załoga statku wysuwała trap.

Gdy znów znaleźli się na stałym lądzie, kilometrowe płótno rozciągnięte na całą wysokość hangaru zaczęło się przewijać w drugą stronę, szykując się do kolejnej podróży. Przed wyjściem Guy zauważył oś i cztery tloki wprawiające parowiec w kołysanie.

Przyglądanie się kulisom dekoracji wzbudziło w nim poczucie bezpieczeństwa. Lubił rozumieć, jak co działa. To trochę jak ze mną, pomyślał z pewną dozą ironii.

Uporczywe naleganie ze strony żołądka przywróciło mu poczucie czasu, zaprosił więc Faustine do niedaleko położonej restauracji Kammerzell. Idealnej reprodukcji strasburskiego oryginału.

Dopijając szampana, Guy powiedział:

- Skoro Hybris pisze do nas i zna moje imię, musi to znaczyć, że już go kiedyś spotkaliśmy. Wie, że jesteśmy na jego tropie. Kto o tym wie?

- Wszyscy ci, których pan przepytował. Na początek Król Wszarzy.

- Czyli cała ulica Monjol.

- Koło Serafinów - dodała Faustine.

- Rzeźnicy z Hal. Doktor Ephraim, profesor Mégnin częściowo... Ksiądz z palarni.

- Ksiądz? Wpisuje go pan na listę podejrzanych?

- Wszyscy na niej są. Wszyscy ci, z którymi zetknęliśmy się ostatnio.

- Ale żeby podejrzewać duchownego i dwóch naukowców, do których to my się udaliśmy!...

- Ephraim to doskonały podejrzany! Zna się na anatomii, nie boi się krwi, obcowanie dzień w dzień ze zwłokami mogło się odbić na jego psychice, chyba że spojrzymy na to z innej strony: trzeba mieć problemy psychiczne, żeby wybrać sobie taki zawód! Miał dostęp do wszystkich informacji, toteż mógł się zabezpieczyć: wie, jak pracuje policja. Krótko mówiąc, idealny podejrzany!

- Czemu nie Pernetty i Legranitier, skoro już o policji mowa?

- Istotnie, czemu nie?... Są jeszcze Kongijczycy, a nawet Perotti!

- Perotti?

- To on się z nami skontaktował, proszę nie zapominać!

- Mówi pan poważnie?

Faustine zdawała się wstrząśnięta.

Guy wzruszył ramionami.

- Lista robi się długa - stwierdził. - To tylko dowodzi, że posuwamy się naprzód. Hybris czuje, że depczemy mu po piętach, czyli jesteśmy blisko rozwiązania zagadki.

- Co pan teraz zamierza?

- Przede wszystkim zbadać dokładnie to, co nam dał: jego pismo. Jako że pasjonuję się pisarstwem, długo studiowałem grafologię.

- Analiza osobowości poprzez charakter pisma?

- Właśnie. Muszę usiąść w spokoju, skupić się. Zajmie mi to całą noc.

Stwierdziwszy, że Guy właściwie grzebie tylko widelcem w talerzu z foie gras w galaretkę z gewürztraminerem, Faustine powiedziała:

- Co się dzisiaj z panem dzieje? Jest pan przybity.

Guy odczekał chwilę, nim odpowiedział:

- Martwię się o Perottiego.

- Zmienił się teraz z podejrzanego w ofiarę?

- Nie wie, że Hybris nas wyśledził. Obawiam się o jego bezpieczeństwo, mam ku temu podstawy.

- Nie może przebywać z nami cały czas, ten chłopak ma też swoje życie!

- Pozwoli pani, że się z nią nie zgodzę. Czas porwał to, co zostało z jego rodziny, człowiek wszystko poświęcił pracy i sądząc po radości, jaką sprawiają mu wizyty u mnie, nie ma chyba zbyt wielu przyjaciół. Może nawet w ogóle ich nie ma.

- Czy miał dzisiaj przyjść?

- Nie, ale w ciągu ostatnich trzech dni stało się to swego rodzaju regułą.

- Ależ Guy! Jeden dzień nie widzi pan kolegi i już pan się martwi! Zastanawiam się, który z was jest bardziej samotny.

- Och, bez trudu przyznaję się do swojej samotności, sam o nią prosiłem! Będzie się pani śmiała, jeśli powiem, że Gikaibo jest moim jedynym powiernikiem!

- Ale on zna po francusku trzy słowa na krzyż!

- Właśnie! To jego zaleta! Mogę mu wszystko wyznać bez obawy, że będzie usiłował mnie osądzić.

- Kiedy sobie myślę o tym wielkoludzie, stwierdzam, że musi czuć się bardzo samotny... Najwyraźniej przyciąga pan takich do siebie!

Na twarzy Guya pojawił się zmęczony uśmiech.

- Czyż nie taka jest polityka lokalu? Nie wylądowałem w domu publicznym bez powodu, nie sądzi pani?

Faustine odwzajemniła jego uśmiech i ujęła go za rękę, którą pogłaskała z czułością.

- Jestem szczęśliwa, że pana poznałam.

- Sporo czasu zajęło pani zauważenie mnie.

- Budził pan we mnie lęk, jesteśmy tacy do siebie podobni...

- Zazwyczaj podobieństwa się przyciągają.

- A czasami odpychają. Poza tym musiałam mieć się na baczności.

- Przede mną?

- Przed sobą. Wydawał się pan dobrym człowiekiem, bałam się, że zbyt szybko ulegnę pańskiej przyjaźni, dam sobą manipulować i wszystko skończy się rozczarowaniem.

- Nie uwodzę dziewcząt kłamstwami, nigdy nie obiecuję przyjaźni w zamian za dzielenie łóża. Dlatego lubię burdele! Pieniądze sprawiają, że sytuacja obydwu stron staje się jasna.

- Pieniądze sprawiają, że nie czuje pan wyrzutów sumienia.

Guy podniósł głos:

- Z jakiego powodu? Że opuściłem rodzinę? Jeśli wyobraża sobie pani, że muszę kupować spokój sumienia za każdym razem, gdy chcę zaznać przyjemności z kobietą, myli się pani co do mnie!

- Czy byłby pan zdolny znów pokochać kobietę?

Wściekłość Guya opadła w jednej chwili.

- Dlaczego pani pyta?

Dłoń Faustine zacisnęła się na jego rękę.

- Pozwoliłam sobie o to zapytać tylko dlatego, że nie chcę, by czuł się pan niewolnikiem

własnego poczucia winy. Porzucił pan wszystko, gdyż był pan duchem, niech pan znów się nim nie staje z innego powodu.

- A pani, Faustine?

Młoda kobieta przeszła go spojrzeniem lazurowych oczu.

- Nie jestem duchem - odparła nieco oschle. - Dokonałam wyboru i stałam się tym, kim jestem, czy to się panu podoba, czy nie.

Guy chciał jej przerwać, uspokoić ją, wyjaśnić, że jego pytanie dotyczyło jej zdolności pokochania mężczyzny, nie ośmielił się jednak. Posiadała niezwykły dar wprawiania go w zakłopotanie.

Puściła jego rękę.

- Nie jestem głodna - powiedziała. - Możemy już wracać?

- Oczywiście.

Znów otoczył ich chłód wieczoru ogrzewany lekkim zapachem pieczonej kiełbasy dochodzącym z niemieckiej restauracji. Guy poprowadził ją w stronę wiaduktu wysokiego na ponad siedem metrów, ciągnącego się wzdłuż całego jednego boku wystawy.

Przy ruchomej platformie zgromadził się tłum ludzi, tak że musieli stanąć w kolejce, by się na nią dostać.

Wspięli się po schodach, by obejrzeć panoramę, i odkryli przenośniki taśmowe. Trzy równoległe chodniki, pierwszy nieruchomy, drugi przesuwany się z prędkością czterech kilometrów na godzinę i trzeci dwa razy szybciej. Spacerowicze szli po pierwszym, póki nie poczuli, że są gotowi przejść na ruchomy, ten wolniejszy, a kiedy do niego przywykli, przenosili się w wyznaczonych miejscach na najszybszy. Na twarzach ludzi malowało się wahanie, w komentarzach zaś słyszeć było obawę i zarazem rozbawienie.

Guy i Faustine odważyli się stanąć na ruchomym chodniku, który ze stosunkowo dużą prędkością powiózł ich trasą wiodącą w pobliżu największych budynków wystawy Podziwiali niczym niezastłonięty widok na całe miasto światłał pośrodku miasta.

Większość pasażerów stała nieruchomo, niektórzy jednak woleli iść, chcąc nabrać jeszcze większej prędkości. Byli tacy, którzy schodzili na wolniejszą taśmę, i tacy, którzy przechodzili na szybszą.

Śmiali się i żartowali.

Pozdrawiali tych w dole lub mieszkańców stojących na balkonach przy ulicy La Bourdonnais, wciąż jeszcze nieznużonych całą tą gromadą podglądaczy mających defilować przed ich oknami przez całe siedem miesięcy.

Na odcinku ponad trzech kilometrów chodniki serpentynami wiozły posłusznie rozanielony tłum.

Przez bezustanny ruch gromady ludzi Guy nie miał możliwości dostrzec, że za ich plecami ktoś wy dobył nóż.

Jego ostrze powoli się uniosło.

Napastnik bez pośpiechu szykował się do ataku.

Żeby zabić.

33.

Pot szczypał go w oczy

Miał krótki oddech, nogi jak z waty, dłonie tak wilgotne, iż obawiał się, że trzonek noża wyślizgnie mu się z ręki.

Wyprzedzał sznur pasażerów, nie tracąc z oczu mężczyzny w meloniku i kobiety w ogromnym kapeluszu.

Było tu dużo ludzi.

Nie podobało mu się to.

Wpadał przez to w panikę.

Nigdy wcześniej nie miał tak silnego wrażenia, że nie panuje nad swoim ciałem.

Już niemal zrównał się z nimi.

Wydobył nóż spod peleryny.

Celować w nerki, przebić je jedną po drugiej. Następnie ruszyć naprzód. Dwa szybkie ciosy od tyłu.

Odsunął na bok zawadzającą mu panienkę i parę, która cały czas kręciła się, komentując widoki.

Za dużo ludzi.

Za dużo ruchu.

Pozwoli mu to na zamaskowanie swojego czynu, ale jest też bardzo uciążliwe.

Minie dłuższa chwila, zanim ludzie zrozumieją, co się stało, w tym czasie on zdoła uciec najbliższymi schodami. Wtopi się w tłum na dole i wskoczy do jednego z wagonów kolejki elektrycznej pod wiaduktem, by jak najszybciej opuścić wystawę.

Zbliżali się do wyjścia. Trzeba będzie przyspieszyć kroku, aby uderzyć we właściwym momencie.

W jednej chwili znalazł się tuż za Guyem i Faustine, gotów do ataku. Począł, aż znajdzie się niemal na wysokości zjeżdżających w dół schodów, i uniósł broń.

Gest był tak szybki, iż z trudem uświadomił sobie, że oto przeszył skórę, rozcinając ciało poprzez ubranie.

Wszystko stało się tak prędko.

Mężczyzna wygiął się w łuk.

Ale nie ten, w którego celował.

Tuż przed nim w chwili uderzenia znalazł się młody chłopak.

To on przyjął na siebie cios.

Za dużo ludzi! Za dużo ruchu!

Spanikowany mężczyzna zawahał się.

Nie może tu zostać. Puścił ramiona chłopca.

Musi dokończyć robotę, tym razem na właściwym obiekcie.

Guy starał się, jak mógł, ożywiać rozmowę banalami - rozmawiali głównie o tym, co zauważyli podczas spaceru. Wyjście było coraz bliżej i chciał się upewnić, że Faustine nie ma mu za złe niedyskrecji, jaką popełnił w restauracji.

Nagle usłyszał za sobą pełen skargi jęk, odwrócił się więc, aby sprawdzić, o co chodzi.

Wykrzywiona przerażona twarz wyrostka od razu wzbudziła jego niepokój.

Tuż potem zauważył postać w kapturze.

Postać osobliwą, niepasującą zupełnie do tego krajobrazu przepełnionego radością i kolorami.

Odbity od metalu blask żarówek przyciągnął jego uwagę.

Ostrze splamione krwią.

Przeszyło powietrze, celując w jego brzuch.

Instynktownie Guy z całej siły uderzył laską w nadgarstek trzymający broń.

Po raz kolejny przydało mu się doświadczenie zdobyte na treningach boksu francuskiego.

Po odparowaniu ciosu wyciągnął drugą rękę w stronę czarnego kaptura.

Uderzenie sprawiło, że napastnik cofnął się, odsłaniając brodę i usta zaciśnięte w grymasie zaskoczenia i bólu.

Ale mężczyzna był silny i natychmiast doszedł do siebie. Ze wszystkich sił pchnął jakąś kobietę na Guya, który zatoczył się pod jej ciężarem i upadł.

Kilka osób zaczęło krzyczeć.

Zanim Guy się podniósł, zakapturzona postać zdążyła zniknąć.

- Gdzie on jest? - zawołał Guy. - W którą stronę uciekł?

Lecz najbliżej stojący zajęci byli podnoszeniem kobiety i krzątaniem się koło rannego chłopaka. Przy jego głowie jakiś mężczyzna wrzeszczał, płacząc.

Faustine uklękła przy chłopcu, oderwała dół swojej sukni, aby opatrzeć ranę. Na chodniku widniała kałuża krwi.

Pogłoska o napadzie rozchodziła się wokoło.

Guy przeszukiwał gęstwiny głów, usiłując dostrzec napastnika, ale na próżno.

Spojrzał na swoją koszulę, była nietknięta.

Mało brakowało.

U jego stóp leżał nóż.

Trupio blade nastolatek wpatrywał się w niego wielkimi zielonymi oczyma, jak gdyby to Guy winien był jego cierpienia.

- Będzie żył! - zawołała Faustine, wchodząc do biblioteki Buduaru. - Doktor potwierdził, rana nie była śmiertelna. Gikaibo, który jej towarzyszył, pozdrowił Guya, po czym poszedł zamknąć się w swoim ulubionym pomieszczeniu.

- Grożą mu powikłania?

- Nie da się tego stwierdzić. Jest jeszcze zbyt wcześnie.

Guy nalał sobie kieliszek koniaku, a Faustine zaserwowała sobie absynt.

- Skontaktowałem się ze strażnikiem miejskim - powiedział. - Poprosiłem, żeby jak najszybciej powiadomiono o tym wypadku inspektora Perottiego. Na szczęście strażnik go zna i wskazał, gdzie można go szukać. Pchnąłem posłańca z wiadomością dla niego, właśnie powrócił: Perotti skończył służbę i jest u siebie.

- Czuje się pan lepiej? Z Martialem wszystko w porządku.

Guy kiwnął głową, na twarzy jednak nadal miał niepokój.

- Zadzwoń również do pewnego przyjaciela. Oczekuję go łąda chwila. Nie przyjdzie sam.

- Kto to?

- Maximilien Hencks. Przyjdzie ze znajomym i przyprowadzi piętnastu ludzi. Wyjdziemy dziś w nocy

Teraz Faustine się zaniepokoiła.

- Tej nocy? Ale jest już po północy.

- Towarzysz Hencksa to bliski znajomy Déroulède'a*, nieoficjalnie przejął przywództwo Ligi Patriotów, gdy Déroulède został zesłany w styczniu na wygnanie.

* Paul Déroulède (1846-1914) - francuski polityk, poeta i dramaturg. Jeden z ideowych twórców francuskiego nacjonalizmu, od 1885 roku przewodniczący ponadpartyjnej Ligi Patriotów (ten przypis i następne pochodzą od tłumaczki).

- Spotyka się pan z antysemitami? Czyżby sprawa Dreyfusa nie zrobiła na panu żadnego wrażenia?

- Proszę nie mylić dwóch rzeczy: Hencks to rojalista orleanista, są wśród nich Żydzi! Jego przyjaciel jest istotnie nieco bardziej... ograniczony, choć broni się, twierdząc, iż stoi po stronie Julesa Guérina*

i jego Ligi Antysemitycznej. Niech pani nie wrzuca wszystkich sympatyków generała Boulanger** do tego samego worka.

* Jules Guérin (1860-1910) - założyciel i lider Francuskiej Ligi Antysemitycznej. Brał udział w wielu antysemitycznych i antydreyfusowskich protestach. Wraz z Paulem Déroulède'em został skazany za konspirowanie przeciwko państwu.

** Georges Boulanger (1837-1891) - francuski generał i polityk, od 1886 roku minister wojny. Od jego nazwiska pochodzi bulanżyzm, nazwa ruchu politycznego.

- Jeśli jest tak nietolerancyjny, to proszę mi wyjaśnić, co zamierza pan robić z nim o tak późnej porze?

- Potrzebuję zdyscyplinowanych osiłków, Hencks pomyślał o nich. Tylko ich mam pod ręką. Zatrzymamy naszego napastnika.

Faustine, która unosiła właśnie kieliszek do ust, zamarła z ręką w powietrzu.

- Pan... wie, kto to jest?

Guy wskazał na wciąż jeszcze poplamiony krwią nóż owinięty w chusteczkę, leżący na

stoliczku.

- To nie Hybris - powiedział. - On nigdy by się nie zachował tak... głupio w tłumie ludzi. To amator, człowiek, który chciał zaszokować, liczył na wielki szum wokół zbrodni dokonanej w samym sercu Wystawy Światowej.

- Nie rozumiem. Ten człowiek wyglądał tak, jakby żywił do pana osobistą urazę. Jeśli wierzyć relacji ojca tego chłopca, właśnie dla pana przeznaczony był ów cios nożem.

- Tak, a potem ten człowiek próbował mi rozpruć brzuch.

Faustine odstawiła kieliszek, na jej twarzy malowało się teraz niedowierzenie.

- Czyżby to pański teść? Czy mógłby aż tak pana nienawidzić?

- Z nim nigdy nie wiadomo, choć wczorajszy incydent z pewnością nie ma z nim nic wspólnego. Proszę zwrócić uwagę na ten nóż: na jego

specyficzny kształt, zaostrzony czubek, długość. To nóż do wykrawania kości. Nóż rzeźnicki. Coś czuję, że zyskałem sobie nie tylko przyjaciół podczas mojej wczorajszej wyprawy do Hal.

- Dlaczego mieliby porywać się na pana? Co im pan powiedział?

- Udałem, że jestem funkcjonariuszem służby bezpieczeństwa. Najwyraźniej to kryjówka anarchistów. W obecnych czasach nie powinno się ich denerwować. Od czasu zamachów Ravachola*, Emile'a Henry ego** i im podobnych każdy wie, że to niebezpieczne środowisko. Zamordowali nawet prezydenta Republiki, więc czemu mieliby oszczędzić pośledniego inspektora, który wpakował się na ich teren?

* François Claudius Koenigstein znany jako Ravachol (1859-1892) - francuski anarchista. Najsłynniejszą akcją Ravachola było wysadzenie domów sędziego oraz prokuratora, którzy skazali anarchistów uczestniczących w demonstracjach 1 maja. Stał się wzorem dziewiętnastowiecznego romantycznego rozbójnika o szlachetnym sercu, który gardził bogatymi, a odbierane im bogactwa rozdawał biednym.

** Emile Henry (1872-1894) - francuski anarchista. Organizator dwóch zamachów bombowych w Paryżu, skazany na śmierć i ścięty na gilotynie.

- Czemu zrobił pan coś takiego?

- Nie miałem pojęcia o ich poglądach! Miałem pewne wątpliwości, ale to oni śledzili mnie w niedzielę rano. Teraz trzeba załatwić tę sprawę. Nie mogę pozwolić, by groźba ta wisiała nad moją głową w nieskończoność.

- Mógłby im pan wyjaśnić, że nie jest tym, za kogo się podawał.

- Poderżnęliby mi gardło za to, że skłamałem, że wyciągnąłem z nich pewne informacje! Nie mogę też powiadomić policji, bo to by się obróciło przeciwko mnie, Pernetty i Legranitier mogliby się wręcz dowiedzieć, że udawałem inspektora.

- Więc pańskie rozwiązanie polega na nasłaniu na nich ich najgorszych wrogów? Spadnie na pana odpowiedzialność za rozlew krwi!

- Prosiłem Maximiliena Hencksa, żeby znalazł posłusznych ludzi, którzy będą potrafili się zachować, pójdą ze mną tylko w charakterze eskorty, nie dojdzie do walki, nie o to nam chodzi.

Guy wziął kapelusz i laskę, owinął nóż w chusteczkę i szykował się do wyjścia.

- Zmykam. Po czymś takim mogę się założyć, że anarchiści zebrali się w swojej piwnicy, żeby się naradzić. Idiota, który nas zaatakował, użył noża o rógowym trzonku z wygrawerowanymi inicjałami. Nietrudno będzie go zdemaskować.

Faustine nie podzielała jego podniecenia. Skrzyżowała ręce na piersiach i rzuciła:

- Mam nadzieję, że pan wie, co robi. Nigdy nie powinno się zamykać dwóch przeciwności w jednym ciele.

Popychając drzwi wyjściowe, Guy zastanawiał się, czy poprzez to ostatnie zdanie Faustine nie czyniła aluzji do czegoś więcej niż obecna sytuacja. Czy chodziło jej o nich dwoje?

34.

Cierpiący na bezsenność potwór, paryskie Hale, przyjmowały już pierwszych handlarzy rybami i ich wózki pełne dygocących jeszcze ryb.

Guy prowadził swoją niewielką armię skrzykniętą przez Hencksa pośród budynków z cegły, żeliwa i szkła, przemykającą w cieniu rzędów drzew, z dala od łuny bijącej od latarni, czujną niczym bandyci.

Ostatecznie zebrało się około dwudziestu mężczyzn, w tym trzech bliscy towarzysze Hencksa, arystokraci posługujący się orężem politycznym równie zręcznie jak szpadą podczas pojedynków, którym oddawali się regularnie, broniąc swych rojalistycznych ideałów; przede wszystkim jednak byli to ludzie dość nieokrzesani, zakochani w sztandarze i pewnej wizji Francji. Tę ostatnią grupę reprezentował przyjaciel Maximiliena Hencksa, Jean Maisier, niski rudzielec w kaszkiecie, z wąsami opadającymi po obu stronach ust aż do podbródka.

Prawie już doszli do pawilonu numer 11, w którym zarzynano drób. Guy odwrócił się w stronę Hencksa i Maisiera:

- Rozumieją panowie: nie chcę żadnej prowokacji! Mam sprawę do załatwienia z jednym z nich, z nikim innym, a waszym zadaniem jest tylko zadbać, żeby nikt się do mnie nie dobrał.

- Nie będzie żadnych kłopotów - zapewnił go Maisier. - Moi ludzi obronią pana przed tymi lajdakami. Nikt pana nie tknie!

- Guy, będę przy panu - dodał Hencks. - Na wszelki wypadek.

Maisier gwizdnął na palcach i piętnastu ludzi otoczyło pusty pawilon.

- Droga wolna! - rzekł z szerokim uśmiechem.

Guy wszedł do środka w towarzystwie Hencksa i jego trzech ludzi, ruszyli długimi pustymi korytarzami. Nagle ujrzeni leżącego na ziemi nieprzytomnego człowieka. Pojawił się jeden z żołnierzy Maisiera.

- Czujka! - szepnął.

- Tymi drzwiami wchodzi się do podziemi - wyjaśnił Guy

Dwunastu nacjonalistów natychmiast rzuciło się, by zająć piwnicę, i gdy Guy do nich dołączył, ujrzał, że otoczyli ośmiu rzeźników siedzących na taboretach pośrodku rzeźni.

Z sufitu zwisały haki, czuć było silny zapach mięsa, ziemię pokrywała gruba warstwa zaschniętej krwi.

Anarchiści zdawali się zagubieni, usiłowali pojąć, co się dzieje. Dwóch próbowało się podnieść, lecz natychmiast przyparto ich do ściany, na gardłach poczuli pałki.

- Spokój! - rozkazał Guy.

Wielu rzeźników nie umiało ukryć zdziwienia, kiedy go rozpoznali. Mężczyzna z zajęczą wargą patrzył mu prosto w oczy

- Wiecie, dlaczego tu przyszedłem, prawda? - spytał pisarz.

- Żeby nas aresztować - odparł najbardziej cherlawy.

- Żeby wam pokazać, że jeśli jeszcze raz będziecie próbowali wyrządzić mi krzywdę, moi obecni tu przyjaciele znajdą każdego z was, a wtedy słono zapłacicie za swój czyn.

- Pieprzony glina! Drobnomieszczański hipokryta! - zdenerwował się Zajęcza Warga. - Myślisz, że nie wiedzieliśmy, co knujesz? Stoi taki niby na straży dobrych obyczajów, państwa politycznego, a mieszka wśród ladacznic!

Guy odwrócił się i podszedł do niego. Błyskawicznym gestem złapał go za brodę jedną ręką, drugą zaś za jądra. Rzeźnik jęknął i skrzywił się z bólu.

- Nieważne, kim jestem - powiedział Guy z głową w odległości zaledwie kilku centymetrów od jego nosa. - Nieważne, co robię. Jeśli zobaczą kogoś z was krążącego wokół mnie i dziewcząt, wykastruję, by mieć pewność, że nigdy z nich już nie skorzystacie. Czy wyrażam się jasno?

Zajęcza Warga wydał z siebie serię zdławionych krzyków, które można było uznać za potwierdzenie, więc Guy go puścił.

- Ty! - powiedział, oskarżycielsko wskazując palcem cherlaka. - Jak się nazywasz?

- Ja? Etienne Daistre.

- Inicjały pasują, na dodatek masz siniaka na brodzie, w miejscu, gdzie cię uderzyłem. To ty mnie zaatakowałeś!

Jean Maisier skoczył do Daistrea od tyłu i rąbnął go pałką w zgięcie kolan.

- Nie! - zawołał Guy

- Ugodził dziecko, tak nam powiedział Maximilien! - zaprotestował Maisier. - Kto się porywa na dzieci narodu, porywa się na Francję!

Guy kucnął przed rzeźnikiem, który stał na czworakach.

- Widzisz? Nie panuję nad swoimi przyjaciółmi. Jeśli jeszcze raz zrobisz coś takiego, nigdy więcej nie staniesz na nogi. Wierz mi, pozazdrościsz losu, jaki gotujesz co rano kurczakom.

Cherlawy mężczyzna pokiwał gwałtownie głową.

- Tak, tak, zrozumiałem. To się więcej nie powtórzy

Był przerażony i Guy widział, że jest chętny do współpracy.

- Dlaczego ja? - spytał pisarz.

- Chciałem zaatakować władzę w osobie tego, który ośmielił się postawić nogę na naszym terytorium. To nie było nic osobistego. Po prostu masowa spontaniczność nie działa, rewolucja społeczna dokonana się tylko poprzez propagandę czynem. Trzeba mnożyć działania, spaliśmy już zbyt długo, od dziewięćdziesiątego czwartego roku nasze siatki nie funkcjonują. A tu nadarzyła się okazja wznowienia akcji. Zmotywowania komórek! Nic osobistego, mówię panu!

Guy zrozumiał.

- Byłem więc tylko symbolem...

Przez chwilę podejrzewał, że Hybris znajduje się pośród nich, że zmusił tych ludzi do napaści na niego. Chodziło jednak tylko o grupę anarchistów znużonych czekaniem na zmiany w polityce.

Wstał.

- Zapomnę o was - oznajmił - ale jeśli wy nie uczynicie tego samego, zapłacicie mi za to!
Wszyscy!

Po tych słowach chciał ruszyć do wyjścia, lecz zatrzymał się u stóp schodów, stwierdziwszy, że Jean Maisier i jego ludzie nie przejawiają chęci do odwrotu.

- Wychodzimy - powiedział do nacjonalisty.

- Nie jestem głuchy. Poczekam, aż znajdzie się pan na zewnątrz.

- Wychodzimy razem - nalegał Guy.

Jean Maisier uśmiechnął się prowokująco.

- Ty robisz, co chcesz, przyjacielu. Ja i moi ludzie nie pozwolimy bandzie terrorystów wyrządzać kolejnych szkód. To by zakrawało na zbrodnię!

Anarchiści poruszyli się niespokojnie, powstrzymani natychmiast przez ludzi Maisiera. Wiele spojrzeń skierowało się na Guya.

- Nie pozwolę wam teraz załatwić swoich porachunków. Zawarliśmy umowę, mieliście mnie eskortować, i to wszystko!

- Tylko ukarzymy ich dostatecznie dotkliwie, aby nie mieli już nigdy więcej ochoty grozić nikomu w imię swoich fanatycznych idei!

Guy rzucił się w stronę Maisiera, trafił jednak na potężną postać Hencksa, który zastąpił mu drogę.

- To nie ma sensu - powiedział Hencks cicho. - Nic pan nie może zrobić, jest ich zbyt wielu.

- Kogo pan przyprowadził? - oburzył się Guy - Miał mi pan znaleźć ludzi godnych zaufania!

- Co pan sobie myśli? Że wystarczy podnieść słuchawkę telefonu, żeby dostarczyć paru usługowych ludzi? Przemoc rodzi przemoc niezależnie od jej formy. Teraz wyjdźmy stąd, nie uda się panu zapobiec temu, co tu się stanie. Przykro mi, Guy, proszę mi wierzyć.

Guy był półprzytomny z wściekłości. Wbił spojrzenie w Jeana Maisiera, gotów przejść do rękoczynu.

- Odpowie pan za to! - zawołał.

- Kiedy pan sobie życzy Pojedynki to moja druga pasja po tropieniu anarchistów...

Guy patrzył na niego.

Nie potrafił bowiem spojrzeć w oczy rzeźnikom.

35.

W ów wtorkowy poranek, kiedy Perotti przekroczył próg strychu, Guy rzucił się do niego, chcąc go wyściskać.

Głębokie cienie rysowały się pod zaczerwienionymi ze zmęczenia oczyma pisarza.

- Martwiłem się o pana! - zawołał. - Nie dał pan o sobie znać przez cały dzień, to do pana niepodobne!

- Spokojnie, byłem na posterunku, nic nie mogło mi się przydarzyć, komisariat był pełen ludzi. Znów mamy problemy z włoskimi imigrantami, wzmożyły się nastroje rasistowskie w jednej z dzielnic, gdzie oskarża się ich o wszystkie możliwe grzechy. Zawsze to samo, kiedy do polityki zabierają się imbecyle: zaczynają od oskarżania innych. Dzisiaj prześladowuje się tak zwanych „makaroniarzy”, jutro Włosi będą naszymi przyjaciółmi, a kolej przyjdzie na inny naród. Zobacz pan!

- Wygląda pan na przejętego tą sprawą. Perotti to nazwisko pochodzące z drugiej strony Alp, prawda?

- Z Sabaudii, moi rodzice przybyli do Paryża zaraz po przyłączeniu jej do Francji. Jeśli zaś chodzi o naszą sprawę, mam być może informacje, które pana zainteresują.

- Ja również! To coś wielkiego! Niech pan siada, to, co powiem, może wytrącić pana z równowagi. Hybris wie, że go szukamy.

- Proszę?

- Napisał do nas. Prawdę mówiąc... wszedł do środka i podłożył list. Na kopercie widniało moje imię.

Perotti miał taką minę, jakby ujrzał ducha.

- Proszę, oto on - dodał Guy, poklepując liścik przytwierdzony do deski.

- Nie chce mi się wierzyć...

- Czy teraz lepiej rozumie pan mój niepokój?

- Nie możemy już traktować tego tak lekko...

- Czy do tej pory tak było? - zdziwił się Guy.

- Nie, oczywiście, że nie, ale teraz w grę wchodzi nasze życie! Czy jest pan pewien, że chce to ciągnąć dalej?

- Czy uważa pan, że mamy jeszcze wybór? Hybris nie odpuści nam tak łatwo! Musimy natomiast wykazać się wyjątkową ostrożnością. Żadnych wyjść w pojedynkę.

- Ale Guy, przypominam panu, że ja pracuję! Nie mogę zostać z wami!

- W godzinach pracy, w biurze, będzie pan bezpieczny. Prawdę mówiąc, miałem na myśli Faustine: nie chcę podejmować takiego ryzyka.

Perotti przewrócił oczyma, kręcąc lekko głową, jakby nie śmiał wyznać, co mu leży na sercu.

- Ona... ona jest... archetypem - wybełkotał. - Archetypem idealnej ofiary. Kobieta, młoda,

kurtyzana.

- Też tak sądzę. Nie śmiem jej tego powiedzieć, zna pan jej temperament. Ale pod jednym względem różni się od pozostałych: nie jest naiwna! Nie pójdzie tak łatwo za nieznajomym.

Wypowiedziawszy te słowa, Guy pomyślał o obiedzie, na którym Faustine towarzyszyła młodemu politykowi nie dalej jak trzy dni wcześniej. W istocie okoliczności mogły czasami osłabiać jej czujność.

W tejże chwili dziewczyna stanęła w drzwiach. Przywitała się z Perottim.

- Guy opowiadał panu o wczorajszej napaści?

Na obliczu policjanta dało się zauważyć panikę.

- O napaści? Hybrisa?

- Nie - wtrącił pisarz ze smutną miną. - Anarchista wziął mnie za kogoś, kim nie jestem.

Faustine popatrzyła na niego.

- Jak się potoczyło pańskie regulowanie rachunków? - spytała oschle, dając do zrozumienia, że nadal nie popiera jego zachowania.

Guy spuścił wzrok.

- Powinienem był pani posłuchać. Jeśli to panią pocieszy, ci panowie nie będą nam już więcej przeszkadzać.

- Dał im pan porządną nauczkę, tak?

- Nie chciałem, żeby sprawy tak się potoczyły, proszę mi wierzyć.

Faustine uderzyła dłonią o suknię.

- A na co pan liczył? Organizowanie podobnego spotkania ekstremistów może mieć tylko jedno zakończenie! Powinien pan lepiej dobierać sobie przyjaciół, ten Hencks wygląda mi na niebezpieczną postać.

- Nie, Maximilien to nie mięczak, ale nie jest złym człowiekiem.

- Może nie dla ludzi - dodał Perotti. - Niemniej gdybym był zwierzęciem, nie chciałbym znaleźć się z nim sam na sam w lesie. Trzeba przyznać, że wczorajszy dzień musiał być dla was ciężki!

- Opowiadał mu pan o kostnicy? - spytała Faustine Guya.

- Nie - odparł zakłopotany - Jeszcze nie.

Guy zrelacjonował ich poranek i konkluzje profesora Mégnina.

- A tak à propos Milaine - dodał - powinien pan o czymś wiedzieć.

Faustine odchrząknęła głośno, siadając na sofie naprzeciwko Perottiego.

- Co takiego? - dociekał Perotti zezłoszczony niedomówieniami, których nie pojmował.

- Rozmawialiśmy o jej śmierci z doktorem Ephraimem - ciągnęła Faustine.

- Przyczyny są nieznane - uzupełnił Guy. - Mogła ją spowodować silna mieszanka trucizn albo... albo Milaine mogła umrzeć ze strachu.

- On wam to powiedział? Lekarz?

Guy wzruszył ramionami. Faustine była mu wdzięczna, że nie powiedział nic więcej, mógł

to wyczytać z jej twarzy. Nic na temat fikcyjnej ciąży Milaine. Nie chcąc z nią bardziej zadzierać, Guy uznał, że nie jest to najlepszy moment na wyznanie Perottiemu prawdy

Pomasował sobie kark. Czuł szczypanie pod ciężkimi jak z ołowiu powiekami.

- Wygląda pan na wykończonego - zauważył Perotti.

- Nie spałem. Nie mogłem zasnąć. - Rzucił szybkie spojrzenie na Faustine, by stwierdzić, że wciąż się do niego nie uśmiecha. - Rozpracowywałem więc list Hybrisa pod kątem grafologicznym.

- Przyniosło to jakiś efekt? Na komisariacie zawsze słyszę, że to niedorzeczność.

- Czy psychologia jest wiarygodna w pana oczach? Czy daje pan wiarę pracy ludzi takich jak Charcot?

- Naszym światem fizycznym rządzą siły takie jak elektryczność czy grawitacja, nad którymi uczymy się dopiero panować, dlatego owszem, mogę uwierzyć, że siły psychiczne rządzą naszymi ciałami i złożonymi umysłami. Ale robić portret osobowości na podstawie samych słów?... To lekka przesada.

- Jest pan miłośnikiem malarstwa, o ile dobrze pamiętam. Grafologia nie jest bardziej nieprawdopodobna niż twierdzenie, że można rozpoznać artystę po samym płótnie. Wystarczy być uważnym i znać pewne kody. Podobnie jest z osobowością. Zauważył pan zapewne, że istnieje silna relacja między osobowością danego człowieka i jego gestami,

sposobem mówienia, ubierania się, wyrazem twarzy, krótko mówiąc, wszystkimi zewnętrznymi manifestacjami charakteru. Gdyż zewnątrz jest odbiciem wnętrza, jest jego przedłużeniem, językiem. To w pełni normalne, bo przecież osobowość ożywia nasze jestestwo, ujawnia się za pośrednictwem tego, jacy jesteśmy Podobnie jest z pismem. To sposób komunikacji, którego kody poznajemy bardzo wcześnie, w tym samym czasie, gdy uczymy się kodów społecznych. Wszystkie symbole naszego życia mieszają się w tej samej chwili zgodnie z pewnym rytuałem, który przyswajamy świadomie lub najczęściej podświadomie.

- Chce pan powiedzieć, że pismo człowieka to odbicie jego duszy?

- Właśnie. Pismo jest symboliczne, za pośrednictwem każdego ruchu przekazuje zachowanie naszej psychiki. Przede wszystkim trzeba zrozumieć znaczenie kontekstu, w jakim powstawała ludzkość, ów niezwykle silny symbolizm wyostrowający się z biegiem wieków i tysiącleci, i spuściznę, którą czy tego chcemy, czy nie, nosimy w sobie. Spuściznę naznaczoną dodatkowo wpływem środowiska, w którym dorastaliśmy, społeczeństwa z bagażem doświadczeń, wyrosłego na tych symbolach przekazywanych niezmiennie każdemu, gdyż poprzez nie sami się tworzymy. Chcę przez to panu powiedzieć, że żyjemy w świecie symboli, których większa część jest wspólna dla wszystkich.

- Czy mógłby pan być nieco bardziej konkretny? - poprosił Perotti.

- We wszystkich cywilizacjach pojęcie tego, co jest na górze, powyżej, wiązało się z niebem, słońcem, światłem, nieskończonością, nadzieją, planem duchowym lub intelektualnym. Oto przykład silnego symbolizmu, który został nam podświadomie przekazany Wszędzie tak jest od bardzo, bardzo dawna. Z kolei dół kojarzy się z ziemią, ciemnością, z tym, co

ukryte, nieświadome, z konkretnym działaniem. Pośrodku mamy horyzont, życie codzienne. Pojęcie lewej strony wpisane jest w nasze funkcjonowanie i być może wiąże się tak samo z półkulami mózgowymi, jak z historią symboliczną naszego gatunku: odnosi się do przeszłości, tradycji, norm i matki. Za to prawa strona to przyszłość, coś, co jest poza nami, w innych, projekty i wreszcie ojciec.

- Rodzice są naprawdę przypisani do kierunków? - zdziwiła się Faustine.

- Z punktu widzenia symboliki, tak! Przeszłość, która daje życie, karmi i uczy, wpaja normy, to matka. Ojciec natomiast poprzez swój dynamizm i autorytet wypycha nas na zewnątrz, rozbija związek matki i dziecka. Matka związana jest z naszą osobowością skoncentrowaną na sobie, z naszym egocentryzmem, jeśli pan woli, ojciec przeciwnie.

- Załóżmy, że to prawda - rzekł Perotti. - Jaki związek może to mieć z pismem?

- Jak już powiedziałem, pismo jest symboliczne, skupia to, co chcemy powiedzieć, oraz to, kim jesteśmy, wiedzę, którą posiadamy, zmodyfikowaną nieco naszym postrzeganiem świata. To łączy między widzialnym i niewidzialnym. Pisanie to kombinacja myślenia, wysiłku mięśni, napięcia nerwowego, spojrzenia, krótko mówiąc, cała istota człowieka! A atrament, patrząc na to w ten sposób, to jakby krew duszy. - Guy wziął kartkę z biurka i przytrzymał ją w palcach. - Kiedy piszemy, ukazujemy, jacy jesteśmy. Na przykład jeśli zdecyduje się pan napisać do kogoś list, jak ułoży pan kartkę? Pionowo, jak nakazuje klasyczny zwyczaj? A zatem działa pan zgodnie z zasadami rozumowania, logiki, dominuje w panu myśl. Poziomo, jak Włosi? Mielibyśmy tu do czynienia z pojęciem komunikacji, instynktu i kreatywności.

- Już sam wybór ułożenia papieru mówi o mnie to wszystko? - skomentował Perotti z powątpiewaniem. - Nie trzeba skreślić choćby słowa?

- Owszem, nie trzeba nawet jednego słowa, nie obejdzie się natomiast bez gestu. Dokonał pan wyboru, nie jest to bowiem kwestia przypadku. Trzeba być uważnym. Analizujmy dalej na przykładzie liściku Hybrisa. - Guy stanął przed drewnianą tablicą. - Co zauważacie na pierwszy rzut oka?

- Jego pismo jest mało regularne? - zasugerowała Faustine.

- A zanim przejdziemy do samego pisma?

Niepewne pytające spojrzenia.

- Wybór papieru! - zawołał Guy, którego reakcje ze względu na zmęczenie były za każdym razem nieco przesadzone. - Hybris nie przypadkiem wybrał ten specyficzny papier!

- A jeśli tylko taki miał pod ręką? - spytała Faustine.

- Nie chodziło mu o notatkę na własny użytek, zamierzał nawiązać z nami kontakt, była to ważna dla niego chwila, to nie ulega wątpliwości, skupił na tym uwagę. Papier jest gruby, ciężki. Taki papier wybiera ktoś, kto ceni sobie materię, stąpa twardo po ziemi. Chce poczuć kartkę, jej ciężar. Ponadto nie wybrał gładkiego papieru, lecz żeberkowany.

- Jakie to ma znaczenie? - spytał Perotti.

- Człowiek niecierpliwy, który nie chce, by cokolwiek hamowało go podczas przekazywania swoich myśli, woli gładki papier, tymczasem osoba, która nie boi się konfrontacji, a może nawet lubi, gdy stawia się jej opór, agresywna, woli bardziej wyrazistą teksturę.

- Wspominaliśmy swego czasu o osobowości, która nie znosi nieposłuszeństwa - przypomniała Faustine. - To stoi w sprzeczności z tą tezą.

- Trzeba umieć się moderować. Hybris być może nie lubi, gdy ktoś mu się przeciwstawia, ale to nie znaczy, że nie jest zaczepny Jedno nie przeczy drugiemu. A więc dalej: kremowy kolor, wpadający w żółć. Żółty to zazwyczaj kolor iskrzący się, kolor światła, inspiracji i intuicji. To również kolor złota, mocy, kolor bogów. Tutaj jednak jest on raczej matowy, może się odnosić do okrucieństwa i ukrywania się.

- Nie chcę podważać tego, co pan twierdzi - wtrącił Perotti - ale przyznam, że z trudem wyobrażam sobie, w jaki sposób kolor mógłby nam cokolwiek powiedzieć.

- Ogólnie rzecz biorąc, ma pan rację, kolory nic nie mówią. A jednak niezwykle chłonne gąbki, jakimi są nasze umysły, przyswoiły je sobie za pośrednictwem własnych doświadczeń i kultury, którą dziedziczymy W ciągu tysięcy lat powstawania tradycji i kodów koloru, czy tego chcemy, czy nie, przypisane zostały do licznych symboli. Poza tym odcień rozjaśnia się światłem, otrzymując pozytywne znaczenie, lub okrywa cieniem, przez co staje się bardziej ponury i znaczy już zupełnie coś innego. Dla każdego, i temu pan nie zaprzeczy, żółty to słońce, złoto, pozytywne rzeczy, symbole siły, mocy, władzy, dostatku. Żółty kolor bóstw azteckich i egipskich, szat cesarzy chińskich, „Synów Nieba”, albo jeszcze aureola Chrystusa, złoto cyborium lub ornatów duchownego... Tyle odniesień do bogów!... Możemy mieć również „brudną” żółć będącą symbolem choroby, starości, zdrajcy ojczyzny, którego okiennice maluje się na żółto, rogaczy, krzywych uśmiechów. Tak jest z każdym kolorem: z czerwienią krwi, ognia, miłości i przemocy. Krótko mówiąc, w codzienności miliardów istot ludzkich kolory przekazywane są wraz z bagażem asocjacji będących zarazem przyswajanymi przez nas symbolami.

- Świadomie lub podświadomie - dodał Perotti, który zdawał się coraz bardziej przekonany.

- A zatem mamy tu papier w kolorze wpadającym w żółty - ciągnął Guy - Pamiętajmy o tym. Teraz, zanim przejdziemy do samego pisma, należy rozważyć miejsce, w którym Hybris postanowił umieścić swój tekst na stronie. Proszę zauważyć, że tekst nie jest wyśrodkowany, a marginesy, w szczególności lewy, są bardzo duże. Jeśli przyjrzeć się temu przez pryzmat moich wyjaśnień na temat symboliki przestrzeni, okaże się, że Hybris próbuje oddalić się od ziemi, od pragmatyzmu, ciała, pragnąc zbliżyć się do duszy. Ma tendencję do zatapiania się w myślach. Czyżby był roztargniony? Nic z tego nie jest pewne, trzeba to oczywiście skorelować z całą resztą, by mogło mieć znaczenie.

- Lewy margines jest bardzo nieregularny - zauważyła Faustine.

- To strona symbolizująca normy, edukację, matkę i istotę egocentryczną. Jaki z tego wniosek?

- Że usiłuje zdystansować się od przeszłości? Ma kłopoty ze swoją historią?

- Możliwe, ponadto jest nie zrównoważony. Nieustannie podlega wewnętrznym rozdarciom, być może również nie umie się pogodzić z normami, jakie mu wpajano, jest społeczny lub przedkłada osobisty interes nad szacunek dla tradycji czy też praw. Ma niestałą naturę, bywa nieprzewidywalny. A mimo to przyjrzyjcie się prawemu marginesowi: jest równy, Hybris dba o to, by nie dzielić słów, jest przewidujący. Natomiast margines ten jest bardzo

duży - co by oznaczało, że piszący dystansuje się od innych ludzi i od życia.

- Co oznacza wcięcie na początku akapitu? - spytał Perotti. - Jest bardzo wyraźne.

- Wcięcie to „margines społeczny”, wycofanie się w siebie przed zabraniem głosu, ma przygotować czytelnika, również ze względu na szacunek dla niego, daje mu nieco miejsca, zanim zacznie się wypowiedź. Akapit Hybrisa jest interesujący ze względu na swoją wyrazistość,

zdecydowanie za bardzo zaznaczoną. Można by go posądzić o służalczość, to coś nienaturalnego.

- Kpi sobie z nas? - zasugerowała Faustine.

- Powiedziałbym raczej, że nic sobie z tego nie robi, to pasowałoby lepiej do nieregularnego lewego marginesu, do rzucania wyzwania normom, edukacji. Podkreśla akapit, byśmy go dobrze zauważyli, jak gdyby zmuszał się do tego, choć nie jest to dla niego normalne.

Guy złączył ręce przed sobą, splótł palce i przyjrzał się swoim słuchaczom, czując się jak nauczyciel prowadzący lekcję.

- Pozostaje przyjrzeć się rozkładowi i gęstości pisma, zanim przejdziemy do liter - ciągnął.

- Najbardziej uderzyły mnie przerwy między literami i między słowami, a więc przemienność między białą kartką a pismem. Zarządzanie pełnym i pustym. Spójrzcie, na początku każdego wersu przerwy są stosunkowo krótkie, im bliżej końca, tym odległości stają się większe. Najbardziej widoczne jest to pod koniec tekstu. Widać, że z początku się starał, lecz natura brała górę, w miarę jak skupiał się na znaczeniu, a nie na formie. Trzy ostatnie linijki stanowią zapewne przykład jego najbardziej naturalnego pisma. Przerwy wydłużają się, w miarę jak zmierza ku prawej stronie kartki. Człowiek ten jest skupiony na sobie, czyli po lewej, a im bardziej zmierza w stronę innych, ku przyszłości, tym bardziej się rozpada. Dodajmy też, że pismo jest niestałe, litery raz są proste, wręcz sztywne, raz zaś wybuchają. Mam wrażenie, że chodzi tu o przemienność skupiania się na sobie i kreatywności. Jak gdyby miał bardzo bogate, pełne fantazji życie wewnętrzne, które jednak usiłuje okiełznać.

- Mówił pan o gęstości - wtrąciła Faustine. - Uważam, że przerwy między wersami również są bardzo duże, wręcz przesadne.

- To prawda, jak gdyby po raz kolejny odrzucał przyjęte normy. Dystansuje się od tego, co napisał powyżej, a zarazem od konwenansów i społeczeństwa. Przejdźmy teraz do kształtu pisma. Uczymy się go w szkole, a następnie zmieniamy, personalizujemy, by stało się bliższe temu, kim jesteśmy, by wyrażało nasz charakter, krótko mówiąc, żeby było do nas podobne. To nie przypadek, jeśli owa transformacja dokonuje się w okresie dojrzewania, gdy nasza osobowość uwalnia się od autorytetów i ugruntowuje, co jest najlepszym dowodem na to, że pismo stanowi odbicie naszego wnętrza.

- Niektóre charaktery pisma bywają do siebie podobne - wtrąciła Faustine.

- Oczywiście, istnieją „grupy” pisma, ogólne modele, mimo to poza tymi cechami wspólnymi każdy z nas wypracowuje własne. Wróćmy do naszego przypadku. Kształty są kanciaste, podstawy litery wąskie, pismo Hybrisa jest agresywne, pełne oporu. W przeciwieństwie do mojego, o tutaj, umykającego, cechującego osoby o wartkim toku myśli, lecz dość mocno niesubordynowanych. Pismo nachylone to znak oporu psychicznego, siły,

może też dowodzić braku kontroli nad emocjami lub nietolerancji.

Perotti milczał, przenosił spojrzenie z pisarza na przytwierdzone do deski list, w głębokim skupieniu sprawdzając to, co słyszał.

- Martial, nie się pan nie odzywa, jest pan wciąż z nami myślami?

- Tak. Muszę przyznać, że udało się panu przełamać mój sceptycyzm. Powinien pan zaferować swoje usługi policji, gdyż słuchając pana, mam wrażenie, że postać winnego rysuje się przed nami.

- Nie posuwałbym się aż tak daleko. Grafologia pozwala stworzyć reprezentację psychiki, która może nam pomóc w rozpoznaniu Hybrisa, jeśli go kiedykolwiek spotkamy. Przejdę teraz do analizy wielkości liter.

W tekście uderzające są laseczki, czyli pionowe kreski idące w górę, takie jak w „l” i „t”, lub opadające, jak w „g” czy „p”. W tym przypadku są one bardzo wyraźnie zaznaczone. Ogonek jego „p” opada zbyt nisko, podobnie zresztą jak w wypadku „g”, zauważcie agresywność pętli, która właściwie już nie jest pętlą, lecz rozciągniętym do maksimum trójkątem.

Faustine, którą wciągnęła ta gra, zaproponowała swoją interpretację:

- Próbuje wrócić na ziemię, do swoich instynktów, a ponieważ to intelektualista, czyni to myślami, a nie ciałem.

- Proszę nie zapominać o nieproporcjonalnym dolnym marginesie!

- Wyśrodkowany tekst oznacza działanie, teraźniejszość, prawda? A więc nasz Hybris jest oderwany od swoich korzeni, zdaje sobie jednak z tego sprawę i usiłuje się do nich zbliżyć.

- Możemy przynajmniej uznać, że znajduje się w sercu akcji, ale jest wewnętrznie targany sprzecznymi myślami. Spójrzcie na agresywność laseczek i pętelek. Jest w nich dużo przesady. On chce działać, odzyskać równowagę, przechodzi do akcji, lecz ta jest bardzo gwałtowna. Wrażenie to jest jeszcze wzmocnione tu i ówdzie przez chybotliwe linie, niektóre słowa są wyżej, inne niżej, co świadczyłoby o bezustannej walce. Wychylenie ku górze świadczy o impulsywności, inne o tendencji do choleryczności; tak czy owak nasz człowiek lubi nad wszystkim panować.

- Czy w tej symbolice nie ma odniesień do seksualności?

- Właśnie miałem o tym mówić. Siły seksualne związane są z instynktami, z ziemią i ciemnością: czyli szukamy ich na dole.

- Na dole, oczywiście - odparła z ironią Faustine. - Czy nie możemy uznać, że Hybris cierpi na zaburzenie seksualności, biorąc pod uwagę dystans, jaki tworzy za pośrednictwem dolnego marginesu?

- O co chodzi z tą seksualnością? - spytał Perotti. - Proszę wszystkiego nie mieszać! Guy dobrze to ujął: ten człowiek zabija, bo chce odzyskać równowagę. Śmierć, krew i władza to jego napęd. To nie ma nic wspólnego z seksualnością, nie możemy zbaczać na inny tor myślenia!

- Sądzę, że Faustine ma rację - wtrącił Guy, zanim dziewczyna zdążyła to uczynić z większą energią. - Nie możemy oddzielać seksualności od motywacji, seksualność jest wpisana w nasze zachowanie, wiąże się z tym, jacy jesteśmy. I proszę nie zapominać, że Viviane została

zgwalczona jakimś przedmiotem, to ważne! Zresztą pętelki są przesadnie napompowane przy „j”. Szczególnie w słowie „ja”. Hybris ma silny pociąg do głębi, może to być związane z jego własnym mrokiem, ale też z seksualnością.

- Wracając do rzeczy, czy istnieje cecha charakteru, która z całą pewnością ujawnia się poprzez wygląd tego listu? - niecierpliwiał się Perotti.

- To nerwus.

- Tak? A to dlaczego?

- Z powodu łączy między literami i między słowami. Łączenia to oddechy duszy w trakcie pisania, a Hybris pisze, łącząc kilka liter w obrębie jednego słowa, kolejne zaś oddzielając większymi przerwami. Gdyby robił to mniej więcej w rytmie sylab, byłby to dowód na jego zrównoważenie, ale tak nie jest, łączenia są anarchiczne, bieg myśli jest nieustannie przerywany, akt pisania nierówny, a to oznacza również nierówny oddech i świadczy o silnym niepokojem. Hybris to człowiek nerwowy. Spójrzcie na drugą stronę kartki, można niemal odczytać tekst dzięki bruzdom, jakie zostawił w grubym przeciw papierze.

- To jest konkret! - ucieszył się młody inspektor.

- Mam coś jeszcze - ciągnął Guy - Zawsze wybieramy sposób nakreślenia litery i nigdy nie jest to kwestią przypadku. Nasze litery mogą być zamknięte, pełne lub otwarte. Jego są otwarte od dołu i po lewej, proszę zobaczyć jak rysuje „o”, pętla jest niedomknięta od lewej. A więc otwarcie na lewo. Podobnie rzecz ma się z jego „a” i małym „b”. Natomiast wszystkie „s” otwierają się ku dołowi.

- Wyglądają tak, jakby rysował je odwrotnie - zauważyła Faustine.

- Tak właśnie jest i gdyby nie spójna całość, podobieństwa w powtórzeniach każdej litery, powiedziałbym, że chodzi o próbę ukrycia się, tak jednak nie jest.

Perotti wychylił się naprzód, opierając łokcie na kolanach; im dłużej trwał wywód i im głębiej Guy wchodził w szczegóły, tym bardziej inspektor wyglądał na przekonanego.

- A o czym świadczą te otwarcia na lewo i w dół?

- To strefa wrażliwości. Inaczej mówiąc, nasza luka. Po lewej Hybris jest tak dalece naznaczony przeszłością, że nie może jej domknąć. Dolna część świadczy o inklinacji w stronę konkretności, materii, a może w stronę instynktu, ciemności i seksualności.

- Może chodzić o nierozwiązany problem z matką? - spytała Faustine.

- Tak, może chodzić o jego własną historię, o wspomnienia. Dokończę poprzez omówienie symboliki liter, gdyż one również, jak wszystko inne, mają swoje konotacje. Zatrzymam się na dwóch: „a” i „b”. „A” to pierwsza litera alfabetu i aby dać wam jakieś pojęcie o jej znaczeniu, powiem, że alfabety wszystkich języków zaczynają się od „a”. Po raz kolejny możemy dywagować na temat braku udziału przypadku podczas powstawania naszych cywilizacji. Może chodzi o to, że pierwszym przyjemnym dźwiękiem, jaki wydobywa się z ust noworodka,

jest długie „a”? Nie wiem. W każdym razie „a” otwiera alfabet, a więc stanowi początek znajomości języka. „A” otwiera życie, krótko mówiąc. To litera zapewniająca poczucie bezpieczeństwa, teoretycznie zamknięta, dobrze ustawiona, odnosi się do miłości, życia, bezpieczeństwa i radości. Podobnie jak wszystkie inne uczuciowe litery, pętlę małego „a” powinniśmy zacząć kreślić od góry, od prawej ku lewej, przeciwnie do ruchu wskazówek

zegara. Tymczasem Hybris rysuje swoje zgodnie z ruchem wskazówek, są one nachylone, przypominają bardziej „o” i są jakby obumarłe w porównaniu z innymi literami. Natomiast „b” odnosi się do matki, podobnie zresztą jak „f” i „m”. Odnoszą się do bezpieczeństwa domowego ogniska, dzieciństwa, pokarmu uczuciowego otrzymywanego od matki, budzenia świadomości i rozwoju osobistego. U Hybrisa „b” również jest nieładne, pętla jest otwarta na lewo, teoretycznie powinna symbolizować dobrze ustawiony cokół, u niego wyraźnie niepełny.

- Wyraźnie cierpi na brak matczynych uczuć - podsumowała Faustine niczym pilna uczennica. - Nie ma w sobie miłości, nie odczuwa jej, tak jak jego „a” są obumarłe, tak owo uczucie niemal w nim nie istnieje. Jego osobowość nigdy nie zaznała poczucia bezpieczeństwa, jest źle skonstruowany, jego relacja z matką była niepoprawna, dręczy go przeszłość, żyje w świecie fantazji, zapewne seksualnych, niezwykle wyrafinowanych, które usiłuje zwalczyć. Czy dobrze to ujęłam?

Guy zaklaskał w dłonie.

- Dodam, że nie pociągają go inni ludzie, nie przejmują się zasadami, nie szanuje praw, jeśli mają negatywny wpływ na jego dobre samopoczucie, pragnie jednak, żeby go dobrze odbierano, w każdym razie próbuje robić wrażenie, jakby interesował się innymi, choć to tylko pozory.

- Kolor żółty?

- Właśnie, i ten jego nacisk na „ja”. Hybris jest przewidujący, zorganizowany, lecz stosunkowo nietolerancyjny. Ponadto wyraźnie widać w nim nieustanną walkę, głęboki niepokój, introwertyczne życie, w którym nie ma miejsca dla innych. Ale czasami traci kontrolę nad sobą. Bywa nieprzewidywalny.

- Zabija w tych właśnie chwilach nieopanowania? To nie pasuje do obrazu zorganizowanego mordercy.

- Być może rozpoczął swoją „karierę” kryminalisty, utracił kiedyś kontrolę, teraz jednak powiedziałbym, że zabija tak, jakby otwierał zawór bezpieczeństwa w celu wypuszczenia nadmiaru gazu. A jako że przyspieszył tempo, ośmielę się podsumować swoją wypowiedź stwierdzeniem, że zasmakował w tym, że w momencie zabójstwa dzieje się coś, co wywołuje w nim silne uczucie satysfakcji, warte ponownego podjęcia ryzyka. Taki właśnie jest Hybris. I co? Czy pośród ludzi, których ostatnio spotkaliśmy, jest ktoś, kto wam go przypomina?

Spojrzenia Faustine i Guya skierowały się na tę samą osobę.

Na Martiala Perottiego.

36.

Perotti pogładził nerwowo wąsy.

- No co? Czemu tak na mnie patrzycie? Chyba nie sądzicie, że...

- Niech się pan uspokoi - zaśmiał się Guy - Jest pan przewrażliwiony, przyjacielu. Szczególnie jak na policjanta!

- Ale ta cała historia z matką, kawalerem i całą resztą wymęczyła mnie umysłowo. Zaczynam się zastanawiać, czy jestem normalny!

Faustine obdarzyła go czułym uśmiechem.

- Proszę się nie obawiać, nikt nie jest w pełni normalny! A problemy z matką albo jakąś kobietą ma chyba każdy z nas trojga.

- Właśnie, a swoją drogą - zawołał Perotti - skąd pan wie, że nie jest to pismo kobiety?

- Prawdę mówiąc, nie wiem nic oprócz naszych poprzednich konkluzji. Mam dla pana zadanie, Martial. Czy mógłby pan sprawdzić w archiwach, czy nie zamordowano w ciągu ubiegłego roku jakiegoś naprawiacza butów i anioła stróża?

Na te słowa Perotti klepnął się w czoło.

- Do licha! Zapomniałem! Jak tu przyszedłem, powiedziałem, że mam nowe wieści. Wczoraj po tej historii z włoskimi imigrantami wpadłem do archiwum. Chciałem sprawdzić, czy dokonano innych morderstw wyraźnie wyreżyserowanych, będących swego rodzaju rytuałem: z pobraniem organów, przedmiotami w miejscach intymnych i tak dalej. Wydobyłem więc wszystkie akta niewyjaśnionych morderstw z ostatnich dwudziestu miesięcy. Olbrzymi stos! Spędziłem nad nimi dziesięć godzin!

- Z jakim rezultatem? - spytała Faustine.

Perotti podtrzymywał napięcie, nie odpowiadając od razu i uśmiechając się z zadowoleniem.

- Cztery morderstwa latem ubiegłego roku, pomiędzy czerwcem a wrześniem.

- Jedno na miesiąc! - stwierdziła Faustine. - A gdyby to miało związek z cyklami księżyca?

- Nie przyspieszyłyby - odparł Guy niewzruszony. - Martial, proszę mówić dalej.

- Dwie kobiety, jedna prostytutka i druga nierozpoznana, i dwaj mężczyźni, prawdopodobnie nędzarze. Biedacy! Rozpruto im brzuchy i pobrano wszystkie narządy! U niezidentyfikowanej ofiary brakuje również głowy.

- Co za koszmar! - szepnęła Faustine przez zęby.

- W jakim regionie Paryża? Na wschodzie czy w okolicach wystawy?

- Tu sprawy się komplikują: każda z ofiar znaleziona została w innym miejscu. Pierwsza na rogu Pont au Change i Quai de l'Horloge.

- Tuż pod nosem policji! - zawołał Guy. - To prowokacja. Kiedy to się dokładnie stało?

- W czerwcu tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego dziewiątego, dwunastego czerwca. Ciało znalazł o czwartej rano patrol policjantów. Z całą pewnością brzuch rozpruto ofierze gdzie

indziej, nie było bowiem śladów krwi. Drugie zwłoki odkryto dwudziestego pierwszego lipca przed schodami Giełdy. Takie same okoliczności.

- Kolejny symbol. Tym razem handlu, zysku i kapitalizmu - zauważyła Faustine.

- Trzecie ciało dziesiątego lipca od strony Montmartre'u, na ulicy Deux-Frères, i wreszcie pierwszego września, tę bez głowy, znaleziono na placu Concorde.

- Na placu Concorde? - powtórzył Guy.

- Tak, teren budowy wystawy zajmował większą część placu, zwłoki znaleziono w pobliżu ogrodu. W żadnym przypadku nikt nic nie widział, nie ma żadnych świadków. Wszystko wskazuje na to, że osoby te zostały zabite gdzie indziej, na ostatniej znaleziono ślady oleju doskonałej jakości. Śledczy nie otrzymali wówczas jeszcze polecenia, by robić jak najmniej, i wykonali kawał dobrej roboty. Zbadali ów olej, który jak się okazało, cechowała wyjątkowo niska lepkość i był co najmniej... wyjątkowy: udało im się stwierdzić, że chodzi o olej z morświna.

- Cóż to takiego?

- Niestety śledztwo przerwano wkrótce potem, poprzednich inspektorów zastąpili Pernetty i Legranitier, a znamy przecież ich upodobanie do zamykania spraw.

- Olej z morświna... - rzekł Guy w zamyśleniu. Jego twarz rozpromieniła się nagle. - Oczywiście! Anna Zebowitz także miała na swoich ubraniach oleiste plamy! Kiedy coś powtarza się dwa razy z rzędu, nie jest już szczegółem, lecz staje się wskazówką!

- Do czego używa się tego oleju? - dopytywała Faustine.

Obaj mężczyźni milczeli.

- No cóż - podjął Guy - możemy na tej podstawie stwierdzić, że Hybris rozpoczął swoją karierę już rok temu i nie próżnował: mamy już dwadzieścia udokumentowanych ofiar, wliczając Elikę, żonę Bomengo.

Wypowiadając imię młodego Kongijczyka, Guy poczuł lekki zawrót głowy. Zamknął natychmiast zawory swojej pamięci, odpychając fale przerażenia i poczucia winy, które zaczynały zalewać jego świadomość. Śmierć Bomengo nie będzie daremna, powiedział sobie, jeśli jego poświęcenie pozwoli schwytać Hybrisa.

- Dwadzieścia ofiar w ciągu dziesięciu miesięcy! - sprecyzował.

- Nie mogę uwierzyć, że policja nic nie robi - oburzyła się Faustine. - A dziennikarze? A zwykli ludzie? Nikt nie reaguje!

- Brak jakiegoś wspólnego punktu... Może na tym polega inteligencja Hybrisa? Wybiera swoje ofiary w różnych miejscach, tak aby ludzie się nie zorientowali. Wyjątkiem jest ulica Monjol, lecz powszechnie wiadomo, że to Czyściciel i nikt stamtąd nie przyjdzie wypłakiwać się policji, podobnie każdy zrobi wszystko, byle nie zadawać się z dziennikarzami.

- Dlaczego pastwi się nad dziewczynami z Monjol? - zdziwiła się Faustine. - Było ich aż siedem!

- Nie mam pojęcia. Biorąc pod uwagę jego pomysłowość, musiał mieć jakiś dobry powód. Martial, czy nie znalazł pan czegoś, co wydarzyło się przed tymi czterema zbrodniami?

- Nic, pierwsza wzmianka o tego typu morderstwie pochodzi z czerwca. Czy ciała, które

oglądaliście wczoraj w kostnicy, mogły należeć do zaginionych z ulicy Monjol?

- Niewykluczone. Musiałbym zaaranżować spotkanie doktora Ephraima i Króla Wszarzy. Jeśli bowiem te dwanaście zwłok nie będzie pasować, będzie to oznaczało, że zabójstw było więcej niż dwadzieścia. A dokładnie dwadzieścia sześć.

- Dwadzieścia sześć - powtórzył cicho Perotti.

Na strychu zapanowała cisza. Każdy wpatrywał się w dal oszołomiony liczbą, która ocierała się niemal o groteskę.

Z oddali, gdzieś z głębi lokalu, docierała do nich melodia grana na pianinie.

- Zabija mężczyzn, kobiety, nastolatków i ludzi starszych - rozmyślał Guy na głos. - Jak gdyby najważniejsza była potrzeba mordowania, a nie rozprawienie się ze światem fantazji. Nie mogę jednak uwierzyć,

że inteligentna istota może dokonać takiego czynu, nie będąc pod presją potężnego, wszechogarniającego urojenia. Wiemy zaś z analizy grafologicznej, że Hybrisa prześladowuje przeszłość, ma problem z matką, a duża część jego obecnych zachowań została przez to wszystko zepsuta. Byłbym skłonny twierdzić, że Hybris zabija, aby rozprawić się z tą anomalią.

- Jakiego typu anomalia lub urojenie dotyczyłoby ludzi obydwu płci i w każdym wieku? - spytała Faustine.

- To właśnie pytanie powinniśmy sobie zadać. Z pewnością musi być to związane z usunięciem, jakiego Hybris dokonuje, pobierając organy swoich ofiar. Martial, sprawdził pan może, czy w ciągu ostatnich dwóch dni nie dokonano nowego morderstwa?

- Rozpytuję, na razie nie słyszałem o niczym szczególnym.

- Proszę być czujnym w tej sprawie. Czy Hybris tego chce, czy nie, każda zbrodnia jest dodatkową wskazówką dotyczącą jego tożsamości. Proszę spróbować sprawdzić, czy któryś ze zmarłych mężczyzn sprzed Giełdy i z Montmartre'u nie był przypadkiem aniołem stróżem albo nie zajmował się odzyskiwaniem starych butów. Faustine, wspominała pani, że ma możliwość zdobycia informacji na temat Wystawy Światowej.

- Od angielskiego inżyniera, owszem.

- Proszę go spytać, na jakim etapie były prace w październiku ubiegłego roku. Wtedy właśnie dokonano pierwszej zbrodni na terenie wystawy.

- Podobno mieliśmy się już nie rozdzielać.

- Pójdzie pani tam z Gikaibem. Perotti będzie bezpieczny wśród swoich kolegów.

- A pan co będzie robił? - spytał Perotti.

- Udam się na miejsce pierwszych czterech zbrodni, tych najdawniejszych. Pierwszy raz jest zawsze wyjątkowy, szczególnie. Hybris

nie wybrał tych lokalizacji przypadkowo, podrzucenie ciała tuż pod siedzibę policji lub na schody Giełdy jest zbyt symboliczne. Chciałbym pojąć, co się dzieje w umyśle Hybrisa.

Perotti zrobił ponurą minę.

- Niech pan uważa - powiedział. - Nie jestem pewien, czy dobrym pomysłem będzie schodzić w tę otchłań.

- Znam ją - mruknął Guy, wstając. - Znam...

- Będzie pan sam - przypomniała Faustine.

Guy kiwnął z uporem głową.

- Hybris wie, kim jestem i gdzie mieszkam. Mam nadzieję, że będzie chciał mnie śledzić. Skoro ja nie potrafię dotrzeć do niego, może on przyjdzie do mnie.

37.

Faustine chowała się przed słońcem pod białą umbrellką naszywaną perłami i tiulowymi kokardkami.

Potężna postać Gikaiba dostarczała jej dodatkowej osłony.

Czekali już od dziesięciu minut na Marcusa Leicestera.

Przed południem Faustine zadzwoniła do Louisa Steirna z pytaniem o kontakt do angielskiego inżyniera, z którym następnie umówiła się w Pałacu Elektryczności.

Rozciągał się za wieżą Eiffla, a taki był wielki i szeroki, że wieża wydawała się przy nim o wiele niższa niż w rzeczywistości. Lecz Faustine była przede wszystkim pod wrażeniem widoku wieży ciśniętej zasłaniającej wejście do pałacu.

Przed nią wznosiła się grotta o oszalałej perspektywie, zwieńczona półokrągłym frontonem, pod którym układały się piętrami niecki szerokie na kilkadziesiąt metrów. Kaskadami spływała do nich woda, wypełniając wielki niczym jezioro basen urozmaicony tańczącymi strumieniami, które przypominały obłoki pragnące oderwać się od tafli. Sześćdziesiąt metrów kamienia o dopracowanych detalach: twarzach, zwieńczeniach, nieckach i ciałach uciekających jedno od drugich, spadających z nieba, pięknych niczym zagubiony na ziemi fragment Raju.

Faustine spędziła dłuższą chwilę przed wielkim skalnym blokiem umieszczonym pośrodku budowli, stanowiącym podstawę dla grupy białych figur, pompatycznych alegorii: Ludzkość zmierzała w stronę

Przyszłości, prowadzona przez Postęp, który odpychał dwie szamoczące się w wodzie furie: Rutynę i Nienawiść.

Przez chwilę wyobrażała sobie Hybrisa na miejscu Ludzkości.

Wszelkie chywy są dozwolone pod pretekstem przeżycia, postępu.

Ewolucji.

Łącznie z usuwaniem wszystkiego, co stanowi przeszkodę na naszej drodze.

Wystarczy ulżyć swojemu sumieniu, zezwalając nieprzyjacielowi na każdą formę oporu i niezadowoloną minę.

Alegoria ta była zdecydowanie za bardzo pretensjonalna, by spodobać się Faustine, która odeszła nieco na bok, chcąc uniknąć mżawki niesionej od wody przez podmuchy wiatru.

- Poczekaj tu na mnie - powiedziała do Gikaiba.

Dostrzegła stojącą na uboczu budkę bez żadnego opisu, jak gdyby nie była otwarta dla publiczności, a jako że Leicester wciąż się nie pojawiał, udała się w tamtą stronę.

Na drzwiach widniał napis „Tylko dla pracowników administracji”.

Ze środka wyszedł mężczyzna w wygniecionym kapeluszu i Faustine zatrzymała go gestem dłoni.

- Przepraszam pana - powiedziała z najbardziej ujmującym uśmiechem - chciałabym

zasięgnąć kilku informacji na temat tego miejsca.

Mężczyzna zmrużył oczy, podziwiając wielkiej urody kobietę, i uchylił kapelusza na powitanie.

- Na temat Pałacu Elektryczności? - spytał.

- Tak, i na temat sąsiednich wystawców.

- Co by panienka chciała wiedzieć?

- Szukam oryginalnych szczegółów konstrukcji, anegdotek, wszystkiego, co ożywiłoby spotkanie w gronie przyjaciółek.

- Jestem jednym z organizatorów tej przestrzeni, nie mogła pani lepiej trafić! Theodore Sébillot, do usług.

- Faustine - przedstawiła się, podając mu rękę, by mężczyzna mógł schylić się nad nią, markując szybki pocałunek.

- Anegdotek tu nie brakuje! Chce pani, bym ją oprowadził?

- Chciałabym bardzo, niestety jestem umówiona z kimś, kto zapewne zaraz się tu pojawi. Czy nie moglibyśmy...

- Kiedy tylko pani zechce, Faustine - odparł Sébillot pośpiesznie.

Urok młodej kobiety czynił cuda.

- Wrócę tutaj jutro po południu - odparła. - Widzi pan, ciekawi mnie wszystko, co dotyczy fundamentów, podstaw, krótko mówiąc, tego, co niewidoczne. Nie umiem ukryć zainteresowania tymi wszystkimi wspaniałymi konstrukcjami, jeszcze bardziej jednak zajmuje mnie to, co je podtrzymuje. Mam też wyraźną skłonność do historii... pikantnych, żeby nie rzec przerażających!

- Może być pani pewna, iż usłyszycie ich jutro aż nadto! Nie będę teraz zatrzymywał panienki dłużej...

Pożegnał się i wrócił do swoich spraw; na jego obliczu malował się błogi uśmiech. Faustine była zachwycona. Jeśli miały tu miejsce porwania pracowników lub inne ponure wydarzenia podczas budowy wystawy, przy odrobinie szczęścia człowiek ten zrelacjonuje je szczegółowo.

Siła, z jaką Faustine oddziaływała na mężczyzn, wciąż nie przestawała jej zadziwiać. W społeczeństwie, w którym w dobrym tonie było posiadanie metresy, piękna kobieta umiejąca zrobić użytek ze swych powabów fizycznych i strojów mogła wymóc na mężczyznach niemal wszystko.

Julie dobrze ją wyedukowała przez te wszystkie lata. Nauczyła ją odwracać jej kobietą kondycję - kierować nią, a nie tylko ją znosić.

Faustine nie dążyła do egzystencji żony posłusznej mężowi, pod każdym względem nienagannej: w prowadzeniu domu, wspieraniu małżonka, usługowej i łagodnej. Słowa Julie wryły się w jej głowie: „Szanujący się mąż to mężczyzna wierny, nie żonie, której nie potrafiłby narzucić swych cielesnych kaprysów dyktowanych mu przez naturę, lecz domowi publicznemu, którego dobre zwyczaje i higienę zna, który gwarantuje mu powrót do żony w dobrym zdrowiu i dobrze przygotowanym na zadania czekające go w łóżu małżeńskim”. Julie

martwiła się głosami polityków nawołujących do zamknięcia burdeli, obawiając się nie tyle o swój biznes, ile o równowagę związków, i często powtarzała, że byłoby to równoznaczne z zastąpieniem zdrowego rozsądku hipokryzją.

Faustine była pewna jednego: w Buduarze widziała już tylu mężczyzn o nieskalanym publicznie honorze, że nie mogła wierzyć w wierną i romantyczną miłość. Przyzwyczyła się do myśli, że tacy już zostali stworzeni i nie są w stanie zadowolić się ograniczonym związkiem. Woląla zatem być sama niż nieszczęśliwa.

Gikaibo podszedł do niej, osłaniając ją swoim cieniem.

- Chyba twoje spotkanie tutaj - wyrzucił z siebie niemal bez rozdzielania wyrazów.

Marcus Leicester skłonił się przed nimi. Rudzielec ubrany był w elegancki dopasowany szary garnitur podkreślający jego długie kończyny, na głowie miał cylinder. Obnosił dumnie rzadki wąsik na górnej wardze i przystrzyżone do szpica bokobrody, które wzmacniały tylko efekt kanciastości jego rysów i uwydatniały zapadnięte policzki.

- Proszę mi wybaczyć spóźnienie, miałem natłok gości przez cały poranek.

- Wybaczam panu, narzuciłam się w ostatniej chwili. - Odwróciła się w stronę japońskiego olbrzyma i wsunęła mu w dłoń kilka monet. - Gikaibo, znam twoje zamiłowanie do lodów, oszczędzę ci dreptania za nami krok w krok i wyjaśnień, których i tak nie zrozumiesz. Spotkamy się później u lodziarza, którego przed chwilą minęliśmy.

- Guy powiedział: idę za tobą wszędzie.

- A ja mówię: idź odpocząć i zjeść lody, zasłużyłeś sobie! A więc znikaj!

Faustine patrzyła z ulgą, jak Gikaibo się oddala. Jego obecność zmieniała jej relacje z mężczyznami, byli wówczas mniej oddani.

- Zajmuje się pan zegarmistrzostwem, prawda? - spytała angielskiego inżyniera.

- Tak jest. Powinienem zresztą mieć siedzibę w sektorze zegarów na pierwszym piętrze pałacu Inwalidów, lecz przeniesiono mnie w zeszłym roku, jeszcze podczas trwania prac nad wystawą, do angielskiej sekcji przemysłu. Ostatecznie jestem zadowolony z tej decyzji, moja pracę dostrzega się bardziej niż innych zegarmistrzów.

- W imieniu ludu francuskiego przepraszam pana za ten przejaw rasizmu, niestety tak charakterystycznego dla naszych czasów.

- Och, proszę się nie przejmować, mieszkam w Paryżu od ponad dziesięciu lat, przyzwyczyłem się już do wielu zachowań.

- Zresztą posługuje się pan doskonałą francuszczyzną! Gratuluję!

- Czy pozwoli się pani zaprowadzić do mojego królestwa?

Faustine przyjęła jego ramię i ruszyli przez tłum w stronę chłodnego wnętrza budynku zbudowanego w stylu całej wystawy: z przesadą.

Szli przez wypełnione ludźmi alejki, mijając setki samochodów z całego świata - każdy model wkrótce miał wejść do obiegu - po czym znaleźli się w ogromnej hali, przy której bładły wszystkie paryskie dworce. Imponujące maszyny o napędzie parowym, gazowym i elektrycznym zajmowały miejsce aż po horyzont, niektóre podłączone były do krosien tkackich, które dzięki temu działały o wiele szybciej niż obsługiwane przez człowieka.

W chaosie pomruków, pisków, brzęczenia i okrzyków zachwyty Faustine i Marcus Leicester przemierzyli wszerz halę i dotarli do monumentalnych ażurowych schodów z żelaza i piaskowca, którymi wyszli na pierwsze piętro, gdzie było dużo już spokojniej.

- Przyjechał pan do Francji tuż przed falą zamachów anarchistycznych, prawda?

- Dokładnie w tysiąc osiemset osiemdziesiątym dziewiątym roku.

- Czy ta przemoc nie spłoszyła monarchisty, którym pan jest? - zażartowała Faustine.

- Ależ bynajmniej! Nie czułem się swobodnie w swoim kraju, rodzinne historie zmusiły mnie do opuszczenia ojczystej ziemi.

Przypominając sobie portret psychologiczny naszkicowany przez Guya, Faustine jeszcze bardziej się zaciekawiła.

- Rodzinne historie? To straszne nie móc zaufać tym, z którymi łączą nas więzy krwi!

- Tak, mój starszy brat źle zniósł śmierć rodziców, zaparł się i obraził się na siebie. Udało mu się nastawić przeciwko mnie całą rodzinę. Wolałem więc wyjechać z Londynu i zmienić otoczenie. Poza tym Paryż słynie z jubilerstwa i z zegarów. Wiedziałem, że zostanę tu dobrze przyjęty. Nie rozczarowałem się, proszę mi wierzyć.

Weszli do działu Wielkiej Brytanii poświęconego wyłącznie kopalniom i metalurgii, minęły piramidy kabli i sztab z angielskiej stali,

gwoździ, śrub, narzędzi i wiele gablot z materiałami wybuchowymi Nobla. Nazwiska takie jak Nettlefolds czy G. Craddock & Co, wypisano pięknymi złożonymi literami nad witrynami, a przedstawiciele rzeczonych przedsiębiorstw zaczęli przechodniów, by zachwalać im swoje produkty.

Faustine uświadomiła sobie, że wystawa nie jest tylko pretekstem do dostarczania rozrywki tłumom, kiedy odbywają się dyplomatyczne spotkania, na których ustala się przyszłe sojusze - to również nieoceniona platforma współpracy w dziedzinie światowego przemysłu i handlu.

Stoisko Leicesterera znajdowało się w głębi budynku: dwie wielkie przeszklone szafy wypełnione były skomplikowanymi mechanizmami, maleńkimi częściami i wreszcie przepięknymi zegarkami połyskującymi w elektrycznym świetle lamp.

- Oto moje królestwo! - zawołał dumnie Marcus Leicester.

- Pan wykonał wszystkie te zegarki?

- Tak, oczywiście z ekipą.

- Jest was wielu?

- Mam asystenta i terminatora. To znaczy miałem. Terminator opuścił nas z początkiem roku.

Faustine spytała podejrzliwie:

- Opuścił? Chce pan powiedzieć, że...

- Nie! Dobry Boże, nie! Nie w tym sensie, po prostu wybrał konkurencję! Proszę się nie obawiać!

- A więc eksponuje pan wyroby swojego przedsiębiorstwa, mając nadzieję na jego komercjalizację?

- Tak, to sposób, żeby dać się poznać. Koperty z solidnej nierdzewnej angielskiej stali, wytrzymałe mechanizmy. Moja specjalność to zegarki, które po nakręceniu chodzą dłużej niż inne. Ponad czterdzieści godzin!

- Fantastyczne! - odparła z udawanym entuzjazmem Faustine.

Pozwoliła mu opowiadać o wyczynach technicznych, jakich udało mu się dokonać, podziwiając z atencją każdy przedmiot, na który wskazał. Specjalnie z myślą o niej wyciągał z gablot precyzyjne mechanizmy, kładąc każdy na jej dłoni.

- A oto najbardziej rozchwytywany model! - zakończył. - Tourbillon Leicestera od nazwy tego złotego kółeczka, które widzi pani tuż nad godziną szóstą.

- Czymże jest ten tourbillon? - spytała Faustine szukająca desperacko, jak by tu skierować rozmowę na interesujący ją temat, nie okazując się znaną niedyskretną.

- Widzi pani, siła ciężenia wywiera nieustanny wpływ na delikatne mechanizmy zegarków. Aby przeciwdziałać zakłócaniu ruchu mechanizmu balansu, słynny zegarmistrz Breguet wymyślił niegdyś tak zwaną klatkę obrotową, która sprytnie reguluje ruch przekładni chodu, dzięki czemu zegarek chodzi punktualnie.

- Krótko mówiąc, człowiek zdołał zatriumfować nad grawitacją w najbardziej delikatnym mechanizmie!

- Właśnie! Nie muszę chyba pani mówić, że zbudowanie tourbillonu jest wyjątkowo skomplikowane, dlatego też udaje się tylko najlepszym zegarmistrzom.

- W jaki sposób posiadał pan tę sztukę?

- Dzięki ojcu. Przejąłem po nim rodzinny interes.

- Czy był znany w Anglii?

- Niestety, nie tak bardzo, jak by sobie życzył. Jego marzeniem było to, czego dokonał Breguet: dostarczać zegarki rodzinie królewskiej. Mam nadzieję, że pewnego dnia mnie się to uda.

- Byłby to piękny odwet! I jaka ironia losu: poddany jej wysokości wygnany do Francji staje się głównym dostawcą zegarków dla monarchini! Dlaczego wybrał pan właśnie nasz kraj?

- Za sprawą Louisa Steirna. Poznałem go w Londynie w osiemdziesiątym siódmym roku. Mieszkał na Bedford Street, niedaleko mnie, a ponieważ niańka nauczyła mnie niegdyś francuskiego, pewnego wieczoru w pubie zawarliśmy znajomość. Od tamtej chwili, czyli już trzynaście lat, jesteśmy przyjaciółmi.

- Steirn mieszkał w Londynie? Co tam robił?

- Zafascynowany spirytyzmem, wbił sobie do głowy, że spotka się ze wszystkimi wielkimi mediami na świecie.

- I dokonał tego?

- Nie, prawdę mówiąc, sądzę, że poprzestał na Londynie, gdzie spędził sporo czasu u boku słynnej Heleny Bławatskiej, wyjechał jeszcze do Nowego Jorku i Chicago, po czym wrócił wymordowany czterema latami podróży i poszukiwań.

- Nie sądziłam, że to pasja tak bardzo męcząca. Myślałam, że Koło Serafinów jest tylko rodzajem salonu, który pan Steirn stworzył dla rozrywki.

Leicester wydał się dotknięty słowami Faustine.

- To nie jest żadna rozrywka! - odparł oschle. - To sedno jego życia! Jego dzieło!

- Krótko mówiąc, jest dzieckiem Allana Kardeca.

- Ależ nie! Louis nie podziela poglądów Kardeca. Oczywiście jego perisprit jest interesujący, lecz teoria progresji poprzez reinkarnację niewiarygodna. Zdaniem Louisa dusze łączą się czasami ze zbiorową podświadomością, wywierając wpływ na wewnątrzmaciczne życie płodu, ale nic poza tym. Reinkarnacja duszy w nowym ciele jest absolutnie bezsensowna dla każdego, kto doświadczył tego, czym Louis i hrabina Bolosky dzielą się z nami.

Czując, że zbaczają na delikatny temat, Faustine wołała więcej się nie dopytywać.

- Jak sądzę, poświęca pan cały czas tej wystawie.

- Nawet więcej, niż pani przypuszcza.

- A jak długo przygotowuje się taki projekt?

- Miesiącami! Istną gehenną administracyjną było dopilnowanie, by moja kandydatura wystawcy została przyjęta!

- Doszły mnie słuchy, że niektórzy wystawcy zajmowali tu miejsca już zeszłego lata.

- Wątpię, budynek był wówczas jeszcze stawiany. Za to z początkiem października otrzymaliśmy pozwolenie wstępu, żeby przygotować stoiska.

W październiku. Pierwsze ciała w kanałach. Serce Faustine zabiło gwałtownie.

- Był pan tutaj w tym czasie? Często pan przychodził?

- Tak, oczywiście, dlaczego pani pyta?

Ignorując pytanie, drążyła dalej:

- Czy w tym czasie nie zauważył pan niczego osobliwego? A może uszu pana doszły jakieś przerażające pogłoski?

- Przerażające pogłoski? O co pani chodzi, Faustine?

- Zbieram materiał na książkę o ciemnej stronie Paryża, o wszystkim tym, czego nie wiemy o mieście, chcę opisać najdziwniejsze zbrodnie, najbardziej zaskakujące anegdoty.

Prawa brew Leicesterera uniosła się, podkreślając pełną powątpiewania minę.

- Cóż za osobliwy pomysł! - skomentował. - Muszę panią rozczarować, lecz nie mam do opowiedzenia nic godnego uwagi. Chociaż oczywiście nie przebywałem tutaj cały czas, regularnie podróżowałem do Londynu w interesach.

- Ach, no cóż, trudno. Londyn musi być wspaniałym miastem.

- Owszem. Jest kosmopolityczny i rozprzestrzenia się we wszystkich kierunkach. Przyznam też, że różnorodność kolonii dodaje mu nieco egzotyki, wyróżniając go spośród pozostałych miast Europy.

- Często pan tam bywa?

- Wyjeżdżam na dwa tygodnie co miesiąc, czasami częściej. Na przykład tuż przed otwarciem wystawy pojechałem odebrać zamówiony towar od dostawców, na ojczystej ziemi spędziłem wówczas cały luty.

Luty, zniknięcie Louise z ulicy Monjol.

Od kilku minut Faustine widziała w Marcusie Leicesterze idealnego podejrzanego, lecz to alibi rozgrzeszało go z co najmniej jednej zbrodni Hybrisa. A częste nieobecności, gdyby je dokładnie przeanalizować, uniewinniłyby go zapewne ostatecznie. Hybris nie mógł bez przerwy podróżować, wolał tryb osiadły, potrzebował czasu na przygotowanie zbrodni, musiał śledzić ofiary, zapoznawać się z nimi...

Przemierzali całą kolekcję angielskiego zegarmistrza i dotarli na jej skraj, na antresole zawieszoną nad parterem. W dole Faustine dostrzegła wchodzących i wychodzących z budynku zwiedzających, pełne entuzjazmu twarze zachwycone obfitością produktów ku chwale nowoczesnego przemysłu mimo wielu niedokończonych stoisk, jak to, nad którym się aktualnie znajdowali, wielkiej przestrzeni przykrytej białą plandeką. Postęp był właśnie na tym etapie, stwierdziła: pozostającej poza kontrolą ciągłej ewolucji w rękach wielu osób. Wszystkie chwytaki były dozwolone, o ile uzasadniał je postęp ludzkości. Ale jakiej ludzkości? - zastanawiała się Faustine. Masy istot czy tego, co charakteryzuje się jako formę życia obdarzoną wyjątkową empatią? Gdzie w tej erze pomyślnej dla przyszłości człowieka znajdują się filozofowie, którzy mogliby obdarzyć przemysłową furję odrobiną rozsądku? Czy przypadek sprawił, że najgorliwsi myśliciele są również największymi radykałami?

- Cóż za mrowisko, prawda? - zauważył Leicester.

- Właśnie! Mam nadzieję, że na koniec tego wszystkiego uda nam się zachować jednak naszą tożsamość. Proszę sobie wyobrazić świat

rzządzony przez te wszystkie maszyny, gdzie człowiek byłby tylko konsumentem!

- Do tego nigdy nie dojdzie.

- A to dlaczego?

- Bo w świecie, w którym maszyny byłyby wszechobecne, nie byłoby już wystarczająco miejsca dla nas wszystkich. Proszę na nie spojrzeć! Wykonują pracę za robotników! Co by się stało z robotnikami, gdyby wszystkich zastąpiły te wynalazki? Społeczeństwo to piramida, jest w nim miejsce dla każdego, a u jego podstawy znajdują się właśnie robotnicy, tak działa nasza cywilizacja. Co poczują, gdy okażą się niepotrzebni? Społeczeństwo straci swoje fundamenty! Zawali się! Nie, powtarzam: nigdy do tego nie dopuścimy

- Mam nadzieję, że przyszłość przyzna panu rację...

Rozmawiali jeszcze przez godzinę, zanim Faustine zdecydowała się zakończyć spotkanie.

Gdy odszukała Gikaiba, była w melancholijnym nastroju, pełna dręczących wątpliwości. Widok pretensjonalnej fontanny i idealistyczne wywody Leicesterera sprawiły, że uświadomiła sobie, iż cała wystawa jest tylko gigantyczną iluzją.

Służyła zgromadzeniu ludzi, dostarczeniu im rozrywki, dodaniu wiary w przemysłową przyszłość, poręczeniu za niekiedy szalone cele, jakie obierał sobie świat. Wystarczyło spojrzeć na kolonialną część wystawy ulokowaną wielkim kosztem w Trocadéro, mającą skusić paryżan egzotykiem i pozwolić im na darmową podróż do kolonii. Jednak każdy pawilon dążył przede wszystkim do jak największej malowniczości, plemienności, nigdzie nie zachwalano rzeczywistej kultury tych ludów, ograniczano się do pokazania ich w odpowiedniej scenarii, „dzicy” mieli w istocie podkreślić kontrast między człowiekiem prymitywnym i wspaniałym postępem pyszniącym się na drugim brzegu Sekwany.

Ów paradoks - społeczeństwo o dwóch obliczach - był czymś niezdrowym.

Nie zatem dziwnego, że ludzie pokroju Hybrisa rodzili się pośród bierności toczącej współczesny świat.

Istoty o zachwianych punktach odniesienia.

Faustine z Gikaibem wrócili do Buduaru, gdzie Jeanne przywitała ich dyskretnie.

- Julie jest na ciebie wściekła - powiedziała cicho.

- Dlaczegoż to? Bo nie pracuję?

- Mogłabyś się trochę postarać! Zaczynają krążyć plotki... Aha, jakiś pan cię szukał.

- Nie umawiam się na razie, muszę odpocząć.

- Nie szkodzi. Kiedy mu powiedziano, że cię nie ma, poprosił o Rose.

- Doskonale.

- Przed wyjściem przekazał to dla Guya, mogłabyś mu doręczyć?

Jeanne podała jej kopertę. Papier koloru kości słoniowej. Krew uderzyła Faustine do głowy, poczuła szum w uszach.

- Czy on tu jeszcze jest? - spytała, cała drżąc.

- Nie, zabrał ze sobą Rose. Chciał ją zaprosić najpierw na obiad.

- Wyszli? Rose jeszcze nie wróciła?

Jeanne popatrzyła na zegar w holu.

- Nie, nie ma ich już dłuższy czas.

Faustine odwróciła kopertę i ujrzała wypisane na niej imię „Guy”. Nagle zakręciło jej się w głowie.

Był to ten sam charakter pisma co na poprzedniej kopercie.

Pismo Hybrisa.

38.

Głuche uderzenia.

Powtarzające się w nieskończoność.

Drewniany młoteczek przyczepiony do biodra handlarki warzywami uderzał bez przerwy w cylinder, by przyciągnąć klientów.

Wydzierała się na przechodniów, rozpryskując wokół kropelki śliny, kontrastując swoją mało sympatyczną aparycją z pięknymi dojrzałymi warzywami.

Guy minął ją przed wejściem do Moulin de la Galette, skąd dobiegało szuranie krzesel i stołów przesuwanych przed myciem podłogi. Poprzedniego wieczora lokal jak zwykle trząsł się pod krokami tańczących i śpiewających do utraty tchu.

Odnalazł wreszcie ulicę Deux-Frères będącą w gruncie rzeczy ślepym zaułkiem wciśniętym między Moulin i Makie.

Miejsce było spokojne, odosobnione, po jednej stronie zza parkanu zalepionego plakatami ze spektakli kabaretów Montmartre'u wystawała roślinność porastająca ugór, po drugiej zaś wznosił się mur otaczający Moulin de la Galette i jego ogród. W środku nocy zapewne było tutaj gwarno, zważywszy na bawiących się tuż obok klientów. Hybris mógł spokojnie zabić tu swoją ofiarę.

Guy wyciągnął z kieszeni marynarki niewielki czarny karnecik, by zajrzeć do notatek.

Ofiara była mężczyzną.

Tak mało miał szczegółów! Cóż można zrobić z tak niewieloma informacjami?

Pokręcił się w głębi zaułka, chcąc przyjrzeć się miejscu jak najdokładniej. Nic już nie znajdzie przecież na ziemi, to pewne, minęło zbyt wiele czasu.

Usłyszał skrzypnięcie za plecami i odkrył niewielką furtkę prowadzącą na małe podwórko. Leżący w kącie stary kamień młyński i skromny obelisk z czubkiem skierowanym w stronę nieba zajmowały ową osobliwą przestrzeń.

Można było się tutaj dostać bez przeszkód, Hybris mógł również to uczynić; po namyśle Guy stwierdził, że jest to wręcz całkiem prawdopodobne.

Pochylił się nad zniszczonym przez erozję napisem na kamiennej kolumnie:

Rok MDCCXXXVI,

obelisk ten postawiono na rozkaz Króla,

by przyczynić się

do wytyczenia linii południka paryskiego

od strony północnej.

Południk przebiega o 2,931 sążnia i 2 stopy

od południowej strony Obserwatorium.

Czy mogło to mieć jakiś związek z Hybrisem? Jakiego można się tu doszukiwać

przekazu? W przypadku Quai de l'Horloge było to dość ewidentne: chęć sprowokowania policji, ale czy tutaj napis mógł mieć jakieś znaczenie?

Hybris zapewne wybrał ten zaułek ze względu na spokój.

Ślepa uliczka... to ryzykowne miejsce. Gdyby dał się zaskoczyć w trakcie dokonywania zabójstwa albo podrzucania ciała, nie miałby dokąd uciec. Jedynym przypadkiem, gdy zachował się równie nieostrożnie, była jego wyprawa na szczyt pałacu Trocadéro, a Guy uznał już, że Anna Zebowitz właśnie tam zginęła, uciekała przed zabójcą, który nie wybrał wcale tego miejsca.

Hybris jest ostrożny. Przewidujący! Nie przyszedłby tutaj i nie podejmował takiego ryzyka bez powodu, to do niego niepodobne!

A jednak Guy nie zauważył tu niczego szczególnego, nie licząc kamiennej wskazówki i porzuconego koła młyńskiego. Jaką symbolikę można by im przypisać? Koło żywiące ludzi i wzniesienie się w niebiosa? Odniesienie historyczne? Rok 1736... Do czego Hybris mógł czynić aluzję? Rojalista?

Guy westchnął i postanowił udać się na kolejne miejsce zbrodni, pierwsze bowiem nie zdradziło mu żadnej ze swych tajemnic.

Przemierzał Montmartre, odnosząc nieustannie wrażenie, że znajduje się na wsi, dopóki wreszcie paryski ruch nie zagłuszył świergotu ptaków Wskoczył do omnibusu, którym w samo południe dojechał do placu de la Bourse. W dzielnicy Sentier szwaczki opuszczały grupami pracownie, „midinetki” - jak je nazywano w całym Paryżu - z metalowymi pudełkami w dłoniach szukały ławek w parkach i na podwórkach, na których mogłyby zjeść południowy posiłek.

Guy wślizgnął się w to morze ludzi płynące ulicą w stronę ogrodu Palais-Royal i zatrzymał się naprzeciwko pałacu Brongniart. Osobnicy w czarnych strojach pokonywali schody w obie strony w takim pośpiechu, jakby przyszłość świata decydowała się w tej właśnie chwili.

Guy wyobraził sobie zwłoki mężczyzny leżące na stopniach świątyni zainspirowanej inną, wzniesioną na cześć Wespazjana, i zastygłe kaskady ciemnej krwi.

Dlaczego akurat Giełda?

Żeby oskarżyć bankierów i ich interesy? Czyżby Hybris tym razem skłaniał się ku anarchistom?

Było rzeczą oczywistą, że morderstwo nie mogło zostać popełnione tutaj, miejsce było zbyt odsłonięte, zbyt wiele okien wychodziło na plac, panował tu wzmożony ruch nawet w środku nocy

Hybris dysponował pojazdem, to pewne.

Porywał ofiary, zabijał je gdzieś, po czym zwłoki pozbawione narządów wewnętrznych podrzucił w symbolicznych zakątkach Paryża. Pozostawało jeszcze poznać znaczenie owych symboli.

Guy był pod wrażeniem rzędu kolumn - czy powinien się w nich czegoś dopatrywać? Zabrał się do liczenia.

Sześćdziesiąt sześć kolumn otaczających pałac.

Sześć to diabelska cyfra, szczególnie gdy zostaje potrojona.

Ale co mogło znaczyć sześćdziesiąt sześć?

Niewiele, obawiam się!

Zmęczony przywołał dorożkę i kazał się zawieźć na plac Concorde. Nie miał już odwagi udać się na Quai de l'Horloge, zresztą był tam zaledwie cztery dni wcześniej.

Wysiadł przed wejściem na most Concorde, chcąc nacieszyć się widokiem. W dole, tak jak co dzień, z barek wyładowywano piasek, żwir i drewno, na placu zaś rżały konie ciągnące kryte powozy, landa, czterokołowe kabriolety, furmanki, wyładowane po brzegi przyczepy pośród piętrowych autobusów i parowych omnibusów. Wślizgiwały się między nieliczne automobile wydające z siebie głośnie strzały przy każdym wciśnięciu pedału gazu.

Egipski obelisk odcinał się idealnie na tle wysokich fasad po drugiej stronie esplanady z kościołem Świętej Magdaleny w głębi.

Jeszcze jedna budowla z kolumnami.

I wtedy uderzył go pewien fakt.

Dwa obeliski!

Ten z Montmartre'u i ten tutaj.

Kolumny Giełdy

Wieża zegarowa górująca nad ulicą o tej samej nazwie.

Konstrukcje wznoszące się ku niebu.

Przywodzące na myśl potęgę. Władzę. Człowieczą wolę zbliżenia się do Boga.

Przypomniały Guyowi o czymś, co powiedziała swego czasu Faustine.

Widziała ona związek z seksualnością we wszystkim, co robił Hybris.

Obiekty te mogły również odnosić się do fallusa, długiego i napiętego.

Miała rację, Hybris miał problemy ze swoją seksualnością.

Czy zabijał prostytutki dlatego, że tak dobrze znał ulicę Monjol?

Był to trop, którego nie mógł zlekceważyć.

Tok myśli doprowadził Guya do Króla Wszarzy.

Potrzebował jego pomocy

Nie zwlekając, wskoczył do dorożki i kazał się zawieźć na drugi koniec Paryża.

Gdy dotarł na Monjol, dwie zgarbione bezzębne kobiety ruszyły w jego stronę:

- Pójdź, piękny panie! Podaruj mi swój sok!

- Zaprowadzę cię do gwiazd! - kusiała druga.

- Dziękuję, ale jestem umówiony - odparł Guy, odpychając je.

Kobiety jęknęły i splunęły za nim.

Guy odnalazł Victora, młodzieńca o delikatnym wąsiku - tym razem obnosił on również pięknie podbite oko - który poprowadził go do Króla Wszarzy, do ponurego domostwa o zamkniętych okiennicach, cuchnącego tytoniem i absyntem.

Gilles przyjął go chłodno, nadal nieogolony, z bliznami na czole i brodzie, krzaczastymi brwiami i wąskimi szczelinami zamiast oczu.

- Niech mi pan powie, że wypruł pan już flaki z tego śmiecia, który wyrządził nam tyle złego - rzekł na wstępie.

- Jeszcze nie. Ale jesteśmy coraz bliżej. Odkryliśmy ciała. Chcę wiedzieć, czy to dziewczyny z tej ulicy.

- To nie one.

- Skąd pan wie? Nikt od was nie był w kostnicy, żeby je zidentyfikować!

- Gruby i wścibski wrócili. Ich ludzie spuścili nam niezłe manto.

Pernetty i Legranitier.

- Z jakiego powodu?

- Dla przyjemności! Pytania zadawali później... Victor musiał pójść z nimi do kostnicy, żeby zobaczyć zwłoki. Nikogo nie rozpoznał, nawet po tym, jak znowu oberwał.

- To dranie - oburzył się Guy

Czyżby policja zintensyfikowała śledztwo?

W tym celu musiałyby je w ogóle zacząć! Sądzę raczej, że tak wielka liczba zwłok pod wystawą musi ich po prostu przerażać. Szczególnie dopóki ciała nie zostaną zidentyfikowane. Jeśli się okaże, że to mieszczenie, sprawy nie będzie można dłużej tłumić...

- Jeśli nie ma mi pan niczego innego do zakomunikowania, proszę iść, nie jestem w nastroju do wizyt. Chyba że chce się pan ze mną upić. Ma pan ochotę na szklaneczkę absyntu?

Guy odmówił uprzejmie i wycofał się z mieszkania, którego atmosfera przytłaczała go. Idąc w dół po skrzypiących schodach, zapytał jeszcze Victora:

- Wasz król nie czuje się za dobrze?

- Jest przygnębiony Tak już ma, raz wesoły, raz smutny. W takich chwilach nie ma co z nim zadzierać, gotów dźgnąć nożem o byle co.

- Więc nie rozpoznał pan w kostnicy ani jednego ciała?

- Nie, żadnego. Spośród tych, którzy jeszcze mieli łeb na karku! Niektórzy wyglądali paskudnie!

Stwierdziwszy, że oprócz podbitego oka ręce chłopaka również pokryte są sińcami, Guy spytał:

- Nie oszczędzili pana ci łajdacy. Wszystko z panem w porządku?

- Dam radę.

- Był pan u lekarza?

- Żeby wydebił ode mnie forszę? Jestem silny, czas mnie uleczy!

- Lekarz z kostnicy mógł pana zbadać, jestem pewien, że nie...

- Ten mosiek? To kompletny wariat! Bez przerwy opowiada o swojej żonie, jakby normalnie żyła!

- Edna? - przypomniał sobie Guy.

- Tak, właśnie!
- Skąd pan wie, że ona nie żyje?
- Ci dwaj łajdacy mi powiedzieli.
- Żeby pana nastraszyć.
- Nie, poważnie! Widziałem po oczach. Oni też go nie lubią.

Guy odpędził od siebie narastające w nim wątpliwości, nie miał czasu na rozważania na temat starego lekarza, który okazał się wobec niego bardzo sympatyczny Ephraim miał przecież prawo przeżywać żałobę po żonie.

Utrata bliskiej sercu osoby była czasami trudna do zaakceptowania.

Guy pożegnał Victora i wrócił na bulwar de La Villette, skąd poszedł dalej na piechotę, chcąc nieco porozmyślać.

Wśród dwunastu zwłok z kanałów nie było ciał zaginionych z ulicy Monjol.

Dwudziestu sześciu zmarłych.

Przerażające. Głównie kobiety, w większości prostytutki, ale także mężczyźni i nastolatki.

Co kierowało Hybrisem w jego wyborach? Nie mógł atakować na chybił trafił, Guy w to nie wierzył. Ofiary były przedmiotem jego rozmyślań i przygotowań. Dlaczego jednak wciąż coś zmieniał? Można zrozumieć, że ładacznicę stanowiły łatwą zdobycz, ale co z pozostałymi?

Guy czuł, że dysponuje już wystarczającą liczbą elementów układanki, należało je tylko połączyć, by odtworzyć znaczną część duszy Hybrisa, mimo to nie umiał dostrzec związków między nimi. Miał je w zasięgu ręki; frustracja związana z niemożnością znalezienia rozwiązania złościła go.

Czy powinien wziąć mapę Paryża i nanieść na nią miejsca zbrodni, które połączone liniami utworzą pięcioramienną gwiazdę lub jakiś ezoteryczny obrazek?

Zatrzymał się nagle przed wystawą sklepu kolonialnego wypełnioną małymi fiolkami.

Podszedł do kontuaru i spytał sprzedawcę:

- Czy ma pan może olej z morświna?
- Olej ze szczęki i głowy morświna? Owszem, mam, szczęściarz z pana!
- Dlaczego szczęściarz?
- W niewielu paryskich sklepach można go kupić, do licha!

- Nie miałem o tym pojęcia. Zlecono mi ten zakup. Ciekaw jestem, do czego ten olej właściwie służy?

- Och, do czego tylko zechcemy, to olej doskonałej jakości, przede wszystkim używa się go w kuchni, to także świetny środek nawilżający i powiem panu: niektórzy wlewają go nawet do lamp naftowych, podobno dłużej się wtedy palą i mniej śmierdzą! Za tę cenę to duże marnotrawstwo, jeśli chce pan znać moje zdanie.

- Wezmę jeden flakonik. Skąd pochodzi ten olej?

- Prosto z Kanady, przyjmuję dostawy średnio co trzy miesiące. Proszę, to już ostatnia butelka. Żona usmaży na tym piękny kawał mięsa!

Guy nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Kolejna tajemnica. Olej ten mimo wszystko

łączył się nierozdzielnie z Hybrisem, dwie z jego ofiar były nim poplamione, co jak na tak rzadki produkt nie mogło być zbiegiem okoliczności.

W drodze powrotnej do głowy przyszła mu pewna szalona hipoteza.

Wyjątkowy olej wykorzystywany do wyjątkowego celu.

Nie, to niemożliwe.

Nie do pomyślenia. Nie był w stanie ubrać tego w słowa.

Niemniej hipoteza, choć zapewne karkołomna, wyjaśniałaby niemal wszystko.

Wycinanie narządów. Coraz liczniejsze ofiary, w miarę jak Hybris nabierał apetytu.

Ohydne słowo.

Przerażające.

W głębi duszy Guy nie przestawał sobie powtarzać, że się myli, że przesadza.

Ale wątpliwość pozostawała.

Gdy dotarł przed dom publiczny, słowo nabrało kształtu, musiał więc je wypowiedzieć na głos. Szeptem:

- Kanibalizm.

39.

Czarne litery o rozciągniętych kreskach i kanciastych laseczkach, nieregularny lewy margines - Guy rozpoznał pismo bez żadnych wątpliwości.

Oddychał powoli zahipnotyzowany prostokątem papieru i tym, co ów implikował.

- Rose poszła z nim bez wahania? - spytał po raz drugi.

Faustine potwierdziła.

- I ani Jeanne, ani nikt inny go nie widział? Kto otworzył drzwi?

- Jeanne, ale nie przyjrzała mu się, miał kapelusz i czarne wąsy. To mógł być posłaniec, Hybris nie podjąłby ryzyka i nie wszedłby do środka, nie sądzi pan?

- Możliwe. Mógł też zgrzeszyć zarozumiałością, chęcią odkrycia kart, zabawienia się z nami.

Gramy w grę dla spryciarzy, rację ma ten, kto rację ma ostatni,

Król szachuje Damę, zabierając jej Wieżę,

co teraz pocznie Goniec?

Tik-tak tik-tak, wybija już prawie godzina

finiszu rozgrywki, triumfu Króla,

Melmoth wraca do domu, pragnie z wami skończyć.

Do wieczora.

Guy postukał w kartkę palcem.

- Charakter pisma się zmienił, zauważyła pani?

- Pisz zdecydowanie większymi literami, prawie nie zostawił marginesów.

- Istotnie, to dość dziecinna reakcja. Chce zagarnąć całą przestrzeń, pochłania ją, narzuca się, być może czuje się sfrustrowany i chce to sobie powetować. Ale przede wszystkim rzuca się w oczy rozmiar pisma: litery są czterokrotnie większe! I wszystkie znaki, które poprzednio analizowaliśmy, pojawiają się tutaj, tyle że powiększone. Sądzę, że za pierwszym razem Hybris przykładał się do napisania listu, chciał zwrócić się do nas poprzez swoją wiadomość, myślał o nas, redagując go. Tym razem liczy się tylko to, co on czuje. My przestaliśmy istnieć jako element składowy listu. Skupił się na sobie. Duże litery świadczą o kulcie własnej osoby, piszą tak również ludzie o nadmiernej wyobraźni, po których jednak nie należy się spodziewać obiektywizmu, gdyż są pochłonięci sobą.

- Nie dokończą wszystkich liter, kreseczki na „t” nie wszędzie są zaznaczone, „e” również są niepełne, „s” tak płaskie, że ledwo je widać, to nowość w stosunku do pierwszego razu.

- Coś przerywa jego rozmach, zakłóca spontaniczność; nie potrafi dokończyć myśli, jest podejrzliwy. Ale proszę zwrócić uwagę na kształt liter: przykłada się do nich jeszcze uważniej niż w pierwszym liście. „F” jest bardzo interesujące, to druga litera, której przypisuje się odniesienie do matki, do kobiety. Jest to tym bardziej trafne, że to jedyna litera, która ewoluuje na trzech płaszczyznach: ma laseczkę symbolizującą ideał kobiecości, wznoszącą się ku strefie

umysłu, nadziei, czyli ogólnie rzecz biorąc, ideału; ma też zawijas zakorzeniony w instynkcie i poziomą kreseczkę, która powinna w zasadzie łączyć „f z kolejnymi literami. Ta kreseczka symbolizuje terażniejszość, choć może się także rozciągać na przeszłość lub na przyszłość. Jego „f nie jest absolutnie harmonijne. Laseczka jest prosta, bez zawijasa, ma się ochotę powiedzieć: jałowa. Hybris ma złe zdanie o kobietach, proszę spojrzeć, że niemal nie

zaznacza poprzecznej kreseczki, „f” jest odcięte od pozostałych liter. Kobiety nie stanowią dla niego elementu równoważącego, oddala je więc, oddziela od społeczeństwa i innych ludzi. Jego laseczka przypomina odwrócony haczyk, to bardzo obrazowe, jeśli weźmiemy pod uwagę to, co robi.

- Poziome przekreślenie zaczyna się daleko przed pionową linią - zauważyła Faustine.

- To prawda, jest oddalone.

- Czy to znak, że chce rozwiązać swój problem z kobietami, jakieś bolesne wspomnienie?

- Proszę zauważyć, że „f' jest staranniejsze, gdy idzie w parze z dłuższym przekreśleniem. Skłaniałbym się raczej ku idei wszechobecności matki w jego wspomnieniach, co oznacza, że wywiera to duży wpływ na jego stosunek do kobiet. Innymi słowy: tylko matka jest dobra. Druga sprawa z tym związana: „p”. Jedna z trzech liter odnoszących się do ojca. Jeśli powiem, że laseczka symbolizuje siłę, męskość, a pętla „p” związana jest ze strefą uczuć, odczuwaną miłością ojcowską, to jaki wniosek może pani z tego wyciągnąć?

- Jego „p” są maleńkie, laseczka wyraźnie zarysowana, opadająca nieproporcjonalnie nisko w stosunku do innych liter, pętelki właściwie nie ma, tak więc nasz człowiek nie szanuje swojego ojca, jest męski i nigdy nie czuł się kochany?

- Mniej więcej tak. Nieobecny ojciec. Może dorastał bez niego, choć symbol siły, laseczka, schodzi nisko. Gdyby litera nie była tak mała, zaryzykowałbym twierdzenie, że nie miał ojca, tu jednak oceniam, że najprawdopodobniej ojciec stosował wobec niego przemoc. Hybris minimalizuje wszystkie „p”, a mimo to laseczki są długie, podkreśla tym samym swoją męskość.

- Czy ojciec mógł... dopuścić się na nim gwałtu?

- Mógł go bić. W każdym razie nie było między nimi miłości, widać tu wyraźnie odrzucenie tego uczucia.

- Doszliśmy do potencjalnych źródeł jego zaburzeń, jego niezrównoważenia - stwierdziła Faustine z zaniepokojoną miną. - Pochłaniająca wszystko idealizowana miłość do matki, może nawet kazirodcza, ojciec gwałtowny i chłodny. To dlatego Hybris wybiera kurtyzany, symbol najwyższej w jego oczach perwersji, antymatki z definicji.

- Chyba że jest to kwestia praktyczna: łatwe ofiary znajdowane na ulicy późnym wieczorem, wsiadające bez wahania do powozu z klientem, nie można też zapominać o jego umiejętności dopasowywania się do okoliczności. Inna rzecz, która rzuca mi się w oczy: tekst i jego znaczenie. Hybris wykorzystuje metaforę szachów, jak gdyby to wszystko było dla niego tylko grą, sam wybiera dla siebie rolę Króla pisanego z dużej litery, kolejny dowód na jego wielką miłość własną! Myślę, że Damą jest pani, Faustine, a Wieża to Rose. Musiał przygotować dwa liściki, bo gdyby zastał panią, ten nie miałby już sensu, tymczasem on najpierw zapytał o panią, po czym rozczarowany zdecydował się na Rose.

- A pan jest Gońcem?

- Obawiam się, że tak. Ośmiesza mnie, przydziela mi poniżającą rolę. Musiałem go w jakiś sposób urazić lub minąć na wyciągnięcie ręki, poczuł się zagrożony i chce mnie zdeprecjonować. Pokazuje nam, że kontroluje grę, to on jest panem, zwycięzcą. Nie gra wcale dla przyjemności, lecz z zamiarem zatriumfowania. Jeśli staniemy mu na drodze, zdenerwuje się. Myślę, że najdrobniejsza napotkana przeszkoda wzbudzi w nim nieopanowaną wściekłość.

- Ponownie podkreśla pojęcie czasu, którego już nie mamy

- Zależy mu na wywarciu na nas presji, chce dowieść, że to on panuje nad sytuacją, on rządzi. Zastanawia mnie tylko odniesienie do Melmotha.

- Czy nie chodzi tu o pseudonim tego angielskiego pisarza? Oscara Wilde'a? Czytałam ostatnio w gazecie, że trzy lata temu ukrył się we Francji i przedstawia się tym właśnie nazwiskiem. Czyżby Hybris odkrył pańską prawdziwą tożsamość? Grozi, że zmusi pana do powrotu na łono rodziny?

- To jedna z możliwości. Myślałem także o książce *Melmoth* Charlesa Roberta Maturina, jednej z najważniejszych powieści literatury gotyckiej poruszającej temat wygnania i skazania. Stanowi ona również wyraźną krytykę społeczeństwa i katolicyzmu.

- Czyli Hybris miałby zamiar upolitycznić swoje zbrodnie? - spytała Faustine z niedowierzaniem.

- *Melmoth* to historia człowieka, który zaprzedał duszę diabłu, a w zamian otrzymuje dodatkowe sto pięćdziesiąt lat życia. Mamy tam do czynienia z rozbitą rodziną, wielką miłością i oczywiście z tragicznym zakończeniem.

Faustine zbladła.

- Czy to może mieć jakiś związek... ze mną? Z moim imieniem?

- Nie mam pojęcia. Zapewne jest w tym wszystkiego po trochu. Może zresztą Hybris mówi o sobie, o kimś, kto długo się tułał, komu życie dało się we znaki i kto wreszcie znalazł sposób na odkupienie, trafił na drogę pokoju.

- Przez te wszystkie okropne zbrodnie na niewinnych - przypomniała Faustine ponuro. - Nie możemy czekać bezczynnie, Rose jest z nim! Musimy działać!

Guy się poderwał.

- Właśnie o to mi chodzi! Tylko nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać. Jestem u granic swoich możliwości, Faustine. Jestem człowiekiem słowa, myśli, struktury, przetwarzam informacje, redaguję, lecz nie jestem dobry w akcji. Nie wiem, jak połączyć te wszystkie kartki przytwierdzone do deski. A mimo to c z u j ę, że mamy wszystkie elementy

układanki przed oczyma, nie umiem jednak ich połączyć i podjąć działania.

- Hybris porzuca zwłoki po zapadnięciu nocy, to by znaczyło, że Rose jeszcze żyje. Odwiedzmy wszystkich, których poznaliśmy w ciągu tego tygodnia, zapukajmy do każdych drzwi, nadstawiajmy uszu, wejdźmy do mieszkań, nie będziemy przejmować się dobrymi manierami, chodzi o ocalenie Rose!

Guy patrzył na Faustine ze smutkiem w oczach.

- Porzuca zwłoki, jak pani mówi, ale to nie znaczy, że nie zabija swoich ofiar dużo wcześniej. Jego ostatnie zdanie nie pozostawia wątpliwości. Skontaktuje się z nami ponownie.

Gdy już upora się ze swoim zadaniem.

- No to niech pan tu siedzi i podziwia swoją pracę - zezłościła się Faustine, ruszając w stronę schodów. - Ja nie będę czekała z założonymi rękoma, aż on ponownie zabije!

Guy chciał ją złapać za ramię, lecz uwolniła się gwałtownym gestem.

- Faustine! Niech pani nie będzie taka uparta, to nie ma sensu...

Ale dziewczyna zbiegała już po schodach tak szybko, jak pozwały jej fałdy sukni.

40.

Moc powoli narastała.

Stopniowo.

Zapach mokki powstały przy zapalaniu liści tytoniu, następnie łagodzące umysł nuty czekoladowe, zanim ogień rozwinie całą swą siłę na ostatnim odcinku cygara i doda odrobinę agresywnego aromatu zielonego pieprzu.

Guy odłożył żarzący się kawałek vitoli na popielniczkę.

Powietrze na strychu przepełnione było gorzkim dymem, zastała mgłą przesłaniającą jego myśli przytwierdzone do deski.

Wypalił już trzy cygara, siedząc bez ruchu.

Sparalizowany powagą stawki.

Nie przestawał powtarzać sobie, że pozwala właśnie na śmierć Rose, nic to jednak nie pomogło, nie był w stanie działać.

Nie wiedział, co począć.

Hybris miał rację, manifestując swoją wyższość, nie pozostawiała ona bowiem teraz żadnych wątpliwości. Pisarz widział się w roli triumfującego Obrońcy, Nemezis mordercy. Lecz Nemezis była pogrążona w myślach, Hybris zaś działał.

Perotti pojawił się wczesnym wieczorem, wyglądał na zmęczonego.

- Spędziłem właśnie osiem godzin w archiwum i wśród nędzarzy z Pantin. A wszystko to, by potwierdzić, że mężczyzna znaleziony przy

Giełdzie w zeszłym roku rzeczywiście naprawiał buty. Co się tyczy drugiego, anioła stróża, nie znalazłem nikogo wiarygodnego, żadnych poszlak, ale mogę się założyć, iż istotnie taka była jego profesja, nie widzę powodu, dla którego Hybris miałby kłamać.

- Dziękuję, Martial - powiedział Guy bez entuzjazmu.

- Źle się pan czuje? Chodźmy, postawię panu kolację, umieram z głodu.

Bez słowa Guy wręczył mu kartkę pozostawioną przez mordercę.

Perotti przeczytał i opadł na kanapę. Zaczął gładzić wąsy, co było jego ulubionym gestem w chwilach zdenerwowania.

- Ma pan jakieś pojęcie, o co w tym może chodzić?

- Przyszedł tutaj w południe i zabrał ze sobą Rose.

Perotti oszołomiony zasłonił dłonią usta.

- Mój Boże... - wyszeptał.

- Myślę, że nadeszła pora, żeby przekazać policji wszystkie informacje, jakie posiadamy, najwyraźniej bowiem nie potrafimy ich użyć przeciwko Hybrisowi.

- Poddaje się pan? - oburzył się młody policjant. - Po tym wszystkim, cośmy do tej pory zrobili? Wie pan doskonale, że dopóki trwa wystawa, władze będą wyciszać każdą sprawę! I

co gorsza obawiam się, że będą starali się sprawić, byśmy i my o niczym nie opowiedzieli dziennikarzom! Moja kariera skończy się, zanim jeszcze na dobre się zaczęła, utknę w jakimś biurze bez okna. Pana będą szpiegować od rana do wieczora, o ile nie odeślą bezpośrednio do żony. A Faustine zamkną na siłę usta, jeśli będzie trzeba! Proszę tego nie robić!

- Zabił naszą Rose! - uniósł się Guy.

- Jeszcze nie! Nie wiemy tego!

- To jasne! Hybris odczuwa potrzebę mordy, tak jak my musimy jeść, spać, pieprzyć się! To jego pożywienie! Rose nie przetrwa dwóch godzin w jego rękach! Jeśli zadał sobie trud, by napisać „Do wieczora”,

to żeby sobie z nas zadrwić, zadać nam cierpienie, trzeźwo określić granice naszych możliwości!

- A więc teraz mu pan wierzy? To już nie jest nieszczęsnym nieborakiem zakochanym w matce i niezrównoważonym, lecz wielkim Hybrisem, pogromcą nie mniej wielkiego pisarza, jakim pan jest? Jest pan żaloszny, mój drogi. Cuchnie pan cygarem, ma przekrwione oczy i zgarbione plecy, co powie Faustine, widząc pana w takim stanie? Czy w taki sposób ma pan zamiar ją zdobyć?

- Niech pan nie opowiada bzdur...

- Przecież nie jestem ślepy! Niech się pan weźmie w garść, to nie Guy, jakiego znam. Rose pana potrzebuje!

- Brak mi pomysłów - przyznał Guy, opuszczając dłonie na poręczce połatane fotela. - Biała plama.

- A dokąd poszła Faustine?

- Ma zamiar łomotać do wszystkich drzwi w Paryżu, usiłując odnaleźć Rose.

- Pozwolił jej pan pójść samej? - zaniepokoił się Perotti.

- Gikaibo jest z nią.

- Ach tak. A więc możemy spokojnie na nią czekać z braku innych pomysłów. Proszę mi jednak pozwolić przewietrzyć nieco to pomieszczenie.

Faustine wróciła godzinę później przygnębiona. Wszystkie drzwi były zamknięte, zastała tylko Steirna pogrążonego w dyskusji z hrabiną Bolosky. Gikaibo nie pozwolił jej pojechać na ulicę Monjol, nie będąc pewnym, czy uda mu się tam zapewnić jej bezpieczeństwo. Doktor Ephraim nie pracował tego dnia w kostnicy.

Trzeci list dotarł nieco przed północą, gdy strych pogrążony był w ciężkiej ciszy, a trzy osoby drzemały zmęczone oczekiwaniem.

List przyniosło dziecko ulicy, dostało go od innego dziecka na placu Saint-Georges. Nie było sensu nalegać, Hybris umiał zacierać ślady i Guy to wiedział.

Ciepła jak bierwiono, a jednak

związła piękna Rose.

Nie spodobało jej się w zaułku la Chapelle...

Guy rzucił się w stronę *Atlasu Paryża* i znalazł zaułek la Chapelle w osiemnastym okręgu w pobliżu dworca towarowego.

Chwycił marynarkę, kapelusz i laskę, zmierzając do wyjścia wraz z Perottim, stwierdził jednak, że Faustine nawet nie mrugnęła, siedziała wciąż ze wzrokiem wbitym w słowa Hybrisa.

- Niech pani tu zostanie, przyślę do pani Jeanne.

- On ją zabił - odparła bezbarwnym głosem. - Zabił Rose.

Wstała i dołączyła do mężczyzn, którzy kierowali się do wyjścia.

- Faustine, sądzę, że nie powinna pani w tym uczestniczyć - sprzeciwił się Guy

- Chcę ją zobaczyć.

- To będzie straszne, a pani...

- Chcę się z nią pożegnać - przerwała mu i wyszła.

Huk pociągów ciągniętych przez parowozy sprawił, że Guy zadrżał, zbliżając się do ciemnej uliczki. Za wysokim na trzy metry murem z cegieł dostrzegł kłęby dymu, czarne chmury na tle jaśniejszego nieba. Krew zastygła mu w żyłach na myśl, że to tutaj Rose przeżywała swoje ostatnie chwile.

Panował tu taki hałas, że mogłaby krzyczeć przez dobrą godzinę, a nikt by i tak jej nie usłyszał. Ulicą la Chapelle, którą właśnie szli,

jeździły tylko powozy zmierzające w stronę murów oddzielających miasto od jego obrzeży. Było to miejsce przygnębiające, rzadko uczęszczane, gdyż położone zbyt blisko przedmieścia. Na terenach graniczących ze stolicą paryżanie obawiali się bandytów z Saint-Denis, Saint-Ouen i Aubervilliers organizujących napady łupieżcze, których celem byli mieszczanie.

Hybris miał wolne pole do działania.

W zaułku, wąskim i brudnym, słychać było szelest odklejających się od muru plakatów, łopot porozrzucanych po ziemi szmat i głuchy odgłos wiatru odbijającego się od pustych blaszanych puszek.

Serce Guyowi zabiło mocniej. Poczuł suchość w ustach.

Faustine dostrzegła ją pierwsza. Wydała z siebie okrzyk przerażenia zagłuszony natychmiast rykiem lokomotywy.

Guy oświetlił zapalniczką postać leżącą na ziemi, zwróconą twarzą do muru.

Natychmiast rozpoznał rude loki.

Śliczna Rose.

Jej oblicze wykrzywił potworny grymas: odwinęte wargi, zaciśnięte zęby, zmarszczone czoło, napięte mięśnie szyi, jak gdyby śmierć uwieczniła ją w chwili najdotkliwszego cierpienia.

Płomień odbijał się osobiwie w jej oczach.

Guy przypomniał sobie o ciemnej otchłani, w której zatoneło spojrzenie Milaine.

Białko oczu było całkowicie czarne.

Suknię miała rozdarta, podobnie jak gorset. Piersi całkowicie odsłonięte.

Biel skóry kontrastowała z głębokimi nacięciami na piersiach. Dwoma ciosami rozcięto jej

sutki, na każdej piersi nakreślono też nożem krzyż.

Suknia podwinięta była aż po uda, jedna z jedwabnych pończoch podarta na strzępy osunęła się poniżej kolana.

Guy chciał przytulić Faustine, oszczędzić jej tego widoku, lecz wyswobodziła się z jego objęć i uklękła przy przyjaciółce, ujmując jej dłoń.

Wstrząsnęło nią łkanie.

- Ona... ona jest jeszcze ciepła - szepnęła, pociągając nosem. - Moja śliczna Rose, mój Boże, dlaczego musiało cię to spotkać?

Guy z kolei nie czuł nic.

Jego serce biło w normalnym rytmie, przyzwyczał się do półmroku, do zapachu wilgoci, pleśni i moczu, przyglądał się teraz sylwetce, której jasny strój odcinał się w ciemności.

Ledwo umarła, a już przypomina widmo.

Całe popołudnie przygotowywał się na ten moment. Wiedział, że jest nieunikniony. Rose nie żyła już w chwili, gdy zgodziła się towarzyszyć przybyłemu mężczyźnie.

Przeczuwał to, obawiał się tego, lecz z każdym oddechem, z którym wciągał dym cygara, usiłował zepchnąć coraz głębiej myśl o nieprzejednanej śmierci.

Teraz był całkowicie odcięty od emocji. Gdy tylko otrzymał makabryczne potwierdzenie swoich podejrzeń, coś w jego głowie odcięło mu dostęp do empatii, umożliwiło rozpatrywanie leżącego przed nim ciała wyłącznie w kategoriach racjonalnych, pozwoliło analizować suche fakty.

Zabraniało współczuć.

Żeby przetrwać szok.

Zmęczenie było tu tylko pomocą. Już ponad dwie doby nie spał.

Kiedy Faustine wreszcie wstała, Guy spojrział na Perottiego, oceniając jego reakcję. Policjant wpatrywał się w Rose, jakby się spodziewał, że dziewczyna zaraz ożyje.

Pisarz zapalił zapalniczkę i Perotti zamrugał.

- Jej poza... - zaczął Guy - Jest dziwna.

- Tak jak Milaine zastygła w przerażeniu.

- Myślałem raczej o tym, jak została zepchnięta pod ścianę.

- To prawda, jak zwykły śmieć.

- Albo jak coś, czego się nie znosi, co wolimy od siebie oddalić, na co nie chcemy patrzeć. Jak gdyby tym razem Hybris nie mógł sobie z tym wszystkim poradzić. Niech mi pan pomoże przyciągnąć ją bliżej.

Wzięli zwłoki za ramiona i biodra, by ostrożnie, niczego nie naruszając, przesunąć je o metr.

Pisarz ujął rąbek sukni i zaczął podnosić ją w górę, lecz Perotti powstrzymał go zdecydowanym ruchem.

- Guy, na pewno chce pan to zrobić? A co z godnością Rose?

- Już ją utraciła, Martial.

Guy uparcie podciągał materiał, inspektor puścił go.

Rose nie miała na sobie majtek.

Pisarz upewnił się, że Faustine tego nie widzi. Wycofała się w stronę wejścia w zaułek i płakała tyłem do smutnego spektaklu.

Płomień nie był dość jasny, toteż Guy się nachylił - spomiędzy warg sromowych prostytutki wypłynęła krew. Wziął głęboki oddech i wsunął dwa palce do jej pochwy. Perotti drgnął zaskoczony.

- Nic tam nie ma - przyznał Guy, wycierając rękę chusteczką. - Przykro mi, musiałem to zrobić, zanim policja przyjedzie i usunie wszystkie wskazó... Co to jest?

Przyklął na jedno kolano, by lepiej przyjrzeć się pobłyskującej tłustej plamie na udzie dziewczyny i lśniącym kroplom, które spływały na ziemię.

- To jest to - rzekł natychmiast.

- Co takiego?

- Sperma! Ale została... wytarta. Tyle że nie całkiem, niedokładnie. Hybris wytarł uda Rose, proszę spojrzeć, w tym miejscu meszek jest lekko pobrudzony.

- Co za ohyda.

Guy nie podzielał obrzydzenia swojego towarzysza, wręcz przeciwnie, nie posiadał się z radości, że trafił na ślad, który pobudził go znów do myślenia.

- Niech pan potrzyzyma zapalniczkę - powiedział - i niech pan sprawdzi, czy nie ma czegoś pod paznokciami. Proszę szukać tkaniny, włosa, czegokolwiek, co by nam dowiodło, że walczyła, i co by nam powiedziało coś więcej na temat naszego człowieka.

- Nie, nie ma tu kompletnie nic. Paznokcie ma czyściutkie.

- Czyli się nie broniła. Nie wiem, jak on to robi, ale udaje mu się wzbudzić ich zaufanie, one zupełnie nic nie przeczuwają. A atak musi być gwałtowny, skoro nie mają czasu zareagować.

- Guy, pan... pan niczego nie czuje, patrząc na tę dziewczynę? Znał ją pan przecież.

- Ja z nią spałem - odparł Guy, któremu głos lekko zadrżał po raz pierwszy, odkąd znaleźli się w ślepej uliczce.

- Jest pan kompletnie wyzuty z emocji - zauważył Perotti z nutką strachu w głosie.

- Cały dzień przygotowywałem się na ten moment. Przeżyłem już żalobę, Martial. W każdym razie na tę chwilę. Nadejdzie czas, że całe to utajone poczucie winy wypłynie na powierzchnię. Mam tylko nadzieję, że do tego czasu Hybris zostanie pozbawiony możliwości szkodzenia innym.

- Wywoła pan w sobie raka od tego ciągłego tłumienia uczuć, zgniją wewnątrz pana, to właśnie jest rak: zbyt dużo niewyrażonych uczuć; nowotwór jest wyrazem zgnilizny uczuć.

- Niech mi pan raczej pomoże rozewrzeć jej zęby, zamiast opowiadać nie wiadomo co.

Wspólnymi siłami udało im się rozchylić jej szczęki. Spomiędzy zębów wypłynęła biaława ciecz.

- Proszę mi oddać zapalniczkę! - rozkazał Guy, wrywając ją Perottiemu z dłoni. - Tak!

Widzę coś!

Niemal wsunął nos do ust zmarłej.

- To jakby... kawałki białej pastylki, bardzo cienkiej, w większości rozpuszczonej.

- Lekarstwo?

Guy wskazał palcem na przerażającą twarz.

- Optowałbym raczej za pastylką zawierającą mieszaną truciznę, do których zażycia morderca zmusza swoje ofiary. Myślę, że biorą do ust odświeżający cukierek, tymczasem w ciągu kilku sekund porywa je śmierć.

Guy obmacał brzuch kobiety, potem dokładnie się przyjrzał piersiom o rozciętych sutkach.

- Trzeba zawiadomić policję - zdecydował Perotti.

- Jeśli ktoś nas tu zastanie, zostaniemy uznani za podejrzanych! Wszyscy ją znaleźliśmy. Nie chcę skończyć na gilotynie za morderstwo, którego nie popełniłem!

Guy nie odpowiedział, jak gdyby nic do niego nie docierało.

Wskazał palcem na mur, potem na uda i piersi Rose. Poruszał ustami, jakby przemawiał do siebie tak cicho, że Perotti nie mógł go zrozumieć.

- Guy, co się z panem dzieje?

- Tym razem nie pobrał narzędzi. Nie zmasakrował też ofiary białą bronią. Dokonał innego rytuału, o dominującym aspekcie seksualnym. Mam wrażenie, że nie jest z nim najlepiej. Hybris działa na dwa sposoby: rozmyślnie, kiedy zachowuje się jak człowiek, który ma w głowie coś zupełnie innego niż morderstwo, któremu przyświeca inny cel, i

nieopanowanie, gdy nie kontroluje wydarzeń, tak jak teraz. Targają nim urojenia dotyczące śmierci. A dzisiejszego wieczora jest z nim źle.

- Dlaczego pan tak uważa?

- Wiedział, że ją tutaj znajdziemy, sam nas naprowadził na to miejsce. Przygotowuje wszystko, żeby zrobić na nas wrażenie, udowodnić nam swoją wyższość. A mimo to zamiast ułożyć zwłoki w sposób... wystudiowany, żeby nas przerazić jeszcze bardziej, porzuca ciało w kącie, jak gdyby zawstydzony swoim czynem. Przeszedł też na kolejny poziom konotacji seksualnej: okaleczone piersi, krzyż na narządach dających mleko... To wiele mówi! Odsyła nas po raz kolejny do matki!

- Albo też jest wyrazem jego nienawiści do kobiet, macierzyństwa, do tej prostytutki, która nie zasługuje na to, by karmić dziecko czy wręcz dać dziecku życie.

- To prawda, słuszna uwaga, Martial. Do tego mamy ślady po wytartej spermie, to szczegół, którego zapewne nie mieliśmy zauważyć, Hybris starał się go ukryć. Wybór tak ciemnego zakątka z pewnością utrudnił mu zadanie. Nie umie pogodzić się z odczuwaną rozkoszą. Lub też z brakiem męskości, gdyż... proszę mi wybaczyć dosadność... zauważyłem, że pochwa Rose jest nacięta, wyraźnie to poczułem. Hybris wsunął w nią kilkakrotnie jakiś ostry przedmiot. Nie udało mu się jednak zgwałcić jej członkiem, wytrysnął na zewnątrz. Powtarzam: z Hybrsem jest źle. Coś się dzieje.

- Tym lepiej! Może dzięki temu się podda?

- Niech pan na to nie liczy, jego miłość własna jest zbyt silna, zaangażował się w grę z

nami i będzie trwał w tym postanowieniu do samego końca. Za to obawiam się, że może mu kompletnie odbić.

- To znaczy?

- Że zdecyduje się pójść na całość. Zaatakować nas bezpośrednio. Zabił Rose w zastępstwie, prawdziwym celem była Faustine. Po tym,

co tutaj zrobił, poczuje jeszcze większą presję, boję się, że nie będzie chciał dłużej czekać.

- Mam w domu broń, mogę po nią pójść, jeśli pan chce.

- Dobrze, nigdy nic nie wiadomo.

Guy pogłaskał Rose po czole i odgarnął kręcone kosmyki zasłaniające częściowo jej twarz.

- Pomszczę cię, moja słodka Rose - powiedział cicho.

- Jestem już blisko, czuję to. Mamy wszystko co trzeba, żeby go zdemaskować, brakuje tylko tej iskry..

Złożył pocałunek na jej policzku.

Na twarzy zniekształconej bólem i przerażeniem.

41.

Guy wstał w południe.

Na skutek wypalonych cygar miał wrażenie, że czaszkę trzyma mu w uścisku imadło.

Zanurzył głowę w miednicy z zimną wodą i trwał w bezdechu tak długo, jak to tylko było możliwe, chcąc poukładać myśli.

Rose leżała obecnie na stole sekcyjnym w kostnicy na wyspie Saint-Louis.

Perotti powiadomił policję za pośrednictwem anonimowej wiadomości dostarczonej przez młodego posłańca zwerbowanego na ulicy. Podjęcie tej decyzji poprzedziła dłuższa dyskusja między Faustine i Guyem, który nie chciał, żeby trop doprowadził Pernettyego i Legranitiera do Buduaru. Dwie zbrodnie w ciągu tygodnia mogły wzbudzić podejrzenia, co przeszkodziłoby ich śledztwu, za to Faustine nie chciała, żeby Rose została potraktowana jak bezimienna prostytutka. Guyowi udało się uzyskać dwa dni zwłoki. Po tym czasie Faustine uda się do kostnicy, żeby zidentyfikować Rose i umożliwić pochowanie jej pod właściwym nazwiskiem.

Najtrudniejsze okazało się przekonać jej, by nic nie mówiła pozostałym dziewczętom.

- Nie będę odgrywała przed nimi komedii! - oburzała się Faustine.

- Zaledwie przez dwa dni! Tylko o to proszę. Najpierw Milaine, teraz Rose... To załamanie wszystkich w Buduarze, nikt tego nie wytrzyma,

Julie też nie. Powiadomią policję i będziemy mieć związane ręce. Proszę panią o dwa dni, Faustine!

- Zrobię, co będę mogła - westchnęła niechętnie. - Ale nieobecność Rose wzbudzi również duży niepokój, jestem tego pewna.

- Nawet jeśli Julie powiadomi straż miejską, nikt nie zacznie śledztwa z powodu nieobecności prostytutki. Szczególnie jeśli się powie, że wyszła z jakimś dżentelmenem.

Guy miał więc do dyspozycji dwa dni.

Dwa dni, żeby fakty przemówiły do niego, żeby zatrzymał Hybrisa.

Perotti obiecał wpaść w drodze do pracy Zapukał istotnie do drzwi strychu nieco przed pierwszą po południu.

- Postaram się dowiedzieć, co zrobili z Rose - powiedział. - Okoliczności zbrodni zapewne sprowadziły na miejsce naszych dwóch ulubionych inspektorów.

- Miejmy nadzieję, że jej nie rozpoznają.

- Widują na co dzień tyle twarzy. Wątpię, żeby oblicze Rose wydało im się bardziej znajome niż inne.

- W każdym razie pojawią się tutaj prędzej czy później. Muszę coś zrobić, zanim tu przyjdą.

- Co panu chodzi po głowie?

- Ta pastylka, którą Rose miała w ustach, jest taka sama, jaką zażyła Milaine. Zasięgnę

informacji na temat miejsc, w których można się zaopatrzyć w arsenik, strychninę i atropinę. Nigdy nic nie wiadomo.

- Atropiny używa się do poprawienia rytmu serca, strychniny w problemach z oddychaniem, w dużych dawkach działa jak silna trutka na gryzonia, można ją samemu nabyć pod postacią owoców kulczyby, wreszcie arsenik to znany środek konserwujący, można go kupić we wszystkich paryskich drogeriach. Ogólnie rzecz biorąc, wszystkie składniki nie są trudne do znalezienia, oczywiście lekarzowi byłoby najłatwiej je sobie zorganizować.

- Jestem pod wrażeniem pańskiej wiedzy w tej dziedzinie!

- To żadna zasługa, zdawałem niedawno egzamin na inspektora, a trucizny są w programie. Niestety często wykorzystuje się je do zabójstw i dobry policjant musi umieć je rozpoznawać. Muszę się pospieszyć, czekają na mnie, kończę służbę o siedemnastej, wrócę wtedy, żeby poinformować o tym, co wiadomo w sprawie Rose.

Kiedy Guy został sam, stanął przed pudełkiem cygar i zawahał się. Odłożył je i usiadł na jednej z kanap, naprzeciwko deski pokrytej przygwożdżonymi do niej kartkami.

Pięć zniknięć pomiędzy wrześniem a lutym, ulica Monjol. Wszystkie zaginione kobiety to prostytutki. Tożsamości nam nieznane (spytać Króla Wszarzy w celu uzyskania dodatkowych informacji). Nie odnalezione.

Louise Longjumeau - połowa lutego. Ulica Monjol. Nie odnaleziona.

Viviane Longjumeau - 7 kwietnia. Ulica Monjol. Nadbrzeże portu Saint-Bernard w pobliżu Jardin des Plantes. - Zadźgana nożem na śmierć. Zgwałcona przedmiotem, figurką. Czarne oczy.

Anna Zebowitz - 12 kwietnia. Plac Concorde. Szczyt pałacu Trocadéro. - Rozpruty brzuch. Okaleczona/kradzież narzędzi. Podcięte po śmierci gardło.

Milaine Rigobert - 18 kwietnia. Ulica Notre-Dame-de-Lorette. - Krwawy pot. Ogólny skurcz mięśniowy. Czarne oczy. Biała substancja w ustach.

Dopisał:

Cztery inne morderstwa (pierwsze?) pomiędzy czerwcem a wrześniem. Dwóch mężczyzn i dwie kobiety, nędzarze. W różnych miejscach Paryża. Rozprute brzuchy i pobrane organy.

Dwanaście ofiar między październikiem i początkiem kwietnia. Mężczyźni i kobiety, nastolatki i dorośli. Poćwiartowani. Czasami brakujące kończyny. Brak wewnątrzności.

Elika, żona Bomengo, zamordowana na początku kwietnia. Porwana przez Hybrisa z terenu wystawy.

Rose, 24 kwietnia, w Buduarze. Zaulek la Chapelle - otruta. Zgwałcona ostrym przedmiotem. Ślady wytartej spermy na udach. Biała pastylka w ustach.

Oblicze potwora stało się nieco wyraźniejsze, gdy Guy ubrał w słowa rezultat badania grafologicznego:

Hybris.

Lat 25-35. Kawaler. Zamknięty w sobie, nieśmiały, obserwator, małomówny. Niepewny siebie na forum publicznym.

Dysponuje pojazdem. Mieszka na uboczu (w Ménilmontant - w pobliżu miejsc zbrodni?).

Dobrze zbudowany.

Bywa w niebezpiecznych dzielnicach. prostytutki?

Nie boi się widoku krwi. Przyzwyczajony?

Potrafi ćwiartować mięso?

Nieszczęśliwe dzieciństwo.

Chce zaszokować społeczeństwo.

Fantazjuje o czymś innym niż o śmierci. DLACZEGO WIĘC ZABIJA?

Czy pięć dziewcząt z Monjol JESZCZE ŻYJE?

Ma problem z kobietami, których nie szanuje, a także z miłością rodzicielską. Gwałtowny ojciec? Kocha władzę, lubi wszystko kontrolować,

jest stosunkowo nietolerancyjny. Aspołeczny, nie szanuje norm, choć zważa na nie publicznie, umie posługiwać się kodami i okazywać swoją przewagę, choć z natury woli trzymać się na dystans. Samotnik. Nerwus. Przewidujący i podejrzliwy. Bezustannie rozrywany pomiędzy urojeniami i rzeczywistością.

Guy cofnął się, by przyjrzeć się swojemu dziełu.

- Masz swoje porachunki ze światem, co? - powiedział, jak gdyby Hybris znajdował się w pomieszczeniu. - Sprawy źle się potoczyły, gdy byłeś mały, ojciec cię bił, twój związek z matką nie został właściwie określony. Czy przychodziła przeprosić za to, że nie umiała odpowiednio cię bronić, okazywała aż za dużo miłości? Teraz, gdy jesteś dorosły, lubisz czuć się silny, wreszcie zdolny do odpłacenia za przeżyte cierpienia. Ale ponieważ nie potrafisz odpłacić się matce, która cię nie broniła, całkowicie zniszczyła wszelkie twoje emocjonalne punkty odniesienia, porywasz się na kobiety ogólnie, nienawidzisz ich. Nie znosisz myśli, że w ogóle mogłyby zostać matkami, prawda? A gdy nienawiść do ojca powraca zbyt silną falą, atakujesz też mężczyzn.

Guy pochylił głowę. Tak, to było to, trafił na właściwy trop.

- To dlatego rzadziej atakujesz mężczyzn! Twój ojciec był łajdakiem, bił cię, chciałbyś mu się odplacić pięknym za nadobne, ale w gruncie rzeczy nauczyłeś się żyć z tą przemocą, dostosowałeś się i sam się nią dzisiaj posługujesz. Ale tego, co zrobiła twoja matka, nie umiesz zaakceptować. Przekroczyła pewne tabu. Istotnie, nie chroniła cię przed gradem ciosów, choć to jeszcze mógłbyś ścierpieć. Tę obojętność, podobnie jak ojcowską gwałtowność, mógłbyś pokonać. Ona jednak posunęła się za daleko, dlatego na niej skupiasz wściekłość. Twoja matka popełniła czyn niewybaczalny. Masz zbyt mało szacunku do kobiet, nie istnieje dla ciebie kobiecy ideał, gdyż kobieta pierwotna, źródło twoich związków z nimi, została wypaczona już na samym początku.

Guy doznał olśnienia. Poczul pewność. Wszystkie elementy portretu wskoczyły na swoje miejsca, tak samo jak wtedy, gdy tworzył postacie bohaterów swoich powieści, i nagle cała historia w pełni się formowała w jego umyśle, wszystko nabierało sensu, a on czuł, że oto trafił na właściwy pomysł.

Sięgnął po pióro i napisał dużymi literami:

Hybris spiał ze swoją matką.

Tym razem dotknął samej istoty jego zbrodni.

Dwadzieścia sześć razy w ciągu dziesięciu miesięcy

To dużo. Nabierał tempa, wywoływał implozję. Wewnętrzne konflikty się kumulowały. Zawór bezpieczeństwa został zniszczony, gdy Hybris przeszedł do czynu po raz pierwszy, teraz zmierzał w kierunku autodestrukcji.

Jak gdyby zabijanie kolejnych ofiar wcale nie łagodziło jego cierpienia. Mordując tych ludzi, zabijał ojca i matkę, po czym uświadamiał sobie, że adrenalina, którą poczuł za pierwszym razem, w niczym mu nie pomaga. To przyspieszenie, ten szal zabijania stał się sposobem niszczenia samego siebie.

Czyżby Hybris miał jednak poczucie winy?

- Nie - odpowiedział sobie Guy na głos. - Ale jest w nim zbyt wiele sprzeczności. Wieczna walka, ból istnienia, którego nie udało mu się uspokoić poprzez dokonywanie owych zbrodni, zaostriął się wręcz w chwili, gdy uświadomił sobie, że zabijanie nie przynosi ulgi, choć przez chwilę miał takie wrażenie, i że nie poprawi to ani trochę sytuacji. Ciężko mu zabijać, Rose jest na to dowodem. Zupełnie się już nie kontroluje na miejscu zbrodni.

Myśli rozlewały się po białej karcie inspiracji, Guy odzyskiwał powoli zmysły Wszystko doskonale pasowało. Czuł się w pełni sił twórczych. Należało to wykorzystać.

Jeszcze raz przeczytał wszystkie dane.

Dreńczyło go, dlaczego Hybris w taki sposób naciął sutki Rose.

Czy chodziło o coś osobistego? Guy znał piersi Rose, kochał je niegdyś. Czy też istniał element podnoszony przez podświadomość, który nie mógł znaleźć wyrazu w świadomości?

Dwa pionowe nacięcia nożem, rozcięty sutek, rany znajdujące początek nad piersią i kończące się po bokach ciała, jedna pozioma linia przekreślająca każdą pierś.

Nagle Guy zamarł.

Wytrzeszczył oczy, nabierając głęboko powietrza do płuc.

Jak mogli tego nie zauważyć?

Wszystko, czego potrzebował, miał tuż przed oczyma.

Nie tylko dokładny portret Hybrisa, ale i jego tożsamość.

Guy się nie mylił.

Znali go.

42.

Ostrze noża lśniło przed jej oczyma niczym srebrna biżuteria.

Niź kreśliła hipnotyzującą linię, która zdawała się przecinać nieskończoność.

A czemuż by nie poszczególne warstwy materii między światem żywych i duchów? - zastanawiała się Faustine.

Ten oręż, nóż do mięsa, który zabrała z kuchni Buduaru, przybrał w jej głowie formę klucza.

Klucza do zemsty

Za Milaine, za Rose i za wszystkie pozostałe.

Dlaczegoż nie było jej wczoraj, kiedy Hybris się pojawił?

Nie mogąc dłużej wytrzymać, Faustine wyszła z pokoju i prześlizgnęła się do holu, dbając o to, by nikt jej nie zauważył.

Rose nie wróciła na noc i wszyscy domownicy dyskutowali na ten temat od rana. Faustine nie czuła się gotowa kłamać i znosić spojżenia przyjaciółek.

Nie miała też ochoty kłopotać Gikaiba.

Guy kazał jej obiecać, że nigdy nie wyjdzie z domu bez japońskiego kolosa, zdecydowała się jednak zerwać ten pakt.

Cóż może jej grozić w środku dnia?

Hybris nigdy nie zaatakuje jej wprost, nie będzie próbował porwać jej siłą, zawsze przecież stosuje się wyłącznie do podstępów. Jest zbyt tchórzliwy, by działać inaczej.

Gdyby jednak się do mnie zbliżył, już ja wiem, jak go przyjąć. Dotknęła noża wsuniętego za podwiązkę na udzie.

Faustine nie wiedziała, dokąd pójść, spotkanie z Théodore'em Sébillotem zaplanowane było na wczesne popołudnie, skierowała zatem kroki w stronę placu Trinité, bulwaru Haussmanna, wspaniałych fasad Printemps, gdzie jak wspominała z nostalgią, po raz pierwszy w życiu jechała windą wraz z rodzicami...

Co się stało z jej matką? Z autorytarną kobietą zimną jak lód? Nie wybaczyła jej ucieczki, co do tego Faustine miała pewność, rana była wciąż żywa, a córka nie żyła już dla niej od bardzo dawna. A ojciec? Wciąż tak samo wycofany? Mężczyzna potężny i zdolny do podejmowania decyzji w interesach, dyskretny i uległy na łonie rodziny. Z ich dwojga to zapewne on cierpiał najbardziej z powodu jej nieobecności.

Faustine poczuła ukłucie w sercu na tę myśl.

Świadomość, że jego córka pracuje w burdelu, z pewnością by go zabiła.

Nie otrząsnął się jeszcze po samobójstwie Nathana, syna wpływowej rodziny, z którą łączyły go interesy.

Faustine nie mogła znieść tego życia pełnego kodów, dobrych manier, paktów, pozostałości po arystokracji, która nie upadła jeszcze całkiem od czasu rewolucji, lecz

wzmacniała swoje tradycje i zacieśniała kręgi, żeby tylko przetrwać.

Przyjmowanie mężczyzn w łóżu bywało trudne, zdarzało jej się nawet myśleć o śmierci, mimo to nigdy nie żałowała swojego wyboru. Nathan zginął z jej winy, musiała wziąć pełną odpowiedzialność za jego śmierć.

Musiała za nią płacić.

By wreszcie któregoś dnia poczuć się rozgrzeszona.

Dotarła na plac Madeleine i ruszyła dalej w stronę Concorde, gdzie stanęła w kolejce do olbrzymiej bramy wejściowej na Wystawę Światową.

Przechadzała się pomiędzy cudzoziemskimi pawilonami, zjadła lekki posiłek na tarasie z widokiem na Sekwanę i setki łodzi, statków i

barek kursujących między jednym a drugim brzegiem zupełnie jak konne omnibusy w mieście.

Z Théodore'em Sébillotem spotkała się przed barakiem administracyjnym. Niski człowieczek wyszykował się elegancko: przypinany kołnierzyk z jedwabnym krawatem, błyszczące guziki u mankietów i przystrzyżony wąsik; na widok Faustine uśmiechnął się ekstatycznie.

- Pani obecność wystarczyłaby do oświetlenia całej wieży ciśniń - zakrzyknął. - Moglibyśmy sporo zaoszczędzić, gdybym tylko poznał panią wcześniej!

- Widzę, że rozgrzewa pan sobie język przed naszym zwiedzaniem.

- Zagadnąłem wszystkich kolegów, by mieć pewność, że nie pomnę żadnej anegdotki czy osobliwości. Dzisiejsze popołudnie sprawi, że będzie mogła pani ożywiać spotkania z przyjaciółkami do samego rana! Chodźmy zatem, zacznijmy od tego co najbliżej: Pałac Elektryczności i pięć tysięcy kolorowych lamp żarowych rozświetlających co wieczór jego fasadę. Nie można też zapomnieć o ośmiu olbrzymich lampach, rampach fosforyzujących i latarniach przytwierdzonych do frontonów. Za tymi drzwiami znajduje się system zaopatrujący w elektryczność całą wystawę! Musi pani wiedzieć, że jednym przyciśnięciem palca można pograć w ciemnościach cały ten teren zabawy! Jednym palcem! Tysiące zdezorientowanych zwiedzających! Uważam, że to wspaniałe pamiętać bez przerwy, iż istnieje prosty sposób na wyłączenie nawet najpotężniejszej siły

Ujął Faustine pod ramię i pociągnął ją w stronę publicznych alejek, po czym zapuścili się na ścieżki służbowe, minęli olbrzymie rury wibrujące pod wpływem potężnej energii, którą transportowały.

W każdej sekcji Theodore Sébillot wygłaszał krótkie wyjaśnienie, czasami zabawną, a czasami techniczną historyjkę, których Faustine

śluchała z uwagą, właściwie wcale nie zmuszając się do śmiechu, tak dalece mężczyzna okazał się zabawny.

Niestety jego opowieści okazały się zupełnie bez znaczenia dla śledztwa.

Znalazłszy się w olbrzymiej hali, gdzie wystawiono kolekcję balonów sterownych, Faustine spróbowała skierować rozmowę na interesujący ją temat:

- A na planie... kryminalnym, czy nie ma niczego ciekawego do opowiedzenia?

- Och, nic mi na ten temat nie wiadomo. Wystawę odwiedzają tylko porządni obywatele, nie ma żadnych nędzarzy na naszych alejkach, żadnych bandyckich Cyganów ani zorganizowanych szajek. Proszę się nie obawiać!

- Nie było jakichś tajemniczych zniknięć podczas trwania prac?

- Nie, nie sędzę.

Sébillot zdawał się mówić szczerze.

- Och, był taki przypadek pod wieżą Eiffla - podjął. - Robotnicy spadli, ale to jedyny dramatyczny wypadek, o jakim słyszałem. I tym lepiej!

- A podziemia Trocadéro? Czy są duże?

- Nawet sobie pani nie wyobraża, jakie rozległe! Przede wszystkim wszystkie korytarze doprowadzające elektryczność. Niższe poziomy niektórych pawilonów, piwnice, naturalne groty odtworzone od strony Trocadéro i wreszcie kanały miejskie służące w niektórych miejscach do doprowadzania gazu.

- Można się tam dostać?

- Nie ma już nic do oglądania poza tym, co pokazałem pani w części technicznej, dość tam ciemno, wilgotno i prawdę mówiąc, staramy się ich unikać poza koniecznymi obchodami.

- Czy zwiedzający mogą się tam dostać?

- Nie, oczywiście, że nie! To miejsca zarezerwowane dla techników zatrudnionych na wystawie.

Faustine była rozczarowana. Nie dowiedziała się niczego, co mogłoby zdemaskować Hybrisa. Mimo nalegań Sébillot w niczym jej nie pomógł.

Zbliżając się do końca pałacu, który już знаła, rozpoznała angielskie stoisko Leicestera. Spotkali go na zewnątrz, gdy wychodzili z budynku - opróżniał akurat berlinkę, której pozbawione okien wnętrze było całe wysłane miękką tkaniną.

- Panna Faustine! - zawołał uradowany na jej widok.

- Zwiedzam nadal wystawę w towarzystwie wyjątkowego przewodnika.

Sébillot się zaczerwienił.

Faustine zainteresowała się berlinką. Nie była zbyt duża, lecz jej osobliwy wygląd wystarczył, by rozbudzić jej podejrzliwość.

- To pański pojazd? - spytała zegarmistrza.

- Tak, sprowadziłem go z Anglii. Nie istnieje nic lepszego do przewożenia na długie dystanse delikatnych części. Transportuję nim zegary wyprodukowane dla klientów. Jest bardzo wygodny, chce pani sprawdzić?

- Nie, dziękuję - odparła Faustine, czując na skórze gęsią skórę.

- Louis organizuje wieczorny seans, czy zaszczyci nas pani swoją obecnością?

- Wspominał mi o tym, być może przyjdę.

- Proszę nie zapomnieć, pani obecność ostatnim razem dała niesamowite rezultaty.

- Pamiętam dobrze - przyznała Faustine lekko zakłopotana.

- Proszę się nie martwić tym, co hrabina powiedziała pani na samym końcu. Byłem

świadkiem podobnego zdarzenia i osoba, której to

dotyczyło, dotąd ma się dobrze. Myślę, że duchy to żartownisie, są zazdrosne o nasze życie i lubią nas straszyć.

- A więc do wieczora.

Faustine oddaliła się ze swoim przewodnikiem wciąż jeszcze przejęta widokiem berlinki i wspomnieniem seansu spirytystycznego.

„Hybris posiada środek transportu”, powiedział przecież Guy.

Pojazd ten doskonale nadawał się do porwań.

Członek Koła Serafinów, gdzie mógł poznać Milaine, najwyraźniej kawaler... Leicester bardzo pasował do portretu mordercy

Lecz przecież zegarmistrz podróżował bez przerwy. Kursował cały czas pomiędzy swoim krajem rodzinnym i Francją, nie mógł więc zabijać tak często, nie dwadzieścia sześć razy w ciągu dziesięciu miesięcy.

A jeśli bezustannie podróżuje w wyłożonej pikowanymi poduszkami berlince? Mógłby się porywać na przygodnie spotkane dziewczyny nie tylko w Paryżu, to byłoby jeszcze bardziej praktyczne i mniej ryzykowne!

- Uroczy człowiek z tego pana Leicesterera - stwierdził Sébillot.

- Zna go pan? Pamięta pan wszystkie nazwiska wystawców w swoim sektorze?

- Muszę wyznać, że niestety nie, jest ich zbyt wielu, choć zapamiętuje się co osobliwszych ludzi lub specyficzne projekty. Pamiętam, że na swoim formularzu wpisowym pan Leicester poprosił o dużą przestrzeń, odizolowaną od reszty pawilonu i hermetycznie zamkniętą.

- Hermetycznie? - powtórzyła Faustine.

- Prawdę mówiąc, użył określenia „sterylnie”. Chciał tam urządzić laboratorium konstrukcji zegarów. Zresztą właśnie dlatego znalazł się tutaj, w moim sektorze, a nie w budynku zegarmistrzostwa na Invalides, tam nie mógłby dysponować aż taką przestrzenią. Nie znam go osobiście, najczęściej miałem do czynienia z jego asystentem.

Tymczasem Leicester twierdził, że został zmuszony do przeniesienia swojego stoiska, przypomniała sobie Faustine lekko podekscytowana. Dlaczego ją okłamał?

- A ten asystent? Jaki on jest? - spytała.

- Pan Legrand? Dyskretny Robi swoje i jest posłuszny pracodawcy. Dlaczego pani pyta?

- Z ciekawości. Przyznam, że chętnie zwiedziłabym to laboratorium.

- Ach, w tej sprawie musi pani rozmawiać bezpośrednio z panem Leicesterem, ja nie mam do niego dostępu.

- Gdzie dokładnie znajduje się owa sterylna przestrzeń?

- Pod wejściem, które właśnie minęliśmy, pod antresolą, na której wystawia swoje zegary. To musi być dość nieprzyjemne pomieszczenie, bo pozbawione okien, ale ma to, o co prosił.

Faustine musiała jak najszybciej porozmawiać z asystentem Leicesterera. Przedtem jednak czekało ją zrobienie jeszcze jednej rzeczy

Zauważyła, że Sébillot otwierał wszystkie drzwi służbowe tym samym kluczem. Za

każdym razem chował go z powrotem do prawej kieszeni marynarki.

Musiała zdobyć ten klucz.

Udała, że skręciła sobie kostkę i straciła równowagę.

Sébillot podtrzymał ją. Ich ciała się zetknęły, co wielce wzruszyło niskiego człowieka.

- Nic się pani nie stało? - spytał drżącym głosem.

Faustine jeszcze mocniej przywarła do niego piersią, suknią otarła się o jego biodra. Przyłgnęła policzkiem do twarzy komisarza i wykorzystała jego osłupienie, by zanurzyć dłoń w kieszeni marynarki.

Wyciągnęła klucz i wyprostowała się.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała. - Potknęłam się.

- Ależ nic nie szkodzi. Wszystko dobrze?

- Tak, dziękuję bardzo. Spacer z panem był dla mnie wielką przyjemnością.

Na obliczu mężczyzny pojawił się wyraz głębokiego rozczarowania, gdy tylko pojął, że Faustine zamierza go opuścić.

- Może pozwoli pani, że zaoferuję jej coś na ochłodę? Pod wieżą Eiffla serwują doskonałą lemoniadę.

- Niestety muszę już iść. Dziękuję za wszystko.

Złożyła pocałunek na jego policzku i zniknęła w tłumie.

Miała jeszcze do zwiedzenia podziemia.

43.

Biała pastylka.

Wszystko zasadzało się na białej pastylce.

Nie miała specyficznego zapachu, była zbyt cienka jak na lekarstwo, zdecydowanie zbyt cienka.

Guy zrozumiał również, czym była figurka, którą znaleziono w ciele Viviane Longjumeau, domyślił się także, dlaczego w raporcie policyjnym pominięto wszystkie dotyczące jej informacje.

Krzyż wycięty na piersiach Rose nakierował go na właściwy trop.

Wszystkie elementy układały się teraz w całość.

Hostie.

Oto co im wkładał do ust.

Hostie nasączone trucizną.

A skoro inspektorzy nie chcieli opisywać, jaką figurką zgwałcono Viviane, musiało chodzić o profanację. Niechybnie o figurkę Chrystusa.

Chrześcijański krzyż przecinający piersi.

Morderstwa miały podłoże religijne.

Popelniał je ktoś, kto stracił kontakt z rzeczywistością.

Mężczyzna, który uciekł w religię, chcąc się odbudować, mając nadzieję, że znajdzie w niej spokój, wierząc, że Bóg zwróci mu jego człowieczeństwo, wyzwoli go od koszmarów i demonów.

Guy nie wątpił, że wiara pomogła mu z początku odnaleźć właściwą drogę, towarzyszyła w jego wewnętrznej walce, z czasem go jednak

rozczarowała. Pokładał w niej większe nadzieje.

Religia nie może bowiem rozwiązać wszystkich kłopotów.

W człowieku obudziły się wątpliwości. Co do siebie, co do Boga.

Spółczesność przyczyniła się do ich pogłębienia, ogłaszając rychły rozdział Kościoła od państwa.

Człowiek ogarnięty wątpliwościami. Chory umysł drażony najbardziej perwersyjnymi urojeniami, zżerany przez rosnące rozchwianie.

Guy bez trudu wyobraził sobie, jak ów człowiek zwraca się w przeciwną stronę.

Ku ezoteryzmowi, naukom okultystycznym.

Czy wyczuwał tam silniej obecność Boga?

Czy znalazł radę na ból istnienia?

Potem trafił na satanistów.

Upadł.

Czy zabijanie miało za cel, prócz niesienia ukojenia, wystawienie Boga na próbę?
Sprowokowanie go?

Guy był tego pewien.

Wiedział już, kim jest Hybris.

Drobny szczegół mógł już dawno podsunąć mu to rozwiązanie.

Opium.

Młoda Louise paliła - Guy dowiedział się tego od Króla Wszarzy. Opium stało się przyczyną jej ucieczki, ono sprowadziło ją na ulicę.

A nie co dzień spotyka się księdza amatora opium.

Czy spotkali się w palarni? A może na ulicy Monjol, gdzie duchowny oferował dziewczynom spowiedź? Czy właśnie Louise zachęciła go do spróbowania narkotyku?

To mógł być tylko jeden człowiek.

Ojciec Camille.

* * *

Guy nie mógł czekać.

Inspektor Perotti nie wróci przed końcem dnia, a on nie może tak po prostu siedzieć i nie robić.

Pokój Faustine był pusty

Guy spytał o nią Jeanne, lecz jak się okazało, nikt nie widział jej od rana.

A Gikaibo był w kuchni.

- Nikt po nią nie przyszedł, jesteś pewna?

- Tak, jestem pewna! Co się dzieje? Czy to z powodu Rose? Są gdzieś razem?

Guy wybiegł już na ulicę.

Obiecał dorożkarzowi podwójną stawkę, jeśli dowiezie go pod Montmartre w mniej niż pięć minut.

Faustine nie poszłaby z byle kim, nie wyszłoby też sama bez uprzedzenia...

Guya ogarnęły wątpliwości. W końcu w jej stylu było wyłamywanie się z reguł. Nie podawał w wątpliwość jej podejrzliwości, chodziło raczej o niedowierzanie względem tego, co Guy jej narzucał...

Ale dokąd poszła? W jakim celu?

Skoro mu o tym nie powiedziała, to znaczyło, że sprzeciwiłby się temu.

Koło Serafinów? Wróciła tam?

Wolał nie myśleć o najgorszym, jego obawy były przecież bezpodstawne. Faustine umiała się bronić, Hybris nigdy nie zdołałby jej porwać w biały dzień.

Nie, on raczej zastawiłby na nią pułapkę, zwabiłby ją do siebie, ale ona to wyczuje, to sprytna dziewczyna!

Dorożkarz zatrzymał się gwałtownie, Guy dotarł do celu. Spiesznym krokiem ruszył

krętymi uliczkami Montmartre u i dotarł do palarni, gdzie po raz pierwszy spotkał ojca Camillea.

Właściciel poprowadzony swoim olbrzymim brzuchem toczył akurat beczkę przed wejściem do lokalu. Krople potu spływały mu po czerwonym obliczu.

- Czy jest tu ojciec Camille?
- Nieczynne, otwieram o dziesiątej.
- Wie pan, gdzie mogę go znaleźć?
- W jego kościele, Saint-Denis-de-la-Chapelle, naprzeciwko zakładów...
- Wiem, gdzie to jest! - zawołał Guy i puścił się biegiem.

To było takie oczywiste!

Z Hybrisem było coraz gorzej i coraz mniej się starał, może nawet nie zadbał o zatarcie śladów, miał już wszystkiego dość.

Poprzedniego dnia wieczorem przechodzili obok tego kościoła w pobliżu zaułka, gdzie leżała Rose.

Odnalazł dorożkarza, który czekał na klienta, i pogratulował mu nowego pilnego kursu z gwarancją sowitego napiwku.

- Mam tu na pana czekać? - spytał woźnica, zatrzymując konie przed kościołem.
- Nie trzeba.

Guy stanął na przeciwległym chodniku i przyjrzał się uważnie wielkim czarnym drzwiom.

To była kryjówka potwora.

Stał tak dłuższą chwilę, niezdolny wykonać żadnego ruchu. Wreszcie z odrętwienia wyrwał go dźwięk dzwonów wybijających drugą po południu.

Jest w środku! Pod tym dzwonem, na końcu sznura...

Guy zdecydował się obejść kościół wąską uliczką Torcy i odkrył maleńki zaułek prowadzący na plebanię: do skromnego domku o zamkniętych okiennicach, przyklejonego do boku świątyni.

Minęła go kobieta z koszykiem pełnym zakupów.

- Przepraszam panią - zagadnął ją Guy - czy zna pani może tutejszego księdza?
- O tak - odparła z żalem. - To ojciec Camille.
- Czy jest chory? Wszystkie okiennice są zamknięte.

Wyraźnie zakłopotana kobieta ociągała się z odpowiedzią.

- Tak, obawiam się, że nie jest z nim najlepiej - rzekła wreszcie. - Choć dzisiaj jeszcze dzwonił o pełnej godzinie, co zdarza mu się coraz rzadziej.

- Czy to jedyny kapłan w tym kościele?

- Tak, tylko jego tu mamy. Jeśli chce pan znać moje zdanie, to władze kościelne powinny bardziej się interesować kandydatami, których rekrutują. Wtedy ławki w kościołach byłyby chętniej zajmowane i nie byłoby całej tej sprawy z rozdziałem!

Pożegnała się i poszła swoją drogą.

Miejsce było ciche, niewiele okien wychodziło na zaułek. Idealne warunki do działania w spokoju. Hybris mógł przyprowadzać tutaj swoje ofiary

Guy nie był pewien, co powinien teraz uczynić.

Nagle drzwi plebanii się otworzyły i stanął w nich ojciec Camille.

Guy rozpoznał podkrążone oczy i pomarszczoną twarz mężczyzny, który wyglądał na dwa razy starszego, niż był w rzeczywistości.

Na stojąco okazał się wyższy, niż Guy się spodziewał.

Pisarz czym prędzej skrył się w najbliższej bramie, skąd mógł obserwować księdza zmierzającego w stronę ulicy de la Chapelle.

Zawahał się.

Iść za nim czy wykorzystać nieobecność i przeszukać jego kryjówkę?

W środku dnia Hybris nie będzie szalał i wróci wcześniej czy później, a wtedy Perotti będzie już na niego czekał z bronią.

Guy podjął decyzję.

Postanowił, że pozwoli mu odejść. Patrzył, jak kapłan wzywa dorożkę, po czym odczekał jeszcze dobre pół godziny, chcąc się upewnić, że ksiądz nie wybrał się tylko po szybkie sprawunki. Następnie wrócił na główną ulicę, gdzie bez trudu znalazł młodego chłopca, którego poprosił o przysługę.

- Masz tu franka, dostaniesz drugiego, jeśli udasz się pod ten adres - powiedział Guy, kreśląc naprędce wiadomość na kartce wyrwanej z notesu. - Przekaż ten liścik Jeanne i wyjaśnij, że to dla Perottiego, mojego wydawcy. Zrozumiano?

Chłopak skinął energicznie głową i ruszył pędem z wiadomością w kieszeni.

Teraz do domu.

Pisarz podszedł do plebanii i upewniwszy się, że nikogo nie ma w pobliżu, sięgnął do klamki.

Zamknięte.

Oczywiście. Hybris nie ma w zwyczaju zostawiać swojej kryjówki otwartej.

Dotknął drewnianych okiennic, były w złym stanie, więc pociągnął. Odpadła resztką łuszczącej się farby. Spróbował z następną, w końcu znalazł jedną, którą udało mu się uchylić. Okno okazało się w jeszcze gorszym stanie - wypaczone futryny, rozchwiane szyby. Napał na nie ramieniem, lecz nie udało mu się go otworzyć.

Zły i u kresu pomysłów Guy uderzył kolanem w chwiejną szybkę, która wpadła do wewnątrz, roztrzaskując się na podłodze.

Pisarz pośpiesznie wślizgnął się do środka i zamknął za sobą okiennicę, starając się nie nadebrać na odłamki szkła.

Wieczorem i tak będzie już spał w więzieniu!

Główne pomieszczenie było małe, bez żadnych ozdób.

Tylko długi sosnowy stół, cztery krzesła i kredens.

Nieśmiałe światło przenikało przez szczeliny w okiennicach.

Na ścianie widniał ślad po krzyżu, krawędzie nakreślone przez czas i kurz pod gwoździem nadal wystającym z muru.

Sam krzyż jednak został zdjęty i leżał na ziemi.

Nie było też figurki Chrystusa.

Guy podniósł krucyfiks i dostrzegł, że jest zniszczony, jak gdyby uderzano nim o meble.

Przeszedł czym prędzej do kuchni, brudnego nieuporządkowanego pomieszczenia, skąd wychodziło się na piętro.

Pokój był urządzony w równie spartańskim stylu co pozostałe pomieszczenia: niepościelone łóżko, szafa z kilkoma sztukami odzieży, stolik nocny i umywalka. Lustro było stłuczone, miriady srebrzystych blasków rozchodzących się promieniście deformowały twarz Guya niczym nieprzyjemny kalejdoskop. W powietrzu wisiał zapach stęchlizny i potu.

Odwracając się w stronę wyjścia, Guy zobaczył ścianę pokrytą kartkami.

Na sporej powierzchni przytwierdzone gwoździami wisiały kartki z Biblii, niektóre fragmenty były podkreślone, oznaczone krzyżykami na marginesach, pisarz zauważył też kilka ciemnych kropli na najwyżej umieszczonych.

Przeszedł go dreszcz.

Czyżby ojciec Camille mordował tutaj?

Pisarz dłuższą chwilę przyglądał się podłodze, szukając śladów zaschniętej krwi, na próżno jednak. Uklękawszy, zauważył pod łóżkiem jakiś przedmiot.

Sięgnął ręką i wy dobył bicz o dziewięciu rzemieniach.

Ksiądz się chłostał.

Stwierdziwszy, że ojciec Camille lubi chować swoje rzeczy, Guy zabrał się do przeszukiwania pokoju: podniósł materac, zbadał stolik nocny oraz kieszenie spodni i marynarek w szafie - bez większych sukcesów. Odkrył tylko krzyżyk w szufladzie.

Krzyżyk, od którego oderwano figurkę Chrystusa.

Gdzie zabijał swoje ofiary? Musiał tu przyprowadzać niektóre z nich.

W piwnicy?

Przedtem jednak Guy zbliżył się do drugich drzwi znajdujących się na piętrze.

Dręczyło go osobliwe przecucie.

Ojciec Camille wyglądał na takiego, który mało śpi, walcząc ze swoimi demonami; czy robił to w łóżku, wobec Biblii, czy gdzie indziej?

Doszedł do wniosku, że ksiądz dysponuje u siebie w domu miejscem, w którym czuje się bezpiecznie, swoistym sanktuarium, w którym się wycisza. Sypialnia symbolizowała winę, miejsce sennych fantazji i kaźni, Lucien Camille musiał zatem mieć swój kokon gdzie indziej.

Guy nacisnął klamkę i od razu się przekonał, że miał rację.

Ściany, sufit i podłoga zniknęły.

Guy zamarł, dostrzegłszy drżący blask światła.

Świece. Mnóstwo świec.

Kroczył po nierównej śliskiej powierzchni.

Wszędzie biel.

Żyły, ścięga, ostre stalaktyty o niepokalanej bieli kości.

Ta druga skóra, która całkowicie pokryła pomieszczenie, przypominała do złudzenia materię organiczną.

Guy zrozumiał, patrząc na zapalone świece.

Duchowny wyłożył całe wnętrze woskiem, tysiącami stopionych świec, sprawiając, że świat rzeczywisty zniknął.

Błady kobierzec skrzypiał pod każdym krokiem.

Zostawił zapalone świece, zamierza wkrótce wrócić!

Jednakże Guy ani drgnął.

Nie, ta woskowa jaskinia musi być bezustannie oświetlana, Lucien Camille upewnia się co do tego zapewne kilka razy dziennie. To ponieważ

jego dusza, a światło pozwala mu na swój sposób walczyć z ciemnościami.

To była jego dusza, jego jama maciczna, jego sanktuarium medytacyjne, miejsce, w którym mógł być sam z sobą, bezpieczny.

Nie było sensu szukać tu śladów krwi, nie tutaj zabijali, to miejsce musiało pozostać czyste.

Jeśli mnie tu znajdzie, wpadnie we wściekłość.

Guy wycofał się z pomieszczenia.

Wtedy dopiero uświadomił sobie, że nie ma przy sobie niczego, czym mógłby się bronić. Uzbrojony jedynie w myśli, w obsesję prawdy i wiedzy, ani na chwilę nie przejął się tym aspektem.

Serce zabiło mu mocniej.

Czy usłyszysz skrzypienie drzwi, jeśli Hybris wróci?

A jeśli już jest w domu? Jego czujność wzbudzi stłuczona szyba i skrzypienie stropu...

Guy zacisnął pięści, miał wilgotne dłonie. Ruszył do wyjścia.

Ale na schodach poczuł, że nie może stąd wyjść, nie zwiedziwszy domu w całości.

Choć w głębi duszy nie wierzył już w hipotezę porwanych i więzionych dziewcząt, musiał się upewnić.

Ruszył więc wąskimi schodami, których każdy stopień wydawał z siebie jęk, uginając się pod jego ciężarem.

Znalazłszy się znów na parterze, zamierzał zbadać podziemie budynku, gdy nagle zauważył, że drzwi do kuchni są otwarte na oścież.

Był pewien, że zamknął je za sobą.

Oddech zamarł mu w płucach.

A serce niemal wyskoczyło z piersi, gdy usłyszał metaliczne uderzenie dobiegające z kuchni.

Nie był w domu sam.

44.

Paszczą lwa.

Olbrzymia i pełna klów.

Faustine kontemplowała ją ze swojego kąta, spod antresoli, na której wystawiał swoje zegary Marcus Leicester.

Przyjęła kształt drzwi służbowych.

Istniały zapewne inne wejścia, ale Faustine nie chciała tracić czasu. To się nada. Wystarczy wślizgnąć się pomiędzy dwie fale zwiedzających, tak żeby angielski zegarmistrz jej nie zauważył.

Jednak wciągnie śmiała ruszyć z miejsca.

Coś ją powstrzymywało od ponad godziny.

Nie był to ani strach, ani podejrzenia.

Raczej uczucie, że coś w tym wszystkim wydaje się jej niespójne.

Od samego początku Faustine nie umiała ujrzyć w Leicesterze wiarygodnego podejrzanego.

Powtarzała sobie, że gdyby tak prosto dało się wyczuć winnego, wszyscy złoczyńcy spaliby teraz za kratami.

Leicester ani razu podczas wspólnego zwiedzania nie wspomniał jej o istnieniu sterylnego pomieszczenia służącego mu za laboratorium. Teoretycznie powinien być dumny z takiego wynalazku, dlaczego miałby go ukrywać? Żeby nie wnieść do niego zarazków? Ale przecież nie musiał jej do niego wpuszczać, mógł się tylko pochwalić, że je ma.

Mógł też przemilczeć tę sprawę.

Bo popełnia tam zbrodnię!

Żeby mieć pewność, należałoby przyłapać go na gorącym uczynku.

Faustine postanowiła uzbroić się w cierpliwość.

Drzwi naprzeciw niej, po drugiej stronie holu wejściowego, znajdowały się najbliżej stoiska Leicester. Jeśli jego sterylne laboratorium znajduje się dokładnie pod nim, jak zasugerował Sébillot, najprostsza droga do środka musi prowadzić przez te właśnie drzwi.

Jeżeli Anglik się pojawi, wystarczy, że Faustine pójdzie za nim, trzymając się w bezpiecznej odległości, aż trafi do jego kryjówki.

Czekała więc.

Całe popołudnie.

Usiadła na kamiennym występie nieco na uboczu, skąd miała doskonały widok na drzwi w przeciwległej ścianie.

Z początku przyglądała się przechodniom - w holu nie eksponowano niczego poza żelazną strukturą pokrytą plandeką, czekającą na ukończenie - to jednak szybko ją zmęczyło. Rzuciła

od czasu do czasu okiem w stronę antresoli, na wypadek gdyby Leicester lub jego asystent, Legrand, wychylili się przez poręcz. Najgorzej by było, gdyby któryś ją zauważył.

Ale nikogo nie dostrzegła.

Dzień dobiegał końca.

Gości było coraz mniej, zwiedzający za dnia już wychodzili, ci z wieczora jeszcze się nie pojawili.

Nieco przed osiemnastą podejrzany ruch zwrócił jej uwagę.

Ktoś kierował się prosto w stronę drzwi.

Dłuższą chwilę zajęło jej rozpoznanie sylwetki.

Kiedy jednak mężczyzna odwrócił się, chcąc się upewnić, że nikt go nie widzi, Faustine natychmiast rozpoznała jego czarną brodę.

Louis Steirn.

Dała mu trzydzieści sekund, po czym ruszyła jego śladem.

Schody kończyły się korytarzem oświetlonym elektrycznymi żarówkami umieszczonymi co dziesięć metrów, tak że między nimi duże przestrzenie pogrążone były w mroku. Wzdłuż sufitu i ścian ciągnęły się rury.

Steirn zniknął.

Rozległo się metaliczne trzaśnięcie w głębi nieco po prawej.

Faustine podniosła fałdy sukni, by szuranie materiału o podłogę nie zdradziło jej obecności, i zbliżyła się do zakrętu, za którym znajdowały się ciężkie żelazne drzwi.

Nie miała zmysłu orientacji, wydawało jej się jednak, że znajduje się pod główną halą.

Przyłożyła ucho do zimnego skrzydła drzwi, lecz niczego nie usłyszała.

Czego Steirn mógł tutaj szukać?

A jeśli poszła złym tropem? Jeśli Leicester jest tylko dzielnym zegarmistrzem wyznającym swego rodzaju kult swoich kreacji? A Steirn, jego stary przyjaciel, po prostu odwiedza go w jego warsztacie?...

Postanowiła się co do tego upewnić.

Przy najdrobniejszym zagrożeniu wycofa się i powiadomi Guya i Martiala.

Niebezpieczeństwem było już samo zejście tutaj! - usłyszała głos rozsądku.

Chciała okazać się pożyteczna. Działała w sprawie Milaine i Rose i dlatego, że nie mogła dłużej czekać i pozwolić, by Hybris znowu zaatakował. Nie chciała się jednak pomylić, nie chciała się ośmieszyć przed swoimi towarzyszami ani narażać ich na stratę czasu.

Musiała się upewnić, że dzieje się tutaj coś nietypowego, związanego z Leicesterem lub Steirnem, i dopiero wtedy zwołać swoją armię.

Pchnęła drzwi, które otworzyły się na kolejny korytarz, tym razem ciągnący się okrężną drogą. Szła drobnymi kroczkami, czujna, gotowa do biegu mimo licznych halek i taftowej sukni.

Zapomniała kapelusza przy kamiennym cokole w holu.

Tym lepiej! - pomyślała. I tak nie było jej łatwo poruszać się bezszelestnie.

Dotarła do pomieszczenia pełnego regałów, na których ustawiono metalowe części, cały arsenał idealnego zegarmistrza.

Korytarz ciągnął się dalej, najwyraźniej okrążał całą salę.

Komora chroniąca wewnętrzne środowisko.

Za dwuskrzydłowymi drzwiami czekała prawda.

Niewinność lub wina Leicestera.

Weszła ostrożnie i natychmiast oślepiło ją silne światło elektryczne rzucające białą jasność na środek sali.

Zapach wypełniający pomieszczenia również ją zaskoczył. Zwierzęcy ostry odór. Siarka, rozpoznała tę woń.

Uniosła głowę, osłaniając twarz ramieniem.

Zauważyła coś pośrodku, jakiś duży kształt.

Większy od człowieka.

Sylwetka miała na głowie rogi.

Poruszała się.

Po czym warknęła.

Faustine drgnęła i cofnęła się.

Zderzyła się z kimś.

Ktoś wślizgnął się za nią.

Chciała go odepchnąć i uciec, lecz wszystko działo się zbyt szybko.

Żelazny uchwyt unieruchomił jej brodę i przycisnął kawałek silnie pachnącego materiału do ust i nosa.

Próbowała się wyrwać, odepchnąć duszące ją macki.

Jej gesty były rozpaczliwe w porównaniu z determinacją kierującą jej napastnikiem. Nie był wcale wysoki, odgadywała, wypełniała go jednak siła i żelazna wola.

Wtedy zrozumiała.

Nie było sensu stawiać oporu.

Miał doświadczenie, nie dawał jej żadnej szansy.

Przewidywał każdy jej gest. Powtarzał tę scenę wiele razy, znał ją dokładnie na pamięć.

Faustine nie miała wyboru - musiała wciągnąć w płuca odurzający zapach.

I poddać się Hybrisowi.

45.

Uderzyć jako pierwszy.

Guy wiedział: zadanie pierwszego ciosu będzie najlepszym sposobem, by ująć z tego cało. Jeśli trafi z całej siły, może uda mu się wytrącić ojca Camillea z równowagi.

Za pięścią musi iść cały tułów. A jeśli zdecyduje się na kopniaka, musi dobrze wyrzucić biodro, miednica wykona wtedy idealny obrót, oddając ciężar ciała.

Należało teraz przypomnieć sobie wieloletnie treningi boksu francuskiego.

Guy ruszył w stronę kuchni.

To nie był Lucien Camille.

Lecz czarny chudy kot.

Wbił w Guya pionowe źrenice otoczone żółtą obwódką i miauknął.

Pisarz rozluźnił się i wypuścił powietrze z płuc, naraz ustąpiło całe skumulowane napięcie, ramiona mii opadły.

- Napędziłeś mi niezłego stracha, wstrętny kocurze!

Czyżby to był znak, że nie powinien już dłużej zwlekać?

Nie przyszedłem aż tutaj, żeby od razu uciekać.

Musiał przynajmniej dokończyć zwiedzanie domu.

Dotarł do miejsca, gdzie zaczynały się schody prowadzące do piwnicy.

Ściany przesiąknięte były zapachem stęchlizny

Guy zapalił świecznik stojący na najwyższym stopniu i zszedł w dół.

Zapach się zmienił.

Stał się mocniejszy i cieplejszy.

Ostry.

Woń ta nie była obca Guyowi, choć nie potrafił jej w tej chwili zidentyfikować. W piwnicy mieściła się skąpo zaopatrzona spiżarnia.

Pośrodku na ziemi leżały dwa żelazne naczynia, wydobywał się z nich coraz silniejszy odór.

Guy nachylił się nad nimi i od razu rozpoznał zapach.

Często wyczuwał go, wsiadając do samochodów.

Benzyna.

A kręgi odbite na klepisku świadczyły o istnieniu większej liczby takich zbiorników.

W co pogrywa ojciec Camille?

Nie miał środków, żeby zafundować sobie samochód! Po co więc przechowywać tyle benzyny, to niebezpieczne, każdy wie, że to substancja łatwopa...

Och, nie...

Ojciec Camille miał w głowie diaboliczny plan.

Guy starał się trzymać ze świecznikiem jak najdalej od benzyny, obszedł szybko piwnicę, chcąc mieć pewność, że nie znajdzie tu niczego ciekawego, i wybiegł na górę.

Teraz mógł już wyjść.

A jednak się zawahał.

Było jeszcze przejście do kościoła.

Odchylił kotarę, by przyjrzeć się półce, na której stała kustodia pełna hostii.

Gdy tak rozmyślał o ich straszliwym przeznaczeniu, wezbrała w nim nagle chęć, by zrzucić je na ziemię i zdeptać.

Przegonił z myśli widok twarzy Rose i Milaine i ruszył dalej.

Szafka na kielich, korporał, patenę, kadzielnicę i inne akcesoria używane podczas odprawiania mszy. Nic ciekawego.

Nie spojrzał nawet na ornat i zrobił kilka kroków w stronę kościoła.

Nawa znajdowała się za drzwiami zamkniętymi od wewnątrz na zasuwkę.

Osobliwy środek ostrożności jak na księdza.

Guy zauważył wówczas, że podłoga pod jego nogami dziwnie skrzypi. Odwinął stary dywan położony przy wejściu do prezbiterium i podniósł znajdującą się pod nim klapę.

Uzbrojony w swoją zapalniczkę zsunął się pod kościół, do czegoś, co przypominało dawną kryptę.

Na piętrze Guy odkrył sanktuarium Hybrisa, tu również nie miał wątpliwości: znalazł się oto w sali tortur.

Na krążek zamocowany w ścianie nawinięte były sznury, na półkach leżały noże poplamione ciemną zaschniętą substancją. Pół tuzina figurek Chrystusa oderwanych od krzyży. Guy zauważył również wiele fiolek wypełnionych białymi, przezroczystymi i czarnymi substancjami - arsenał trucizn, odgadł. I rozstawione wokół wygaszone świece.

Na podłodze łańcuch przykuty do kamiennej ściany.

Ojciec Camille musiał mieć pewność, że nikt nie zakłóci jego nocnych obowiązków.

Drugie drzwi zabezpieczone zasuwką zamykały pomieszczenie.

Guy podszedł do nich i odciągnął zatrask, chcąc rzucić okiem do środka.

Odór uryny, zgnilizny i ekskrementów uderzył w jego wyczulone zmysły.

Coś poruszyło się w głębi.

Mała istota wyprostowała kończyny, by przeczołgać się na środek ślepej komórki.

Guy był czujny, gotów zareagować.

Uniósł zapalniczkę.

Rachityczne członki, sama skóra i kości, wyciągnęły się, macając ziemię w jego kierunku.

Postać ustawiła się w pozycji błagalnej.

Cichy gardłowy głos towarzyszył gestom:

- Chwała tobie, Szatanie, niech rozpocznie się tve panowanie na ziemi. Chwała tobie i

twoim czarnym aniołom!

46.

Młoda dziewczyna z łysą głową.

Wpatrywała się w Guya wielkimi nieprzytomnymi oczyma, na jej wargach pojawiła się biała piana.

Przyjrząwszy się dokładnie jego twarzy, odwróciła głowę.

- Nie jesteś Diabłem - rzekła zmęczonym głosem. - Też jesteś jego sługą?

Guy rozpoznał ją. Widział już niegdyś tę dziewczynę, na zdjęciu w sekretnym mieszkaniu Viviane Longjumeau. Nie miała na głowie ani jednego włosa, była znacznie chudsza, lecz wciąż ta sama, nie miał co do tego wątpliwości.

Przykląkł, by złamać stosunek dominacji, jaki między nimi powstał.

- Nazywam się Guy. Przyszedłem po ciebie. Jesteś Louise, prawda?

Oblicze naprzeciw niego ściągnęło się nagle w przerażeniu.

- Po mnie? Nie! Nie! Jestem jego! Należę do Piekieł! Nie!

- Uspokój się! - odparł Guy, łapiąc dziewczynę za ramiona, by uchronić ją przed zranieniem. - Uspokój się! Pomogę ci! Nie jestem z ojcem Camille'em, przyszedłem cię od niego uwolnić, rozumiesz?

Nastolatka usiłowała z początku wyzwolić się z jego uścisku, zabrakło jej wszakże sił i poddała się - osunęła się w jego ramiona.

- Ciii... to koniec, jestem tutaj - ciągnął Guy, przytulając ją do siebie. - Twój koszmar się skończył, wyciągnę cię na powierzchnię.

I wtedy coś w niej pękło. Zaczęła płakać, zawodząc jak dziecko, gorącymi łzami przerywanymi czkawką wynikającą z wycieńczenia.

Guy trzymał ją przez chwilę przytuloną, czekając, aż się uspokoi. Następnie podniósł ją i wyciągnął do góry, do kościoła.

Ściągnął obrus z ołtarza i owinał w niego Louise.

Uświadomiwszy sobie, że znajduje się w świątyni, dziewczyna wskazała palcem na ławki.

- Śpiewy... - powiedziała. - Słyszałam śpiewy... nie ku chwale Diabła... Oszukał mnie.

- On, czyli ojciec Camille?

- Tak, to mój ojciec.

Opowiedziała mu wówczas, jak spotkali się na ulicy Monjol: była przesiąknięta narkotykami aż do szpiku kości, gotowa na wszystko, by zdobyć fundusze na opłacenie sobie godziny w palarni na Montmartrze, on szukał dziewcząt, które mógłby wypowiadać. To on ją rozpoznał, Louise bowiem nigdy wcześniej go nie widziała. Zostawił jej matkę po jednej namiętnej nocy, później otrzymywał od czasu do czasu list lub zdjęcie. To była tajemnica łącząca jego i jej matkę. Próbował z początku odciągnąć ją od prostytucji, ale odmówiła, zew opium był silniejszy niż wszystko.

Aż pewnego wieczora wpadł w szal.

Zwabił ją tutaj i zamknął, by nigdy więcej nie wypuścić na zewnątrz. Przychodził od czasu do czasu dać jej jeść i pić, opowiadał wtedy o opuszczeniu ziemi przez Boga.

I o swoim planie, by zmusić Boga do powrotu.

O najwyższej prowokacji, rytuale, jaki zgotował, chcąc przyciągnąć ponownie spojrzenie Stwórcy.

I o ciszy, jaką otrzymywał w odpowiedzi.

Więc zaczął słuchać śpiewów Szatana...

Opowiedziała Guyowi wszystko ze szczegółami podczas drogi powrotnej dorożką. I Guy zrozumiał.

Obecność córki wzbudziła w Camille'u wściekłość, list Louise do matki napisany w chwili jasności umysłu sprawił, że Viviane zjawiała się na ulicy Monjol już po jej zniknięciu. Lucien Camille musiał pewnego dnia spotkać Viviane, kobietę, którą poznał w czasach poszukiwania siebie. Odciągnął ją w ustronne miejsce i zabił, zapewne po długim spacerze.

Dotarłszy przed Buduar, Guy spytał Louise:

- Czy wiesz, po co składował u siebie tę całą benzynę?

- Nie.

- Nie mówił, że chce gdzieś podłożyć ogień?

- Nie. Za to często wspominał o oczyszczającym ogniu. Żeby ich „wysłać do Piekła”, jak twierdził.

Guy uświadomił sobie powagę sytuacji. Większość kanistrów została już wyniesiona z plebani, zapewne przetransportowana na miejsce, gdzie benzyna miała posiać śmierć.

Ojciec Camille nienawidził kobiet, a w szczególności matek, to był jego główny problem.

Nie, prostytutki! Przede wszystkim zabijał prostytutki! Dziewczeta z miejsc, w których się włóczył, dziewczyny z ulicy M...

Monjol.

Hybris zamierzał spalić to, co najbardziej w Paryżu przypominało Piekło.

47.

Paryż przemykał z dużą prędkością za szybą krytego powozu.

Guy oddał Louise pod opiekę Jeanne.

Żadnych wieści od Perottiego i Faustine.

To zaczynało go poważnie martwić.

Są bezpieczni, Hybris chce się na razie rozprawić z ulicą Monjol, lecz kiedy już spali całą dzielnicę, jaki pomysł po zapadnięciu nocy podsunie mu jego szalony umysł?

Gdzie więc są Faustine i Perotti?

Powóz zwolnił na bulwarze Saint-Martin tuż przed placem Republiki. Na środku ulicy przewrócił się omnibus, konie rżały, jeden był ranny, drugi zaplątany w uprzęż, pasażerowie leżeli na ziemi, zewsząd tłumnie nadbiegali ludzie. Powstał korek z dorożek, wozów, automobili i omnibusów.

Guy wyskoczył z powozu i w dalszą drogę udał się pieszo żwawym krokiem.

Tym razem nie zapomniał o lasce, lepsze to niż nic, gdyby przyszło mu się bronić.

Miał jednak nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Biorąc pod uwagę degenerację umysłową ojca Camillea, istniały podstawy do podejrzeń, że wszystko uda się rozwiązać za pomocą słów. Miał jeszcze czas, żeby go przekonać, wydobyć na powierzchnię skrzywioną istotę zamiast bezdusznego krwiożerczego potwora, który chciał go zabrać ze sobą na tułaczkę.

Dzień dobiegał końca, na ulicy Asselin panował spokój, nieliczni

próżniacy wychodzili z owerniackiej kawiarni i rozpraszali się po chodnikach.

Guy wspinał się szybkimi krokami w stronę położonej powyżej, za zniszczonymi fasadami, ludzkiej kloaki. Zaglądał do każdej wnęki, sprawdzając, czy ktoś się w niej nie czai.

Zagadnął pierwsze napotkane dziewczyny z Monjol, ale żadna tego dnia nie widziała księdza. Czyżby ukrył się gdzieś, czekając na zapadnięcie zmroku? Jeśli chciał mocno uderzyć, to było najprawdopodobniejsze wyjaśnienie.

Victor przyjął go w swojej podziemnej kryjówce cuchnącej ciałem i potem. Nagie dziewczyny zerknęły na niego zza dziurawych zasłon. Większość z nich była odurzona absytem i opium.

- Zna pan ojca Camille'a?

- To klecha, który tu dawniej przychodził od czasu do czasu.

- Już nie przychodzi?

- Nie było go ze trzy tygodnie.

- To on porywał i zabijał wasze dziewczyny. Podejrzewam, że lada chwila pojawi się tutaj i podpali całą ulicę.

- Ten klecha?

- Tak, a biorąc pod uwagę ogólny stan budynków, nie trzeba wiele, by pożar szybko się rozprzestrzenił i wszystko zmiotł. Proszę zebrać swoich ludzi, trzeba obstawić wszystkie drogi dostępu na Monjol. Należy działać dyskretnie, pozwolić mu się zbliżyć. Jeśli wyczuje najdrobniejszą anomalię, czmychnie nam sprzed nosa.

- Idę po Króla!

Król Wszarzy wziął sprawy w swoje ręce. Ustawił mężczyzn przy każdym wylocie ulicy z poleceniem „łapania każdego klechy, jaki się pojawi”, a w szczególności ojca Camillea.

Guy zasadził się powyżej, razem z Gillesem, Królem Wszarzy, obnoszącym swój trzydniowy zarost.

Król Wszarzy podał mu butelkę absyntu, mówiąc:

- Zielonej?

- Nie, dziękuję, wolę mieć jasny umysł, kiedy się pojawi.

- Ja nie. Wolę być pod wpływem alkoholu, jeśli go złapiemy. Moi chłopcy twierdzą, że po pijaku jestem mniej okrutny.

Król Wszarzy odstawił swój wyrafinowany język wraz z żyletką. Alkohol sprawiał, że częściej niż podczas ich pierwszego spotkania używał żargonu.

Czekali ponad dwie godziny, aż do zmroku. W końcu Król spytał Guya:

- Jest pan pewien, że przyjdzie?

- Prawie pewien.

- Dlaczego? Powiedział to panu?

- Nie, wywnioskowałem.

- Wywnioskował pan? Mam nadzieję, że jest pan w tym dobry! Nie jestem może zbyt wierzący, ale żeby podejrzewać klechę o to, co pan mówi, musi mieć pan silne podstawy do swoich dedukcji.

- Ksiądz jest też satanistą, czy to panu wystarczy?

- Tylko tego brakowało.

- Satanistą, który odwiedza...

- Który odwiedza co? prostytutki? Bo tutaj ojciec Camille tylko gadał z naszymi dziwkami, nigdy nie posuwał się dalej, jeśli rozumie pan, co mam na myśli!

Nagle Guy się zafrasował. Ojciec Camille zwrócił się w stronę kół ezoterycznych w poszukiwaniu odpowiedzi, których nie znalazł dla siebie w religii, w Bogu. Poznał Steirna i jego ludzi, ale czy istotnie brał udział w ich satanistycznych praktykach? Podczas ich jedyne spotkanie ksiądz gwałtownie przestrzegwał Guya przed nimi.

Ojciec Camille żył między dwoma światami, nie mogąc znaleźć dla siebie miejsca w żadnym z nich. Żył między rzeczywistością i urojeniami,

między Bogiem, który mu nie pomagał, i Szatanem, do którego mimowolnie kierował swoje modły.

Guy dokładnie pamiętał przerażone i zaniepokojone oblicze księdza; wówczas złożył jego stan na karb odurzenia narkotykowego.

Duchowny odczuwał żywą wściekłość do Koła Serafinów.

Czy to jego członkowie skierowali go na drogę Zła? Winił ich za to?

Nagle Guy pomyślał, że być może się pomylił.

Camillea drażniły nie kobiety z Monjoł, lecz wysłannicy Szatana!

Koło Serafinów.

Guy dyszał, dotarłszy na ostatnie piętro budynku przy ulicy Vivienne.

Drzwi były zamknięte.

Nie zauważył nikogo w holu, na podwórku ani na schodach.

Unosił już pięść, by zastukać, gdy nagle do jego nozdrzy dotarł zapach, który sprawił, że zjeżyły mu się włosy na karku.

Wszystkie jego zmysły nagle się obudziły.

Benzyna!

Chwycił za gałkę u drzwi i delikatnie ją przekręcił.

Dobry Boże, Perotti, tak bardzo cię teraz potrzebuję!

Udało mu się wślizgnąć bezgłośnie do przedpokoju, skąd dobiegł go drżący głos księdza:

- Przejrzałem waszą grę! Posłużyliście się mną! Przez was to wszystko!... Conocne koszmary... To wy! Nie powinienem był was słuchać! No i gdzie jest ten wasz zbawca? Gadajcie! Gdzie jest Zło, kiedy go potrzebujecie?

Guy zbliżył się do progu przestronnego salonu.

Smród benzyny był tu wyjątkowo silny.

Lucien Camille stał z zapalniczką w jednej ręce i z bronią palną w drugiej. Miał oczy wychodzące z orbit, nabrzmiące żyły na szyi i skroniach.

Naprzeciw niego pół tuzina członków Koła, wśród których Guy rozpoznał Rodolphe'a Leblanca i hrabinę Bolosky. Wszyscy na wpół przytomni, kompletnie zbici z tropu.

Ze wszystkich obficie kapąla jakaś ciecz.

Żelazne kanistry leżały pośrodku salonu. Ksiądz oblał wszystkich benzyną.

Deska w podłodze zaskrzypiała pod stopami Guya.

Ojciec Camille natychmiast go dostrzegł i wycelował w jego stronę lufę broni.

- Stój! - wrzasnął. - Po co przyszedłeś? Mówiłem ci, żebyś się z nimi nie zadawał! Nie posłuchałeś! Nikt nie słucha! Nikt!

- Lucien, niech się ksiądz uspokoi! - rzekł Guy najpewniejszym głosem, na jaki było go stać mimo żółci podchodzącej do przetyku.

Strach ścisnął mu pierś i płuca. Czarna paszcza pistoletu mierzyła w niego, prosto w czoło, z kulą gotową przeszyć mu mózg.

- Na kolana! - rozkazał ksiądz. - Na kolana albo strzelam!

Guy złożył dłonie w uspokajającym geście.

- Nie musi ksiądz tego robić... Zabicie tych ludzi nie rozwieje lęków księdza.

- Niczego nie wiesz o moich lękach!

- Wiem, że zwrócił się ksiądz do Boga z nadzieją na znalezienie spokoju ducha, lecz On nie wysłuchał księdza. Wiem, że zaczął ksiądz zabijać, chcąc go sprowokować, licząc, że dzięki temu zwróci na księdza uwagę, odpowie na pytania. Bo w gruncie rzeczy ma ksiądz wątpliwości co do swojej wiary.

- To wasza wina, że do tego doszło! Wasza wina!

Biała piana pojawiła się w kącikach ust kapłana, pryskał śliną, krzycząc, twarz miał purpurową, jakby groził mu atak apopleksji.

- Wiem, że wypróbował ksiądz najgorsze bluźnierstwa, a On nie zareagował. Wiem to wszystko. Czuje się ksiądz przerażająco samotny, jak gdyby był ksiądz jedynym przedstawicielem swojego gatunku pośród istot, które księdza nie rozumieją. Mam rację?

Po raz pierwszy wątpliwość zmieniła spojrzenie duchownego, histeryczna determinacja, która rządziła nim do tej pory, ustąpiła nieco rozumowi. Guy musiał się wcisnąć w tę szczelinę.

- Są sposoby, żeby księdzu pomóc - dodał. - Nie jest ksiądz szalony, i ksiądz to wie, równocześnie jest z księdzem coś nie tak, jest ksiądz zraniony, istnieją jednak ludzie, którzy będą mogli to naprawić. Niech ksiądz wróci myślami do dzieciństwa, pomyśli o tym, co przeżył. Ojciec księdza bił?

Camille pokręcił lekko głową ze wzrokiem zagubionym w oddali.

- Jestem sierotą. Wychowywali mnie księża - powiedział cicho.

- Nie ma ksiądz przykrych dręczących wspomnień?

Lucien Camille skinął niemal niedostrzegalnie głową.

Guy dostrzegł łzy na jego policzkach, choć nie wiedział, czy spowodowała je benzyna, czy też wzruszenie, które torowało sobie w nim drogę.

- Kim są ci ludzie, którzy mieliby mnie leczyć? - spytał ze słabnącą wściekłością w głosie.

- Lekarze badający umysł. Potrafią opatrzeć dręczące nas niezrównoważone myśli.

- Bzdura! - Ojciec Camille ponownie się zezłościł. - To szarlatani! Znam ich, na niczym się nie znają, eksperymentują tylko! Otworzą mi głowę za życia, zbadają mózg!

- Nie, zapewniam księdza, że dokonano w tej dziedzinie olbrzymich postępów, lekarze będą przy księdzu i pomogą pokonać koszmary.

Guy wykorzystywał rozmowę, by krok po kroku zbliżać się do kapłana.

Dzieliła ich teraz odległość zaledwie trzech metrów.

Lufa pistoletu opadła nieco, celowała już nie w głowę, lecz w brzuch.

- „Melmoth wraca do domu” - powiedział powoli Guy, przypomniawszy sobie ostatnie zdanie listu napisanego przez Hybrisa. - Tułaczka skończona.

Ksiądz nawet nie mrugnął, zatopiony w głębokich rozmyślaniach, w świecie sprzeczności, lęków, cierpień, perwersji i nienawiści. Wszystkie one ścierały się niczym zderzające się potężne fale - w jego steranej głowie szalała burza.

- Tułaczka może zakończyć się tutaj - dodał pisarz. - Jeśli mi ksiądz zaufa. Jeśli poda mi ksiądz dłoń.

Stał teraz w plamie benzyny, którą przesiąknięty był dywan. Dzieliły ich dwa metry
Wyciągnął rękę po broń.

Lucien Camille nie zareagował. Jego pierś unosiła się szybko, był zagubiony.

Guy dotknął palcami jego nadgarstka.

Ale nie próbował jednak wyrwać mu pistoletu. Chciał to załatwić spokojnie. Czuł, że niewiele już brakuje.

- Niech mu pan wyrwie broń! - wrzasnął wówczas Rodolphe Leblanc, rzucając się w stronę duchownego.

Hybris połąknął Luciena Camille'a w jednej chwili.

Zimny okrutny potwór przejął kontrolę, zanim Guy zdołał unieruchomić jego ramię.

Uderzeniem kolby w głowę powalił Guya, pocisk trafił Leblanca w pełnym biegu.

Pośrodku jego piersi zakwitł purpurowy kwiat, młody człowiek zatoczył się, pełen niedowierzania.

Ksiądz przyjrzał się pozostałym członkom Koła z rozczarowaniem.

Potarł kółko zapalniczki, uwalniając płomyk.

- Jesteście śwynie - powiedział cicho. - Śwynie, które będą się smażyły w Piekło.

Zapalniczka poleciała w powietrze rzucona na środek pomieszczenia.

Serafini zdążyli tylko nabrać oddechu w płuca, jak gdyby mieli się zanurzyć w głębokiej kąpieli.

Guy domyślił się, co się teraz wydarzy - przetoczył się na bok, by znaleźć się jak najdalej od nasiąkniętego benzyną dywanu, w tym czasie salon zajmował się ogniem przy akompaniamencie przerażającego świstu.

Całe powietrze wypełniające pomieszczenie zostało zassane, zanim jeszcze Piekła wypłyły rozżarzony strumień ognia.

Guy ujrzał przerażone twarze serafinów, na których ogień rzucał się, jak gdyby Diabeł we własnej osobie nim kierował.

Płomień ruszył teraz w stronę Luciena Camille'a, który przyjął go, rozkładając ramiona na boki na podobieństwo Jezusa Chrystusa.

Ogień otoczył go gorejącym całunem.

Wszyscy wrzeszczeli i miotali się.

Widok ten sprawił, że pisarz zamarł na kilka sekund, po czym skoczył na nogi i zerwał z karnisza wielką zasłonę.

Rodolphe Leblanc minął go w biegu z nieznośnym krzykiem, który przypominał odgłos pędzącej lokomotywy

Rzucił się na wielkie okno, uderzył biodrem o balkon i wyskoczył przez barierkę.

Kula z płomieni zabłysła pośród nocy, po czym roztrzaskała się na chodniku.

Wszystko stało się tak szybko, że Guy nie zdążył zareagować.

Ksiądz krzyczał wraz z innymi, lecz w przeciwieństwie do nich gehenna zdawała się

przynosić mu ulgę.

Odkupywał swoje grzechy.

Guy skoczył przez płomienie, owinął hrabinę Bolosky w zasłonę, razem wytoczyli się z płomieni.

Pisarz podniósł się i zaczął tłumić ogień, narzucając gruby materiał na zwijającą się z bólu nieszczęsną kobietę.

Za ich plecami pożar nabierał mocy.

Ludzie znikli za ścianą ognia.

Było już za późno, by kogoś jeszcze ratować.

Guy wziął starszą panią na ręce i skierował się ku wyjściu, korzystając z tego, że nie byli jeszcze otoczeni przez płomienie.

Rzucił ostatnie spojrzenie na Hybrisa: ksiądz klęczał, topiła mu się skóra twarzy, jęczący bełkot zastępował mowę pogrzebową.

Guy pospieszył do wyjścia.

48.

Julie była nieprzenikniona.

Patrzyła na Guya, lecz z jej spojrzenia nie dało się odgadnąć, o czym myśli.

Właśnie wszystko jej opowiedział.

Wysłał hrabinę dorożką do szpitala i czym prędzej wrócił do domu. Było jeszcze zbyt wcześnie, by oddać się w ręce policji i zeznać wszystko, co wie.

Ręce rozdierał mu ból, miał poparzone palce - ponownie zanurzył je w miednicy z zimną wodą.

Lewy policzek również go bolał, zawdzięczał ojcu Camille'owi pięknego siniaka.

- Powinien pan być w szpitalu - rzekła wreszcie Julie. - I leczyć się razem z tą starszą damą.

- Mojego stanu nie można porównywać z jej.

- Trzeba iść na policję. Nie może pan dłużej czekać, Guy

- Wiem. Potem będę musiał odejść. Cała ta sprawa nabierze rozgłosu, rodzina może się o mnie upomnieć. Nie zostanę w Paryżu z obawy, że mnie odnajdą.

- Więc po raz kolejny ucieknie pan przed Joséphine? Nie powinnam może tego mówić, ale biorąc z nią ślub, zgodził się pan dotrzymać przysięgi małżeńskiej. Ona ma przynajmniej prawo wiedzieć, powinien jej pan to wyjaśnić.

- Nie zrozumiałaby

- Niech pan nie traktuje swojej żony jak idiotki, to tylko pretekst.

- No dobrze, powiedzmy, że uważam swoje poprzednie życie za zakończone. To pozwala mi cieszyć się nowym.

Julie, która oceniała rzeczy obiektywnie, bez żadnej złośliwości, odparła szczerze:

- Jest pan egoistycznym tchórzem.

Guy przytaknął.

- Odzyskałem życie przy pani i dziewczętach.

- I ta ohydna sprawa, Guy... widzę, że nie chce pan pogodzić się z rzeczywistością.

Zapadła pomiędzy nimi dłuższa cisza.

- To możliwe - przyznał cicho.

Wstał z kanapy i stanął naprzeciw deski z przytwierdzonymi do niej karteczkami.

Głowa Hybrisa.

Pamiętał jeszcze uważne spojrzenie Perottiego, gdy wypowiedział to imię.

- Martial Perotti nie pojawił się wieczorem? - zdziwił się.

- Nie, nic mi o tym nie wiadomo. Jeanne przekazałaby mu pańską wiadomość.

- A Faustine nie wróciła?

- Jeszcze nie.

Guy wziął głęboki oddech.

Ich nieobecność zaczynała być dziwna. Nieprzyjemna wręcz.

Mają prawo do swojego życia, czyż nie?

Wziął do rąk kartkę z opisem charakteru Hybrisa.

Gdyby policja robiła, co do niej należy, zasięgnęłaby informacji na temat życia Luciena Camillea, może miałyby wówczas dostęp do jego historii. Guy był ciekaw, kim był ten człowiek i czy jego portret okazał się trafny

Sierota wychowany przez księży... Tego nie przewidziałem! Czy to figurkę Marii uwznioślił? Mało prawdopodobne... A może własną matkę, zanim go porzuciła? Być może...

Najbardziej rozczarowujące było w gruncie rzeczy to, że będzie musiał żyć, nie poznawszy prawdy. Gdyż prawda każdego człowieka należy tylko do niego i do jego historii, tej ukrytej w cieniu, która zapisuje się w mroku naszych umysłów.

W głębi duszy Guy był przekonany, że trafnie go opisał, przynajmniej w ogólnym zarysie.

I dlatego ksiądz w ogóle go słuchał, pozwolił mu się zbliżyć.

Powyżej chronologiczna lista morderstw i ofiar spijała blask z lamp naftowych, uwydatniając czarne atramentowe litery

Spojrzenie Guya zatrzymało się na imieniu Louise.

- Jak się ma mała?

- Śpi, jest z nią Marthe i Eugénie. Zamknęłam lokal na dziś wieczór. Zbyt dużo emocji, zbyt dużo wydarzeń.

A więc Lucien Camille miał córkę.

Spotkanie z nią na jego terenie łąwieckim bardzo nim wstrząsnęło.

Początek spirali, makabryczne przyspieszenie.

Guy wyobrażał sobie szok emocjonalny, jakim musiało być dla księdza zetknięcie się na ulicy Monjol z jej matką.

Louise porwana, Viviane zmasakrowana, następnie Anna Zebowitz, zbrodnia zupełnie innego rodzaju, przy której pobrał organy - tu konotacja seksualna jest mniej wyraźna. Milaine, Rose... I w międzyczasie Elikya!

Guy wciąż nie mógł dociec powodu obecności Hybrisa na wystawie. Czy ów cudowny jarmark zakłócał jego spokój i przyczyniał się do zmiany zachowania?

- Zmiana zachowania... - powtórzył cicho.

Znów cofnął się nieco od tablicy.

Czterech pierwszych zbrodni dokonano w różnych częściach Paryża. Pobrano narządy. Następnie zwłoki pod wieżą Eiffla, brakujące organy

i duże fragmenty ciał. Pięć zaginionych prostytutek z ulicy Monjol. Nie zostały odnalezione. I Louise.

Viviane była pierwszą z ofiar, przy których zastosowano całkowicie odmienny rytuał.

Chodziło o coś bardziej osobistego?

Przypadki Milaine i Rose były najbardziej osobliwymi zbrodniami bez pobrania organów. One zostały otrute, Viviane natomiast zabito przy użyciu broni białej. Uciekała. Guy cały czas tłumaczył sobie ów incydent chęcią Hybrisa, by zabawić się ze swoją ofiarą, gdyż morderca był zbyt doświadczony, żeby pozwolić zwierzynie uciec.

A jeśli się mylił?

Jeśli Viviane uciekła, bo - wręcz przeciwnie - brakowało mu doświadczenia? Gdyż była pierwszą w serii jedynie trzech ofiar?

Najpierw broń biała, bo wydawała się najbardziej oczywista, następnie przyszła kolej na truciznę - chciał w ten sposób uniknąć rozlewu krwi, bezpośredniego starcia, gdyż za pierwszym razem, przy użyciu noża, sprawy potoczyły się nie tak jak trzeba.

Wszystko zaczęło się od Louise.

Ojciec Camille nie zabił nikogo, dopóki na ulicy, w najgorszym zakątku świata, nie wpadł na własną córkę sprzedającą swoje ciało.

Ta osobista tragedia wzburzyła go do tego stopnia, że puściły w nim ostatnie zawory bezpieczeństwa. Wydarzenie wyzwalające.

- Podjął pan decyzję, Guy? Co do policji?

Nie usłyszał tych słów Julie.

Dwaj mordercy.

To by wyjaśniało różnice między tymi trzema zbrodniami i pozostałymi.

Kto w takim razie do niego pisał?

Ojciec Camille nie drgnął nawet na dźwięk słowa Melmoth.

Autor listu wspominał również o ciałach w kanale.

Ale to on napisał o Rose! To on nas do niej doprowadził!

A przecież została zabita w podobny sposób jak Milaine i Viviane. Zgodnie z rytuałem, który nie dotyczył pozostałych.

Autor listu zna ojca Camille! Wie, że ksiądz jest mordercą!

Nagle ostatnie słowa duchownego nabrały nowego znaczenia. „Przejrzałem waszą grę! Posłużyliście się mną! Przez was to wszystko!... Conocne koszmary... To wy! Nie powinienem był was słuchać!... Diabeł mi nie pomoże!”.

Guy zapamiętał każdą wypowiedzianą sylabę, intonację i wyraz jego twarzy. Nigdy nie zapomni tej chwili.

„Przez was”?... „Posłużyliście się mną”?...

Lucien Camille, wrażliwa istota, cierpiący niezrównoważony człowiek, pojawia się w polu widzenia drapieżcy, który zaczyna nim manipulować.

Szalona teoria, a mimo to Guy zaczął ją rozwijać.

Lucieniem targają najgorsze wątpliwości dotyczące istnienia, gotów jest niemal porwać się na swoje życie. Hybris, prawdziwy Hybris, dostrzega go, rozmawiają, zwierają się sobie... Czyżby był członkiem parafii, który otworzył się przed nim w konfesjonale?

Nie, to członek Koła Serafinów. To względem nich ksiądz odczuwał największą wściekłość.

Mężczyzn łączy przyjaźń, a przynajmniej stają się sobie bliscy dzięki wspólnemu poczuciu, że nie należą do żadnego społecznego klanu, że są inni niż wszyscy odczuwają niezdrowy pociąg do perwersji... I Hybris zaczyna nim manipulować. Zachęca do przejścia do czynu. Żeby było ich dwóch. Żeby się dzielić?

Jego listy doprowadziły ich do Rose.

Czując się zagrożony, Hybris wykorzystał pomocnika w charakterze zasłony dymnej? A jeśli taki miał plan już od samego początku? Pchnąć

Camille'a do popełnienia zbrodni i poświęcić, jeśli trop doprowadzi śledczych aż do niego?

Inny element poparł tezę Guya: ojciec Camille nie miał powozu! Jak miałby wywieźć Viviane tak daleko od ulicy Monjol? Hybris mu pomógł.

Na początku. Potem go porzucił.

Posługiwał się nim do ukrywania własnych zbrodni.

Tym razem Guy był przekonany, że ma słuszość.

Istniało dwóch morderców, to pewne.

I pomyśleć, że tak długo trwało, zanim to zrozumiał!

Chwytał pióro i zakreślił cztery pierwsze zbrodnie. Stanowiły punkt wyjścia Hybrisa. Kamień węgielny jego ponurych łowów.

Podkreślił także słowa „olej z morświna” i „pobrane narządy”.

- Przygotowuje nam pan tutaj jakąś ohydną potrawę? - spytała Julie z ironią w głosie.

- Dlaczego pani tak sądzi?

- Z powodu tego, co pan zaznacza. Oleju z morświna i podrobów używa się w kuchni, nieprawdaż?

- Też tak w pewnej chwili myślałem. Ale mam wątpliwości.

- Pan Courtois, mój stały klient, używa go także w pracy, przypominam sobie, że mi kiedyś o tym wspominał. Uderzył mnie fakt, że używa się tak wykwintnego oleju do maszyn do szycia i pisania.

- Tak pani powiedział?

- Tak, olej ze szczęki i głowy morświna, pamiętam bardzo dobrze. Wykorzystuje się go w nowoczesnych mechanizmach.

Elementy zaczęły do siebie pasować. Koło Serafinów. Olej z morświna.

Całość nabrała sensu.

Pierwsze zbrodnie! Nie morderstwa, lecz miejsca się liczą!

Guy pochwycił swój stary piórnik i przesunął go w stronę Julie.

- Co pani widzi?

- Piórnik, dlaczego?

- Nie, chodzi o kształt! Co to pani przypomina?

Pióro stało pionowo w pojemniku, który z kolei wetknięty był w cylinder o kształcie gruszki.

- Czy powinnam dopatrywać się tu aluzji seksualnych?

- Nie! Choć może coś w tym być, proszę jednak zobaczyć, co się stanie, kiedy postawię tutaj lampę. Wyobraźmy sobie, że to słońce. A zatem?

Julie namyślała się przez chwilę, wreszcie zaproponowała:

- Tarcza zegara słonecznego?

Guy klasnął w dłonie.

- O to chodzi! Obelisk z Concorde i z Montmartre'u!

Przez długi czas uważano, że Egipcjanie wykorzystywali je do odczytywania godziny! A przy Quai de l'Horloge, jak sama nazwa wskazuje, stoi największy paryski zegar publiczny! I Giełda, gdzie przez dziesięciolecia ludzie przychodzili, by nastawiać zegarki. Tamtejszy zegar uznawany był za najdokładniejszy w całym mieście! Czas jest jego obsesją! Hybris zabija z powodu czasu!

Guy chwycił laskę i ruszył w kierunku schodów.

- Założę się, że oleju z morświna używa się do oliwienia mechanizmów zegarowych.

49.

Guy pełen najstraszliwszych myśli przedzierał się przez wesoły zachwycony tłum zwiedzający Wystawę Światową.

Przeczuwał najgorsze.

Miał jeszcze przed oczyma Louisa Steirna przedstawiającego im członków Koła, a w szczególności tego Anglika, zegarmistrza.

Zdolności analityczne pisarza pozwoliły mu dopowiedzieć sobie resztę.

Marcus Leicester, mężczyzna nękany przez wydarzenia z przeszłości, przez nadopiekuńcza matkę, porywczego ojca. Poświęcił się poszukiwaniu utraconej niewinności, samotny chłopak dorastający w świecie niezrównoważonych fantazji zaczął pasjonować się tropieniem czasu, jak gdyby dzięki niemu miał się pewnego dnia cofnąć w przeszłość.

Cóż on sobie wyobrażał? Że odda cios ojcu? Powie „nie” matce?

Zapanowanie nad czasem miało być synonimem spokoju? Ten, kto sprawuje kontrolę nad czasem, może zatrzymać uczucia i poprawić swoje wspomnienia.

Przepychając się przez masę ludzi, Guy uświadomił sobie, jak dalece miejsce to sprzyjało Leicesterowi. Nieoczekiwana matryca.

Tysiące zwiedzających krążyło od jednego budynku do drugiego niczym krew w organizmie. Karmili swoją obecnością ową niewiarygodną istotę, Lewiatana ukształtowanego sumą ludzkiej wiedzy, jej międzynarodowym dorobkiem, kreaturę przyjmującą oblicze wspólnej przyszłości

ludzi, potwora doktora Frankensteina zrodzonego z części różnych stworzeń. Bez prawdziwego mistrza, który miałby określić kierunek, wpoić pewną edukację - tylko przemysłowy aglomerat napędzany niewzruszoną wolą postępu.

Istota bez sumienia.

Bez moralności także.

Syn minionego dziewiętnastego wieku, który miał wprowadzić całą planetę w nowe stulecie i jeszcze dalej.

Uniwersalny Lewiatan, który prześlizgnie się pod płaszczykiem przemysłu światowego, aby uniformizować, globalizować.

Zanim jeszcze ludzkość zdąży zrozumieć, co stworzyła, stanie się niewolnikiem tego wszechmocnego potwora. Uzależniona od jego bogactw, sieci wpisanej w cywilizację, która będzie uważać się za cywilizowaną pod pretekstem, że udało jej się stworzyć sztuczne środowisko.

Nie istniało lepsze miejsce dla Hybrisa.

Jego poszukiwanie czasu prowadziło tutaj, dzieło to bowiem dostarczy Lewiatanowi serce.

50.

Faustine ogarniał pierwotny strach.

W miarę jak świadomość przeciskała się mglistym tunelem, w głębi którego została zduszona, jej zmysły budziły się, informując ją jeden po drugim, że ma kłopoty.

Światło ją oślepiało.

Pulsujące brzęczenie dręczyło głowę od wewnątrz.

Unoszące się wciąż opary eteru wywoływały mdłości.

Kiedy źrenice przyzwyczyły się do jasności panującej w pomieszczeniu, odniosła wrażenie, że stoi nad nią demon, a gdy niewyraźna gigantyczna postać poruszyła się, Faustine krzyknęła i podjęła próbę odczołgania się jak najdalej, kończyny jednak odmówiły jej posłuszeństwa.

Była spętana.

Miała związane kostki i nadgarstki.

Skupiła myśli, by znów nie stracić przytomności, skoncentrowała się na oddychaniu.

Mleczna zasłona przed oczyma powoli się rozpraszała.

Kiedy jednak podniosła wzrok na tego, kto się jej przyglądał, pożałowała, że dobrze widzi.

Nie demon bowiem stał pośrodku okrągłego pomieszczenia.

Raczej golem z krwi i kości.

Zestaw klatek piersiowych połączonych złożonym systemem żył, płuca nadymały się i wypuszczały powietrze, serca biły w jednym rytmie, a ścięgna i mięśnie podtrzymywały ów twór w równowadze w

gigantycznej klatce z kości pokrytej błękitnawym olejem. I Faustine dostrzegła kilka głów podłączonych do tego ohydneho organicznego mechanizmu. Oblicza miały bez wyrazu, opadające wargi, ślepe powieki. Zdławiła w sobie krzyk, zrozumiałwszy, że istoty te nie są martwe.

Spojrzenie jednego z więźniów właśnie skierowało się w jej stronę.

U stóp piekielnej maszyny posadzono plecami do siebie nagie ciała tworzące jakby cokół szalonego dzieła. Z ich ramion i nadgarstków odchodziły ku górze rurki, z szyj żyły, wszystkie podłączone do wielkiego tworu.

Krew krążyła pompowana przez serca, płuca oddychały. Przyjrząwszy się dokładniej, można było stwierdzić, że istnieje swego rodzaju spójność tej postaci, ożywia ją pewna myśl przewodnia: ścięgna i mięśnie napinały się w regularnych odstępach, kości i splecione jelita służące za gumy przemieszczały się zgodnie w pewnym ściśle określonym rytmie. Nagle Faustine zrozumiała.

Dostrzegłszy coś, co przypominało gardło i język pośrodku klatki, domyśliła się, co ma przed sobą.

Kropla krwi spływała z języka z precyzją metronomu.

Spadała w dół i znikła w innych ustach w twarzy bez skóry skierowanej ku górze - samowystarczalny obieg zamknięty.

Krople krwi odmierzały sekundy

Hybris stworzył cielesny zegar.

Ostateczny chronometr.

Nową miarę czasu skopiowaną z życia, zegar zsynchronizowany z czasem istnienia i jego immanentną degradacją. Każda spływająca kropla symbolizowała nie tylko wymierny cykl, ale też jego wpływ na cykl życia.

Hybris dał życie czasowi.

Dał mu ciało.

Zauważywszy podnośniki hydrauliczne dźwigające całość i sufit równiutko pęknięty na całej długości, Faustine zrozumiała, że Hybris poświęcił temu szaleństwu życie.

I miał zamiar pokazać swoje dzieło całemu światu.

A na razie osłaniała je nakryta plandeką metalowa konstrukcja, którą Faustine zauważyła w holu.

Jeszcze inny ruch zwrócił jej uwagę.

Ciemna postać spowita w poły czarnego płaszcza krzątała się wokół stołu sekcyjnego. Leżało na nim ciało mężczyzny

Faustine nie była w stanie stwierdzić, czy jest żywy czy martwy.

Był obdarty ze skóry.

Nie miał już najmniejszego jej skrawka na ciele.

Hybris stał odwrócony do niej tyłem, manipulując cienkimi skalpelami z przerażającą precyzją.

Nie powinna tu zostawać. Jeśli zachował ją przy życiu, w przeciwieństwie do pozostałych dziewcząt, to dlatego, że szykuje dla niej los, którego okrucieństwo z trudem mogła sobie wyobrazić.

Skończy pod cielesnym zegarem wraz z innymi, z rurkami w żyłach, odżywiający potwora tak długo, aż sama umrze z wycieńczenia.

Faustine pociągnęła z całych sił za pęta, wysiłek jednak uwolnił tylko odurzające opary eteru.

Sznur ani drgnął.

Chciało jej się płakać, ogarniała ją rozpacz na myśl o nieuniknionej śmierci. Była u kresu wytrzymałości, wycieńczona.

Lecz mimo wszystko płynęło w niej życie.

Kochała je.

Pociągnęła więc jeszcze raz, bez skutku, gdy nagle ujrzała podłużny kształt ukryty na udzie.

Nóż!

Pięścią podciągnęła suknię i złapała za trzonek wystający spod podwiązki.

Rozpoczęła przecinanie ostrzem wiążących ją sznurów, rzucając od czasu do czasu szybkie spojrzenia w stronę stojącego do niej tyłem Hybrisa.

Zapach mięsa i substancji chemicznych był odrażający.

Wreszcie puścił pierwszy sznur.

Jeszcze tylko jeden!

Ujrzała wówczas kątem oka drugą parę nóg, nieco dalej po prawej. Z pętami na kostkach.

Ilu ich tutaj było gotowych na poświęcenie?

Czy był to Louis Steirn, który wszedł tutaj tuż przed nią?

Faustine uwolniła się od ostatniego sznura i zabrała się do nóg.

Tak niewiele już brakowało!...

I nagle zrozumiała, że jej plan się nie powiódł.

Zrozumiała w chwili, gdy pojawił się przed nią cień czarnego płaszcza.

Hybris stał nad nią.

51.

Guy laską roztrącał zwiedzających, ściągając na siebie z każdej strony okrzyki protestów.

Bez trudu się dowiedział, gdzie mieści się stoisko Anglika. Ale mimo starań wydawało mu się, że nigdy tam nie dotrze.

Miał złe przeczucie.

Jednoczesne zniknięcie Faustine i Perottiego niepokoiło go.

Było w tym coś osobliwego.

Wszedł do pałacu położonego za wieżą Eiffla. Marcus Leicester zajmował antresolę i część holu wejściowego. Guy zauważył, że znajduje się tu tylko nieukończony stand, a plandeka uniemożliwia stwierdzenie, co jest pod nią. Delikatnie odchylił przysłonę, by stwierdzić, że nic tam nie ma.

Leicester niczego jeszcze nie ustawił.

Pozbywa się ciał w kanałach, ma więc dostęp do podziemnej sieci wystawy. Gdzieś tu musi znajdować się wejście.

Zauważył długą szparę w posadzce pod plandeką.

Olbrzymi włącz uruchamiany zapewne za pomocą jakiegoś mechanizmu, tędy na powierzchnię wyłoni się jeden z wynalazków Leicesterera.

Pod holem! Pod ziemią!

Guy nie wątpił, że jest już bardzo blisko. Obszedł hol dookoła i zatrzymał się przed niewielkim słupkiem, na którym leżał biały kapelusz przyozdobiony kwiatami i fiołkową wstążką.

Należał do Faustine, Guy był o tym przekonany.

Dlaczego tutaj go porzuciła? Guy rozejrzał się wokoło w poszukiwaniu śladu krwi lub jakiegokolwiek innej wskazówki, która mogłaby mu coś więcej powiedzieć, nic jednak nie znalazłszy, usiadł.

Miał stąd widok na całe półpiętro i hol.

Czy Faustine usadowiła się tutaj, by czatować na Leicesterera?

A jeśli zrozumiała wszystko wcześniej niż on? Jeśli przyszła się upewnić, że jej teoria jest słuszna?

Naprzeciw niego, od strony otwartej przestrzeni, skąd dobiegały odgłosy rozmów i kroki zwiedzających, znajdowały się drzwi służbowe.

Ruszył ku nim. Należało to sprawdzić, niczego nie mógł pominąć.

Nie były zamknięte i otwierały się na kręty korytarz schodzący w podziemia wystawy.

Guy zamknął je za sobą.

Jeśli coś się stało Faustine, nigdy sobie tego nie wybaczę.

Zacisnął dłonie na lasce mimo bólu po oparzeniu.

Tak bardzo bał się o dziewczynę, że gotów był stawić czoło Leicesterowi, wyzwąć go na pojedynek, wszystko by zrobił, byle tylko wyciągnąć ją z opresji.

A jeśli już jest...?

Guy przegonił złe myśli i skupił się na drodze.

Jeśli Leicester wymościł sobie podziemną kryjówkę, istniało duże prawdopodobieństwo, że znajduje się ona dokładnie pod holem, w sektorze, który udało mu się wyodrębnić na własny użytek. Guy zdał się na swój zmysł orientacji, poruszając się w tym labiryncie korytarzy, w końcu dotarł do ciężkich stalowych drzwi. Pchnął je.

Muszę być blisko.

Ściana, wzdłuż której szedł, zakręcała łukiem.

Zdławiony krzyk z oddali sprawił, że Guy rzucił się naprzód.

Krzyk kobiety.

Guy dotarł do pomieszczenia wypełnionego narzędziami i mechanizmami zegarmistrzowskimi - był na dobrej drodze.

Minął przylegającą do pomieszczenia komorę i zagłębił się w serce Hybrisa.

Światło oślepiło go, zasłonił oczy ramieniem.

Przed nim stał Hybris odwrócony do niego plecami, usiłujący unieruchomić Faustine na stole sekcyjnym. Jej suknia była rozdarta, a on szykował się do wbicia jej w ramiona i szyję długich igieł podłączonych do niekończących się rurek.

Hybris znieruchomiał.

Czuł, że nie jest już sam - wchodząc, Guy nie wykazał się wystarczającą ostrożnością.

Nadeszła chwila spotkania twarzą w twarz.

Mimo jaskrawego światła Guy ujrzał wówczas górujący nad nim monstrualny zegar.

Na ten widok zastygł.

52.

Hybris zrealizował swoje największe dzieło.

Stał się władcą czasu.

Czas był mu posłuszny

Dał mu owe cenne sekundy, których potrzebował, by zdobyć przewagę nad Guyem.

Skorzystał z chwili, gdy pisarz stał oniemiały widokiem organicznej klatki i odwrócił się z zamiarem poderżnięcia mu gardła.

Skalpel przeciął ze świstem powietrze.

Niewiarygodny refleks sprawił, że Guy zdołał unieść laskę i odparować atak.

Druga pięść Hybrisa uderzyła w jego już spuchnięty policzek, wywołując ogłuszającą falę bólu, która rzuciła Guya na ziemię.

Obszerny płaszcz poruszał się, ogromny kaptur kołysał, jednak wypełniający go mrok nie zdradził oblicza Hybrisa.

Hybris nie należał do odważnych. Determinacji starczało mu tylko na realizowanie swoich fantazji, odpowiadanie na potrzeby chorego umysłu, Guy zatem nie zdziwił się za bardzo, widząc, że ucieka. Czarny płaszcz załopotał, gdy mężczyzna wskoczył za swoje dzieło i uruchomił dźwignię.

Platforma, na której stał, zadrżała, hydrauliczne podnośniki zaskrzypiały

Lewiatan Czasu wznosił się na powierzchnię.

Sklepienie nad nimi zaczęło się rozchyłać.

Hybris chciał wystawić swoje dzieło na widok publiczny.

Na tym polegać będzie jego triumf.

Obietnica jego nieśmiertelności.

Historia zapamięta jego imię na zawsze.

Na wieczność, która jest ludzkim pojęciem określającym nieskończone zabezpieczenie życia, boskiego czasu.

I pętla zostanie zamknięta.

Guy podniósł się i chwiejnym krokiem ruszył naprzód, przekroczywszy nieprzytomnego Louisa Steirna dotarł do Faustine, którą uwolnił z unieruchamiających ją więzów. Żadna rurka nie została jeszcze podłączona do jej ciała.

Spojrzenie dziewczyny jednak mówiło wiele o jej stanie umysłu.

- Pani zatrzyma ten mechanizm! - rozkazał z nadzieją na reakcję. - To okropieństwo nie może się wydostać na powierzchnię!

Faustine patrzyła na niego, jak gdyby nie wiedziała, kim jest.

Wymierzył jej policzek.

W kobiecie natychmiast obudził się gniew.

Umysł ponownie nawiązał kontakt z rzeczywistością.

- Faustine? Jest pani ze mną? - spytał, ujmując ją za ramiona.

Skinęła głową bez słowa.

- Więc niech pani to zatrzyma! Nie może mu się udać!

Po czym puścił ją i zniknął w drzwiach w głębi pomieszczenia w ślad za Hybrisem. Miał nadzieję, że morderca nie zdążył jeszcze przepaść w podziemiach wystawy

Guy miał do wyboru łukowaty korytarz biegnący wokół sali i długie źle oświetlone pomieszczenie przed sobą.

Szedł ostrożnie, wyostrzywszy zmysły, gotów się bronić.

Mimo to nie spodziewał się ataku, tchórzliwy Hybris zapewne uciekał.

Być może nie pomylił się co do mordercy.

Między dwoma skrzyniami poruszył się czyjś but. *Perotti!*

Młody inspektor wił się, usiłując pozbyć się więzów i knebla.

- Proszę mi rozwiązać ręce! - zawołał, gdy Guy go odkneblował.

- Widział go pan?

- Przez chwilę, biegł w tamtą stronę. Chyba jest stąd inne wyjście, pospieszmy się, zanim wróci.

Widząc, że Guy rusza śladem Hybrisa, Perotti zbladł.

- Co pan robi?

- Nie pozwolę mu uciec!

- Widziałem jego twarz! Nie ucieknie daleko! Chodźmy, niech pan nie będzie nierozważny!

Guy nie zważając na niego, zapuścił się w wąski korytarzyk zamykający pomieszczenie.

Było to przejście służbowe, częściowo zajęte grubą wiązką kabli elektrycznych. Żadnego światła. Po przejściu kilkunastu kroków w ciemnościach Guy zapalił zapalniczkę.

Perotti zaklął i ruszył za nim.

- Ma pan broń? - spytał.

- Lasnę.

- Ten idiota nawet mnie nie przeszukał po ogłuszeniu, zostawił mi pistolet. Jak mnie pan znalazł?

- Drogą dedukcji. Faustine też tu jest. I Steirn.

- Kiedy zaszedłem przedtem do Buduaru, dopadł mnie jakiś chłopak z wiadomością od pana. Wyznaczył mi pan spotkanie w tym miejscu za godzinę. Spodziewałem się kolejnego makabrycznego odkrycia, więc nie byłem należycie przygotowany A on rzucił się na mnie u stóp schodów.

- Zapewne w ten sam sposób postąpił ze Steirnem i Faustine - stwierdził Guy, przeciskając się korytarzem. - Chciał nadać swemu dziełu jeszcze bardziej symbolicznego znaczenia, włączając w nie tych, którzy go tropili.

- Dlaczego więc nie pana?

- Nie wiem. Może chciał, żebyśmy uczestniczył w inauguracji.

- Albo z szacunku. Żeby wyrazić uznanie dla nagonki, jaką pan zorganizował. Swego rodzaju hołd myśliwego.

Korytarz przechodził w tunel, który Guy natychmiast rozpoznał: wilgotne ściany, kwaśny zapach i całkowita ciemność.

Kanały.

Jego czujność wzbudził odgłos skrobania dobiegający z prawej strony.

Hybris był tuż obok, usiłował się wspiąć po szczelach drabiny.

Guy puścił zapalniczkę i złapał mordercę za nogi.

Ten odpiął płaszcz, który najbardziej utrudniał mu ruchy, zamachnął się, by wymierzyć Guyowi kopniaka, ale chybił. Pisarzowi udało się wytrącić go z równowagi i Hybris runął na niego. Upadli na ziemię, okładając się pięściami, żadnemu jednak nie udało się zapanować nad przeciwnikiem.

Guy zadał mu cios kolanem w krocze i wykorzystał moment, by zdobyć przewagę.

Odsłoniło się kanciaste oblicze Hybrisa.

Bokobrody przystrzyżone w szpic. Delikatny rudy wąs, niemal niewidoczny w półmroku.

Marcus Leicester.

Potwór siejący zgrozę w całym Paryżu przestał istnieć.

Został już tylko osaczony, przerażony, usiłujący uwolnić się mężczyzna o lęklwym spojrzeniu i drżących rękach.

Żałosny

Guy podziwiał czasami spryt Hybrisa. Leicester, człowiek ukrywający się za maską mordercy, był tylko nieszczęsną istotą.

Nie zrównoważony człowiek pozbawiony empatii, bezsilny, gdy tracił kontrolę, gdy nie stał z bronią naprzeciw bezsilnej ofiary

Pisarz stworzył sobie niemal mitologiczny obraz zabójcy, kreatury bez twarzy, istoty fikcyjnej - rzeczywistość bardzo go rozczarowała.

Perotti podniósł zapalniczkę i trzymał przed sobą.

Guy rozluźnił chwyt, a Leicester wykorzystał tę chwilę, żeby zadać mu cios łokciem, który lekko Guya oszołomił.

Pisarz jednak wczepił się w zabójcę niczym w postać ze swojej powieści, której za żadną cenę nie można wypuścić aż do końca historii.

Jak gdyby Hybris zamierzał mu uciec na zawsze.

Hybris - to coś, co tak dobrze rozpracował.

Jego coś.

Leicester wyślizgnął się z jego uścisku i spadł, pociągając za sobą Guya.

Znaleźli się w cuchnącej wodzie, w otchłani ścieków cywilizacyjnych. Ich kończyny

plątały się, wymierzali sobie ciosy, a równocześnie się topili.

Guy miał wrażenie, że stanowią jedność.

Dokonali fuzji. Hybris i Nemezis.

Dotknęli dna.

Guy uświadomił sobie, że tonie.

Z fikcją. I z rzeczywistością.

Zatopił palce w oczodołach Leicesterera, zmuszając go do zwolnienia uścisku, i instynktownie odbił się ku powierzchni. Wyłonił się z wody z krzykiem.

Perotti przyglądał mu się, stojąc na brzegu, z zapalniczką i bronią w dłoniach, identycznie jak ojciec Camille kilka godzin wcześniej.

Po chwili na powierzchni pojawił się również Leicester. Chciał chwycić się brzegu i wspiąć, znieruchomiał jednak nagle i wbił wzrok

w wodę za sobą, jak gdyby otarła się o niego śmierć we własnej osobie.

Guy zauważył ruch w wodzie.

Coś potężnego i zwinnego.

Nie! Tylko nie to!

Hybris spróbował z kolei chwycić się występu, lecz palce mu się ześlizgnęły po pokrytej szlamem powierzchni.

Prawdziwy potwór znów otarł się o niego.

Kilkumetrowy krokodyl.

Spanikowany Guy stracił dwa paznokcie, usiłując wydostać się na brzeg.

Perotti jakby nie mógł się zdecydować, czy pomóc Guyowi, czy dobić Leicesterera.

Nagle Anglik uniósł się i z jękiem wygiął w łuk.

Wziął głęboki oddech i zaraz potem obfity strumień krwi trysnął mu z ust.

Ręce szukały czegoś, czego mogłyby się uczepić, przytrzymać, ale trafiały tylko na pustkę.

Jednym ruchem ogona krokodyl wciągnął go pod wodę, obie istoty starły się w kipieli w walce, w której człowiek nie miał szansy zwyciężyć. Reagował instynktownie, ze strachu.

W kanale huknął strzał, któremu towarzyszył oślepiający błysk, i kula utkwiała pod łuskami zwierzęcia, tuż za jego ślepiami.

Perotti przyłożył się do strzału.

Krokodyl zapadł się w otchłań, pociągając za sobą Leicesterera.

I nagle powróciła cisza.

Inspektor pomógł Guyowi wydostać się z wody.

Echo wystrzału dźwięczało jeszcze w sieci tuneli, powtarzając się w nieskończoność, jakby głosiło dobrą nowinę.

Potwór nie żył.

Przez chwilę Guy zastanawiał się, którego tak naprawdę ma na myśli.

53.

Straszliwa machina warczała.

Wrócili już niemal do podnóża Lewiatana Czasu. Guy nie wiedział, czy Faustine udało się zatrzymać maszynię, czy plandeka nie opadnie, odsłaniając całe okropieństwo maszynierii i zapisując tym samym Hybrisa w ludzkiej pamięci.

Już miał wejść do pomieszczenia, gdy Perotti go powstrzymał.

- Co pan wyprawia? Trzeba stąd wyjść! Policja jest już z pewnością w drodze, pojawi się lada chwila! Jeśli nas tu znajdą, z pewnością zostaniemy aresztowani, będzie pan musiał odpowiedzieć za wszystkie nasze czyny!

- Ale tam jest Faustine! I Steirn!

Perotti wciąż go trzymał.

- Uciekajmy, Guy, przecież nie chcemy wpaść w łapy moich kolegów. Moja kariera przepadnie, a pańska prawdziwa tożsamość zostanie ujawniona.

Guy zrobił młynka ręką, żeby się uwolnić.

- Podejmę to ryzyko.

Perotti cofnął się o krok, kręcąc powoli głową.

- Poświęciłem wszystko, by dojść aż dotąd - rzekł. - Oddałem wszystko. Nie mogę pójść z panem.

Mierzyli się wzrokiem.

Być może Guy nie był jednak aż takim tchórzem.

Prawdziwe tchórzostwo manifestuje się, gdy jest wystawione na próbę, nie wystarczy tylko unikać konfrontacji, aby się okazać tchórzem.

W tej chwili zdecydowanie większym tchórzem był Perotti.

Wyszeptał coś, co przypominało „Proszę mi wybaczyć” i uciekł w stronę wąskiego przejścia technicznego.

Guy wszedł do wielkiej sali.

Organiczny zegar stał z powrotem na ziemi.

Faustine i Steirn zdyszani opierali się na dźwigniach.

Kobieta zamrugła oczyma, po czym z ulgą zamknęła je na dłuższą chwilę.

- Hybris przegrał - stwierdziła. - Nikt nie zobaczył tego okropieństwa. Udało nam się je opuścić, zanim było za późno.

- Teraz trzeba sprawić, by zniknęło na zawsze - powiedział Guy

Faustine odwróciła się w stronę pozbawionych świadomości ciał, zbiorników energii, w stronę twarzy o błędnym spojrzeniu rozglądających się niczym czerwone rybki wyjęte z akwarium i błagające, żeby je znów zanurzyć w wodzie.

- Guy, ci ludzie... żyją.

- Nie możemy już nic dla nich zrobić. Hybris skazał ich na śmierć. Są umierający. Krew jest zatruta i większość z nich przeżyje jeszcze najwyżej kilka godzin. Musimy skrócić ich cierpienie.

Sięgnął po pojemnik z alkoholem służącym do odkażania pomieszczenia i polał nim podłogę.

Steirn patrzył oniemiały Przystanął w progu, po czym nie czekając na to, co zrobi Guy, wyszedł.

Teraz, gdy Faustine była już bezpieczna, Guy przyjrzał się po raz ostatni zegarowi z ludzkich ciał.

Czy to dzieło zainspirowała obecna szalona epoka, czy też człowiek zawsze zdolny był do takiej perwersji?

Wszystkie oczy piekielnej maszyny zwrócone były w jego stronę.

Wspierały go w tym, co chciał zrobić.

Guy czuł, że pomagają mu podjąć decyzję.

Żeby z tym skończyć.

Żeby czas znów stał się nienamacalny

Żeby rozwiął się w nieskończoności.

Pisarz wziął głęboki oddech i zacisnął palce na zapalnicze.

- Pokój z wami - powiedział, rzucając ją między płataninę ciał.

54.

Świt długo nie nastawał.

Słońce zdawało się zwlekać na myśl o uniesieniu zasłony ciemności znad sceny wydarzeń ubiegłej nocy

Guy zamknął niewielką walizkę.

Pół roku wcześniej wyszedł z domu bez niczego.

Od tamtego czasu nie nagromadził zbyt wielu rzeczy - jedynie przybory do pisania i kilka sztuk odzieży.

Dziś musiał ponownie uciekać.

Pożar pod pałacem został opanowany, zanim zdołał się rozprzestrzenić na stoiska, przy odrobinie szczęścia kontrolerzy nie zamkną żadnej sekcji wystawy.

Żywy koszmar Leicestera poszedł z dymem.

To było najważniejsze.

Guy podejrzewał, że w prasie nie pojawi się najdrobniejsza wzmianka na temat tego, co ukazało się wśród zgliszczy. Policja zadba o to, by zwęglone szkielety znalazły się poza zasięgiem niedyskretnych spojrzeń.

Perotti będzie go informował o wszystkim na bieżąco.

Ile naliczą ofiar? Kim się okażą?

Człowiek ze stołu sekcyjnego został obdarty ze skóry całkiem niedawno i Faustine była przekonana, że to pomocnik zegarmistrza - Hybris usiłował tym sposobem wyprzeć się tego, który mu pomagał, pozbawić go powłoki, tożsamości, jak gdyby człowiek ów nigdy nie istniał. Lewiatan Czasu był dziełem wyłącznie Hybrisa. Przewidując wielki finał, chciał zakończyć w dobrym stylu: Louis Steirn, Faustine, a

nawet jego asystent mieli ożywiać jego twór na oczach publiczności.

W drodze powrotnej Steirn, wycieńczony i zdezorientowany, zwierzył im się, że przyszedł do pałacu w odpowiedzi na liścik Leicestera - zaproszenie na „wyjątkowe widowisko”.

Hybris nie był taki jak inni ludzie. Jego spojrzenie przenikało przez skórę i duszę i docierało do tego, co najważniejsze: każde istnienie było dla niego tylko czasomierzem, zegarkiem o niezwykłym mechanizmie. Owa nieustająca siła posiadała namacalną otoczkę. A on marzył, by nad nią zapanować.

Kiedy i w jaki sposób to wszystko się zaczęło? W roku 1889, gdy uciekł z rodzinnej Anglii po śmierci rodziców?

Rok 1889.

Kilka miesięcy po zbrodniach dokonanych przez Kubę Rozpruwacza.

A jeśli coś ich łączyło? Jeśli Hybris rozpoczął karierę, mordując londyńskie prostytutki, po czym musiał uciec za granicę?

Czy jego asystent wiedział o przerażających działaniach swojego pracodawcy? Czy mu w

nich pomagał? Tego nikt nigdy się nie dowie.

Zarówno życie Luciena Camille'a, jak i Marcusa Leicesterera na zawsze pozostanie częściowo okryte tajemnicą.

Czy Leicester naprawdę miał problem z matką?

Guy był o tym przeświadczony.

Nigdy nie pozna całej prawdy, będzie musiał z tym żyć.

Zrozumiał, że rzeczywistość była w gruncie rzeczy o wiele bardziej zróżnicowana i niekompletna niż fikcja.

Różniła się liczbą luk w tym, co pozwalała zobaczyć.

Guy czuł ciężar na sercu. Nigdy nie dowie się o księdzu i Leicesterze więcej, niż samemu udało mu się wydedukować na ich temat.

Działanie nie znosi żadnego czasownika. Ten należy wyłącznie do literatury.

Oprócz rozczarowania, że nie pozna całej prawdy na temat morderców, ich śmierć nasuwała Guyowi jeszcze jedno pytanie.

Czy istnieje metoda, która mogłaby ich uleczyć, jak zapewniał Lucien Camille? Miał co do tego wątpliwości. Istoty te zostały tak głęboko zranione w decydujących okresach ich rozwoju, że leczenie musiałoby polegać na wymazaniu z ich umysłów wszelkich emocjonalnych znaczników, by mogli wystartować od zera. A to było przecież niemożliwe.

Guy zerwał z deski wszystkie kartki i miał wyrzucić je do kosza, lecz coś go powstrzymało. Zamiast tego włożył je do swojej walizeczki.

Może wykorzysta je do napisania powieści.

Mimo wszystko.

Podróż ta, choć tak mroczna, warta była przecież opowiedzenia. Teraz czuł się do tego zdolny.

Wypełni fikcją luki w rzeczywistości.

Wypełni je posępną inspiracją, przewrotnością umysłu.

Myśl ta podniosła go na duchu.

Louise była tu bezpieczna, Julie weźmie ją pod swoje skrzydła, nie miał co do tego wątpliwości. Wyrośnie z niej wyjątkowa kobieta wykorzystująca swój wdzięk niczym zabójczą broń. Miejsce to przecież nie było gorsze niż inne.

Dziewczęta z Buduaru nie pisną słówka na jego temat, nawet maglowane przez Legranitiera i Pernettyego okażą się solidarne wobec przyjaciela.

Jeśli wyjedzie szybko, jeśli będzie trzymał się z dala od Paryża, dopóki stolica nie zapomni o całej sprawie, ocaleje.

Nie miał innego wyboru oprócz wygnania.

Stał już przy drzwiach, gdy na strychu pojawiła się Faustine.

Jej wzrok zatrzymał się na walizce.

- Opuszcza nas pan bez pożegnania?

- Wróćę.

- Może kiedyś...

- Powinna pani uczynić to samo - odparł. - Widziano pani twarz.

Faustine nie poruszyła się, zagradzając mu przejście.

- Dokąd pan pojedzie? - spytała.

- Jeszcze nie wiem, będę improwizował.

Wskazała palcem na jego walizeczkę.

- Nie lubi się pan obciążać bagażem, jak widzę.

- Istotnie.

- Trudno.

- Dlaczego?

Faustine usunęła się, odsłaniając własną walizkę.

- Też nie wiem, dokąd iść. Moglibyśmy pokonać jakąś część drogi razem.

Guy zatopił wzrok w jej błyszczących szafirowych oczach.

Poczuł szalone pragnienie, by ją pocałować.

By uwielbić życie.

By odegnąć obrazy ostatnich dni, przepędzić koszmary.

I dlatego, że ją kochał.

Nie uczynił jednak nic.

Podał jej tylko ramię. Wsiedli razem do dorożki jadącej donikąd.

Widoki Paryża defilowały za oknem.

- Zdradzi mi pani swoje prawdziwe imię? - spytał Guy

- Być może. Mamy czas.

Po tych słowach Guy pomyślał o Hybrisie.

Miał ochotę powiedzieć, że wręcz przeciwnie, że spalili czas, że nikt już go nie posiada, ale nie rzekł na to nic. Wolał się skupić na Faustine, na pojęciu czasu o wiele bardziej uniwersalnym, mniej namacalnym i bardziej przemawiającym do wyobraźni.

- Tak, w pewnym sensie - zauważył z nutką goryczki w głosie - chyba mamy.

Faustine położyła dłoń na jego ręce jakby na potwierdzenie milczącego paktu o nowym życiu, które otwierało się przed nimi. Pełne możliwości.

Czysta karta wolna od wszelkiej twórczości.

Wystarczy tylko dobierać właściwe słowa.

Hybris się mylił.

Melmoth nie wracał do domu.